

andreas franz

Mistrz inteligentnego kryminału
6 milionów sprzedanych
egzemplarzy

LODOWATA BLISKOŚĆ

Był płatnym zabójcą - był niczym widmo
i miał nim pozostać na zawsze



Franz Andreas

Sören Henning i Lisa Santos 03

Lodowata bliskość

W swojej strzeżonej jak twierdza posiadłości pod Kilonią zostaje zamordowany znany producent muzyczny oraz jego młodziutka kochanka. Okoliczności ich śmierci zdumiewają nawet tak doświadczonych śledczych jak Sören Henning i Lisa Santos. Szukają tropów, stosując swoje niekonwencjonalne, oscylujące na granicy prawa, metody śledztwa. Wpadają na trop nieuchwytnego zabójcy, który od ponad dwudziestu lat działa na zlecenie.

Czyje? I tu kryje się największa, przerażająca tajemnica. Dodajmy jednak za autorem, że „jakiegokolwiek podobieństwo postaci występujących w powieści do osób żyjących lub zmarłych jest czysto przypadkowe”.



**Pozorne dobro nie zawsze jest dobre,
pozorne zło nie zawsze jest złe.
To człowiek przybiera wiele masek,
które wszystko mogą ukryć.
W człowieku mieszka i dobro, i zło.**

Sobota, 7 marca 2009

Hans Schmidt wylądował punktualnie wczesnym popołudniem w Hamburgu. Odebrał z wypożyczalni wcześniej już zarezerwowane dla niego bmw i pojechał do Kilonii. Było zimno. Na pewno dużo chłodniej niż w Lizbonie, gdzie w ciągu ostatnich kilku dni temperatura utrzymywała się w granicach dwudziestu stopni, ponieważ tu sięgała zera. Tylko noce były w Portugalii zimne, ale i tak cieplejsze niż dni w północnych Niemczech. Nie było korków, więc dotarł w niecałą godzinę do swego domu, mieszczącego się w sympatycznej dzielnicy Düsternbrook.

Istniały powody jego przyjazdu do Kilonii. Pierwszy i oficjalny związany był z ekspertyzą bardzo starych i najprawdopodobniej bardzo cennych rękopisów pochodzących z XI wieku oraz dwóch ksiąg Niccoló Machiavellego: *Il Principe* i *Discorsi*. Obie zawierały odręczne adnotacje.

Schmidt nie wnikał, jak klient wszedł w posiadanie tych ksiąg, mimo że w dzisiejszych czasach zdobycie tak bezcennych druków w legalny sposób graniczyło z niemożliwością.

Drugim i zarazem głównym powodem jego przybycia był zamiar popełnienia morderstwa. Schmidt przyjechał, aby zabić.

Mało brakowało, a Maria, jego partnerka, przyjechałaby z nim, ale na szczęście była zajęta. Musiała dopilnować robotników, którzy w poniedziałek mieli zacząć budować

kominek w ich domu w Portugalii. Maria od dawna o nim marzyła, więc Schmidt się zgodził. W Lizbonie oczywiście rzadko było tak zimno, aby kominek był naprawdę niezbędny, ale Maria zawsze podkreślała, że pięknie by to wyglądało, gdyby... W końcu więc, kiedy kolejny raz wysłuchał jej argumentacji, zaproponował, żeby znalazła firmę, która się tym zajmie, i zleciła jej pracę. Naturalnie, nie musiał tego dwa razy powtarzać.

Może to jednak dobrze, że tym razem Maria została w Lizbonie, ponieważ czekająca go misja wymagała pełnej koncentracji. Oczywiście Maria wcale by mu nie przeszkadzała, bo zawsze trzymała się jakby w tle i nie zadawała zbędnych pytań. Nigdy nie pytała, dokąd szedł i kiedy może się spodziewać jego powrotu. Nic z tych rzeczy. Nie była natrętna jak większość kobiet, które dotąd spotykał na swojej drodze. Była jak perła, której próżno szukać wśród tysięcy: piękna, bezpretensjonalna, pracowita, a do tego spełniała każde jego życzenie. Czasem nawet dziwnie się z tym czuł, gdyż zdawało mu się, że wnika w świat jego myśli. Nawet gdy było to niemożliwe. Odnosił wrażenie, że dostrzegała rzeczy, których by nie chciała widzieć. Zresztą nie chciałby ich oglądać żaden człowiek. Gdyby jednak rzeczywiście je dostrzegała, to albo zabiłaby jego, albo siebie, albo też odeszłaby bez słowa, ponieważ była kobietą dumną i nadzwyczaj dyskretną.

Maria była jedną z dwojga osób, które Hans Schmidt uważał za pokrewne mu dusze, mimo że dotychczas żyli w dwóch zupełnie innych światach.

Wtargnęła w jego życie niczym huragan i to tylko dlatego, że szukał gospodyni domowej. Pewnego razu stanęła przed nim wytworna, z pozoru niedostępna kobieta, która od pierwszej sekundy absolutnie go oczarowała. Miała pólługie, prawie czarne włosy, ciemną opaleniznę, wydatne czoło i wystające kości policzkowe, skórę bez cienia

porów i oczy, jakich nigdy dotąd nie widział u żadnej kobiety. Ich głęboki błękit niemal nienaturalnie kontrastował ze smagłym odcieniem twarzy, a delikatne niczym z porcelany dłonie i wspaniała figura bez wątpienia rozpałyby ogień w każdym mężczyźnie. Lecz najpiękniejsza w niej była twarz. Kształtne, niezbyt pełne usta pasowały idealnie do tej doskonałej twarzy. Gdy tylko ją zobaczył, od razu zapalał do niej uczuciem, mimo że nie zamierzał się zakochać. W chwili gdy przed nim stanęła, wiedział, że jeśli odwzajemni jego miłość, już nigdy w życiu nie spojrzy na inną kobietę. W przeszłości nie szukał miłości, nigdy nawet nie szukał kobiety, tylko wykorzystywał nadarzające mu się okazje. Niemniej nie spotkał dotąd takiej, z którą chciałby spędzić resztę życia. Zapewne wynikało to z jego postanowienia, a może chodziło o to, że nigdy nie szukał życiowej partnerki. Jego motto brzmiało: „Nigdy nie próbuj czegokolwiek wymuszać. Pozwól, aby wszystko potoczyło się samo”. Motto to jednak odnosiło się wyłącznie do prywatnej sfery jego życia, a nigdy zawodowej.

Maria była dwunastą osobą ubiegającą się o pracę gosposi i okazała się strzałem w dziesiątkę, wartym więcej niż szóstka w lotto. Schmidt nie przypominał sobie żadnego innego przeżycia, które byłoby choć trochę podobne do ich pierwszego spotkania.

Poza jedną rzeczą, ale to było zupełnie co innego, tak różnego jak słońce i księżyc. To coś przyprawiało go o dreszczyk, podniecało i rozbudzało zmysły, a było to jego pierwsze morderstwo.

Zamordował na zlecenie zżartej przez zazdrość kobiety, której przykro było, że jej mąż zabawia się z młodymi dziewczętami. Kobieta ta miała około trzydziestu pięciu lat, ale dla swojego męża była już za stara, mimo że on sam miał czterdzieści dziewięć. Był rekinem w branży nieruchomości we Frankfurcie, człowiekiem bardzo

zamożnym, który w głębi ducha nadal pozostał małym chłopcem. Włóczył się od łóżka do łóżka, ale nie mógł trafić do własnego. Jednocześnie trzymał swoją żonę i dwoje dzieci w złotej klatce. Kobieta ani nie mogła uwolnić się z klatki, ani od władzy męża, dlatego też znienawidziła go tak mocno, jak tylko potrafią kobiety. Schmidt dużo później dowiedział się, co tak naprawdę było prawdziwym powodem zlecenia, jakie od niej otrzymał.

To pierwsze zlecenie Hans Schmidt dostał, gdy miał dwadzieścia dwa lata, lecz doświadczenie życiowe czterdziestopięciolatka. Mieszkał w Kilonii i zamierzał możliwie jak najszybciej spakować manatki i przenieść się gdzieś, gdzie znalazłby dobrze płatną pracę i zacząłby robić karierę. Jako student żył z dnia na dzień, a poszukując pracy, umieszczał ogłoszenia w gazetach regionalnych i krajowych. Pisał w nich między innymi, że chętnie podejmie się pracy ogrodnika. Na jedno z nich pewnego dnia odpowiedziała kobieta. Szukała ogrodnika i proponowała pracę wraz z mieszkaniem. Pomyślał, że to świetna okazja, by wyrwać się z rodzinnego miasta. Do ich pierwszego spotkania doszło w Kilonii, gdyż podobno miała coś do załatwienia w okolicy. Dla Schmidta było jednak jasne, że przyjechała tu specjalnie z jego powodu i nigdy nie zapomniał tego spotkania, które gruntownie zmieniło jego życie. Spotkali się w kafejce w Düsternbrook, dokąd, jak się później okazało, miał się w przyszłości przeprowadzić. Tę elegancką dzielnicę praktycznie zamieszkiwali tylko bogacze. Podczas tego spotkania zauważył, że ta niezwykle piękna kobieta dyskretnie, ale ustawicznie mu się przygląda i ocenia go, mimo że od początku rozmawiali wyłącznie o pracy ogrodnika. Praca łączyła się z koniecznością zamieszkania w Hofheim, małym miasteczku na peryferiach Frankfurtu. Sarah Schumann, gdyż tak mu się przedstawiła, emanowała seksem, nawet gdy zapalała papierosa lub

zakładała nogę na nogę. Już choćby z tego powodu warto było się z nią spotkać.

Uzgodnili, że Schmidt zamieszka w Hofheim, a koszty utrzymania pokryje ona, on z kolei dostanie za swoją pracę przyzwoitą zapłatę. Poza tym mógłby kontynuować studia we Frankfurcie. Odrobina zorganizowania i wszystko udałoby się zgrać. To brzmiało dla jego uszu jak muzyka. Jego dotąd mgliste plany nagle nabrały wyrazistości. W końcu tego samego wieczoru zaprosiła go do swojego domu w Kilonii, aby, jak się wyraziła, doprecyzować szczegóły.

Ten wieczór upłynął jednak zupełnie inaczej, niż się tego spodziewał. Nie przypuszczał wtedy, że ogłoszenie skieruje jego życie na drogę, której nawet w najśmielszych snach nie ośmieliłby się obrać. Sarah Schumann zapytała go, zupełnie jakby przy okazji, czy chciałby zarobić mniej pieniędzy w długim czasie, czy też dużo i szybko. Nie wiedział, co się za tym pytaniem kryło. Odpowiedział jednak, że najchętniej zarobiłby dużo w krótkim czasie.

W jednej chwili stanęła przed nim nago. Spędzili razem noc. To było niesamowite przeżycie. Spał z kobietą starszą o dwanaście czy trzynaście lat. Miała nie tylko ciało, o jakim można pomarzyć, ale też intelekt, charyzmę i czar, którym nie sposób się było oprzeć. Zaraz po seksie zapaliła w milczeniu papierosa i wypła lampkę czerwonego wina. Przyglądała mu się przez chwilę, jakby starała się przeniknąć jego myśli. Po chwili wyjawiała mu, czego tak naprawdę od niego chce.

Opowiedziała o swoim mężu, który ustawicznie ją zdradzał z młodszymi kobietami, czasami nawet nieletnimi. Wyznała, że teraz ma romans z piętnastolatką, a ona już dłużej z tym skurwysynem i pedofilem nie wytrzyma. Przede wszystkim jednak obawiała się, że on mógłby również wykorzystać ich dwie dorastające córki, które miały dziesięć i dwanaście lat.

W końcu wyrzuciła z siebie całą prawdę w sposób całkowicie pozbawiony emocji. Położyła zdjęcie męża na stole i oznajmiła, że szuka kogoś, kto ją od niego uwolni. I to na zawsze. Zapytała, czy on byłby gotów to zrobić. Oczywiście dobrze by zapłaciła. Mówiła to spokojnie i chłodno, tylko w jej oczach pojawiła się mała iskierka. Widział jednak, że mu się bacznie przygląda i analizuje jego reakcję.

Okazał zmieszanie i strach - chociaż nie była to do końca prawda, gdyż uczucia te rzeczywiście pojawiły się, gdy tylko wyjawiała mu swe zamiary, ale po kilku sekundach zniknęły - po czym odparł, że nigdy dotąd czegoś takiego nie zrobił. Sarah Schumann odpowiedziała spokojnie, że przecież zawsze musi być ten pierwszy raz. Pierwsze kroki, pierwszy upadek, pierwszy dzień w szkole, pierwsza wielka miłość... Ona wyobraża sobie, że przypomina to pójście pierwszy raz do łóżka z kobietą. Człowiek się boi, ale jednocześnie czuje mrowienie, które ogarnia całe ciało i które trudno opisać. Pragnie się tego, a jednocześnie jest się skrepowanym. W końcu jednak człowiek i tak się decyduje, gdyż pragnienie, aby odkryć nieznaną, zwycięża. Według niej dokładnie tak, lub przynajmniej podobnie, jest z pierwszym morderstwem. Brzmiało to przekonująco. Musiała sobie nieraz wyobrażać, jak strzela do niewiernego małżonka, on osuwa się na podłogę, a jego oczy patrzą na nią błagalnie, podczas gdy ona stoi nad nim w rozkroku i uśmiecha się zimno, i wtedy on wydaje z siebie ostatnie tchnienie.

- Nienawidzę go do szpiku kości za to, co zrobił mnie i naszym dzieciom. Mogłabym jeszcze więcej o nim powiedzieć, ale trwałoby to za długo i nic nowego by nie wniosło. Może kiedyś opowiem ci całą tę historię.

Na pytanie Schmidta, czemu sama tego nie zrobi, odparła z jedynym w swoim rodzaju uśmiechem, że przecież podejrzenie od razu padłoby na nią. Potrzebuje zatem

kogoś, kto się rozezna w sytuacji, przybędzie i odejdzie, bezszelestnie i bez śladów, jak widmo. Już po kilku sekundach spędzonych z nim w kafejce wyczuła, że będzie właściwym człowiekiem do wykonania tego zadania, a to dlatego, że w niczym innym nie była lepsza niż w odkrywaniu ludzkiej natury, i to już na pierwszy rzut oka. Nigdy jeszcze nie zawiodła się na swojej intuicji. Wyjątkiem oczywiście był jej mąż - aktor najwyższej klasy.

Schmidtowi schlebiały te słowa. Na początku ani się nie zgodził, ani nie odrzucił propozycji, zadawał sobie jednak pytanie, jak miałby tego dokonać. Jak zabić człowieka, którego widział tylko raz, i to na zdjęciu, i o którym nic nie wiedział poza tym, co powiedziała mu Sarah Schumann. Nie miał jednocześnie żadnej gwarancji, że mówiła prawdę. Dziwnym trafem na myśl o zabiciu człowieka nie odczuwał strachu. Może dlatego, że jeszcze nigdy się nie bał. Od młodych lat mógł liczyć tylko na siebie, więc musiał stać się twardy.

Czy miał skrupuły? Możliwe. Wyrzuty sumienia? Prawdopodobnie. Nie pamięta, co wtedy odczuwał, bo wszystko było takie surrealistyczne. O decyzji zaważyło sto tysięcy marek, jakie zaproponowała mu Sarah Schumann, jeżeli byłby gotowy sprzątnąć jej męża, czyli, jak się wyraziła, zlikwidować go i tym samym raz na zawsze usunąć z jej życia. Następne sto tysięcy otrzymałby po wykonaniu zlecenia, pod warunkiem że nie pozostawi śladu, który wskazywałby na niego, a tym samym również na nią.

Nie zastanawiał się długo. Jej propozycja oznaczała dla niego bogactwo, będzie mógł studiować i nie wykonywać mało lukratywnych, doraźnych prac. Omówili dokładnie cały przebieg zdarzeń: skontaktuje się z nim w ciągu kilku najbliższych dni, a wtedy on niezwłocznie przyjedzie do Frankfurtu i zamieszka w pięciogwiazdkowym hotelu. W skrytce na Dworcu Głównym będzie na niego czekała

broń, a kluczyk do skrytki dostarczy mu kurier wprost do hotelu.

Pomyślała o wszystkim. Ona w tym czasie udałaby się do koleżanki za granicę i wróciłaby dopiero wtedy, gdy policja albo ktoś z rodziny powiadomiliby ją o śmierci męża. Po wykonaniu zlecenia resztę pieniędzy miałyby odebrać w ciągu kilku dni, również ze skrytki dworcowej. Kluczyk do niej ponownie odebrałyby w hotelu.

Dwieście tysięcy marek było dla Hansa Schmidta ogromną sumą, bo jako student germanistyki i romanistyki z wielkim trudem wiązał koniec z końcem.

Dwieście tysięcy marek za zamordowanie niewiernego męża - widział kiedyś coś takiego w kinie, ale nigdy, aż do wieczoru 12 października 1984 roku, nie przypuszczałby, że pewnego dnia sam wykona takie zlecenie.

Był wtedy jeszcze odrobinę naiwny, dlatego zapytał Sarah, kiedy miałyby się zgłosić do pracy jako ogrodnik.

- Czy naprawdę myślisz, że z powodu ogrodnika jechałabym tak daleko? - odparła rozbawiona. - W mojej okolicy nad Renem jest mnóstwo ogrodników, ale ja potrzebuję kogoś z innego regionu. Przyjechałam tu wyłącznie z jednego powodu, który już ci wyjawiałam. Twoje ogłoszenie trafiło do mnie i od razu wiedziałam, że będziesz się do tego nadawał. Jak na razie utwierdziłeś mnie w tym przekonaniu. Czy się pomyliłam?

- Nie. Oczywiście, że nie. Jestem tym, kogo szukasz - odrzekł.

- A więc dobrze. Zobaczysz, że nie pożałujesz.

Sarah Schumann zadzwoniła trzy dni później z wiadomością, że nadszedł już czas. Pojechał więc do Frankfurtu i zameldował się w pięciogwiazdkowym hotelu, gdzie czekała już na niego koperta z dwoma tysiącami marek. Hans Schmidt spędził dwa dni w opłaconym z góry

luksusowym apartamencie w samym sercu Frankfurtu. Czekał, by Sarah telefonicznie potwierdziła informację, że jej mąż spędzi najbliższy dzień w swojej chacie myśliwskiej w górach Taunus. Miał tam rzekomo odpocząć po minionych stresujących tygodniach. Jeszcze tego samego dnia kurier dostarczył mu kopertę, w której znajdowała się kartka z zaznaczonym położeniem chaty myśliwskiej oraz klucz do skrytki dworcowej. Znalazł w niej torbę sportową, a w niej pistolet dużego kalibru z tłumikiem oraz obiecane sto tysięcy marek.

Wynajętym przez siebie samochodem pojechał na parking, który znajdował się około pięciuset metrów od chaty Schumanna. Dokładnie tak jak opisała mu Sarah, obok chaty stał duży range rover. Schmidt przeszedł przez uchyloną furtkę, rozglądając się wokół, czy nikt go nie obserwuje. Nikogo nie dostrzegł. Zapukał więc do drzwi i po dłuższej chwili otworzył mu wysoki, silny mężczyzna w podkoszulku i szortach - był to niewątpliwie mąż Sarah. Hans Schmidt powiedział, że zabłądził i nie wie, jak się stąd wydostać. Mrukowaty facet chciał się pozbyć go jak najprędzej, więc wskazał ręką na zachód i wymamrotał coś niezrozumiale.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Schumann nawet się nie zorientował, jak przystawiono mu broń do piersi i wepchnięto go do chaty. Schmidt przyłożył palec do ust na znak, żeby nawet nie śmiał pisać. Okazało się, że w środku oprócz Schumanna jest też naga dziewczyna. Siedziała na łóżku i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Była bardzo ładna i młoda. Miała ze trzynaście, czternaście lat, a może już piętnaście, słowiańskich rysy twarzy, blond włosy i niebieskie oczy oraz figurę, która dopiero za rok lub dwa miała osiągnąć dojrzałość. Sarah Schumann nie wspominała mu ani słowa, że oprócz jej męża w chacie będzie ktoś jeszcze. Możliwe, że o tym nie wiedziała. Pomyślał,

że porozmawia z nią na ten temat później. Teraz pewne było tylko jedno: dziewczyna nie może przeżyć. W przeciwnym razie mogłaby go zidentyfikować.

Butelka szampana i dwa kieliszki stały na stoliku, a w tle słychać było cichą muzykę. Hans Schmidt przypominał sobie wszystko, jakby wydarzyło się to wczoraj. Na twarzy Schumanna pojawił się strach, bredził coś, lecz Schmidta to wcale nie interesowało. Zamknął drzwi nogą, zmarszczył czoło i nacisnął spust dwa razy. Pierwszy strzał trafił mężczyznę w klatkę piersiową, a drugi w głowę - tak na filmach mafia przeprowadzała egzekucję. Dziewczyna przycisnęła poduszkę do ust, nie wydając żadnego dźwięku. Patrzyła tylko szeroko otwartymi z przerażenia oczyma. Trwało to jednak tylko kilka sekund, aż w końcu jej oczy również zamknęły się na zawsze.

Potwierdziły się informacje Sarah. Starzejący się mężczyzna najchętniej robił to z młodymi dziewczynami. Miał pieniądze i mógł sobie na wszystko pozwolić. Mimo to Schmidt nie spodziewał się tu spotkać jeszcze jednej osoby.

To było łatwe zadanie. Spojrzał na zwłoki, jakby patrzył na kukły. Opuścił chatę myśliwską i spokojnym krokiem oddalił się do samochodu. Po drodze nikogo nie spotkał. Podczas jazdy do Frankfurtu zastanawiał się, czy pozbyć się broni. Koniec końców postanowił ją jednak zatrzymać - jako pamiątkę po swoim pierwszym razie. Nadal ma ten pistolet, używał go wielokrotnie, ostatnio z pół roku temu.

Później w hotelu całe to zdarzenie stanęło mu jeszcze raz przed oczami. Myślał przy tym o dziewczynie, której życie się zakończyło, zanim tak naprawdę się zaczęło. Przez chwilę miał nawet wyrzuty sumienia, chociaż był przekonany, że i tak nie pożyłaby długo. Przeczytał kiedyś,

że zmuszane do prostytucji kobiety, przede wszystkim te młode, nie przeżywają pierwszych trzech lat. Część z nich umiera z powodu przedawkowania heroiny, mieszania alkoholu z narkotykami, a część jest po prostu zabijana. Po tym wszystkim postanowił sobie, że już nigdy nie zabije dziecka ani nastolatka i po dziś dzień się tego trzymał.

Przez wiele tygodni w gazetach pojawiały się artykuły o zamordowaniu magnata branży nieruchomości Manfreda Schumanna i młodej kobiety, której imienia nigdy nie udało się ustalić. Śledczy przypuszczali, że pochodziła z Europy Wschodniej. Możliwe, że została zwabiona na Zachód fałszywymi obietnicami, tak jak wiele innych kobiet i dziewcząt, które mimo żelaznej kurtyny tłumnie przyjeżdżały do domniemanego rajy, jakim były Niemcy. Podawano, że zabita dziewczyna miała około osiemnastu, dziewiętnastu lat, co oczywiście stanowiło kłamstwo. Schmidt doskonale widział, że była nieletnia. Im dłużej trwało śledztwo, tym ślady wiodły dalej na Wschód. Wyszło na jaw, że Schumann prowadził podejrzane interesy z Polską, Czechosłowacją, Związkiem Radzieckim i należącymi wówczas do niego krajami bałtyckimi. Jak się okazało, miał również powiązania z handlarzami ludźmi. W ciągu zaledwie kilku tygodni dobre imię Schumanna zostało zbrukane, lecz zaraz po tym usunięto z akt sprawy dane dziewczyny, zupełnie jakby jej tam wcale nie było. Dwadzieścia lat później, w uznaniu zasług dla miasta, nazwano imieniem Schumanna wieżowiec oraz jedną z mniejszych ulic we Frankfurcie.

Sprawcy tego morderstwa nie wykryto. Przypuszczano, że Schumann został zabity przez któregoś z rywali z branży, ale nigdy nie potwierdzono tego dowodami.

Zaraz po zabójstwie podejrzenie padło oczywiście na żonę Schumanna, ale ta przedstawiła niepodważalne alibi

i otwarcie wyznała, że jej małżeństwo nie było idealne. Kochała swojego męża, ale też wiedziała o jego licznych romansach. Nie były one również tajemnicą dla innych ludzi z ich środowiska. Policja szybko przestała ją podejrzewać.

Trzy dni po wykonaniu zlecenia Hans Schmidt otrzymał resztę należnej zapłaty i zaraz po niej nowe zlecenie od kobiety, która, jak później doniosły gazety, straciła męża w tragiczny i bezsensowny sposób.

Hans Schmidt miał dwadzieścia dwa lata, gdy pierwszy raz zabił, i do tamtej pory nawet w najśmielszych snach nie przyszło mu do głowy, że mógłby kiedykolwiek zadać innemu człowiekowi fizyczny ból, a tym bardziej dopuścić się zabójstwa. Zabił dwoje ludzi i nie odczuwał nic, a przynajmniej niewiele. Nie czuł żalu ani nawet wyrzutów sumienia, które podobno niekiedy dręczą morderców. Nie miał koszmarów, nie oblewał się potem ani nie pragnął pójść do spowiedzi. Zamiast tego przepelniała go duma, że dokonał czegoś niezwykłego.

To było tak niewiarygodnie łatwe, że przez chwilę, gdy siedział w samochodzie, ogarnęła go radość, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał. A zawdzięczał to wszystko Sarah Schumann, która odpowiedziała na ogłoszenie. Zmieniła całkiem jego życie i wskazała mu drogę. Gdyby nie ona, prawdopodobnie, tak jak wielu innych ludzi, jego życie byłoby nudne i monotonne. Ukończyłby studia, znalazłby lepiej lub gorzej płatną pracę, poznałby jakąś kobietę i ożeniłby się, mieliby dzieci i wieczorami siedzieliby przytuleni, wpatrując się w ekran telewizora. Raz, dwa lub na początku może nawet trzy razy w tygodniu kochaliby się i pozwoliliby, aby rutyna zagościła w ich życiu na dobre. To wszystko ciągnęłoby się aż do samego końca, który

nadszedłby po czterdziestu, pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu latach.

Od owego październikowego wieczoru 1984 roku Hans Schmidt prowadził życie pozbawione trosk. Był w świetnej formie psychicznej i fizycznej, miał pieniądze i nie musiał się niczym martwić.

Począwszy od pierwszego razu, i tak było przez następne lata, zawsze chodziło o zabicie osób, które miały powiązania ze światem przestępczym.

W swojej karierze dostał tylko jedno zlecenie, które dotknęło go osobiście. Chodziło o zabicie kobiety, z którą łączyła go nie tylko wieloletnia, głęboka przyjaźń, ale także luźny związek natury seksualnej. Serce mu omal nie pękło, ale nie pozostawiono mu wyboru. Gdyby odrzucił to zlecenie, najprawdopodobniej nie dostałby już żadnego więcej.

Nikt nie wiedział o jego romansie z Julianę Cummings, żoną kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych, który już na długo przed wyborami traktowany był jak zbawiciel. W istocie jego demokratyczni konkurenci nie mieli z nim szans.

Działalność Petera Cummingsa była imponująca. Urodził się w Portland w Oregonie, był wiernym członkiem wspólnoty religijnej, do której należeli również jego rodzice i dziadkowie. W wieku lat dwudziestu ośmiu został najmłodszym w dziejach gubernatorem, a w wieku czterdziestu pięciu najbardziej obiecującym kandydatem na prezydenta. Był charyzmatycznym mężczyzną o niewątpliwym talencie oratorskim; na każdy argument znajdował kontrargument, chociażby cytaty z Biblii.

Jednak nikt, oprócz jego zaufanych współpracowników, nie dostrzegał, że Cummings był zepsuty do szpiku kości.

Hans Schmidt poleciał do Nowego Jorku, by się tam spotkać z Julianę Cummings, która znała go jako Pierre'a Douxa. Pamiętał jeszcze, w co ubrana była tego ostatniego wieczoru, kiedy to otworzyła mu drzwi swego domu w Greeawich Village i powitała go pocałunkiem. Miała na sobie białą, prześwitującą, obcisłą sukienkę do kolan, która niewiele pozostawiała wyobraźni. Nie wyglądała na czterdziestopięciolatkę. Dzięki ostrej dyscyplinie jej ciało nie ustępowało niczym ciału dwudziestopięcioletniej dziewczyny. Tylko delikatne zmarszczki wokół oczu mogłyby zdradzić baczemu obserwatorowi, że jednak jest trochę starsza, ma może około trzydziestu pięciu, czterdziestu lat. Lecz nikt, patrząc na nią, nie dałby jej czterdziestu pięciu.

Zwykle ubierała się w innym stylu, zwłaszcza gdy występowała u boku swego męża, co teraz, przed wyborami, zdarzało się często. Choć go nie znosiła, nie wiedziała, jak zakończyć małżeństwo. On również jej nienawidził, lecz gdy pokazywali się razem publicznie, wyglądali jak szczęśliwe małżeństwo z dwudziestoletnim stażem i trójką dobrze wychowanych dzieci. Ciemna strona charakteru Petera Cummingsa jak dotąd nie wyszła na jaw. Spośród wszystkich polityków, jakich znał Schmidt, a znał ich sporo, Cummings był najbardziej przebiegłym łajdakiem. Pozbywał się wszystkich, którzy nie byli mu bezgranicznie oddani. Robiąc karierę polityczną, usunął ze swojej drogi minimum dziesięć osób. Według raportów czworo popełniło samobójstwo, czworo zginęło w wypadkach, a dwoje zabrała choroba. Całą prawdę znało tylko kilkoro wtajemniczonych ludzi. Kto nie był z Cummingsiem, ten automatycznie był przeciwko niemu, a tego on nie znosił.

Schmidt spotkał go kilka razy osobiście i za każdym razem, gdy patrzył w jego zimne, niebieskie oczy, pragnął, aby ktoś w końcu dał mu zlecenie na zlikwidowanie

tego człowieka. Niestety, stało się inaczej. Zlecenie, jakie otrzymał, nie było na Petera Cummingsa, lecz na jego żonę Julianę. Dlaczego akurat na nią, tego nie wiedział, ale początkowo przypuszczał, że stoi za tym sam Peter Cummings. Jego poparcie na pewno by wzrosło, gdyby rok przed wyborami mógł odgrywać rolę zrozpaczonego wdowca, wskutek czego zyskałby współczucie milionów Amerykanów. Z drugiej jednak strony Schmidt uważał, że Cummingsowi można zarzucić wszystko, ale takiej perfidii chyba już nie.

Po dłuższym czasie Schmidt dowiedział się, że zlecenie pochodziło od kogoś, kto miał jeszcze wyższą pozycję i większą władzę niż prezydent Stanów Zjednoczonych. Był to ktoś, kto pociągał za odpowiednie sznurki w polityce i gospodarce. Po nawiązaniu kontaktu Schmidt miał wykonać zlecenie w ciągu dwóch tygodni. Jednakże zastrzegł, że sam wybierze dokładny czas i miejsce. Dodatkowo zażądał, aby w ciągu tych dwóch tygodni Julianę Cummings nie była przez nikogo chroniona, ponieważ on sam jej będzie pilnował. W razie gdyby zauważył, że nie zastosowano się do jego zaleceń, od razu zrezygnuje z zadania. Wynikało to stąd, że po pierwsze chciał zachować anonimowość, a po drugie doskonale zdawał sobie sprawę, że w przyszłości agencja będzie jeszcze go potrzebowała. Sam dokładnie poinformuje, gdzie będzie można znaleźć ciało zamordowanej. Czekał tylko na e-mail z potwierdzeniem, że Julianę Cummings nie będzie przez nikogo obserwowana.

To był pierwszy i ostatni raz, kiedy omal tego wszystkiego nie rzucił, ale czuł, że złamałby wtedy własny kodeks honorowy, w którym zobowiązał się nie odrzucać zleceń.

Zlecenie wykonał oraz wyjaśnił, gdzie znajduje się ciało Julianę, a w czasie lotu powrotnego do Lizbony dowiedział się, co się za tym wszystkim kryło. Miejsce zbrodni

zaraz po odnalezieniu ciała zostało tak spreparowane, że podejrzenie od razu padło na męża Julianę, który nie miał żadnego alibi. W zaistniałej sytuacji nie mógł zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, chociaż z powodu braku dowodów został oczyszczony z zarzutów. Ciężyło jednak na nim piętno zabójcy żony i na nic zdały się jego zapewnienia, że nie miał ze zbrodnią nic wspólnego. Później zaszył się gdzieś na Karaibach. Po krótkim czasie otrząsnął się z szoku i w wybranym przez siebie miejscu zaczął korzystać z życia i swego znacznego majątku. Cel osiągnięto. Peter Cummings zniknął ze świata polityki. Niestety, jego żona, a zarazem przyjaciółka Schmidta zapłaciła za to życiem.

Julianę Cummings była już historią, natomiast kobieta, która zwerbowała go przed blisko dwudziestu pięciu laty, wciąż żyła. Sarah Schumann nadal była jedyną osobą, która widziała jego prawdziwą twarz, chociaż nieustannie się zmieniał. Kilkoma ruchami potrafił tak odmienić swój wygląd, że nikt, nawet jego bliscy znajomi - bo prawdziwych przyjaciół nie miał w ogóle - nie byli w stanie go rozpoznać. Przywdziewał bowiem wiele masek. Czasami stawał się starszym człowiekiem, nosił grube okulary i długie wąsy, innym razem zapuszczał brodę lub golił głowę na łyso. Niekiedy przebierał się za kobietę. Potrafił nawet sprawić, żeby jego ręce lub szyja sprawiały wrażenie starszych lub młodszych - był sztukmistrzem, jeżeli chodzi o zmianę wyglądu. Do każdego z tych przebrań miał oddzielne komplety dokumentów. W sumie dwadzieścia jeden paszportów zwykłych oraz trzy dyplomatyczne, dwadzieścia jeden praw jazdy i tyle samo dowodów osobistych. Hans Schmidt był jednym z najbardziej poszukiwanych ludzi na ziemi, ale też cieszył się wyjątkową swobodą.

Sarah Schumann w dowód wdzięczności i uznania zapoznała go z wieloma ludźmi, którzy mieli dla niego zlecenia. Czasem też chodziło o usunięcie zwłok. Zadanie takie właściwie należy do jakiegoś „czyściciela”, ale za odpowiednią zapłatą Schmidt pozbywał się również ciał ofiar. Usługa taka kosztowała wprawdzie dwa razy więcej niż samo zabójstwo, ale jeśli ktoś zlecał Hansowi Schmidtowi robotę, na ogół nie liczył się z pieniędzmi. Hansa Schmidta i Sarah Schumann łączyła tajemnica i pewność, że mogą wzajemnie liczyć na swoje milczenie. Gdyby on wpadł w kłopoty, to ona też, bo wiedzieli o sobie za dużo.

Oczywiście ludziom w jej środowisku jego nazwisko nic nie mówiło. Nie orientowali się, ile ma lat ani skąd pochodzi, ale zdawali sobie sprawę, że był tym człowiekiem, któremu w pilnej potrzebie można zaufać. Aż po dziś dzień łączyła go z Sarah głęboka przyjaźń, chociaż widywali się raczej rzadko i nieregularnie. Zawsze jednak kontaktowali się telefonicznie bądź mailowo. Sarah Schumann była dla Schmidta wyjątkową kobietą, która zasłużyła sobie na jego uznanie.

Schmidt ukończył studia, za które bez trudu zapłacił, gdyż po każdym zleceniu na jego koncie pojawiała się sześciocyfrowa suma. Początkowo płacono mu w dolarach, później za zlikwidowanie przedsiębiorcy, bankiera czy też przedstawiciela rady nadzorczej inkasował powyżej trzystu tysięcy euro, za osobę publiczną od pięciuset tysięcy do miliona, a za zabicie Julianę Cummings otrzymał półtora miliona. Wtedy opanował również dziewięć języków obcych oraz stał się miłośnikiem i znawcą sztuki, szczególnie muzyki, malarstwa i literatury. Krył się bowiem w nim prawdziwy intelektualista, uwielbiający piękne rzeczy. Można by rzec, że sztuka odcisnęła piętno na jego życiu, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że morderstwo też było

dla niego sztuką, którą wyniósł na szczyty. Na ogół, gdy wykonywał zlecenie, policja i lekarze sądowi uznawali, że ofiara popełniła samobójstwo lub uległa nieszczęśliwemu wypadkowi. Tylko czasami Hans Schmidt świadomie pozostawiał ślady, aby morderstwo wyglądało jak egzekucja.

Hans Schmidt przede wszystkim był biznesmenem i to między innymi w interesach przyjechał do Kilonii. Interesy jego wiązały się z zadawaniem śmierci, a realizacja i termin wykonania zlecenia były przez niego ściśle określone. Jego ofiary oczywiście nie miały o tym pojęcia. Nie zdawały sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo zyskiwał na wartości każdy kolejny dzień ich życia tylko dlatego, że był już jednym z ostatnich.

Od początku lat dziewięćdziesiątych obracał się wśród ludzi, którzy nie mieli pojęcia, z jak niebezpiecznym człowiekiem mają do czynienia. W rzeczywistości jednak nie należało się go obawiać, gdyż zabijał tylko na zlecenie, a nigdy z pobudek osobistych, bo na przykład kogoś nie lubił bądź też miał z kimś rachunki do wyrównania. Jak każdy przeciętny człowiek, Hans Schmidt z jednymi dogadywał się lepiej, z innymi gorzej. Nigdy jednak z osobistych powodów nie zabił kobiety ani mężczyzny. Nigdy też niskie pobudki, takie jak zawiść, zazdrość czy też chciwość, nie popchnęły go do zabójstwa. Oddzielał sprawy prywatne od interesów. Tylko dwa razy zdarzyło się, że termin wykonania zlecenia przypadł na okres, kiedy to zajmował się swoimi interesami. Zdecydował się wtedy przesunąć zlecenie o dwa lub trzy dni. Nigdy jednak nie zabił żadnego ze swych partnerów biznesowych, gdyż w żadnym wypadku nie mógł dopuścić, aby policja wpadła na jego ślad.

Hans Schmidt był właścicielem trzech znakomitych restauracji, w Nicei, Cannes i Saint-Tropez. Wszystkie

były wymienione zarówno w przewodniku Michelina, jak i Gault Millau. Schmidt miał wysokie wymagania zarówno w stosunku do siebie, jak i do innych, dlatego też tylko to, co najlepsze, było dla niego wystarczająco dobre. W swoich restauracjach bywał jedynie przy specjalnych okazjach, gdy na przykład przyjeżdżali wyjątkowi goście lub ktoś z jego znajomych. Czuł się wtedy zobowiązany, aby osobiście się nimi zająć. Najczęściej jednak wolał przebywać w Lizbonie, z dala od ludzi, jeśli nie liczyć Marii, co też respektowała większość jego znajomych.

Choć kobiety odgrywały w jego życiu ważną rolę, to tylko Marię naprawdę pokochał i zrobiłby wszystko, aby z nią została. Maria była prawdziwą Portugalką. Miała głęboko zakorzenioną, dziedziczną z pokolenia na pokolenie dumę, która nie sprawiała jednak, że w jakikolwiek sposób się wywyższała, ale ta duma dawała jej niesamowitą pewność siebie, choć nigdy kosztem innych.

Minęły już trzy lata, a ściśle rzecz biorąc, trzy lata, dwa miesiące i siedem dni, odkąd się do niego wprowadziła. Dbała o dom i zajmowała się wszystkimi sprawami z nim związanymi. To ona znajdowała robotników, prowadziła pertraktacje i zapewniała mu w ten sposób poczucie bezpieczeństwa. Była fantastyczną kochanką, która bez zbędnego ociągania się przechodziła do rzeczy, bo od początku wyczuwała, że on tego właśnie chce. Rozumieli się bez słów i czasem zachowywali jak stare małżeństwo. Monotonia jednak do ich związku nie miała dostępu.

Gdy zdarzało się, że wyjeżdżał rano, ona długo go obejmowała i łąsała się jak kotka. Mógł wtedy wdychać woń jej ciemnobrązowych, prawie czarnych włosów. Był to niezwykły zapach dużej, silnej kobiety, mimo że Maria taka nie była. Należała do drobnych i delikatnych, ale niezwykle upartych istot. W styczniu skończyła dwadzieścia siedem

lat; była prawie dwadzieścia lat młodsza od Schmidta. Różnica wieku jednak nie stanowiła problemu. Poza tym Maria zawsze z uśmiechem powtarzała, że on nie wygląda na swój wiek.

Pochodziła z licznej rodziny, w której ojciec, rezolutna matka, siostra i dwaj Bracia dbali o to, aby dobrze się jej wiodło. Życzliwie przyjęli Schmidta, i to nie dlatego, że był zamożny, kulturalny i cieszył się dobrą opinią, lecz dlatego, że zdaniem ojca Marii mógłby uchodzić za rodowitego Portugalczyka. Hans Schmidt urodził się w Niemczech, ale od lat za swoją ojczyznę uważał Portugalię. Kochał styl życia jej mieszkańców i czuł z nimi duchową więź, chociaż był tylko półkrwi Portugalczykiem - jego matka pochodziła z Lagos w regionie Algarve. Dość wcześnie przyjechała za pracą do Niemiec i tu szybko znalazła męża i urodziła syna.

Gdy miał dziewięć lat, oboje rodzice zginęli w pożarze domu, dlatego pamiętał ich jak przez mgłę. On sam w ostatniej chwili został wtedy uratowany przez strażaka, po czym do siedemnastego roku życia wychowywał się w sierocińcu poza granicami Kilonii. Tam, w Kilonii, znajdował się grób jego rodziców i mimo że zatrudnił profesjonalną firmę, by się nim zajmowała, co trzy miesiące przyjeżdżał i sprawdzał, czy jest zadbane. Tym razem również tam pojechał.

Co jakiś czas pojawiał się w Kilonii, aby pokazać, że nadal żyje i nigdy nie zdradzi swojego miasta, bo tu się urodził i wychowywał. Jednak za swoją ojczyznę uważał Lizbonę i to tam po śmierci chciał być pochowany. Zanim będzie za późno, pragnął również przenieść grób swoich rodziców na cmentarz w Lizbonie, skąd rozciągał się widok na ujście Tagu do Atlantyku.

Tym razem nie wiedział, ile czasu spędzi w Kilonii. Początkowo planował dziesięć do czternastu dni, ale mogło

się to przeciągnąć, gdyż na jego liście były jeszcze trzy osoby. Jego pobyt tu był zaplanowany w najdrobniejszych szczegółach, ale w tej branży mogły się zdarzać odstępstwa, gdyż przede wszystkim liczyło się wyczucie chwili; z każdą sekundą zbliżał się do wielkiego finału, na który tym razem przygotował coś specjalnego. Mogło to wstrząsnąć krajem, biorąc oczywiście pod uwagę, że wszystkie informacje dotrą do opinii publicznej. Zaskoczy nawet swoich zleceniodawców, którzy nie mieli pojęcia, że jest w mieście. Po raz pierwszy miał zamiar złamać swoją zasadę i zabić z powodów osobistych.

Wraz z przybyciem Schmidta do Kilonii rozjaśniło się, a marcowe słońce zaczęło przygotowania, aby przegonić zimę. Gdyby jednak wierzyć prognozom pogody, miało to być tylko chwilowe roz pogodzenie przed ponownym powrotem mrozów.

Schmidt odstawił samochód do garażu, wyjął z kieszeni kurtki klucz i otworzył drzwi. W środku było duszno, więc uchylił kilka okien na parterze i podkreślił ogrzewanie, ponieważ poczuł zimno. Potem poszedł na górę i rozejrzał się. Wszystko wyglądało tak jak dwa miesiące temu. Położył aktówkę na biurku w gabinecie, który również trochę przewietrzył, po czym rozwiązał buty i rozebrał się. W samej bieliźnie pozamykał okna na dole i przez zasłony spojrzął na ogród, który otaczały blisko dwumetrowe buki. Całość była nadzorowana przez nowoczesny system ochrony, dzięki któremu każdy nieproszony gość zostałby odstraszone lub wpadłby w ręce policji.

Znał wszystkich swoich najbliższych i większość dalej mieszkających sąsiadów. Często był przez nich zapraszany i sam również przynajmniej raz w roku organizował przyjęcie. Z reguły działo się to na zakończenie lata lub w czasie adwentu. Zapraszał wtedy wszystkich ważnych

sąsiadów. Dzisiejszego wieczoru także wybierał się na przyjęcie, na którym zbierze się nie tylko cała śmietanka Kilonii, lecz również całych Niemiec. Nikt przecież nie odrzuciłby zaproszenia najbardziej wpływowego polityka i przedsiębiorcy, a w dodatku hrabiego. Schmidt chciał pójść tam nie tylko po to, żeby zobaczyć innych i żeby inni go zauważyli, lecz przede wszystkim po to, by załatwić interesy. Z gospodarzem domu łączyła go swego rodzaju zażyłość. Wykonał nawet dwa zlecenia dla hrabiego, który rzecz jasna nie wiedział, kto tak naprawdę zajął się ich realizacją. Tacy ludzie nie chcieli przecież brudzić sobie rąk. Przyzwyczajeni byli do tego, że brudną robotę wykonywał za nich ktoś inny, podczas gdy oni otrzymywali wyróżnienia, występowali w talk-show, prowadzili przedsiębiorstwa i fabryki, odgrywali ważną rolę w polityce lub byli cenionymi artystami. Pod jednym wszakże względem nie różnili się od siebie niczym. Byli „czyści”, a ich brudne tajemnice znali inni, w tym Hans Schmidt.

Schmidt uśmiechnął się do swego odbicia w lustrze. Przetarł twarz dłonią i poszedł do swojej dobrze wyposażonej siłowni, która mieściła się na końcu korytarza. Od ponad dwudziestu lat starał się codziennie wykonywać sto dwadzieścia pompek, z czego część na jednej ręce, sto dwadzieścia przysiadów i dwunastominutowe ćwiczenie tai-chi. Poza tym gdy tylko miał czas, każdego dnia pokonywał biegiem dziesięciokilometrową trasę. Był dość niski, miał zaledwie metr siedemdziesiąt cztery centymetry wzrostu, ale za to mógł się pochwalić szczupłą i wysportowaną sylwetką. Uważał, że obok bystrości umysłu ciało jest jego kapitałem.

Żył według ścisłych zasad. Jadł umiarkowanie i zdrowo, tylko czasem pozwalał sobie na lampkę czerwonego

wina. Nie palił. Nie brał narkotyków. Traktował swoje ciało jak świętość.

Po treningu brał prysznic, wkładał coś wygodnego i telefonował do Marii. Zawsze czuła się lepiej, gdy dzwonił, bo za każdym razem, gdy wyjeżdżał, bała się, że może mu się coś stać. Po rozmowie z nią szedł do ukrytego pomieszczenia, niedostępnego nawet dla najlepszych włamywaczy. Pokój ten miał powierzchnię sześciu metrów kwadratowych i znajdował się za ścianą zastawioną półkami pełnymi książek. Do pomieszczenia tego można się było dostać po wprowadzeniu sześciocyfrowego kodu na specjalnym pilocie; wewnątrz można było znaleźć wszystko, czego Hans Schmidt potrzebował do swojej pracy. Cokolwiek wykorzystał, zaraz po wykonaniu zlecenia odkładał na miejsce.

W pokoju tym spędzał około pół godziny. Tam też było jego archiwum dotyczące wszystkich zleceń. Miał notatki w segregatorze oraz w komputerze. Wiedział, że pewnego dnia zostanie to odnalezione, lecz stanie się to dopiero wtedy, gdy zejdzie z tego świata. I chociaż nie obawiał się śmierci, tak samo jak nie obawiał się życia, to miał nadzieję, że jeszcze dużo czasu upłynie, zanim wszystko to ujrzy światło dzienne.

Miał jeszcze czas, zresztą przecież przyjęcie zacznie się i bez niego, dlatego też wyjął oba segregatory i zaczął je kartkować. Wysłał na tamten świat więcej ludzi niż niejeden seryjny zabójca. W odróżnieniu jednak od tych potworów, którymi często byli ludzie niezrównoważeni psychicznie, on mordował z zupełnie innych pobudek. Prawie wszystkie jego zlecenia dotyczyły osób wysoko cenionych w społeczeństwie, które miały władzę i wpływy i które niejednokrotnie same już kogoś zamordowały bądź zleciły morderstwo komuś innemu.

Po czterdziestu minutach spędzonych w ukrytym pokoju odłożył segregatory i ponownie utwierdził się w przekonaniu, że żadne z tych zabójstw nie miało większego sensu, a było jedynie grą ludzi skupiających w swoich rękach władzę. Sam też brał udział w tej grze, ale inni nie zauważyli jeszcze, że ustalał coraz więcej reguł. Miał jednak przeczucie, że może to się obrócić przeciwko niemu i że wkrótce będzie musiał obrać inną strategię. Na razie czuł się jednak bezpiecznie jako Hans Schmidt. Takie imię i nazwisko widniało na jego domu oraz na zaproszeniu od hrabiego, więc jako Hans Schmidt tam się uda. Schował zaproszenie do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym skropił się wodą toaletową.

Sobota, godz. 20.22

Dwadzieścia dwie minuty po ósmej Hans Schmidt pojechał swoim jaguarem do wytwornej posiadłości hrabiego, gdzie odbywało się przyjęcie. Ujrzał tam wiele znajomych twarzy. Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że większość ludzi, z którymi się wita, cieszy się na jego widok, jednak po bliższym przyjrzeniu stawało się jasne, że przybycie Schmidta nikogo nie interesuje. On zjawił się tu tylko z powodu jednej osoby, która miała się pojawić dopiero za dwie, trzy godziny.

Przez trzy i pół godziny poświęcał się, żeby osiągnąć swój cel, i wdawał się w rozmowy o niczym, których nienawidził, ale których prowadzenie opanował do perfekcji. Zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że musi umieć się znaleźć w każdej sytuacji. Tego wieczoru wypił tylko jeden kieliszek wina do posiłku, a potem raczył się jedynie wodą. Pewna mocno umalowana kobieta, najwyżej dwudziestopięcioletnia, z nieproporcjonalnie dużym biustem,

zapewne dziełem jakiegoś chirurga plastycznego, próbowała cały wieczór go oczarować. Działała mu jednak tylko na nerwy. Jak mu się wydawało, dał jej to nawet kilkakrotnie jasno odczuć, ale nic sobie z tego nie robiła. Pomyślał więc, że jest zbyt ograniczona, żeby zrozumieć jego sygnały. Znał taki rodzaj kobiet aż za dobrze. Po kilku nieudanych próbach zrezygnowana wróciła w końcu do swojego partnera, pulchnego, blisko trzydzieści lat od niej starszego mężczyzny, którego okrągła twarz i korpulentna sylwetka były co najmniej tak samo imponujące jak jego konto. Schmidt znał tego gościa od lat. Facet dzięki przekrętom i łapówkom dorobił się znacznego majątku.

Tego wieczoru zadanie Schmidta polegało nie tylko na obserwacji jednego z gości, ale także na wciągnięciu go w rozmowę. Peter Bruhns, bo o niego chodziło, zjawił się na przyjęciu dopiero około jedenastej wieczorem. Przyszedł od razu po nagraniu swojego programu telewizyjnego, którego był nie tylko producentem, ale również bezdyskusyjną gwiazdą. Bruhns miał czterdzieści siedem lat i trochę ponad metr siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Jednak to nie za sprawą wzrostu wyglądał na niskiego, lecz ze względu na buty, które zawsze nosił. Wyglądały one tak, jakby były co najmniej dwa numery na niego za duże. Miał krótko ostrzyżone ciemnobrązowe włosy, a jego przenikliwe oczy były tego samego koloru. Śmiał się często, ale głównie z własnych sprośnych żartów. Bruhns był też producentem muzycznym i wylansował wiele hitów znanych wykonawców. Jednak to mu nie wystarczało. Chciał czegoś jeszcze: marzył, aby znaleźć się w lidze najlepszych, obok Franka Fariana, Dietera Bohlena czy Jacka White'a oraz tych wszystkich megagwiazd. Niestety, do spełnienia tego marzenia trochę mu jeszcze brakowało, chociaż w ciągu ostatnich kilku lat w całej niemieckiej branży rozrywkowej nie było nikogo, kto tak jak on

pociągnąłby za sobą masy młodych ludzi. Jego fani traktowali go jak boga i widzieli w nim wzór do naśladowania.

Schmidt znał Bruhnsa wiele lat. Spotykali się nieraz na różnego rodzaju imprezach. Eównież umawiali się czasem prywatnie albo rozmawiali, spotykając się w jednej z restauracji Schmidta. Najczęściej były to rozmowy na nic nieznaczące tematy, jak na przykład jachty, morze, pogoda i kobiety. Taki trywialny był w rzeczywistości Bruhns. Natomiast gdy miał wokół siebie publiczność, podkreślał na każdym kroku swoją pozycję i chciał, aby go wielbiono jako największego w dziejach niemieckiego kompozytora i producenta. Co prawda tego, co o sobie mówił, nie odzwierciedlały miejsca jego kompozycji na listach sprzedaży, ale miał nadzieję, że w ciągu dwóch czy trzech lat osiągnie swój cel.

Schmidt uważał, że Bruhns to artysta, który sam siebie bezgranicznie i nieustannie przecenia. Wiedział, że takich artystów, chociaż niewielu, to i tak wciąż jest za dużo na tym świecie. Choć uważał Bruhnsa za niemilego, obscenicznego i przy bliższym poznaniu niesamowicie nudnego, to nigdy nie dał mu odczuć, co tak naprawdę o nim myśli.

Piętnaście minut po północy, zanim jeszcze goście zaczęli opuszczać przyjęcie, Schmidt wyszedł, wcześniej oczywiście pożegnawszy się z Bruhnsem. Zgodnie z planem porozmawiali wcześniej trochę prywatnie i o interesach. Przechodząc obok białego porsche cayenne, które należało do Bruhnsa, Schmidt, niezauważony przez nikogo, przyczepił do auta nadajnik GPS. Potem wsiadł do samochodu i odjechał, ale zatrzymał się sto metrów dalej i cierpliwie czekał.

Okolo siedmiu minut po wyjściu Schmidta przyjęcie opuścił również Bruhns, a wraz z nim młoda blondynka. Gdy samochód Schmidta ich mijał, siedziała na miejscu pasażera. Na przyjęciu, dla niepoznaki, Bruhns nawet z nią

nie rozmawiał. Zjawiała się tam kilka minut przed nim, ale najwyraźniej Bruhns nie chciał zdradzać wszystkim swoich późniejszych zamiarów. Schmidt sporo na jej temat wiedział. Ta osiemnastoletnia dziewczyna była przebiegłą bestią. Wprost idealnie nadawała się na łup Bruhnsa. Im był starszy, tym młodsze były jego kochanki. Wszystkie do siebie podobne: niskie lub średniego wzrostu dziewczyny o włosach jasny blond aż po rude, z pełnym biustem i nordyckimi lub słowiańskimi rysami, a co najważniejsze -wszystkie były młodziutki.

Bruhns, podobnie jak Schumann i wielu innych starzejących się mężczyzn, których Schmidt spotkał na swojej drodze, ciągle chciał się dowartościowywać. Ich poszukiwania nie miałyby końca, gdyby nie Hans Schmidt. To nie inteligencja czy wygląd Bruhnsa przyciągały kobiety, ale jego pozycja i przede wszystkim pieniądze. Wiele tych kobiet, jeśli nie przeważająca większość, miało nadzieję, że dzięki niemu zrobią karierę w branży muzycznej, lecz dla Bruhnsa były tylko kolejnymi zdobyczami łózkowymi.

Jednakże Schmidta nie interesowały podboje Bruhnsa. Podczas gdy ten pokazywał się w bulwarowej prasie i licznych talk-show, Schmidt zdążył poznać ciemną stronę jego osobowości i trzeba podkreślić, że słowo „ciemna” było tu eufemizmem. Media i społeczeństwo zupełnie nie znały Bruhnsa. Przyklejony uśmiech, na pozór mądre powiedzonka i udawana powaga miały na celu ukrycie całej jego nikczemności (bo wszystko, co mówił, a także jego działania stanowiły wyłącznie zasłonę dymną), a frazesy, którymi sypał jak z rękawa i prawie codziennie karmił media, jego pewność siebie, wiara w Boga i wdzięczność prostym rodzicom, którzy poświęcili całe swoje życie, żeby syna wysłać na studia... wszystko to było kłamstwem i tak już miało pozostać. Ukazanie prawdziwego oblicza Bruhnsa wywołałoby szok w społeczeństwie. Zdaniem

fachowców był on średniej klasy producentem muzycznym, tyle że doskonale rozumiejącym, iż muzyka powinna trafić do szerokiej publiczności, dzięki czemu górował nad konkurencją. Jako uznany kompozytor stworzył piosenki dla największych sław i dzięki temu zdobył majątek.

Schmidt jak nikt inny potrafił bezszelestnie poruszać się w tej otchłani, w której funkcjonował Bruhns i z której od dawna już nie mógł się wydostać. Schmidt był niczym wędrowiec, który odwiedza ten świat i który doskonale zna wyjście z labiryntu. W każdej jego uliczce przebywa tylko tyle, ile wymaga od niego zlecenie. Był prawdziwym sztukmistrzem. Drugi taki nie istniał, ponieważ nie mógł. Był tylko jeden Hans Schmidt, tylko jeden Pierre Doux, Martin Sanchez, Henry Jones czy też Michaił Pietrow... Występował pod wieloma nazwiskami, jednak to prawdziwe znał tylko on i kobieta, która pierwsza dała mu zlecenie. Obiecała nigdy nie ujawnić jego prawdziwych danych i tak też się stało. Był więc niczym widmo i miał nim pozostać na zawsze.

Sytuacja taka była dla niego wygodna. Gdyby ktokolwiek wiedział, czym oprócz prowadzenia swoich restauracji się zajmuje, wszyscy ze wstrętem odwróciliby się od niego i od dawna gnąłby pewnie w jakiejś celi albo, co bardziej prawdopodobne, już by nie żył. Lecz Schmidt pozostawał nieuchwytny. Jego czapka niewidka doskonale funkcjonowała, a i klienci byli zadowoleni.

Tym razem Schmidt przygotował coś specjalnego, niespodziankę dla tej parki, a właściwie nie tyle dla Bruhnsa i jego młodej kochanki, ile dla policji. Był to cukierek, który policja zdążyła już nadgryźć, gdyż to, co przygotował, wiązało się z innymi przypadkami, które oficjalnie zostały już wyjaśnione. Tak przynajmniej ogłoszono w piątkowy wieczór. Jednak Schmidt wiedział lepiej. Od blisko dziesięciu lat zostawiał świadomie ślady

w miejscach zabójstw. Niektóre z nich odnajdywano, innych nie. Był ciekaw, czy tym razem policja zwróci na nie uwagę.

To jednak nie miał być koniec. Bruhns był tylko początkiem czegoś, nad czym Schmidt pracował już od zeszłego lata, a co teraz wreszcie mógł zrealizować. Wszystko dokładnie przewidział i właśnie nadszedł czas zbierania plonów. Później zamierzał przejść na emeryturę i już nigdy już nie wziąć ani jednego zlecenia. Zamierzał usunąć skrzynki e-mailowe, za których pośrednictwem kontaktowali się z nim zleceniodawcy, i prowadzić zupełnie normalne życie w Lizbonie, Nicei, Cannes i Saint-Tropez. Już zawsze i wszędzie pragnął zabierać ze sobą Marię.

Niedziela, godz. 0.47

Schmidt w dość dużej odległości jechał za Bruhnsem i jego kochanką do Schönbergu. Gdy tylko Bruhns minął bramę swojej posiadłości i skręcił w stronę domu, Schmidt wyskoczył z auta i przebiegł między zamykającymi się skrzydłami. Czekał, aż Bruhns i jego towarzyszka wysiądą z samochodu.

- Witam. Proszę się nie bać - powiedział cicho Schmidt. Bruhns odwrócił się nagle i spojrzał w jego stronę. Z jego miny widać było, że ulżyło mu trochę, gdy w świetle latarni rozpoznał stojącego przy wejściu Schmidta.

- Co cię tu sprowadza? Nie sądzisz, że już późno? - zauważył Bruhns, niezbyt uradowany spotkaniem o tej porze.

- Przepraszam bardzo, że przychodzę tak późno, ale pilnie muszę coś z tobą omówić. Mogę wejść? Zajmę najwyżej pięć minut.

- To takie ważne? Skoro faktycznie tylko pięć minut, to... no bo sam widzisz...

- Pięć minut. Chodzi o nasze piany. Pomyliłem się wcześniej.

- Przepraszam, może ci przedstawię. Kerstin, to jest Hans, znamy się od dawna.

- Bardzo mi miło. - Schmidt podał jej rękę. Jak na młodą kobietę miała zadziwiająco mocny uścisk dłoni.

- Zapraszam do środka. - Bruhns wszedł pierwszy. - Skąd w ogóle wiesz o tym miejscu?

- Byłem tu już kiedyś. Co prawda, już dawno... Chodziło wtedy o rękopisy Wallensteina.

Bruhns zamyślił się chwilę.

- Ach tak, przypominam sobie, ale myślałem, że to było w Kilonii. Kerstin, czy mogłabyś nas zostawić na chwilę samych? Możesz w tym czasie się odświeżyć i zamknij za sobą drzwi łazienki, kotku.

- Może zostać. To przecież żadna tajemnica - powiedział Schmidt.

- Jeżeli o mnie chodzi... proszę bardzo. Usiądź tutaj. Schmidt wyjął z wewnętrznej kieszeni swojego długiego płaszcza butelkę wina.

- Przywiozłem specjalnie z mojej prywatnej piwniczki. Wyselekcjonowany trunek, dostępny tylko w moich restauracjach. Wiem, że lubisz czerwone wino.

- Dziękuję - odpowiedział Bruhns, rzucając mu nieufne spojrzenie. - Napijmy się więc i nie traćmy więcej czasu. - Przyniósł trzy kieliszki i korkociąg.

- Co prawda muszę dziś jeszcze prowadzić, ale tylko do Kilonii. Mam nadzieję, że akurat dzisiaj nie spotkam po drodze policji. Wasze zdrowie! - Schmidt wznosił toast i czekał, udając, że pije, aż Bruhns i Kerstin opróżnili kieliszki.

- Przecież i tak by cię puścili - odparł Bruhns z uśmiechem. - Mnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat zatrzymali tylko raz i to dlatego, że mnie rozpoznali

i chcieli autograf. Moje prawo jazdy w ogóle ich nie interesowało.

- Ale ja nie jestem tak znany. Przejdźmy może do interesów. Umawialiśmy się wcześniej na poniedziałek rano, ale niestety nie dam rady wrócić. Muszę jechać do Hamburga i będę dopiero wieczorem. Może pasowałyby ci wtorek albo nawet dziś?

Bruhns pogładził się po podbródku.

- To z tego powodu specjalnie tu jechałeś? Mogłeś przecież zadzwonić do mnie na komórkę.

- W tym cały problem - odpowiedział Schmidt. -Przez pomyłkę usunąłem twój numer, gdy porządkowałem książkę adresową. Przepraszam, naprawdę nie miałem zamiaru psuć wam wieczoru.

- W porządku. We wtorek muszę być w studiu. Nagrania trzeba zarejestrować do końca tygodnia, inaczej będzie drożej, więc może faktycznie dziś wieczorem. Dużo czasu ci to zajmie?

- Dwie do czterech godzin. Na pewno nie dłużej. Ty ustal czas, a ja się dostosuję. Przyjadę, gdy znajdziesz chwilę.

- O trzeciej?

- Jasne. Będę punktualnie. Zrobimy ci za to ekstrawycenę.

- Dzięki. Nie trzeba. Chciałbym tylko wiedzieć, czy ta kobyła jest prawdziwa, czy nie. Bo może to naprawdę być świetna okazja.

Już za samo słowo „kobyła” Schmidt mógłby go zabić. Jednak zignorował to. Gdyby naprawdę egzemplarz Machiavellego z ręcznie pisanymi adnotacjami okazał się autentyczny, byłby bezcenny. Na świecie istniało zaledwie kilka takich książek. To jednak w ogóle nie interesowało Bruhnsa. Tylko podawał się za znawcę sztuki, ale w rzeczywistości nie miał o niej większej wiedzy niż większość ludzi.

Kerstin naląła sobie i Bruhnsowi kolejną lampkę wina. Pytająco skinęła w stronę Schmidta, ale ten zakrył swój kieliszek i odmówił, kiwając głową.

- Zaraz wychodzę. - Schmidt spojrział na zegarek. Minęło siedem minut, odkąd Bruhns i Kerstin wypili pierwszy łyk. Teraz piją już drugi kieliszek. Trucizna dodana do wina zaraz powinna zacząć działać, pomyślał Schmidt, obserwując parę. Bruhns prawie już opróżnił kieliszek i opadł na sofę. Rozpiął rozporek i zaczął drapać się w kroku. Szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Stary, co to właściwie za wino? Zajebiste. Mocne. Działa pobudzająco. Chce mi się dymać. Nigdy jeszcze mi tak nie stał - wymamrotał.

- Mówiłem już, to specjalne wino z mojej piwniczki. Chcesz, to dymaj, nie przeszkadzaj sobie - powiedział zimno Schmidt. - Ale jak tak na ciebie patrzę, to wydaje mi się, że nie dasz rady.

- Jak to nie dam rady? Hej, słodziutka. - Bruhns chciał złapać Kerstin, ale w jednej chwili dotarło do niego, że nie może ruszyć ręką. Chciał usiąść, ale mu się nie udało. Poddał się po kilku próbach. Jego źrenice już prawie osiągnęły wielkość tęczówek. Oznaczało to, że trucizna już w pełni działa. Wprawdzie Bruhns nie był wysoki, ale wysportowany i silny. Jak na swój wiek świetnie się trzymał. Nie wiadomo było, czy trucizna doprowadzi do zgonu. Schmidt wszakże ukrywał w zanadrzu inny plan, więc nie miało to tak naprawdę znaczenia.

- Hej, stary, chce mi się dymać, ale nie mogę się ruszyć. Co jest grane? Co to był za trunek?

- Wino jest super. Przy odpowiedniej ilości można się po nim nieźle zabawić, ale przedawkowane prowadzi do śmierci.

Bruhns zamilkł. Jego oczy tępo patrzyły przed siebie. Za sprawą trucizny dodanej do wina miał potężną erekcję.

Trucizna wywoływała pobudzenie, w tym również seksualne. Jej działanie polegało na rozluźnieniu, pozbawieniu człowieka wszelkich zahamowań, przy jednoczesnej utracie kontroli nad ciałem i umysłem. Niektórzy pod jej wpływem sztywnieli jak przy katalepsji, inni doznawali potwornie bolesnych skurczów. Jeszcze inni reagowali wybuchami furii i rzucali wszystkim, cokolwiek znalazło się w ich zasięgu. Reakcje były różne, od dzikich tańców, wulgarnych słów i gestów aż po agresję. Schmidt znał niektóre z zachowań, jakie mogła wywołać ta trucizna, bo nie tylko przestudiował jej działanie teoretycznie, ale także wykorzystał ją już wcześniej trzykrotnie. Za każdym razem wywoływała ona inne reakcje organizmu.

Podczas gdy Bruhns leżał nieruchomo na sofie i miał ogromny wzwód, Kerstin, która z drugiego kieliszka wypła tylko odrobinę, doskonale rozumiała, co się wokół niej dzieje. Jej ruchy stały się powolniejsze i mniej płynne, a wzrok bardziej szklisty. Ze strachem w oczach zapytała:

- Co ty nam zrobiłaś?

- Spójrz tylko na swojego przyjaciela. Takiej okazji nie będziesz miała już nigdy w życiu. To akurat ci gwarantuję. - Mówiąc to, Schmidt wskazał na penis Bruhnsa, nie odpowiadając wprost jej na pytanie.

Po tych słowach wolno wyjął z płaszcza pistolet i tłumik. Przykręcił tłumik i spokojnie trzymał broń. Bruhns nadal się uśmiechał, ale nie był w stanie nawet ruszyć palcem. Z sekundy na sekundę jego twarz wykrzywiała się coraz bardziej. W jednej chwili pojawia! się na niej potworny grymas, w następnej się rozluźniała. Wreszcie na jego obliczu znów gościł uśmiech.

Kerstin zdjęła figi i dosiadła Bruhnsa. Poruszała się na nim dziko, zdejmując z siebie ubranie i rozrzucając je dokoła. Krzyczała w ekstazie przez pięć lub sześć minut. Darła się bez opamiętania, podczas gdy Bruhns leżał

sparaliżowany zupełnie bez ruchu, aż w końcu spadła na podłogę. Skurcz wstrząsnął całym jej ciałem. Gdy atak minął, z pianą na ustach próbowała się podciągnąć na sofę, lecz bezskutecznie. Opadła z sił i bezradnie osunęła się na podłogę. Pot pojawił się na jej twarzy. Wyglądała, jakby ktoś na nią wylał wiadro wody. Sekundę leżała bez ruchu, po czym jej ręce i nogi zaczęły niekontrolowanie podrygiwać, a twarz wykrzywił kolejny skurcz. Tym razem trwało to krótko i znów się rozluźniła. Krwawiła. W czasie skurczów ugryzła się w język. Kilka kropli krwi zdążyło już wsiąknąć w dywan.

Schmidt w tym czasie siedział w fotelu, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Założył nogę na nogę.

- Źle się czujecie? - zapytał ze stoickim spokojem. Bruhns, wciąż uśmiechnięty, wyjąkał tak cicho, że prawie nie było go słychać.

- Co się dzieje?

- Za chwilę umrzecie. To się dzieje. Jestem posłańcem śmierci i za kilka minut wyślę was na tamten świat. Bez wątpienia traficie od razu do piekła. Jestem pewien, że czekają tam na ciebie, przyjacielu. Mogę tak do ciebie mówić, prawda? W końcu znamy się tak długo. W sumie to już dawno jesteś martwy, tylko o tym nie wiedziałeś. A może jednak to już do ciebie dotarło?

Bruhns nie reagował. Jego usta nie wydały żadnego dźwięku. W ogóle się nie poruszał, w odróżnieniu od Kerstin, która co chwila zastygała przy kolejnym skurczu i krzyczała z bólu. Wiła się na podłodze, a jej wytrzeszczone oczy wyglądały, jakby miały zaraz wyjść z orbit. Pot lał się z niej strumieniami.

Schmidt poczekał jeszcze kolejnych pięć minut, aż zdecydował, że należy już to zakończyć. O tak późnej porze był zmęczony. Miał jeszcze dużo do załatwienia w nadchodzących dniach.

Z odległości dwóch metrów strzelił do Bruhnsa i Kerstin, której nazwisko poznał trzy tygodnie temu. Kule trafiły ich dokładnie między oczy. Potem wyjął z płaszcza drugi pistolet i włożył go Bruhnsowi do ręki. Strzelił dwa razy w poduszkę, którą zamierzał zabrać ze sobą. Pozwolił, by pistolet wypadł z ręki Bruhnsa. Z reguły Schmidt nie bawił się w takie rzeczy, ale tu chodziło o coś, co wielu z pewnością zmyli. Oczywiście przy obdukcji wyjdzie na jaw, że broń na podłodze nie jest narzędziem zbrodni.

W niecałe pół godziny wszystko zaaranżuje tak, jak to sobie zaraz po wejściu wymyślił. Zawsze był artystą, ale teraz naprawdę mu się udało. Jeszcze chwilę stał i patrzył z dumą na swe dzieło, a szeroki uśmiech na sekundę rozjaśnił mu twarz. Ty przekłety skurwielu, pomyślał, rzucając ostatecznie spojrzenie na Bruhnsa, a potem na Kerstin. A ty nie byłaś lepsza. Nie czuł współczucia. Oboje dostali to, na co zasłużyli. Wziął ze sobą pilota do systemu alarmowego. Wychodząc, włączył alarm przy drzwiach i bramie. Cały Schönberg pogrążony był w głębokim śnie, gdy wsiadł do swojego jaguara i ruszył w kierunku Kilonii. Pierwsza część zadania się zakończyła. To było niczym przedstawienie składające się z kilku aktów. Kurtyna opadła, ale zaraz ponownie zostanie podniesiona, bo rozpocznie się akt drugi.

Niedziela, godz. 11.45

Sóren Henning i Lisa Santos położyli się późno spać i późno wstali, chociaż mieli mnóstwo planów na niedzielę. Chcieli zjeść razem śniadanie, po południu jechać do Szlezwiku do rodziców Lisy, wypić z nimi kawę i poplotkować. W drodze powrotnej zamierzali zajrzeć do Carmen, siostry Lisy, która przebywała w ośrodku opiekuńczym.

Lisa znów spędzi godzinę lub dwie na czesaniu i malowaniu Carmen. Będzie do niej mówiła, zupełnie jakby Carmen rozumiała, o co chodzi. Może faktycznie rozumie, chociaż w wyniku napadu sprzed dwudziestu pięciu laty, podczas którego o mało nie zginęła, straciła mowę. Co prawda jej stan w ciągu ostatnich kilku lat się nie pogorszył, lecz mimo różnych zabiegów rehabilitacyjnych nie było w zasadzie nadziei na jego polepszenie. Carmen wymagała ciągłej opieki i dlatego też spędzi w ośrodku resztę życia, co może długo potrwać.

Właśnie siedli do jedzenia, gdy zadzwonił telefon. Lisa zmarszczyła czoło i rzuciła Sórenowi spojrzenie. Wiedział dobrze, co ono oznacza. Nie czekali na telefon od nikogo, a że ciągle byli w pogotowiu, wiedzieli, że mógł on oznaczać koniec ich wspólnych planów. Jednak na wyświetlaczu pojawił się napis: „Numer zastrzeżony”.

Lisa odczekała chwilę, wzięła głęboki oddech i dopiero wtedy odebrała.

- Santos. Słucham.

- Właśnie z panią chciałem rozmawiać.

- O co chodzi i z kim właściwie mówię?

- To nieistotne. Czy pani partner jest u pani?

- Tak, ale...

- Czy ma pani pod ręką coś do pisania?

- Tak, ale...

- Dobrze. Niech mi pani nie przerywa, bo i tak nie powiem, jak się nazywam. Jedźcie do Schönbergu. Znajdziecie tam coś naprawdę pięknego. Oczywiście zależy, pod jakim kątem na to patrzeć. - Powiedziawszy to, nieznajomy podał dokładny adres, a Santos notowała. - Zapisała pani?

- Tak, ale...

- Jedźcie po prostu pod wskazany adres. Odezwę się później. Miłego dnia.

- Chwilkę. Przecież nie pojedziemy ot, tak sobie do Schönbergu. Musimy wiedzieć coś więcej.

Zapanowała cisza. Po chwili nieznajomy odezwał się:

- Dobrze. Powiem tylko: Peter Bruhns. Producent muzyczny. To musi wystarczyć. - Rozłączył się.

- Co jest? - zapytał Sören, patrząc na zamyśloną Lisę, która nadal trzymała słuchawkę w ręku. Zastygła bez ruchu. Henning ugryzł kawałek rogalika. W każdą niedzielę kupował w piekarni za rogiem rogaliki, dwie bułki i dwie gazety. Większość swego wolnego czasu i tak spędzał teraz u Lisy, mimo że miał swoje mieszkanie. Stanowiło ono jednak pozostałość po najgorszej i najbardziej depresyjnej fazie jego życia.

- Hej, zadałem ci pytanie. Co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha - spróbował jeszcze raz.

- Peter Bruhns. To się stało - odrzekła Santos z poważną miną. Potem wstała i napiła się kawy, która zdążyła już prawie wystygnąć. Z filiżanką w dłoniach powiedziała: - To był anonimowy telefon. Ktoś chciał ze mną rozmawiać i pytał, czy ty też tu jesteś. My...

- Powiedziałaś: Bruhns? - zapytał Henning z niedowierzaniem. Upuścił rogalik i powtórzył: - Bruhns? Ten Bruhns?

- Na to wygląda. A znasz jakiegoś innego producenta muzycznego o tym nazwisku? Musimy tam jechać. Wszystko zapisałam. Poza tym najwidoczniej nie słuchałeś mnie dobrze. - Nagle wybuchła: - Chciał ze mną rozmawiać i pytał, czy ty też jesteś!

- To jakiś żart?

- Nie wydaje mi się. Wręcz przeciwnie. Kurczę, Sören, on chciał rozmawiać ze mną. Ze mną, słyszysz? Dlaczego? To raczej nie jest żart, a jeżeli tak, to kiepski. Jedźmy już.

- Jasne. Zbierajmy się. - Henning wstał i umył ręce, podczas gdy Santos czekała gotowa przy drzwiach.

- Rozpoznałaś, kto mówił?

- Nie. Nie znam tego głosu. Możliwe, że specjalnie go zmienił. Mam złe przeczucia. Myślę, że ten facet mówił poważnie. Przecież nikt nie zna mojego prywatnego numeru telefonu. Pospiesz się. Chodźmy, bo nie zaznam spokoju, dopóki nie będę miała pewności.

Ruszyli samochodem pod wskazany adres.

- Akurat on - powiedziała. - Zawsze myślałam, że tacy jak Bruhns żyją wiecznie. A jednak...

- Może jednak żyje. Poza tym lubisz go chyba, co? - rzucił Henning z uśmiechem.

- Bzdura. Takich ludzi nie da się lubić; a już na pewno nie za te obrzydliwe powiedzonka. Niestety, nie darzyłam go sympatią, ale...

- Dobrze, już dobrze. Ja też go nie znoszę. Po prostu cenimy inne wartości.

- Zgadza się - odparła Santos. Zamilkła na chwilę, po czym znów spytała: - Dlaczego właśnie ja? Czemu zadzwonił akurat do mnie? I skąd wiedział, że u mnie byłeś? Musi trochę o nas wiedzieć, inaczej przecież nie pytałby o to. Jak sądzisz?

- Możliwe. Boisz się?

- Nie, ale to jest zastanawiające. Szczególnie jeśli spojrzeć na nasze doświadczenia z ostatnich lat, chociaż może trochę przesadzam.

Pół godziny później zatrzymali się przed domem, który nie wyróżniał się specjalnie spośród innych, ale był luksusowy. Stojące przed nim bardzo drogie białe porsche Cayenne i ciemnoniebieska limuzyna przed garażem również świadczyły o zamożności właściciela. Gęsty żywopłot chronił posiadłość przed wzrokiem ciekawskich, ale patrząc na wielką, kutą z żelaza bramę przy wjeździe, łatwo się było domyślić, co tam w środku wyprawiano. Na bramie nie było tabliczki z nazwiskiem właściciela ani nawet jego

inicjałów. Była to prawdziwa ostoja, w której Bruhns mógł czuć się bezpiecznie.

Od strony morza wiał silny i porywisty wiatr, przez co odczuwalna temperatura była co najmniej o pięć stopni niższa niż w rzeczywistości. Lisa, wysiadając z samochodu, postawiła kołnierz kurtki.

Henning od razu zauważył trzy kamery umieszczone tak, by nawet wysoki mężczyzna nie mógł ich dosięgnąć. Z pewnością w całym domu znajdowało się ich więcej. Budynek wyposażony był również w czujniki ruchu i wiele urządzeń alarmowych. Taki człowiek jak Bruhns potrzebował tego wszystkiego chociażby po to, aby podkreślić swoją pozycję wobec sąsiadów, mediów i fanów. Prawdą jest, że miał wielu wrogów, ale jak dotąd żaden z nich nie odważył się zagrozić mu fizycznie bądź nachodzić go w jednym z domów.

Brama przy wjeździe na posesję była tylko przymknięta, jednak w taki sposób, że wyglądała, jakby była zamknięta. Henning nacisnął bardzo delikatnie klamkę, tak aby przypadkowo nie włączyć alarmu. Puszczając klamkę, spojrzął na ulicę, ale nie było tam nikogo. Niezauważeni przeszli więc przez bramę i ruszyli w kierunku domu oddalonego mniej więcej o dwadzieścia metrów. Okazało się, że drzwi wejściowe też są tylko delikatnie przymknięte.

- Nie oszukano nas - stwierdziła Santos ochryple, otwierając drzwi.

- Niestety - odpowiedział sucho Henning.

Gdy szli długim korytarzem, włożyli lateksowe rękawiczki. Po chwili Henning otworzył jedne drzwi. Za nimi znajdowała się toaleta, jednak nie było tam nikogo. Jedynie w powietrzu unosił się zapach lawendy.

Następnie weszli do salonu, ale już przy drzwiach stanęli jak wryci. Zaprało im w piersiach. Makabryczny

obrazek, jaki ujrzeli, był najwidoczniej wyrazem kiepskiego poczucia humoru sprawcy.

- Jasna cholera! - zaklął Henning. - Co to ma znaczyć? Myślałem, że chodzi tylko o Bruhnsa. Co tu robi ta kobieta?

- Sóren, nie mam pojęcia. To jakieś wariactwo. Ktokolwiek to zrobił, albo był totalnym świrem, albo z nami pogrywa.

Albo jedno i drugie.

Santos podeszła do ciała. Zacisnęła powieki. Cała drżała. Jednocześnie poczuła zimno, mimo że w domu było gorąco. Przełknęła ślinę, stojąc około dwóch metrów od ciała Bruhnsa i młodej kobiety. To, co zobaczyła, nią wstrząsnęło.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałam - powiedziała cicho.

- Myślę, że nikt z całego naszego działu nie widział czegoś podobnego - przytaknął gardłowym głosem Henning i stanął za swoją partnerką.

Bruhns leżał na wielkiej skórzanej beżowej sofie. Sprawiał wrażenie odprężonego. Miał wyciągnięte, lekko rozstawione nogi. Jego oczy były otwarte, a białe zęby lśniły zza wąskich, lekko rozchylonych warg. Wyglądał zupełnie tak, jakby nie dał już rady ich zamknąć. Był to widok iście surrealistyczny.

- Jakby się uśmiechał - zauważyła Lisa i patrzyła na ciała jeszcze jakiś czas. - Tylko ta okropna czerwona plama zupełnie tu nie pasuje. Nie sądzę, żeby się z tego śmiał, chociaż z nim nigdy nic nie wiadomo.

- Podeszła bliżej do kobiety, która klęczała przed Bruhnsem. Jej lewa ręka spoczywała na jego udzie, a prawą trzymała jego członek. Nie miała na sobie nic prócz czarnych stringów. Natomiast Bruhns przed śmiercią zdjął tylko białą marynarkę, która leżała przed kominkiem. Jego czerwona, wyszywana

koszula była aż po pępek rozpięta. Rozpięty był również rozporek, przez który wystawał trzymany przez dziewczynę penis.

Ta cała scena była wyraźnie upozorowana. Ciała zabitych zastygły, wyglądały jak uformowane na podobieństwo ludzi figury woskowe albo jak lalki. A jednak byli to ludzie, którzy jak widać, zamierzali przeżyć razem upojną noc: znany w całych Niemczech czterdziestodziewięcioletni kompozytor i producent oraz młoda, z pewnością warta grzechu kobieta, w wieku między osiemnaście a dwadzieścia pięć lat. Dziewczyna miała długie blond włosy, szczupłą sylwetkę i duży biust. Była piękną obdarzoną wszystkimi atrybutami, które cenił Bruhns - oczywiście, gdyby wierzyć mediom. Miał je jedną po drugiej. Zdobywał i porzucał. Wszyscy o tym wiedzieli i wszyscy się na to godzili. W dzisiejszych czasach to przecież prawie normalne, że starsi panowie spotykają się z dziewczętami, które mogłyby być ich córkami lub nawet wnuczkami. Dzięki temu Bruhns zyskał uznanie i inni mu zazdrościli. Oczywiście wina leżała również po stronie samych kobiet, które mu się narzucały. Dziewczyn, które gotowe były mu się sprzedać niczym prostytutki, było mnóstwo. Całkiem niedawno pewna gazeta podała nawet informację, że znany niemiecki producent - imienia i nazwiska wprawdzie nie wymieniono, ale po opisie jasne było, o kim mowa - uwielbia spotykać się z dziewczętami, które są gotowe dla niego się prostytuować. Bruhns podał gazetę do sądu za zniesławienie. Sprawa miała się wkrótce odbyć. Bruhns czuł się pomówiony i uważał, że jego prawa osobiste zostały naruszone. To jednak była tylko jedna z wielu jego twarzy. On mógł zwymyślać i obrażać innych do woli, ale gdy tylko ktoś go skrytykował, narażał się od razu na jeszcze mocniejszą ripostę. Bruhns miał bowiem najbardziej cięty język w całym show-biznesie. Wytoczono mu

już wiele procesów i wszystkie wygrał. Zawdzięczał to nie tylko swoim pieniądzom, ale i wpływom. Dzięki nim posiadał władzę. Ale teraz nic mu po tym. W niedalekiej przyszłości nikt nawet o nim nie wspomni, a jeżeli już, to tylko o prawdziwym Bruhnsie, jaki nie był pokazywany za swojego życia w mediach.

Ten groteskowy widok wywołał na twarzy Henninga lekko cyniczny uśmiech. Widział już wiele zwłok, ale nigdy jeszcze takiej sceny pośmiertnej. Najwyraźniej komuś bardzo zależało, żeby pokazać Bruhnsa takiego, jaki był naprawdę, czyli uzależnionego od seksu dekadenta u boku młodej kobiety. Jego uśmiech był jakby wyryty na wąskich wargach. Tylko co stanowiło motyw tego podwójnego zabójstwa? Zemsta? Nienawiść? Poniżenie? Cokolwiek to było, sprawca na pewno wiedział, dlaczego ułożył swoje ofiary tak, a nie inaczej.

Henning rozejrzał się jeszcze powoli po całym pokoju, zupełnie jakby chciał wyłapać jak najwięcej szczegółów i zapisać je w pamięci niczym na twardym dysku. Przez chwilę stał przed dużym, szerokim oknem z widokiem na Bałtyk. Porywisty wiatr z głębi Skandynawii tworzył na wodzie wysokie fale, które podmywały brzeg. Niebo było bezchmurne, a słońce walczyło z mrozem. Ten północny wiatr był na razie silny, lecz z pewnością nie potrwa to długo, a wiosna i tu w końcu zawita.

Henning odwrócił się ponownie. Zarówno Bruhns, jak i jego młoda towarzyszka zginęli w wyniku postrzału w głowę. Ubrania kobiety były porzucane po całym pokoju. Na okrągłym szklanym stole stały dwa prawie puste kieliszki, a butelka leżała na podłodze. Zawierała jeszcze odrobinę czerwonego płynu, ale większość

wylała się już na dywan. Pokój miał około pięćdziesięciu metrów kwadratowych i był urządzony w jasnych, przyjaznych barwach. Same tylko posągi nad kominkiem, obrazy czy też skórzana biała marynarka jednego z renomowanych projektantów były sporo warte. Wielka biblioteka zajmowała całą ścianę, a na środku stał symbol dekadentckiego luksusu wyższych sfer, czyli Brockhaus. Tomy tej encyklopedii miały oczywiście beżowe skórzane oprawy jak obicie sofy. Jedno spojrzenie starczyło, by zauważyć, że książek tych nigdy nie dotykano, nie mówiąc już o ich czytaniu.

- Musiał mieć mnóstwo pieniędzy - powiedział cicho Henning.

- O tym wie nawet dziecko.

Henning rozejrzał się jeszcze i spojrzał na pogrążoną w zadumie Santos. Nawet nie zauważyła albo nie chciała zauważyć, że na nią patrzył. Znajdowali się w jedynym w swoim rodzaju miejscu zbrodni. Lisa zasłoniła usta dłonią; pokręciła głową i odwróciła się. Henning natomiast wyjął z kieszeni komórkę i zrobił jeszcze kilka zdjęć. Późniejsze fotografie, jakie znajdzie na swoim biurku, na pewno będą bardziej szczegółowe i wyraźniejsze, ale to pierwsze wrażenie często jest najważniejsze. Poza tym znaczący był nie tylko każdy detal z osobna, ale również wszystko jako całość. Próbował więc uchwycić wszystkie szczegóły i je zapamiętać. Chłonał zapach, ale nie była to wcale nieprzyjemna woń śmierci, raczej zapach kwiatów, niczym powiew wiosny, co zadziwiało, bo w pokoju nie widział ani jednego kwiatu czy innej pachnącej roślinności. Było ciepło i przytulnie. Jak dla Henninga może nawet odrobinę za ciepło, bo przyzwyczajony był do dwudziestu trzech, dwudziestu czterech stopni. Temperatura pomieszczenia nie była bez znaczenia, bo to na jej podstawie

lekarz sądowy, profesor Jiirgens, ustali przypuszczalny czas zgonu ofiar.

Henning zrobił zdjęcia zwłok, ale z pewnej odległości. Obchodził sofę dookoła i fotografował je z różnych stron. Najchętniej dotknąłby ciało, aby sprawdzić, jak daleko po-sunięte jest stężenie pośmiertne, ale obawiał się, że niechcący mógłby zatrzeć ślady. W końcu w tym momencie nie miało to znaczenia. Głowę Henninga zaprzątnęły po chwili inne myśli. Dlaczego Bruhns leżał w takiej dziwnej pozycji na sofie? Czemu miał rozpięty rozporek? Dlaczego kobieta była naga i wyglądała, jakby nawet po śmierci chciała zaspokoić Bruhnsa ustami? Co tu się właściwie wydarzyło? Jak? Czemu? Kto dopuścił się takiego przerażającego czynu? Przerażający - nawet to słowo nie odpowiadało w pełni temu specyficznemu rodzajowi poczucia humoru. Ktoś, kto tak ułożył ciała, musiał mieć oryginalne poczucie humoru, które prawdopodobnie śmieszyło tylko jego samego. Taki rodzaj humoru Henning spotykał czasem wśród lekarzy sądowych.

- Co o tym sądzisz? - zapytała Santos, zbliżając się do niego.

Henning wyglądał na skupionego.

- Próbuję zrozumieć postępowanie sprawcy. Z jakiego powodu wszystko tak zaaranżował?

- Też o tym myślałam. Problem w tym, że nie potrafię się przestawić i myśleć jak sprawca.

- A kto potrafi?

- Zauważyłeś coś szczególnego? - odpowiedziała pytaniem.

- Wszystko - stwierdził Henning krótko. Po chwili dodał: - Tak absurdalnej sceny w życiu nie widziałem. To przechodzi ludzkie pojęcie. Gdybym tego osobiście nie zobaczył, nigdy bym nie uwierzył.

- Ja też. Widać ciągle się uczymy.

- Z takich akurat lekcji z chęcią zrezygnuję. Bruhns -okej, rozumiem; miał wielu wrogów, ale czemu ta mała? Co ona ma z tym wspólnego?

- Była świadkiem? Znalazła się w nieodpowiednim miejscu i czasie? Z pewnością mogłaby zidentyfikować sprawcę, a żaden morderca nie może sobie na to pozwolić. Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że ją też od początku planował zabić.

Henning pokiwał głową i pogładził się po podbródku. Zawsze tak robił, gdy się nad czymś głęboko zastanawiał.

- To byłoby za proste, tylko nie pytaj czemu.

- I tak zapytam: czemu byłoby za proste?

- Tylko spójrz na ułożenie ciał. Ona była kimś więcej niż tylko świadkiem. Moim zdaniem ją też planował zabić. Widzieliśmy już niejedno miejsce zbrodni, jednak nigdy jeszcze ciała nie zostały tak upozowane. Wydaje mi się, że sprawca z nich szydził; chyba że zrobił to dla nas.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Santos z zamkniętymi oczyma, jakby chciała przeniknąć myśli Henninga. - Myślisz, że dlatego chciał ze mną rozmawiać?

- Niewykluczone. Możliwe, że uważa się za artystę i chciał nam pokazać swój geniusz. Muszę przyznać, że jest dobry. Pewnie poświęcił na to sporo czasu, bo czegoś takiego nie tworzy się w kilka minut. Ciągłe jednak zadaję sobie pytanie, dlaczego Bruhns się tak szczerzy, podczas gdy ta mała wygląda na udręczoną. On zawsze się tak uśmiechał. Jasne. Może już się taki urodził. Jak dotąd jednak nigdy nie widziałem trupa z takim uśmiechem. A ty?

- Jasne, że nie. Skończyłeś już swoją analizę?

- Jeszcze chwila - odrzekł Henning i powoli jeszcze raz obszedł cały pokój, żeby z każdej strony obejrzeć miejsce zbrodni. Potem wyjął telefon i zadzwonił do wydziału kryminalnego i do profesora Jurgensa z Instytutu Medycyny Sądowej. Na końcu zatelefonował jeszcze do swojego

przełożonego, Volkera Harmsa. Krótko opowiedział mu o tym, co się stało, i poprosił o wysłanie lokalnej policji do ochrony posesji.

- Kiedy będą nasi?

- Za dwadzieścia, trzydzieści minut. Jürgens nie był uszczęśliwiony. Żał mu niedzieli. Mówił, jakby był jeszcze w łóżku, i to nie sam.

- Nie nasz problem. Skoro my mamy być w pogotowiu, to czemu on nie?

Henning stanął przy Santos, swojej partnerce w pracy i życiu prywatnym. Przebywał u niej przez większość czasu. Rozumiał się z nią lepiej niż z kimkolwiek innym. Zawsze myślał, że wszystko, przez co przeszedł, wydarzyło się po to, by mógł ją spotkać. Lisa była wyjątkową kobietą w jego życiu. Często zadawał sobie pytanie, czy on jest tego wart i czy okazuje jej, jak wiele dla niego znaczy. To ona wyciągnęła do niego rękę i wyprowadziła z go ciemności, z których on nie widział wyjścia. Dzięki niej zobaczył światelko w tunelu i nabrał ochoty do życia. Gdyby nie Lisa, zapewne siedzieliby dalej w papierach i uzalaliby się nad sobą. Po pracy wracaliby rowerem do swojego nędznego domu w wiejskiej dzielnicy i jak to zwykł mówić: wyłby do księżycy.

Chętnie ożeniłby się z Lisą, ale wtedy nie mogliby razem pracować. Właściwie to już teraz naruszali przepisy Volker Harms, ich przełożony, wiedział o tym związku, ale polegał na swoim świetnie zgranym zespole. Poza tym był przekonany, że oboje potrafią oddzielić życie prywatne od zawodowego. Gdyby było inaczej, już dawno przeniósłby jedno z nich do innego wydziału.

- I co ty na to? - zapytał Henning, wskazując na pistolet leżący na podłodze obok Bruhnsa.

- Mówisz o broni? - Lisa wzruszyła ramionami. - Nie mam pojęcia. A co ty sądzisz?

- Można by pomyśleć, że to morderstwo z samobójstwem. Zastrzelił ją, jak mu obciągała, a potem siebie, stąd ten pistolet na ziemi. Mogłoby tak być. Mężczyzna, który dzwonił, znalazł ciała, ale nie chce ujawnić swojej tożsamości...

- Nic nie jest wykluczone. Tylko czemu akurat Bruhns? On nie miał powodu, by zrobić coś takiego. Poza tym popełniłby samobójstwo podczas swojego ulubionego zajęcia? Mimo najszczerzych chęci jakoś sobie tego nie wyobrażam. Miał kasy jak lodu i cały świat u stóp...

- No i dalej ma. Tylko spójrz na jego kochankę. Klęczy przed nim...

- Przepraszam, że się nie śmieję, ale nie jestem teraz w nastroju do żartów. Jeszcze raz. Nie wydaje mi się, że to morderstwo z samobójstwem. Jeszcze wczoraj wieczorem Bruhns miał występ w telewizji, czytałam dzisiaj gdzieś o tym.

- Skąd miałem to wiedzieć? Wczoraj oglądaliśmy dwa filmy na DVD.

- Poza tym mógł zadzwonić pod sto dziesięć, a nie pod mój prywatny numer. Z tego wynika, że albo sam zabił tych dwoje, albo wie, kto to zrobił.

- Chyba że przyszedł odwiedzić Bruhnsa. Wtedy ich znalazł i...

- Tylko że zadzwonił do mnie, a po tym, co i jak mówił, wygląda na to, że sporo o nas wie. Wiedział, że jesteśmy razem i że u mnie mieszkasz. Sören, on nieprzypadkowo do mnie zadzwonił. Chciał, żebyśmy razem znaleźli te ciała. Aha, prawie zapomniałam, powiedział jeszcze, że później znów się odezwie.

- Co? Czemu wcześniej nic nie wspomniałaś?

- Kurczę, byłam taka roztrzęsiona.

- Okej. Spróbuj teraz sobie przypomnieć. Był spokojny czy raczej zdenerwowany?

- Spokojny, i to bardzo.
- A barwa głosu?
- Trudno określić, ale powiedziałabym, że nic szczególnego.

Normalna.

- Jakiś dialekt?
- Nie. Mówił czysto po niemiecku. Zero obcego akcentu.
- Okej, więc nie jest obcokrajowcem. A wiek? Jak myślisz?
- Od kiedy to po głosie można ustalić czyjś wiek? Nie mam pojęcia, ile ma lat. Może mieć dwadzieścia, czterdzieści albo pięćdziesiąt. Wystarczy ci już? - odparła zdenerwowana.

- Już dobrze. Pamiętasz coś jeszcze? Santos myślała chwilę.

- Dawał mi jasne wskazówki. Zupełnie jakby tutaj mieszkał i rządził. Na pewno nie jest to ktoś, kto przez przypadek natknął się na dwa trupy. Byłby wtedy bardziej zdenerwowany. Poza tym ktoś przypadkowy nie dzwoniłby specjalnie do mnie.

W tej samej chwili znów odezwał się jej telefon. Ponownie na wyświetlaczu pojawił się napis: „Numer zastrzeżony”.

- Tak?

- Znaleźliście ich?

- To pan ich zabił?

- Tę zagadkę pozostawiam pani do rozwiązania. Jak się pani podobało przedstawienie? Osobiście uważam, że było pełne wyrazu i bardzo artystyczne. Może za bardzo wyuzdane, ale to dziś niemal należy do dobrego tonu. Świat jest przecież brutalny.

- Ależ pan perwersyjny. Czego pan właściwie ode mnie chce? Raczej nie dzwoniłby pan specjalnie do mnie tylko po to, żebyśmy znaleźli martwego Bruhnsa z kochanką.

- Nic nie chcę. To znaczy jeszcze nic. W swoim czasie dowie się pani, dlaczego wybrałem akurat panią. Może dlatego, że uważam panią za dobrą i zaangażowaną policjantkę? Słyszałem o pani wiele dobrego. Pani partnera również wysoko cenię. No, muszę kończyć. Życzę powodzenia w śledztwie. Przyda się wam, bo obawiam się, że na początku będziecie błądzić. Szkoda. No, ale nie będę pouczał mądrzejszego. Na razie.

- Ty przeklęty skurwielu! - krzyknęła Santos. Niestety, rozmówca zdażył wcześniej się rozłączyć.

- Czego tym razem chciał? - zapytał Henning.

- Chciał nam powiedzieć, dlaczego nas wybrał. Powiedział, że ceni naszą fachowość, by w następnym zdaniu dodać, że będziemy błądzić, prowadząc śledztwo.

- Dobrze więc, udowodnimy temu bydlakowi, że się myli. Niech Bóg się nad nim zlituje, jeżeli kiedykolwiek wpadnie w moje ręce...

Do pokoju wszedł funkcjonariusz Hinrichsen, za nim pięciu ludzi z wydziału kryminalistyki, a wraz z nimi lekarz sądowy, profesor Jiirgens.

- Dzień dobry - Hinrichsen donośnie przywitał Santos i Henninga. Był to wielki mężczyzna. Miał ponad dwa metry wzrostu i samą posturą wzbudzał respekt. - Przyjechaliśmy zabezpieczyć miejsce zbrodni.

- Będziemy panom bardzo wdzięczni - powiedział Henning i spojrzał szybko na zegarek. - Długo to trwało. Spodziewaliśmy się was po dwóch, trzech minutach.

- Przykro mi bardzo, ale przyjechaliśmy z Heikendorfu. Tam zeszło nam trochę. Przemoc domowa. Musieliśmy interweniować i potrzebowaliśmy czworo ludzi, żeby wyciągnąć faceta z domu...

- No dobrze. Nic się nie stało.

- Przecież to Bruhns! - krzyknął Hinrichsen, gdy tylko podszedł do ciała. Zmarszczył czoło i dodał: - Jeszcze

wczoraj występował w telewizji. Widzieliśmy go z żoną. Przypadkiem. - Poczzerwieniał w tej samej chwili.

- Niech się pan nie przejmuj. Miliony oglądają te bzdury - powiedział sucho Henning. - Co to był właściwie za program i kiedy był nagrywany?

- To był program puszczały na żywo. Z tego, co wtem, nagrywają go w Hamburgu, ale nie jestem pewien. Moja żona na pewno będzie wiedziała więcej na ten temat.

- Z pewnością się tego dowiemy. Okej, więc wczoraj wieczorem był na pewno w studiu. O czym jest ten program?

- To taki casting na najlepszego piosenkarza lub piosenkarkę. Coś w rodzaju *Idola*, tylko nie tak dobrze zrobiony. Bohlen jest nawet zabawny, ale Bruhns... jak by to powiedzieć... był cyniczny. I poniżał uczestników. Nie uważam, żeby to było zabawne, ale na pewno są ludzie, którym się to podoba. Upadek społeczeństwa - tylko tak mogę to określić.

- Jestem pewien, że nieraz oglądał pan ten show i jako policjant wyczułby pan, gdyby coś było nie tak. Jak odebrał pan wczoraj zachowanie Bruhnsa? Był jakiś inny?

Hinrichsen znów poczerwieniał. Nie za dobrze wiedział, jak ma to rozumieć. Podrapał się po głowie i wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Wydaje mi się, że zachowywał się jak zawsze, ale nie zwracałem na to zbyt wiele uwagi. Poza tym czytałem i wychodziłem z pokoju, ale na pewno miał na sobie to samo ubranie. - Wskazał na Bruhnsa. - Jeszcze mówiłem do żony, że dziwacznie wygląda. Kto dziś się tak ubiera? Czerwona wyszywana koszula i biały garnitur, a do tego czerwone buty. To nie przystoi mężczyźnie w jego wieku. No, ale to tylko moje zdanie.

- Do której trwa ten program?

- Do dwudziestej pierwszej trzydzieści albo czterdzieści pięć. Wczoraj był półmetek. Za tydzień finał.

- Hm... Potem przyjechał tutaj i chciał spędzić z kochanką noc. Tylko co tu się wydarzyło... Dziękuję panu. Bardzo pan nam pomógł. Skontaktujemy się, gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania.

- Oczywiście - odrzekł Hinrichsen i chciał już wyjść, ale Henning zawołał go ponownie. - Jak sytuacja na zewnątrz?

- Na razie spokojnie, ale to się zaraz zmieni, gdy tylko ludzie się dowiedzą, że tu jesteśmy. Pójdę zawczasu temu zapobiec.

- No, przyznać się. Dotykaliście czegoś? - zapytał ponuro Tónnies, szef kryminalistów.

- Nie. Poza tym mamy rękawiczki. Wzięliście ze sobą dobre patyczki do pobierania materiału dowodowego i rękawiczki? - zapytał Henning wyzywająco.

Tónnies machnął nerwowo ręką i wyciągnął środkowy palec.

- Zaraz pękne ze śmiechu. Będziecie to wywlekać za każdym razem, gdy znajdziemy się na miejscu zbrodni?

- Tylko dziś. Przecież od dwóch dni już wiadomo, że duchów nie ma. To tylko ktoś w fabryce dotykał tych patyczków. Że też przez tyle lat nikt tego nie zauważył. To jakiś absurd, nie?

- Hm. Wszystko jest możliwe - odpowiedział Tónnies nieswoim głosem. Henning od razu zrozumiał, że nie wierzy w oficjalną wersję. Zaczęło się od przypuszczeń lekarza sądowego i znalazło potwierdzenie w szerszych kręgach, aż w końcu minister spraw wewnętrznych zakończył wszelkie spekulacje i podał do wiadomości, że „widmo” odpowiedzialne za dwanaście zabójstw oraz wiele innych czynów, począwszy od włamań, poprzez

napady, a skończywszy na pobiciach powodujących ciężkie obrażenia ciała, nie istnieje. Tym samym zakończono sprawę i upokorzono całą policję. Nic nie zostało wyjaśnione, a sprawca bądź sprawcy nadal przebywają na wolności. Dochodzenia, według ministra, miały zostać wznowione.

- Nasze patyczki są sterylne. Bardziej sterylne już być nie mogą.

- Jak dotąd wszyscy tak myśleli, a okazało się zupełnie inaczej - powiedział spokojnie Henning.

- Cóż, zdarza się to nie tylko u nas. Nie udowodniono, że mieliśmy do czynienia z zanieczyszczonymi patyczkami. To są tylko przypuszczenia dwóch samozwańczych ekspertów, o których, szczerze powiedziawszy, nie mam za dobrego zdania. Do tego ta wypowiedź prokuratora, który prowadził dochodzenie.

- A co z wypowiedzią ministra spraw wewnętrznych? Skoro powiedział, że patyczki były zanieczyszczone, to musiało tak być - zauważył Henning.

Tónnies zaśmiał się.

- Jasne, skoro on tak mówi, to na pewno tak jest - rzucił sarkastycznie.

- Nie wierzysz zatem w oficjalną wersję? - wtrąciła się Santos, która również nie mogła uwierzyć w to, że od lat używane patyczki do pobierania materiałów dowodowych były powodem bezowocnych śledztw.

Tónnies oblizał usta i z właściwą sobie uszczypliwością odpowiedział:

- Kochana Liso, w tej sprawie nie powinienem już zabierać głosu, ale widzę, że nie da rady. Bądź pewna, że w czasie całej swojej kariery spotkałem się już z takimi przekrętami i kłamstwami, że nie wierzę dzisiaj w nic. Absolutnie w nic. Chyba że zostaną mi przedstawione konkretne i niepodważalne dowody. To, że ci na górze

wygłaszają brednie, nie oznacza wcale, że mają rację. Jak to się mówi: nie wszystko złoto, co się świeci. Przepraszam za komplikacje, ale jestem pewien, że mnie zrozumiałaś. No, ale przecież nie przyjechaliśmy tu gadać. Dajcie nam zrobić parę zdjęć i nasz szanowny lekarz sądowy będzie mógł zająć się oględzinami zwłok. Teraz prosiłbym wszystkich, którzy nie należą do mojego wydziału, o opuszczenie pomieszczenia, tak żebyśmy mogli w spokoju...

- Dobrze, już dobrze. Wstałeś dziś lewą nogą? - zapytała z uśmiechem o głowę od niego niższa Lisa. Lekko się uśmiechnął, lecz tylko na moment.

- Nie - odparł po chwili z poważną miną. - Tylko nienawidzę, jak w niedzielę, zamiast spędzać czas z rodziną, muszę jechać i oglądać trupy. Poza tym chciałem później obejrzeć mecz piłkarski.

- To HSV nie grał wczoraj? - zapytał Henning, udając zdezorientowanego, na co Tónnies posłał mu lodowate spojrzenie.

- Tak. Przegrał - odparł Jürgens z uśmiechem.

- Naprawdę? Do ilu? - zapytał Henning i tym razem nie zdołał ukryć radości.

- Zamknij się - syknął Tónnies. - Tępaki stracili cztery bramki. I to właśnie w Gladbach. Chcą być mistrzami, a dostają ciągi od pierwszej lepszej drużyny, z którą nawet wiejskie zespoły wygrywają. Cztery, stary, cztery! Wiejskie półgłówki! Czemu ja się tak denerwuję, przecież to tylko gra. Ale, do twojej wiadomości, śledzę też grę innych drużyn, a teraz już koniec. Nie chcę o tym dyskutować.

- Jest zły, bo jego HSV przegrał. Liso, lepiej się odsuńmy, inaczej mogą tu być dwa trupy więcej.

- Ja nic nie mówiłam - zapewniła Lisa, unosząc ręce w geście poddania. - Nie znam się w ogóle na piłce nożnej, ale faktycznie, słyszałam wczoraj, że HSV...

- Moglibyście się w końcu zamknąć?! - krzyknął Tónnies. - Nie jesteśmy tu dla przyjemności, chociaż ci dwoje pewnie byli, a przynajmniej dopóki nie minęła im ochota. Zastanawiam się tylko... - dodał z poważną miną, odwracając się i patrząc przez chwilę na ciała - czy ona miała go już w ustach, czy dopiero zamierzała. Jak sądzicie?

- Nasz doktorek na pewno zaraz nam powie. Prawda, doktorku? - rzucił Henning do Jiirgensa, który po zrobieniu zdjęć i nagraniu filmu przyglądał się od jakiegoś czasu Bruhnsowi i jego towarzysze z bliska. Kiwnął delikatnie głową.

- Możliwe. Stawiam na to, że już zaczęli i przeszkadzono im w czasie gry wstępnej, zanim tak naprawdę coś zaczęło się dziać. To znaczy i tak się wydarzyło, ale na pewno coś zupełnie innego, niż sobie wyobrażali. Chyba że... ale nie, nie jest w to zamieszana osoba trzecia - dodał lakonicznie.

- Również bierzesz pod uwagę morderstwo z samobójstwem? - zapytał Henning.

Jiirgens uniósł brwi i odwrócił się.

- Jak to również? Chyba nie mówisz poważnie. Wybij to sobie z głowy. To tylko taki żart.

- Przecież mogło tak być... pistolet na ziemi...

- Wszystko tu jest upozorowane. Na pewno już wcześniej to zauważyłeś. Ktoś się postarał, żeby tak to wyglądało. Irytuje mnie tylko, że Bruhns wygląda na rozluźnionego, a ta dziewczyna na skrzywdzoną. Pewne jest, że tuż przed śmiercią musiała cierpieć. Zupełnie jakby to, co zamierzała zrobić, nie miało jej sprawić przyjemności...

- Przepraszam, ale nie nadażam - odparł Henning, a Santos zrobiła bezradną minę.

- No to masz pecha, bo ode mnie więcej się nie dowiesz, a przynajmniej do czasu, aż ją pokroję.

- Nie każ nam teraz czekać. Daj chociaż jakąś wskazówkę.
- Jakiś ty upierdliwy! Spójrz na Bruhnsa, uśmiecha się, tak? Jak byś nazwał jej wyraz twarzy?
- Cierpiący?
- Lepiej bym tego nie ujął. Nawet bardzo cierpiący. Musiała odczuwać dotkliwy ból przed śmiercią. Zgadza się?
- Zgadza. Mów zatem, co podejrzewasz. Znam cię przecież; mów, o czym myślisz.
- Boże, jak ty mi działasz na nerwy! - Jiirgens odetchnął głęboko.
- Mogło być tak, że przed zgonem coś innego odegrało ważną rolę, ale muszę najpierw przeprowadzić badanie.
- Czy nie mógłbyś wyrażać się odrobinę jaśniej?
- Nie mógłbym. Powiem dopiero po sekcji. Wino również muszę zbadać, bo może zawierało truciznę. Butelkę zabiorę, wychodząc. Gdy tylko się czegoś dowiem, dam wam od razu znać.
- To znaczy, że podano im truciznę, zanim ich zastrzelono?
- Jiirgens spojrzał karcąco na Henninga.
- Tego nie powiedziałem. Wierciłeś mi dziurę w brzuchu, więc odpowiedziałem tylko na pytania, co mogło się zdarzyć. Podkreślałem „mogło”. Teraz zostawcie mnie w spokoju. Nie przyszedłem tu dla rozrywki ani żeby snuć domysły. Jak coś ustalę, to was powiadomię.
- Henning uniósł ręce w geście przeprosin.
- Przepraszam, nie chciałem cię...
- Daj mi w końcu popracować!
- Jiirgens zmierzył temperaturę wątroby Bruhnsa, a potem dziewczyny. Zanotował dane i jak gdyby nigdy nic powiedział:
- Biorąc pod uwagę temperaturę otoczenia, dwadzieścia trzy stopnie, i temperaturę wątroby, mogę powiedzieć,

że zgon nastąpił między północą a drugą w nocy. W pełni zaawansowane stężenie pośmiertne również by to potwierdzało. Po dwunastu godzinach...

- Dobrze już. Darujmy to sobie - ucięła Santos, bo nie chciała słuchać kolejnego wykładu na temat etapów stężenia pośmiertnego. Doskonale wiedziała, że w ciągu dwóch, trzech godzin tężeje żuchwa, potem w osiem do dziesięciu godzin reszta ciała; zupełnie jakby wiele dni leżało w zamrażarce. Zwykle stężenie takie mija po dwóch dniach, ale" są też czynniki, jak na przykład temperatura otoczenia, które mogą ten proces przyspieszyć bądź też opóźnić.

U obu ofiar stężenie pośmiertne było już w pełni zaawansowane, co zauważył Jiirgens, zapisując informacje w notesie oraz nagrywając na dyktafonie. Po chwili uśmiechnął się.

- Zastanawiam się tylko, jak my ich oboje przewieziemy, skoro już tak zesztynieli. To znaczy, z nim nie będzie większych problemów. Myślę tylko, co z nią zrobimy. W takiej pozycji nie da rady. Chyba będziemy musieli użyć trochę siły, ale w sumie i tak tego nie zauważy.

- A ty co, robisz za klauna? - zapytała Santos, która nie miała nastroju do żartów.

- Daj spokój. Przecież mnie znasz. Co cię ugryzło? - odpowiedział Jiirgens, obejmując Santos jedną ręką, a drugą wskazując ciała. - Patrząc tak na nich, można się przecież nieźle ubawić. Wiem, wiem, patrzysz na to z punktu widzenia kobiety. Patrzysz na tę młodą dziewczynę i myślisz pewnie, że biedna straciła życie bez sensu...

- A ty skąd możesz wiedzieć, o czym ja myślę albo na co patrzę? - zapytała zuchwale Santos.

- Bo jesteś kobietą, istotą wrażliwszą niż ja, nieociosany kloc. Mam rację?

- W innych okolicznościach może i bym się śmiała, ale teraz widzę kobietę, która miała jeszcze sporo życia przed

sobą. Jeżeli nawet była dziwką, to nie zasłużyła na śmierć. Nikt sobie na coś takiego nie zasłużył, a ten cholerny zboczeniec odebrał jej resztki godności nawet po śmierci. Chyba że widzisz to inaczej?

- Nie. Widzę to tak samo jak ty. Jednakże humor, nawet taki kiepski, to czasem jedyna rzecz, która pozwala nam w tym zawodzie normalnie funkcjonować. Gdy ktoś, tak jak ja, prawie codziennie siedzi w prosektorium...

- Przecież nie mam nic do ciebie. Czasami tak sobie żartuję, ale nie dziś. Bruhns okej, ale czemu ona? Jakoś cały czas myślę o mojej siostrze. Tylko nie pytaj czemu. Po prostu tak mam.

- Czemu Bruhns, okej? Przecież on też był tylko człowiekiem.

- Ten stary przyk? To prawie pedofil.

- Liso, już wystarczy. Opuść trochę. Ta mała nie jest dzieckiem - rzekł Henning, po czym powiedział do Jurgensa: - Z tego, co słyszałem, ty też nie jesteś wybredny.

- Nie rozumiem, do czego pijesz, kochany, ale jedno zapamiętaj raz na zawsze: wszystkie moje kochanki są dorosłe. Poza tym poważnie rozważam, czy się nie ustatkować.

- Nie obchodzi mnie, co robisz prywatnie, pod warunkiem że trzymasz się pewnych zasad.

- Co prawda, nie do końca wiem, o co ci chodzi, ale żeby było jasne, moje życie prywatne nie powinno nikogo obchodzić z wyjątkiem mnie samego.

Santos w tej właśnie chwili zauważyła, że na podłodze przy kominku, pod czarną, prawie prześwitującą bluzką leży czarna torebka. Podeszła i podniosła ją, po czym wyjęła z niej elegancką portmonetkę, a z niej dowód osobisty.

- A więc już wiemy. Ta mała to Kerstin Steinbauer, urodzona w Kolonii dwunastego lutego tysiąc dziewięćset

dziewięćdziesiątego pierwszego roku i zamieszkała w Dusseldorfie. Niedawno skończyła osiemnaście lat. Mogłaby być jego córką albo nawet wnuczką. Ale tego właśnie chciał: młodego i jędrnego ciała; niczym innym prócz muzyki przecież się nie interesował. Gnojek!

- Chwila. Chciałbym coś sprawdzić - oznajmił Jurgens, który za pomocą szybkiego testu badał dłonie Bruhnsa. Zamyślony dodał po chwili: - Ślady prochu. Co to oznacza? Może naprawdę to samobójstwo?

- A ja jestem królem Danii - odpowiedział opryskliwie Henning. - Żartowałem wcześniej z tym samobójstwem. Jak miałby ją zabić, skoro ona nie upadła? Sam musiałby ją tak postawić, zanim się zastrzelił. To wszystko jest idealnie zaplanowane. Chyba że Bruhns był niepoczytalny, w co wątpię, i uwaga, nie chcę teraz usłyszeć żadnego głupiego żartu.

- Również to on pod sufitem nie miał - powiedział sucho Jurgens. - Ale masz rację, coś tu nie gra. Ślady prochu tu i tam. To jakoś nie pasuje. Chyba że sprawca włożył po śmierci Bruhnsowi pistolet do ręki i strzelił na przykład w specjalną poduszkę. Może uda nam się tu gdzieś znaleźć dwa pociski.

- Możliwe. Co jeszcze chowasz w zanadrzu?

- Hm, nie jestem jasnowidzem, a takie miejsce zbrodni widzę po raz pierwszy i jestem pewien, że wy też. To jest jak jakieś dziwaczne show. Albo wbrew naszym oczekiwaniom chodzi o samobójstwo, i wtedy do tego dojdę, albo mamy tu do czynienia z bardzo cwany zabójcą, i tego też prędzej czy później się dowiemy. Jedno jest pewne, wrogów Bruhnsowi na pewno nie brakowało.

- Jeszcze więcej miał chyba wielbicieli, którzy podziwiali tę jego obleśną sztukę - wtrąciła Lisa.

- Liso, zdejmij różowe okulary i przejrzyj na oczy. W naszym świecie im więcej głupot ludzie plotą, tym

większy poklask znajdują, i to się akurat nie zmieni. Znaleźliście coś, co wskazywałoby na obecność osób trzecich?

- Jak dotąd nie - odpowiedziała Santos.

- Kto ich właściwie znalazł?

- Lisa i ja. Ktoś zadzwonił do Lisy jakieś półtorej godziny temu i powiedział, że powinniśmy tu przyjechać. Brama i drzwi wejściowe były tylko przymknięte, a resztę sam widzisz.

- Ktoś wiedział, że leżą tu dwa trupy. Morderca? To mężczyzna do ciebie dzwonił?

- Tak - odpowiedziała Santos.

- Mężczyzna. Więc wczoraj wieczorem był tu ktoś jeszcze i...

- Nie tak szybko - wtrąciła Santos. - Przecież mogło być tak, że on tylko znalazł te ciała, ale z takich czy innych względów nie chce ujawnić swojej tożsamości. Zajmijcie się wszystkim tak, jakby chodziło o samego prezydenta Niemiec...

- Właśnie to zamierzamy. Nie chcemy przecież, żeby nam zarzucono niedbalstwo przy Bruhnsie. Gdybyśmy znaleźli obce DNA, należące do nieznajomej kobiety, która od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku płata nam figle, na pewno wam pierwszym dam znać - odparł Tónnies.

- Ha, ha, ha! Nie ma takiej możliwości. Przecież tamta sprawa już została wyjaśniona. Wyślijcie nam jak najszybciej zdjęcia na posterunek i poszukajcie gdzieś pilota do tego całego systemu alarmowego. Może coś tam się nagrało. Sóren i ja pojedziemy do jego żony przekazać nowiny.

- Pilot do sterowania alarmem zniknął. Szukaliśmy wszędzie. Nie ma - stwierdził z żalem jeden z policjantów.

- Na pewno?

- Ktoś wyjął kabel. Sami zobaczcie.

- Może jest gdzieś drugi? - zapytał Henning.

- Nie. Wszystkie kable prowadzą do tego jednego. Ktoś się na tym dobrze znał. Monitor i pilot były starannie ukryte.

- Może to jego żona - powiedział Jiirgens, pakując swoje narzędzia. - Miała dosyć jego romansów. Wiedziała, że tu z kimś znów się spotka, więc urządziła im sąd.,. Mogła też zlecić to komuś innemu, bo nie sądzę, żeby chciała sobie brudzić ręce. To oczywiście tylko spekulacje. Sami z doświadczenia wiecie najlepiej, że kobieta, której dumę urażono albo miłością wzgardzono, jest zdolna do wszystkiego. Mam rację, Liso? - zapytał.

- Jasne, zwłaszcza gdy gadasz takie bzdury - odparła.

- Kwestię, czy jego żona była w to zamieszana, czy nie, pozostaw, nam, dobrze? - poprosił Henning.

- Niczego innego nie zamierzałem. My tu i tak już skończyliśmy, to znaczy ja skończyłem i już się zmywam.

Gdy wychodzili z domu, Henning zapytał jeszcze:

- Kiedy dostaniemy wyniki badań?

Przed domem zdążyła się już zebrać spora grupa ludzi, włącznie z dziennikarzami z dwóch znanych gazet. Czekali na Henninga i Santos, których już z widzenia znali. Chcieli zrobić zdjęcia i zadać im kilka pytań. Wezwano więcej posiłków, aby obstawić teren posiadłości. Przed domem stał już samochód, a ludzie w szarych kombinezonach czekali tylko na wezwanie, aby odtransportować ciała.

Santos odwróciła się i dyskretnie poleciła policyjnym fotografom, by zrobili zdjęcia tłumu. Podejrzewała, że sprawca mógł stać między gapiami. Potem spojrzała na Henninga i Jiirgensa, wskazując głową w stronę dziennikarzy.

- A z nimi co zrobimy?

- Nic. To nie nasza sprawa. Po prostu ich ignoruj. Nikt z nas tak wcześniej i przed tyloma ludźmi nie będzie

składał oficjalnego oświadczenia. - Henning odwrócił się ponownie do Jiirgensa. - Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie, kiedy...

- Jutro przed południem - przerwał mu Jiirgens.

- Daj spokój. Pytam o wstępne wyniki, a nie o raport z sekcji.

- Zadzwoń do was. Tylko się nie zdziwcie, jak obudzę was w środku nocy. Na razie.

- Panie Henning, tylko krótkie pytanie - zagadnął reporter, który znał Henninga z widzenia. - Czy to prawda, że Bruhns nie żyje?

- Sprawdzi pan to w jutrzejszej gazecie - odrzekł poważnie Henning.

- Odpowie pan? Tak czy nie? To nam wystarczy. Przecież nie chce pan, żebyśmy pisali bzdury, a na pewno coś napiszemy. Inaczej by tu nas nie było.

- To miała być groźba? - zapytał Henning, wpatrując się w dziennikarza.

- Nie. Nic podobnego. - Dziennikarz próbował jakoś wybrnąć z sytuacji. - Ale to nasza praca. Więc? Żyje czy nie?

- Nie. To musi wam na razie wystarczyć. Wieczorem dowiecie się więcej. Teraz tylko tyle. Na więcej informacji musicie czekać.

- Czy oprócz Bruhnsa jest tam jeszcze ktoś?

- Skąd ten pomysł?

- Wszyscy przecież wiedzą, że musi tam być jedna z jego kochanek.

- To wiecie więcej niż ja. Dotąd nie znałem nawet tego domu. Przyjechałem tu kilka minut temu. Pozostawię to więc bez komentarza. Skąd się tu właściwie wzięliście? Skąd o tym wiecie?

- Mamy swoich informatorów.

- Aha. Mnie interesuje jednak, skąd wiedzieliście, że tu coś się stało?

- Anonimowy telefon. To prawda. Przysięgam.
 - Kiedy?
 - Z godzinę temu. Czemu pan pyta?
 - Zadzwoń! bezpośrednio do pana?
 - Tak.
 - Trzeba wszystko z pana wyciągać? Co mówi!?
 - Nie za wiele. Powiedział, żebym pojechał do Schönbergu. Czeka tam na mnie gorąca historia. To wszystko. Zdziwiło mnie tylko, bo zadzwonił pod domowy numer, ale przecież mało kto go zna.
 - A czemu nie ma tu pańskich kolegów z branży?
 - Skąd mam wiedzieć? Jak dla mnie, to nawet lepiej. To tak, jakbym miał wyłączność. Co z jego żoną?
 - A co ma być? Pewnie już kilku z was stoi u niej pod drzwiami.
 - Nie. Z całym szacunkiem, ale przekazywanie złych wieści pozostawiamy policji. Powodzenia i dziękuję.
 - Za co? - zapytał Henning, zaciskając powieki.
 - Za wszystko. Nie napiszemy nic bez potwierdzenia. Moje uszanowanie.
 - Kto w to uwierzy? Ale przeczytam jutro wszystko dokładnie i jeżeli znajdę jakąkolwiek informację, której nie udzieliliśmy, to już nigdy się od nas niczego nie dowiecie. Słyszał pan?
 - Jasno i wyraźnie. Zrozumiałem.
- Santos i Henning odetchnęli, siedząc w samochodzie. Powoli odjechali z miejsca zbrodni.
- Jakie wrażenie? - zapytał Henning po drodze do Ki-lonii, gdzie Bruhns mieszkał z żoną i córką.
 - Nigdy chyba tego nie zapomnę. To było takie... zwyrodniałe. Jak sobie pomyśle, że zadzwonił specjalnie po prasę, żeby zrobili zdjęcia na miejscu zbrodni... Nie. Nawet nie chcę o tym myśleć. Kto robi coś takiego i dlaczego?

- Liso, to nie było zabójstwo z niskich pobudek. Coś się za tym kryje.

- Jak to?

- Daj spokój. Przecież widziałaś.

- Co widziałam?

- Wszystko. Sam nie wiem. Widziałaś, jak sprawca się postarał, żeby to wszystko zaaranżować. Ile wysiłku musiało go to kosztować. Wydaje mi się, że w grę wchodzi coś więcej niż nienawiść, zemsta czy zazdrość. Samo to, jak ich ułożył... Dlaczego nie leżeli po prostu na podłodze? Tak przecież by było po strzale w głowę. I dlaczego Bruhns był taki uśmiechnięty, podczas gdy ta Kerstin wyglądała, jakby bardzo cierpiała? Czemu ona była naga, a on ubrany? Jest tyle pytań i na razie żadnej odpowiedzi.

- Ja również ci ich nie udzielenę, jeżeli tego się spodziewałeś. Do tego ten tajemniczy informator. Zastanawiam się, jaką on odgrywa rolę w tym wszystkim. Jest mordercą? Współsprawcą? A może tylko informatorem? Jak zadzwoni następnym razem, to włączę zestaw głośnomówiący. Może ty coś wywnioskujesz z jego słów.

- Nie sądzę. Poczekajmy na informacje od kryminalistyków i Jiirgensa. To dopiero początek, ale najpierw musimy załatwić sprawę z żoną Bruhnsa. Zawsze idiotycznie się czuję, gdy nie wiem, co powiedzieć, bo przecież nigdy nie wiadomo, jaka będzie reakcja.

Niedziela, godz. 14.50

Zatrzymali się przed domem Bruhnsa. Podobnie jak w Schónbergu, i tu dom otaczał żywopłot. Ten był jednak jeszcze gęstszy i wyższy; cisy sięgały nawet trzech i pół metra. Ciężka żelazna brama również uniemożliwiała oglądanie okazałej posiadłości. Żwirowa droga prowadziła do

domu i garażu. Był to widok, który można zobaczyć tylko w telewizji, w posiadłościach bogaczy. Powoli kończyła się zima. Ogród wyglądający jak park miejscami był już zielony, jednak nie zapierał tchu w piersiach. Lisa wyobraziła go sobie, gdy krzewy są przycięte, a kwiaty obficie kwitną wśród zielonej trawy. To na pewno ogród pełen przepychu.

Dwupiętrowy, jasnożółty dom Bruhnsa miał spiczasty dach i nieproporcjonalnie duże drzwi wejściowe wykonane z ciężkiego, ciemnego drewna. Samo utrzymanie tego domu musiało kosztować majątek, którego Santos i Henning nigdy nie byliby w stanie zebrać. Był to z pewnością jeden z największych i najdroższych domów w najbardziej wytwornej dzielnicy miasta.

- To nie dom, tylko jakaś twierdza - wyszeptała Santos i nacisnęła dzwonek znajdujący się koło inicjałów PB. -Dziwne. Byliśmy w tej okolicy tyle razy, a ja nigdy wcześniej nawet nie zauważyłam tego domu. - Po chwili usłyszeli przez domofon czysty, kobiecy głos.

- Pani Bruhns? - zapytała Lisa.

- Tak. Męża nie ma i nie mam pojęcia, kiedy wróci. Lisa uniosła swoją legitymację do kamery.

- Nazywam się Santos. Policja kryminalna. Kolega i ja chcielibyśmy z panią porozmawiać. Możemy wejść?

- Chwileczkę. Zaraz wyjdę - mruknęła Victoria Bruhns i po chwili wyszła przed dom. Podeszła na odległość mniej więcej trzydziestu metrów do bramy, aby upewnić się, że na pewno nie są to dziennikarze bądź natrętni fani. Zjawiali się czasem przed domem i wymyślali różne rzeczy, żeby tylko poznać Bruhnsa. Victoria Bruhns była drobną, szczupłą kobietą. Nie miała nawet metra sześćdziesięciu wzrostu i tym samym była o głowę niższa od męża. Miała półdlugie blond włosy i brązowe oczy. Z mediów Lisa dowiedziała się niedawno, że żona Bruhnsa skończyła dwadzieścia pięć lat oraz że byli

małżeństwem od trzech lat, a rok temu urodziła im się córeczka.

Victoria była wielką miłością Bruhnsa. To dla niej zmienił swój dotychczasowy styl życia i usatkwował się. Tak przynajmniej mówił w jednym ze swych wywiadów. Santos i Henning widzieli jednak w Schönbergu zupełnie coś innego. Bruhns się nie zmienił. Tacy jak on nigdy się nie zmieniają; nigdy niczego nie poświęcą dla żadnej kobiety, nawet gdy zapewniają ją o swej miłości. Bruhns również niczego nie poświęciłby ani dla kobiety, ani dla przyjaciół, chociaż Lisa podejrzewała, że nie miał żadnych prawdziwych przyjaciół. Zapewne wokół niego kręciło się mnóstwo pseudoprzyjaciół, którzy korzystali z takiej znajomości, ale nic poza tym. Bruhns doskonale wiedział, jak grać w grę zwaną przyjaźnią, w której tak zwany przyjaciel w mgnieniu oka może zamienić się we wroga.

- Państwo naprawdę są z policji? - zapytała z niedowierzaniem Victoria Bruhns, patrząc przez jeszcze zamkniętą bramę. Jej delikatny, prawie aksamitny głos brzmiał nawet przyjacielsko. Santos ponownie uniosła legitymację. Victoria Bruhns przyglądała się jej przez dłuższą chwilę, po czym skinęła głową. Nie wyglądała na zbyt zmartwioną, że przed jej domem stoi policja. Mogło być tego kilka powodów, może nie zmartwiła się, bo często miała do czynienia z policją, chociażby za sprawą natrętnych fanów, którzy podobno codziennie nachodzili ich dom.

- Czy możemy wejść? Chcielibyśmy z panią porozmawiać.

- Czy chodzi o mojego męża? - Po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się cień troski, a może nawet strachu.

- Może porozmawiamy w domu. Na zewnątrz jest jeszcze trochę chłodno.

- Przepraszam. Naturalnie. - Victoria nacisnęła przycisk i otworzyła bramę, po czym zaprowadziła ich

do środka. Brama zamknęła się samoczynnie. Żwir na drodze skrzypiał pod ich butami. Weszli do środka i zatrzymali się w ogromnym holu, gdzie znajdowało się mnóstwo drzwi do innych pomieszczeń oraz kręte schody prowadzące z obu stron na piętro. Masywne drewniane barierki, wszechobecny marmur, rośliny wysokości człowieka i na środku fontanna na złotych kafelkach. To wszystko wyglądało niczym świątynia - tylko takie określenie przyszło Henningowi do głowy, gdy tak stał w przedsionku. Sam rozmiar i przepych robiły niepowtarzalne wrażenie.

Bruhns był niczym półbóg, który na wszystko mógł sobie pozwolić; na wszystko, co tylko było do kupienia, jednakże ktoś miał już tego wyraźnie dość i postanowił zakończyć jego boskie życie. W tej całej sytuacji najgorsze było to, że wraz z nim zginęła osiemnastolatka. Dziewczyna, którą mógł poznać krótko przed śmiercią. Może chciała dzięki niemu zrobić karierę, a zamiast realizacji swoich marzeń doczekała się kulki w głowę. Kerstin Steinbauer z Dusseldorfu. Jej krewni nie zostali jeszcze poinformowani, ale na pewno będą się zastanawiać, dlaczego to właśnie ich córkę, siostrę, siostrzenicę, wnuczkę spotkała taka tragedia. Rodzina i przyjaciele będą ubolewać i opłakiwać jej niepotrzebne odejście.

Śmierć Bruhnsa nie robiła na Henningu takiego wrażenia. Nie był on miłym człowiekiem i w zasadzie codziennie ukazywała się o nim wzmianka w mediach. Miliony go podziwiały, ale jednocześnie miał tyle samo wrogów, a jego życie zakończyło popełnione z zimną krwią morderstwo. Jaki czyn Bruhnsa skłonił zabójcę do takiego ośmieszenia go po śmierci? Zainscenizowane zabójstwo ukazało karykaturę Bruhnsa. Tylko dlaczego Kerstin Steinbauer, która miała jeszcze tyle życia przed sobą, została w to wmieszana? Czy tylko znalazła się

w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiednim czasie? Czy też była częścią całego tego perfidnie zaplanowanego przedsięwzięcia?

Henning skoncentrował się znów na tym, co go tu otaczało. Był to świat, do którego tylko nieliczni mają dostęp. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek w życiu był w podobnym domu. Victoria Bruhns spojrzała na niego pytająco.

- Zapraszam do pokoju. Nie chciałabym zostawiać na długo dziecka samego. Przedwczoraj skończyło roczek.

Henning i Santos weszli do pokoju, który miał około stu metrów kwadratowych i był równie wytworny. Umeblowano go w bardzo eleganckim i prostym stylu, nie pstrokato, ale raczej subtelnie. Wszystko pochodziło z najwyższej półki.

- Urodziny na pewno obchodzili państwo hucznie -zagadnęła Santos.

- Nie. Byli tylko moi rodzice i siostra - odparła z odrobiną smutku w głosie gospodyni.

- A pani mąż?

- On też oczywiście był, ale wczesnym popołudniem musiał jechać do studia, chociaż... Zresztą nieważne. Powinien był zostać dłużej w domu.

Nie zapytała ponownie o męża, zupełnie jakby chciała uniknąć nieprzyjemnej odpowiedzi. Zamiast tego podeszła do córki, która siedziała wśród mnóstwa zabawek. Była tak zajęta, że tylko spojrzała na policjantów, gdy pojawili się w pokoju, i zaraz wróciła do zabawy. Jak na swój wiek miała niesamowicie gęste blond włosy i brązowe oczy. Była odbiciem swojej matki. Śliczna jak z obrazka dziewczynka, z której zapewne wyrośnie piękna młoda kobieta. Zupełnie jak jej matka albo Kerstin Steinbauer. Tylko żeby nie popełniła tego samego błędu... - pomyślała Santos, patrząc na małą.

- Co państwa tu sprowadza? I to w niedzielne popołudnie? - zapytała w końcu Victoria Bruhns, biorąc córkę na ręce. - Zobacz, Pauline, to są policjanci. Obyś w przyszłości nigdy nie musiała mieć z nimi do czynienia - rzekł do córki i z miłością uśmiechnęła się do niej.

- To zrozumiałe. Pani mąż na pewno też jest bardzo dumny z córki - powiedziała Santos, uśmiechając się do dziewczynki, która oparła buzię o ramię swojej mamy. I z poważną już miną dodała: - To właśnie z powodu pani męża tu jesteśmy. Może będzie lepiej, jak usiadziemy.

- Przepraszam, że jeszcze państwu tego nie zaproponowałam. Proszę usiąść. - Wskazała imponujący zestaw wypoczynkowy. Santos i Henning usiedli na skórzanej sofie, natomiast Victoria Bruhns spoczęła na stojącym naprzeciwko nich fotelu, z córką na kolanach. Dziewczynka przytuliła główkę do piersi mamy.

- Co się stało? Zwykle policja przychodzi, jak jego fani oblegają nasz dom. Czy coś się stało Peterowi? - zapytała Victoria Bruhns i nieznacznie nerwowo kiwnęła głową.

- Pani Bruhns, niestety, musimy przekazać pani złą wiadomość. Pani mąż nie żyje - odpowiedziała pełnym współczucia głosem Santos, po czym mogła już tylko patrzeć na reakcję. Lecz nie było żadnej. Victoria Bruhns słyszała jej słowa, lecz zachowywała się, jakby wcale do niej nie dotarły. Słowa Santos pozostały bez echa. - Wracamy właśnie z jego domu w Schönbergu, gdzie znaleziono zwłoki.

Victoria Bruhns nic nie powiedziała. Jej twarz była niczym maska. Głaskała włosy córeczki i tuliła ją, jakby w niej szukała oparcia. Bez płaczu. Bez krzyku. Tylko ta przejmująca cisza, która ogarnęła wszystko niczym mgła. Santos i Henning dali jej chwilę na zrozumienie, co się właściwie wydarzyło. Z pewnością upłyną dni, tygodnie, jeśli nie miesiące, zanim przetrawi to i nauczy się z tym żyć.

Santos spojrzała na Henninga i w tej samej chwili Victoria Bruhns powiedziała bardzo spokojnie:

- Tak, podejrzewałam, że to się może wydarzyć. Wierzcie lub nie, ale spodziewałam się, że pewnego dnia coś się stanie. Jak umarł? To był wypadek? Czy został zamordowany? - Ostatnie pytanie zadała ciszej, ale tak jakby nic innego nie wchodziło w rachubę. Było to raczej stwierdzenie, a nie pytanie.

- Skąd przypuszczenie, że mógł zostać zamordowany?

- Państwo wybaczą, że nie będę płakać ani krzyczeć, ale... - Wstała i posadziła córkę wśród zabawek, pogłaskała po główce i szepnęła jej coś do ucha. Wróciła do Santos i Henninga i stała przez moment, ale dziecko zaczęło płakać. Podeszła więc do córki i chwilę przemawiała do niej uspokajającym tonem. Potem odwróciła się do policjantów. - Nie było dnia, żeby mu nie grożono. A jak państwo myślą, dlaczego dom wygląda jak twierdza? Wszystko ma swój powód. Nawet to więzienie, z którego nie mam jak wyjść...

- Co prawda nie wiemy jeszcze, co się naprawdę wydarzyło, ale wygląda na to, że pani mąż padł ofiarą zbrodni - weszła jej w słowo Lisa. - Naprawdę, bardzo nam przykro - podkreśliła i faktycznie tak myślała. Szkoda jej było kobiety, która była taka opanowana i spokojna, i już na pierwszy rzut oka wzbudzała sympatię.

- Był sam? - zapytała Victoria Bruhns, ale wyglądało na to, że zna odpowiedź na to pytanie.

- Nie. Miał gościa - odparła Santos. Victoria Bruhns skrzywiła się lekko.

- Domyślam się, że była to młoda, atrakcyjna kobieta. Proszę powiedzieć mi prawdę i nie obchodzić się ze mną jak z jajkiem. Jak już mówiłam, spodziewałam się takiej wiadomości. Peter żył własnym życiem i nikogo do siebie nie dopuszczał, nawet mnie. Co prawda zawsze

podkreślał, jak bardzo mnie kocha, ale już dawno przestałam w to wierzyć. Za często mnie oszukiwał i zdradzał. Przepraszam, że tak o nim mówię, ale to prawda. Ja jestem znana z tego, że mówię prawdę i nic nie ukrywam. Odkąd urodziła się Pauline, prawie nie bywał w domu. Zona i dziecko, które wymagały jego uwagi, to było dla niego za dużo. Oznaczało utratę wolności. Nigdy nie robiłam mu wyrzutów, a zdarzało się, że znikał gdzieś na kilka dni i wcale się nie odzywał. Nie było z nim kontaktu. Nawet nie odbierał komórki. Całymi dniami nie wiedziałam, gdzie jest i co się z nim dzieje. Po jakimś czasie po prostu się przyzwyczaiłam. Nawet nie spodziewałam się już, że odbierze telefon. - Mówiąc to, odgarnęła włosy z czoła.

Tymczasem Pauline potarła kilkakrotnie oczy i usnęła. Victoria Bruhns ułożyła córkę wśród zabawek i przykryła kocem, po czym wróciła do policjantów.

- Już od dawna nie jesteśmy parą. Chyba że dla mediów. Wszystko to było tylko na pokaz. Całe jego życie to jeden wielki show. I te ciągłe informacje, że znów go gdzieś widziano u boku nowej kobiety albo nawet dziewczyny. Proszę mi wierzyć, że to wszystko nie minęło bez echa. Wtedy pomyślałam nawet, że lepszy jest przerażający koniec niż przerażenie bez końca. Nawet rozmawiałam z nim o rozstaniu, powiedziałam, że dłużej tego nie zniosę. Kilka dni temu oświadczyłam, że się wyprowadzę. - Westchnęła, po czym usiadła, założywszy nogę na nogę. Łzy popłynęły jej z oczu. Otarła je dłonią i wbiła wzrok w podłogę.

- Jak na to zareagował?

- Jak zareagował? - powtórzyła pytanie. Spojrzała na policjantów i zacisnęła palce na oparciu fotela.

- Naprawdę chcecie wiedzieć?

- Tak.

Odwróciła wzrok.

- Śmiał się i powiedział, że się nie odważy, a jeżeli tak, to słono za to zapłaci. Zagroził, że nigdy nie zobaczę Pauline; że ma władzę i pieniądze i że mi ją na zawsze odbierze. Jak on wtedy na mnie patrzył. Przestraszyłam się, że mógłby mi nawet zrobić coś złego. Pierwszy raz naprawdę się go bałam.

- Nigdy nie troszczył się o córkę, ale jak zagroziła pani, że odejdzie, to gotów był odebrać pani dziecko? -zapytała Santos.

- Nie zna pani Petera. On jest zdolny do wszystkiego. To znaczy był zdolny do wszystkiego. Nie potrafił kochać, za to był wyjątkowo nikczemny. Nie byłabym ani pierwszą, ani ostatnią, którą zniszczył. Nawet nie chodziłoby mu o dziecko, tylko o to, żeby mnie poniżyć. Szkoda, że umarł w wieku czterdziestu dziewięciu lat, ale daję słowo, wiele razy chlubił się tym, że zniszczył życie wielu ludziom.

- Potraktowała pani serio tę jego groźbę? - dociekała Lisa.

- Tak. Bardzo się przestraszyłam - odrzekła poważnie. - Znalazłam wyjście z sytuacji. Jak odejść, ale tak żeby mogła być z Pauline. Przecież ona wcale go nie obchodziła. Zatrudniłby jakąś opiekunkę do niej, a potem wysłał do szkoły z internatem, żeby nie wchodziła mu w drogę. Poza tym od lat nie miał kontaktu z piątką swoich dzieci z poprzednich związków. Płacił im tylko alimenty, ale to wszystko. Zresztą nawet jak był w domu, to nie zajmował się Pauline. Nie pamiętam nawet, kiedy miał ją ostatnio na rękach. Tak właśnie było. Nigdy go nie obchodziłyśmy. Jemu zależało tylko na forsie.

- Jak więc chciała pani wybrnąć z tej sytuacji, jeśli mogę zapytać? Delikatny uśmiech zagościł na twarzy Victorii.

- Powiedzmy, że mam coś, czym mogłam wyrzucić na nim presję, ale to jest teraz bez znaczenia.

- A co to takiego?

- Nie chciałam o tym mówić, ale z pewnością zepsułyby to jego dobre imię.

- Czy on o tym wiedział?

- Nie, na pewno nigdy by się nie spodziewał, że taka głupia gąska jak ja mogłaby... Ale to już nieaktualne. Jednak nigdy w życiu nie posunęłabym się do tego, żeby go zabić, bo państwo pewnie myślą, że

...

- Nie. Tego nie podejrzewaliśmy... - odparła Santos.

- A gdzie była pani wczoraj około północy? - przerwał jej Henning, którego nie interesowały opowieści o małżeństwie Bruhnsa. Przyglądał się tej młodej, pięknej kobiecie z twarzą pełną wyrazu. Jej duże brązowe oczy i delikatne, zaokrąglone usta musiały robić wrażenie na każdym mężczyźnie. Pod tym względem, pomyślał, była bardzo podobna do Lisy, jednak ten skurwiel Bruhns tego nie doceniał.

- Czekałam na to pytanie. Byłam tu, a gdzie miałabym być? Rozmawiałam przez telefon z moją siostrą do pierwszej w nocy. Mogą to państwo łatwo sprawdzić...

- Gdzie mieszka pani siostra?

- Niedaleko stąd. W Eckernförde. Ufam jej i mam w niej oparcie. Chciałabym jedno wyjaśnić: nie czułam do swojego męża nienawiści; po prostu zaakceptowałam, że nie jest tym, kim był, gdy go poznałam. Dlaczego miałabym go więc zabijać?

- Przedstawiła nam już pani wystarczające powody. Sprawdzimy to alibi i jeżeli się potwierdzi, nie ma się pani czego obawiać. Kto odziedziczy majątek?

Victoria Bruhns wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Gdy zagroziłam, że odejdę, dostałam pięć milionów, jednak musiałam się zobowiązać, że już nigdy publicznie nie będę rozmawiała z nikim o naszym związku. Chciał tego, ponieważ miał złe doświadczenia

z poprzednich trzech małżeństw. Nie mam pojęcia, co z tym wszystkim teraz będzie, ale to bez znaczenia. Przynajmniej teraz. Nawet nie wiem, czy sporządził testament.

- Wspominała pani o licznych wrogach i groźbach. Czy ostatnio wydarzyło się coś szczególnego? Czy mąż wszystkie te groźby traktował poważnie?

- Nie, uważał, że nikt mu nie wyrządzi krzywdy. Próbowałam z nim o tym rozmawiać, ale on nie traktował mnie poważnie. W końcu byłam tylko głupiutką kobietką, od której nic nie chciał, a już na pewno nie potrzebował żadnych rad. To prawda, że mogłabym być jego córką. Dał mi to odczuć wielokrotnie, bo traktował mnie jak małą, naiwną dziewczynkę. - Pokiwała głową i dodała: - Sama wiem. Głupia krowa ze mnie. Z pewnością pomyślicie, że wyszłam za niego dla pieniędzy, ale to nieprawda. Ja naprawdę w nim się zakochałam. Potrafił być taki szarmancki. Przynajmniej na początku, bo jak już mnie zdobył, to pokazał mi swoją prawdziwą twarz.

- Nie uważamy, że jest pani głupia czy naiwna. Ale śmierć męża specjalnie pani nie zasmuciła - stwierdził Henning i z ciekawością obserwował jej reakcję.

Ich spojrzenia się spotkały. Wzruszyła ramionami.

- Może smutek jeszcze przyjdzie, ale ma pan rację, w tej chwili nie jestem smutna. Ta wiadomość nie zaskoczyła mnie, a przez ostatnie półtora roku bardzo się od siebie oddaliliśmy. Nie było szans na powrót do tego, co było kiedyś. Teraz myślę tylko, jak szybko i bez żadnego uszczerbku z tego wyjść. Jednocześnie wiem, że za bardzo mnie zranił, żebym miała go teraz oplakiwać.

- Czy był wobec pani agresywny? Victoria Bruhns milczała przez chwilę.

- Tak. Zdarzało się, że mnie uderzył. Czasem nawet było ostrzej. Nieraz stawał się nieobliczalny, ale o tym wiedzieli tylko najbliżsi. Media przedstawiały go w innym

świetle. Zabawiał tłumy. Był szarmancki, czasem zabawny, a czasem poważny. W rzeczywistości był najbardziej rozdartym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam. Pod koniec nie umiałam go już nawet kochać. Dzieliła nas przepaść, wypełniona pogardą i nienawiścią...

- Przecież przed chwilą pani powiedziała, że nie czuła do męża nienawiści - zauważyła Santos.

- Tak, to prawda, ale bywały momenty, w których go nienawidziłam. Zdarzało się tak wtedy, gdy nie panował nad sobą, gdy krzyczał albo był agresywny. Wiem, pomyślicie, że nienawiść może być powodem zabójstwa, ale ja naprawdę nie miałam nic wspólnego z jego śmiercią. Czy mogę zapytać, jak zginął?

- Został zastrzelony.

- Ile miała lat ta kobieta, która z nim była? - zapytała innym głosem, jakby spodziewając się odpowiedzi.

- Niedawno skończyła osiemnaście. Victoria Bruhns zmarszczyła czoło.

- Osiemnaście?! Mój Boże, ja w wieku osiemnastu lat nie miałam nawet chłopaka. Byłam wtedy taka naiwna i niedoświadczona. Potem poznałam Petera. To było niecałe cztery lata temu, na castingu...

- Jaki to był casting? - zapytała Santos.

- Poszukiwano aktorów do nowego, ale, jak się okazało, niezbyt udanego serialu. Peter był jednym z jurorów, mimo że nie zna się na aktorstwie. W każdym razie pewnego razu porozmawialiśmy i później wszystko potoczyło się bardzo szybko. Zanim się spostrzegłam, zostaliśmy małżeństwem. Było jak w raju. Obsypywał mnie prezentami, dużo podróżowaliśmy, a potem zaszłam w ciążę... - Westchnęła i spojrzała na śpiące dziecko. - Miał kochanki. Jedną po drugiej. Odkąd zaszłam w ciążę, nie dotknął mnie. Jednak nie pozwolił mi odejść, bo to zaszkodziłoby jego wizerunkowi, rozumieją państwo.

Byłam jego czwartą żoną, zależało mu więc, żeby zaistnieć w opinii publicznej jako wierny mąż. Tak naprawdę był mistrzem manipulacji. W jednej chwili był miły, szarmancki i przyjacielski, by zaraz zmienić się w agresywnego, poniżającego innych cynika. Wszystko zależało od tego, z kim miał do czynienia. Wiedział doskonale, jak się ustawić, dla kogo być miłym, a kogo niszczyć.

- To był pani pierwszy partner?

- Niestety, tak. - Westchnęła ponownie i dodała: - Zastanawiają się państwo, dlaczego tak długo tolerowałam jego wybryki? Mama mnie ostrzegała. Zawsze mówiła, żebym nie wychodziła za mąż za pierwszego mężczyznę, nawet gdyby miał mnóstwo pieniędzy. Była wychowana w duchu skrajnego konserwatyzmu i dlatego też sama popełniła taki błąd. Teraz wiem, że miała rację. Dziś każdej kobiecie mogę doradzić to samo co ona wtedy mnie.

- Co pani mąż robił wczoraj wieczorem?

- Nie wiedzą państwo? - zapytała zdziwiona. - Był na nagraniu swojego programu. Jest jurorem w tym castingu i...

- To już wiemy, ale chcieliśmy, by to pani potwierdziła. Gdzie nagrywają ten program?

- W Hamburgu. To program na żywo, ale dopiero w ostatnich trzech odcinkach widzowie mogą głosować na swoich kandydatów. W ten sposób wybierają, kto odpada, a kto przechodzi dalej. Ten program jest bardzo podobny do *Idola*... Peter zawsze kopiował czyjeś pomysły, bo swoich nie miał. Stacji telewizyjnej było bez różnicy, więc zmienili tylko kilka drobiazgów i tak powstał program Petera. Nie oglądałam wczorajszego odcinka. Szczerze mówiąc, nie obejrzałam z tej serii ani jednego, więc nie mam za dużo do powiedzenia na ten temat. Jeszcze trzy lata temu, gdy Peter zaczynał ten program, siedziałam z niecierpliwością przed telewizorem w każdą sobotę. Ale to

tylko show, i to kiepski, dlatego po pewnym czasie zdecydowałam, że inaczej zagospodaruję sobie ten czas.

- My również nie znamy tego programu - przyznała Santos.

- Niczego państwo nie stracili.

- O której się kończy? - zapytała Santos, chcąc potwierdzić informacje uzyskane od Hinrichsena. Jednak Victoria pokręciła głową.

- Niestety, nawet w tym nie umiem państwu pomóc. Musiałabym zobaczyć w gazecie. Najlepiej byłoby, gdybyście państwo sprawdzili w stacji telewizyjnej.

- Dobrze. Tak też zrobimy. Po nagraniu pewnie od razu jeździł do Schónbergu, co oznaczałoby, że...

- Nie, nie. Samochodem jeździł tylko po Kilonii i okolicy. W miejsca oddalone o pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kilometrów przemieszczał się helikopterem albo awionetką. Nie lubił marnować czasu i uwielbiał to podkreślać.

- Czy sam je pilotował?

- Co prawda miał kurs pilotażu, ale do obu maszyn zatrudnił pilotów.

- Czy mówił pani, co zamierza robić po nagraniu?

- Nie. Już od dawna nie rozmawialiśmy na ten temat. Zresztą ja go nawet nie pytałam. Przychodził i odchodził, kiedy chciał.

- A służba? Zatrudniacie tu państwo służbę?

- Oczywiście, ale od nich niczego się państwo nie dowiedziecie. Będą milczeć jak grób. Każdy z nich musiał podpisać umowę, zgodnie z którą zachowają milczenie nawet w wypadku ewentualnego zwolnienia. Peter był nieugięty, jeżeli o to chodzi. Z tego powodu nikt nie udzielił żadnych informacji na temat tego, co się działo w domu. Poza tym wszystko, co ważne, rozgrywało się za zamkniętymi drzwiami. Proszę mi wierzyć... - Zająknęła się i utkwiała wzrok w jakimś odległym punkcie. - Nie, nie chcę o tym

rozmawiać. Nie teraz. Może innym razem. W odpowiednim czasie... Poza tym to nie ma żadnego związku ze śmiercią mojego męża.

- To nie brzmi dobrze - zauważyła Santos. - Ta umowa o milczeniu, o której pani wspomniała, wraz ze śmiercią pani męża straciła ważność. Jeżeli będzie to konieczne, to wezwiemy każdego z nich z osobna na komendę. Musimy się dowiedzieć, jaki był pani mąż nie tylko dla pani, ale też dla innych ludzi, którzy go otaczali, w tym także dla służby. - Po krótkiej przerwie dodała: - Co teraz pani zamierza?

- Trudno powiedzieć. Zobaczymy, co się wydarzy. Jak na razie nie mam pojęcia.

- Wie pani może, kto wyjątkowo źle mówił o mężu?

- Tak, napiszę państwu.

Po chwili wręczyła Santos kartkę z siedmioma nazwiskami. Santos je przejrzała i pokiwała głową. Wszystkie znała. Nie osobiście, ale o wszystkich tych osobach albo czytała, albo coś już słyszała. Dwie z nich widywała ostatnio w telewizji.

- Gdyby o czymś sobie pani przypomniała, bardzo proszę do mnie zadzwonić - powiedziała Santos, wręczając Victorii Bruhns wizytówkę. - O każdej porze.

- Oczywiście. Ja naprawdę nie mam nic wspólnego z jego śmiercią.

- Sprawdzimy pani zeznania i skontaktujemy się. Proszę na siebie uważać.

- Co może mi się stać w tym więzieniu ze wzmocnioną ochroną?

Victoria Bruhns odprowadziła Santos i Henninga do bramy. Patrzyła, jak wsiadają do samochodu i odjeżdżają. Stała przez chwilę, a potem pobiegła do domu. Wpadła do środka i oparła się o drzwi, serce waliło jej jak szalone. Nagle łzy popłynęły jej z oczu. Coś w niej pękło, jak pęka

tama na wezbranej rzece. Osunęła się na podłogę i płakała jak nigdy dotąd. Nawet nie wiedziała, czemu płacze.

Niedziela, godz. 16.35

Santos i Henning nie zdążyli jeszcze wejść do biura, a już zostali powitani przez Volkera Harmsa, ich przełożonego, oraz prokuratora Rut era. Zupełnie jakby ci czekali na nadejście tego niepokonanego duetu, jak nazywali Santos i Henninga znajomi.

- Cóż to za powitanie. - Henning nie darował sobie tej uszczypliwej uwagi skierowanej do prokuratora, którego nie darzył sympatią. Nie było nikogo innego, kogo by tak nie lubił. Riiter objął stanowisko dwa lata temu po swym poprzedniku Sturmie, u którego znaleziono kokainę i dziecięcą pornografię. Z tego powodu Sturm zrezygnował ze stanowiska, zapłacił grzywnę oraz dostał wyrok w zawieszeniu. Chociaż Henning nie cierpiał Riitera, podał mu rękę na powitanie. -I to w niedzielę?

Riiter odpowiedział mu z lekko wyniosłym uśmiechem.

- No cóż, w pewnych sytuacjach nawet prokurator musi czasem poświęcić niedzielę. Nie siedzimy i nie pierdzimy w stołki, chociaż tak się o nas mówi. Ale dajmy już spokój z tymi pogaduszkami. Lepiej opowiedzcie, czego już się dowiedzieliście. Najlepiej usiądźmy sobie, bo jestem już dziś po porannym dwugodzinnym joggingu i po basenie. Spędziłem też trochę czasu w saunie, więc jestem wykończony.

- To zupełnie jak Bruhns, tylko on chyba jest bardziej wykończony - zauważyła Santos, która również nie znosiła aroganckiego Riitera. Nie obchodziło jej, jak bardzo wysportowany jest prokurator, zwłaszcza po tym wszystkim, co mieli dziś za sobą.

- Pani Santos, pani błyskotliwość zbija z nóg. Proszę usiąść - zaproponował Riiter, wskazując fotel w pokoju konferencyjnym, w którym to najpóźniej jutro rano będzie roiło się od policjantów omawiających dzisiejsze wydarzenie. Była to na pewno jedna z większych akcji, mimo że wcześniej mieli już do czynienia z seryjnym mordercą, który w całej historii kryminalnej zasłynął jako jeden z najgorszych. Lecz jeśli chodzi o Bruhnsa, ważne było coś innego. Był on osobą publiczną i dlatego nawet po śmierci musiano traktować go jak jakąś figurę. Z tego też powodu na posterunku zjawił się sam Riiter. Jako prokurator powinien podczas wszystkich ważnych akcji nadzorować pracę policji, ale w ciągu dwóch lat, odkąd objął to stanowisko, nigdy tego nie robił. Santos i Henning doskonale wiedzieli, że jego obecność wiąże się z ciągłymi pytaniami dotyczącymi dochodzenia oraz poleceniem, żeby wszystko przyspieszyć...

- Co wiadomo do tej pory? - zapytał Riiter, gdy tylko Santos usiadła.

- Około pięciu godzin temu pojechaliśmy na miejsce zbrodni - odparł Henning. - Kryminaliści pewnie jeszcze tam są. Profesor Jürgens zajął się zwłokami, a my pojechaliśmy do pani Bruhns i...

- Wszystko pięknie - przerwał mu Rüter, machając ręką. - Chciałbym jednak usłyszeć pańską opinię. Co pan o tym myśli?

- Dopóki nie mamy punktu zaczepienia, nic nie myślę. Faktem jest, że ciała zostały ułożone w dziwaczny sposób. Czy zdjęcia już doszły?

Harms przytaknął.

- Są u mnie w biurze - mruknął. Obecność Rüterera na pewno nie była mu na rękę.

- Skoro widzieliście już zdjęcia, to raczej nie muszę nic więcej mówić o miejscu zbrodni - zauważył Henning, krzyżując nogi i zakładając ręce za głowę.

- Mimo wszystko chciałbym usłyszeć z pańskich ust, co pan sądzi o tej sprawie. No, chyba że wymagam za dużo?

- Owszem. Są to jak na tę chwilę wygórowane wymagania, bo na razie nic o tej sprawie nie sędzę - odpowiedział trochę agresywnie Henning. Zaplótł palce rąk i spojrzał wyzywająco na prokuratora. Ruter odwrócił wzrok. - Jak dotąd nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Nie wiemy, kto mógłby być sprawcą. Nie wiemy nawet, gdzie go szukać i czy była to jedna, dwie, czy też więcej osób. Nie mamy zielonego pojęcia, czy Bruhns znał swego zabójcę. Jedyne, co mamy, to dwa trupy i zeznania żony Bruhnsa. Musimy jednak sprawdzić jeszcze jej alibi. Jednocześnie wykluczamy prawie na sto procent jej udział w zabójstwie. Nie udało nam się jeszcze ustalić, co Bruhns robił wczoraj po powrocie z Hamburga...

- Co pan ma na myśli? - przerwał mu Ruter. - Co on robił w Hamburgu?

Henning oparł się wygodniej.

- Bruhns był wczoraj jurorem w swoim programie transmitowanym na żywo. Według informacji policjanta, który jako jeden z pierwszych dotarł na miejsce zbrodni, program skończył się około dwudziestej pierwszej trzydzieści...

- Dwudziestej pierwszej trzydzieści? A co na to pani Bruhns?

- Zapewniała nas, że nie oglądała tego programu. Mogę mówić dalej?

- Proszę.

- Wygląda na to, że zaraz po programie wsiadł w swój helikopter i poleciał do Schönbergu, ściśle mówiąc do Holtenau, a stamtąd samochodem do Schönbergu. I tu znajdujemy się w miejscu, gdzie...

- Skąd te wnioski?

- Z badania profesora Jürgensa, który stwierdził, że Bruhns i jego towarzyszka zginęli między północą a drugą w nocy. Możliwe, że Bruhns odwiedził jeszcze inne miejsca, ale to mało prawdopodobne. Proszę dać nam jeszcze kilka godzin, a na pewno zdobędziemy więcej informacji. Jak już mówiłem, mamy dwa ciała i nic poza tym; żadnego listu pożegnalnego, niczego, co mogłoby nam dać jakieś wskazówki bądź potwierdzić, że nie było to zabójstwo. Chociaż profesor Jürgens znalazł na rękach Bruhnsa ślady prochu. Będzie pan tak uprzejmy i da nam trochę czasu na analizę wszystkich informacji.

- Chwileczkę, nie tak szybko. Co to znaczy, że znaleziono ślady prochu na zwłokach Bruhnsa?

- Proszę zapytać profesora Jürgensa; to on znalazł te ślady na miejscu zbrodni. Nam powiedział jednak, że było to zaaranżowane, co zresztą widać na zdjęciach. Ktoś włożył w to dużo pracy i wygląda na to, że sporo radości sprawiło mu zaaranżowanie tej sceny.

- Panie Henning, obaj wiemy, że Bruhns nie był byle kim, ale jedną z najbardziej znanych osób w całych Niemczech. Gdyby zapytał pan kogokolwiek, kto jest ministrem spraw zagranicznych, nie uzyskałby pan odpowiedzi. Ludzie mylą Steinmeiera ze Steinbriickiem. Ale ci sami ludzie wiedzą doskonale, kim był Bruhns. Według ostatnich sondaży znało go ponad dziewięćdziesiąt procent ankietowanych. Nieważne, czy był lubiany, czy nie. Teraz chodzi o to, żeby jak najszybciej znaleźć sprawcę i podać to do wiadomości publicznej.

- Koleżanka Santos i ja zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby szybko wyjaśnić tę sprawę, ale pan musi nam zapewnić spokój.

- Ależ oczywiście - rzekł Rüter, skubiąc krawat. Oblizał usta. Przez ułamek sekundy na jego twarzy pojawił się charakterystyczny arogancki uśmieszek. - Macie tydzień.

Dokładnie za tydzień chcę wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za ten obłąd albo przynajmniej do jakich osób zawężyły się podejrzenia. Jak już podkreślałem w rozmowie z panem Harmsem, weźcie tylu ludzi, ile potrzebujecie. Zorganizujcie grupę dochodzeniową, myślę, że trzydzieści osób na początek wystarczy.

Henning kilkakrotnie odetchnął głęboko, aby nie stracić panowania nad sobą i powiedział jak najspokojniej:

- Panie Riiter, to policja, a nie jakiś cyrk. Nikt tu nie wyczaruje królika z kapelusza, a już na pewno nie mordercę...

- Nikt tu nie mówi nic o czarach. Mówię o dochodzeniu. Bruhns miał mnóstwo wrogów i przypuszczam, że ostatnio przybył mu jeszcze jeden.

Henning zaśmiał się, pokiwał głową i aż podskoczył.

- Proszę wybaczyć panie Riiter, ale zupełnie nie wiadomo, czy Bruhnsa zamordował nowy wróg, czy też to ktoś, kto znał go od lat i tylko czekał na odpowiednią chwilę. Jeżeli pan pozwoli, to wolelibyśmy zebrać fakty, a nie polegać na hipotezach. Poza tym otrzymaliśmy od jego żony listę nazwisk, które chcielibyśmy sprawdzić. Chodzi oczywiście o osoby, które nie wyrażały się o nim pochlebnie. Może wśród nich znajdziemy mordercę albo zleceniodawcę, bo równie dobrze mogło to być zabójstwo na zlecenie.

- Nie chciałbym państwu mówić, jak prowadzić śledztwo. Zresztą jest mi to obojętne, ale chcę mieć na biurku wyniki. Przypominam tylko, że śledztwo zaczyna się od spekulacji, teorii i hipotezy. W końcu tworzy się motyw, z hipotezy biorą się fakty i sprawca jest już na haczyku.

- Dlaczego wywiera pan na nas taki nacisk? Przecież dobrze pan wie, że w naszej pracy nie ma nic gorszego niż presja. Przez to popełnia się większość błędów...

- Zrobimy, co w naszej mocy, panie Ruter - przerwał im Harms, który zauważył, że Henning aż gotuje się ze złości. Chciał uniknąć sytuacji, w której jeden z jego najlepszych ludzi powie coś, czego potem będzie żałował. Z twarzy Santos również można było wyczytać złość, ale nie tylko. Zmartwiło ją, że Riiter dał im tydzień na odnalezienie sprawcy. To było raczej niespotykane. Nigdy wcześniej nikt w ich wydziale nie otrzymał ultimatum ze strony prokuratury. Harms był bezradny. Wydawał się spokojny i opanowany, ale to były tylko pozory. Nie chciał okazać przed Riiterem słabości. Trzydziestoletnie doświadczenie nauczyło go, żeby nie zadawać prokuratorom zbędnych pytań, a już na pewno ich nie prowokować.

- Ma się rozumieć. Mógłbym jeszcze tylko spojrzeć na listę tych nazwisk?

- Oczywiście - odparła Santos, po czym wyjęła kartkę i podała mu.

Riiter przejrzał listę.

- Oprócz jednego, znam wszystkie - powiedział. - Radzę zachować ostrożność, bo z tymi ludźmi nie ma żartów. Każdy z nich dysponuje nie tylko władzą i licznymi wpływami, ale ma również masę pieniędzy. - Ponownie spojrzął na listę i pokiwał głową. - Nie, mimo najszczęśliwszych chęci nie mogę sobie wyobrazić, żeby któryś był mordercą. Proszę informować mnie na bieżąco. I jeszcze jedno: czasami nawet najlepsze nie jest wystarczająco dobre. Polegam na panu, Henning. Jest pan znany z tego, że ma pan nosa do takich spraw.

Riiter wstał, wygładził marynarkę i chciał już odejść, gdy zatrzymały go słowa Henninga.

- Odpowie mi pan na jedno pytanie?

- Jeżeli tylko zdołam.

- Skąd ten pośpiech?

- Myślę, że to już wyjaśniłem. Miłego dnia.

- Nie, nie wyjaśnił pan. Wiadomo, że Bruhns należał do najbardziej popularnych ludzi w Niemczech, ale będziemy prowadzić dochodzenie tak długo, aż znajdziemy prawdziwego sprawcę. Jeżeli nawet zajmie to więcej niż siedem dni, siedem tygodni czy też siedem miesięcy. Nie potrzebny nam przecież kozioł ofiarny, który z tą sprawą nie ma nic wspólnego, prawda?

Ruter odwrócił się, oparł ręce na stole i popatrzył zimno na Henninga.

- Nie wiem, co pan insynuuje, ale proszę się liczyć ze słowami.

- Niczego nie insynuuję. Nie śmiałbym. Ale siedem dni to zaledwie sto sześćdziesiąt osiem godzin; mało jak na zabójstwo, gdzie zapewne będą setki podejrzanych oprócz tych siedmiu z listy pani Bruhns.

- Panie Henning, macie siedem dni i to się nie zmieni. Jeżeli do niczego nie dojdziecie, to będziemy musieli wymyślić coś innego i mam nadzieję, że wyrażam się jasno. A na razie będzie pan szefem grupy dochodzeniowej i jako szefa darzę pana pełnym zaufaniem.

- Jestem zaszczycony, ale może ma pan już jakiś pomysł, w jakim kierunku powinniśmy prowadzić dochodzenie? To naprawdę ułatwiłoby nam pracę... - powiedział Henning, nie mogąc powstrzymać się od sarkazmu.

- Za dochodzenie odpowiedzialny jest pan i pański wydział. Ja oczekuję tylko tego, że będę informowany na bieżąco oraz że jak najszybciej wylądują na moim biurku wyniki dochodzenia.

- Oczywiście, będziemy pana informować, jak zawsze. Może, żeby nie tracić już czasu, którego jest cholernie mało, weźmiemy się do pracy, bo zostało nam już tylko sto sześćdziesiąt osiem godzin.

- Powiem panu coś jeszcze, panie Henning, i tym samym uznam naszą rozmowę za zakończoną. Nawet jeżeli

zabrzmi to cynicznie, nie mamy tu do czynienia z jakimś Schultzem, ale z Bruhnsem. Są ludzie, którzy nawet po śmierci zasługują na lepsze traktowanie i do nich właśnie należy Bruhns, i to nawet jeżeli nie darzę go sympatią, a tak, proszę mi wierzyć, właśnie jest. Niestety, ja również mam swoje zobowiązania i myślę, że tym razem się zrozumieliśmy. Panie Harms, czy moglibyśmy zamienić słówko w cztery oczy? - Riiter zwrócił się do Harmsa tonem nie-znoszącym sprzeciwu.

- Naturalnie, zapraszam do mojego biura.

Gdy tylko obaj mężczyźni opuścili salę konferencyjną, Henning powiedział do Santos:

- Co to było? Chyba tu czegoś nie rozumiem. Czy coś mnie ominęło?

- Nie wiem, ale zdenerwowałeś naszego szanownego pana Riitera.

- Ja go zdenerwowałem? Przepraszam bardzo, ale to ten gnojek zdenerwował mnie. Czy tylko mnie wydaje się to podejrzanym, że dał nam siedem dni, żeby...

- Daj spokój. Nie zauważyłeś, że o mało mnie szlag nie trafił? Ale ja, w przeciwieństwie do ciebie, umiem się kontrolować...

- Jeszcze mnie nie widziałaś, gdy się nie kontroluję.

- Ależ owszem! Sóren, mogłeś się choć trochę opanować. Wiesz, jaki arogancki potrafi być Riiter. To go bawi, a ty dałeś się wciągnąć w te słowne przepychanki. Zwykle „tak” załatwiłoby sprawę i poszedłby zadowolony, ale ty oczywiście musisz się stawiać. Dorośnij w końcu!

Henning machnął nerwowo ręką.

- I ty, Brutusie? Ten idiota nie skończył nawet czterdziestu lat, a zgrywa ważniaka. Może i zna wszystkie paragrafy na pamięć, ale o naszej pracy nie ma zielonego pojęcia. Został prokuratorem w wieku trzydziestu sześciu lat,

bo ma starego w Bundestagu. Też bym chciał mieć ojca na stanowisku.

- Po co? Żeby być taki jak Riiter? Wtedy nie byłibyśmy razem, to pewne! Możemy go nie znosić, ale musimy wykonywać jego polecenia. Dlatego postarajmy się.

- A co możemy? Powiem ci coś, wygląda na to, że on chce szybko znaleźć sprawcę, a ja mam dziwne przeczucie, że jest mu obojętne, kto to będzie. Riiter chce kozia ofiarnego, i tyle; i to nie będzie pierwszy raz, gdy skazą kogoś niewinnego. Pamiętasz tę sprawę Mandy z okolic Oberfranken, kiedy skazano na więzienie niedorozwiniętego umysłowo? Chociaż ciała nigdy nie odnaleziono i były dowody na to, że ona wciąż żyje... W czymś takim nie chcę brać udziału...

- Tylko że tym razem mamy ciało, a nawet dwa - poprawiła partnera Santos. - Ale wiem, o co ci chodzi. Też uważam, że za wszelką cenę potrzebuje wyników. Media byłyby zadowolone, opinia publiczna też, a on odnotowałby kolejny sukces.

- Dobra, zostawmy już to. Nie chcę nic zarzucać Ruterowi. Trzeba powiadomić krewnych Kerstin Steinbauer. Mogłabyś porozmawiać z policją w Dusseldorfie?

- Zaraz się tym zajmę. A co potem?

- Potem musimy sprawdzić, co Bruhns robił wczoraj po nagraniu. O której i z kim opuścił studio i o której dotarł do Kilonii. Musimy znać każdy jego krok, ale przede wszystkim musimy się dowiedzieć, jak poderwał tę małą i czy pierwszy raz byli w tym domu sami. Koniecznie musimy też poznać jego największych wrogów i...

- Okej, ale po kolei. Jak myślisz, o czym rozmawiają Ruter i Harms?

Henning wzruszył ramionami.

- Pewnie chodzi o mnie. O moją krnąbrność i... wiesz Ruter i ja... to się nie uda. Nigdy jeszcze się nie udało.

- Właśnie dlatego mógłbyś od czasu do czasu się opanować w rozmowie z nim. Przydałoby się trochę dyplomacji, ale ty tylko go zobaczysz i już cię krew zalewa. Byłoby dobrze, gdybyś na wszystko grzecznie odpowiadał mu „tak” i „amen”, a on zadowolony grasowałby sobie gdzie indziej.

- Nie, Liso, to nie jest takie proste. On przychodzi tu od razu z żądaniem, a to nie jest normalne. Jeszcze nigdy żaden prokurator nie narzucał nam terminu. Nigdy. Słyszysz? Nigdy! Pracuję tu już jakiś czas i miałem do czynienia z różnymi prokuratorami, ale nigdy nie spotkałem się z czymś takim. Przecież nie klasnę i nie wytrzasnę mu mordercy. Czy gdzie indziej tak się dzieje? Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Według mnie popełnił błąd i długo mu tego nie zapomnę. Jak chce szukać sobie jakiegoś tę-paka, to proszę bardzo...

- Weź na wstrzymanie - poprosiła Santos, chcąc trochę załagodzić sytuację. - Może to całkiem prosta sprawa i znajdziemy sprawcę w ciągu kilku godzin? Wykorzystajmy chociaż te siedem dni. Nie oddamy przecież zwycięstwa Riiterowi, póki jeszcze trwa wyścig.

- Niestety Riiter ma nad nami przewagę, a na dodatek pewną władzę. Przekłęty skurwiel! - wyrzucił z siebie Henning z odrobiną rezygnacji, ale i złości. Milczał chwilę, a potem dodał zasmucony: - On mówi hop, a my musimy skakać. I co robimy? Skaczymy oczywiście, i to jak...

- To prawda - przyznała Santos, gestem pokazując mu, by zamilkł. - Ale pomyśl tylko, przecież on też ma nad sobą kogoś, kto mu wydaje polecenia. To podła gra, starcie hierarchii, na które nie mamy wpływu.

- To ma być pocieszenie? Prawdę mówiąc, wisi mi to. Wykonamy swoją pracę i na tym koniec. Jeżeli Riiter uważa, że sprawę należy załatwić w ciągu siedmiu dni, a nam

się to nie uda, to niech sobie znajdzie innych. Sam się przekona, jak na tym wyjdzie.

- Nie. Nie damy mu tej satysfakcji. Nawet gdybyśmy mieli pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, znajdziemy zabójcę Bruhnsa i tej malej. No, chyba że się poddajesz.

- Bzdura! Wiesz, że się nie poddam, znasz mnie przecież. Nie chcę tylko być posłuszny nakazom prokuratora. Przeprowadzimy śledztwo i będziemy go na bieżąco informować. Więcej nie ma prawa od nas żądać.

- No widzisz, jakoś można z tobą dojść do ładu - powiedziała Santos. - A teraz uśmiechnij się i zapomnij o Rüterze.

Henning wstał i spojrzał przez okno na ponurą Kilonię. Miał mętlik w głowie. Stał tak i rozmyślał, aż otworzyły się drzwi i wszedł Harms. Henning odwrócił się i oparł o parapet.

- Czego chciał Riiter? - zapytała Santos, nie czekając, aż Harms zamknie za sobą drzwi.

- Tylko tyle, żebym miał was na oku - brzmiała odpowiedź. - Skarżył się na ciebie - zwrócił się do Henninga. - Uważa, że masz problem z uznaniem czyjegoś autorytetu.

- No, aż trzęsę się ze strachu. Jak on na to wpadł?

- Dobrze wiesz jak, ale uspokoiłem go trochę. Powiedziałem, że rękę za ciebie. Mam nadzieję, że się nie zawiodę.

- Dzięki, Volker. Bez obaw, ale ten termin...

- Cóż, próbowałem mu to wyperswadować. Mówiłem, że to tak nie działa. Ludzie to nie roboty... ale nie był gotowy na kompromis albo też nie chciał do niego doprowadzić. Macie siedem dni i ani dnia dłużej. Nie wiadomo, co tam się dzieje w jego głowie. Nie traćmy więc czasu i weźmy się do roboty. Zaraz zbiorę ekipę dla was, a jutro rano

spotkamy się na zebraniu grupy dochodzeniowej. Ruter chce przydzielić nam jeszcze dziesięciu swoich ludzi.

- Jeżeli o mnie chodzi, to uważam, że im więcej, tym lepiej - zgodził się Henning i zwrócił się do Lisy: - Może faktycznie uda nam się znaleźć sprawcę w ciągu tych siedmiu dni. Zadzwońisz do Dusseldorfu?

- Właśnie zamierzałam to zrobić, ale chciałabym osobiście porozmawiać z jej krewnymi i znajomymi. Ty nie? Zamierzam sprawdzić, czy ktoś wiedział o ich romansie.

- Jej najbliżsi i tak będą musieli tu przyjechać na identyfikację ciała.

- Super, jesteśmy więc tego samego zdania. Może uda nam się dowiedzieć, jak Bruhns znajdował sobie te wszystkie podlotki. Stary cap miał tyle młodych dziewczyn.

- Przecież to nic nowego - wtrącił Harms. - Spójrzcie na Berlusconiego, ma ponad siedemdziesiąt lat i osiemnastoletnie panienki u boku. Jak masz pieniądze i władzę, to zdobędziesz wszystko, nawet młode dziewczyny, które zrobią wszystko, żeby tylko uszczknąć chociaż kawałek tego tortu i zobaczyć swoje nazwisko w gazecie.

Henning wzruszy! ramionami.

- Wiecie co? Nic mnie to nie obchodzi, tak samo zresztą jak Bruhns, ale zastanawia mnie ta ma!a. Co ona tam robiła? Jasne, pieprzyła się ze starszym facetem, ale to przecież nie był powód, żeby ją zabijać. Chyba że zrobił to jej zazdrosny chłopak, w co wątpię, bo jak dostałby się na posesję? Motyw leży gdzie indziej. Poczekamy na wyniki badań i na odpowiedź Jiirgensa, a na dziś to już wszystko. Chyba że macie jakiś pomysł?

- Kończymy - rzekł Harms, spoglądając na zegarek. -Od jutra zaczynamy na nowo. Ach tak, prawie bym zapomniał, Ruter organizuje dziś o siódmej konferencję prasową. Uważa, że opinia publiczna ma prawo wiedzieć, co się stało z Bruhnsem.

- Jasne, opinia publiczna - odparł Henning z szyderczym uśmiechem. - Już widzę te nagłówki: „Znany powszechnie producent muzyczny Peter Bruhns zamordowany z zimną krwią” albo coś w tym stylu. Rzygać się chce!

- Wiesz, gdzie są toalety - powiedział Harms bez emocji. - W razie czego pamiętaj, że my tylko prowadzimy dochodzenie i w każdej chwili możemy zostać zastąpieni. Rozumiemy się?

- Jasne, szefie. Chciałbym jeszcze raz obejrzeć zdjęcia. Próbowałem na miejscu wszystko zapamiętać, ale coś mi tam przeszkadzało. Nie wiem jednak co. Liso, przegapiliśmy coś?

Pomyślała chwilę.

- Nie wiem, co masz na myśli. Henning usiadł na stole.

- Zobacz, posiadłość w Schönbergu nie jest aż tak dobrze chroniona jak ta w Kilonii, jednak wystarczająco dobrze, żeby żaden włamywacz nie miał tam dostępu. Skoro wykluczamy samobójstwo, oznacza to, że zabił ich ktoś, kto mógł wejść do domu. Musiała to być osoba, której Bruhns ufał, przyjaciel, który jednak miał złe zamiary. Albo ktoś, kto udawał jego przyjaciela i czekał tylko na sposobność, żeby go zabić. To by również tłumaczyło fakt, dlaczego system ochrony nie zadziałał. Sprawca znał doskonale ten dom, bo przecież monitoring był bardzo dobrze ukryty.

- Super - wtrąciła Santos. - Tylko że Bruhns na pewno zamierzał przespać się z tą Kerstin, a w takiej sytuacji przecież nie wpuszcza się przyjaciela do domu, i to w środku nocy.

- A kto mówi, że to Bruhns ją przyprowadził? Może właśnie przyszła tam ze sprawcą? Za dużo mamy niewiadomych, żeby zdecydować, w którą stronę się zwrócić. Musimy wiedzieć, o której Bruhns wyjechał wczoraj

z Hamburga, o której był w Kilonii i w Schönbergu, i czy ta kobieta przyjechała tu z nim, czy też spodziewał się jej wizyty bądź wizyty innych ludzi. Chcę wiedzieć, jak spędził każdą sekundę wczorajszego wieczoru. Potem dowiemy się, jakim był człowiekiem, kto był jego wrogiem, a kto przyjacielem; poznamy jego współpracowników i tak dalej... Musimy wszystkiego, ale to wszystkiego się dowiedzieć, bo tylko tak wpadniemy na trop zabójcy.

- Albo zabójczym - zauważyła Santos. - Jego żona jest bardzo miła, ale wiesz tak samo jak ja, do czego bywa zdolna kobieta, która nienawidzi... Chyba że skreśliłeś ją już z listy podejrzanych... w końcu jest bardzo atrakcyjna...

- Nie gadaj głupot. Jeżeli faktycznie rozmawiała ze swoją siostrą przez pół nocy, to nie mogła ukatrupić męża. Chyba że wynajęła kogoś, żeby to zrobił, ale nie wydaje mi się. Widziałaś tę kobietę, nie zostawiłaby przecież dziecka. Na pewno zauważyłaś, jak dba o córkę. Moim zdaniem pani Bruhns to dzielna kobieta, nie byłaby zdolna do zabicia męża, nawet jeżeli go tak nienawidzi. To nie jest morderczyni, a to, że nie udawała zrozpaczonej wdowy, tylko dobrze o niej świadczy. Była otwarta i prawdomówna, chociaż omawianie trudnego małżeństwa z Bruhnsem nie było łatwe. Bardzo bym się pomylił, gdyby się okazało, że to ona za tym stoi... ale w końcu to tylko przeczucie.

- Dobrze więc, zostawmy to teraz - rzekł Harms. - Zdjęcia leżą u mnie w gabinecie. Nie wiem, jakie macie jeszcze plany, ale ja jadę do domu. Muszę się psychicznie przygotować do jutrzejszego dnia, to znaczy wymyślić plan działania. Gdybyście się czegoś dowiedzieli, dzwońcie do mnie o każdej porze. Będę pod telefonem. Oczywiście mówię o komórce.

- Na razie - wymamrotał Henning i pograżył się w myślach.

- O czym myślisz? - zapytała Santos. - Czym się martwisz, Riiterem czy tą sprawą?

- Niczym się nie martwię. Po prostu myślę. Chodź, rzucimy okiem na zdjęcia i spróbujemy się dowiedzieć, co Bruhns robił wczoraj po nagraniu. Potem weźmiemy listę potencjalnych podejrzanych. Czy masz jakieś inne plany na wieczór?

Poszli do gabinetu Harmsa i rozłożyli wszystkie zdjęcia na jego biurku. Przyglądali się im w milczeniu.

- Nic nam to nie da. Zadzwoń do Dusseldorfu - powiedziała nagle Santos. Znalazła numer i sięgnęła po słuchawkę. Po dwóch minutach odłożyła ją. - Zajmą się tym i oddzwonią. Muszę jak najszybciej coś zjeść.

- Jasne - odpowiedział Henning, układając zdjęcia z powrotem jedno na drugim. Zostali jeszcze pół godziny i gdy już zbierali się do wyjścia, zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu znów widniało: „Numer zastrzeżony”.

- Słucham, Henning. Wydział zabójstw.

- Pracuje pan nad sprawą Bruhnsa? - zapytał głos w słuchawce.

- Pan z prasy?

- Nie, ale dzwonię w tej sprawie. Morderca Bruhnsa pochodzi z jego otoczenia.

- Zna pan jego nazwisko?

- Więcej się ode mnie nie dowiecie.

- Skoro wie pan, kim jest morderca, musi pan też znać jego nazwisko, chyba że się pan tylko zgrywa? Albo jest pan zwykłym pasożytem, który przeszkadza nam w pracy...

Rozmówca chrząknął nerwowo i milczał przez chwilę.

- Ani to, ani to. Wszystko, czego szukacie, jest w otoczeniu Bruhnsa - powiedział w końcu.

- Ale kim pan jest, jeżeli wolno spytać? - warknął do słuchawki rozdrażniony Henning.

- To nie ma żadnego znaczenia. Proszę sprawdzić, co się działo z Bruhnsem w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Powodzenia i proszę pozdrowić pańską czarującą koleżankę.

- Zaczeka pan... - Więcej Henning nie zdążył powiedzieć, bo rozmówca się rozłączył.

- Czy to znowu był?... - zapytała Santos, patrząc na zamyślonego Henninga. Kiwnął tylko głową na potwierdzenie.

- Powiedział, że ktoś z otoczenia Bruhnsa go zabił. Musimy to sprawdzić. Wygląda na to, że chce nas naprowadzić.

- A nie wydaje ci się, że coś może się za tym kryć?

- Skąd mam to wiedzieć?! - krzyknął Henning. Opamiętał się i po chwili powiedział: - Przepraszam. Jestem nieufny, jeżeli chodzi o niejasne podejrzenia kogoś anonimowego. Ale to chyba ten sam człowiek, który dzwonił wcześniej do ciebie. W każdym razie mam cię pozdrowić.

- To z pewnością on. Czemu nie przełączyłeś na tryb głośnomówiący?

- Przepraszam, nie pomyślałem.

- Już dobrze. Powiedział otoczenie Bruhnsa? O Boże, przecież to mnóstwo ludzi... krewni, rodzina, przyjaciele, znajomi, współpracownicy... miliony ludzi... Zapytajmy w stacji telewizyjnej...

- Nie. Tym zajmą się nasi koledzy z Hamburga. My skupmy się na Kilonii i otoczeniu. To i tak będzie dużo.

- Chodźmy coś zjeść, bo nie mogę już myśleć - poprosiła Santos.

- Poza tym muszę jeszcze zadzwonić do rodziców, bo popadnę w niełaskę.

- Wiesz co? - zapytał Henning, obejmując ją i spoglądając jej głęboko w oczy. - Jedźmy do domu. Jutro podzielimy się na grupy i każdemu przydzielimy zadanie. Dziś i tak już nic nie załatwimy. Poza tym w grupie będzie łatwiej pracować.

Santos westchnęła.

- Dziękuję, że odgadłeś moje myśli. A już podejrzewałam, że znów chcesz pracować przez całą noc.

- Przecież jest jeszcze życie prywatne. Chodźmy już. Pojechali do domu. Ledwo zdążyli wejść do środka, gdy znów zadzwonił telefon.

- Santos, słucham.

- Koslowski, policja kryminalna z Dusseldorfu, rozmawialiśmy wcześniej o Kerstin Steinbauer. Dzwonię, żeby powiedzieć, że ta kobieta nie miała żadnych krewnych. Wychowała się w domu dziecka, ale od roku mieszkała sama w luksusowym apartamencie w najlepszej dzielnicy miasta. Koledzy mówili, że wszystko w mieszkaniu jest bardzo ekskluzywne. Sprawdzamy jeszcze, skąd miała na to pieniądze. Będziemy szukać jej znajomych i przyjaciół, chyba że ich nie miała. Możliwe, że zarabiała jako prostytutka, ale to też jeszcze ustalimy. Odezwę się ponownie, gdy tylko poznamy jakieś szczegóły.

- Dziękuję. Czy przeszukano już jej mieszkanie?

- Kryminaliści już tam urzędują. Też zaraz tam jadę. Gdybyśmy coś znaleźli, zadzwonię.

- Miło z pana strony. Dziękuję za współpracę.

- To zrozumiałe. Miłego wieczoru i do usłyszenia.

- Cześć.

Santos schowała komórkę i opowiedziała Henningowi, czego się dowiedziała.

- Zastanawia mnie tylko, skąd taka dziewczyna miała tyle pieniędzy i jak poznała Bruhnsa? Albo odwrotnie, jak to się stało, że Bruhns na nią trafił?

- prostytutka?

- Jeżeli była luksusową dziwką, to rzeczywiście mogła na niego trafić. Ale myślisz, że interesowały go dziwki? On raczej zabawiał się za darmo. Poza tym ta mała nie wyglądała na taką, która by się tym trudniła...

- A jak według ciebie wygląda prostytutka? W dzisiejszych czasach, gdy jest kryzys, ludzie zrobią wszystko dla pieniędzy, obojętnie, czy to będzie mężczyzna, czy kobieta. Jeżeli muszą, to i nogi rozłożą, a sierota na pewno wcześniej niż inni dowie się, jak ciężkie jest życie. Może po prostu była cwana. Za jedną noc z Bruhnsem mogła dostać około trzech tysięcy euro albo i więcej. Żeby uzbierać taką kwotę, moja babcia musiałaby sporo zrobić na drutach.

- Sören, przecież ty nie masz babci. Poza tym nie wierzę, że Steinbauer była prostytutką.

- A jeśli tak? - zapytał Henning, myjąc ręce.

- Jeżeli naprawdę nią była, oznaczałoby to, że miała również innych prominentnych klientów. Poczekajmy trochę; zobaczymy, co ustalą w Dusseldorfie. Co ty na to?

Niedziela, godz. 9.00-23.00

Hans Schmidt wstał o dziewiątej, poćwiczył i zjadł śniadanie. Potem zadzwonił do Marii. Czuł się wyśmienicie. Zrobił kilka notatek w swoim notebooku, po czym zalogował się do Internetu i sprawdził skrzynkę e-mailową. O dwunastej udał się do swojej ulubionej restauracji, tuż obok fiordu w Kilonii, gdzie siedząc przy zarezerwowanym wcześniej stoliku, mógł w spokoju podziwiać widoki. Dobrze znał właściciela restauracji. Rozmawiali nawet kilka minut, popijając sok pomarańczowy, zanim Schmidt zamówił ulubiony omlet z grzybami. Właściciel strzegł przepisu na to danie niczym skarbu i za nic na świecie nie chciał go Schmidtowni zdradzić.

Około trzynastej piętnaście Schmidt pojechał na spotkanie ze swoim kolegą ze studiów, który dzięki spekulacjom giełdowym i odpowiednim inwestycjom dorobił się

sporego majątku. Dzięki umiejętnemu lokowaniu pieniędzy nawet nie odczuł kryzysu, ponieważ zawczasu nabył aktywa, które nie straciły na wartości.

To był dla Schmidta spokojny dzień, właśnie taki, jaki sobie zaplanował.

O osiemnastej trzydzieści wrócił do domu i o dziewiętnastej włączył telewizor. Wiadomość, że znany producent muzyczny Peter Bruhns nie żyje, skwitował jedynie uśmiechem. Nie było mowy o tym, żeby policja albo prokuratura zajęły jakieś stanowisko w tej sprawie. W następnych wiadomościach, o dwudziestej, nadano wystąpienie prokuratora, który wstrzymał się jednak od podania bezpośredniego powodu śmierci Bruhnsa. Jednocześnie nie zaprzeczano, że chodzi tu o przestępstwo. O kobiecie znalezionej wraz z nim nikt nawet nie wspomniał. To oczywiste, że taka informacja zniszczyłaby wizerunek Bruhnsa. Dla Schmidta było jasne, że Kerstin Steinbauer zasłużyła sobie na taką śmierć, ale o tym Santos i Henning dopiero mieli się dowiedzieć.

Po wiadomościach Schmidt położył się wygodnie z nogami do góry i włączył muzykę. Zamknął oczy i słuchał. Miał przed sobą ciężkie dni i noce, które wymagać będą od niego pełnej koncentracji. O dwudziestej pierwszej wziął swoją komórkę i wybrał czternastocyfrowy numer. Po chwili się rozłączył, a potem ponownie wybrał ten sam numer. Po trzecim sygnale, dokładnie tak, jak było umówione, usłyszał w telefonie ochryply głos kobiety.

- Halo?
- Witam. Jak się masz?
- Znakomicie, dzięki, że pytasz. A co u ciebie?
- Chyba słyszałaś już, co się stało? Smutne, prawda?
- Tak, bardzo. Omal mi serce nie pękło, ale czy z tą kobietą to było konieczne?

- Tak. Inaczej nie dałoby rady, ale nie będę ci teraz tego tłumaczył. Zadzwoń jutro. Wiesz, że interesy nie idą teraz za dobrze. Konieczne są negocjacje, a one mnie wykańczają.

- Wiem, wiem. A co u twojej matki?

- Zważywszy na okoliczności, mogę powiedzieć, że dobrze. Niestety, to chyba jej ostatnie lepsze chwile. Będę się nią zajmować aż do końca.

- Po tych wszystkich cierpieniach, przez jakie przeszła, koniec chyba będzie błogosławieństwem. Na pewno cieszy się, że przy niej jesteś, zwłaszcza teraz, w swoich ostatnich godzinach. Życzę ci powodzenia w negocjacjach oraz dużo spokoju i opanowania, z pewnością ich teraz potrzebujesz. Pomyśl czasem o powiedzeniu: „W spokoju siła”. I dziękuję, że informujesz mnie na bieżąco.

- Tak się przecież umówiliśmy. Zadzwoń jutro, ale uprzedzam, że może być późno.

- Nie szkodzi. Przecież wiesz, że długo siedzę po nocy. Uważaj na siebie.

- Zawsze to powtarzasz. Bez obaw, uważam. Dobrej nocy.

- Poczekaj! Jaką strategię teraz wymyśliłeś?

- Tego nie powiem. Jestem przesądny, jeżeli o to chodzi, a nie chcemy przecież, żeby coś poszło nie tak. Wiesz, o czym mówię. Na pewno oboje chcemy tego uniknąć.

- Oczywiście. Nasi przyjaciele byli tym razem bardzo szybcy. Nie spodziewałam się tego, szczerze mówiąc. Właśnie widziałam wszystko w telewizji.

- Daj spokój, mówisz, jakbyś nic wcześniej nie wiedziała - odrzekł Schmidt, uśmiechając się. - Zresztą kogo to interesuje? Ten łobuz tylko czeka na odpowiednią chwilę, żeby go... wiesz, co mam na myśli.

- Myślę, że nie będą się patyczkować. Czekam na twój telefon.

- Na razie.

Po rozmowie zmienił płytę na Debussy'ego i wziął do ręki książkę, która od dawna stała na półce, ale której jak dotąd nie miał okazji przeczytać. Był to *Stary człowiek i morze* Hemingwaya. Lektura tak go wciągnęła, że przeczytał całe opowiadanie od razu i pomyślał, że to opowiadanie o nim. Jest jednak coś, co mnie różni od starego Santiago, pomyślał Schmidt. Ja nie przegram tej walki. Pozabijam wszystkie te rekiny. Przynurkam!

Odłożył książkę, wyłączył muzykę i poszedł na górę. Mimo że nie robił praktycznie nic tego dnia, czuł zmęczenie. Pomyślał, że to przez niską temperaturę. Poszedł do łazienki, umył się i jak każdego wieczoru, stojąc przed lustrem, przejechał dłońmi po krótko ostrzyżonych włosach. Ostatni raz spojrzął w lustro, po czym zgasił światło i poszedł do łóżka. Nie minęły nawet dwie minuty, jak spał.

Obudził się dokładnie w tej samej pozycji, w której zasnął. Nie było niczego, co zaprzętałoby jego myśli, więc leżał spokojnie. Jeżeli sprawdzi się to, co niedawno wy-wróżyła mu z ręki pewna stara Cyganka, to tak spokojnie miało już być do końca jego dni. Miał dożyć późnej starości, a później pewnego razu zasnąć i już się nie obudzić. Mimo że zawsze uważał wróżby za wierutne kłamstwo, to taka perspektywa mu się podobała. Dożyję długich lat w zdrowiu, co może mi się stać? - myślał. Dużo ludzi zna Hansa Schmidta, ale nikt nie wie, kim jestem naprawdę. Mam więc przewagę; jak zwykle.

Niedziela, godz. 21.30

Dokładnie o godzinie dziewiętnastej trzydzieści siedem profesor Jurgens w asyście młodej doktor Claudii Bartels zakończył obdukcję Bruhnsa i Kerstin Steinbauer. Gdy w grę wchodziła zbrodnia, obecność prokuratora podczas

obdukcji była obowiązkowa, jednakże zaraz po jej zakończeniu prokurator pożegnała się i opuściła pomieszczenie. Jürgens również wyszedł i udał się do swojego gabinetu. Poprosił tylko swoją asystentkę, aby uprzątnęła salę. Gdy jednak wrócił po półtorej godzinie, zdziwił się, że Claudia Bartel nadal tam jest. Stała pochylona nad stołem. Zdjęła czepek i rozpuściła włosy. Wszedł, a ona spojrzała na niego pytająco.

- O co chodzi? - zapyta! Jürgens, zupełnie jakby czytał w jej myślach, bo nawet na nią nie spojrzał.

- Ty mi powiedz - rzekła Claudia i zacisnęła usta.

- Ani mi się śni.

- Dlaczego? Nie ufasz mi?

Jürgens stał, nacierając sobie ręce kremem.

- Wiesz, z zaufaniem to jest taka sprawa... Tylko dlatego, że spędziliśmy ze sobą kilka nocy, nie znaczy...

- Słucham? Chyba się przesłyszałam. Kilka nocy? Jeżeli jestem dla ciebie tylko łóżkową przygodą, to z nami koniec. Definitywnie. Nie będę się bawiła w twoje gierki, panie profesorze, i...

- Przepraszam. Źle się wyraziłem. Czasami prawdziwy dureń ze mnie. - Dotknął ramion Claudii i spojrzał głęboko w jej niebieskie oczy.

- Zakochałem się w tobie, jak tylko cię zobaczyłem. Zgłupiałem z chwilą, gdy przekroczyłaś ten próg. I to jest prawda. Przysięgam.

- Mam ci niby wierzyć? - zapytała, chcąc jeszcze raz usłyszeć te słowa.

- Tak właśnie było. Wesztaś i przedstawiłaś się, a ja od razu pomyślałem: Boże, co za kobieta... I już było po mnie, ale to nie znaczy, że będziemy teraz dzielić ze sobą wszystkie tajemnice. Nic sobie nie musimy wyjaśniać. Wiesz, że czasami bywam nieokrzesany i szorstki, ale taki już jestem i jeżeli chcesz ze mną być, to musisz się do tego

przyzwyczać. Ja tylko mogę cię zapewnić, że pragnę być z tobą.

- Nie ma problemu, o tym jeszcze porozmawiamy. Ale o jakiej tajemnicy mówisz? Czy tylko tak to powiedziałeś? Jestem tu dopiero pół roku, ale chyba już wiesz, że potrafię milczeć jak grób. A więc? Co przede mną ukrywasz? Czy to ma jakiś związek z Tónniesem? Czy dlatego wyszedłeś do swojego gabinetu? Nie chciałeś, żebym ci przeszkodziła?

Jiirgens przewrócił oczami i skinął głową.

- Między innymi. Tónnies i ja wpadliśmy na coś zadziwiającego, żeby nie powiedzieć sensacyjnego, ale proszę cię o odrobinę cierpliwości. To wymaga dyskrecji. Informacje te chcę jednak komuś przekazać i dlatego muszę pilnie zadzwonić i z kimś się umówić. Nie złość się na mnie; wiem, że już późno, ale muszę to zrobić, bo inaczej będą nieprzyjemności. Tylko nie mów nic nikomu; i jak mówię nikomu, to naprawdę nikomu. Gdyby nasza szanowna pani prokurator dowiedziała się, co tu się dzieje, wściekłaby się i z krzykiem z miejsca złożyłaby wypowiedzenie. Z kolei Riiter zrobiłby wszystko, żeby się pozbyć nas obu.

- Dlaczego nie mogę nikomu nic powiedzieć? Zaczynam się bać.

- Claudia Bartels zrobiła zatroskaną minę. Dotknęła jego ust i powiedziała: - Tylko jakaś mała wskazówka, żeby mnie uspokoić.

- Nie bój się. To nie jest sprawa życia i śmierci. Chodzi jednak o wielkie świństwo, nawet nie wiem, jak wielkie. Później o tym porozmawiamy. Obiecuję. Już jest po wpół do jedenastej, więc mam nadzieję, że około jedenastej będę u ciebie. Gdyby miało się to zmienić, zadzwonię, ale na pewno dziś jeszcze wszystkiego się dowiesz. Umowa stoi?

- Stoi. Już jestem ciekawa.

- Tylko nikomu ani słowa. Słyszysz? Podniosła prawą rękę.
- Przysięgam na wszystko, co dla mnie święte. Bez żadnego „ale”. Wystarczy?

- Komu miałbym ufać, jak nie tobie? Jedź już do domu, bo naprawdę muszę pilnie zadzwonić.

- Jasne.

Claudia Bartels śledziła go wzrokiem aż do momentu, gdy zamknął drzwi swojego biura. Jürgens wyjął telefon z kieszeni i wybrał numer. Odczekał pięć sygnałów i gdy już miał dać sobie spokój, odebrano.

- Henning.

- Tu Klaus. Gdzie jesteś?

- Czemu pytasz?

- Musimy się koniecznie spotkać. Ty, Lisa i ja. Jeszcze dziś.

- Coś się stało?

- Nie przez telefon. W pubie „Murphy”, za piętnaście minut?

- Dobrze. Wygląda na to, że...

- Za piętnaście minut. Tylko wy dwoje i ja. Okej? Jürgens przerwał połączenie, nie czekając wcale na

odpowiedź. Zapalił papierosa i stał, patrząc przez szybę na Claudię Bartels, która sprawdzwszy wszystko na sali, zdjęła fartuch zakrywający jej krągłą figurę, a potem wzięła torebkę i na odchodnym upewniła się jeszcze:

- Jedenasta?

- Jedenasta. Najpóźniej wpół do dwunastej. Claudia była pierwszą kobietą, która od dłuższego

czasu obudziła w nim głębsze uczucia. Czarująca, ujmująca istota o zupełnie innym typie urody niż jej wszystkie poprzedniczki. Ujęła go w niej przede wszystkim jej sympatyczna osobowość, charyzma, skromność oraz to, że mu się nie narzucała. Gdy ją poznał, musiał przyznać przed

samym sobą, że zakochał się po raz pierwszy od dziesięciu lat. I to tak mocno, że w jednej chwili inne kobiety przestały dla niego istnieć.

Zgasił papierosa, nałożył brązową skórzaną kurtkę i zajrzał jeszcze do Claudii.

- Dziękuję za wszystko. Widzimy się później.

- Mogę ci coś powiedzieć? Takiego poważnego i ponurego jeszcze cię nie widziałam. Będę czekać. Może zrobię kilka kanapek, zjadłbyś?

- Z chęcią. Do zobaczenia. - Objął ją i pocałował. Pogłaskał ją po włosach. - Jesteś wyjątkowa, ale na pewno od dawna o tym wiesz. Na razie.

- Na razie. Uważaj na siebie.

Ruszył do swojego jaguara i dokładnie piętnaście minut po tym, jak zadzwonił, znalazł się w pubie. Henning i Santos siedzieli już przy stoliku w rogu. Z głośników dochodziła irlandzka muzyka i pachniało grillowanym mięsem. Ogólny gwar sprawiał, że było to idealne miejsce na potajemne spotkanie.

- Cześć - powitał ich Jiirgens i przysiadł się. Jednak w jego głosie nie było tego młodzieńczego wdzięku, który zachował mimo swoich czterdziestu ośmiu lat. Zabrakło nawet szelmowskiego błysku w oku. Jiirgens był wyjątkowo poważny.

- Nie macie jeszcze nic do picia. Stawiam szkocką i nie chcę słyszeć o odmowie. Nie dziś.

- To brzmi cholernie interesująco - stwierdziła Santos, próbując wyczytać coś z jego twarzy. - Chociaż nie przepadam za whisky...

- Daj spokój. Ostatnio przyznałaś, że ci smakowała - powiedział Jiirgens i kiwnął do kelnerki, mówiąc: - Mel, trzy podwójne szkockie z lodem, jak zawsze.

- Jasne, doktorku - zapewniła młoda kobieta z uśmiechem, który świadczył o tym, że znali się bliżej. Była

wysoka, szczupła i mówiła z irlandzkim akcentem. Jej rudawe włosy opadały na ramiona, a gdy chodziła, kołysała biodrami, co wraz z czarną minispódniczką, ledwo zasłaniającą uda, jeszcze podkreślało jej długie nogi. Henning i Santos znali Jiirgensa wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że nie przepuści żadnej kobiecie... Chociaż krążyła plotka, że od jakiegoś czasu spotyka się z doktor Claudią Bartels. Ale to była tylko plotka i ani Santos, ani Henning nie dawali jej wiary.

- Po co chciałeś się z nami zobaczyć? - zapytał Henning.

- Najpierw się napijmy. Muszę to przetrwać - oznajmił Jurgens poważnym tonem, co wywołało jeszcze większe ich zaciekawienie.

- To staje się coraz bardziej tajemnicze - zauważyła Santos, unosząc lewą brew.

- To naprawdę jest tajemnicze. Zaraz się sami przekonacie. To najdziwniejsza rzecz, na którą się natknąłem w całej mojej dwudziestoletniej karierze.

Gdy tylko Mel przyniosła whisky, Jiirgens uniósł szklaneczkę i wznosił toast:

- Na zdrowie! Niech prawda zwycięży.

- Zdrowie - powiedzieli Santos i Henning, opróżniając szklanki jednym haustem. Santos wzdrygnęła się i odstawiła szklankę na stół.

- Teraz mów, o co chodzi. - Santos nachyliła się do Jurgensa. - Zamieniam się w słuch. I o co chodzi z tym: „Niech prawda zwycięży?”.

- Zaraz się dowiecie. Uważajcie dobrze, bo nie lubię się powtarzać. Poza tym mam jeszcze inne plany, a już i tak poświęciłem na to całą niedzielę. Zacznę od drugiej rzeczy, jaką chcę wam powiedzieć, a mianowicie: Bruhns i Steinbauer zostali otruci. Do wina dodano im atropinę...

- Atropinę?

- Atropinę. To trucizna otrzymywana z wilczej jagody. Już w starożytnym Rzymie kobiety wkraplały ją sobie do oczu, aby były większe i bardziej błyszczące. Jej działanie jednak zarejestrowano dopiero w szesnastym wieku... Ale do rzeczy. Atropina jest jedną z najsilniejszych trucizn. Już trzy owoce wilczej jagody mogą spowodować śmierć dziecka, dla dorosłego trzeba ponad dziesięciu. Trucizna ta znajdowała się w winie, co wskazuje na to, że sprawca przyniósł butelkę ze sobą albo w odpowiedniej chwili dodał trucizny do kieliszków ofiar. Co prawda znaleziono w zlewie trzeci kieliszek, ale sprawca z niego na pewno nie pił. Z drugiej jednak strony na kieliszku nie było odcisków palców ani żadnych innych śladów, co mogłoby oznaczać, że jednak pił z tego kieliszka, a potem dokładnie go umył...

- Ale wtedy też by umarł. Prawda?

- Nie mam pojęcia, jak to wszystko przebiegało, ale jest mi to, szczerze mówiąc, obojętne. Lecz...

- Czy wino było przyczyną zgonu? - przerwał mu Henning.

- Dasz mi może skończyć... Przypominacie sobie twarze Bruhnsa i tej Steinbauer?

- Tego nie da się zapomnieć - odpowiedziała Santos.

- Jego uśmiech i skrzywiona mina tej małej od razu dały mi do myślenia. Przebarwienia skóry również wskazywałyby na otrucie, dlatego też sprawdziłem w instytucie listę trucizn o podobnym działaniu. Podejrzywałem, że sprawca użył atropiny. Okuliści używają jej do poszerzania źrenicy w celu zbadania dna oka. Dość popularna jest też w homeopatii. Oczywiście odpowiednio dozowana, jednak nierozcieńczona wywołuje różnorodne działanie, może na przykład powodować niekontrolowane wybuchy radości, nadmierną euforię, spazmy, skurcze mięśni, halucynacje, napady furii, bóle, nadmierną pobudliwość, również

seksualną. Są doniesienia o trwających godzinami aktach seksualnych po spożyciu atropiny, oczywiście chodzi tu o małe dawki, niewywołujące śmierci. Jednakże nawet dla eksperta bardzo trudne jest określenie dawki letalnej tej trucizny. Zdiagnozowanie tego, że śmierć wywołana została przez atropinę, również jest bardzo trudne. Lekarz rodzinny na pewno by tego nie stwierdził. Krótko mówiąc, zbadałem wino, a potem krew ofiar i dlatego wykryłem tę truciznę. Sprawca czekał, aż trucizna wywoła oczekiwane działanie i dopiero wtedy ich zastrzelił. To strzały były przyczyną zgonu, a nie trucizna, o czym świadczy również utrata krwi. Trudno mi powiedzieć, czy ofiary do końca były w pełni świadome, ale nie mogę też tego wykluczyć. Nie wiadomo, czemu padło akurat na tę małą, ale tak czy siak umarłaby prędzej czy później, bo dawka trucizny była dla niej za duża. Miała metr sześćdziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu, a ważyła zaledwie pięćdziesiąt dwa kilogramy; wstrzymajcie się od komentarzy na temat wielkości jej biustu... Sprawca uwolnił ją od bólu tym strzałem. Ta mała miała prawie 1,2 promila alkoholu we krwi. To oznacza, że sporo wypiła i dlatego atropina działała szybciej. Bardziej jednak zdziwiło mnie to, że wcześniej dużo i dobrze zjadła, podczas gdy w kuchni nie było ani talerzy, ani resztek jedzenia. W jej żołądku znalazłem między innymi kawior. Tak na marginesie mogę dodać, że była zdrowa jak ryba. Bruhns miał 0,4 promila alkoholu we krwi i pewnie to on prowadził samochód. Przypuszczam, że nie zginąłby od trucizny, ale nieleczony już do końca życia cierpiałby z powodu licznych powikłań.

Jiirgens zamówił następną kolejkę.

- To byłby koniec części drugiej - dodał. - Jakies pytania?

- Nie, ale jestem ciekawa części pierwszej. Poczekaj, mam pytanie. Czy znaleziona broń była tą, z której ich zabito?

- Omalże zapomniałem. Nie, broń była tylko częścią przedstawienia. Dobra, a teraz zapnijcie pasy i trzymajcie się, bo to was zwali z nóg. Tónnies zadzwonił do mnie na komórkę około dziewiętnastej trzydzieści i wierzcie mi, jeszcze takiego zdenerwowanego go nie słyszałem. Chciał mi coś powiedzieć i pytał, czy mógłbym to zweryfikować. -Jiirgens zamilkł na chwilę. Obrócił szklanę, którą trzymał w dłoni, i spojrzawszy na Santos i Henninga, kontynuował: - Prokurator Rossbauer była jeszcze wtedy ze mną na sali, więc nie mogłem rozmawiać, ale po kilku minutach, gdy tylko skończyłem sekcję, a Rossbauer wyszła, oddzwoni-łem do niego. Powiedział mi, że zarówno na zwłokach, jak i w miejscu zbrodni znaleziono obce DNA. Pochodziło od kobiety... Jakieś pytania?

Spojrzał z zaciekawieniem na twarze Santos i Henninga, którzy tylko kiwnęli głowami.

- Okej, więc wam wyjaśnię. To DNA jest już w naszym banku danych i może nic w tym dziwnego, w końcu nasz bank jest coraz większy, jednak ta sytuacja jest niespotykana. Możecie zgadywać, czyje to DNA.

- Czyje? - zapytał Henning z zamkniętymi oczyma.

- Znamy tę osobę?

- Nie sądzę, chyba że... - Jiirgens zaśmiał się, po czym znów spoważniał.

- Chyba że co? Nie męcz już nas - powiedziała twardo Santos.

- Liso, chyba odzywa się w tobie twój hiszpański temperament... więc dobrze, powiem wam. To obce DNA należy do nieznanym kobiecie, której z pewnością jeszcze nie spotkaliście, a jeżeli tak, to nie wiedzieliście o tym. W końcu nic nie jest niemożliwe.

- Chwileczkę - powiedziała Santos, patrząc z niedowierzaniem na Henninga. Nie mogli uwierzyć w to, co

właśnie zasugerował Jürgens. Czy to oznacza, że to DNA należy do... nie... tak?

- Co wczoraj ogłosił minister spraw wewnętrznych? -powiedział Jürgens. - Sprawa została rozwiązana, wszystkie zanieczyszczone patyczki do pobierania próbek zostały usunięte z obiegu i zastąpione nowymi, zatwierdzonymi przez wydział kryminalistyki. Więc skąd wzięło się to DNA na miejscu zbrodni? To samo pytanie zadał sobie Tónnies. Ja zresztą też i wy również... Wszyscy stawiamy sobie to samo pytanie. Wygląda na to, że znajdujemy się wewnątrz jakiejś diabelskiej gry i nie mam zielonego pojęcia, czy również nie bierzemy w niej udziału. A więc jesteśmy pionkami... - Jürgens zamilkł i nie dokończył zdania, ale jego mina była wystarczająco wymowna.

Santos wypła swoją whisky i zamówiła następną kolejkę.

- Tym razem ja stawiam. Tónnies miał zatem rację, mówiąc, że nie wierzy w tę oficjalną wersję. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale jedno wiem na pewno, robią z nas głupków. Cokolwiek próbują zatuszować, musi to być naprawdę ważne, skoro oszukują opinię publiczną, aby chronić własne tyłki. Innego wyjaśnienia nie potrafię znaleźć.

- A ja, owszem. Od ponad trzech lat w telewizji straszą doniesienia policyjne o kobiecie widmie, która już od dziesięciu lat pozostawia ślady w miejscach zbrodni. Politykom zależy na tym, aby przywrócić spokój i dlatego też wymyślona zostaje historia, która jest tak absurdalna, że aż wiarygodna. I to jest właśnie ta gra, w którą się z nami bawią, a my jesteśmy tylko pionkami. Wiecie co? Nawet podczas pracy w naszych wydziałach nie możemy o tym rozmawiać. Tak samo nie można poruszać tego tematu w rozmowie z prokuratorem czy też ministrem spraw

wewnętrznych, nawet gdybyśmy mieli niepodważalne dowody. Jakbym był na waszym miejscu, bałbym się o pracę. Ja tam nie puszcze pary z gęby i to samo wam radzę. Mało tego, nawet bałbym się o swoje życie, dlatego proszę was o dyskrecję.

- To niewiarygodne! - stwierdził Henning i opróżnił swoją drugą szklaneczkę, podczas gdy Mel przyniosła następną kolejkę. - Jak odkryłeś DNA u Bruhnsa i Steinbauer? Czy ty i Tónnies to nowi niemieccy pracownicy CSI? Myślałem, że takie historie zdarzają się tylko w telewizji.

- Przeważnie tak, ale dziś była to tylko odrobina logicznego myślenia i dużo szczęścia. Ta jednoznaczna pozycja, w której znaleźliśmy ciała, skłoniła mnie do tego, aby pobrać wymaz z penisa Bruhnsa i warg jego kochanki. Mówię o ustach, a nie o wargach sromowych - dodał z lekkim uśmiechem. - Znalazłem bardzo niewielkie ślady, jednak ze względu na ich umiejscowienie można przypuszczać, że pochodzą od sprawcy. Albo i nie... Mamy sprawcę i możliwe, że to DNA zupełnie innej osoby, która może nawet o niczym nie wiedzieć. Całe szczęście prokurator nie ma o tym pojęcia, a Claudii powiem później. Jesteście zatem pierwsi, których o tym poinformowałem. To jest wasza sprawa i dlatego pomyślałem, że macie prawo o tym wiedzieć. Zróbcie z tą informacją, co chcecie, ale na waszym miejscu byłbym ostrożny. Tónnies na pewno zatrzyma to dla siebie, bo już na początku dał mi do zrozumienia, że oficjalnie sprawa nieznaney kobiety, w skrócie SNK, jest zakończona i tym samym nie powinien się tym zajmować, poza tym on nie chce stracić pracy. Ja widzę to podobnie. Mam zamiar przepracować jako lekarz sądowy jeszcze piętnaście lat, aż do emerytury. Już teraz bardzo ryzykuję, mówiąc wam o tym.

- Tylko po co to kłamstwo? Tego właśnie nie rozumiem.

- Nie wiem. Możecie porozmawiać z Tónniesem, może on zna jakieś rozwiązanie tej zagadki, ale wątpię. Jedno jest pewne - kobieta widmo istnieje i od dziesięciu lat zabija. To bardzo długo. Pierwszy raz było to w połowie albo pod koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Istnieje również taka możliwość, że mamy do czynienia z mężczyzną, który specjalnie zostawia w miejscach zbrodni kobiece DNA, lub też jest to para, która dzieli się zadaniami. Wybierzcie sobie, co chcecie. Niewykluczone również, że ktoś od nas pozwolił sobie na głupi żart i przyniósł te wycofane już zanieczyszczone patyczki do pobierania materiału próbek.

- Kobieta, która morduje na zlecenie? - zapytała Santos, nie biorąc pod uwagę ostatniej hipotezy Jiirgensa.

- Albo po prostu ktoś, kto upaja się zabijaniem. Chciałbym przynieść wam lepsze wieści, ale mam tylko takie.

- Albo też mężczyzna, który morduje na zlecenie... muszę to sobie najpierw poukładać w głowie i zapisać -myślała głośno Santos. - Dzięki za informację. Jesteśmy wdzięczni. Jutro porozmawiamy o tym z Volkerem, ale tylko z nim. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to również z Tónniesem, jeżeli trzeba będzie.

- Róbcie, co chcecie. Uważajcie tylko, żeby ta informacja nie przedostała się nigdzie wyżej. Gdyby jednak tak się stało, to ja o niczym nie wiem. Oczywiście nadal będę wam przekazywał wszystkie ważne informacje, jeżeli tylko jakieś będę miał. Również te od Tónniesia. Ale umówmy się, że nie znacie mojego nazwiska. Najlepiej zapomnijcie też o Tónniesie, bo on nie rozmawiał o tym nawet ze swoimi współpracownikami. Zresztą nigdy nie znaleźlibyśmy tego DNA, gdyby nie Tónnies. To on pojechał z próbkami do laboratorium i zrobił szybki test. Nie mam pojęcia, co go podkusiło... Może miał jakieś przeczucie. Nie mam pojęcia. Mnie to by nawet do głowy nie przyszło.

- Może dasz nam jakąś wskazówkę, jak powinniśmy się z tą sprawą obchodzić? - zapytała Santos i opróżniła jednym haustem szklaneczkę whisky, po czym zawołała kelnerkę.

- Jak jeże w czasie godów. Bardzo, ale to bardzo ostrożnie. Już wczoraj się zdziwiłem, że minister spraw wewnętrznych wystąpił w tej sprawie przed kamerami.

- Widzisz? - powiedziała Santos z wyrzutem do Henninga. - Czy to nie są moje słowa? Dokładnie to samo mówiłam wczoraj, oglądając te głupoty w telewizji, ale tylko mnie wyśmiałeś. Powiedziałeś, że wierzę w jakieś teorie spiskowe.

- Daruj to sobie. Już lepiej nic nie mów - bronił się Henning.

- Wasza kłótnia jest teraz najmniej potrzebna. To bardzo zagmatwana sprawa; jeśli nie podejście do tego z dystansem, jeśli nie przemyślicie dokładnie wszystkiego, dużo możecie stracić.

- Żartowniś - powiedział Henning i zabrał ręce ze stołu, gdyż właśnie Mel przyniosła czwartą kolejkę. - Jeżeli wypiję następną szklaneczkę, to spadnę pod stół.

- Nie spadniesz. Masz na to stanowczo za wysoki poziom adrenaliny. Z tego względu, że nie zajmuję się śledztwem, mogę wam tylko doradzić, żebyście myśleli trzeźwo. Brzmi to jak frazes, wiem, ale sądzę, że w tej sytuacji to bardzo ważne.

- Dobra, tylko powiedzcie mi jedno, bo dalej tego nie rozumiem. Skoro ta nieznajoma morderczyni faktycznie istnieje, to po co ta historyjka z zabrudzonymi patyczkami? Przecież można było zostawić tę sprawę tak, jak była. Wszystko samo by się dalej toczyło. Czy źle myślę?

- Nie, dobrze - odpowiedział Jiirgens, po czym dodał: - Na pewno ci, którzy ją wymyślili, mieli w tym jakiś cel.

Chociaż ta historia brzmi dla mnie, dla Tónniesa i Lisy zupełnie niedorzecznie, to media rzuciły się na nią jak hieny na padlinę. Zobaczycie, że za kilka tygodni znów wszystko ucichnie i zapanuje cisza. Media dostaną swój żer, a opinia publiczna będzie dyskutować na temat nieudolności policji. Jednak Bruhns i jego kochanka nie zostali zamordowani przez kobietę widmo, jeżeli wiecie, co mam na myśli...

- To wciąż jest dla mnie za bardzo skomplikowane. Co by się stało, gdybyście poinformowali prokuraturę o wynikach swoich badań?

Jiirgens wzruszył ramionami i zapatrzył się w szklanę.

- A jak myślisz? Masz już trochę doświadczenia, więc możesz się domyślić.

Henning poruszał ustami, jednak nie wydał z siebie dźwięku. Zacisnął tylko pięści.

- Jeżeli dobrze rozumiem twoją mowę ciała, to zaraz wybuchniesz. Dlatego widzę, że doskonale znasz odpowiedź. Zapamiętajcie to raz na zawsze: nie mam najmniejszego zamiaru rozmawiać o tym z prokuratorem ani z nikim wyżej. Wybijcie to sobie z głowy. Oni mają władzę. Skoro minister spraw wewnętrznych mówi, że sprawa jest zakończona, to jest zakończona. Zrozumiano? To jest, co prawda, wasz zwierzchnik, ale mimo wszystko i tak będę się trzymał od tego z daleka, bo ja też mam kogoś nad sobą. Jeżeli coś się będzie działo, to nawet mój tytuł akademicki mnie nie obroni.

- Rozumiem. Pozwól, że teraz ja ci coś powiem, i zachowaj to również dla siebie: Riiter chce, żebyśmy za tydzień wskazali mu sprawcę. Tylko jak mamy to zrobić, skoro to jest widmo? Powiesz mi, profesorze?

- Dlaczego za tydzień? Od kiedy to macie jakieś terminy?

- No właśnie... też zadawaliśmy sobie to pytanie. Wygląda na to, że on za tydzień musi kogoś wskazać, a my mamy wykonać za niego brudną robotę.

- Rozumiem. Jeszcze jedno, zanim pójdę: moim zdaniem Bruhns i Steinbauer zostali zamordowani na zlecenie. Strzały padły z odległości około dwóch metrów. Dostali po kulce dokładnie między oczy. To przypuszczalnie robota profesjonalisty. Co do broni, pistolet znaleziony przy Bruhnsie to glock, a strzelano z beretty 92. Morderca użył też tłumika i pocisków grzybkujących. Jeżeli mam rację, że to morderstwo na zlecenie, to tkwicie w gównie po same uszy, bo jeśli jest zlecenie, to i zleceniodawca bądź zleceniodawcy...

- Tylko dlaczego zlikwidowano Bruhnsa? Komu był solą w oku? Czy przeszkadzał komuś tak bardzo, że wynajęto płatnego mordercę, aby się go pozbył? I dlaczego akurat dwa dni wcześniej ogłoszono w telewizji, że widmo nie istnieje? Do tego ten termin od Riitera...

- Mimo czterech whisky potrafisz jeszcze analitycznie myśleć - zauważył Jiirgens i uśmiechnął się.

Santos wystawiła przekornie język.

- Co to dla mnie cztery whisky - powiedziała. - Może jeszcze kolejkę?

- Myślę, że powinniśmy poprzestać na czterech. Pamiętaj, że musimy wrócić samochodem do domu - zauważył Henning.

- Sören ma rację, nawet jeżeli miałabyś chęć się upić...

- Bzdura - zachnęła się Santos. - To jest dla mnie po prostu zbyt skomplikowane. Może faktycznie zapłaćmy i jedźmy do domu. Mam już na dzisiaj dość.

Zapłacili po polowie rachunek i wyszli z pubu. Gdy zegnali się na chodniku, Jiirgens ostrzegł ich jeszcze:

- Cokolwiek zrobicie, pamiętajcie, że jesteśmy tylko marionetkami w tej perfidnej grze. To nie jest żadna

teoria spiskowa, tylko brutalna rzeczywistość. Albo widzę demony, albo alkohol uderzył mi do głowy, kto wie... Trzymajcie się i jedźcie ostrożnie. Do zobaczenia. Jutro w południe dostaniecie kompletne sprawozdanie albo nieco mniej kompletne... Jeszcze raz przypominam, że nic o tym nie wiem i zaszedłem tu zupełnie przypadkowo. Cześć.

- Cześć i dziękujemy za wszystko - powiedział Henning i poklepał go po plecach.

- To tylko przyjacielska przysługa. Mam nadzieję, że wam pomogłem i że nie zawiedziecie mojego zaufania...

- Jeszcze jedno pytanie. Nawet nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz. Powiedziałeś wcześniej, że oprócz nas powiesz o wszystkim Claudii. Jesteście parą? - zaciekał się Henning.

Jiirgens uśmiechnął się tylko.

- Prędzej czy później i tak byście się dowiedzieli... Tak, jesteśmy razem, ale byłbym wdzięczny, gdybyście zatrzymali to dla siebie. To świeża sprawa, że się tak wyrażę.

- A my to nie? O nas też mało kto wie. Na razie.

Wsiadli do samochodu. Santos uruchomiła silnik.

- Niezły przykład dajemy. Ciekawe, ile pokazałoby promili, gdybyśmy teraz musieli dmuchać, po tych czterech kolejkach whisky...

- zagadnął Henning.

- To akurat obchodzi mnie teraz tyle co nic. Zresztą nie jestem pijana. Whisky pomogła nam tylko w rozmowie.

Dziesięć minut później byli już w domu. Około dwudziestej trzeciej trzydziści leżeli w łóżku, a wokół panowała ciemność.

- A jeżeli Klaus ma rację? - odezwała się niespodziewanie Santos. - Jak się do tego zabierzemy?

- O tym na pewno nie będziemy teraz rozmawiać. Jestem potwornie zmęczony.

- A ja nie... Chociaż powinnam już spać. Pójdę jeszcze na chwilę do pokoju.

- POCO?

- Nie wiem. Posłucham muzyki albo posiedzę przed telewizorem...

- Nie opowiadaj bzdur. Chcesz przemyśleć całą strategię działania.

- Jeżeli nawet, to co? Powstrzymasz mnie, staruszk?

- Nie nazywaj mnie staruszką. Wiesz, że tego nie lubię.

- Dobrze, ty moja zrzędo. Spij dobrze - powiedziała i pocałowała go, po czym wstała i poszła do pokoju. Wzięła zeszyt i długopis i siedząc przy stole, zapisywała po kolei punkty, upewniając się co chwila, czy o niczym nie zapomniała:

1. Dlaczego Bruhns?
2. Morderstwo na zlecenie?
3. Czyje to DNA?
4. Kto wydał zlecenie zabicia Bruhnsa? Czy jest to jedna osoba, czy kilka?
5. Ritter? (Skąd ten termin? Gra? Uważać na przedwczesne podejrzenia!).
6. Dlaczego Tönnies i Jürgens tak się boją ogłosić wyniki swych badań?
7. Minister spraw wewnętrznych.
8. Beretta 92.
9. Tłumik
10. Bruhns znał mordercę.
11. Trucizna. Czy sprawca chciał wiedzieć, jak jego ofiary cierpią?
12. Płatny morderca - ile zabójstw ma na swoim koncie?
13. Czy znalezione DNA jest zgodne z DNA mordercy?

14. *Od czego zacząć, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy?*
15. *Kto może nam pomóc? (Bardzo ważne!).*
16. *Oprócz Harmsa nikt nie może się domyślać, że mamy informacje od Jürgensa.*
17. *Czy sprawca pochodzi z Kilonii i czy nadal jest w mieście?*

Poszła spać dopiero o wpół do drugiej. Zawinęła się w kołdrę, gdyż w sypialni było zimno. Miała problem z zaśnięciem, bo myśli wirowały jej w głowie niczym na karuzeli. Dopiero o trzeciej nad ranem udało jej się zasnąć. Gdy około siódmej zadzwonił budzik, czuła się podle. Już nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio obudziła się z takim bólem głowy. Przeklęta whisky - pomyślała i została w łóżku jeszcze pięć minut. Henning siedział w łazience. Lisa zastanawiała się, jak uda jej się przetrwać ten dzień w takim stanie. Wstała, wypła szklanek wody i wzięła tabletkę przeciwbólową, ale nadal było jej niedobrze, więc zjadła banana. Gdy Henning wyszedł z łazienki, na stole czekały na niego notatki Lisy.

- Co to? - zapytał.

- Przeczytaj i jakby ci coś jeszcze przyszło ci do głowy, to dopisz - poprosiła i zniknęła w łazience.

Henning nie dodał jednak nic więcej do listy. Zapisane punkty komentowali podczas śniadania i zdecydowali się omówić je z Harmsem. Przede wszystkim chcieli sprawdzić, jak daleko mogą się posunąć, prowadząc śledztwo. Około ósmej opuścili dom. Jechali do pracy, wiedząc, że czeka ich długi i bardzo męczący dzień. Po drodze zatrzymali się na krótko, aby kupić gazety, w których nagłówki wielkimi literami informowały o śmierci Petera Bruhnsa. We wszystkich tekstach powoływano się na wczorajszą konferencję prasową z udziałem starszego prokuratora Rutera, który jednak w swoim oświadczeniu

nie wypowiedział się na temat jakichkolwiek przypuszczeń co do śmierci Bruhnsa. Henning był zadowolony, że obaj reporterzy, którym udzielił informacji, zabrali głos. Na pewno im pierwszym przekaze jakiegokolwiek dalsze wiadomości.

Poniedziałek, godz. 8.30

Spośród trzydziestu funkcjonariuszy, którzy brali udział w zebraniu, Santos i Henning znali zaledwie dziesięciu, i to głównie z widzenia. Większość nie miała pojęcia o sprawie, więc Santos i Henning odpowiadali na pytania, zanim pałeczkę przejęli Harms i Ruter.

- Wczoraj wieczorem, zaraz po wiadomościach, w których zamieszczono wystąpienie prokuratora, zadzwonił do berlińskiego wydziału policji kryminalnej doktor Meienbohm i powiedział, że Bruhns był w sobotę na przyjęciu zorganizowanym przez hrabiego Fryderyka von Pfillen. Według uzyskanych od niego informacji Bruhns zjawił się na imprezie około dwudziestej trzeciej i wyszedł po godzinie.

- Nikt poza tym? - zapytał Henning.

- Jak to nikt poza tym?

- Nikt z gości poza tym mężczyzną nie zadzwonił?

- Jak dotąd nie. Wiecie przecież, jak to jest. W tych kręgach dyskrecja jest bardzo ważna, dlatego też każdy woli trzymać się od takich spraw z daleka.

- Był sam czy z osobą towarzyszącą? - zapytał jeden z funkcjonariuszy.

- Świadek twierdzi, że była z nim młoda kobieta. Jednakże z tego względu, że nie chcieli być widziani razem, na przyjęcie weszli osobno. Ona zjawiła się kilka minut przed Bruhnsem. Więcej informacji nie mógł lub nie

chciał udzielić. Dopiero gdy pokazano mu zdjęcie Kerstin Steinbauer, przyznał, że z pewnością jest to ta sama osoba. Bruhns opuścił zatem imprezę w towarzystwie Steinbauer i udali się do Schönbergu. Reszta jest wam już znana. Wszelkie inne informacje znajdziecie w zeznaniu, które zostało podpisane przez naszego świadka. Dwoje z was nawiąże ponownie kontakt z doktorem Meienbohmem i jeszcze raz dokładnie go przepytaj. Poza tym pilnie potrzebujemy listy gości, najpóźniej do jutrzejszego wieczoru musi być opracowana. I informacja dla wszystkich, którzy jeszcze nie wiedzą: prokurator oczekuje do niedzieli rozwiązania sprawy. Nie muszę mówić, że nikt z nas nie jest z tego powodu szczęśliwy, ale uwierzcie, ja najmniej. Niestety polecenie jest poleceniem i trzeba je wykonać. Jednocześnie proszę każdego z was o rozwagę i wstrzymanie się od wyciągania pochopnych wniosków. Jest jeszcze jedna rzecz, którą musimy się zająć, chodzi o listę, którą otrzymaliśmy od pani Bruhns. Znajdują się na niej nazwiska siedmiu osób, największych wrogów jej męża. Wszystkie te osoby trzeba oczywiście sprawdzić i przesłuchać. Jeżeli któraś z nich nie będzie miała alibi, należy ją tu przywieźć i tak długo maglować, aż się przyzna bądź udowodni, że jest niewinna. Musicie jednak pamiętać, że trzeba się z tymi ludźmi obchodzić jak z jajkiem, gdyż jest to bardzo, podkreślam, bardzo delikatna sprawa. Mam nadzieję, że nie muszę nikomu z was przypominać, że każdy nasz ruch jest obserwowany przez prokuraturę, a chyba wszyscy wiemy, co to oznacza.

Po godzinie wszystkie zadania były już rozdzielone między utworzone grupy i policjanci zabrali się do pracy.

Po zebraniu, kiedy wszyscy funkcjonariusze opuścili salę konferencyjną, Henning i Santos poprosili przełożonego o rozmowę.

- Przejdźmy do mojego biura - zaproponował Harms. Od samego rana był jakiś markotny i zniechęcony. W drodze do biura Santos wyszeptała do Henninga:

- Nic mu nie mówimy.

- Dlaczego?

- Pozwól mi działać.

- Ale musimy z nim o tym porozmawiać. Nie uda nam się go ominąć.

Gdy tylko weszli do biura, Harms zapytał:

- Co mogę dla was zrobić?

- Może usiądźmy - zaproponował Henning i zamknął drzwi do pokoju obok.

- Patrząc na twoją minę, widać, że chodzi o coś ważnego. Mów, zamieniamy się w słuch.

- Wstałeś lewą nogą?

- Sóren, mów, czego chcesz. Nie mamy czasu.

- Chodzi o to, że... Mówmy ciszej, bo to, co mam ci do powiedzenia, przechodzi ludzkie pojęcie...

- Jeżeli ma to jakiś związek z Rüterem, to temat uważam za zakończony - wtrącił od razu Harms i przerwał Henningowi, unosząc dłoń.

- Ach, więc to jest powód twojego złego humoru - zauważyła Santos. - Ale to nie dotyczy jego, tylko nas wszystkich.

- Niedobrze mi się robi... Całą noc nie zmrużyłem oka, bo myślałem, jak zdołamy w ciągu siedmiu dni znaleźć sprawcę tego morderstwa, a...

- Volker, Rüter to idiota. Nie bierz sobie tego tak do serca. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku...

- No niezupełnie. Jeżeli w ciągu tygodnia nie uda nam się odnaleźć sprawcy, to ja, jako wasz przełożony, będę musiał za to odpokutować. Pójdę na pierwszy ogień, ale nie mówmy już o Rüterze, bo zaraz mnie krew zaleje.

- Okej, więc możemy już iść. - Henning spojrzał pytająco na Santos, jednak ona zignorowała to spojrzenie i zaproponowała: - Pojedziemy do wydziału kryminalistycznego i Instytutu Medycyny Sądowej, a potem złożymy wizytę pani Bruhns. Będziemy cię na bieżąco informować.

- Po co przyszliście? Po co to wszystko? - zapytał Harms.

- Po to właśnie, żeby ci to zakomunikować - odparła Santos i kiwnęła do Henninga, żeby już się zbierali. W drzwiach zatrzymała się i powiedziała: - W zasadzie jest jeszcze coś, ale to w tej chwili mało ważne.

- Co to takiego?

- Powiedz mu w końcu, Liso, albo ja to zrobię - nie wytrzymał Henning.

- Wykrztuście wreszcie, o co chodzi? - spytał Harms i zmarszczył czoło.

Santos i Henning wrócili do biura i stanęli przed Harmsem.

- To, co ci teraz powiem, jest wielką tajemnicą, dlatego daj słowo, że nikomu tego nie powtórzysz - poprosiła cicho Lisa.

- Co to znów za bzdury? Oczywiście, że masz moje słowo!

- Ruter w tej chwili interesuje mnie tyle co zeszłoroczny śnieg. - Gdy usiedli, mówiła dalej: - Søren i ja spotkaliśmy się wczoraj z Jurgensem, który powiedział nam, że on i Tónnies znaleźli na miejscu zbrodni obce DNA. Teraz zgadnij, do kogo ono należy?

- To nie jest jakiś quiz? Do kogo? - Harms stukał z niecierpliwością o blat stołu.

- Do osoby, która właściwie nie istnieje. Nieznana kobieta... Czy mógłbyś w końcu przestać walić tymi palcami? Przepraszam, ale...

Harms wstał nagle i spojrzał na Santos, jakby była nie z tego świata.

- Chwileczkę, chcesz przez to powiedzieć, że Bruhns i Steinbauer zostali zabici przez kobietę widmo? Chyba żartujesz! - Uniósł brwi i uderzył dłonią w stół. - Nie... ty chyba mówisz poważnie! Znam ten twój wyraz twarzy...

- Tylko powtarzam ci *to*, co powiedział nam Jürgens. Teraz rozumiesz, dlaczego jest to tajemnica i dlaczego nikt poza nami nie może się o tym dowiedzieć. Przynajmniej na razie. To, co się dzieje, to jedno wielkie świństwo.

- Czy Tónnies i Jürgens są w stu procentach pewni?

- Nie sądzę, żeby spotykał się z nami w niedzielę o dziesiątej wieczorem w pubie „Murphy”, gdyby miał nam do opowiedzenia jakieś bajki. Zresztą i tak chcemy usłyszeć jeszcze wersję Tónniesa. Jedno jest pewne. Zarówno Jürgens, jak i Tónnies chcą się trzymać od tej sprawy jak najdalej.

Harms ponownie zaczął stukać palcami o blat stołu. Zaciśnął usta i zamyślił się.

- Wszystko pięknie, a teraz posłuchajcie, co mam wam do powiedzenia. Jeżeli to prawda, to ja też nie chcę mieć z tym nic wspólnego! - Harms wstał, pochylił głowę i skrzyżował ręce za plecami. Przez chwilę chodził tak po pokoju tam i z powrotem, jak zwykle, kiedy o czymś myślał. Potem otworzył okno i świeże, chłodne powietrze wleciało do środka.

- Co to znaczy? - zapytał Henning.

Harms, nie odpowiadając na to pytanie, wymamrotał:

- Jak to możliwe, że tak szybko na to wpadli? Czy to jakaś nowa wersja *Kryminalnych zagadek*!

- Jak to Jürgens powiedział? Dziesięć procent to było logiczne myślenie, a reszta to szczęście; ale pozdrawia funkcjonariuszy CSI z *Kryminalnych zagadek*.

- Czy ktoś oprócz Tónniesa, Jürgensa i was o tym wie? - dopytywał się Harms.

- Doktor Bartels, asystentka Jurgensa...
- Znam ją - przerwał mu Harms. - Ktoś jeszcze?
- Nic mi o tym nie wiadomo.

Wszyscy milczeli przez chwilę. Harms stanął przy oknie i wdychał głęboko świeże powietrze. Po chwili odwrócił się i oparło o biurko. W jego oczach malowała się bezradność.

- A więc podsumujmy. Sprawa nieznanej kobiety została wyjaśniona, ale jeżeli was dobrze zrozumiałem, to nie jest to prawda. Tak?

- Tak, i dlatego nas to denerwuje. Jesteśmy bezsilni - powiedziała podekscytowana Santos.

- I co mamy teraz z tym zrobić? A właściwie co wy zamierzacie zrobić? - zapytał Harms, który zawsze miał odpowiedź na trudne pytania, jednak teraz sprawiał wrażenie bezradnego.

- Tego właściwie chcieliśmy się dowiedzieć od ciebie. Co mamy zrobić z tą informacją? Mamy zatrzymać ją dla siebie i zachowywać się, jakby wszystko było w porządku? To oczywiście najłatwiejsze wyjście z sytuacji, ale...

- To nie tylko jest najłatwiejsze, ale także jedyne wyjście. Jeszcze raz powtórzę, posłuchajcie mnie uważnie. Ta sprawa została wyjaśniona i tym samym jest już zamknięta. Czy wyraziłem się jasno?

- Ty się boisz?! - krzyknęła Santos i pokiwała głową, bo nie poznawała swojego przełożonego.

- Nie chodzi o to, czy się boję, czy nie. Chodzi o fakty, które zostały ogłoszone w piątek w całym kraju. Dostałem to dziś również na piśmie. Możecie sobie przeczytać, jeżeli macie ochotę. - Harms przesunął po blacie kilka kartek, jednak Santos nie miała zamiaru ich czytać.

Reakcja Harmsa ją zaskoczyła i zdenerwowała.

- To właśnie chcieliśmy od ciebie usłyszeć. Będziemy się trzymać od tego z daleka.

- Dobrze. To wszystko?

- W gruncie rzeczy tak. Zadaję sobie tylko pytanie, czego tak się boisz?

- Niczego się nie boję, ale wiecie, jak to jest, jak się niepotrzebnie wzniesie kurz, człowiek kaszle i kicha, a kurz osadza się na nim, aż go całego ubrudzi. Można również stracić pracę i świadczenia emerytalne. To jest jedno wielkie, błędne koło. Czy muszę wyrażać się jaśniej?

- Nie, nie musisz. Zrozumieliśmy cię doskonale. Zdajesz sobie jednak z tego sprawę, że za siedem dni my albo nasi koledzy z grupy dochodzeniowej wskażą niewinną osobę, która zostanie skazana. Wszyscy wiemy, że nie będzie to pierwszy taki przypadek w historii kryminalnej... - dodała Santos cynicznie.

- Oczywiście, ale nie będę ryzykował dla tej sprawy własnego tyłka. Tym bardziej waszych. Dlatego liczę na waszą dyskrecję. Najlepiej, jak od razu o tym zapomnicie, tak jak ja. Rozumiemy się? Jakbyście nigdy o tym nie słyszeli...

- Nie słyszeliśmy o tym nigdy, ale pozwól, że powiem ci coś jeszcze, zanim Henning i ja wyjdziemy...

- Co takiego?

- Jeszcze niedawno inaczej byś zareagował. Jak szalony próbowałbyś wyjaśnić tę sprawę, nawet gdybyśmy tylko my cię o to prosili. Szkoda. Zmieniłeś się, tylko nie wiem dlaczego...

- Tu nie ma nic do rzeczy zmiana, tylko doświadczenie. Pewnego dnia jeszcze mi podziękujesz, że nie pozwoliłem wam się w to mieszać. A teraz uciekajcie już i bierzcie się do pracy. Informujcie mnie na bieżąco. Czas leci...

- Już idziemy. Ktokolwiek warzy to piwo, nie będziemy mu pomagać. Wyrazy szacunku. Chodźmy. - Santos rzuciła Harmsowi jednoznaczne spojrzenie.

- Daruj sobie te spojrzenia i ten sarkastyczny ton.

- Odezwiemy się po drodze. Aha, powiedzieliśmy ci o tym, bo sądziliśmy, że masz prawo znać te fakty.

- Dziękuję. Przyjąłem to do wiadomości i odhaczę jako załatwione.

Santos i Henning czuli na sobie wzrok Harmsa jeszcze po wyjściu z jego biura.

- Ostatecznie Harms ma rację - powiedział Henning na korytarzu.
-1 nie da się ukryć, że się czegoś boi.

- Mimo wszystko się zmienił. Nie pojmuję, co się z nim ostatnio dzieje. Prywatnie ma jakieś problemy?

- Nie mam pojęcia. Tak naprawdę to nic nie wiem o jego życiu prywatnym. Ale widzę, że dziwnie się zachowuje. Musisz jednak przyznać, że jeżeli będziemy to drażnić, możemy sami sobie zaszkodzić. To będzie walka z wiatrakami, a przecież nie jesteśmy Don Kichotem i Sancho Pansą. Ja...

- Wiem, wiem... ale i tak nie mogę przestać się denerwować. Niedługo mi przejdzie. Niedobrze mi się robi, gdy myślę o tej bezradności. W końcu jesteśmy tylko nic nieznaczącymi funkcjonariuszami policji. Gdy ktoś nam mówi skacz, to my od razu skaczemy. Proste.

- Dobrze to ujęłaś.

Udali się do wydziału kryminalistycznego, aby porozmawiać z Tónniesem. Potem zamierzali odwiedzić Instytut Medycyny Sądowej.

Poniedziałek, godz. 10.35

- Myślałem, że wcześniej przyjdziecie. - Tónnies przywitał Santos i Henninga, po czym spojrzął na nich i wstał zza biurka. - Zamknę drzwi. W końcu nie każdy musi słyszeć, o czym tu mówimy.

- Przyszliśmy tylko na chwilę, żeby... Tönnies uniósł rękę.

- Wszystko, co chcieliście wiedzieć, usłyszeliście już od Jurgensa. Przykro mi, ale wam nie pomogę.

- Mamy jednak jeszcze kilka pytań, a potem zostawimy cię już w spokoju.

- Dobrze, ale pospieszcie się. Mam mało czasu.

- Co cię tknęło, żeby zbadać DNA?

- O którym DNA mówisz? Bruhnsa czy Steinbauer?

- Poczekaj - powiedział Tönnies i napisał coś na kartce, trąc nerwowo dłonią twarz. Po chwili wręczył Henningowi kartkę, a ten przeczytawszy ją, kiwnął porozumiewawczo głową.

- Okej, więc wyślesz nam ostateczne wyniki jeszcze dziś, tak? Jesteśmy pod dużą presją. Zależy nam na czasie, bo Riiter dał nam tylko siedem dni na znalezienie mordercy.

- Też mam go na karku. Ale z drugiej strony można to zrozumieć, w końcu Bruhns to nie jakiś szary obywatel, tylko ważna osobistość, jak podkreślał Riiter - powiedział Tönnies i mrugnął do nich. - Cóż, tak to już jest z gwiazdami, że zawsze wymagają specjalnego traktowania. Dlatego też ja i moja grupa robimy wszystko, żeby nie ściągnąć na siebie gniewu bożego...

- A kto by tego chciał? - odparł Henning. - Czekamy zatem na raport. Do zobaczenia.

- Hm, do zobaczenia.

Po wyjściu Santos, która nic z tego nie rozumiała, zapytała:

- Co to właściwie było?

- Chce się z nami jutro spotkać. O siedemnastej przy drogerii na dworcu. To również nie był ten Günter Tönnies, którego znamy, prawda? Musimy się dowiedzieć, co tu się dzieje. Najpierw Volker, teraz Günter. Albo coś nas ominęło, albo najzwyczajniej w świecie jesteśmy głupi.

Poniedziałek, godz. 11.40

Jürgens przeprowadzał akurat sekcję zwłok i rozmawiał z Claudią Bartels, gdy na salę weszli Santos i Henning.

Profesor odwrócił od razu głowę, a jego mina na pewno nie świadczyła o tym, że cieszy się z ich widoku.

Na stole leżała starsza kobieta, co można było wywnioskować z wyglądu jej otwartego torsu, pokrytej zmarszczkami czaszki i nadmiaru skóry opadającej na oczy. Jej narządy wewnętrzne zostały usunięte i ułożone na wadze. Po sekcji Jürgens znów umieści je w ciele bądź też zabierze na dalsze badania do laboratorium. Żołądek został włożony do niebieskiego woreczka, który szczelnie zamknięto, poprosił o to Henning, bo smród był dla niego nie do zniesienia. Jürgens odłożył woreczek na metalową wagę i spojrzał na komisarzy.

- Dobry - powiedział Henning i podszedł do Jürgensa i Bartels. -
Dużo pracy?

- Sam widzisz.

- Możemy chwilę porozmawiać? - zapytał Henning.

- Dzieciaki... przecież widzicie, że jestem zajęty.

- Pięć minut.

- Przyjdźcie później.

- To tylko pięć minut.

- Wkurzacie mnie. Okej. Macie pięć minut. Byliście u Güntera?

- Tak. Był jakiś nieswój.

- Nic dziwnego - rzucił Jürgens, unikając ich spojrzenia.

- Dlaczego? Co się stało? Jürgens odetchnął głęboko.

- Nie chciałbym pozbawiać was iluzji, ale lepiej nie zagłębiajcie się w tę sprawę. Rozmawiałem o tym wcześniej

z Günterem. Nabrał wody w usta. Mówiłem wam już, że co prawda znaleźliśmy coś, ale nic z tym nie możemy zrobić. Co powiedział wasz szef?

- Ze powinniśmy się skoncentrować na dochodzeniu. On nie chce mieć z tym nic wspólnego. Wygląda na to, że robi w gacie ze strachu.

- Powiedział wam to? - zapytał Jürgens z niedowierzaniem.

- Nie wprost, ale gdybyś go widział...

- Nie muszę go widzieć. Mogę sobie wyobrazić, w jakiej jest sytuacji. To mądry człowiek. Powinniście pójść w jego ślady.

- Jak to?

- Jeszcze nie rozumiecie? Zostawcie to wszystko w spokoju. To przerasta wasze możliwości, i to bardzo. Poza tym Günter zniszczył swoje wyniki badań...

- Chyba żartujesz! - zdziwił się Henning, nie dowierzając temu, co właśnie usłyszał. Jednocześnie ogarnęła go wściekłość, ale próbował nie dać tego po sobie poznać.

- Tak przynajmniej dał mi do zrozumienia, a to znaczy, że tego DNA nie znaleziono u Bruhnsa.

- Ze co? A co z twoimi wynikami? Ty też je zniszczyłeś?

Jürgens zaśmiał się sucho i pokręcił głową.

- A gdyby nawet? Myślicie, że byłby to pierwszy raz, kiedy wyrzuciłem wyniki swoich badań albo przynajmniej nie wspomniałem o nich w raportach, bo tak mi polecono? Nie jestem takim tchórzem, jak sobie teraz myślicie, ale ja również muszę trzymać się wskazówek i wykonywać polecenia.

- To szokująca wiadomość. Naprawdę. - W głosie Henninga można było wyczuć ironię.

- Czy my też dostawaliśmy od ciebie takie sfalszowane raporty?

- Jak dotąd nie. Ale gdy coś się jeszcze nie wydarzyło, to wcale nie znaczy, że się nie wydarzy. Wszystko zależy...

- Jasne. Masz jeszcze te swoje wyniki czy nie?

- Możliwe, że mam, ale nie łudź się, że cokolwiek ode mnie wydebisz. Oddam je dopiero wtedy, kiedy piekło zamarźnie.

- Odezwał się fan The Eagles. Oni też mówili, że się zejda, gdy piekło zamarźnie, a mimo wszystko są znowu razem.

Jiirgens podszedł do Henninga, złapał go za ramię, odciągnął kilka metrów i wyszeptał:

- To niezbyt dobre porównanie. Nie ma sensu pchać się w te brudy. Drażąc tę sprawę, wypowiecie wojnę ludziom, którzy mają władzę i wpływy i których nawet nie znacie...

- Zabrzmiało, jakbyś ty ich znał - zauważył Henning, unosząc brwi.

- Daj spokój tym kpinom. Mówię poważnie. Ci ludzie są zdolni do wszystkiego. Jestem pragmatykiem i dlatego będę się trzymał od tego z daleka. Wróć do mnie, jak piekło zamarźnie, wtedy dam wam, czego chcecie. Ale dopiero wtedy.

- Claudia? - Henning zwrócił się do asystentki.

- Cóż mogę powiedzieć... - odparła lakonicznie. - Przecież ja nawet nie wiem, o co chodzi. Może ktoś z was mi to w końcu wyjaśni?

- A, to coś nowego - powiedział Henning i zaśmiał się. - Więc twój kochany szef nie poinformował cię o niczym. Przecież jeszcze wczoraj wieczorem miałaś ją wtajemniczyć, o ile sobie przypominam. Chyba że źle cię zrozumiałem?

- Właśnie, Klaus, dlaczego ja o niczym nie wiem? Też jestem ciekawa.

- Spałaś, jak wróciłem do domu, a dziś rano...

Claudia Bartels machnęła ręką.

- Nieważne. Jestem cierpliwa. Jürgens znów złapał Henninga za ramię.

- Puść mnie, do diabła!

- Przepraszam, nie wiedziałem, że jesteś taki wrażliwy. Wyjdźmy na zewnątrz i porozmawiajmy spokojnie. Claudio, zajmij się już wątrobą. Zaraz wrócę.

- Dzięki za zaufanie! - krzyknęła za nimi Claudia.

- Jeszcze wszystkiego się dowiesz - odparł Jürgens i zaprowadził ich do innego pomieszczenia. Gdy weszli, zamknął drzwi i powiedział:

- Teraz wszystko od początku i nie przerywajcie mi. Günter ma wyniki swoich badań, ale Rüter wywiera na nim presję. Mnie również złożył wizytę...

- Rüter wie o tych wynikach? - przerwała mu Santos.

- Nie mam pojęcia! Możliwe, że się jakoś dowiedział albo ma jakiś szósty zmysł. Nie chciałem wam mówić przy Claudii, ale musimy teraz cholernie uważać. Posłuchajcie mnie i weźcie sobie moją radę do serca. Zapomnijcie o tym przeklętym DNA. To nie ma nic wspólnego ze strachem czy tchórzostwem, ale z przeżyciem. W dzisiejszych czasach nikt z nas nie może sobie pozwolić na utratę pracy...

- Claudia naprawdę nic nie wie? Jürgens przewrócił oczami.

- Chciałem jej wczoraj powiedzieć, ale naprawdę spała, jak wróciłem. Dziś rano specjalnie nie zaczynałem tematu, bo miałem nadzieję, że zapomni i nie będzie o nic pytała. A teraz przychodzicie wy i wykładacie kawę na łąwę...

- Nagle to nasza wina? Kto do nas wczoraj dzwonił taki zdenerwowany i chciał się spotkać? Gdyby nie twój telefon, na pewno byśmy spali spokojniej. Skąd mieliśmy wiedzieć, że nic jej nie powiedziałeś? Przecież mówiłeś, że we wszystko ją wtajemniczysz.

- Wiem, co mówiłem, i to był błąd. To wszystko to jeden wielki błąd. Mam tylko nadzieję, że nie będę go żałował. Jeżeli chodzi o Claudię, to muszę tak jej to przedstawić, żeby nie zadawała zbyt wielu pytań. Ale to nie wasze zmartwienie, ja się tym zajmę. Wy natomiast dajcie tej sprawie ucichnąć. Tak będzie dla nas wszystkich lepiej. O tym też rozmawiałem wcześniej z Gunterem. Zdecydowaliśmy, że nie będziemy tego drażnić, i uznaliśmy, że pewnie ktoś pozwolił sobie na głupi żart. Gunter miał jeszcze kilka starych patyczków i... Możliwe nawet, że był to ktoś z wydziału kryminalnego i teraz śmieje się z nas po cichu...

- Co za bzdury! Przecież sam w to nie wierzysz - powiedziała Santos i postukała się w głowę. - Opowiadaj takie bajeczki komuś innemu, ale nie nam.

- To właśnie jest dla mnie najlepsze wytłumaczenie. Ta osoba nie przewidziała, że swoim żartem wpakuje nas w sam środek piekła. Tak myślę. Przepraszam, ale nie wierzę w żaden spisek albo próbę zatuszowania czegoś. Bruhns został najprawdopodobniej zabity przez płatnego mordercę. Sprawca, obojętnie, czy to mężczyzna, czy też kobieta, wykonał zadanie, ale zapewne nieświadomie zostawił również swoje DNA.

- Na penisie Bruhnsa i na ustach Steinbauer, jeśli się nie mylę... - powiedziała Santos.

- Owszem. Widzisz, to również nie zgadza się z tym, co znajdowaliśmy w poprzednich miejscach zbrodni. Jeszcze nigdy dotąd nie znaleziono DNA w takich miejscach. Wcześniej były to zawsze jakieś przedmioty, samochód, puszka po coli i tym podobne. Ale nigdy zwłoki. Mówię poważnie, ktoś podkłada nam tu świnię.

- No, to już wiesz, jaką bajeczkę opowiesz zaraz Claudii - stwierdził Henning. - Czy nie słyszysz, jakie głupoty teraz wygadujesz? Najpierw boisz się, że stracisz pracę,

potem straszysz nasz podejrzanyimi typami z wyższych sfer, a w końcu dochodzisz do wniosku, że to tylko jakiś głupi żart... Może zdecydujesz się wreszcie na którąś z tych swoich wersji?

- To wy się skoncentrujcie na dochodzeniu, a nie na nieistniejącym DNA. Lepiej już wam nie doradzę. Muszę wracać do pracy.

- To jest twoje jasne stanowisko. Świetnie! - ze złością rzucił Henning. - Dziękujemy za pomoc i współpracę, naprawdę jesteśmy wdzięczni, profesorze Jürgens.

Jürgens stanął w drzwiach, trzymając dłoń na klamce. Zamknął oczy, otworzył i wrócił do Henninga. Zatrzymał się tuż przed nim.

- Czego ty ode mnie chcesz?

- Nie trafiłeś z pytaniem. Czego ty chcesz? W ciągu ostatnich kilku lat robiono już ze mnie i z Lisy durniów. Jeszcze tylko brakuje nam do tego ciebie i Güntera. Jeżeli naprawdę znaleźliście to podejrzane DNA, to przynajmniej nie wycofujcie się z tego. Chyba że to naprawdę był tylko głupi żart. Jeżeli tak, to już nigdy nie wspomnę o tym ani słowa. Ale przynajmniej powiedz nam prawdę albo przekonaj nas, że ta twoja teoria o żarcie jest prawdziwa, to wtedy odejdziemy i z czystym sumieniem zajmiemy się śledztwem. Chcemy tylko prawdy. Niczego więcej.

- Prawdy?! - krzyknął Jürgens, coraz bardziej zdenerwowany presją, jaką wywierał na niego Henning. Zazwyczaj bardzo spokojny teraz zagryzł usta, jakby szukał odpowiednich słów. Stał tak przez chwilę wściekły, po czym wybuchnął: - A co jest prawdą?! Dobrze opakowane kłamstwo też może być idealną prawdą. Wszystko zależy od opakowania...

- No, no, no... daruj sobie te filozoficzne wywody -burknął Henning.

- Sören, do licha! Otwórz w końcu oczy! Nie zawsze wszystko jest tak, jakbyśmy sobie życzyli. Okej, rozumiem, że wam się nie podoba, jak robią z was idiotów, ale uwierzcie mi, że nie był to pierwszy ani ostatni raz, kiedy wyjdziecie na głupków. Prawda nie zawsze leży pośrodku. Prawda to część hierarchii, a hierarchia to część całej piramidy i dopiero gdzieś na samym dole tej piramidy znajdziesz prawdę. Im wyżej się wspinasz, tym bardziej prawda miesza się z kłamstwem. Granice między nimi się zacierają, aż w końcu nie wiadomo, co jest prawdą, a co kłamstwem. Cholera! Już sam się w tym wszystkim pogubiłem. Cały ten zasrany świat jest jednym wielkim kłamstwem. Z powodu tego jednego incydentu chcesz nas wszystkich doprowadzić do szaleństwa? Jeżeli twój przełożony mówi ci, że coś jest prawdą, to lepiej się zamknij i przyznaj mu rację. Jeżeli jego przełożony mówi mu, co jest prawdą, to Harms też siedzi cicho. I tak to się toczy. To jest piramida. Nie chcę wam mówić, co macie robić. Sami o tym zdecydujecie, macie w końcu do tego prawo. Z jednym wyjątkiem: nie możecie nic zrobić z tą informacją, którą uzyskaliście ode mnie. Zrozumiano? Poza tym informacja, której wam udzieliłem, już nie istnieje, bo ja się z tego całkowicie wycofuję. Nie mieszam się w to. Ta sprawa mnie przerasta...

- Tchórz!

- Mów sobie, co chcesz. Tylko powiedz mi jedno: co chcesz osiągnąć, waląc głową w mur? Czy tylko sobie chcesz coś udowodnić? Mój Boże, jest taki niezyciowy! -zachnął się Jürgens. - Myślisz, że komuś tym pomożesz? Sobie? Lisie? A może chcesz ratować świat? - Odczekał trochę, myśląc, że Henning zareaguje. Jednak Henning milczał, więc Jürgens powiedział podniesionym głosem: -Nie pomożesz nikomu! Słyszysz? Nikomu! Po prostu się wycofaj, nic więcej nie musisz robić. Ta historia skończyła

się, zanim tak naprawdę się zaczęła. Najprawdopodobniej nie jest to nawet poważna historia, tylko czyjś głupi żart, przez który wszyscy wariujemy. Powinienem był się z tym przespać, zanim komukolwiek o tym powiedziałem. Wywołałem lawinę, a powinienem po prostu milczeć. Przecież morderca, który jak dotąd zostawiał w mniej lub bardziej ukrytych miejscach swoje DNA, nie zostawi go nagle w oczywistym miejscu. I to gdzie? Na siurku i ustach... przecież to idiotyczne. Przepraszam, takiego głupiego błędu na pewno już nie popełnię. Mam tylko nadzieję, że nie zaważy to na naszej przyjaźni.

- Powiem tylko: wierutna bzdura, brednie.... Chodź, Liso, nic tu po nas. Wszystkiego dobrego w tym twoim krojeniu trupów.

- Poczekajcie! Znacie tę historię o dwóch uczonych, którzy wynaleźli lek na AIDS? Działo się to jakieś jedenaście lat temu.

- Nie - odpowiedziała cicho Santos.

- Było sobie dwóch uczonych, którzy opracowali środek przeciw AIDS; i to nie jest żart. Mnóstwo ludzi, przede wszystkim w Afryce, żyje nadzieją, że kiedyś taki lek zostanie wynaleziony... Jednak przemysł farmaceutyczny wcale na to nie czeka, gdyż oznaczałoby to wielką klapę. Leki sprzedawane ludziom chorym na AIDS to miliardowy interes. Gdyby istniał jeden lek, wszystkie inne poszłyby w odstawkę, a to łączyłoby się z ogromnymi stratami. Nawet gdyby każdy człowiek na naszej planecie był chory na AIDS i kupowałby ten jeden lek, to i tak przychody byłyby nieporównywalnie mniejsze od tych, które farmaceuci mają teraz. Dlaczego? Bo ten lek bierze się raz lub dwa i choroba zostaje zwalczona. I co dalej? Ludzie są zdrowi, a kurek z pieniędzmi zostaje zakrecony. Te wszystkie półśrodki, które jedynie opóźniają rozwój choroby, przynoszą wielkie zyski i żeby to się nie zmieniło,

AIDS nie może być chorobą uleczalną. Niestety, uczeni ci, lecąc na kongres do Stanów Zjednoczonych, zginęli w wypadku samolotowym i nie zdążyli ogłosić światu swojego sensacyjnego odkrycia. Nikt oprócz nich samych i kilku grubych ryb przemysłu farmaceutycznego nie poznał tego leku. Na pokładzie samolotu leciały sto dwadzieścia trzy inne osoby, które po prostu znalazły się w złym miejscu i o złej porze, jeżeli wiecie, co mam na myśli. Opis wytwarzania tego leku leży gdzieś teraz w jakimś sejfie i prawdopodobnie nigdy nie ujrzy światła dziennego.

- Dopuszczono do tego, aby runął samolot z tyloma ludźmi tylko z powodu dwóch uczonych? Poświęcono tylu ludzi?- zapytała Santos z powątpiewaniem.

- Z powodu dwóch uczonych? Liso, obudź się! Tu chodzi o mnóstwo pieniędzy. Ci pozostali pasażerowie w ogóle się nie liczyli.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał nieufnie Henning.

- Sören, wszędzie na świecie dochodzi do takich sytuacji. Od dwudziestu lat pracuję jako lekarz sądowy, myślisz, że w tym zawodzie nie opowiadają nam różnych bredni? Ta historia, którą wam opowiedziałem, jest prawdziwa. Znam nawet nazwiska tych uczonych, w których uczciwość nigdy nie wątpiono. Wręcz przeciwnie, wychwalano ich pod niebiosa, tylko nigdy nie mówiono o przełomie, którego dokonali swoim wynalazkiem w leczeniu AIDS. Z pewnością dostaliby za swoje osiągnięcie Nobla; ale czymże jest Nagroda Nobla w porównaniu ze stratą miliardów dolarów? Srać na to! Ludzie nadal umierają na AIDS, ale myślicie, że kogokolwiek z przemysłu farmaceutycznego to interesuje? To są fakty, moi kochani! Mógłbym wam jeszcze opowiedzieć mnóstwo innych, podobnych historii z dziedziny medycyny albo wynalazków.

- Ale jaki to ma związek z nami?

- Nie załamuj mnie teraz. Chyba żartujesz, Liso. Przecież mechanizmy wszędzie są takie same. To trzeba przemilczeć, tamto wyeliminować. To jedna wielka manipulacja...

- Już dobrze, dobrze. Zrozumiałam. Jiirgens westchnął głęboko.

- Ludzie, przecież ja też jestem zły z powodu tego całego świństwa, ale cóż mogę zrobić? Jestem tylko małym, nic nieznaczącym lekarzem sądowym. Wy z kolei jesteście tylko policjantami z mikroskopijnymi zarobkami. Nie ma żadnego środka przeciw politycznym decyzjom albo przeciw ludziom rządzącym gospodarką. Ani jednego... Tak samo jak nie ma środka przeciw AIDS, a przynajmniej nigdy oficjalnie go nie było i nie będzie. I to jest tak samo pewne jak to, że teraz tu przed wami stoję. Wczoraj nie wiedziałem, jakie znaczenie ma informacja, którą wam przekazałem, i jest mi z tego powodu bardzo przykro. Przepraszam was. Po prostu nie chcę wpakować was w jakieś problemy. To by było tyle... Porozmawiamy o tym wszystkim innym razem, jak emocje już trochę opadną. Cześć i powodzenia.

- Powodzenia? W czym? W poszukiwaniu sprawcy, który wcale nim nie jest? I to jest ta prawda? Jeżeli prawdą jest, że kobieta widmo albo mężczyzna, który pozostawia w miejscach zbrodni DNA nieznajomej kobiety, wciąż działa, to będziemy winni złapania i skazania niewinnej osoby. Superprawda!

- Tak, zgadzam się z tobą. Superprawda. Ale może zaproponuj mi w takim razie, co możemy w tej sytuacji zrobić, ty mój przebiegły panie nadkomisarzu. - Po dłuższej przerwie dodał jeszcze: - Widzisz? Sam nie wiesz. Ty nie wiesz i ja też nie mam pojęcia. Dlatego nie musicie wywoływać we mnie wyrzutów sumienia, bo i tak już je mam. No, a teraz to już naprawdę koniec.

- Ale dlaczego nas oszukałeś?

- Myślisz, że ta cała sytuacja mogłaby być jednym wielkim żartem? - Jiirgens wzruszył ramionami. - Może po to, żeby ochronić was i siebie. Spójrzcie na to z tej strony.

Jürgens wyszedł, zostawiając ich bezradnych. Po chwili Henning objął Lisę.

- Wyjdźmy już stąd - poprosił. - Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Poniedziałek, godz. 13.10

W drodze do Düsternbrook Santos po dłuższym milczeniu w końcu się odezwała:

- Nie będziemy się w to mieszać, inaczej zarobimy się na śmierć. Klaus ujął to tak: po pierwsze, nie mamy dowodów, a po drugie, żadnych szans na powodzenie, nawet gdybyśmy mogli udowodnić manipulację. Mój tata zwykł mówić: nie marnuj swojej energii na coś, czego i tak w żaden sposób nie możesz osiągnąć. I miał rację.

- I co w związku z tym? Ja chcę znać prawdę.

- Ja też, ale nie za wszelką cenę. Cena, którą możemy zapłacić, jest stanowczo za wysoka. Nasze życie wisi na włosku. Mam takie dziwne przeczucie, że nie chodzi tu tylko o utratę pracy, ale o dużo, dużo więcej.

- Boisz się?

- Jeszcze nie.

- To dobrze. Zauważyłaś może, jak Günter się pocił? To objaw panicznego strachu. Jeżeli tak, to dlaczego napisał mi na kartce, że chce się z nami spotkać na neutralnym gruncie? Zrobił to bardzo dyskretnie, zupełnie jakby był obserwowany. I dlaczego Klaus wymyśla takie niestworzone historie? Dlaczego...

- Przestań już! Koniec z tym! - nakazała mu Santos i spojrzała gniewnie. Nawet najbardziej zuchwałym

cwaniakom miękły kolana i pociły się dłonie, gdy Santos patrzyła na nich tym swoim wzrokiem, czego nauczyła się na zajęciach karate. - Nie mam ochoty uganiać się więcej za kobietą widmem. Lepiej skoncentrujmy się na naszym dochodzeniu. W niczym więcej nie biorę udziału...

- Ale...

- Nie ma żadnego ale! Całkiem możliwe, że mediom i opinii publicznej udzielono złych informacji, ale może być też tak, że te informacje są prawdziwe, a błąd leży zupełnie gdzie indziej. Nie wiemy tego teraz i pewnie nigdy się nie dowiemy. Ale nie musimy. Musimy natomiast znaleźć tego perwersyjnego mordercę. Problem DNA nie leży w naszych kompetencjach. A teraz nie chcę już słyszeć o tym ani słowa, chyba że chcesz poszukać sobie innego partnera.

- Jeszcze tylko jedno i będę cicho. Nie oczekuję odpowiedzi. Chcę tylko, żebyś się nad tym zastanowiła. Dobrze?

- Jeżeli muszę...

- Dlaczego Volker tak się denerwował, jak mu o tym wszystkim powiedzieliśmy? I dlaczego Rüter był u Tønniesa i Jürgensa? To są tylko pytania. Nic więcej.

Santos wyjrzała przez okno. W jej głowie kłębiło się mnóstwo myśli. Myśli, o których nie chciała i nie mogła powiedzieć Henningowi. Daremnie próbowała się ich pozbyć. Wiedziała, że Henning ma rację, ale równie dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że bardzo niebezpieczne było samo myślenie o tym. Aby zapomnieć o tej sprawie, przypomniawszy sobie hiszpański wiersz, którego nauczył ją ojciec, gdy była mała. Nie pomogło, więc przypomniawszy sobie hiszpańską piosenkę ludową, którą śpiewała babcia, gdy Santos przyjeżdżała do Hiszpanii.

Niestety, myśli powracały, a wraz z nimi zwątpienie i frustracja. Z chęcią powiedziałyby do Henninga:

„Dobrze, zajmijmy się tą sprawą”, ale nie odważyła się, bo wiedziała, że Henning był niczym pitbull, który jak w coś się wgrzyzie, to już nie puści.

Zanim skręcili w ulicę Bruhnsa, zobaczyli tłum reporterów, którzy przybyli tu, aby zrobić choć jedno zdjęcie Victorii Bruhns opłakującej męża. Liczyli na to, że uchwycą jej zgarbioną sylwetkę, czerwone od płaczu oczu i policzki zalane łzami. Henning od razu wyobraził sobie, jak będą wyglądały w najbliższym czasie nagłówki gazet. Zapewne ukazywać się będą tasiemcowe artykuły na temat życia i pracy Bruhnsa. Może wraz ze znanymi już informacjami ujawnione zostaną nieznane dotąd szczegóły. Dotychczas wiele informacji o nim było ukrywanych, ponieważ nie chciano ich publikować, ale tym razem reporterzy są tu właśnie po to, aby zniszczyć tę fasadę. Teraz wszystkie jego ciemne sprawy wyjdą na jaw; wszystko to, czego od trzech czy nawet czterech lat nikt nie odważył się opisać, gdyż Bruhns wygrywał każdy proces sądowy, a miał ich mnóstwo.

Dotarli na miejsce. Henning zatrzymał się i schował klucz. Odczekał kilka sekund i nie spuszczać z oczu tych wszystkich dziennikarzy, którzy uzbrojeni w mikrofony i kamery koczowali przed domem Bruhnsa, objął Lisę.

- Wszystko w porządku. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Może wejdźmy już do środka - powiedziała Santos. - Jeżeli nas te głupki z prasy w ogóle przepuszczą.

- Już ja zadbam o to, żebyśmy dostali się do środka. Henning wyszedł przed Lisę i używając łokci, torował

sobie drogę. Kilkoro z reporterów szorstko upomniał:

- Zróbcie miejsce, hieny, nie tu po was. Odsuńcie się, i to już, bo inaczej każę was stąd wszystkich usunąć!

- Nie może nam pan zabronić tu być - powiedział jakiś młody dziennikarz, którego Henning jeszcze nigdy wcześniej nie widział, spoglądając na nich wyzywająco.

Henning podszedł do niego.

- Owszem, mogę to zrobić - syknął. - Uwierz mi. Jesteście na terenie zamieszkanym i blokujecie samochodami ulicę. Bez problemu mogę zaraz wezwać straż miejską i odholują pięcioma, może sześcioma samochodami wasze auta. Zdziwilibyście się, jak szybko uporaliby się z uprzątnięciem tej ulicy. To jak?

- To jest wolny kraj, ty dupku! - krzyknął dziennikarz, który zdobył popularność dzięki swojemu bardzo długiemu artykułowi napisanemu bez odrobiny dyplomacji.

- Słucham? Jak to było? Potrzebny ci pozew o obrazę funkcjonariusza na służbie? Zaraz mogę ci w tym pomóc, chyba że ruszysz w końcu stąd swój tyłek.

- Dobrze, już dobrze. Nie chciałem nikogo urazić. Przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte, ale i tak odmaszerować. Już mi z drogi!

Przed bramą domu Bruhnsa stało czworo umundurowanych policjantów. Henning uniósł swoją legitymację.

- Od dawna tak tu jest? - spytał.

- Jesteśmy tu od szóstej. Oni naprawdę są jak hieny.

- Czy pani Bruhns jest w domu?

- Tak.

Henning wcisnął guzik domofonu i ustawił się tak, aby jego twarz była widoczna w kamerze. Brama otworzyła się, jednak Victoria Bruhns nie odezwała się ani słowem.

Weszli. Gospodyni oczekiwała ich w ciemnym przedsionku. Była blada i miała podkrążone oczy.

- Witam. - Uśmiechnęła z przymusem. Zamknęła za nimi drzwi i poszli do pokoju.

- Dzień dobry, jak się pani dziś czuje? Zmarszczyła tylko czoło i wzruszyła ramionami.

- Nie spała pani? - zapytała Santos ze współczuciem.

- O tym nie było w ogóle mowy. Od wczoraj oblegają mój dom, jakbym była Britney Spears albo Paris Hilton. Mogliby mnie zostawić w spokoju.

- Nie może pani wyjechać gdzieś, gdzie pani nie znajdą? Victoria Bruhns zaśmiała się i pokręciła głową.

- Oni znajdą mnie wszędzie, są jak Erynie, demony żądne krwi. Przecież wiedzą państwo, jacy oni są. A ja tylko chcę mieć święty spokój.

- A co z pani rodzicami i siostrą?

- A jak pani myśli? Przecież każdy z nich doskonale wie, gdzie mieszka moja rodzina. Zresztą nawet przed ich domami stoją już paparazzi. Nienawidzę ich.

- Nie ma pani żadnej koleżanki, u której mogłaby się na trochę ukryć?

- Odkąd poznałam Petera, nie mam żadnych koleżanek - wyznała z żalem. - On zmusił mnie do tego, żebym zakończyła swoje wszystkie dotychczasowe znajomości. Traktował to prawie jak dowód mojej miłości do niego. Wiem, byłam głupia, ale niestety nie potrafię cofnąć czasu. No cóż, prędzej czy później ta wrzawa ucichnie. Z pewnością jednak nie uda im się zrobić zdjęć smutnej wdowie pogrążonej w żałobie, bo nią nie jestem. Ale proszę usiąść, może napiliby się państwo czegoś?

- Niech pani nie robi sobie kłopotu.

- To żaden kłopot. Proszę chwilkę poczekać, zaraz przyniosą nam lemoniadę. Peter sprowadzał dwa razy w roku specjalną odmianę żurawiny ze Stanów i kazał robić z tego świetną lemoniadę. Oczywiście nigdy jej nawet nie pił, bo rzadko tu bywał.

Victoria Bruhns zniknęła na chwilkę. Henning i Santos słyszeli jakieś głosy, po czym pani domu wróciła do nich.

- Zaraz przyniosą - powiedziała i podobnie jak podczas ich poprzedniej wizyty usiadła na krześle przed nimi.

Zdawało się, że jest bardzo opanowana, jednak dostrzegli, że to tylko pozory.

- Dlaczego nie nosi pani żałoby? - zapytała wprost Santos.

- Nie wiem. Jakoś nie potrafię. Może dlatego, że już od ponad dwóch lat sama siedzę w tym domu. Peter przyjeżdżał tu tylko czasami nas odwiedzić. Wczoraj, gdy państwo wyszli, myślałam, że sobie oczy wypłaczę. Ale wieczorem już mi przeszło. Myślę, że nawet nie było to z żalu po nim, to chyba coś innego. Prawdopodobnie płakałam, bo dostałam informację, na którą nie byłam przygotowana. To chyba jedyne sensowne wytłumaczenie.

- Całkiem możliwe. Niestety, musimy zadać pani jeszcze kilka pytań, ale to nie potrwa długo. A gdzie jest córeczka?

- Popołudniowa drzemka. Przespała prawie całą noc i teraz też śpi. Też bym tak chciała... Proszę pytać.

Drzwi otworzyły się nagle i stanęła w nich mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta ubrana na czarno. Bez słowa postawiła na stole tacę, na której stała karafka i trzy szklanki. Kobieta nawet na nich nie spojrzała.

- Dziękuję - powiedziała Victoria Bruhns, a tamta bez słowa opuściła pokój.

- Może przypomniawszy sobie pani jeszcze kogoś, kto życzyłby pani mężowi śmierci?

- Niestety, nie. Całą noc zastanawiałam się nad tym, kto mógłby stać za tym zabójstwem, ale oprócz tych siedmiu osób, o których już wspomniałam, nikt mi nie przychodzi do głowy.

- Te osoby, których nazwiska nam pani dała, zostaną przesłuchane. Czy może w ostatnich dniach lub miesiącach wydarzyło się coś szczególnego? Czy pani mąż zachowywał się inaczej w piątek, podczas urodzin państwa

córki? Może dostali państwo jakąś paczkę, list albo były jakieś podejrzanе telefony, które...?

- Przecież wczoraj pytali mnie już państwo o to. Jak już mówiłam, nie działo się nic nadzwyczajnego. Przynajmniej ja nic nie zauważyłam. Mąż zachowywał się jak zwykle, ale muszę przyznać, że jakoś specjalnie mu się nie przyglądałam. Poza tym on był tu tylko przez godzinę, a potem znów musiał wyjechać...

- Do studia, jeśli dobrze pamiętam?

- Tak, ale niech państwo zapytają jego dźwiękowca, czy on naprawdę tam dojechał. Zapiszę państwu nazwisko i adres studia.

- Czy już pani z nim rozmawiała?

- Nie, i nawet się dziwiłam, że jeszcze się ze mną nie skontaktował, ale w sumie znamy się tylko z widzenia z czasów, kiedy mąż zabierał mnie ze sobą do studia. Pan Weidrich jest cichym i zamkniętym w sobie człowiekiem. Czasami odnosiłam wrażenie, że pije, ale to tylko moje zdanie.

Victoria Bruhns podała Santos karteczkę, którą ta schowała.

- Wczoraj wspomniała pani, że chciała odejść od męża i nawet miała coś, co mogłaby wykorzystać przeciwko niemu. Nie powiedziała nam pani jednak, co to takiego, a my chcielibyśmy to wiedzieć.

- Dlaczego to aż takie ważne?

- Wszystko ma znaczenie. Proszę mi wierzyć. To, o czym tu rozmawiamy, pozostanie między nami, chyba że okaże się istotne dla dalszego dochodzenia.

Victoria Bruhns zaplotła palce i przygryzła wargę.

- Dobrze, chodziło o to, że przed rokiem Peter odkrył talent, jak sam się wyraził - powiedziała po chwili. - Była to młoda dziewczyna, którą chciał wylansować. Miała być

nową Mariah Carey albo Whitney Houston. Mówił mi czasami o planach, jakie z nią wiązał, aż pewnego dnia tu ją przywiózł. Było już dość późno, około dziewiętnastej. Spędzili sporo czasu w studiu we dwoje, podczas gdy ja siedziałam tu w pokoju... Piętro niżej Peter ma małe studio, w którym kiedyś komponował. Jest ono w pełni wyposażone, nagrywał tu nawet czasami dema różnych artystów oraz wykorzystywał je do prób. Później mogę je państwu pokazać. To było dzień przed urodzinami Pauline. Nigdy nie zapomnę, jak ta dziewczyna weszła na górę. Wyglądała, jakby przed chwilą płakała, i jestem przekonana, że coś ją bolało, chociaż starała się to ukryć. Peter wszedł zaraz po niej i od razu mnie ofuknął, że niby się bez sensu gapię. Kazał mi iść do innego pokoju. Ja jednak zostałam i zapytałam go, co stało się tej dziewczynie. Nie odpowiedział mi. A jak nalegałam, to dał mi do zrozumienia, że to nie moja sprawa i powinnam już iść. Nawet unióśł lekko rękę. Potem powiedział, że z Nele wszystko w porządku i że jest trochę zmęczona próbami. Zamierzał zaraz odwiedzić ją do domu. Chyba nie spodziewał się, że będę tu siedziała, bo tuż przed narodzinami Pauline chodziłam bardzo wcześnie spać.

- Jak nazywała się ta dziewczyna? - zapytała Santos.

- Nele.

- A nazwisko?

- Nie mam pojęcia. Nie chcą państwo wiedzieć, ile miała lat?

- A ile miała? - zapytała Santos, mrużąc oczy. Gniew, jaki w sobie od rana nosiła, narastał.

- Jedenaście, góra dwanaście. Nele była dzieckiem, gdy Peter ją skrzywdził. To było chyba naprawdę moje najgorsze przeżycie.

- Skąd pani wie, że on faktycznie ją skrzywdził?

- Czułam to. Jestem kobietą i... Ta dziewczynka była przerażona. Patrzyła smutnym wzrokiem. Czuła się osa-

czona. Możliwe, że się mylę, jednak dla mnie ta sytuacja była jednoznaczna.

- Czy Nele coś mówiła?

- Ani słowa. Nawet nie pisnęła, ale tak naprawdę to nawet nie miałam możliwości z nią porozmawiać. Peter od razu zamierzał ją odwiedzić. Gdy wychodzili, odwróciła się jednak i spojrzała na mnie z takim smutkiem, jakby szukała u mnie pomocy.

- Czy może pani ją opisać?

- Miała około metra czterdziestu, blondynka z dużymi niebieskimi oczami. Jeszcze dziecięca figura, żadnych krągłości, nie miała nawet piersi.

Santos nie dała po sobie poznać, co o tym myśli, jednak od razu przypomniała sobie o sprawie, którą się zajmowali i którą zamknęli około dwóch miesięcy temu.

- Jeżeli pani mąż zgwałcił tę dziewczynkę, to dlaczego nie wezwała pani policji?

- Nie słyszała pani? Nie znałam tej dziewczyny. Wiedziałam tylko, jak ma na imię. Nic więcej. Nawet jej wiek to tylko moje przypuszczenia. Co zrobiłaby policja? Bądźmy szczerzy, policja Peterowi nic by nie zrobiła. Poza tym, gdy wrócił po blisko dwóch godzinach, groził mi, że mnie zabije, jeżeli kiedykolwiek wspomnę o tym małym zajściu. Małym zajściu! - podkreśliła. Milczała przez chwilę. -A potem powiedział mi: Nele jednak nie jest obdarzona wyjątkowym talentem. I zaśmiał się. Tej samej nocy zaczęły się bóle porodowe, a rano urodziła się Pauline. Peter przyjechał oczywiście do kliniki, bo przecież cały świat musiał wiedzieć, jakim jest kochającym i troskliwym mężem i ojcem. Gdy tylko wróciliśmy do domu, wyjechał. Czasami nie było go po kilka dni, a ja nawet nie wiedziałam, co się z nim dzieje. Nie odzywał się ani słowem.

Victoria Bruhns zamilkła i napiła się lemoniady z żurawin.

- Gdyby jednak nie wywarło to na nim wrażenia, to jak pani chciała go naciskać?

- Jeszcze nic państwo nie wypili.

Henning i Santos napili się i odstawili bez słowa szklanki na stół.

- A więc dzięki czemu miała pani męża w garści?

- Tydzień później zobaczyłam w gazecie zdjęcie Nele. Była martwa... Policja stwierdziła, że odebrała sobie życie albo padła ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Zamieszczono prośbę o kontakt wszystkich osób, które mogłyby pomóc ustalić jej pochodzenie. To był dla mnie szok. Zrobiłam odbitki ksero tego artykułu i rozwiesiłam je wszędzie w domu...

- Mogła pani przecież przyjść z tym do nas.

- Pani Santos, co miałabym niby powiedzieć? Znam tę dziewczynkę, ma na imię Nele i była u nas w domu tydzień temu? Mój mąż ją zgwałcił! Komu by pani uwierzyła: mnie czy jemu?

Santos spuściła na chwilę wzrok, bo wiedziała, że Victoria Bruhns ma rację. Nikt by jej nie uwierzył. Poza tym nikt nie wszcząłby dochodzenia przeciw Bruhnsowi. Nie byłoby procesu ani orzeczenia o winie. Dobrze pamiętała ten przypadek; pewnego dnia robotnicy pracujący na kolei znaleźli w krzakach obok wagonów towarowych dziewczynkę. Nie znano jej tożsamości. Trzymała w ręku misia, a jej delikatne ciało nosiło mnóstwo śladów znęcania się: liczne krwiaki, poparzenia od gaszonych na skórze papierosów, złamania kości, co prawda w większości stare, ale źle zrośnięte, tylko jej twarz pozostała nienaruszona. Dziewczynka miała subtelną, dziecięco niewinną buzię, długie blond włosy, niebieskie oczy, lekko uwydatnione kości policzkowe, niezbyt pełne usta. Była ślicznym dzieckiem, które mogło wyrosnąć na piękną kobietę. Jednak znalazł się ktoś, kto nie dopuścił do tego, żeby przeżyła

więcej niż jedenaście czy dwanaście lat. Tuż przed śmiercią musiała bardzo cierpieć. Ślady na jej podbrzuszu wskazywały na to, że została wielokrotnie zgwałcona. Te męki zniosła tylko dlatego, że podano jej narkotyki. Wyglądało na to, że Bruhns był jednym z tych, którzy zhańbili ciało i duszę Nele.

Dla Santos samo patrzenie na zdjęcia było nie do zniesienia. Czowała smutek, żal i wielką złość. Jednak musiała się opanować, bo tylko trzeźwo myśląc, mogła prowadzić dochodzenie. Powołano dwunastoosobową grupę dochodzeniową, ale i tak nie udało się do dzisiaj rozwiązać sprawy. A teraz, siedząc u Victorii Bruhns, dostają pierwsze informacje na temat tej dziewczynki. Przynajmniej już wiedzą, jak miała na imię.

Według wyników badań lekarza sądowego ciało tego dziecka musiało leżeć około pięciu dni na dworze, zanim je znaleziono. Ponieważ było dość zimno, nie rozpoczął się jeszcze proces rozkładu. Dziewczynka została zgwałcona, a potem uduszona. Ponieważ nie znaleziono śladów wskazujących, że próbowała się bronić, stwierdzono, że zapewne nie miała już na to siły. Nigdy publicznie nie ogłoszono, przez jakie piekło przeszła Nele.

- Więc jak?

- Bardzo prosto. Jak już wczoraj wspominałam, gdy powiedziałam mężowi, że chcę od niego odejść, groził mi, że odbierze mi córkę. Wtedy to, chociaż bardzo się bałam, odwróciłam sytuację i powiedziałam mu, że wiem, że ta biedna Nele zginęła również przez niego. Był bardzo zaskoczony, bo nie spodziewał się, że zaraz po urodzeniu dziecka będę czytała jakieś gazety. Przestraszony stał przez chwilę, patrząc na wycinek, który mu pokazałam. Zamurowało go. To był mój jedyny as, którego trzymałam w rękawie. Po chwili odwrócił się i wyszedł bez słowa. Potem już nic o tym nie mówił, bo dobrze wiedział, że

by przegrał. Proszę mi wierzyć, że od tamtej chwili żyłam w wielkim strachu, ale zaskoczyło mnie to, że tak łatwo dał się zaszantażować. Zdziwiło mnie, jak łatwo mi to poszło.

- Dlaczego milczała pani przez rok? Jak mogła pani wytrzymać jeszcze cały rok z tym mężczyzną?

- Pani Santos, dzień po tym zdarzeniu urodziłam dziecko. Od tamtej pory liczyła się tylko Pauline. Poza tym, jak już mówiłam, bałam się. Po prostu się bałam. Strach towarzyszył mi cały czas, ale w końcu musiałam się przemóc. Wiem, że może trudno w to uwierzyć, ale ten dom od ponad trzech lat był dla mnie niczym więzienie. Chciałam się tylko z niego wydostać.

- Czy moglibyśmy zobaczyć ten artykuł?

Victoria Bruhns podeszła do regału z książkami i wyjęła jakąś kartkę.

- Proszę - powiedziała, wręczając im ksero.

Santos spojrzała na zdjęcie martwej dziewczynki i kiwnęła głową, na co Henning powiedział:

- A więc jednak. Od razu też pomyślałem o tej sprawie, ale nie byłem do końca przekonany, że to ta sama historia. Około dwóch miesięcy temu zmuszeni byliśmy wobec braku dowodów zamknąć tę sprawę. Nikt nie zgłosił w tym czasie jej zaginięcia. Przypuszczaliśmy wraz z lekarzem sądowym, że dziewczynka pochodziła z Europy Wschodniej, dlatego też kontaktowaliśmy się nawet z policją w całej Europie, ale bez skutku. Jest pani pewna, że to właśnie ona była u pani w domu?

- Dlaczego miałabym kłamać? Była tu. Na pewno. Nigdy chyba nie zapomnę jej twarzy. Była taka ładna, delikatna; kruszynka, którą chciałoby się przytulić, żeby ją chronić. Tylko jak miałam to zrobić? Byłam w dziewiątym miesiącu ciąży! Zdaję sobie sprawę, że to nie jest usprawiedliwienie, ale przynajmniej jakieś wyjaśnienie. Gdybym tylko mogła ją

w jakikolwiek sposób ochronić, zrobiłabym to. Przysięgam! - Odwróciła głowę, a łzy płynęły jej po policzkach. Zacinając się, dodała: - Mój mąż i może jeszcze jacyś inni ludzie wyrządzili jej wielką krzywdę. Robili jej straszne rzeczy. Nie sądzę jednak, żeby popełniła samobójstwo albo padła ofiarą wypadku. Myślę, że została zamordowana.

Santos nie chciała wypowiadać się na ten temat.

- Nie mamy na to dowodów - oświadczyła tylko. - Ale po tym, co nam pani powiedziała, musimy przeszukać dom. Przyjedzie tu do pani dużo funkcjonariuszy, którzy...

- Znam to z telewizji. Proszę robić, co do was należy.

- Nasi koledzy, prawdopodobnie jutro, przyjdą tu z nakazem przeszukania domu. Czy oprócz tego domu i tego w Schönbergu mieli państwo jeszcze jakieś posiadłości?

- Tak. W Hamburgu, na Majorce, Ibizie, Florydzie i ostatnio kupiony w Moskwie. Czego będziecie szukać?

- Tego nie możemy pani powiedzieć. Jednakże wydamy polecenie, żeby postarano się zrobić jak najmniej bałaganu. Nie możemy jednak zagwarantować, że prasa się o tym nie dowie. Gdyby wywęszyli, że wywracamy dom do góry nogami, to na pewno będą stawiać mnóstwo pytań. W takim wypadku ani ja, ani komisarz Henning nie będziemy z nimi rozmawiać, tylko zajmie się tym nasz rzecznik prasowy albo prokurator.

- Nic mnie już chyba nie zdziwi. - Spojrzała na zegarek i dodała: - Nie chciałabym państwa ponaglać, ale muszę się zająć córeczką. Mają państwo jeszcze jakieś pytania?

- Tak, jeszcze jedno. Czy często przychodzili tu obcy ludzie?

- Nie. Poza muzykami i kilkoma innymi znajomymi męża, to nikt. Tylko raz ta dziewczynka...

- Pani Bruhns, to i tak o raz za dużo. Nawet jeżeli naprawdę zdarzyło się coś takiego tylko raz. Tak czy siak, ta dziewczynka już nie żyje i to jest przerażające.

- Naprawdę bardzo nad tym ubolewam, ale co miałam zrobić? Mogę tylko powiedzieć, że od tamtej chwili brzydziłam się nim. Brzydziłam się własnego męża i robiło mi się niedobrze, jak na niego patrzyłam. Od tamtej pory nie współżyliśmy ze sobą, ale widziałam, że on też tego nie chciał. Peter nie był tym człowiekiem, którego wszyscy znają z telewizji, uśmiechniętym, sypiącym żartami jak z rękawa i zawsze w dobrym humorze. Nie... on miał drugą twarz, którą widziałam wtedy, kiedy podnosił na mnie rękę. Miałam gdzieś jego liczne romanse, mogłam z tym żyć, ale krzywdził dzieci, i tym przebrał miarę!

- Powiedziała pani „dzieci”? Ma pani jeszcze coś do dodania?

- Nie - odrzekła szybko. Santos zauważyła, że nawet za szybko. - Proszę mi teraz wybaczyć, obowiązki wzywają.

- Pani Bruhns, pomoże pani nam i dzieciom. Czy były jeszcze jakieś inne oprócz Nele?

- Nie, naprawdę, nie było tu innych dzieci, ale podejrzewam, że mogły być. Myślę, że skoro zrobił to raz z dzieckiem, to na tym nie poprzestał. Ale oczywiście mogę się mylić.

- Miejmy nadzieję. Chcielibyśmy jeszcze porozmawiać ze służbą. Ile osób jest tu zatrudnionych?

- Czy to na pewno konieczne?

- Tak. Więc ile?

- Siedmioro, jednak tylko pani Hundt, która przyniosła nam lemoniadę, jest tu cały czas. Reszta przychodzi tu raz, maksymalnie trzy razy w tygodniu albo zajmuje się posiadłością na zewnątrz.

- Czy pani Hundt tutaj mieszka?

- Tak.

- W takim razie chętnie z nią porozmawiamy. Mogłaby nas pani do niej zaprowadzić?

- Jasne. Proszę za mną. - Victoria Bruhns wstała i wskazała im drzwi. Gdy przechodzili na drugą stronę domu, Santos ją zagadnęła: - Później chcielibyśmy jeszcze zobaczyć to studio, o którym pani mówiła.

- Oczywiście, proszę mi tylko powiedzieć, kiedy państwo skończą, to państwa zaprowadzę. Co prawda mąż zabronił mi wchodzić tam samej, ale teraz to już nie ma znaczenia.

- Czy była tam pani po jego śmierci?

- Nie. Nawet mi to do głowy nie przyszło. Otworzyła jakieś drzwi. Pokój był pusty. Victoria

Bruhns ze zdziwieniem zmarszczyła czoło. Przeszła do pokoju obok i otworzyła kolejne drzwi, ale i tam nie było nikogo.

- Pani Hundt!?! - zawołała.

- Tak? Jestem na górze, w łazience.

- Policja chciałaby z panią porozmawiać. Mogłaby pani do nas zejść?

Niecałą minutę później stanęła przed nimi wysoka, bardzo szczupła, niezbyt przyjaźnie wyglądająca kobieta. Z jej chudej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

- Mamy do pani kilka pytań. To nie potrwa długo - powiedziała Lisa.

- Słucham. - Pani Hundt, odwróciwszy się do swojej chlebodawczyni, zapytała: - Czy moglibyśmy przejść do biblioteki?

- Oczywiście. W razie czego będę u Pauline.

- W czym mogę państwu pomóc? - zapytała gospościa sucho, gdy tylko przekroczyli próg biblioteki. W pomieszczeniu tym regały z książkami sięgały sufitu, a dywan w kolorze burgunda uginał się miękko pod stopami. Na środku stały trzy fotele, stolik i pulpit, jednak kobieta nie

zapropowała im, by usiedli. Jej kamienna twarz była bez wyrazu; emanowała jedynie chłodem.

Santos rzadko spotykała ludzi, w których obecności czułaby się tak nieswojo.

- Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań. Jak długo pracuje pani dla państwa Bruhnsów?

- Od dwudziestu pięciu lat pracuję dla pana Bruhnsa. Dlaczego państwo o to pytają?

- Z racji wykonywanego zawodu jesteśmy raczej ciekawi. Czy może nam pani powiedzieć, jakim był człowiekiem? Prawdopodobnie nie ma nikogo, kto znałby go lepiej niż pani.

- Tego akurat nie mogę twierdzić, ale pan Bruhns zawsze był bardzo poprawny i dobrze odnosił się do służby.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

- Był przyjacielski, wspaniałomyślny, uprzejmy. Nic złego nie przychodzi mi do głowy.

- Jaki był zatem pani osobisty stosunek do niego?

- Czysto zawodowy, jeżeli coś pani insynuuje. Zimna suka - pomyślała Santos.

- Nic nie insynuuje, ale znowu nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Skoro pracuje pani tu tak długo, na pewno wie pani to i owo. Proszę nie zmuszać nas, żebyśmy ciągnęli panią za język, tylko odpowiadać na nasze pytania i raz dwa będzie po wszystkim. Więc jakim człowiekiem był pan Bruhns? Jak się zachowywał? Czy w ogóle często tu bywał?

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

- Więc może zrozumie pani, jak wręczę pani wezwanie na posterunek. Jutro rano punktualnie o dziewiątej będziemy na panią czekać. Tam dokładnie o wszystkim sobie porozmawiamy. Tu jest moja wizytówka i numer pokoju. Proszę się zameldować przy wejściu.

Pani Hundt milczała. Santos czuła, że wszystko w niej aż kipi.

- Ostatnio pan Bruhns rzadko tu bywał - powiedziała po chwili gosposia. - Nie wiem dlaczego, ale to pewnie miało jakiś związek z całą tą sytuacją.

- Może się pani trochę konkretniej wyrażać?

- Proszę zapytać o to jego żonę!

- Już to zrobiliśmy, ale musimy jeszcze usłyszeć to od pani.

- Nie układało się im. Ciągłe były jakieś zgrzyty, tylko tyle wiem.

- Pani Hundt, na pewno wie pani dużo więcej, bo pani nie tylko tu pracuje, ale i mieszka i na pewno jest tu najlepiej poinformowaną osobą. Czy pan Bruhns miał jakieś romanse?

- O tym chyba wie każdy w tym kraju! Jednak nie zaważyło to nigdy na mojej lojalności w stosunku do niego.

- Czy sprowadzał te kobiety do domu?

Pani Hundt ociągała się chwilę z odpowiedzią.

- Kilka razy. Owszem.

- Skąd pani wie, że to były jego kochanki, a nie na przykład piosenkarki albo osoby, które chciały nimi zostać?

- Pani Santos, gdy do domu przychodzi półnaga kobieta, to raczej oznacza, że ona chce wszystkiego, ale nie śpiewania. Jednak daleka jestem od osądzania pana Bruhnsa.

- Zna pani z pewnością jego poprzednie żony. Co nie wyszło w tamtych związkach? Czy był wobec tych kobiet agresywny?

- Zdarzało się czasem, że nie kontrolował swoich emocji, to prawda.

- Nazywa to pani niekontrolowaniem emocji? Według mnie to przemoc.

- Pan Bruhns nie był złym człowiekiem. On po prostu był... inny. Był artystą.

- Aha, to zmienia postać rzeczy. Czy w ciągu ostatnich dni lub tygodni zaszło coś szczególnego w tym domu artysty?

- Nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. - Pani Hundt spuściła wzrok.

- To nie wszystko, prawda? Pani Hundt, proszę nam powiedzieć prawdę.

- Był tu w poniedziałek. Państwo Bruhns znów bardzo się pokłócili i doszło do rękoczynów.

- Uderzył żonę?

- Tak, ale ona musiała go sprowokować, inaczej by...

- No, to jest na pewno powód, żeby kogoś uderzyć - stwierdziła podenerwowana Santos. - Proszę odpowiedzieć: tak lub nie. Czy był porywczy, nie panował nad sobą, był agresywny?

- Czasami.

- Tylko w stosunku do swoich żon czy również w stosunku do służby?

- Zdarzało się, że wybuchał, jak coś działo się nie po jego myśli.

- Dobrze. Nie można było tak od razu? No więc znaleźliśmy jednak coś negatywnego. Jeszcze jedno pytanie: czy zna pani tę dziewczynkę? - Santos uniosła gazetę ze zdjęciem Nele. Wcześniej zagięła stronę w ten sposób, że widoczne było tylko zdjęcie dziecka.

Pani Hundt przyglądała się uważnie zdjęciu i pokręciła głową.

- Nie, przykro mi. Nigdy jej nie widziałam. Czemu państwo mnie o nią pytają?

- Jest pani pewna, że nigdy w tym domu nie widziała pani tej dziewczynki? - zapytała ponownie Santos, bo czuła, że gosposia kłamie.

- A jeżeli tu była, to co?

- Widzę, że zbliżamy się coraz bardziej do prawidłowej odpowiedzi. Więc jednak tu była, mam rację?

- Faktycznie mogło tak być, że raz ją widziałam. Co z nią jest?
- Była tu tylko raz czy przychodziła częściej? Proszę się dobrze zastanowić.
- Widziałam ją raz... nie, dwa razy.
- Z panem Bruhnsem?
- Zgadza się.
- Czy zna pani powód jej wizyt?
- Nie. Nawet nie wypadałoby, żebym o to pytała.
- Jakie wrażenie zrobiła na pani ta dziewczynka?
- Nie rozumiem.
- Czy była zastraszona lub zagubiona? Może wyglądała, jakby ją coś bolało? A może jakby potrzebowała pomocy?
- Nie, nic z tych rzeczy. Nie zrobiła na mnie żadnego szczególnego wrażenia. Przepraszam, ale nie umiem państwu pomóc.
- Ale wie pani, że ta dziewczynka, przypuszczalnie miała na imię Nele, nie żyje?
- Nie. Przepraszam, ale nie wiedziałam.
- Nie czyta pani gazet?
- Nie. Nie czytam gazet i nie oglądam telewizji. Nie potrzebuję tego.
- Chociaż pani szef od lat pracuje w mediach? Jakoś trudno mi w to uwierzyć.
- Naprawdę.
- Proszę się nigdzie nie oddalać, możliwe, że będziemy musieli zadać pani jeszcze kilka pytań na komisariacie. Proszę się do tego przygotować. Co zamierza teraz pani robić, skoro pani pracodawca nie żyje?
- O to trzeba zapytać panią Bruhns. Teraz ona jest tu panią domu.
- Tak też zrobimy, pani Hundt. Do widzenia.

Victoria Bruhns trzymała córeczkę na rękach i wyglądało, jakby na nich czekała. Dziewczynka spojrzała na Henninga i Santos i podobnie jak dzień wcześniej odwróciła głowę do mamy i przytuliła się do niej.

- Chyba nie przepada za policją - powiedziała Santos z uśmiechem.

- Ona się nie boi tylko mnie, mojej mamy i siostry. To trzy osoby, przy których się nie płoszy. Nawet przy moim tacie tak się zachowuje. Nie mam pojęcia, skąd to się wzięło, ale pewnie z czasem jej przejdzie. Pauline, to są ci sami policjanci, którzy byli u nas wczoraj. Nie musisz się chować, są bardzo mili... Nie chce. No cóż, nic na to nie poradzę.

- Nie zatrudnia pani niani?

- Nie. Chcę sama wychowywać córkę. Jestem jej matką i nie chcę, żeby ktoś przejmował moje obowiązki. To moja rola.

- To dobra postawa. Niestety, musimy już jechać, ale może zobaczymy się jeszcze jutro podczas przeszukania domu. To oczywiście zależy od tego, jakie plany ma dla nas szef. Zanim wyjdziemy, czy moglibyśmy rzucić okiem na studio? To potrwa tylko chwilę, potem już sobie pójdziemy.

Zeszli piętro niżej, gdzie Victoria Bruhns otworzyła obite grubą skórą drzwi. Puściła ich przodem i zapaliła światło.

- Proszę, oto królestwo mojego męża.

- To niesamowite! - zawołał Henning z uznaniem, patrząc na pulpit, instrumenty i głośniki. Pomieszczenie było całkowicie wyciszone.

- Czy gdy ktoś tu pracował, słychać było cokolwiek w pozostałej części domu? - zapytał zaciekawiony Henning.

Victoria Bruhns zaśmiała się.

- Nie. Żaden dźwięk nie opuści! tego studia. Mogli być tu tak głośno, jak tylko chcieli. Te ściany i sufit zostały wygłuszone dwudziestocentymetrową matą, tak przynajmniej mówił mi kiedyś mąż.

- A na zewnątrz?

- Tam też nie było nic słyszeć. Ale to jeszcze nic w porównaniu ze studiem, jakie mąż miał w Altenholz. Tamto jest cztery razy większe. Prawdziwe szaleństwo.

- Czy mogę pani zadać bardzo prywatne pytanie, które jednak nie ma nic wspólnego z tą sprawą?

- Niech pan pyta.

- Jak duży jest majątek pani męża?

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie miałam wglądu w jego konta, ale podejrzewam, że licząc w milionach, będzie to jakaś trzycyfrowa kwota. Kiedyś o czymś takim wspomniał, jak za dużo wypił.

- Widzieliśmy już wszystko. Dziękujemy. - Henning kiwnął na partnerkę.

Pożegnali się z Victorią Bruhns, która odprowadziła ich do drzwi. Pozostała jednak w ciemnym wnętrzu, żeby nie widzieli jej paparazzi.

- Do zobaczenia i dziękujemy za pomoc. Proszę przygotować się na jutro.

- Zdażyłam się już trochę do tego przyzwyczać. Czy mogłabym o coś zapytać?

- Słucham.

- Kiedy będzie mógł się odbyć pogrzeb?

- Ciało na razie jest w Instytucie Medycyny Sądowej. Prawdopodobnie potrwa to jeszcze dzień lub dwa, ale już może pani zacząć wszystko organizować.

- Dziękuję. Zastanawiam się tylko, jak przejdę obok tych natrętów.

- Niestety w tym pani nie pomożemy. Trzeba zamknąć oczy i przeć do przodu - poradziła jej Santos z uśmiechem.

- Jeżeli choć część tego jest prawdą, to Bruhns był przestępcą, możliwe, że był też zamieszany w morderstwo. No i znów otworzyła się przepaść! - powiedziała Lisa, gdy wsiedli do samochodu.

- Według Jiirgensa ta mała miała około dwunastu lat, gdy ją zabito.

- A my szukaliśmy jak głupki jakiegokolwiek informacji i teraz dowiadujemy się, że ona na krótko przed śmiercią była u Bruhnsa. Co za świnia! Ale teraz przynajmniej mamy jakiś punkt zaczepienia. Skoro Nele była tu dzień przed narodzinami ich córki, to niewykluczone, że Bruhns ją zabił. Nele była tu piątego marca, a jej ciało znaleziono dziesiątego. Patrząc na czas dokonania zbrodni, wszystko by się zgadzało.

- Racja, ale Bruhns zabójcą? Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

- Pamiętaj, że bywał agresywny nawet w stosunku do żony. Takie typy jak on są zdolne do wszystkiego. Tylko dlaczego Bruhnsa ktoś wyeliminował?

- I to rok później. To chyba za długo na zemstę.

- Tak. Poza tym nie można chyba porównywać agresji wobec żony z agresją i zgwałceniem dziecka. Przejrzyjmy najpierw akta sprawy i omówmy to z Klausem i Volkerem, oczywiście jeżeli tylko będzie można z nimi znów porozmawiać.

- Myślisz, że Bruhns źle postąpiła? - zapytał Henning.

- A co ty byś zrobił na jej miejscu? Tylko nie jako mężczyzna, ale jako kobieta, i to zaraz po porodzie. Ja chyba też bym trzymała język za zębami. Spójrz tylko na nią; ona ma dopiero dwadzieścia pięć lat, a psychikę piętnastolatki. To dzieło Bruhnsa.

- Przynajmniej mogła anonimowo na niego donieść.

- A co by to dało? Ma rację, nic by mu nie zrobili, a ona by sporo ryzykowała. Bruhns od razu by wiedział, kto stał za anonimowym doniesieniem. Znalazłaby się wtedy naprawdę w złej sytuacji, a przecież musiała myśleć o sobie i o dziecku.

- Okej, idźmy więc dalej tym tokiem rozumowania. Mówiła, że w sobotę do późna rozmawiała z siostrą przez telefon. A jeśli miała dość Bruhnsa i planowała...

- Ach nie, daj spokój. To nawet nie pasuje. Poza tym, co powiedział nam wczoraj anonimowy informator? Mamy się skoncentrować na otoczeniu Bruhnsa. Ona nie ma żadnego związku z tym morderstwem - stwierdziła Santos.

- To może zajmijmy się teraz tym dźwiękowcem Bruhnsa, co? Czy masz inną propozycję?

- Nie.

Pojechali więc do Altenholz, gdzie znajdowało się studio nagrań. Był to niepozorny budynek, na który nikt nie zwróciłby uwagi. Za tymi drzwiami powstały kiedyś światowe hity, których większość wyszła spod ręki Bruhnsa. To na nich zbił majątek.

Henning zadzwonił do Harmsa i poprosił o ustalenie adresu i numeru telefonu Weidricha. Po trzech minutach mieli już informacje.

- Weidrich mieszka tuż za rogiem. Idziesz ze mną? -zapytał Lisę.

Poniedziałek, godz. 14.45

Weidrich mieszkał w małym, niepozornym domku jednorodzinny. Dopiero po kilku dzwonekach drzwi otworzył im duży, mocno zbudowany mężczyzna. Trudno

określić, w jakim jest wieku, jego twarz pokrywały liczne blizny, miał podkrążone oczy i cuchnął alkoholem. Sprawiał wrażenie niewyspanego. Jego czarne, przetłuszczone włosy i cztero-, pięcio- lub nawet sześciodniowy zarost sprawiały, że wyglądał jeszcze bardziej ponuro i nieświeżo. Miał na sobie niebieskie, poplamione spodnie dresowe, a przez rozpiętą czarno-zieloną koszulę widać było niegdyś biały, również poplamiony podkoszulek. Oczy miał szkliste i przekrwione. Patrząc na niego, Santos i Henning od razu pomyśleli, że mają do czynienia z ciężkim przypadkiem alkoholizmu.

- Pan Weidrich? - zapytał Henning i uniósł swoją legitymację. - Nazywam się Henning, a to komisarz Santos. Jesteśmy z policji kryminalnej.

- Słucham, co się stało? - zapytał mężczyzna niskim, zachrypniętym głosem.

- Chcielibyśmy z panem porozmawiać, najlepiej w środku. Możemy wejść?

- Czemu? Przeskrobałem coś?

- Chodzi o śmierć pańskiego szefa, pana Bruhnsa.

- Co? Bruhns kojfnął? Kiedy?

- Czy moglibyśmy porozmawiać wewnątrz?

- Bardzo proszę, tylko nie jest posprzątane, jakoś nie mogłem w ostatnim czasie się do tego zabrać. - Chociaż zapewne miał kilka promili alkoholu we krwi, mówił bardzo rzeczowo i wyraźnie.

W środku panował zaduch. Wszędzie unosił się dym papierosowy. Wokół pełno było butelek po piwie, winie i wódce. Od tygodni nikt nie kiwnął tu palcem. Nie tylko popielniczki były przepełnione, popiół leżał dosłownie wszędzie, na stole, krzesłach i na podłodze. Przez otwarte drzwi widać było piętrzące się brudne naczynia w zlewie i na szafkach kuchennych. Smród papierosów mieszał się z odorem dawno niewyrzucanych śmieci.

Santos, patrząc na to, zadawała sobie pytanie, jak człowiek może tu w ogóle mieszkać, jednak Weidrich swoim wyglądem udzielał jej odpowiedzi. Tak, na pewno był alkoholikiem i jak wielu do niego podobnych znajdował się w stanie na pograniczu apatii i nastawienia typu „mam wszystko gdzieś”. Ten człowiek nie mógł nawet zdobyć się na to, żeby wykonać choćby najdrobniejsze prace domowe.

- Proszę usiąść, jeżeli znajdą państwo miejsce - burknął i zabrał kilka rzeczy z sofy, sam usiadł w zniszczonym fotelu obok. Ten pokój także był zakurzony i brudny. Telewizor był włączony. Weidrich zapalił papierosa (jego palec wskazujący oraz środkowy położył od nikotyny) i podejrzliwie się im przyglądał. Santos i Henning ociągali się trochę, zanim w końcu spoczęli na sofie.

- Pracuje pan jako dźwiękowiec w firmie Bruhnsa, jak nam powiedziano?

- Co? Nie wiem, skąd te informacje, ale już dawno są nieaktualne. Od ponad roku już tam nie pracuję.

- Ach tak... a dlaczego, jeżeli można zapytać?

- Hm, ten skurwiel Bruhns znowu miał swój atak furii i mnie wyrzucił. Coś tam nie tak zmiksowałem i momentalnie znalazłem się na lodzie. Ponad dwadzieścia lat wypruwałem sobie flaki dla tego gnojka! Dwadzieścia lat! Trzeba to sobie wyobrazić, nigdy niczego nie sknociłem, ale Bruhnsowi, staremu zrzędzie, i tak nic nie pasowało, chociaż sam nie miał o tym zielonego pojęcia. Jego gówniane piosenki nie nadają się do niczego.

- Tak pan uważa?

- Nie, skądże... - odparł z ironią w głosie. - Mógłbym państwu opowiedzieć mnóstwo historii, dzięki którym pozbylibyście się złudzeń i dowiedzielibyście się, jak naprawdę z nim było. Osobiście nie jestem zbyt uszczypliwy, ale Bruhns... Chwileczkę, właśnie do mnie dotarło... mówiliście, że jesteście z policji kryminalnej?

- Tak, wspominałem o tym, jak pan otworzył drzwi.

- Policja kryminalna, policja kryminalna... hm... - Powiedziawszy to, pogładził się po brodzie, nadal trzymając w dłoni papierosa. Santos od razu rzuciły się w oczy jego długie brudne paznokcie. Obrzydzenie, które czuła do tego człowieka, stało się przez to jeszcze większe. Odwróciła głowę, by na to nie patrzeć, i w jednej chwili jej wzrok zatrzymał się na bardzo drogim sprzęcie hi-fi. Był to chyba jedyny przedmiot w tym domu, którego nie pokrywały tony brudu i kurzu. Taki sprzęt musiał kosztować majątek, a w tej norze błyszczał niczym diament w kopalni węgla.

- Ale przecież wy zjawiacie się tylko wtedy, kiedy kogoś ukatrupią. Ktoś załatwił Bruhnsa?

- Tak. Można tak powiedzieć.

- Wow, za to muszę od razu wypić - powiedział Weidrich, biorąc z podłogi do połowy opróżnioną już butelkę wódki. Wypił łyk i wytarłszy dłonią usta, odstawił ją z powrotem. - A więc w końcu ktoś pozbył się tego aroganckiego, zepsutego do cna skurwiela. Przepraszam, ale jeżeli oczekiwali państwo, że będę go oplakiwał, to muszę państwa rozczarować. W tej chwili zatańczyłbym z radości rock'n'rolla.

- Nie jest go panu żal?

- Żal? Po tym, jak mnie traktował?! Nie ma szans. On traktował mnie jak śmiecia, zresztą nie tylko mnie. Gdyby choć raz mogli państwo być świadkami tego, jak zachowywał się, gdy pracował w studiu z tymi tak zwanymi gwiazdami... jak darł się i rzucał wszystkim, co mu tylko wpadło w ręce. Sam powinienem go za to nieraz zabić. Jak państwo myślą, ile kobiet przez niego o mało nie załamało się psychicznie? Zresztą psychiczny breakdown, by zacytować Stonesów, był nieobcy wszystkim tym dziewczynom, które mieszał z błotem. Gdy jednak chodziło o pieprzenie się

z nimi, to oczywiście natychmiast zmieniał o nich zdanie i nagle wszystkie się do tego świetnie nadawały.

- Zabił go pan? - zapytał Henning wprost.

- Ja? Zwariował pan? Czemu miałbym to zrobić? Tylko dlatego, że mnie wyrzucił? Nie jestem taki głupi.

- No cóż, niektórzy mają bardziej błahe powody, a mimo to zabijają z zimną krwią. Gdzie pan był w sobotni wieczór?

- A gdzie miałbym być? Tutaj.

- Czy ktoś mógłby to potwierdzić?

- A co to jakieś przesłuchanie czy co?

- Nie, tylko pytanie. A więc ma pan jakichś świadków czy nie?

- Nie. Od wieków nikt tu u mnie nie był. Sam tu zawsze siedzę, strzelam sobie parę kieliszków i prowadzę dyskusje z telewizorem.

- Czy gdzieś pan pracuje?

- Nie. Przecież sami państwo widzą, w jakim jestem stanie. Kto mnie zatrudni? Ale jeszcze nieźle daję sobie radę.

- Dlaczego właściwie został pan zwolniony? - zainteresowała się Santos. - Nie sądzę, żeby z powodu jednego nieporozumienia.

Weidrich zaśmiał się i zaczął kaszleć.

- Dobrze pani zauważyła, pani komisarz, ale to długa historia - powiedział po dłuższej chwili. - Naprawdę was to interesuje?

- Inaczej byśmy nie pytali.

- Jeżeli wytrzymacie. Bruhns nie był święty. Gdy tylko widziałem go w telewizji, robiło mi się niedobrze. Podobno od czasu, gdy się ożenił, ustatkował się. Małżeństwo oznaczało kres jego dzikich wybryków. To była największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałem. Znam Bruhnsa od ponad dwudziestu lat i on od zawsze rznął wszystko,

co się rusza. Wystarczyło, żeby miało choć załączki cycków. Oczywiście miał jedną zasadę. Dziewczyny nie mogły być starsze niż dwadzieścia pięć lat, jednak preferował osiemnasto-, dziewiętnastolatki. Jak mu się któraś naprawdę podobała, to czasem ją dokądś zabierał. Ale najpierw musiała spełnić jego łózkowe zachcianki. Tak było umówione, że jak się dobrze sprawi, to dopiero wtedy mogą pomyśleć o jakimś wyjeździe.

- Denerwowało to pana?

- Nie. Wisiało mi to. Nie obchodziło mnie nigdy, gdzie wkłada swojego fiuta, no chyba że... hm...

Weidrich się zaciął. Zaczął drapać się nerwowo po brodzie i ponownie sięgnął po butelkę. To było prawie niczym rytuał. Sięgał po nią, pił, wycierał dłonią usta i znów odstawiał butelkę na podłogę. Zwlekał z kontynuowaniem swojej opowieści, właśnie chciał znów sięgnąć po butelkę, gdy Santos powstrzymała go kolejnym pytaniem.

- Chyba że co? Co chciał pan powiedzieć?

Weidrich patrzył gdzieś nieprzytomnie, a jego usta poruszały się, jednak nie wydawał żadnego dźwięku. Tylko jego oczy zaiskrzyły groźnie. W jednej chwili jakby wytrzeźwiał, zacisnął mocniej palce na butelce.

- Cholera! To wcale nie jest takie łatwe. Ale co tam, srać na to! Stary już nie żyje i nic mi nie robi. Bruhns był największą świnią, jaką kiedykolwiek poznałem. Nigdy nie miałem nic przeciwko temu, żeby robił to z kobietami, ale...

Znów zamilkł, dlatego Santos ponownie spytała:

- Co pana zatem tak rozzłościło? Bo jest pan zły, prawda?

- Zły? To nieodpowiednie określenie. - Weidrich pochylił się i zapalił kolejnego papierosa. Głęboko się zaciągnął i powoli wypuszczał dym nosem, zanim znów zaczął mówić. Wszystko w nim wydawało się napięte aż do granic możliwości. Wziął kilka głębszych oddechów i znów wypił

łyk wódki. - Ten skurwiel robił to nie tylko z dorosłymi kobietami... on wykorzystywał też dzieci. Dzieci, które nawet nie wiedziały, co się z nimi dzieje, gdy wkładał im swojego fiuta. Ech, jakim trzeba być skurwysynem, żeby pieprzyć się z dziećmi? Przysięgam na wszystko, co mi święte; może nie jest tego dużo, ale na pewno parę zasad mam. Ten koleś dymał dzieci, małe dziewczynki, i szczerze mówiąc, nie wiem, skąd on je brał, bo przecież na pewno nie obiecywał im kontraktu na nagranie płyty, a to były jedenasto-, może dwunastolatki, których w Niemczech przecież nie kupisz...

- Skąd pan wie o tych dzieciach? - zapytała Santos, której serce ze zdenerwowania biło coraz szybciej.

- Widziałem kilka razy, jak przyprowadzał je do studia. Na początku nie wiedziałem, o co chodzi, aż któregoś razu go nakryłem. Zwaliło mnie to z nóg! Ta mała miała dwanaście albo trzynaście lat. Po tym wszystkim poszedłem do niego i powiedziałem: „Hej, stary, przecież tak nie można”... - ale odpowiedział mi wyraźnie, żebym się do tego nie mieszał, bo inaczej zaraz wyląduję na ulicy i nikt mnie nie zatrudni, on już o to zadba. Poza tym to wyłącznie jego sprawa, z kim się pieprzy.

- Dlaczego nie poszedł pan na policję?

- Na policję?! Nie jestem głupi! Nie miałem żadnych dowodów, żadnych zdjęć ani czegokolwiek, co mógłbym przedstawić na policji. On był za cwany, poza tym ciągle tkwił w jakichś układach.

- Dlaczego więc pana zwolnił? - zapytała Santos. -Dlatego że przyłapał go pan w niedwuznacznej sytuacji?

- Nie, to było trzy albo cztery lata temu. Trzymałem język za zębami. Myślałem, że odkąd poznał swoją Victorię i z nią się ożenił, już do tego nie wróci; że to już przeszłość. Potem dotarło do mnie, że tylko się łudziłem. Dalej robił swoje, zupełnie jak przed ślubem, także z dziećmi...

- W jakim wieku były te dziewczynki?
- Nie były to bardzo małe dzieci, ale na pewno na seks stanowczo za młode.

- Więc ile miały lat?

- Jak już mówiłem, około jedenastu, dwunastu, trzynastu. Przecież to jest chore! Gwałcił dzieci, a przecież mógł mieć każdą kobietę. Wystarczyło, żeby kiwnął palcem. Dlaczego dzieci?! Do dziś tego nie rozumiem. Rok temu nie wytrzymałem. Któregoś dnia wszedłem do studia i zobaczyłem go znów z jakąś małą. Możecie mi wierzyć, na pewno nie podobało jej się to, co z nią wyprawiał. Była zaryczana. Gdy tylko na nią spojrzałem, od razu zauważyłem, że musiało ją bardzo boleć. Najchętniej spralbym go po ryju i zabrał tę małą w bezpieczne miejsce.

Weidrich zamilkł.

- I co się dalej wydarzyło? - zapytał tym razem Henning.

- Stałem jak wryty, gdy ich tam zobaczyłem. Oczywiście Bruhns zauważył mnie od razu. Burknął do dziewczynki, żeby szybko się ubierała i siadła w kącie. Potem podszedł do mnie i zapytał, czy coś w studiu zgubiłem, bo przecież nie miałem tam nic do roboty. Próbowałem mu wytłumaczyć, że dzień wcześniej chciałem zabrać do domu jedno nagranie, żeby je poprawić, ale w ogóle nie chciał mnie słuchać. Zdenerwowałem się i powiedziałem mu jasno, że nie będę więcej spokojnie przyglądał się tym świństwom i jeżeli jeszcze raz go tu zobaczę, to wezwę gliny. - Powiedziawszy to, wyrzucił papierosa i od razu sięgnął po drugiego. - Bruhns zaśmiał się tylko, przycisnął mi pięść do twarzy i powiedział, że mnie zwalnia i że mam trzymać język za zębami... poza tym, jak mówił, i tak nikt by nie uwierzył takiemu pijakowi jak ja. Pewnie z tym akurat miał rację. Potem dodał jeszcze, że nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jaką on ma władzę i układy. Dał

mi jakieś papiery do podpisania, nawet nie wiem, co to było, i pięćdziesiąt tysięcy euro. Wtedy byłem tam po raz ostatni.

- Czy to ta dziewczynka? - zapytała Santos i pokazała Weidrichowi zdjęcie Nele.

Przyglądał mu się długo i uważnie, a potem powoli kiwnął głową.

- U Bruhnsa było mnóstwo dziewczynek w ciągu tych wszystkich lat, ale tę na pewno z nim widziałem. Pamiętam ją. Jestem pewien, że to była ona... tych oczu chyba nigdy nie zapomnę. Na tym zdjęciu wygląda trochę inaczej, ale to na pewno ona.

- Kiedy to się wydarzyło?

- Znaczy... kiedy mnie zwolnił?

- Tak.

- Tej daty również nie zapomnę do końca życia. To było rok temu, a dokładnie siódmego marca. Ot, tak po prostu mnie wylał, a pracowałem dla niego ponad dwadzieścia lat. Wykonywałem najgorszą robotę. Okej, dał mi te pięćdziesiąt tysięcy za to, że nie puszczę pary z gęby, ale przecież i tak nic nikomu bym nie powiedział, przecież dobrze wiedziałem, że ma układy. Znał każdego prokuratora, sędziego, glinę. Bruhns znał wszystkich. Poza tym myślicie, że ktoś by mi w ogóle uwierzył? Wszyscy wzięliby stronę znanego producenta, a nie kogoś, kto sobie lubi czasami gołnąć. Nie chodzi akurat o państwa, ale nie poszedłem z tym na policję, bo tylko by mnie wyśmiano.

- Niezłe nastawienie, naprawdę. - Santos nie zdołała powstrzymać się od tego komentarza.

- Pani komisarz, nie mam pracy ani też żadnego dowodu przeciw Bruhnsowi. Uwierzyłaby mi pani? Nigdy w życiu! Oglądacie tego durnia w telewizji, słuchacie jego zaszranych powiedzonek, z których śmieje się połowa ludzi w kraju, i nagle okazuje się, że ktoś taki jak on miałby

wykorzystywać dzieci? - Weidrich zaśmiał się tylko i wskazał palcem najpierw na Santos, a potem na Henninga. - Nie uwierzyłyby mi ani pani, ani pański kolega... żaden glina by mi nie uwierzył i dobrze o tym wiecie.

- Niech pan nie mierzy wszystkich tą samą miarką...

- Robię tak, bo was dobrze znam. Jak myślicie, ile razy były u mnie gliny, bo było trochę za głośno albo podobno kogoś obraziłem? Wiele by opowiadać, ale to jest teraz bez znaczenia.

- Pan po prostu nadużywa alkoholu, w tym problem...

- Nie, nie, nie. To nie jest takie proste, jakby się mogło wydawać. Ale już widzę, że próbujecie sobie wszystko ułatwić i zasufladkować. Ja jestem pijakiem, a Bruhns był szanownym panem producentem, przed którym pada się na kolana. Możecie mi wierzyć, że jeszcze rok temu miałem superpracę i co prawda popijałem trochę, ale nigdy się nie upijałem. Potwierdzi to każdy, ktokolwiek był u nas w studiu. Manni nigdy nie był pijany i jak nikt inny pracował przy stole mikerskim. Miałem nawet propozycję pracy ze Stanów. Słyszeli tam moje miksy i koniecznie chcieli mnie zatrudnić, bo siedzą tam jakieś zakute łby, które nie mają zielonego pojęcia o miksowaniu. Tak naprawdę to zacząłem więcej pić, jak już nie wiedziałem, co robić. Przysięgam na wszystkich świętych uznanych na tym przeklętym świecie.

- Nie musi pan przysięgać, wierzymy panu. Czy żona Bruhnsa wiedziała o jego romansach i o tych dzieciach?

- Tego nie wiem, widziałem ją tylko raz czy dwa. Jak ją zobaczyłem, to pomyślałem sobie: do diaska, ale kobieta! Szkoda jej dla Petera. Biedna, nawet nie wiedziała, z jakim kutafonem się wiąże. Porządna z niej babka. Miała w sobie coś, czego nie miała żadna inna, z którą Bruhns się pieprzył.

- Mówi! pan przecież, że widział ją pan tylko raz czy dwa?

- No i? A jak pani myśli, jak szybko człowiek się uczy oceniać ludzi w takim zawodzie jak mój? Jak człowiek się nie zna na ludziach, to nic nie działo. Przychodziły do nas na przykład odpicowane blondyny z wielkimi buforami i myślały, że będą gwiazdami, a nie potrafiły wydać z siebie porządnego dźwięku. Wystarczyło, żebym tylko na nie spojrział i od razu wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Mogę wam powiedzieć, że jeszcze nigdy się nie pomyliłem w swojej ocenie. Ani razu! One przyszły, rozłożyły nogi i myślały, że w ten sposób zrobią wielką karierę. Nic z tego. Takie to mogą co najwyżej zostać tanimi kurwami, które będą się sprzedawać za marne parę euro.

Weidrich uśmiechnął się.

- Kiedy widział pan Bruhnsa po raz ostatni?

- Nie pamiętam dokładnie, ale chyba około trzech tygodni temu.

Czemu pan pyta?

- Gdzie to było? Poszedł pan do niego czy też Bruhns przyszedł do pana?

- Nie pamiętam.

- Niech pan nie opowiada nam tu bajek. Pamięta pan doskonale, co wydarzyło się kilka lat temu, a nie może sobie przypomnieć, co działo się przed paroma tygodniami? Niech pan nie robi z nas idiotów. Więc jak to było?

Weidrich poczuł się chyba niepewnie, bo nagle zaczął unikać ich wzroku i znów sięgnął po butelkę.

- Odstaw pan tę butelkę. Wypije pan sobie, jak wyjdziemy, a teraz porozmawiajmy - zażądała Santos.

- W swoim domu mogę robić, co mi się podoba. Napiję się trochę i może mi się przypomni, co wydarzyło się przed trzema tygodniami - odrzekł i pociągnął wódki.

- Przypomniał już pan sobie?

- Bruhns zadzwonił do mnie i poprosił o spotkanie. Powiedział, że mógłby mnie znów zatrudnić, oczywiście pod pewnym warunkiem. Przyszedł więc do mnie i popro-

sił o przysługę. Po wszystkim, jak mówił, mógłbym znów zacząć dla niego pracować. Myślałem, że się przesłyszałem, ale on mówił poważnie.

- Co to była za przysługa?

- Nie wiem. Poważnie. Miałem coś tydzień temu dla niego załatwić. Potem jednak znów do mnie zadzwonił i powiedział, że cała ta sprawa trochę się przesunie w czasie. Przysięgam, że nie napomknął nawet, o co dokładnie chodzi. Był bardzo tajemniczy.

- Kiedy do pana zadzwonił?

- W ostatni wtorek.

- Na kiedy przesunął się termin?

- Nie wiem. Nie powiedział.

Henning próbował rozszyfrować Weidricha, patrzył na niego, aż ten odwrócił wzrok. Henning kiwnął tylko głową i zapytał:

- Dlaczego pan kłamie?

- Nie rozumiem.

- Wymyślił pan tę całą historyjkę. Bruhns nigdy się z panem nie kontaktował. Po co miałby to robić? Może zacznijmy od początku. Tylko teraz niech pan nas nie oszukuje.

Zapadło milczenie.

- Panie Weidrich, co to ma znaczyć? Nie przyszliśmy tu dla zabawy.

Oczy Weidricha zapłonęły jak węgielki, a jego letargiczny wyraz twarzy nagle zniknął.

- Ten przekłety skurwieli! - krzyknął niczym zranione zwierzę. - Ten przekłety skurwieli! - Zacisnął pięści i uderzał nimi w oparcie fotela. Henning obawiał się przez chwilę, że fotel się zaraz rozpadnie. - Przez dwadzieścia lat byłem dla niego niczym lokaj! Beze mnie nie dałby rady rozkręcić tego interesu. Miał wszystko, czego chciał. Kobiety, które nawet by na mnie nie spojrzały. Bruhns

miał dosłownie wszystko, a ja? Z czym ja zostałem? A to właśnie ja mu wszystko pokazałem: jak funkcjonuje studio, jak obsługuje się stół mikserski, do czego to wszystko służy. Nauczyłem go, jak rozpoznać, którą piosenkę w jaki sposób się miksuje. - Trząśł się ze zdenerwowania, ale mówił dalej: - Wszystkiego, co umie, nauczył się ode mnie! I co z tego mam? Jako podziękowanie dostałem kopniaka w tyłek i pięćdziesiąt tysięcy euro, które wyjął z kieszeni. I to tylko dlatego, że nie pochwalałem jego upodobania do nieletnich. Nie, właściwie to nawet nie z tego powodu, tylko dlatego, że przyszedłem do studia w dniu, kiedy on się tego nie spodziewał. Ten przekłety skurwysyn! Co miesiąc zarabiał miliony, a mnie płacił cztery tysiące... Miał naprawdę wszystko, ale to wszystko... kobiety, pieniądze, sukces, wszystko, wszystko, wszystko!!! - krzyczał Weidrich coraz bardziej płaczliwym głosem. Wyglądał jak półtora nieszczęścia; siedział tak przed Henningiem i Santos, a łzy płynęły mu po policzkach, jednak nie zwracał na to uwagi. - Możecie to sobie w ogóle wyobrazić? Przepracować pół życia w studiu, które stało się drugim domem, i nagle nie móc tam pójść? Nie móc wejść do studia, które mieści się tuż za rogiem i które codziennie się mijają, myśląc: stary, zapomnij! Nie ma nawet najmniejszej szansy, żebyś tam wrócił! Zastrane uczucie! Teraz mam pięćdziesiąt jeden lat i wszystko, co dobre, za sobą. W ostatnich latach miałem kilka propozycji pracy od innych producentów, którzy wiedzieli, że jestem dobry w swoim fachu. Byłem głupi, że je odrzuciłem. A wiecie dlaczego? Bo dałem się nabrać na te obietnice Bruhnsa, że będzie mi płacił tyle, ile proponowali mi inni producenci. Uwierzcie mi, że nie było to mało. Jeden dawał mi piętnaście tysięcy miesięcznie, ale musiałbym się przeprowadzić do Berlina. Inny zaproponował mi nawet do czterdziestu tysięcy na miesiąc, ale nie chciałem jechać do Ameryki... Nie

mogłem się na nic zdecydować i odmawiałem wszystkim. Zostałem u tego przekłętego gangstera. Oczywiście nigdy nie dotrzymał swoich obietnic. Wiedział, że przywiązałem się do Kilonii. Nie zapłacił mi więcej i musiałem codziennie oglądać jego parszywą gębę i słuchać jego wiecznych narzekań... Powiedzieć wam coś? Nie żał mi go wcale i nie jest mi smutno, że zdechł. Świat będzie lepszy bez tego gnoja.

- Czy był pan kiedyś żonaty?

- Wieki temu. Znalazła sobie innego, który mógł jej więcej zaoferować. Domy na całym świecie i wszystko to, czego potrzebowała do życia; ale potem zachorowała na raka i zmarła sześć lat temu.

- Kiedy naprawdę widział pan Bruhnsa po raz ostatni?

- Nie wiem. Z pół roku temu, ale z daleka. Jeszcze coś?

- Tak. Kogo zatrudnił Bruhns na pańskie stanowisko?

- Takiego smarkacza ze słomkowymi włosami. U Bruhnsa wszyscy musieli być młodzi, jak najmłodszy. Wszyscy wiedzieli, że lubi blondynki. Ha, niezły żart, co?

- Niekoniecznie. Zna pan tego smarkacza?

- Tylko z widzenia.

- Czy oprócz pana jeszcze ktoś pracował w studiu z Bruhnsem?

- Tylko sprzątaczką. Przychodziła dwa razy w tygodniu, czasami nawet trzy. Ale nie miała swojego klucza. Przychodziła tylko, jak Bruhns był na miejscu. Ale nie wiem, jak to było przez ostatni rok.

- Jak się nazywała?

- Elli. Wszyscy tak do niej mówili. Ale nie mam zielonego pojęcia, jak się nazywała naprawdę.

- Gdzie mieszka?

- Skąd mam wiedzieć?! Wiem tylko, że jest mniej więcej w moim wieku, około pięćdziesiątki. Nic więcej.

- Czy oprócz tych dzieci widział pan coś jeszcze? Coś dziwnego? Czy przychodziły tam inne osoby?

Weidrich odparł po dłuższej chwili zastanowienia.

- Tak. Często przychodzili dwaj faceci, żeby z Bruhnsem coś omówić. Nie wiem, o co chodziło, ale czułem, że nie jest to czysta sprawa.

- Jak wyglądali?

- Znacie ten film *Faceci w czerni*? Tak właśnie wyglądali, tylko z tym wyjątkiem, że obaj byli biali i krępi. Raz nawet doszło prawie do rękoczynów, ale wtedy Bruhns wręczył im grubą kopertę i to załatwiło sprawę.

- I tak bez problemów mógł się pan temu przyglądać?

- Nie. Nikt z nich nawet nie zauważył, że tam byłem. Stałem akurat w sąsiednim pomieszczeniu i przypadkiem ich zobaczyłem. To było jak scena z filmu. Naprawdę.

- Czy to byli Niemcy?

- Nie. Pochodzili raczej z Polski albo Rosji. Na pewno z jakiegoś wschodnioeuropejskiego kraju, bo śmiesznie mówili.

- Czy Bruhns znał ich język?

- Inaczej przecież by się nie dogadali.

- Kiedy to było?

- Kilka dni przed tym, jak mnie wyrzucił. Wtedy widziałem ich ostatni raz.

- Naprawdę nie wiedział pan, że Bruhns nie żyje? Jakoś trudno w to uwierzyć, przecież głośno było o tym we wszystkich mediach.

- Nie czytam gazet i nie słucham radia, a w telewizji oglądam tylko sport. Tam nie ma wiadomości. A teraz już zostawcie mnie w spokoju. Jestem zmęczony i chciałbym się położyć.

- Proszę. To moja wizytówka - powiedział Henning. - Gdyby jednak coś pan sobie jeszcze przypomniał, proszę zadzwonić. Chodź, Liso.

- Oczywiście. Do widzenia.
- Wypiję jednego za to, że ten bydlak zdechł! - zawołał Weidrich.
- Zaleję się dzisiaj w trupa z radości! Niech żyje rock'n'roll!

Poniedziałek, godz. 16.25

- Nic już z niego nie będzie - stwierdziła Santos po wizycie u Weidricha. Byli akurat w drodze do komisariatu, ale ona wciąż o nim myślała. - Jak można żyć w takim brudzie? Przecież gdyby tam sprzątnął, byłoby bardzo przytulnie.

Henning nie ciągnął tego tematu.

- Weidrich potwierdził wszystkie te informacje, które uzyskaliśmy od żony Bruhnsa - powiedział po chwili. - Przeraza mnie jednak i dziwi zarazem jedno: tyle osób wiedziało o tym, że Bruhns był pedofilem, i nikt nie zareagował, a to trwało i trwało... Dlaczego nikt nic nie zrobił? Bruhns miał za dużo osób po swojej stronie. Ta historia niestety za często się powtarza.

- On nie tylko był pedofilem - dodała Santos. - Jedenasto- i dwunastoletnie dzieci oraz młode dziewczyny, najwyżej dwudziestopięcioletnie... Mam przeczucie, że tu należy szukać motywu. Ułożenie ciał Bruhnsa i Steinbauer też by na to wskazywało. Sprawca chciał nam przez to pokazać, jaki Bruhns był naprawdę. Taka też była rola jego kochanki.

- Możliwe, tylko że Steinbauer była pełnoletnia, a Nele miała jedenaście albo dwanaście lat, to jednak co innego.

- Od czego więc zaczniemy? Nie mogę się pozbyć myśli o tym przeklętym DNA. Tak bardzo mnie to irytuje, że nie mogę się skupić na niczym innym. - Santos była

przejęta. - Klaus mógł nam jednak nic nie mówić. Rozumiesz mnie?

Henning położył swoją dłoń na jej dłoni.

- Ja również tak myślę. Ale zastanówmy się raz jeszcze. Myślisz, że Weidrich mógłby być mordercą?

Santos pomyślała chwilę i pokręciła głową.

- To alkoholik. Nie dałby rady tego dokonać. Co najwyżej mógłby go pobić albo udusić, ale nie zdołałby tak precyzyjnie dokonać zabójstwa. Nie ma na to najmniejszych szans. Oczywiście żywi wielką urazę do Bruhnsa, ale zabójstwo... jakoś nie wydaje mi się, żeby miał na to siłę czy energię. On po prostu jest fizycznie wykończony.

- Fakt. Jednak zwróć uwagę, jak mimo wszystko jasno i logicznie myśli. Dopóki poziom alkoholu we krwi utrzymuje się na stałym poziomie, wszystko z nim jest w porządku. Okej, nie jest w porządku. Przyznaję, że życie tego kolesia straciło sens, nie ma żadnych perspektyw na lepsze jutro, siedzi w syfiastym domu, nie ma też pewnie żadnych znajomych ani przyjaciół. Pozostał mu tylko alkohol i telewizor. Co to za życie? Jeżeli w ogóle można to nazwać życiem. Chyba strzeliłbym sobie w łeb, gdybym miał tak wegetować.

- Jednak zmieniam zdanie co do siły i energii. Czy to właśnie nie tacy ludzie w wyjątkowych sytuacjach potrafią zdobyć się na wysiłek i dokonać niemożliwego? Chyba nawet ostatnio mieliśmy taki przypadek. Pamiętasz kobietę, która latami była bita i gwałcona przez swojego męża? Aż pewnego dnia, kiedy miała już ponad pięćdziesiąt lat, a jej mąż dziewięćdziesiąt, zdobyła się na odwagę i z nieludzką wprost siłą dźgała go nożem w brzuch i klatkę piersiową... Resztę znamy oboje.

- Jasne, to właśnie była jedna z takich wyjątkowych sytuacji, ale chyba nie można jej porównać z sytuacją Weidricha. Tamta kobieta latami przeżywała piekło i martwiła się

o swoje dzieci. Miała wyraźny powód, musiała przecież chronić dzieci, gdy mąż chciał je pobić. To dlatego właśnie w jednej chwili wydobyła z siebie te wszystkie pokłady energii i siłę, która zaskoczyła jej męża. Miał pecha. Ale wracając do Weidricha: on od roku nie był w studiu, zerwał ze wszystkim.

- A jeżeli Weidrich w ataku złości jednak pozbył się Bruhnsa, którego obwiniał za całe swoje niepowodzenie? Myślisz, że to niemożliwe?

- Niczego nie uważam za niemożliwe, ale myślę, że taka sytuacja byłaby raczej mało prawdopodobna. Przecież on wychodzi z domu tylko po to, żeby uzupełnić barek. Skoro nie czyta gazet i nie słucha radia, to pewnie nawet nie wie, że Obama został prezydentem Stanów Zjednoczonych.

- Coś mi się jednak nie zgadza - zauważyła Santos. - Weidrich: ichtyba jednak kręci. Powiedział nam, że ogląda w telewizji tylko sport, tak? Ale mówił też, że robiło mu się niedobrze, jak widział Bruhnsa. Jakoś nie wydaje mi się, żebym w jakimkolwiek programie sportowym widziała Bruhnsa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic, tylko tyle, że Weidrich nas w tej kwestii oszukał.

- Nie przesadzaj. Nie będziemy przecież teraz podważać wszystkiego, co mówił. Nie oszukał nas, najwyżej nie powiedział nam całej prawdy. Gdyby Weidrich chciał faktycznie zabić Bruhnsa, to miałby ku temu niejedną okazję i nie musiałby wcale jechać po to do Schönbergu... Jeszcze jeden łyk wódki i Weidrich czyhałby na Bruhnsa, aż ten zjawi się w studiu. Porozmawiałby z nim i wystarczyłoby jedno głupie powiedzonko Bruhnsa za dużo, a Weidrich w afekcie zastrzeliłby go albo udusił. Taką sytuację mógłbym sobie wyobrazić, ale nie takie zainscenizowane przedstawienie. Nigdy. Poza tym gdyby nawet sprawcą był Weidrich, to musiałby jechać do Schönbergu, a szczerze

mówiąc, nie sędzę, żeby miał samochód. A gdyby nawet miał, to bardzo by ryzykował, wyruszając w takim stanie w podróż, bo przecież mógłby się natknąć na policję drogową. Ten człowiek do niczego już się nie nadaje. On nawet nie może posprzątać swojego mieszkania. Poza tym raczej nie wpadłby na taki pomysł, żeby w ten sposób ustawić ciała. Jego kreatywność tak daleko na pewno nie sięga. Dajmy sobie z nim spokój. Jest wykluczony z listy podejrzanych.

- Nasz informator jasno powiedział, że mamy szukać w otoczeniu Bruhnsa. W otoczeniu Bruhnsa, czyli począwszy od jego żony, a skończywszy na kim? Na służbie, następcy Weidricha, podejrzanych partnerach biznesowych, artystach, którzy byli poniżani przez Bruhnsa? Czy też może chodzi raczej o ojca, który dowiedział się, że Bruhns zgwałcił jego córkę? Tym wszystkim na pewno będziemy się zajmować dużo dłużej niż do niedzieli.

- Chcesz usłyszeć moją teorię? Myślę, że mordercą jest ktoś, kto wiedział o pedofilskich zapędach Bruhnsa i już nie mógł tego dłużej znieść, ale nie ufał policji; albo też był to ktoś, kogo Bruhns źle potraktował. Takich, niestety, jest mnóstwo, przykładem Weidrich.

- Jeszcze jedno przyszło mi teraz do głowy, ale może zostawmy to. Im więcej spekulacji, tym bardziej zapędzamy się w kozi róg. Zapiszmy to wszystko na tablicy i...

- Jeżeli o mnie chodzi, to możesz mówić. Wczoraj wykluczyliśmy żonę Bruhnsa, ale ona mogłaby mieć poważny motyw. Wiedziała, że Bruhns wykorzystuje dzieci, że wiecznie ją zdradza. Czuli się jak w więzieniu. Była bita, a gdy chciała odejść, Bruhns jej groził. Nie chcąc jednak zrezygnować z luksusowego życia, musiała kogoś wynająć, żeby raz na zawsze pozbyć się męża. Brzmi to raczej jak scenariusz kiepskiego serialu, ale mogło się tak wydarzyć. Jak uważasz?

- Za daleko to zabrnęło...

- Dlaczego? Wyobraź sobie, że może ona sama ma kochanka, o którym nikt nic nie wie, i razem wymyślili ten perfidny plan... To również może być prawda.

- Bzdura. Ona ma roczną córeczkę. Oboje widzieliśmy, jak się o nią troszczy, a ty wysuwasz tu hipotezę, według której ta kobieta jest niczym doktor Jekyll i mister Hyde? Nie, nie i jeszcze raz nie! Ale jeżeli to cię uspokoi, możemy zapytać ją wprost. Po jej reakcji od razu się zorientujemy, czy nas oszukuje. Jedźmy do niej.

- Dobrze - zgodził się Henning i zawrócił w stronę domu Bruhnsa. - Chcę mieć pewność.

- Ty niedowiarku. - Santos zaśmiała się i pogłaskała go po rękę.

- Nie jestem niedowiarkiem, tylko brak mi cierpliwości. Może dzięki temu będziemy mogli wyeliminować wszystkie wymienione dotąd teorie, bo kto miałby dostęp do nieznanego kobiecego DNA? Nasze założenia są błędne.

- Okej, masz rację. Ja też cały czas łączę to z tym DNA. Przykro mi, jakoś nie potrafię inaczej.

- Robię to samo.

Poniedziałek, godz. 17.55

- Państwo znowu tu? Czy nie powiedziałam już wszystkiego? - zapytała Victoria Bruhns, niezbyt zadowolona z ich ponownej wizyty.

- Tego nie wiemy - odpowiedział Henning. - Ale mamy jeszcze jedno pytanie do pani. Czy ma...

- Mój kolega chciał zapytać, czy w pani życiu jest jakiś mężczyzna?

Victoria obrzuciła ich szyderczym spojrzeniem.

- Niech się zastanowię. Hm, tak, był w moim życiu mężczyzna, i to niejeden, ale z żadnym z nich nie spałam, bo to byli koledzy z czasów szkolnych. Ale rozumiem, w jakim kierunku to zmierza. Jest kobieta, która była źle traktowana przez męża i trzymana w złotej klatce, zechciała się wyrwać z nieudanego małżeństwa i postanowiła wraz ze swym kochankiem pozbyć się uciążliwego małżonka. Mam rację?

Ani Santos, ani Henning nie odpowiadali, bo nie spodziewali się tak ostrej reakcji.

- A więc jednak mam. Żeby to zakończyć, powiem tylko, że nigdy nie było i nadal nie ma żadnego innego mężczyzny w moim życiu. Mogą państwo zapytać panią Hundt, ona wie o moim życiu na pewno więcej niż ja sama, bo przez ostatnie lata pilnowała mnie tu jak oka w głowie, ale teraz z tym koniec. Wraz ze śmiercią mojego męża jej zadanie się skończyło i nie ma tu już czego szukać. To jest moja mała zemsta. Więcej zrobić nie mogę. Ale proszę bardzo, mogą państwo sprawdzić każdy szczegół mojego życia. Nic nie znajdziecie. Nie mam kochanka i nie miałam nic wspólnego ze śmiercią męża. Oczywiście mogą państwo powiedzieć, że do tego wcale nie trzeba mieć kochanka, nienawiść w zupełności wystarczy. Ale proszę mi wierzyć, że nigdy nie mogłabym kogoś nienawidzić tak mocno, żeby go zabić. - Victoria zamilkła na chwilę i spojrzała na Santos, po czym powiedziała: - Nie, jednak jest coś, co skłoniłoby mnie do tego. Gdyby skrzywdził naszą córkę, wtedy na pewno bym go zabiła. Mają państwo jeszcze jakieś pytania?

- Tak. Rozmawialiśmy z panem Weidrichem, który potwierdził tę historię o dziewczynce. Wie pani może, dlaczego mąż go zwolnił?

- Nie rozumiem...

- Weidrich rozpoznał zdjęcie tej Nele. Według niego nie była ona, niestety, jedynym dzieckiem, które zgwałcił

pani mąż. Dlatego mamy jeszcze pytanie: czy wiedziała pani o pedofilskich skłonnościach męża?

- Jeśli chodzi o Nele, to było jednoznaczne i myślałam, że skoro zrobił to z jednym dzieckiem, to pewnie było ich więcej. Niestety, nie miałam na to żadnych dowodów. Jeżeli jednak krzywdził te dzieci, to zasłużył sobie na więcej niż śmierć. Gdybym wcześniej choć podejrzewała, z jakim potworem się wiąże, nigdy bym za niego nie wyszła. Na początku w stosunku do mnie zachowywał się zupełnie inaczej, ale już państwu o tym opowiadałam. Po jakimś czasie się zorientowałam, że potrzebował mnie wyłącznie jako alibi dla siebie, żeby dalej móc robić te swoje świństwa.

- Co pani przez to rozumie?

- To proste, ożenił się ze mną, żeby media tygodniami mogły mówić o wspaniałym świecie Bruhnsa i jego uroczej żonie. I wszystko było w porządku. Podczas gdy jego fani widzieli w nim boga, on gwałcił małe dziewczynki, a ja, głupia, nawet o tym nie wiedziałam. Oprócz tego jednego razu przed rokiem. Ale wtedy nasze małżeństwo nie było już nic warte. Gdy to wszystko już się skończy, zabiorę Pauline i wyjedziemy daleko stąd, gdzie będę mogła o tym wszystkim zapomnieć. Czy jeszcze mogę coś dla państwa zrobić?

- Nie, proszę wybaczyć, że przeszkodziliśmy pani - powiedziała Santos i kiwnęła do Henninga. - Nie będziemy już pani nachodzić.

- Mogą państwo przychodzić, kiedy tylko chcą. Nie nachodzą mnie państwo. Zdaję sobie sprawę, że wykonujecie swój obowiązek, i szczerze mówiąc, nie chciałabym być na waszym miejscu.

- Dziękujemy. Jeszcze tylko jedno pytanie, jeżeli można. Jak zareagowała pani Hundt na wypowiedzenie? Czy jeszcze jej pani nic nie mówiła?

- Zrobię to, gdy tylko Pauline zaśnie. Wierzcie mi państwo, że będzie to dla mnie czysta przyjemność.

- Ale ona pracowała tu ponad dwadzieścia lat...

- Dokładnie dwadzieścia trzy.

- Więc obowiązuje ją jakiś okres wypowiedzenia.

- I co z tego? Zapewnię jej dach nad głową i będę jej płaciła tak długo, aż skończy się jej okres wypowiedzenia. Jedno jest pewne: nie chcę widzieć tu tej kobiety ani dnia dłużej.

Santos położyła rękę na ramieniu Victorii Bruhns.

- Doskonale panią rozumiem. Podziwiam i gratuluję. Super.

- Dziękuję.

- Jeszcze jedna sprawa. Pani mąż był trzy razy żonaty, zanim spotka! panią. Czy poprzednie żony wiedziały o jego skłonnościach?

- Nie mam pojęcia. Ostatni raz rozwodził się dziesięć lat temu. Po raz pierwszy ożenił się, gdy miał dwadzieścia pięć lat, i rozwiódł się po dwóch latach. Potem zawarł związek małżeński w wieku dwudziestu dziewięciu lat, a następny trzydziestu siedmiu. W tamtym czasie z tego, co wiem, nie był jeszcze taki znany ani nie miał takich znajomości. Naprawdę nie wiem, czy ktoś o tym wiedział.

- Może wie pani przynajmniej, gdzie mieszkają jego byłe żony?

- Niestety, nie umiem państwu pomóc.

Poniedziałek, godz. 18.35

Henning i Santos, przecisnąwszy się znów przez chmurę reporterów, pojechali do komisariatu.

- I co, zadowolony?

- Teraz tak. Chyba że to najlepsza aktorka w Niemczech.
- Ona po prostu jest szczerą, jednak my jej nie uwierzyliśmy, bo zawsze zakładamy najgorsze. Prawda?
- Hm.
- Nie „hm”. Taka jest prawda. Ona nie jest morderczynią i nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Skreślmy ją w końcu raz na zawsze z listy podejrzanych.
- Tak jest, szefowo - odparł Henning, śmiejąc się.
- I tak trzymać.
- W komisariacie spotkali tylko Harmsa, który akurat przygotowywał się do wyjścia.
- Cześć - przywitał się Henning i zdjął kurtkę.
- Myślałem już, że nigdy się nie odezwiecie - powiedział Harms.
- Pracowaliśmy, nie było nic do omawiania. Byliśmy u Tönniesa, Jürgensa, pani Bruhns i dźwiękowca, który kiedyś współpracował z Bruhnsem. Poprzepychaliśmy się z reporterami, i to wszystko. A tu co się działo?
- Nic - odparł krótko Harms.
- Nikt z grupy dochodzeniowej niczego nie znalazł? -zapytała Santos.
- Nie, a jeżeli nawet, to dowiemy się o tym jutro o dziewiątej na zebraniu.
- A co z Riiterem?
- Nie widziałem go, a czas ucieka...
- Wiesz co? Może niech Riiter sam wypije to piwo, które nawarzył. Ja na pewno nie będę się w to mieszał. Jeżeli odsunie nas od sprawy, to nie zamierzam mu się przeciwstawiać. Odejdę bez słowa. - Henning pogładził się po podbródku i dodał: - A tak na marginesie, ta historyjka z DNA jest nieprawdziwa. Jürgens i Tönnies przyznali się, że popełnili błąd, więc już nie musisz się tym martwić...

- Wcale się nie martwiłem. Coś jeszcze? Późno już i chętnie pojechałbym w końcu do domu.

- Tak, jeszcze jedna drobnostka - powiedziała Santos. - Wygląda na to, że Bruhns był pedofilem. Są również podstawy do tego, aby podejrzewać go o udział w zamordowaniu tej małej dziewczynki, którą znaleźliśmy rok temu. Ona była u Bruhnsa w domu. Potwierdziła to zarówno żona Bruhnsa, jak i ich gosposia...

- I dowiaduję się o tym dopiero teraz? No dobrze, porozmawiamy o tym jutro. Mam jeszcze coś ważnego do załatwienia. Coś jeszcze? - zapytał nerwowo Harms i spojrzał na zegarek.

- To wszystko. Miłego wieczoru.

- Jestem pewien, że miły to on nie będzie.

Harms włożył płaszcz, zabrał aktówkę, którą nosił od lat, i wyszedł bez słowa.

Henning i Santos poczekali, aż zamknie za sobą drzwi.

- Co się dzieje z Volkerem? - spytała Lisa. - Rozmawia z nami jak z jakimiś obcymi.

- Albo jakby był na nas zły.

- Może ci z góry wywierają na niego taki nacisk.

- Ewentualnie ma jakieś prywatne problemy. Nieważne, jest naszym przełożonym, ale nigdy w stosunku do nas tak się nie zachowywał. Wczoraj jeszcze nie był taki. Nie rozumiem, o co tu chodzi. Zawsze myślałam, że trzymamy się razem.

- Też tak myślałam. Chodź już, pojedziemy do domu i zamówimy pizzę.

Henning zgodził się z nią i wyszli z komisariatu. To nie był satysfakcjonujący dzień. Spędzili go na poszukiwaniach jakiegoś tropu, który doprowadziłby ich do mordercy, ale bezskutecznie. Henning nienawidził takich dni, bo z doświadczenia wiedział, że im więcej czasu mija, tym mniejsze są szanse na znalezienie sprawcy. Nadal

podejrzewał Victorię Bruhns i Weidricha, ale postanowił Lisie nic o tym nie mówić. Będzie to na razie przed nią ukrywał. Miał przeczucie, że Weidrich nie powiedział im całej prawdy. Możliwe, że przez swój nałóg pozapominał już niektóre fakty.

Bruhns w całym swoim życiu miał mnóstwo romansów. Był też pedofilem, Henning święcie w to wierzył. Prawdopodobnie również był zamieszany w zamordowanie tej małej. Na pewno to wszystko mogło stanowić powód, żeby się pozbyć Bruhnsa, ale dlaczego Kerstin Steinbauer również zginęła?

Gdy weszli do mieszkania Lisy, próbował nie myśleć już o całej tej sprawie, jednak bezskutecznie. Spędzili jeden z najbardziej cichych wieczorów, odkąd byli razem. Zamówili sobie pizzę i sałatkę z pomidorów. Jedli i oglądali telewizję, lecz ich myśli krążyły ciągle wokół jednego tematu. Oboje pogrążeni w rozmyślaniach, prawie ze sobą nie rozmawiali.

Krótko przed dwudziestą pierwszą zadzwonił telefon Lisy.

- Kosłowski z policji kryminalnej w Dusseldorfie. Przepraszam, że tak późno, ale mam kilka interesujących informacji. Mogę mówić?

- Zamieniam się w słuch - powiedziała Santos i sięgnęła po notes i długopis. Włączyła tryb głośnomówiący, żeby Henning mógł również posłuchać.

- Chodzi o Steinbauer. Coś mi tu nie gra. Wspominałem już o luksusowym apartamencie, w którym mieszkała. Wczoraj wieczorem sprawdziliśmy go jeszcze raz. Do diaska! Czego tam nie ma. Dziś rano wyceniono to wszystko i wyobraźcie sobie, że sam sprzęt hi-fi i telewizor są warte około dwustu tysięcy. To wskazuje na to, że albo miała jakiegoś sponsora, przed którym rozkładała nogi, a on jej to wszystko fundował, albo też prowadziła

podejrzane interesy. Nie mieści nam się w głowie, skąd osiemnastoletnia dziewczyna, i to z domu dziecka, miała tyle pieniędzy. Oczywiście sprawdziliśmy jej finanse. Ku naszemu zdziwieniu okazało się, że miała co najmniej dwa konta. Na jednym z nich było ponad czterysta tysięcy euro, a na drugim ponad pół miliona. Przy takich kwotach wykluczyłbym teorię o sponsorze, bo kto płaciłby takie sumy za seks. Pozostaje więc pytanie, skąd pochodziły te pieniądze. Za każdym razem były to wpłaty gotówką, więc nie znajdziemy źródła. Kwoty od dziesięciu do piętnastu tysięcy euro, które powtarzały się mniej więcej co dwa lub trzy tygodnie. Spróbujemy się oczywiście dowiedzieć, skąd pochodziły te pieniądze, ale mam wrażenie, że nie będzie to łatwe i może się okazać stratą czasu. Ta Steinbauer była bardzo sprytna.

- Nie do wiary...

- Sprawdziliśmy również jej powiązania rodzinne, ale wygląda na to, że nikogo nie miała. Od dawna musiała polegać tylko na sobie, to znaczy, odkąd opuściła dom dziecka i opiekunów.

- Jak długo miała takie pieniądze?

- Opuściła dom dziecka w wieku szesnastu lat. Dziesięć dni później wykupiła mieszkanie, za które zapłaciła gotówką, jak dowiedzieliśmy się w firmie handlującej nieruchomościami. Ktoś za nią poręczył, oczywiście były to fałszywe dokumenty i nazwisko. Od tamtej pory finansowo wiodło jej się coraz lepiej. Osobiście podejrzewałbym nawet, że z Bruhnsem łączył ją nie tylko romans, ale i interesy. Pytanie tylko, jakie interesy może prowadzić prawie pięćdziesięcioletni mężczyzna z osiemnastolatką. To jest jedno z pytań, na które będziemy szukać odpowiedzi.

- Dziękujemy. To oczywiście rzuca całkiem nowe światło na tę sprawę. Będziemy w kontakcie i gdy tylko dowiemy się czegoś więcej, damy znać.

- Okej. Problemem dla nas jest osoba Bruhnsa - powiedział Kosłowski. - Zabroniono nam udzielać jakichkolwiek informacji na jego temat, żeby nic nie przedostało się do opinii publicznej. Dlatego też nie możemy nawet oficjalnie nikogo pytać, czy znał Steinbauer. Poza tym nieoficjalnie powiedziano nam, że prawdopodobnie w ciągu najbliższych dni sprawę tę przejmie od nas Federalna Policja Kryminalna lub jakaś inna instytucja, która będzie kontynuowała śledztwo. Nie muszę wam mówić, co to oznacza. W gruncie rzeczy już teraz nie mamy tu nic do powiedzenia. Jedno jest pewne, to jakaś grubsza sprawa.

- Odbiera się wam sprawę z powodu Steinbauer?

- Jeszcze nie, ale możliwe, że tak właśnie się stanie. Równie dobrze może być tak, że dalej będziemy się tym zajmować, ale pomału i pod nadzorem. W ciągu mojego dwudziestodwuletniego stażu tylko raz spotkałem się z taką sytuacją. Wtedy jednak chodziło o polityka, grubą rybę świata przestępczego, który nawiasem mówiąc, nadal działa. Nigdy nie postawiono mu żadnych zarzutów, chociaż wszyscy dobrze wiedzą o jego przestępczej działalności. Zamknięto nam wtedy drzwi przed nosem, gdy tylko za bardzo zaczęliśmy się w to zagłębiać. Od tamtej pory już wiemy, że są osoby, przeciw którym nie prowadzi się żadnych dochodzeń, i tego się trzymamy. Zadziwiające jest jednak to, że chroni się osiemnastolatkę.

- Nas też to zastanawia. Wielkie dzięki za te informacje.

- Nie ma za co. W końcu jedziemy na tym samym wózku. Musicie być na wszystko przygotowani. Najprawdopodobniej was również niedługo odsuną od tej sprawy, dlatego bądźcie bardzo ostrożni. To jedyna rada, jakiej mogę wam udzielić.

- Będziemy. Jeszcze raz dziękujemy i życzymy miłego wieczoru.

- Niestety, mam dziś dyżur, więc raczej mogę zapomnieć o miłym wieczorze. Ale może wkrótce znowu porozmawiamy.

Santos odłożyła komórkę i spojrzała na Henninga. Jeszcze przed chwilą była wykończona i śpiąca, jednak telefon postawił ją na nogi.

- Steinbauer nie była więc przypadkową ofiarą. Specjalnie ją zabito - wymamrotał Henning. - Czym się zajmowała, że miała tyle kasy?

- Myślę, że dowiemy się tego, zanim zdążą nas odsunąć od sprawy. Tylko czegoś dalej tu nie rozumiem. Bruhns jest pedofilem i spotyka się z osiemnastolatką, która ma mnóstwo pieniędzy, i oboje zostają zamordowani w jego willi... Co ich w zasadzie łączyło? Nie sądzę, żeby miała te pieniądze od Bruhnsa, bo on podobno był prawdziwym skąpcem. A więc skąd?

- Jeszcze nieraz będziemy się pewnie nad tym zastanawiać - rzekł Henning. - Ale nie dziś. Jestem już zmęczony.

- Mam pomysł. Może Volker dziwnie się zachowuje, bo wytyczono mu granicę, do której nasze śledztwo może dotrzeć. I dalej ani kroku. Tylko on boi się nam o tym powiedzieć? Może nawet już wczoraj Rüter, podczas tej rozmowy w cztery oczy, dał mu konkretne wskazówki i dlatego Volker tak dziwnie dziś zareagował, gdy tylko wspomnieliśmy o tym DNA. Zawsze mieliśmy z nim superkontakt, a dziś rano zachowywał się naprawdę dziwnie. Co o tym myślisz?

- To byłoby jakieś wytłumaczenie. Może zapytamy go o to jutro wprost? A teraz chodźmy już spać, bo ledwo stoję.

Zaraz po tych słowach poszli do łóżka, życzyli sobie dobrej nocy i ułożyli się wygodnie, jednak ani on, ani ona nie mogli spać. Ich myśli krążyły nadal wokół wiadomości,

jakie otrzymali z Dusseldorfu. Dopiero nad ranem udało im się zasnąć, a dwie godziny później obudził ich budzik. Mieli za sobą ciężką noc, jednak nawet się nie łudzili, że dzień będzie inny. No, chyba że wydarzyłby się cud, w co żadne z nich nie wierzyło. Za długo pracowali w policji, żeby wierzyć w cuda.

Poniedziałek, godz. 19.45

Hans Schmidt spędził ten dzień u klienta, który chciał sprawdzić, czy posiadane przez niego książki Machiavel-lego są oryginalne. Właśnie w tym celu przyniósł ze sobą walizkę ze wszystkimi przyborami, dzięki którym miał zbadać wiek papieru oraz atramentu. Około siedemnastej trzydzieści stwierdził, że obie książki są oryginalne, co oznaczało, że mają ogromną wartość. Właściciel nie chciał ujawnić, skąd je ma, ale w gruncie rzeczy Schmidta to nie obchodziło.

Po tym spotkaniu pożegnał się, ponieważ musiał się przygotować do załatwienia jeszcze jednej ważnej sprawy, jaką miał zaplanowaną na ten wieczór. Wróciwszy do domu, odświeżył się i zmienił swój wygląd tak, aby nikt go nie rozpoznał.

Na spotkanie udał się w okolice dworca, gdzie na niego i pięciu innych mężczyzn czekał czarny bus. Samochód miał zaklejone szyby, żeby nikt z jego pasażerów nie widział, dokąd jadą. W czasie dwudziestominutowej przejażdżki żaden z mężczyzn nie odezwał się ani słowem. Gdy w końcu samochód zatrzymał się i otworzono drzwi, mężczyźni mogli wysiąść i udać się do willi. Wszystko było tu bardzo tajemnicze. Willa stała w zacienionym miejscu, oddalona od innych budynków o dobre pięćdziesiąt metrów. Wokół panowała cisza, a wszystko spowijały ciemności.

Gdy przekroczyli próg willi, zapalono światła. Wszystkie okna zakrywały ciemne zasłony, tak że nawet najmniejszy promień światła nie przedostawał się na zewnątrz. Mężczyźni weszli na pierwsze piętro do pokoju o powierzchni około sześćdziesięciu metrów kwadratowych, którego podłoga została wyłożona wypolerowanym marmurem. Przy jednej ze ścian pokoju leżał gruby dywanik o wymiarach metr na dwa metry. Nie pasował do eleganckiego wystroju pomieszczenia.

Gdy mężczyźni weszli do pokoju, usłyszeli jakieś głosy i ich oczom ukazało się osiemnaście skąpo ubranych kobiet. Najmłodsza z nich miała około szesnastu lat, a najstarsza najwyżej dwadzieścia pięć. Były to piękne kobiety o wspaniałych figurach, jednak w ich oczach czaiło się przerażenie. Człowiek, który wprowadził je do pokoju, polecił im ustawić się na dywanie w rzędzie.

Jedna z kobiet chciała coś powiedzieć, ale gospodarz od razu ją ofuknął:

- Zamknij się! Odzywaj się tylko wtedy, gdy ktoś cię o coś zapyta. Zrozumiano? - Po czym odwrócił się do mężczyzn i z uśmiechem oznajmił: — Drodzy panowie, cieszę się z waszego przybycia na moją aukcję. Jak widać, mam wam do zaproponowania tylko najlepsze, młode, świeże i jędrne ciała. Porównam je do sałaty, do której ze znalezieniem odpowiedniego dressingu żaden z panów z pewnością nie będzie miał problemu. Chciałbym jednak panów uczulić na fakt, że niektóre z tych kobiet wymagają jeszcze odrobinę oswojenia. Muszą być dobrze ujeżdżone, niczym dzikie konie, żeby stały się posłuszne. Ale nie sądzę, bym musiał komukolwiek o tym mówić, bo przecież każdy z panów dobrze o tym wie. Gdy tylko dobrze się je ułoży, sprawią panom i pańskim gościom mnóstwo przyjemności, odczytają z waszych oczu każde życzenie i bez wahania je spełnią. Wiem, o czym mówię, bo jestem

w tym interesie już ponad dwadzieścia lat i jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby choć raz ktokolwiek zgłosił reklamację... Ale przejdźmy do rzeczy. Trzech z panów znam już z wcześniejszych aukcji, a trzech jest nowych, jednakże popytałem tu i ówdzie i poświadczono za panów, dlatego znaleźliśmy się tu dziś w takim gronie. Oczywiście wszystkich tu zgromadzonych chciałbym serdecznie powitać i mam nadzieję, że każdy z panów znajdzie coś dla siebie. Jak już panowie wiedzą, nie używamy tu nazwisk, ale każdy może zadawać pytania. W końcu wszyscy chcemy wrócić do domu zadowoleni z zakupów. Możecie się do mnie zwracać per licytatorze, bo przecież właśnie nim jestem. Kobiety, które tu przed wami stoją, pochodzą z Białorusi, Rosji, Mołdawii, Łotwy i Ukrainy. Każda z nich mówi trochę po niemiecku, a dwie z nich nawet bardzo dobrze. To ta. - Mężczyzna wskazał na dwudziestolatkę o długich blond włosach, idealnej figurze, dużym, pełnym biuście i długich nogach. - I ta. - Wskazał na drobną brunetkę z małymi jędrnymi piersiami, talią osy i dużymi, niewinnymi oczyma. - Tania pochodzi z Białorusi, a Svenia z Łotwy. O reszcie powiem jeszcze parę słów później. Dla jasności: najniższa stawka to dziesięć tysięcy, ale jestem pewny, że każda z tych kobiet warta jest wielokrotnie więcej. Wszystkie są zdrowe, co potwierdzają zaświadczenia lekarskie, które mam u siebie w biurze, i mogą codziennie przynieść dochód w wysokości pięciu tysięcy euro. Czy są jakieś pytania?

- Tak, jedno - powiedział jeden z mężczyzn, cieszący się najlepszymi referencjami. — Do tej pory zawsze miałem do czynienia z kobietami pochodzącymi z południowej Europy bądź też Ameryki Południowej. - Mówił poprawnie po niemiecku, mimo że z wyraźnym francuskim akcentem. — Czy jest coś, na co powinienem zwrócić szczególną uwagę?

- Nie. Nie ma lepszych i bardziej posłusznych kobiet niż te z Europy Wschodniej. Niektóre mają problem z zaadaptowaniem się tutaj, ale z reguły trwa to krótko i bez problemu można je ułożyć. Bywa, że trudno je posiąść, ale odpowiednimi środkami można tę trudność pokonać i uzyskać bezwarunkową uległość i potulność. Potraktujcie to jak tresurę. Oczywiście nie taką jak tresura psa czy konia, bo te trwają tygodniami bądź miesiącami. Ja mówię najwyżej o dwóch, trzech dniach. Czy uzyskał pan zadowolającą odpowiedź na swoje pytanie?

- Tak, dziękuję.

- Czy ktoś jeszcze chciałby o coś zapytać? Mężczyźni pokręcili głowami.

- A więc dobrze, możemy zatem przejść do rzeczy. Zaczniemy od pierwszej z brzegu. Oto Alissa, ma osiemnaście lat, studentka, to znaczy dotąd nią była, bo teraz ma już pracę. Ma 165 centymetrów wzrostu, wymiary: 90-63-92. To mała dzika kotka, którą jednak łatwo można oswoić. Prawda, Alisso?

Odpowiedzi nie było. Alissa spojrzała tylko swymi dużymi, przerażonymi, brązowymi oczyma.

- Jest jeszcze bardzo nieśmiała, ale z czasem jej to przejdzie. Czekam na propozycję stawki za tę śliczną dziewczynę, z której na pewno będziecie, panowie, zadowoleni.

- Dziesięć tysięcy - powiedział jeden z mężczyzn, podnosząc rękę.

- Dwanaście - podjął licytację inny.

- Piętnaście.

- Dwadzieścia - powiedział Pierre Doux.

- Dwadzieścia dwa.

- Dwadzieścia cztery.

Na chwilę zapadła cisza, po czym licytator zakończył aukcję słowami:

- Dwadzieścia cztery po raz pierwszy, dwadzieścia cztery po raz drugi i po raz trzeci. Alisso, usiądź tam z tyłu. Zostałaś sprzedana. Przejdźmy zatem do Carli. Dziewiętnastolatka, 172 centymetry wzrostu, nie da się ukryć, wyjątkowa, 95-60-90, już oswojona i gotowa na wszystko. Ponadto dobrze mówi po niemiecku. Ktoś coś daje?

- Piętnaście.
- Dwadzieścia.
- Dwadzieścia pięć.
- Czterdzieści.
- Czterdzieści pięć.
- Pięćdziesiąt.

Nie było więcej propozycji, więc licytator, będący jednocześnie właścicielem domu, potwierdził zakup, mówiąc:

- Czy ktoś da więcej? Nie? Dobrze więc, Carla sprzedana za pięćdziesiąt tysięcy euro panu w okularach. Życzę dużo przyjemności, bo z nią ma pan to zagwarantowane, oczywiście pańscy goście również. Carlo, usiądź tam koło koleżanki, a my przejdźmy do kolejnej sztuki. Teraz czas na naszą rudą lisiczkę Mariannę. Ma siedemnaście lat, 168 centymetrów wzrostu, 88-65-91. Kto zacznie?

- Dziesięć.
- Dwanaście.
- Trzydzieści.
- Piętnaście.
- Siedemnaście.
- Osiemnaście.

- Tylko tyle? Panowie, nikt z was nie przetestował jej jeszcze w łóżku, ale zareczam, że robi wszystko i dobrze współpracuje. Ma siedemnaście lat, więc jeszcze przynajmniej przez sześć może przynosić niezły dochód. I robicie

z nią, co chcecie, bo ja się w to nie wtrącam. Może nawet wytrzyma dłużej niż sześć lat.

- Dziewiętnaście.
- Dwadzieścia jeden.

Ponieważ nikt nie kontynuował licytacji, została zakończona.

- Dobrze, dwadzieścia jeden tysięcy. Sprzedana panu po lewej. Ubił pan właśnie świetny interes, mam nadzieję, że zdaje pan sobie z tego sprawę. Już po dwóch tygodniach te koszty na pewno się zwrócą. Ale dobrze, przejdźmy dalej. Sabina, ma dziewiętnaście lat, 173 centymetry wzrostu, jej wymiary to 98-65-92. Prawdziwa kobieta. Słucham propozycji.

- Dwadzieścia.
- Dwadzieścia pięć.
- Trzydzieści.
- Trzydzieści trzy.
- Trzydzieści pięć.
- Pięćdziesiąt - zaliczył mężczyzna w okularach.
- Pięćdziesiąt jeden.
- Pięćdziesiąt pięć.

- Czy ktoś da więcej niż pięćdziesiąt pięć? Nie? A więc sprzedana panu w okularach za pięćdziesiąt pięć tysięcy. Gratuluję. Na pewno warta swojej ceny. Sabino, przejdź do tyłu.

Sprzedano kolejnych pięć kobiet, aż przyszła kolej na Svenię. Na jej twarzy, jako jedynej spośród znajdujących się tu kobiet, nie widać było przerażenia, ale dumę.

- Oto Svenia, ma dwadzieścia jeden lat, 170 centymetrów wzrostu, 96-64-95. Każdy klient będzie w stanie się z nią porozumieć, ponieważ ma niemieckie korzenie i studiowała germanistykę. Na razie jest jeszcze trochę porywcza i nieułożona, ale zapewne w krótkim czasie można to zmienić. Od jakiej stawki zaczynamy?

- Dwadzieścia.

- Nie jestem kurwą! - krzyknęła nagle Svenia i wystąpiła dwa kroki do przodu. Mężczyźni patrzyli na nią ze zdziwieniem.

W jednej chwili właściciel domu podszedł do niej i złapał ją za ramię, po czym pociągnął z powrotem na środek pokoju.

- Co ci wcześniej mówiłem?! - syknął. - Zamknij gębę. Masz tu tylko stać i być cicho. Nic ci się nie stanie, chyba że kogoś sprowokujesz. A teraz zamknij się i stań tam, gdzie stałaś. Czekać, aż cię sprzedam.

- Nie zamknę się, bo nie jestem kurwą i nigdy nią nie będę!

Uderzył ją w brzuch. Upadła na podłogę i z trudnością łapała powietrze. Po kilku sekundach jednak podniosła się i spojrzała pogardliwie na licytatora.

- Myślisz, że skoro możesz mnie uderzyć, to jesteś silny? Nie jestem kurwą i nigdy nią nie będę. Odgryzę każdego fiuta, który...

Kolejny cios, jeszcze mocniejszy niż poprzedni, trafił w jej żołądek. Znów padła na podłogę, walcząc o oddech. Ponownie jednak podniosła się po kilku sekundach. Tym razem drżały jej nogi, ale w jej spojrzeniu nadal była ta sama duma. Stała tak, mimo że z trudem oddychała i z pewnością przeżywała mękę.

- Jestem silny - powiedział cicho licytator i zaśmiał się. - A już na pewno silniejszy niż ty, mała, tania dziwko. Nie prowokuj mnie, bo mogę być bardzo niemiły, a to był na razie tylko mały klaps.

- Chcesz mnie zabić? - syknęła. - Okej, zabij mnie. Będiesz miał jedną dziwkę mniej. Lepiej umrzeć, niż żeby mnie każdego dnia tylko rznąli, rznąli i rznąli!

- Drodzy panowie, przykro mi, że są panowie świadkami tej sceny, ale w tym biznesie wygrywa silniejszy.

Niektóre z naszych kobiet muszą to poczuć na własnej skórze. To, co zrobię teraz, nie sprawi mi przyjemności, ale proszę mi wierzyć, że jest to konieczne. Niewykluczone, że pewnego dnia któryś z was również znajdzie się w takiej sytuacji, a wtedy będziecie już wiedzieć, jak ten problem rozwiązać. Nikt z nas przecież nie może sobie pozwolić na to, żeby dziwka była powodem problemów.

Powiedziawszy to, wyjął pasek ze swoich dżinsów i złożył go na pół. Uderzał ją z niesamowitą obojętnością. Za każdym razem pasek ze świstem przecinał powietrze niczym szpicruta, po czym lądował na ciele Sveni, która zakryła dłońmi twarz i kilka razy krzyknęła z bólu. Pasek poprzecinał jej skórę na ramionach, plecach i brzuchu. Po kilku minutach takich tortur dziewczyna upadła na podłogę. Jej liczne rany krwawiły, a z jej ust wydobywały się nieartykułowane dźwięki. Próbowwała się podnieść, ale nie zdołała. Chciała doczołgać się do ściany, o którą mogłaby się oprzeć, żeby wstać, ale nie miała siły. Leżała na marmurowej podłodze i żaden z mężczyzn przed nią siedzących nawet nie drgnął. Nikt nie chciał jej pomóc.

Licytator wyszedł na chwilę z pokoju. Gdy wrócił po kilku minutach, w jego oczach płonął ogień. Piekielny ogień. Wyglądał jak pomocnik diabła albo nawet sam Belzebub. Cicho poszedł do Sveni, która już nawet nie miała siły unieść głowy. Wraz z siłą i energią straciła również całą swoją dumę, która jeszcze kilka minut temu emanowała z jej postaci i dzięki której miała odwagę przeciwstawić się swojemu oprawcy. W tej jednak chwili wszystko to już się ulotniło. Leżała bezradna na zimnej marmurowej podłodze, gdy licytator do niej podszedł. Szarpnął ją za długie, brązowe włosy, unosząc jej głowę. Wyjął z kieszeni nóż i błyskawicznie poderżnął jej gardło. Od razu puścił jej włosy i pozwolił, by głowa uderzyła o podłogę. Krew, pulsując, wypływała z dużej rany, aż po kilku minutach

Svenia przestała oddychać, a jej oczy zamknęły się na zawsze. Mężczyźni przyglądali się tej scenie w milczeniu. Żaden z nich nie próbował ratować kobiety. Nie wiadomo, czym było powodowane takie zachowanie. Czy był to strach, czy też obojętność? A może ciekawość? Tylko oni to wiedzieli. Sam oprawca również zachowywał całkowitą obojętność.

Pozostałe kobiety stojące pod ścianą trzęsły się z przerażenia. Niektóre z nich już po kilku pierwszych uderzeniach zaczęły płakać i krzyczeć. Inne stały zastraszone, trzymając się za ręce.

- Wynieście ją - rozkazał licytator swoim dwóm towarzyszom, którzy od początku aukcji stali i mieli pilnować, aby wszystko przebiegało jak należy. — Mamy jeszcze parę rzeczy do zrobienia. I wytrzyjcie tę krew. Nienawidzę krwi na mojej eleganckiej terakocie. — Wytarł dłonią usta i zwrócił się ponownie do swoich gości. - Panowie, przepraszam bardzo za ten mały incydent, jednak nie dało się tego uniknąć. Svenia należała do tych wyjątków, których nie da się ułożyć. Jej groźby były poważne i naprawdę mogłaby państwa gościom... No... wiedzą panowie, o czym mówię.

- Czy to było naprawdę konieczne? - zapytał jeden z mężczyzn z lekką obawą w głosie.

Licytator skrzywił się, a potem uśmiechnął się lekko, jednocześnie rozciągając sobie ręce za plecami.

- Konieczne? Czy koniecznie musiała umrzeć? Tak. Każdy z nas kiedyś, gdzieś i w jakiś sposób umrze. Tu jednak chodziło o to, żeby dać przykład innym. Svenia swoim zachowaniem dodawała pozostałym kobietom odwagi i to zobaczyliście, panowie, na własne oczy. Gdyby którykolwiek z was ją kupił, przewróciłaby wasz interes do góry nogami. Daję słowo. Była za bardzo uparta i nie dałoby się jej okiełznać, o czym zresztą sami się przekonaliście.

Ostatnią rzeczą, której potrzebujemy w naszej profesji, jest kobieta niepotrafiąca się należycie zachować w stosunku do naszych gości. Gwarantuję panom, że wszystkie pozostałe będą potulne jak owieczki. Czy mam rację, moje panie? - zapytał głośno, spoglądając kolejno każdej z nich głęboko w oczy. Żadna nie była w stanie znieść tego zimnego spojrzenia i odwracała wzrok. Cztery z siedemnastu kobiet nie rozumiały wcale, o czym mówił, ale te, które znały niemiecki, kiwały grzecznie głowami, a z ich oczu łzy płynęły strumieniami. Ze strachu nie mogły nawet normalnie myśleć. Oprawca krzyknął w końcu: - No, a teraz przestańcie już ryczeć! Żadna z was już czegoś takiego nie przeżyje, bo będziecie robić to, czego się od was wymaga. Zrozumiano? - Przeszedł wzdłuż rzędu kobiet niczym generał i każdą chwycił pod brodę, przesywając jednocześnie lodowatym wzrokiem. Demonstrując w ten sposób swoją wyższość, po chwili powiedział: - Dobrze, zatem myślę, że wszystko jest już jasne - a odwróciwszy się do mężczyzn, dodał: - Czy możemy kontynuować?

- Tak - odpowiedział Pierre Doux.

- Bardzo dobrze.

- Mam pytanie - powiedział jeden z klientów. - Pilnie potrzebowalbym dostawy bardzo delikatnego mięsa.

Licytator uśmiechnął się tylko znacząco.

- Oczekuję nowej dostawy, ale dopiero w przyszłym tygodniu. Z tego, co wiem, najmłodsza ma pięć, a najstarsza jedenaście albo dwanaście lat. Odpowiada to panu?

- W sumie tak, ale mogłoby być jeszcze świeższe.

- Ile ich pan potrzebuje?

- Trzy, może cztery.

- To oczywiście kosztuje, ale przynosi też niewspółmierne zyski. Może najpierw skończmy dzisiejszą aukcję.

W ciągu niecałych dwóch godzin sprzedano resztę kobiet. Następnego wieczoru każda z nich miała zostać

przekazana swojemu nabywcy. Miejsca, dokąd zostaną wysiane, miały zostać uzgodnione telefonicznie. Nic nie przypominało już o śmierci Sveni. Gdy mężczyźni szli do busa, aby wrócić na dworzec, nawet najmniejszy szczegół nie wskazywał na to, co tu się wydarzyło.

W czasie drogi na dworzec znów nie padło ani jedno słowo. Czy to z powodu strachu? A może scena, której byli świadkami, nie zrobiła na nich wrażenia? Tak czy inaczej, wkrótce każdy z nich miał poświęcić się swoim lukratywnym interesom. Kobiety były dla nich jedynie przedmiotami, służącymi im do spełniania perwersyjnych życzeń. Spośród tego grona takimi kategoriami nie myślał tylko Pierre Doux, jednak żaden z tych mężczyzn nie mógł się o tym dowiedzieć. Przynajmniej na razie.

Wtorek, godz. 1.20

Manfred Weidrich opróżnił w ciągu całego dnia dwie butelki wódki i kilka butelek piwa. Wieczorem zasnął przed włączonym telewizorem, gdy nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Dzwonek powtarzał się wielokrotnie, zanim zdołał obudzić pijanego Weidricha. Po jakimś czasie zdołał wstać z fotela i zaspany otworzył drzwi.

- Pan Weidrich? Manfred Weidrich?

- Tak, do jasnej cholery! - wymamrotał Weidrich i patrzył zaspanymi oczyma na stojących przed nim dwóch mężczyzn. — Komu potrzebna jest taka informacja w środku nocy?

- To akurat nieważne. Mamy do pana kilka pytań. Wejdźmy do środka, bo niechętnie załatwiamy sprawy na zewnątrz. Chodzi o kilka pytań, potem sobie pójdziemy, a pan dalej będzie mógł spać.

- Co? - zapytał Weidrich, który dopiero teraz oprzytomniał i patrzył na mężczyzn, mrużąc oczy. - Jesteście glinami czy jak?

- Do środka, ale to już! - zakomenderował wielki, barczysty mężczyzna i wepchnął Weidricha do mieszkania, podczas gdy drugi zamknął za nimi drzwi.

- Odbiło wam? Po południu już przecież był ktoś od was u mnie i wszystko powiedziałem.

- Całkiem możliwe - odparł jeden z nich. - To nawet dobrze się składa. W takim razie nie mamy więcej pytań. Mamy tylko odpowiedź. Oto ona. - Wyjął z kieszeni pistolet i wystrzelił trzy razy. Weidrich upadł. Jego ciało drgnęło jeszcze kilka razy konwulsyjnie, aż w końcu wyzionął ducha.

Drugi z mężczyzn włożył mu broń do ręki i kilka razy strzelił w ścianę i sufit. Potem ułożył pistolet obok Weidricha. Podeszedł do laptopa, napisał coś i wydrukował. Wydruk pokazał swemu koledze, który uśmiechnął się tylko.

- To by było tyle. Zadzwońmy teraz po naszych kochanych kolegów.

Powiedziawszy to, wybrał numer policji kryminalnej i opowiedział o przebiegu zdarzenia, które w rzeczywistości wyglądało zupełnie inaczej. Poprosił o przysłanie policji, lekarza i odbiór ciała.

Nie minęło pół godziny, a w mieszkaniu Weidricha roiło się od funkcjonariuszy.

- Jak to się stało? - zapytał König z policji kryminalnej.

- Dostaliśmy anonimowy telefon. Podano nam dokładne wskazówki odnoszące się do morderstwa Bruhnsa i jego kochanki. Pojechaliśmy do Weidricha, chcieliśmy z nim w spokoju porozmawiać, ale on nagle wyciągnął pistolet... ten, który leży na podłodze - opowiadał jeden

z mężczyzn, wskazując na berettę kalibru 9 milimetrów. -Musieliśmy się bronić, bo inaczej to my byśmy tu leżeli. Pozostawił list, w którym przyznał się do zabicia Bruhn-sa, i wymienił swoje powody. Znaleźliśmy ten list w jego laptopie.

- A więc sprawa Bruhnsa jest wyjaśniona - powiedział König i przeczytał to, co rzekomo napisał Weidrich. -Hm... Motyw jest oczywisty - zemsta. Żadna inna możliwość nie przyszła mi nawet do głowy. A pił jak szewc - dodał, patrząc na stojące wokół butelki. - Opowiecie o tym wszystkim jutro, podczas zebrania.

- W takim razie pojedziemy już sobie. Może uda się nam jeszcze trochę przespać.

- Jasne, jedźcie. Przejmujemy sprawę. Dobra robota, chłopcy. Do zobaczenia.

Obaj mężczyźni pożegnali się i poszli do samochodu. Sprawa Bruhnsa i Steinbauer została rozwiązana. Istniały liczne dowody, że sprawcą morderstwa był Weidrich. Nikt z policji nie odważył się odtąd zakwestionować tej wersji, ponieważ sprawę od razu przejęła prokuratura.

Wtorek, godz. 8.30

Rano w komisariacie w Kilonii zebrała się policja, aby omówić dotychczasowe wyniki dochodzenia.

Spotkanie, na którym obecni byli wszyscy funkcjonariusze przydzieleni do tej sprawy, rozpoczął Volker Harms.

- To zebranie nie potrwa długo, bo sprawa Bruhnsa i Steinbauer została wyjaśniona.

Słucham? - zapytał Henning z niedowierzaniem. - Jak to możliwe? Czyżby sprawca przyszedł na komendę i sam się przyznał?

- Nie. Gdybyś mi nie przerywał, już znalazłbyś odpowiedź - odpowiedział sucho Harms. - Mogę kontynuować?

Santos i Henning wymienili spojrzenia.

- Dziękuję. Może wypowiedzą się nasi koledzy Muller i Friedmann, którzy sami rozwiązali tę sprawę i znaleźli sprawcę. Proszę bardzo. Zapraszam tutaj.

Głos zabrał Friedmann z Federalnej Policji Kryminalnej:

- W gruncie rzeczy to już zostało opowiedziane. Kolega Muller i ja dowiedzieliśmy się wczoraj przez telefon wielu szczegółów dotyczących śmierci Bruhnsa, które znać mógł tylko sprawca albo ktoś ze środowiska ofiary. Anonimowy rozmówca był więc albo zaufanym przyjacielem ofiary, albo też powiedział nam wszystko pod wpływem alkoholu...

- O, proszę... Kto więc jest tym sprawcą? - zapytał Henning niecierpliwie, co wywołało uśmiech na twarzy Friedmanna.

- Manfred Weidrich...

- Słucham? Santos i ja byliśmy u niego wczoraj. Rozmawialiśmy z nim ponad godzinę i...

- Bardzo możliwe, ale to on jest mordercą. Pojechaliśmy do niego około pierwszej dwadzieścia w nocy. Chcieliśmy mu zadać kilka pytań. Jednak nawet nie zdążyliśmy dobrze wejść do środka, gdy wyjął pistolet i zaczął do nas strzelać. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak się bronić. W tym całym zamieszaniu niestety postrzeliliśmy go śmiertelnie. W jego laptopie znaleźliśmy list, w którym podał powody swojego czynu. List wydrukowaliśmy i znajduje się on w prokuraturze, takie mamy procedury służbowe.

- Coś wam powiedział?

- W zasadzie nic, od razu otworzył ogień. Resztę możecie przeczytać w jego liście.

- Czy napisał tam, jak się dostał do Schönbergu i z powrotem? - zapytała z ironią Santos, bo nie wierzyła w ani jedno słowo, które właśnie usłyszała. Henning myślał dokładnie tak samo, podczas gdy cała reszta grupy dochodzeniowej zdawała się wierzyć w te kłamstwa. Jednak nie miała zamiaru okazywać, jak bardzo wątpi w tę oficjalną wersję.

- Nie. Podał tylko swój motyw, a była nim zemsta. Bruhns zwolnił go rok temu. Na pożegnanie dostał tylko kopniaka w tyłek. Najwyraźniej Weidrich nie mógł się z tym pogodzić i tylko czekał na odpowiedni moment, żeby odplacić mu pięknym za nadobne.

- A pedofilskie skłonności Bruhnsa? Czy Weidrich coś o nich wspomniał? - zainteresował się Henning.

- Tak, jest o tym mowa w liście. Ale to, czy faktycznie Bruhns był pedofilem, nie jest udowodnione i szczerze mówiąc, jakoś nie mogę w to uwierzyć.

- O, ładnie... a ja jakoś nie mogę uwierzyć, że...

- Panie Friedmann - przerwała mu szybko Santos, która obawiała się, że jej partner mógłby powiedzieć kilka słów za dużo. - Jakie wrażenie zrobił na panu Weidrich?

- Żadne. Od razu zaczął strzelać. Dlaczego pani pyta?

- Tak tylko. Czy był pijany?

- Możliwe, ale na pewno pani wie, że notoryczni alkoholicy, nawet przy dużym poziomie alkoholu we krwi, potrafią bardzo logicznie myśleć. Nie wiem, czy był pijany, ale szczerze mówiąc, nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia. Cieszę się tylko, że udało nam się wyjść z tego cało.

- To zrozumiałe. Jaką bronią posługiwał się Weidrich?

- Beretta dziewięćdziesiąt dwa. Taka sama, z której zabito Bruhnsa. Możliwe nawet, że jest to ta sama broń.

Czy tym anonimowym rozmówcą, który do was zadzwonił, był Weidrich?

- Nie wiem. Może w ten właśnie sposób chciał to wszystko zakończyć?

- Skoro tak, to dlaczego do was strzelał? To nie ma najmniejszego sensu.

- A co w tej całej sprawie ma sens? Szczerze mówiąc, jest mi to już obojętne. Najważniejsze, że sprawa została rozwiązana. Uwierzcie mi, wcale nie jestem dumny z tego, że zabiłem Weidricha. To beznadziejne uczucie, ale skoro zabił kogoś z zimną krwią...

- Okej. Z mojej strony to wszystko - zakomunikowała Santos, która postanowiła, że nie wycofa się z tej całej sprawy, gdyż absolutnie nie wierzyła w to, co właśnie usłyszała.

- Ja mam jeszcze jedno pytanie - powiedział Henning. Santos, usłyszawszy to, spojrzała na niego przestraszona. - Jak to się stało, że zadzwoniono akurat do was? Skąd anonimowy informator miał pański numer?

- Chce pan mnie przesłuchać czy co?! - zapytał zirytowany Friedmann, rzucając Henningowi wrogie spojrzenie.

- Nie. Skądże znowu. Zadałem jednak pytanie i jako kierownik grupy dochodzeniowej oczekuję, że udzieli mi pan zadowolającej odpowiedzi.

- Nie mam pojęcia, dlaczego zadzwoniono akurat do nas ani skąd rozmówca miał mój numer...

- Nie ma potrzeby tak od razu się denerwować. Nie mam więcej pytań.

- Cieszę się, panie Henning.

- Miło, że zna pan moje nazwisko, chociaż nigdy wcześniej nie mieliśmy przyjemności się poznać.

- Lubię wiedzieć, z kim współpracuję.

Zebranie trwało jeszcze około dwudziestu minut, po czym grupa dochodzeniowa została rozwiązana i wszyscy się rozeszli.

Santos podeszła do Harmsa.

- Masz chwilkę? - spytała.

- Oczywiście, ale o dziesiątej muszę być u Rüterera, zatem mamy tylko piętnaście minut.

- Jasne.

Oboje udali się do biura Harmsa, który nadal sprawiał wrażenie zdystansowanego i ponurego. Gdy weszli do środka, wskazał na krzesła stojące przed jego biurkiem, a sam zajął miejsce przy biurku.

- Co mogę dla was zrobić? - zapytał Harms, ale brzmiało to raczej, jakby chciał powiedzieć: dajcie mi spokój, nie mogę wam pomóc.

- Chyba sam powinieneś doskonale wiedzieć - odparła Santos i założyła nogę na nogę. - Co się dzieje?

- A co ma się dziać?

- Volker, znamy się tyle lat, ale nigdy nie widziałam, żebyś kiedykolwiek się tak zachowywał. Naciskają cię z góry?

- Liso, nie odpowiem ci na to pytanie, bo niektóre rzeczy są wyłącznie moją sprawą...

- Ach tak? A więc wierzysz w te bzdury, które mówił przed chwilą Friedmann? Spójrz mi w oczy i powiedz, że uwierzyłeś w te brednie.

- Po co mam to robić? Przecież dowody są jednoznaczne.

- W takim razie powiem ci coś. Byłam wczoraj z Sórenem u Weidricha. Rozmawialiśmy ponad godzinę. Facet gadał jak najęty, ale jest coś, czego na pewno nie zrobił. Nie zabił ani Bruhnsa, ani Steinbauer. Nie znam tego Friedmanna i Mullera, ale gdyby sprawa nie była taka ważna, tobym pękła ze śmiechu, słysząc, jakie bzdury wygaduje ten cały Friedmann. Przecież ty też w to nie wierzysz...

- A czemu miałbym w to wątpić? Poza tym kto dał ci prawo podważać wypowiedź kolegi? To oznacza, że wyłamujesz się z grupy.

- Zgadza się. Właśnie to robię. Nie wiem, co tu się dzieje, ale na pewno coś niedobrego. Jedyne problem w tym, że od razu wkroczyła prokuratura i mamy związane ręce. Nie możemy dalej prowadzić dochodzenia. Oczywiście media będą zadowolone i wszystko zaraz wróci do normy. My jednak chcieliśmy cię prosić, żebyś załatwił nam nakaz przeszukania domu Bruhnsa...

- Ale po co?

- Bo jak już ci wczoraj mówiliśmy, zebraliśmy dowody na to, że Bruhns nie tylko był pedofilem, ale też był zamieszany w zabójstwo tej dziewczynki sprzed roku.

- Skąd ten pomysł i od kogo macie te dowody?

- Co prawda mówiliśmy ci wczoraj, ale chętnie powtórzę. Informacje te uzyskaliśmy zarówno od żony Bruhnsa, jak i od nieżyjącego już Weidricha. Spotkali się tylko dwa razy w życiu, ale ich wypowiedzi się zgadzają. Poza tym gosposia Bruhnsa także zeznała, że dziewczynka, którą znaleziono martwą w okolicach dworca, była u Bruhnsa w domu. Na pewno pamiętasz tę sprawę.

- Skąd wzięliście nagle tę dziewczynkę?

- Pani Bruhns wspomniała o niej, ale to teraz bez znaczenia. Nikt tu nie chce obrzucać biotem zmarłego.

- Z tym się zgodzę, ale o nakazie przeszukania domu możecie zapomnieć. Nikt i nigdy go nie dostanie.

- Można się było tego spodziewać. Teraz jesteś zadowolony?

Harms zagryzł wargi, wstał od biurka i odwróciwszy się plecami do Santos i Henninga, wyglądał przez okno. Stał tak dłuższą chwilę z rękoma w kieszeniach, aż w końcu się odwrócił. - Nie. Jeżeli chcecie wiedzieć, to nie jestem

zadowolony. Jesteście moimi najlepszymi ludźmi i przykro mi, że muszę się teraz w stosunku do was zachowywać jak ostatni skurwiel. Coraz częściej mam dość tej przeklętej pracy. Czasem mam ochotę rzucić to wszystko i uciec, ale się nie da...

- Dlaczego chciałbyś to rzucić?

- Liso, pracuję na tym stanowisku od blisko ośmiu lat i coraz częściej dochodzę do wniosku, że jesteśmy tylko niewolnikami kilku panów, którzy o nas decydują. Czuję się bezsilny i wierzcie mi, to jest tak denerwujące, że najchętniej bym zniszczył wszystko dookoła. Oczywiście nie chodzi o was, bo wiem, czego mogę od was oczekiwać. Ale gdy prokurator przychodzi i mówi mi, że moi ludzie mogą dojść w swym dochodzeniu tylko do pewnego momentu i ani kroku dalej, to...

- Rüter tak ci powiedział?

- Między innymi. Nazwiska nie są ważne, chodzi o hierarchię, w której znajdujemy się na samym dole. Nam polecenia wydaje oczywiście Rüter. Przedwczoraj wyznaczył termin, wczoraj był tu u mnie i dał mi do zrozumienia, że nie jest zadowolony z naszych działań. Rzecz jasna nie powiedział mi tego wprost, ale zrozumiałem aluzję. Jak dotąd nikt nigdy nie zgłosił mi, że jest niezadowolony z wyników naszej pracy. Dziewięćdziesiąt pięć procent wszystkich naszych spraw kończy się sukcesem. W porównaniu z innymi wydziałami jesteśmy na samej górze. To jednak nie interesuje Rüter. I tyle.

- Nie, Volker, właśnie nie i tyle. Weidrich nie zabił Bruhnsa ani Steinbauer. Friedmann i Müller nie dostali sygnału od anonimowego informatora. Moim zdaniem pojechali do Weidricha w środku nocy tylko po to, żeby go zabić. Nie wiem, co próbują zatuszować, ale Weidrich był idealnym kozłem ofiarnym. Teraz ogłoszą go mordercą Bruhnsa, bo był sfrustrowanym pijakiem, którego

przed rokiem Bruhns wyrzucił z pracy. Od tamtego czasu Weidrich poświęcił się picciu i obmyślaniu zemsty. Takie informacje znajdziemy zapewne jutro w mediach. Wszyscy będą teraz grzebać w życiu Bruhnsa i gdy tylko coś się znajdzie, hieny z prasy rzucą się na te kąski, a przeciętny człowiek w to uwierzy. Tak to się przecież zawsze odbywa. Ja jednak jestem pewna, że Weidrich nie jest sprawcą, ale kogoś muszą przecież za to skazać...

- Liso, rozumiem cię, ale na twoim miejscu bardzo bym teraz uważał. Mamy związane ręce. Bądźcie ostrożni i nikomu, ale to nikomu nie mówcie, co o tym myślicie. Dotarło do mnie niedawno, że musimy bardzo uważać, siedzimy w jednym worku z wężem i musimy działać tak, żeby nas nie ukąsił. Co chcecie teraz robić?

- Nic, przecież mamy związane ręce - odparł Henning, kręcąc głową.

- Nie rozumiem, dlaczego obarczają winą człowieka, który wcale nie jest sprawcą i nawet nie ma żadnego związku z morderstwem? - zapytał Harms.

- Najprawdopodobniej dlatego, że za tą sprawą kryje się dużo więcej niż zwykła zemsta. Bruhns nieustannie zdradzał swoją żonę, ale to nie miałyby takiego znaczenia, gdyby nie fakt, że wykorzystywał seksualnie dzieci. Do tego dochodzi Steinbauer, która w wieku osiemnastu lat jest cholernie zamożna. Tylko jeszcze nie znaleźliśmy powiązania między Bruhnsem, Steinbauer i jakimiś podejrzanymi interesami - tłumaczyła mu Santos.

- Jakiego powiązania? - dopytywał się Harms.

- Jesteśmy zdania, że Steinbauer nie była niewinną przypadkową ofiarą. Skoro osiemnastolatka mieszka w luksusowym apartamencie i na koncie ma prawie milion euro, jest to bardzo podejrzane. Zwłaszcza że to sierota, która ponad piętnaście lat spędziła w domu dziecka. Gdyby trudniła się prostytutką, to w tak krótkim

czasie nie zdołałaby tyle zarobić, i to nawet wtedy, gdyby była superluksusową dziwką i miała bardzo bogatych klientów. Niestety, nie możemy znaleźć w tym wszystkim punktu wyjścia, w takiej samej sytuacji jest policja w Dusseldorfie. A wracając do Friedmanna i Mullera, to nigdy ich wcześniej nie widziałam. Ciekawe, w jakim wydziale pracują.

- Niestety, nie wiem. Riiter ich do nas przydzielił. Możliwe, że są z Federalnej Policji Kryminalnej.

- Może zapytaj o to Riitera?

- Ani mi się śni. Najchętniej schodziłbym mu z drogi. Niestety, muszę się z nim spotkać za kilka minut. A wy trzymajcie język za zębami.

- Niezwykła historia... anonimowy telefon; list, w którym sprawca przyznaje się do winy; strzelanina... Wszystko pasuje.

- Powtarzasz się, Liso - przerwał jej Harms. — Co teraz zamierzacie?

- A co mamy robić? Skoro sprawa Bruhnsa jest już rozwiązana...

- odparła Santos, patrząc prowokująco na Harmsa.

- Róbcie, co chcecie. Ja o niczym nie wiem. Jeżeli o mnie chodzi, to zajęłście się jakąś starą sprawą nieznaną dziewczynki znalezionej przy dworcu. Tak będzie najlepiej - zawyrokował Harms.

- Mówisz poważnie?

- Słuchajcie uważnie, mnie, w odróżnieniu od was, brakuje tylko kilku lat do emerytury. Jeżeli zachowacie wszelkie środki ostrożności, to nie stanie się nic złego ani wam, ani mnie. Mam nadzieję, że wykorzystacie swoje doświadczenie z poprzednich spraw.

- A to podejrzane DNA? - zapytał Henning.

- Dowiedzcie się wszystkiego. Boję się tylko, że ściągniecie na siebie kłopoty.

- Będziemy bardzo ostrożni. Obiecujemy - odparła Santos. - Musimy się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Przede wszystkim jaką rolę odgrywa Steinbauer.

- Macie wolną rękę i na tym kończymy naszą rozmowę. Muszę już iść na spotkanie.

- Już nas nie ma - stwierdziła Santos i razem z Henningiem wstali z krzeseł. - Powodzenia u Riitera.

- Daruj sobie te złośliwości - powiedział Harms.

- To nie było złośliwe. Do zobaczenia.

Wtorek, godz. 10.00

W biurze Santos wpadła na pomysł, aby zadzwonić do znajomego głównego komisarza Klozego, który pracował dla Federalnej Policji Kryminalnej. Lisa i Henning mieli z nim dobry kontakt od czasów jednej poważnej sprawy, nad którą razem pracowali około dwóch lat temu.

- Witam, tu Lisa. Znalazłbyś dla nas kilka minut?

- Jasne, a o co chodzi?

- Nie przez telefon. Moglibyśmy do ciebie wpaść?

- Oczywiście, będę u siebie przez cały dzień. To kiedy chcecie przyjść?

- Za dziesięć minut?

- Do zobaczenia.

- Po co do niego dzwoniłaś? - zapytał zdziwiony Henning, gdy Lisa się rozłączyła.

- Może udzieli nam jakichś informacji o Friedmannie i Mullerze, ale nie chciałam go pytać przez telefon, skąd oni się wzięli.

- Ty to masz pomysły!

- Chcę wykorzystać wszystkie możliwości. Wstawaj, niewykluczone, że będziemy dziś bardzo zajęci.

- Mówisz bardzo zagadkowo - rzekł Henning, gdy szli do Klozego.

- To dla ciebie jakaś nowość? - Lisa zaśmiała się. Pięć minut później dotarli na miejsce.

- Miło was znów widzieć. Co was sprowadza? - Kloze wskazał krzesła, po czym wszyscy usiedli.

- Mamy kilka pytań i wierzymy, że znasz na nie odpowiedzi - powiedziała Santos.

- Zamieniam się w słuch.

- To delikatna sprawa. Daj słowo, że nikomu nie powiesz o naszej rozmowie.

- Wow. Tajemnica. Macie moje słowo.

- To dla nas ważne. Na pewno słyszałeś o sprawie Bruhnsa...

- Pytanie! Jasne, te informacje rozprzestrzeniały się tu z prędkością błyskawicy. Te wszystkie spekulacje i hipotezy... o mój Boże... i te najdziwniejsze teorie spiskowe. Ale przepraszam, przerwałem ci.

- Wczoraj zorganizowaliśmy grupę dochodzeniową. Henning był jej kierownikiem...

- Chwileczkę, jak to był?

- Nie dotarli jeszcze do ciebie nowe wieści? - zapytała zdziwiona Santos.

- Jakie wieści? - Kloze odwrócił głowę w jej kierunku.

- Rzekomy zabójca Bruhnsa i Steinbauer został wczoraj w nocy zastrzelony.

- Pierwsze słyszę!

- Sprawcą był był dźwiękowiec Bruhnsa, który został wyrzucony z pracy rok temu. Ciężki przypadek alkoholika, byliśmy wczoraj u niego. W tym stanie, w jakim się znajdował, z pewnością nie mógłby tego zrobić...

- Wszystko jasne. A czego chcecie ode mnie?

- Ta sprawa śmierdzi z daleka. Weidrich, bo tak się nazywał ten dźwiękowiec, nie jest sprawcą. Wczoraj przesłu-

chiwaliśmy go u niego w domu. Mógł to być każdy, tylko nie on... A teraz on nie żyje, a sprawa jest zamknięta. Kloś odchylił się na oparcie krzesła.

- To żadna nowość. Nieraz już tak było. Ale nadal nie wiem, jak mam wam pomóc.

- Czy nazwiska Friedmann i Müller coś ci mówią? Kloś kiwnął głową.

- Pracują tu. Wydział narkotykowy.

- Znasz ich osobiście?

Kloś odetchnął głęboko i zaśmiał się cicho.

- Niestety, tak. To niesamowicie twarde psy, którym podobno często mówi się, żeby naginali prawo, ale jak dotąd nikt im nigdy niczego nie udowodnił. Nie, przepraszam, źle się wyraziłem. Jak dotąd nikt nie chciał im niczego udowodnić. Gdyby było inaczej, to oczywiście już dawno by ich tu nie było. Oni zajmują się tylko poważnymi podejrzanymi sprawami, ale to tak między nami. Gdyby ktoś o tym usłyszał, miałbym nieprzyjemności.

- Jasne. Podobno wczoraj wieczorem, po anonimowym telefonie, pojechali do Weidricha, który zaczął do nich strzelać z pistoletu, na co odpowiedzieli tym samym, w wyniku czego zginął. Rzekomo zostawił list, w którym przyznał się, że zabił Bruhnsa i Steinbauer.

- To już znam. Zwykle tak właśnie się to załatwia, gdy trzeba sprawie ukreć łeb bądź też coś ukryć. To, co mówicie, jest niezłym szwindlem i pasowałoby do sposobu działania Friedmanna i Müllera. Cieszę się, że nie miałem z nimi jak dotąd nic wspólnego. Inaczej tego nie ujmę.

- Uważamy, że Weidrich był tylko kozłem ofiarnym, a za tą całą sprawą kryje się dużo więcej.

- Powiedźcie mi coś nowego - poprosił Kloś, który zdążył się już znudzić .

- Kurczę! To ty wiesz o tym wszystkim? Nie ma nic więcej. Właściwie to chodziło nam o Friedmanna

i Mullera, bo uważamy, że Weidrich został po prostu zamordowany.

- Możliwe, ale na waszym miejscu nie mówiłbym o tym głośno. Jeżeli faktycznie tak było, to działali na czyjeś polecenie. To z kolei oznacza, że tych dwóch jest bardzo groźnych, bo są kryci przez kogoś z góry. Dlatego najbezpieczniej dla was byłoby zachować tę informację dla siebie.

- Od kogo mogli dostać takie zlecenie? Kloze pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Z prokuratury, od sędziego, możliwe nawet, że był to ktoś spoza wymiaru sprawiedliwości. Niestety, nie znam odpowiedzi.

- Ktoś spoza? Kogo masz na myśli?

- Jeszcze nie rozumiecie? Ktoś z polityki, gospodarki, sądownictwa. Oni wszyscy są powiązani, a my jesteśmy tylko marionetkami. Ale nie każcie mi tego lepiej wyjaśniać. Może innym razem, okej?

- Dlaczego?

- Mam parę rzeczy do załatwienia. Przykro mi.

- I tak nam już bardzo pomogłeś. Dziękujemy. Idziemy już, nie będziemy ci dłużej przeszkadzać.

- Dokąd to wszystko zmierza, co? Jeszcze raz powiem, nie próbujcie dotrzeć do prawdy, bo to droga nie tylko kręta, ale i bardzo niebezpieczna. Poza tym kto wam na końcu tej drogi powie, że już do tej prawdy dotarliście? Posłuchajcie rady kogoś, kto siedzi w tym gównie po same uszy. Ja już od dawna nawet nie wierzę w prawdę, bo za nic nie mogę jej odróżnić od kłamstwa. Zanim zrobię coś niebezpiecznego, zawsze siadam i obserwuję, co się wydarzy. Czegokolwiek się podejmiecie, pamiętajcie o jednym, jesteśmy tylko zwykłymi glinami i można nas zawsze zastąpić kimś innym. Gdy zdarza się, że prokurator przekracza ten próg i daje mi jakieś polecenia, to zmuszony jestem na

wszystko się zgodzić. I wiecie co? Tak robię. Oczywiście ta rozmowa zostanie między nami. Możecie mi zaufać, bo gdy tylko wyjdziecie, zapomnę o wszystkim.

- Po co w ogóle pracujemy w policji, skoro i tak nie możemy nawet prowadzić dochodzenia? Sprawa Bruhnsa i Steinbauer to przecież normalne morderstwo, którym moglibyśmy się zająć i...

- To z pewnością nie było normalne morderstwo. Bruhns nie był przeciętnym obywatelem. Gdyby tak było, to po kilku dniach czy tygodniach złapalibyście mordercę. Ale Bruhns to zupełnie inna liga - powiedział Kloose, unosząc brwi.

- Co o nim wiesz?

- W zasadzie to niewiele, ale krążą plotki, że prowadzi! jakieś lewe interesy.

- Lewe interesy? O co chodzi?

- O tym ani słowa, ale szukajcie, a znajdziecie - tak stoi w Biblii. A więc szukajcie, ale uważajcie, żebyście nie podnieśli kamienia, pod którym kryje się żmija. Chętnie bym wam pomógł, ale nie mogę. Za duże ryzyko jak dla mnie. Cokolwiek teraz zrobicie, jest waszą sprawą i myślcie sobie, co chcecie. Możecie mówić, że stchórzyłem, bo pewnie tak jest, ale ja naprawdę lubię swoją pracę, mimo tego całego brudu, z którym się codziennie spotykam, a może właśnie z jego powodu.

- Jasne. A mógłbyś nam chociaż wskazać kogoś, kto powiedziałby nam więcej o tych nielegalnych interesach Bruhnsa?

- Nie, i nie zadawajcie więcej pytań. Trzymajcie się i uważajcie na siebie.

- Dzięki.

- Nie ma za co. Wybaczcie, ale muszę teraz zadzwonić.

Gdy wyszli na zewnątrz, Henning powiedział do Santos:

- Teraz jeszcze jedna osoba wie na pewno, że dalej się tym zajmujemy...

- No i? Masz jakiś problem? Jeżeli chodzi o Klozego, to możemy mu zaufać. Nikomu nie powie. Jednak widzę, że tu wszyscy są zastraszeni. Będziemy walić głową w mur i niczego się nie dowiemy, bo oni wszyscy w tym tkwią. Jürgens i Tönnies, który, nawiasem mówiąc, pewnie przedstawi nam dziś kolejną historię i włos się nam na głowie zjeży. Volker i Kloze też mają pełne gacie i żaden z nich nawet nie otworzy ust. Zaczynam wierzyć, że faktycznie zawiązano jakiś spisek.

- Mów, co myślisz, ale skróć to raczej do minimum. Jeżeli naprawdę, a tak właśnie to w tej chwili wygląda, interesy Bruhnsa wiązały się jakoś z dziećmi i może nawet był członkiem jakiejś organizacji przestępczej, to nadal grzebiemy się w czymś, w czym nie powinniśmy...

Santos zaśmiała się głośno.

- Tak, tak. Morderstwo Bruhnsa jest już wyjaśnione i nic nas już więcej nie obchodzi. Proszę cię, Sóren, oszczędź mi takiej gadki. Nieraz już to słyszałam...

- Kiedy mówiłem coś takiego?

- Nie ty, ale jak jeszcze ty zaczniesz mi to powtarzać, to...

- Dobrze. Rozumiem, ale to naprawdę nie jest nasza sprawa...

- Ale morderstwo! Bruhns i Steinbauer zostali zamordowani, i o ile wiem, wyjaśnienie tego leży w zakresie naszych obowiązków. Gwiżdżę na to, czy Bruhns miał jakieś powiązania ze światem przestępczym. My jesteśmy odpowiedzialni za dochodzenie dotyczące morderstwa...

- Dochodzenie zakończono. Sprawa jest zamknięta -przerwał jej Henning.

- Chcesz się ze mną pokłócić? O to ci chodzi? Dochodzenie zakończono, bo ktoś tego właśnie zażądał.

W środku nocy wysłano do Weidricha dwóch zdolnych do wszystkiego gliniarzy. Weidrich spał pewnie pijany, gdy weszli i go zastrzelili... Chwileczkę, co powiedział Friedmann? Że Weidrich pierwszy otworzył ogień, a oni musieli się bronić. Podobno Weidrich miał taki sam pistolet, jakiego użyto do zamordowania Bruhnsa...

- Tak, ale...

- Daj mi z łaski swojej dokończyć - powiedziała Santos, wsiadając do samochodu. - Pewnie zabili Weidricha, a potem włożyli mu pistolet w dłoń i strzelili kilka razy, żeby pozostawić mu na rękę ślady prochu. Najprawdopodobniej nigdy nie zobaczymy wyników badań balistycznych potwierdzających, że z tej samej broni zabito zarówno Bruhnsa, jak i Weidricha. Chyba że pokażą nam sfałszowane. Czuję, że tak to właśnie wszystko się odbyło. Weidrich był po prostu idealnym kozłem ofiarnym. Nadal jednak pozostaje pytanie, co naprawdę starają się ukryć. Friedmann i Muller zostali specjalnie przysłani do nas i to oni odnaleźli zabójcę Bruhnsa. To miało nam zamknąć usta.

- Liso, czy ty dalej tego nie rozumiesz? To już koniec. Nie ma żadnego dochodzenia...

Santos spojrzała groźnie na Henninga.

- Jak chcesz, to się wycofaj - syknęła. - Ja będę robić swoje. Mam tego wszystkiego dość. Jak mnie wyrzucą, to przeprowadzę się do Szlezwiku i będę pracować w restauracji rodziców. Obejrzyj nagłówki gazet, wszędzie tylko Bruhns i Bruhns. Mało mu aureoli nie dorobią. Mówię ci, że mam tego dość! Weidrich prędzej czy później i tak by się zapił na śmierć, ale to co innego. Zabili go z zimną krwią tylko dlatego, że pasował im na sprawcę. Jego zabójcy to jedni z nas i to mnie irytuje! Nie, nie irytuje, jestem wściekła! Ale widzę, że tobie jest to zupełnie obojętne.

- Bzdura! Powiedz mi lepiej, co chcesz dalej robić.

- Gdybym tylko wiedziała... - wyszeptała i zacisnęła pięści. — Na pewno wpadnę w końcu na jakiś pomysł. Jedno jest pewne: Friedmann i Muller nie mogą się z tego wyłgać. Jestem taka zła, że mogłabym teraz zrobić wszystko.

- Uspokój się. Złością niczego nie załatwisz. Musimy podejść do tego rzeczowo i z dystansem. Tylko wtedy do czegoś dojdziemy.

- To dziś pierwsza mądra rzecz, jaką powiedziałeś. Sorry, nie to miałam na myśli.

- Koniec tematu.

- Pojedźmy jeszcze raz do pani Bruhns...

- Myślałem, że może byśmy zajrzeli na chwilę do Instytutu Medycyny Sądowej.

- Przecież Klaus wczoraj oznajmił jasno i wyraźnie, że nie może nam pomóc. Czego jeszcze się spodziewasz? Ja na razie nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

- Liso, zachowujesz się w tej chwili jak małe dziecko. Chciałbym tylko sprawdzić, czy Weidrich leży już u niego na stole, czy też...

- Jeżeli Weidrich leży na stole, to na pewno prokurator będzie obecny przy sekcji i nie zadamy ani jednego pytania. Zajedziemy tam dziś wieczorem albo jutro rano, dobrze?

Henning zastanowił się i kiwnął głową.

- Okej, ale czego chcesz jeszcze od pani Bruhns?

- Sama nie wiem. Ona jest jedyną sympatyczną osobą, z jaką mieliśmy do czynienia w tej całej sprawie. Brzmi trochę głupio, co?

- No to jedźmy do niej.

- Wiesz, Sören, jeżeli teraz nie wpadniemy na nic konkretnego, to będę się chyba czuła winna. Trudno mi to wyjaśnić, ale to ma jakiś związek z moim poczuciem

sprawiedliwości. Tak już chyba zostałam wychowana. Zamordowanie Bruhnsa to nie jest prosta sprawa, a Weidrich z pewnością nie był mordercą. Jednocześnie myślę, że nieprzypadkowo Steinbauer miała taki majątek. Jestem tylko ciekawa, jak na wieść o śmierci Weidricha zareaguje pani Bruhns.

Wtorek, godz. 11.35

Przed domem Bruhnsa nadal kręciło się wielu reporterów. Henning przeciskał się między nimi, aż stanął przed bramą. Wylegitymował się stojącym tam policjantom i zadzwonił. Po chwili brama, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki, otworzyła się, by potem znów się zamknąć, gdy tylko Henning i Santos ją minęli. Idąc drogą prowadzącą do domu, Henning usłyszał swoją komórkę, jednak na wyświetlaczu nie było numeru.

- Henning, słucham?

- Panie Henning, gdzie pan teraz jest?

- A kto pyta?

- Czy moglibyśmy się spotkać? Mam dla pana kilka bardzo interesujących informacji. Może pan zabrać swoją partnerkę. Nie, nawet musi ją pan zabrać.

- Tylko pod warunkiem że dowiem się, z kim rozmawiam.

- Może mi pan zaufać. Ja przynajmniej mam nadzieję, że mogę zaufać panu. Proszę przyjechać do Mönkebergu na ulicę Seeblick. Stoi tam jasnożółty dom, z niebieskim dachem, na pewno państwo trafią. Gdy będzie pan dzwonił, niech pan popatrzy przed siebie, żebym pana rozpoznał. Kiedy mogę się państwa spodziewać?

- Skąd pan ma mój numer?

- Od przyjaciela, który chciałby oddać wam przysługę. Więc kiedy będziecie?

- Najwcześniej za godzinę, powiedzmy za piętnaście dwunasta?

- Dobrze, tylko proszę się nie spóźnić, bo jeszcze mam w planie popołudniową drzemkę. I nikomu ani słowa, z wyjątkiem pani Santos, oczywiście.

Rozmówca się rozłączył. Zanim zadzwonili do drzwi pani Bruhns, Henning zdążył tylko powiedzieć:

- Za godzinę mamy być w Mönkebergu.

- U kogo?

- Gdybym to ja wiedział? Ktoś ma podobno dla nas kilka ciekawych informacji. Zgodziłem się na spotkanie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. A skąd miał twój numer?

- Podobno od jakiegoś dobrego przyjaciela, który chce nam oddać przysługę.

- Robi się coraz bardziej tajemniczo.

- Wchodzą państwo? - zapytała Victoria Bruhns, stojąc w ciemnym przedsionku.

- Tak, oczywiście.

Victoria przywitała się z nimi i zaprosiła ich do pokoju, gdzie na podłodze bawiła się mała Pauline. Jej matka wydawała się dziś bardzo zmęczona i widać było, że niedawno płakała.

- Czy coś się stało? - zapytała zatroskana Santos.

- W sumie to nic.

- A tak naprawdę?

- Nie chciałabym o tym mówić.

- Pani Bruhns, może nam pani wszystko powiedzieć. To zostanie między nami. - Santos domyślała się, o co chodzi. Dobrze pamiętała nieprzyjemną rozmowę z gosposią. Wiedząc, że Victoria miała zamiar ją zwolnić, zapytała po chwili: — Czy to ma jakiś związek z panią Hundt?

Victoria Bruhns kiwnęła tylko głową i z trudem powstrzymywała łzy. Wskazała im miejsce, gdzie mogli usiąść, a sama, wytarłszy sobie oczy, powiedziała:

- Oznajmiłam jej wczoraj, że od tej pory jej obecność tu nie jest już konieczna. Na to ona odpowiedziała mi tylko, że nie da się tak łatwo stąd usunąć i że jeżeli naprawdę ją zwolnię, to ona ujawni publicznie różne szczegóły z naszego życia, co nie będzie dla mnie dobre. Nie wiem, co miała na myśli.

- Jak pani zareagowała na taki szantaż? Bo przecież inaczej nie można tego nazwać.

- Dałam jej jasno do zrozumienia, że najpóźniej do dzisiejszego wieczoru ma opuścić dom. Znajomy agent nieruchomości pomógł mi nawet załatwić dla niej mieszkanie w centrum. Zażądała mnóstwa pieniędzy, ale nie dam się naciągnąć. Dostanie tylko odszkodowanie, które zwykle się płaci, jeżeli pracodawca nie jest w stanie zagwarantować płatnego okresu wypowiedzenia. Ale z niej żmija! Nawet się nie spodziewałam.

- Czy ona nadal tu jest?

- Tak. Na górze.

- Czy miałaby pani coś przeciwko temu, gdybym z nią porozmawiała?

- Myśli pani, że to dobry pomysł?

- Wyjaśnię jej, jakie poniesie konsekwencje, jeżeli udzieli mediom jakichkolwiek informacji, które mogłyby pani zaszkodzić. Tylko tyle.

- Ona nie cierpiała mnie od samego początku, gdy tylko przekroczyłam próg tego domu, i nadal mnie nienawidzi.

- Proszę mi tylko wskazać, gdzie ją znajdę.

- Piętro wyżej. Dokładnie nad nami.

Santos wstała i poszła na górę. Pani Hundt szukała czegoś w szafie w sypialni, gdy weszła tam Santos.

- Dzień dobry - przywitała gosposię. Zaskoczona pani Hundt cofnęła się i poczerwieniała.

- Słucham - odpowiedziała i szybko zamknęła szafę.

- Szuka pani czegoś?

- Nie, czemu?

- Tak mi się wydawało. Powiem wprost. Rozmawiałam z panią Bruhns, która opowiedziała mi o waszej wczorajszej rozmowie. Dlaczego pani jej grozi?

- Ona tak uważa? - odpowiedziała ze złością pani Hundt. - Kłamie!

- Czyżby? Więc nie ma pani żadnych ciekawych informacji dla prasy?

- A gdyby nawet?

- Gdyby nawet takie pani miała, to my pierwsi mamy prawo je usłyszeć, bo mogą okazać się znaczące dla dalszego śledztwa. W tej właśnie chwili ma pani jedyną okazję mi je ujawnić - powiedziała Santos z chłodnym uśmiechem.

- Jakie ja miałabym mieć informacje? Tak tylko powiedziałam.

- A więc jednak przyznaje się pani, że groziła pani Bruhns. Powiem zatem tylko jedno i proszę to sobie zapamiętać raz na zawsze: jeżeli ma pani jakiegokolwiek informacje, które są ważne dla śledztwa, ale teraz je pani przemilczy, żeby podzielić się nimi z prasą, to mogę już teraz przysiąc, że nie zazna pani ani chwili spokoju. Nie znajdzie pani pracy, bo wieści szybko się roznoszą, a poczta pantoflowa działa w naszym kraju wyśmienicie. Niech mi pani uwierzy, że w razie konieczności bez problemu można szepnąć słówko komu trzeba. W związku z tym ma pani teraz dwie możliwości: albo przyjmie pani bardzo atrakcyjną ofertę pani Bruhns i opuści jej dom do wieczora, albo też będzie pani niedługo wiodła marny żywot. Nadal ma pani wybór. Chciałabym tylko dodać, że pani Bruhns

ma prawo siłą panią stąd wyrzucić. Wystarczy jej jeden telefon do nas. Ale jestem pewna, że takiego wstydu wolałaby pani uniknąć, w końcu przed domem stoi mnóstwo ludzi. Mam rację?

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. Proszę, to moja wizytówka, gdyby jednak chciała mi pani coś powiedzieć, czy to na temat zawodowych, czy też osobistych spraw państwa Bruhns. Do tego zaliczają się również informacje dotyczące wykorzystywania nieletnich. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

- Tak - burknęła.

- Czego właściwie szukała pani w tej szafie? Przecież to nie jest pani pokój.

- Myślałam tylko, że coś tu przełożyłam.

- Dobrze. Widzę, że nie znalazła pani tego, czego szukała, więc nie ma potrzeby, żeby została tu pani dłużej. Poza tym nie zostało pani dużo czasu na spakowanie się.

Pani Hundt bez słowa opuściła pokój i zeszła po schodach.

Mam nadzieję, że teraz zrozumiała, pomyślała Santos i też poszła na dół, do Henninga i pani Bruhns.

- Odejdzie i zostawi panią w spokoju. Gdyby jednak stwarzała jakieś problemy, proszę do nas zadzwonić. Chociaż myślę, że wyraziłam się jasno. Wyjaśniłam jej, jakie poniesie konsekwencje, gdyby wyjawiała prasie informacje na temat państwa spraw osobistych. Radziłabym tylko pozamykać drzwi na klucz, bo odniosłam wrażenie, że przeszukuje państwa rzeczy.

- Nawet nie wiem, jak pani dziękować. Ta kobieta doprowadza mnie do szału. Odkąd się tu wprowadziłam, zawsze traktowała mnie jak małą dziewczynkę albo jak jedną z dziwek mojego męża. Nigdy nie widziałam, żeby się choć raz zaśmiała albo tylko uśmiechnęła. Mam jednak

nadzieję, że ten koszmar niedługo się skończy. Zaraz po pogrzebie męża wyjadę. Tylko nie wiem jeszcze dokąd...

Henning spojrzął na zegarek i kiwnął porozumiewawczo do Santos.

- Pani Bruhns, musimy już iść, mamy umówione spotkanie w Mönkebergu. Gdyby coś się działo, wie pani, jak się z nami skontaktować. Życzymy miłego dnia.

- Państwu również tego życzę i jeszcze raz za wszystko dziękuję.

- Nie ma nam pani za co dziękować. Wykonujemy tylko swoje obowiązki.

Victoria Bruhns odprowadziła ich do drzwi.

- Czy to nie dziś miało się odbyć przeszukanie mojego domu? - zapytała, gdy już prawie wychodzili.

- Całkiem zapomnieliśmy. To między innymi z tego powodu do pani przyjechaliśmy. Na razie nie będzie żadnego przeszukania. Gdyby takowe miało się odbyć, oczywiście wcześniej zostanie pani poinformowana. Poza tym chcieliśmy pani przekazać, że otrzymaliśmy informację, jakoby pan Weidrich w wyniku wymiany strzałów został śmiertelnie trafiony. Rzekomo to on zabił pani męża.

- Weidrich? Naprawdę? Jakoś trudno mi w to uwierzyć, ale cóż... Niespodzianki się zdarzają. Wszystkiego dobrego.

- Jeszcze tylko jedno pytanie. Nie wie pani, czy mąż sporządził testament i czy jest w nim pani uwzględniona?

- Prawnik męża poinformował mnie dziś, że nie ma żadnego testamentu, jedynie notarialnie potwierdzony dokument, o którym państwu wspominałam. Prawdopodobnie przypadnie mi ponad trzydzieści procent majątku męża, ale mam to jeszcze wszystko dziś omówić z prawnikiem.

- Życzymy zatem dużo szczęścia na przyszłość, chociaż pewnie się jeszcze spotkamy.

Victoria Bruhns zamknęła za nimi drzwi i odwróciwszy się, stanęła twarzą w twarz z gospożą.

- Zaraz się mnie pani pozbędzie i proszę się nie obawiać, nie powiem ani słowa ani o małych, ani o dużych świństwach, jakie miały tu miejsce, pani Bruhns!

- Czego właściwie pani ode mnie chce? Czy kiedykolwiek coś pani zrobiłam? Jeżeli tak, to proszę powiedzieć.

- Pani nic nie rozumie. Jest pani za młoda. Pamięta pani, jak ją ostrzegałam, zanim pani wyszła za niego za mąż? Była pani podpita, ale ostrzegałam panią, bo za często widziałam, jak kobiety wybiegały stąd z płaczem.

- Nigdy mi pani nic nie mówiła. Od pierwszej sekundy, gdy tylko tu weszłam, nienawidzi mnie pani. Myślę, że pani sama nawet nie wie, o czym pani mówi.

- Chyba jestem tu jedyną osobą, która wie, co mówi. A teraz przepraszam bardzo, ale śpieszę się. Pójdę się spakować.

Victoria Bruhns wróciła do pokoju, gdzie mała Pauline leżała na plecach i bawiła się misiem. Matka podeszła do niej i pogłaskała ją delikatnie po włosach.

- Uciekniemy stąd. Wyjedziemy z tego piekła jak najdalej. Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiesz, jaki był twój ojciec.

Wtorek, godz. 12.45

- To jest ten żółty dom z niebieskim dachem - powiedział Henning, parkując przed budynkiem. Na ulicy nie widać było nikogo, stało też bardzo mało samochodów. Dom, przed którym się znajdowali, otoczony był niewysokim płotem, co z pewnością nie stanowiło ochrony przed włamaniem. Dopiero przyjrząwszy się dokładnie, Henning

zauważył liczne kamery i czujniki ruchu, które uniemożliwiały niepostrzeżone zbliżenie się do domu.

Na bramie znajdowała się tabliczka z nazwiskiem Albertz. Brama otworzyła się, zanim jeszcze Henning nacisnął przycisk. Prawie dwadzieścia metrów dalej, przy drzwiach wejściowych, stał średniego wzrostu siwowłosa, szczupły mężczyzna, około sześćdziesiątki. Przyglądał się im uważnie swymi jasnoszarymi oczyma.

- Jesteście państwo bardzo punktualni, to miło. Zapraszam do środka.

Santos i Henning weszli do biblioteczki, w której na przeciwległych ścianach ustawione były regały z mnóstwem książek. Duże okno, przy którym stał stół i cztery obite skórą i ozdobione nitami zielone krzesła, zapewniało niesamowity widok na ogród. Na stole leżała popielniczka, paczka papierosów i zapalniczka.

- Proszę usiąść - powiedział Albertz i usiadł na krześle przy oknie. Wyjął papierosa i chciał ich poczęstować, jednak oboje odmówili. Zapalił więc sam. Długo trzymał dym w płucach, po czym wypuszczał go, kierując głowę w bok, by nie dmuchać na swoich gości.

- Panie Albertz, dlaczego chciał się pan z nami spotkać? - zapytał Henning.

- Proszę dać mi jeszcze kilka sekund, muszę poukładać sobie myśli... Zaraz wytłumaczę. A więc, jak już wspomniałem wcześniej, pewna sprzyjająca wam osoba poprosiła mnie, abym się z wami skontaktował. Proszę mnie nie pytać o nazwisko, bo i tak go nie ujawnię, ale to w tej chwili bez znaczenia. Państwo prowadzą bądź też prowadzili dochodzenie w sprawie Bruhnsa, zgadza się?

- Tak, ale o tym musiał pan już chyba wiedzieć, bo w przeciwnym razie by nas tutaj nie było - powiedział Henning z odrobiną sarkazmu. Ta cała sytuacja wydała mu się podejrzana.

- To prawda. Powiedziano mi, że można państwu zaufać, ale chciałem usłyszeć to również z pańskich ust.

- Oczywiście, dam panu moje słowo, że to, o czym będziemy tu rozmawiać, pozostanie między nami. Mogę również potwierdzić to na piśmie, jeśli to konieczne - odparł Henning.

- Nie trzeba, dziękuję. Na początek powiem kilka słów o sobie. Nazywam się Karl Albertz i mam pięćdziesiąt osiem lat. Według wszelkich prognoz nie dożyję następnej zimy, gdyż wykryto u mnie raka w zaawansowanym stadium. Ale na razie żyję i mogę palić papierosy, bo to jedyna przyjemność, jaka mi pozostała. Od ponad trzydziestu lat pracuję dla służby bezpieczeństwa, co prawda w ostatnich miesiącach dużo mniej, ale mimo wszystko nadal to robię i nie ma rzeczy, o której bym nie słyszał. Tyle o mnie. Poinformowano mnie, że sprawa Bruhnsa została minionej nocy zamknięta.

- Zgadza się - przytaknął Henning i założył nogę na nogę.

- Proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę. Według informacji, jakie mam, Bruhnsa i jego młodą kochankę zabił jego były pracownik.

- Jak widzę, jest pan bardzo dobrze poinformowany. Ale w końcu tego oczekujemy od służby bezpieczeństwa, czyż nie? Dla uzupełnienia dodam tylko, że pani Santos i ja byliśmy wczoraj u pana Weidricha, bo tak właśnie nazywał się ten pracownik Bruhnsa, i jesteśmy pewni, że nikogo nie zabił. Weidrich był alkoholikiem i nie byłby w stanie tak poukładać ciała. To przekraczało jego możliwości. Poza tym najprawdopodobniej nigdy nawet nie wpadłby na taki pomysł...

- Tak, to by się zgadzało. Udzielę państwu kilku informacji. Tylko proszę mi nie przerywać, chyba że będą państwo mieli ważne pytania. Panie Henning, niech pan

sobie daruje ten cynizm czy też sarkazm, bo nie pasują do pana. Zarówno cynizm, jak i sarkazm pochodzą z wnętrza, z osobowości, a pan przecież nie jest z natury cyniczny... Ale może przejdę do rzeczy. Mają państwo rację, że Weidrich nie mógł zamordować Bruhnsa i jego kochanki. Mamy tu bowiem do czynienia z mordercą, który pracuje na zlecenie, i to od ponad dziesięciu lat. Sprawca ten działa pod różnymi nazwiskami. Do tego zmienia również wygląd. Pod tym względem jest arcymistrzem...

- Zna go pan? - zdziwiła się Santos.

- Nie, nigdy go osobiście nie spotkałem. Samo nawiązanie kontaktu z nim jest bardzo trudne. Nie mogę nawet powiedzieć państwu, gdzie mieszka, jednakże ma mieszkanie bądź też dom w Kilonii. Człowiek ten podróżuje po całym świecie, a jego klienci to głównie osoby zajmujące się polityką i gospodarką, chociaż nie tylko. Mówię w tej chwili o Niemczech. Nasza prokuratura miała zadanie nawiązać z nim kontakt...

- Słucham?! - wykrzyknął zdziwiony Henning. - Współpracujecie z płatnym mordercą?

- Owszem, i to z niejednym - odpowiedział spokojnie Albertz. - Jednakże przy misjach specjalnych zawsze korzystamy z usług tego jednego. Jego działalność cenią też służby wywiadowcze na całym świecie. Cała sztuka polega na tym, żeby pod żadnym pozorem nie ujawnić swojej tożsamości oraz pracować czysto; jeżeli w ogóle można o tym mówić, zajmując się zabójstwami. Najważniejsze to nie zostawiać śladów. Człowiek, który się tym zajmuje, jest perfekcjonistą i dlatego otrzymuje zlecenia z całego świata. Oficjalnie jest poszukiwany listem gończym, ale porusza się wszędzie bez żadnego problemu, bo nikt nie chce go zatrzymywać. Jego usługi są zbyt wartościowe. Ale jak to się czasem dzieje z drogocennymi obiektami, w jednej chwili mogą stracić swą wartość. W takiej sytuacji

człowiek ten nie zdołałby się przed nami ukryć. Znajdziemy każdego, gdy tylko zajdzie taka konieczność. - Albertz zgasił papierosa i od razu zapalił kolejnego. - Z moich informacji wynika, że chodzi tu o osobę cieszącą się ogólnym poważaniem i jednocześnie taką, której nikt by nawet nie podejrzewał o dokonywanie zabójstw na zlecenie...

- Skoro tak dużo pan o niej wie, dziwne, że pan jej nie zna - wtrąciła Santos i czekała na reakcję Albertza. Ten jednak zaciągnął się mocno i odpowiedział dopiero po chwili.

- Rozwieję pani wątpliwości od razu. Mimo że wiem trochę o tej osobie, nigdy jej nie spotkałem, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Proszę nie wierzyć, że to samotny wilk. Takich spotykamy tylko w książkach i filmach, jednak rzeczywistość jest zupełnie inna. Oczywiście istnieją i tacy mordercy, którzy temu wizerunkowi odpowiadają, jednak oni działają na tak zwanej niższej płaszczyźnie. Jeżeli nie wyrządzają zbyt dużo szkody, to pozwalamy im na tego typu działalność. W końcu szczur zabija inne szczury. Na tym właśnie to polega i nie ma z tym większego problemu. Osobiście nigdy nie wydałem żadnego zlecenia, żeby kogoś zabić. Tymi sprawami zajmują się u nas inne osoby, jednak ich nazwisk nie będę państwu podawał, bo nie ma to znaczenia. W końcu ktoś musi wykonywać brudną robotę...

- Świetnie - powiedział Henning sucho. - Nasza służba bezpieczeństwa i wywiad posługują się płatnymi mordercami i jest to dla nich zupełnie normalne...

- Bo to jest normalne, panie Henning - odpowiedział szybko Albertz. - Nasza praca jest porównywalna z brudną robotą czyścicieli kanałów. Nasza jest nawet jeszcze brudniejsza. Społeczeństwo jednak nie ma o tym zielonego pojęcia, dlatego że wszystko trzymane jest w tajemnicy. Większość naszych współpracowników nosi garnitury

i krawaty. Są to ludzie poważni, elokwentni, dobrze wykształceni, którzy ukończyli trudne kierunki studiów. Nie jesteśmy zakonem. Naszym celem jest przede wszystkim zapewnienie bezpieczeństwa naszemu Szlezwikowi-Holsztynowi, a tym samym całemu krajowi. Do naszej działalności zalicza się niestety także usuwanie konkretnych osób, które mogłyby zaszkodzić czy to interesom naszego landu, czy też kraju. Może innym razem to państwu wytłumaczę, teraz jednak chciałbym przejść do najważniejszego...

- Do Bruhnsa?

- Między innymi. Jeszcze wracając do płatnego mordercy: nie potrafię powiedzieć państwu, gdzie on się w tej chwili znajduje, ale zapewniam, że nie jest żadnym widmem. Jest realną, żyjącą istotą, tak jak ja i wy. Zupełnie normalny mężczyzna z bardzo dziwnym zawodem...

- To zabrzmiało jak zniewaga, panie Albertz.

- Może dla pani, jednak cały świat przepelniony jest takimi zniewagami. Każda wojna bądź konflikt rozwiązywane są przemocą, przy czym giną tysiące niewinnych ludzi, między innymi dzieci, kobiety i starcy... Są to ludzie, którzy nigdy nikomu nie wyrządzili żadnej krzywdy. Morderca pracujący na zlecenie, o którym właśnie rozmawiamy, w czasie całej swojej kariery zlikwiduje dwieście, może nawet trzysta osób. I mogę państwa zapewnić, że nie będą to niewinni ludzie. Dlatego właśnie, tak jak w przypadku Bruhnsa, wynajmowani są płatni zabójcy.

Albertz wstał. Na jego twarzy rysował się dziwny grymas, jakby coś go bolało. Złapał się za brzuch i otworzywszy szufladę w stole, wyjął jointa i go zapalił.

- Pali pan trawkę? - zapytała Santos i zmarszczyła czoło ze zdziwienia. Przez chwilę myślała, że to się naprawdę nie wydarzyło.

- Przepraszam państwa, ale przepisał mi ją mój lekarz na bóle. Proszę mi wierzyć, że naprawdę działa. Nigdy

w życiu nie myślałem, że będę to palił, ale w mojej sytuacji, skoro nie można pokonać raka, robi się wszystko, żeby chociaż przezwyciężyć ból. Mam nadzieję, że to państwu nie przeszkadza...

- Nie, nie. Też słyszałem, że w zwalczaniu bólu stosuje się marihuanę.

- Tak właśnie jest. Na czym to ja stanąłem? Ach tak, na Bruhnsie. Nie tylko był on znanym producentem muzycznym, ale również znaczącym członkiem zorganizowanej grupy przestępczej. Wiemy o wielu przypadkach, kiedy to maczał palce w różnych interesach, od prania brudnych pieniędzy, przez handel narkotykami, aż po wykorzystywanie seksualne dzieci. Odkąd zaczął zaspokajać swoje pedofilskie popędy i ciągle potrzebował do tego nowych dzieci, znajdował się pod stałą obserwacją. Gdy dowiedzieliśmy się, że zamieszany był też w zabójstwo jedenasto- czy dwunastoletniej dziewczynki, zmuszeni byliśmy przedsięwziąć środki, żeby go zlikwidować. Miało to na celu ochronę innych dzieci...

- Ale tę dziewczynkę zabito rok temu - przerwał mu Henning. - Dlaczego po prostu nie zatrzymano go i nie postawiono przed sądem?

Albertz milczał dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

- Te struktury są za bardzo złożone, żeby to państwu w tak krótkim czasie wytłumaczyć. Może ujmę to tak: działanie Bruhnsa zaczęło być bardzo ryzykowne...

- Dla kogo? Dla przestępczości zorganizowanej czy dla prokuratury? - zapytała Santos z zamkniętymi oczyma.

Albertz skończył palić jointa.

- Widzę, że dokładnie mnie pani słucha. To dzisiaj rzadkość, nawet w szeregach policji - powiedział z uznaniem. - Jeżelibym odpowiedział, że dla obu stron, wystarczyłoby to pani?

- Może. Czy Bruhns miał więcej dzieci na sumieniu?

- Pytanie za pytanie: A jak pani myśli?

- Mój Boże, co to za dno...

- Nie chciałbym zaprzeczać, ale proszę dać mi skończyć. Według moich informacji planowaliśmy się go pozbyć, jednak ktoś nas ubiegł. Niestety, nie wiemy kto. Osoba ta na pewno ma bardzo wpływowego protektora...

- Gdzie? W strukturach służby bezpieczeństwa czy wśród polityków? - dopytywała Santos.

- A gdzie jest różnica między nimi? - zapytał Albertz z uśmiechem. - Tak czy inaczej, za sprawą tej protekcji musiała polecieć inna głowa... Weidrich doskonale się do tego nadawał. Już nieraz widziałem, że właśnie w taki sposób załatwiano sprawy.

- Tylko że jego akurat zabili nasi ludzie! - zauważyła zirytowana Santos.

- Zgadza się. To właśnie była ta brudna robota, którą zajmują się u nas mało znaczące typy pozbawione skrupułów. Oni działają tylko na zlecenie, przy czym ich postępowanie jest bardziej widoczne niż... Może zostawmy to już. Chciałbym jeszcze coś powiedzieć. Proszę zauważyć, że w naszych więzieniach siedzi mnóstwo niewinnych ludzi. Zostali oni skazani za morderstwa bądź inne przestępstwa, choć ich nie popełnili. Wiecie tak samo dobrze jak ja, że nierzadko trzeba po prostu znaleźć kozła ofiarnego i tak też się robi. W przypadku Bruhnsa był to właśnie Weidrich, który, jak wszyscy dobrze wiemy, nie skrzywdziłby nawet muchy. Jednak również wiemy o tym, że społeczeństwo trzeba karmić takimi informacjami. Przede wszystkim po to, by je uspokoić. Nie, to z uspokajaniem nie ma żadnego związku; raczej chodzi o to, by zaspokoić ciekawość, bo ludzie potrzebują ciągle nowych wrażeń. Społeczeństwo karmi się sensacją. Chyba że inaczej to widzicie?

- Nie rozumiem, dokąd pan zmierza - powiedział Henning.

- Więc proszę się trochę wysilić i zastanowić, tak jak ja zwykle to robić, gdy byłem jeszcze młody i niedoświadczony. Podam państwu trzy nazwiska: Westermann, Kobert i Zeunig. Coś wam mówią?

- Nie bardzo. Dlaczego właśnie te trzy? - zapytał Henning. Santos mu przerwała:

- Ja doskonale znam te przypadki. One są ze sobą powiązane, jeżeli dobrze sobie przypominam.

- I tak, i nie. Jestem już zmęczony i mam dość wykonywania tego zakłamanego, przekłętą zawodu. Może właśnie stąd wzięła się moja choroba, że ciągle babram się w tym brudzie? Kto wie? Ale to teraz nieważne. - Albertz wykrzywił usta, westchnął głęboko i zapalił kolejnego papierosa. - Westermann, Kobert i Zeunig byli tak samo niewinni jak Weidrich, z tą jednak różnicą, że wszyscy trzej stanęli przed sądem. Każdy z nich został oskarżony o morderstwo, przy czym ofiary pochodziły z najlepszych kręgów, czytaj: pieniądze, władza, wpływy i bardzo dużo na sumieniu. Przy aresztowaniu Westermanna byłem nawet osobiście. Weszliśmy do mieszkania i wyprowadziwszy go, pozostawiliśmy ślady wskazujące na jego niepodważalną winę. Nawet najlepszy prawnik nie wyciągnąłby go z tego. To były czysto pokazowe procesy. Oskarżeni nie mieli ani jednej, choćby najmniejszej szansy na wygraną. Byłem na każdym z tych procesów, od początku do końca, i zapewniam państwa, że nic nie było tam tak, jak być powinno. Wszystko zostało wcześniej zaplanowane. Ci biedacy nawet nie wiedzieli, co się dzieje. Nagle wszystko sprzysięgło się przeciw nim i działało na ich niekorzyść.

- I pan w tym wszystkim brał udział?

- Wiem, że nie zyskałem tym w państwa oczach, ale szczerze mówiąc, miałem taką samą możliwość wyboru

jak ci trzej. Co innego mogiem zrobić? Miałem się sprzeciwić rozkazom, które nawet nie pochodziły od prokuratury, ale od kogoś jeszcze wyżej postawionego? Nie miałem nic do gadania. Poza tym, jak państwo myślą, co by się stało, gdybym się sprzeciwił i odmówił wykonania zadania? Myślicie, że pozwolono by mi odejść? Tak po prostu? Dobrze wiem, że nigdy by do tego nie doszło. Nigdy nie pozwolono by odejść komuś, kto tak dużo wie o sprawach wewnętrznych. Z rodziny nie da się odejść.

- Z tego, co pamiętam, dowody przedstawione tym trzem mężczyznom były bardzo jednoznaczne i... - powiedziała po chwili Santos.

- Pani Santos, proszę otworzyć oczy i nie wierzyć we wszystko, co się pani powie. Czy nie wyraziłem się dość jasno? Żaden z nich nie był w najmniejszym nawet stopniu winny, nigdy nie byli skazani. Każdy z nich był kimś, kogo nazywa się przykładowym obywatelem. Ich problem polegał na tym, że dobrze znali ofiary. Znalezli się oczywiście świadkowie, którzy twierdzili, że widzieli ich kłótnie z ofiarami i tak dalej. Jednak o tym, że świadkowie byli przekupieni, wiedziało niewielu. Oskarżeni zostali skazani na dożywocie. Rzekomo Westermann i Zeunig dwa lub trzy lata temu odebrali sobie życie. Taka jest przynajmniej oficjalna wersja, ale według moich informacji zostali zabici, bo nie siedzieli cicho. Kobert nadal przebywa w więzieniu. Zachowuje się spokojnie i wygląda na to, że pogodził się ze swoim losem. Z pewnością tam się zestarzeje, a może pewnego dnia zostanie wypuszczony na wolność, gdy już okaże się, że nikomu nie zagraża. Ogłosi się to publicznie i Kobert odzyska wolność. Morderstwa, o które oskarżono tych trzech mężczyzn, popełnił ten sam sprawca, który zabił Bruhnsa i jego kochankę. Zostały dokonane w odstępach niecałych sześciu miesięcy, jednak z tego powodu, że do ich popełnienia użyto trzech rodzajów broni, należało znaleźć trzech sprawców. To

mógłby być każdy, nawet najporządniejszy człowiek. Potrzebowano tylko kozłów ofiarnych i ich znaleziono.

- To brzmi jak jakiś spisek... Albertz głośno się roześmiał.

- Trzydzieści lat pracowałem ze spiskowcami i dokładnie wiem, o czym mówię.

Santos przygryzła wargę, po czym powiedziała:

- Skoro już tak otwarcie rozmawiamy, to pewnie jest coś, co mógłby nam pan powiedzieć o zanieczyszczonych patyczkach do pobierania śladów?

Albertz znów się zaśmiał i pokręcił głową.

- Pani Santos, czy pani wierzy w Świętego Mikołaja? Czy też może w zająca wielkanocnego? Jeżeli tak, to niech pani dalej wierzy w słowa ministra spraw wewnętrznych, które wygłosił w piątek...

- Zgoda, ale pana zdaniem Bruhns i Steinbauer zostali zabici przez płatnego mordercę. Jednak w miejscu zbrodni znaleziono kobiece DNA. Wyjaśni pan to?

- Bardzo chętnie. Do mnie oczywiście też dotarły wieści, że znaleziono właśnie takie DNA...

- Jak to dotarły do pana wieści? Według moich informacji wiedziało o tym tylko dwoje ludzi.

- Pani Santos, proszę zdjąć swoje różowe okulary. Nie tylko dwoje ludzi o tym wiedziało. Mogę powiedzieć jedynie, że mam swoje źródła, które mnie o tym poinformowały. Tyle musi pani wystarczyć.

Santos była coraz bardziej poirytowana, jednak starała się tego nie okazywać.

- Ale zawsze mówiło się, że sprawcą zabójstw była kobieta, właśnie ze względu na to DNA... aż do czasu tych patyczków...

- Powtórzę swoje pytanie: wierzy pani w Świętego Mikołaja? Czy wierzy pani we wszystko, co zobaczy pani w telewizji bądź przeczyta w gazecie?

- Nie, oczywiście, że nie. O swoich wątpliwościach powiedziałam już na konferencji prasowej.

- Dobrze, bo ma pani podstawy do tego, żeby wątpić. Chyba nie pogodziła się pani z tym, że zwykli policjanci muszą bezwarunkowo słuchać poleceń prokuratury bądź też kogoś wyżej postawionego, jak na przykład ministra spraw wewnętrznych. Trzeba jednak pamiętać, że takim autorytetom koniecznie należy okazywać respekt, inaczej zostanie się rzuconym lwom na pożarcie. Ja mam o tyle dobrą sytuację, że mnie już nikt nigdzie nie rzuci, no, chyba że do ziemi... Ale zbaczam z tematu, a nie chcę marnować państwa czasu. Proszę zapomnieć o wszystkim, co dotychczas usłyszeliście o widmie, niezidentyfikowanym kobiecym DNA, patyczkach i lateksowych rękawiczkach. Nigdy nie było tej nieznannej kobiety. To tylko taka gra, w którą sprawca bawi się przy okazji swych morderstw. Jest to zupełnie nieszkodliwe, a mimo to bardzo efektywne. Oczywiście to nam się nie podobało, ale musieliśmy na to przystać. Cóż innego mogliśmy zrobić? Dla nas to również jest widmo. Media zaczęły jednak wymyślać najróżniejsze dziwne historie na ten temat, a że pewnego dnia doszło do nieporozumienia między politykami i policją, musiano więc znaleźć rozwiązanie tego problemu. W wyniku tego zwołano piątkową konferencję... Zamknęła ona usta społeczeństwu, a media dostały, czego chciały. Sprawa ucichła.

- Chwileczkę, ale to DNA znaleziono też w miejscach, gdzie nie popełniono żadnych zbrodni - wtrącił Henning.

- No i co z tego? DNA znaleziono w altance, do której było włamanie, oraz na bramie szkoły, do której również się włamano. To samo DNA było na puszcze coli oraz w innych miejscach przestępstw, w których nikt nie doznał żadnych szkód, ale także tam, gdzie zamordowano Lieschen Muller. Na to nie było reguły. Pozwolono jednak,

aby rozpowszechniała się plotka o morderczynie ćpunce, która potrzebowała pieniędzy na narkotyki. Byłoby to nawet prawdopodobne, gdyby tych morderstw nie popełniano z taką precyzją. Narkomanka, która zabija z zimną krwią, a do tego jest bardzo dobrze zorganizowana i działa według wcześniej obmyślanego planu - to już raczej niemożliwe, ale z drugiej strony, kto by się nad tym zastanawiał? - Albertz zapalił piątego z kolei papierosa, oparł się o krzesło i kontynuował: - Jak myślicie, czy naprawdę znaleziono to DNA w altance lub na puszcze?

- Dlaczego nie? - powiedziała Santos, ociągając się z odpowiedzią.

- Tak, w zasadzie czemu nie? Czy widzieliście tę puszkę albo jakikolwiek inny dowód, który potwierdziłby obecność DNA? Oczywiście, że nie, bo takie dowody nie istnieją. To tylko wymysł, tak samo jak wymyślone dowody w sprawie Westermanna, Koberta i Zeuniga. To DNA znaleziono wyłącznie w miejscach zbrodni, gdzie działał nasz zabójca. Na to daję wam moje słowo. Wymażcie z pamięci wszystkie informacje, które do tej pory mieliście na temat tego DNA. Jak to się mówi? Zaspokój ciekawość społeczeństwa za sprawą mediów, a wszystko wróci do normy. Tak się dzieje od zawsze. Spróbujcie zapytać za dwa tygodnie, czy nie było innego sposobu na rozwiązanie problemu. W ciągu dwóch tygodni dzieje się tyle rzeczy, że na pewno znajdzie się coś ważniejszego niż to.

- Ale dlaczego jest to kobiece DNA? - dopytywała Santos.

- Taką prowadzi grę. Niech się bawi, skoro chce. To w końcu bardzo inteligentny człowiek. Nie wiemy, skąd ma to DNA, to jego tajemnica i już chyba nią zostanie. Przynajmniej ja tak uważam.

- Ten człowiek zabija z zimną krwią, a pan mówi o zabawie? Chyba pan żartuje.

- Chyba jednak pani nie słuchała tak uważnie, jak myślałem. On nie jest jak większość zabójców. Jego ofiary to ludzie, którzy sami mają na sumieniu wiele ludzkich cierpień albo nawet istnień. Tak jak Bruhns...

- A Steinbauer? Ma pan jakieś informacje na jej temat?

- Nie, przykro mi bardzo. Ale mógłbym łatwo je zdobyć, mimo że ostatnio rzadko bywam w biurze.

- Dlaczego chciał się pan z nami spotkać? Tylko po to, by nam oznajmić, że nikomu nie możemy przekazywać informacji, które mamy? Czy też kryje się za tym coś innego? - zapytała Santos szyderczo.

- Poprosiłem państwa o przyjazd tu, bo osoba, która do mnie zadzwoniła, uważa, że należycie do tych dobrych gliniarzy, których niełatwo jest zmylić.

- Dziękujemy za komplement, jednak akurat to nie pomogło nam się posunąć w całej tej sprawie ani o krok dalej. Uważam, że dobrze pan wie, kim jest widmo i...

- Stop! Pani Santos, nie znam tego mężczyzny...

- Skąd więc pan wie, że jest to mężczyzna, a nie kobieta?

Albertz spojrzał na Santos swymi szarymi oczyma i uśmiechnął się lekko.

- Znów mnie pani zaskoczyła. Po prostu wiem. Niestety, to musi pani wystarczyć. Pozostawia w miejscach zbrodni kobiece DNA, ale to na pewno jest mężczyzna. Nie mam pojęcia, skąd ma to DNA, ale w gruncie rzeczy jest to bez znaczenia.

- W takim razie pewnie powie nam pan, jak go możemy znaleźć.

- Nie, dlatego że ja nigdy się z nim nie kontaktowałem. Tylko o nim słyszałem.

- Aha! No i to by było na tyle. My też już o nim usłyszeliśmy i nic poza tym. Musimy trzymać język za zębami,

bo nikomu wyżej nie możemy pisnąć ani słówka. Sóren, chodźmy już może, bo znów nas chyba zrobiono w konia.

- Zaczekajcie. Nie tak szybko, młoda damo, jeszcze nie skończyłem. Po co się tak unosić? Nie wierzycie w cuda? Przypomnijcie sobie wasze dzieciństwo, wtedy zdarzały się czasem różne cuda, prawda? Dzisiaj też się takie wydarzają, chociaż ja żadnego nie doświadczyłem, ale to pewnie dlatego, że jestem pragmatykiem. - Albertz przeciągnął ręką po brodzie, spuścił wzrok i po chwili dodał: - Dlaczego tu jesteście? To pytanie retoryczne, na które nie oczekuję odpowiedzi. Powiedziano mi, że chętnie płyniecie pod prąd, a ja takich ludzi szanuję, bo oznacza to, że nie tylko wierzycie w różne rzeczy, ale także do nich dochodzicie. Moim zdaniem nasz morderca jest nadal w Kilonii albo okolicach. Może znajdą się jedna bądź dwie osoby, które wiedzą, czy faktycznie tak jest. - Albertz zamilkł. Zakaszłał i wyjął z szuflady kolejnego jointa. Zapalił go i mówił dalej: - Znajdźcie go. Bruhns, Steinbauer i Weidrich - te zgony są ze sobą powiązane. Dowiedzcie się, co ich łączyło. Działajcie niekonwencjonalnie i pod żadnym pozorem nie wtajemniczajcie nikogo w swoje plany. Na pewno jest sposób, żeby znaleźć tego zabójcę. Gdybym był zdrowy, pomógłbym wam, ale niestety, ciało odmawia mi posłuszeństwa. Dlatego też dałem wam wskazówki, a resztą musicie zająć się sami. Gdyby jednak wam się nie udało, pewnie nadejdzie dzień, kiedy sam się wycofa. Jak na płatnego mordercę, i tak już długo działa, może nawet za długo. W końcu wszyscy kiedyś wycofują się z interesu, tak jak ja. Mam jednak jeszcze jedną, ostatnią wskazówkę dla was: skontaktujcie się z policją we Frankfurcie.

- Po co? - zapytała Santos.

- Po prostu to zróbcie. Nie pytajcie po co.

- A z kim dokładnie?

- Z Federalną Policją Kryminalną, z wydziałem zabójstw. Może zdołają wam pomóc, chociaż jeszcze o tym nie wiedzą. Tu jest numer telefonu do nadkomisarz Julii Durant. Proszę, tylko nie wspominajcie nic o mnie.

- Ma pan coś do ukrycia?

- Nie, jednak na razie chciałbym pozostać w cieniu. Ponadto znam tam jeszcze szefa, pana Bergera. Proszę im nie mówić, że jestem chory. Nie mogą się o tym dowiedzieć.

- A co z tymi patyczkami? - zapytała ponownie Santos.

- To kłamstwo. Czyste kłamstwo. Lord Byron powiedział kiedyś: „Czym jest kłamstwo? To tylko zamaskowana prawda”. Cóż więcej dodać? Teraz chciałbym już się położyć, czuję się bardzo zmęczony. Z pewnością trafią państwo do drzwi. Miałem jeszcze tyle planów na przyszłość, a przez chorobę spędzam mnóstwo czasu w łóżku. Chodzę na naświetlania i przez to ciało słabnie coraz bardziej, chociaż tego nie widać.

- Już idziemy - powiedziała Santos.

- Dlaczego nie powie nam pan wszystkiego, co pan wie? Dlaczego tylko połowę prawdy?

- Bo sam nie znam całej prawdy. Są ludzie wyżej postawieni niż ja, którzy wiedzą dużo więcej albo nawet wszystko. Proszę już iść. Powiedziałem wszystko, co wiem.

- Jak znajdziemy tych ludzi? - zapytał Henning.

- Pewnie nie znajdziecie. To znaczy są różne drogi, ale przypominają labirynt. Trzeba znaleźć odpowiednią drogę i wiedzieć, jak się nią poruszać, żeby się nie zgubić. Zróbcie tak jak Tezeusz, który żeby wyjść z labiryntu, posłużył się nicią od Ariadny. Ta nić uratowała mu życie. Teraz decyzja należy do was: czy wchodzicie w ten labirynt, czy też chcecie postępować jak dotychczas. Może wam się udać, bo widmo to tylko zwykły człowiek. Do widzenia... albo może lepiej *adieu*.

- Dlaczego akurat mamy skontaktować się z Frankfurtem? - zapytał Henning, nie ruszając się z miejsca.

Albertz westchnął głęboko.

- Nigdy się pan nie poddaje, co? Dobrze, nagrodzę ten upór, bo tylko w ten sposób uda wam się osiągnąć cel. Według moich informacji wszystko zaczęło się właśnie we Frankfurcie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku. Na początku było morderstwo na grubej rybie z branży nieruchomości i jego nieletniej kochance, która pochodziła ze Wschodu. Oboje zostali zastrzeleni w jego wiejskiej posiadłości. Mężczyzna ten miał też powiązania z przestępczością zorganizowaną, o czym społeczeństwo nie wiedziało, zresztą do tej pory tej informacji nie ujawniono. W miejscu zbrodni nie było śladu po sprawcy, jednak dużo wskazuje na to, że sprawca został wynajęty przez żonę ofiary. Dowiedziałem się, że kobieta ta ma mieszkanie bądź dom w Kilonii. Jest mnóstwo podobieństw między tym przypadkiem a morderstwem Bruhnsa, mówię oczywiście o pedofilii.

- Jak nazywa się ta kobieta?

- Popracujcie trochę sami, a teraz zostawcie mnie już w spokoju, bo jestem wykończony.

- Dziękujemy za pomoc - powiedział Henning i podał mu rękę na pożegnanie.

- Nie dziękujcie mi. Podziękujcie swojemu przyjacielowi i zarazem opiekunowi. Gdyby nie on, tobyśmy się nie spotkali.

- Chętnie dowiedzielibyśmy się, kim on jest...

- Tego dowiedziecie się w swoim czasie.

- Jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie, zanim wyjdziemy: jak pogodził się pan z tym, że był pan zamieszany, albo przynajmniej wtajemniczony, w przestępstwa? Jak można żyć z taką świadomością i nie zwariować?

- Macie rację i muszę powiedzieć, że nigdy sobie tego nie wybaczę, ale teraz jest już za późno na okazywanie skruchy... stanowczo za późno. Mam tylko nadzieję, że wam pomogłem i w ten sposób zrobiłem coś dobrego przed śmiercią. Do widzenia.

Henning i Santos, pożegnawszy się, poszli do samochodu. Niebo było szare i zachmurzone. Prawie całą poprzednią noc padało i grzmiało, ale oni byli zbyt pochłonięci zakończoną właśnie rozmową z Albertzem, by zwracać uwagę na pogodę.

- Kto mógł poinformować Alberta? Kto jest tym naszym przyjacielem i opiekunem? - spytała Santos, gdy wsiedli do samochodu.

- Mało mnie to teraz interesuje. Myślałem, że zajrzeliśmy pod każdy kamień i nagle okazuje się, że jest jeszcze mnóstwo do zrobienia. To mnie chyba przerasta.

- Zatrzymaj się. Muszę do niego wrócić - powiedziała nagle Santos.

- Nie wejdiesz do środka. Dom jest chroniony niczym Fort Knox.

- Muszę spróbować. Proszę.

- Co chcesz przez to osiągnąć? No dobrze, twoja prośba jest dla mnie rozkazem.

Henning wrzucił bieg wsteczny i podjechał przed dom Alberta. Santos wyskoczyła szybko z samochodu i zadzwoniła do bramy, która po kilku sekundach się otworzyła. Gdy Santos dobiegła do drzwi domu, stał już w nich Albert z lekkim, miłym, niemal ojcowskim uśmiechem na ustach.

- Moja znajomość ludzi znów mnie nie zawiodła.

- Jak to? - zapytała zdziwiona Santos.

- Przez cały czas obserwowałem panią, jeżeli nawet pani tego nie zauważyła, i pomyślałem, że jest pani bardzo ciekawa i nie da się łatwo zbyć. Proszę wejść.

- Dziękuję - odpowiedziała zaskoczona Santos i poczuła, jak jej policzki czerwienieją, co Albertz skwitował tylko uśmiechem.

- Napije się pani czegoś? Może whisky dla rozluźnienia albo kieliszek wódki? Ja naleję sobie jeden.

- Whisky poproszę, chociaż jestem w pracy.

- Z lodem?

- Tak, poproszę. - Zauważyła, że wraca jej zwykła pewność siebie.

Albertz, wrzuciwszy kostki lodu do szklaneczki, nalał trunek i podał go Santos. Lisa obróciła napełnioną szklankę w dłoniach i spojrzała uważnie na starszego pana. Po chwili uniosła ją i wzniosła toast:

- Za pańskie zdrowie i pomyślność.

Albertz znów się zaśmiał, tym razem jednak z odrobiną szyderstwa.

- Zdrowie i dziękuję pani za życzenia. - Gdy wypili, Albertz zagadnął: - Jakie ma pani jeszcze do mnie pytanie? Wróciła pani, bo coś nie dawało pani spokoju. O co chodzi? Nie mam nic przeciw pani koledze, ale uważam, że pani ma większą siłę przebicia i nie odpuści pani przed osiągnięciem celu.

- Mam to rozumieć jako komplement?

- Może to pani rozumieć, jak tylko pani chce. Co jeszcze chce pani wiedzieć?

- Kto w służbie bezpieczeństwa zna widmo?

- Co pani da ta informacja? - odpowiedział pytaniem Albertz.

- Zważywszy na to, że Henning i ja płyniemy pod prąd, dużo...

Tak przynajmniej uważam.

Albertz ponownie zaproponował whisky, ale tym razem Santos odmówiła. Starszy pan odwrócił się i stał dłuższą chwilę bez ruchu.

- Nikt go nie zna. Ale... jest ktoś, kto mógłby się z nim skontaktować. Gdybym pani powiedział, kto to jest, co pani zrobi?

- Będziemy oczywiście działać tak ostrożnie i dyplomatycznie, jak tylko się da. Oczywiście utrzymując, że się nie znamy i nigdy się nie spotkaliśmy.

Albertz odwrócił się nagle w stronę Santos i przyglądał jej się uważnie. Przeszywał ją wzrokiem, jakby chciał odgadnąć jej myśli, lecz ona nie odwróciła wzroku.

- Jak to się dzieje, że chciałbym pani to powiedzieć? Chyba chodzi o to, że wygląda pani na bardzo uczciwą i otwartą osobę. Nieczęsto spotyka się takich ludzi. Dobrze więc, zdradzę pani nazwisko, chociaż przekazując tę informację, narażam się na poważne niebezpieczeństwo... To Bernhard Freier. Nie chcę nawet wiedzieć, jak się pani z nim skontaktuje. Proszę pamiętać, że nie powiedziałem tego nigdy i nigdy się widzieliśmy. Powiem pani tylko jedno: proszę bardzo uważać. Każdy najmniejszy błąd może wiązać się z utratą życia, a ryzyko jest duże.

- Czy on również jest ze służby bezpieczeństwa? - zapytała niewzruszona Santos, zupełnie jakby nie słyszała ostrzeżeń Albertza.

- Tak.

- W Kilonii czy w Berlinie?

- W Kilonii, ale długo pracował jako doradca w Berlinie - odpowiedział lekko uśmiechnięty Albertz.

- Doradca? Czym?

- A jak pani myśli?

- Okej, ale teraz na pewno jest w Kilonii. Może wie pan też, gdzie mieszka?

- Niestety.

- Na pewno ma pan dostęp do wszystkiego, także danych personalnych - odpowiedziała Santos z uśmiechem. - I tak pan już nam pomógł...

- Rzeczywiście. Pomogłem wam nawet bardziej, niż chciałem. Sprawdzę jednak, co da się jeszcze zrobić. A teraz napije się jeszcze pani ze mną, w ramach podziękowania za mój wysiłek.

- Chętnie.

Wypili kolejkę. Santos odstawiła szklaneczkę na stół i pożegnała się. Stała jednak jeszcze w drzwiach i powiedziała:

- Mam nadzieję, że pana nie urażę, ale nie wierzę w to, że pan jest chory. Nie mylę się, prawda?

- Jak pani na to wpadła?

- Może umiem patrzeć w głąb ludzi - odrzekła Lisa z czarującym uśmiechem, któremu Albertz nie potrafił się oprzeć.

- Takim darem są obdarzeni nieliczni. Też chciałbym go mieć. Daleko pani z tym zajdzie.

- Tak też myślałam. Od początku odnosiłam takie wrażenie. W końcu, gdy ktoś pracuje w służbie bezpieczeństwa, musi też być dobrym aktorem. Jestem pewna, że nie jest to pański dom...

- Rozgryzła mnie pani. Ale teraz powinna pani już iść. Ja zresztą też. Odezwę się.

- Dziękuję.

Albertz stanął naprzeciw Lisy.

- To pierwszy raz, kiedy mogę komuś naprawdę pomóc. To wspaniałe uczucie. Pani partner na panią czeka.

- Co prawda on bywa czasem niecierpliwy, ale jeśli trzeba, zamienia się w chodzącą cierpliwość. Proszę do mnie zadzwonić, gdy tylko uzyska pan brakujące informacje. To namiary na mnie. - Santos wręczyła mu wizytówkę.

- Dziękuję. Zatrzymam wizytówkę, ale mam już pani numer telefonu. Będzie pani pierwszą, do której zadzwonię. Wszystkiego dobrego.

- Wzajemnie.

Santos wróciła do samochodu.

- Co tak długo tam robiłaś? - zapytał Henning. - Czuć od ciebie alkohol...

- Uspokój się. Miałam jeszcze kilka pytań i dostałam kilka odpowiedzi. Wypiłam szklaneczkę whisky, bo mnie o to poprosił.

- Jesteś na służbie!

- Mój Boże, nie bądź bardziej święty od papieża...

- Jakie odpowiedzi? - zapytał Henning, nie zwracając uwagi na ostatnie słowa Santos.

- W pewnej chwili zyskałam pewność, że Albertz zna kogoś, kto zna nasze widmo... i miałam rację! Podał mi nazwisko.

- Kto to?

- Bernhard Freier. Nigdy o nim nie słyszałam, ale pewnie zdobędziemy jakieś informacje na jego temat. Poza tym Albertz chce nam pomóc i zadzwoni do mnie, gdy uda mu się zdobyć akta dotyczące Bernharda Freiera, i poda nam jego adres.

- Kiedy? Za miesiąc? Za rok? - odparł najwyraźniej urażony Henning.

- O co ci chodzi? Nie pasuje ci, że wróciłam tam i udało mi się wyciągnąć z niego te informacje? Czy...

- Nic mi nie pasuje. Cała ta sprawa mnie już denerwuje. Mam dość! To, że nasza prokuratura i służba bezpieczeństwa nie są czyste, nie jest nowością, ale że przy tym współpracują z płatnymi mordercami... to już zupełnie co innego.

- Też tak uważam, ale przynajmniej zdobędziemy nowe informacje. Może nawet przepędzimy parę szczurów.

- Optymistka. Przecież Albertz nas tylko zwodzi.

- Jestem innego zdania. Na szczęście mam swoją intuicję - oznajmiła Santos, ukrywając jednocześnie przed

Henningiem, że Albertz tylko udawał chorobę i że ma dużo więcej informacji, niż na początku przypuszczali.

- To może mi wytłumaczysz, żeby taki głupek jak ja też zrozumiał.

- Ojej, co się z tobą dzieje? To dlatego, że spędziłam z nim te kilka minut na osobności? O to chodzi?

- Ten facet jest umierający, co miałoby mi przeszkadzać? Zresztą nie wiem, co się dzieje, po prostu nie mam humoru. To takie dziwne?

- Nie, ale daleko tak nie zajdziemy. Możemy gdzieś coś zjeść? Umieram z głodu. Od rana nic nie jedliśmy. I jeszcze jedno: Albertz nie jest umierający. Udawał.

- Słucham? Żartujesz teraz, prawda?

- Nie. Jest zdrowy jak koń.

Henning zaśmiał się chwilę i pokiwał głową.

- Wymyślił numer, że jest chory i może nie dotrwa do następnej zimy...

- Daj spokój. Pewnie chciał sprawdzić, jak dalece może nam zaufać. On jest po naszej stronie.

- A skąd ty to wiesz? - zapytał z ironią w głosie Henning. - Tyle razy już się nacięliśmy, że nikomu nie ufam.

- A mamy jakiś wybór? Nie pozostało nam nic innego, jak przyjąć jego propozycję. Chyba że masz inny pomysł.

- Wiesz co... pocałuj się gdzieś - burknął. - Rzucam to. Co mnie obchodzi jakiś morderca, do którego i tak nikt nie ma dostępu, ani służby bezpieczeństwa, ani też jakiś arogancki prokurator? Rób to, co uważasz za słuszne, ale sama. Mnie w to już nie mieszaj.

- Sóren, ale jak ja mam to bez ciebie zrobić? Sama?

- Przecież masz Albertza - powiedział Henning.

- Przestań, Sóren! Rozumiem, że możesz być zły, ale to nie jest powód, żeby się wycofywać. Razem damy radę. Poza tym i tak musimy poczekać, sprawdzimy, jakie informacje zdobędzie dla nas Albertz.

- Hm - burknął Henning i po czterystu metrach zjechał na pobocze, gdzie w barze na kółkach zamówili sobie colę, frytki i kiełbaski w sosie curry. Zjedli na parkingu i o czwartej dwadzieścia wrócili do komisariatu. Chcieli jeszcze porozmawiać z Harmsem, oczywiście nie wspominając ani słowa o spotkaniu z Albertzem. Na razie sami mieli zająć się tą sprawą i Harmsa nie interesowały szczegóły.

- Co z listą gości sobotniego przyjęcia u hrabiego? -zapytał Henning swojego przełożonego. - Wiem, że oficjalnie sprawa jest zamknięta, ale...

- Na przyjęciu było dwieście dwanaście osób, których większość udało się nam przesłuchać. Niestety, nie udało się uzyskać żadnej informacji, dzięki której śledztwo ruszyłoby choć o krok dalej. Ale jak wiadomo, sprawa jest zamknięta. Dla uspokojenia was dodam jedno: wszyscy zgodnie powiedzieli, że Bruhns przyszedł około jedenastej i wyszedł o północy. O Steinbauer również wspomniano, chociaż większość gości nie zwróciła na nią w ogóle uwagi.

- Znamy kogoś z tych ludzi? - dopytywała się Santos.

- Proszę. Tu jest lista - oparł Harms i podał jej listę gości.

- Zobacz - powiedziała do Henninga i wskazała na jedno z nazwisk. - Hans Schmidt. Myślałam, że w wyższych kręgach ludzie mają jakieś wyjątkowe nazwiska.

- A Peter Müller albo Gerd Wolfram? Takie nazwiska są przecież popularne. Zapomnij o liście - powiedział Henning i wskazał na zegarek. - Będziemy się już zbierać.

- O mój Boże, o mało nie zapomniałam. Na razie, Volker, do jutra.

- Dokąd idziecie?

- Pani Bruhns zadzwoniła do nas wcześniej i prosiła, żeby przyjechać - skłamała Santos. - Ma jakieś problemy z gosposią. Prawdziwa z niej żmija.

- A wam co do tego?

- Tego się dopiero dowiemy - odpowiedziała Santos i uśmiechnęła się szeroko. - Cześć.

- Kłamiesz jak z nut - powiedział Henning, gdy wsiadali do samochodu.

- A co miałam zrobić? Mieliśmy się przyznać, że jedziemy na dworzec spotkać się w tajemnicy z Gunterem, żeby porozmawiać o DNA?

- Nie, jasne, że nie. Dobrze, że tak to rozwiązałaś. Dojechali na dworzec krótko przed piątą. Stanęli

w umówionym miejscu i czekali. Było zimno. Drzwi do drogerii otwierały się i zamykały co chwilę, przez co do środka wpadał zimny wiatr. Zmarznięci unieśli kołnierze kurtek i nadal czekali. O tej porze w okolicach dworca był duży ruch. Ludzie wracali po pracy do domów w okolicznych miejscowościach, Rendsburgu, Szlezwiku, Husum, Heide czy Flensburgu.

Mijały minuty. Piąta piętnaście. Piąta trzydzieści. Czas płynął, a Tónnies się nie zjawiał. Henning i Santos próbowali wielokrotnie się z nim skontaktować. Dzwonili do biura i na komórkę, ale bez rezultatu. Zrezygnowani, zziębnięci i źli opuścili dworzec.

- Dlaczego nie przyszedł? Czemu nie odbiera telefonu? - pytała z bezradną miną Santos.

- Bał się. Innego wytłumaczenia nie mam.

- Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

- Nie wywołuj wilka z lasu.

- Wcale tego nie robię. Tylko zrobiłam się trochę podejrzliwa po tym, co powiedział nam Albertz. Jeżeli nasze służby zatrudniają płatnych morderców, to wszystko jest możliwe. Jesteś innego zdania?

- Nie, ale to już byłoby za dużo. Komu można tu ufać?

- Weidrichowi, chociaż był pijakiem, albo pani Bruhns. Ona na pewno nie będzie nam opowiadała bzdur. Najgorsze jest to, że w pracy nie możemy nikomu wierzyć.

To jest takie frustrujące. Nawet nie wiem, co tak naprawdę myśleć o Albertzu.

- Wcześniej chyba nie miałaś wątpliwości... - stwierdził sucho Henning.

- Możliwe, bo nie wydaje mi się, żeby sobie z nami pogrywał, ale nie można niczego wykluczyć. Prawda? Już sama nie wiem.

Santos włączyła ogrzewanie w samochodzie i wyjęła telefon z kieszeni. Wybrała numer Jiirgensa. Nie obierał. Gdy już miała się rozłączyć, usłyszała jego głos.

- Hej, tu Lisa. Możemy porozmawiać?

- Liso, posłuchaj... Nie mamy o czym rozmawiać. A przynajmniej nie o Bruhnsie czyjego zabójcy.

- Skończyłeś już sekcję zwłok Weidricha?

- Nie. Nawet się tym nie zająłem. Riiter ściągnął lekarza z Lubeki, który razem z jakimś kolegą przeprowadził sekcję.

- Po co mu do Weidricha lekarz z...

- Nie wiem i nie chcę nawet o tym mówić - odpowiedział szybko.

- Gdzie teraz jesteś?

- Zbieram się do wyjścia.

- Możemy przyjść? Bylibyśmy za dwie minuty. Poświęć nam chwilę i zostawimy cię już w spokoju.

- Ty chyba nigdy nie dajesz za wygraną, co? Dobrze, przyjedźcie, ale mówię to tylko dlatego, że wszyscy już wyszli i zostałem jedynie z Claudią. Tylko nie marnujcie mojego czasu. Inni już to dziś zrobili.

Santos rozłączyła się.

- Do sądówki. Wdepnij trochę, bo zaraz mamy tam być.

- Słyszałem.

Niecałe dwie minuty później zaparkowali przed Instytutem Medycyny Sądowej. Drzwi otworzył im Jurgens.

- Wchodźcie szybko - powiedział i od razu zamknął za nimi drzwi. Prowadząc ich do swojego biura, dodał: - Tylko nie myślcie, że wam pomogę...

- Nie oczekujemy od ciebie żadnej pomocy - odparł Henning i usiadł na biurku.

- To po co tu w takim razie przyszliście? - zapytał Jürgens, marszcząc czoło.

- Żeby z tobą chwilę porozmawiać, jak ci już wspomniałam przez telefon - odrzekła Santos, przyglądając mu się uważnie. Jürgens stał przed nimi, starając się ukryć zdenerwowanie. Henning nie był pewien, jak ma rozumieć zachowanie Jürgensa, ale Santos nie dała się oszukać.

- To mówcie, tylko szybko, bo mamy z Claudią plany na dziś. W końcu spędziliśmy weekend w pracy...

- Jasne. Czemu nie zająłeś się sekcją Weidricha?

- Przecież mówiłem już, że nie chcę o tym rozmawiać...

- Nie chcesz czy nie możesz? Zamknęli ci usta? Jürgens zaśmiał się sztucznie.

- Myśl sobie, co chcesz. Wszystko będzie pasowało. Do jasnej cholery! Czy nie rozumiecie, że nie chcę i nie mogę?

- Rozumiemy. Tylko czego ty się tak boisz? Nas nie musisz się obawiać, przecież nie będziemy rozpowiadać wszystkim, co nam powiesz. Chyba wiesz, że możesz nam zaufać.

- Oczywiście, ale nie chodzi o to, że się czegoś boję, tylko mam już tego wszystkiego dość.

- Czego? Klaus, przecież do tej pory zawsze mogliśmy ze sobą otwarcie rozmawiać o wszystkim. Co się stało, że teraz tak nie jest?

- Okej, powiem wam, ale tylko raz i potem nie chcę was widzieć ani słyszeć do czasu, gdy nad Bruhnsem, Weidrichem i tym całym syfem urośnie trawa. W zasadzie to

nie wolno mi nawet z wami o tym mówić, ale zrobię to, bo jesteśmy przyjaciółmi i mam nadzieję, że tak pozostanie.

- Jesteśmy i będziemy przyjaciółmi, tylko powiedz nam, co tu się dziś wydarzyło. Zatrzymamy to dla siebie. Słowo honoru.

Jiirgens skrzywił się i pokiwał głową.

- Dobrze, ale biada wam, jeżeli choć jedno z was piśnie komukolwiek słówko. Dostałem polecenie, żeby wydać wyniki sekcji Bruhnsa i wykasować je z komputera. To znaczy przyszedł tu ktoś, kogo nigdy wcześniej nie widziałem, i załatwił to za mnie. Nie mam w komputerze żadnych danych dotyczących Bruhnsa.

- Od kogo było to polecenie? Od Riitera?

- Bez komentarza. Dziś w nocy przywieziono Weidricha, ale od razu dostałem polecenie, żeby trzymać się od tego z daleka. O nic nie pytałem, bo miałem przecucie, że w tej sytuacji pytania mogłyby być niebezpieczne. Sekcję zwłok Weidricha przeprowadzili dwaj lekarze z Lubeki, a Ruter asystował im jako prokurator. Nic więcej nie wiem. Ta trójka przyszła tu i po czterech godzinach wyszła, nie zamieniwszy ze mną ani słowa, i to wydało mi się dziwne.

Santos rzuciła od razu spojrzenie Henningowi, który kiwnął głową.

- To pasowałyby do informacji, jakie mamy o Bruhnsie - oznajmił. - Oficjalnie nas też odsunięto od tej sprawy, ale działamy dalej. Mamy nadzieję, że ty też nikomu o tym nie powiesz.

- Róbcie, co chcecie, ale nie wciągajcie w to mnie. Ja chcę jeszcze trochę pożyć, zwłaszcza teraz, gdy poznałem Claudię. Cholera, też chętnie dowiedziałbym się, o co tu chodzi, ale najwyraźniej nigdy do tego nie dojdzie. A teraz koniec już z tym. Możecie się ze mną kontaktować, ale ani słowa o Bruhnsie i całej tej sprawie. Rozumiemy się?

- Jasne. Wszystkiego dobrego i nie zaprzataj sobie już tym głowy. Wystarczy, że my się tym zajmiemy - powiedziała Santos, śmiejąc się.

- Uważajcie tylko, żebyście nie nadepnęli nikomu na odcisk. Ach tak, jeszcze coś. Chodzi o tych dwóch lekarzy. Ruter powiedział, że są z Lubeki, to znaczy stamtąd przyjechali, ale ja ich nigdy nie widziałem, a znam większość lekarzy sądowych z północnych Niemiec. To wszystko. Trzymajcie się.

Jiirgens wyszedł z biura wraz z Santos i Henningiem. Claudia czekała na niego cierpliwie w sali, gdzie przeprowadzali sekcje zwłok. Wychodząc, Santos zagadnęła jeszcze:

- Czy rozmawiałeś dziś może z Gunterem?

- Nie.

- Dziwne. Chciał się dziś z nami spotkać o piątej przy dworcu. Próbowалам dzwonić do biura i na komórkę, ale nie odbierał.

- Faktycznie dziwne, ale nie mam pojęcia, gdzie mógłby być. Sorry.

- Może zadzwońmy do niego do domu? Masz jego numer?

- Tak, poczekaj, zaraz ci dam - powiedział Jiirgens i wyszukał numer w swojej komórce. Santos od razu zadzwoniła i usłyszała kobiecy głos:

- Tónnies, słucham.

- Pani Tónnies, mówi Santos z policji kryminalnej, czy mogłabym rozmawiać z pani mężem?

- Niestety, nie dziś. Jest chory i leży w łóżku. Może coś przekazać?

- Nie, dziękuję. Nie wie pani, kiedy wróci do pracy?

- Tego jeszcze nie wiem. Znów odezwały się jego problemy z sercem. Mąż potrzebuje dużo spokoju. Musi odpoczywać. Możliwe, że będzie musiał iść do szpitala.

- Proszę mu więc tylko przekazać, że Lisa Santos, Søren Henning i profesor Jiirgens życzą mu powrotu do zdrowia. Niech dba o siebie.

- Przekażę i dziękuję. Do usłyszenia. Santos spojrzała na Jiirgensa.

- Wiedziałeś o jego problemach z sercem? - zapytała zdziwiona.

- Nie. Pierwsze słyszę. Patrząc na niego, nigdy bym nie pomyślał, że ma chore serce. Sami się domyślcie, co to oznacza. Cześć.

- Na razie - rzuciła Santos i przeszła z Henningiem do samochodu. Jadąc, myśleli o wszystkim tym, co się tego dnia wydarzyło. Im dłużej o tym rozmawiali, tym większy stres temu towarzyszył. W pewnym momencie Henning powiedział:

- Liso, może jednak powinniśmy posłuchać rad Volkera i Klause i to zostawić. Nie zajmujmy się tą sprawą, bo narażamy się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. W takim stanie rzeczy w tym kraju i tak niczego nie zmienimy. Co o tym myślisz?

- Myślę, że potrafię ocenić, jakie niebezpieczeństwo nam grozi, i w razie konieczności możemy się zawsze wycofać. Poczekajmy na informacje od Alberta. Gdyby już się nie odezwał, wycofamy się od razu. Ale skontaktujemy się z Frankfurtem i jeżeli oni nam nie pomogą, to zakończymy sprawę.

- Ale przecież masz jeszcze to nazwisko od Alberta.

- Racja. Bernhard Freier. Trudno będzie do niego dotrzeć, ale warto spróbować.

Gdy weszli do domu, Santos uruchomiła od razu ogrzewanie i włączyła telewizor. Zmieniała programy, aż zatrzymała się na jakimś filmie.

- Możesz się na tym skupić? - zapytał zdziwiony Henning.
- Oglądam, żeby oderwać się od sprawy. Gdybym ciągle myślała o tym samym, chyba bym zwariowała.
- Idę już do łóżka. Jestem wykończony.
- Już? Dopiero ósma.
- No i co z tego? Jestem zmęczony. Potrzebuję snu. Dobranoc, i nie siedź za długo.

- Przyjdę później, muszę się trochę wyciszyć.

Henning pochylił się i pocałował ją. Pogładził po włosach. Zwykle nie lubiła, gdy to robił, ale tego wieczoru nigdzie już nie miała zamiaru wychodzić, więc było jej obojętne, w jakim stanie jest jej fryzura.

- Dobranoc. Miłych snów.

- Dobranoc, chcę już tylko spać. Obiecuj mi, że nie będziesz za długo siedziała.

- Obiecuję.

Gdy odszedł, położyła się na sofie i patrzyła na telewizję, jednak jej myśli krążyły cały czas wokół Alberta, Jiirgensa, Harmsa i Sórena. W ostatnim czasie Sören stracił swoją zaciętość. Stał się melancholijny, a czasem nawet wyglądał, jakby dopadała go depresja. Nigdy o tym nie mówił, ale Lisa знаła go zbyt dobrze, żeby tego nie zauważyć. Z biegiem czasu praca zżerała go od środka. Tracił przez to swego ducha walki. Do tego doszły jego długoletnie problemy osobiste i wyglądało na to, że już tego nie wytrzyma. Zawsze stanowili świetnie zgrany zespół. On był pragmatykiem i analitykiem, a ona miała doskonałą intuicję.

Zawsze miała nadzieję, że Henning nie skończy tak jak Volker Harms, przy biurku jako szef. Harms dawał im dużo swobody, ale nie wyobrażała sobie, żeby Henning miał prowadzić sprawy tylko na papierze, siedząc za biurkiem. Z jej hiszpańskim temperamentem chyba tego nie wytrzymała. Ale może tylko wymyślała teraz te problemy.

Prawdopodobnie Henning przechodzi tylko taki ciężki okres. Jutro zajmą się Bernhardem Freierem. Może Albertz będzie miał już dla nich jakieś wiadomości... W końcu był on ich jedyną wskazówką, dzięki której mieli się dowiedzieć, co kryło się za sprawą Bruhnsa i Steinbauer. Spróbują też nawiązać kontakt z Frankfurtem i zdobyć nazwisko mężczyzny, którego zabito w latach osiemdziesiątych wraz z nieletnią kochanką.

Nadchodzące dni miały wypełniać praca i stres. Santos wiedziała o tym, dlatego też zamknęła oczy i próbowała oderwać się od ciągle powracających myśli. Zasnęła. Obudziła się dopiero wtedy, gdy o siódmej poczuła dotyk Henninga na ramieniu i jego pocałunek na czole. Mruknęła coś i położyła się na boku. Henning przytulił swoją głowę do jej głowy, aż w końcu się rozbudziła. Objęła go.

- Wcale nie chciałam spać na sofie - powiedziała zaspanym głosem.

- Ile tu jeszcze siedziałaś?

- Nie wiem.

- Do drugiej? Trzeciej?

- Nie denerwuj mnie. Naprawdę nie wiem. Poza tym jestem głodna i muszę szybko iść do łazienki. Zrobisz śniadanie? Zjadłabym jajko.

- Idź już do łazienki, a ja zajmę się resztą. Mamy przed sobą długi dzień.

- Yhm.

Wtorek, godz. 21.45

Hans Schmidt nie wyglądał już jak Hans Schmidt, tylko jak Pierre Doux. Telefon na kartę, który kupił jako Pablo Castillo i którego miał pozbyć się jeszcze tej nocy, zadzwonił osiemnaście po dziewiątej.

- Tak?
- Pierre Doux? - zapytał mężczyzna, jeden z ochroniarzy Roberta, licytatora, jak się wczoraj kazał nazywać.
- *Oui*, przepraszam, tak.
- Przyjedzie pan za piętnaście dziesiąta na ulicę Doktora Helia pod firmę Drexler Transport Międzynarodowy.
- Przepraszam, a gdzie to jest?
- Nie ma pan żadnego systemu?
- Systemu?
- Tak, systemu nawigacyjnego GPS. Rozumie pan? -zapytał mężczyzna ze zniecierpliwieniem w głosie.
- Tak. Oczywiście, że mam.
- Dobrze, to w dzielnicy Suchs Dorf. Proszę być punktualnie, bo czekamy najwyżej pięć minut.

Schmidt, a właściwie Doux, poszedł od razu do samochodu i dokładnie o dwudziestą pierwszą czterdzieści dwie dotarł na miejsce. Wyłączył światła i czekał. Zaraz po jego przyjeździe nadjechały dwa samochody, jeden osobowy mercedes, a drugi dostawczy o ładowności siedem i pół tony. Brama do firmy spedycyjnej została otwarta, oba samochody wjechały i zatrzymały się w najciemniejszym miejscu. Hans Schmidt podjechał swoim volkswagenem touranem i zatrzymał się przy mercedesie 500.

Wóz dostawczy nie rzucałby się w oczy, gdyby nie widniało na nim logo dobrze prosperującej firmy spedycyjnej.

Hans Schmidt wysiadł ze swojego samochodu. Robert i jeden z jego ochroniarzy również. Przywitali się mocnym uściskiem dłoni i lekkim uśmiechem.

- Cztery kobiety dla pana. Tak jak umawialiśmy się wcześniej, przed ich przekazaniem proszę o drugą połowę pieniędzy.

- Oczywiście - odpowiedział Schmidt i wyciągnąwszy grubą kopertę z kieszeni, wręczył ją Robertowi. Ten

przeliczył kwotę i kiwnął głową. Już chciał wydać polecenie swemu ochroniarzowi, gdy Schmidt uniósł rękę.

- Jeszcze chwileczkę. Mam kilka pytań. Gdybym potrzebował więcej kobiet, mogę znów się z panem skontaktować?

- Tak. Kiedy miałyby to być?

- Prowadzę sześć luksusowych burdeli i ciągle potrzebuję dobrego towaru. - Ociągając się, dodał: - Tylko... jak by to powiedzieć... jest kilku klientów, którzy mają szczególne życzenia. Jak wygląda sprawa z chłopcami w wieku od sześciu do dwunastu lat?

- Wszystko da się załatwić. Jeżeli tylko jest pan gotowy odpowiednio zapłacić.

- Chyba widział pan już wczoraj, że jeżeli coś mi się podoba, to gotów jestem zapłacić każdą cenę. Pieniądze nie grają tu roli. Przebiję każdego. Dla mnie ważne jest przede wszystkim to, aby moi klienci byli zadowoleni.

Robert zapalił papierosa.

- Bardzo profesjonalna postawa. Rozumiem, że nie chce już pan brać udziału w aukcjach, tylko mielibyśmy dostarczyć towar od razu do pana. Tak?

- *Oui.*

- To rzadko spotykane, ale do zrobienia. W końcu mam dużą firmę spedycyjną. Dowiozę panu towar do Kilonii i w obrębie stu kilometrów od miasta, wszędzie dalej musi pan sam zorganizować sobie transport.

- Świetnie - odpowiedział Schmidt, uśmiechając się. - Kiedy będę mógł obejrzeć towar?

- Jak długo będzie pan jeszcze w Kilonii?

- Kilka dni.

- Może w sobotę? Ile pan potrzebuje?

- Ile? A ile przeciętnie potrzebują pańscy klienci?

- Nie rozumiem...

- Na początek wezmę dziesięciu chłopców. Gdy ja i moi klienci będziemy zadowoleni, będę miał dalsze zamówienia.

- Będzie pan zadowolony. Ma pan moje słowo.

- I jeszcze jedno życzenie... Mam trzech klientów, którzy chcieliby najdelikatniejszego ciała na rynku. Bardzo, bardzo młodego i bardzo, bardzo delikatnego.

- Rozumiem. A płeć?

- Żeńska.

- Jak dotąd zaopatrywał się pan w te towary?

- Poprzez ludzi, którzy handlowali dziećmi na terenie Francji i Hiszpanii. Niestety, przed trzema miesiącami rozbito całą grupę, to znaczy złapano jej szefa...

- A pana nie? - zapytał podejrzliwie Robert.

- Proszę pana, czym byłoby życie bez układów? Poza tym, podobnie jak tu, wszystko odbywało się w ukryciu i pod kontrolą. Ale wystarczył jeden mały błąd i szef tej grupy wylądował na policji. A tam był jeden niezadowolony urzędnik, rozumie pan...

- Nie bardzo. Może mi pan to wyjaśnić?

- Miał nadzieję, że za swoje milczenie dostanie więcej pieniędzy. Gdy to mu nie wyszło, zorganizował obławę, na którą przyjechał z prokuratorem i kilkoma innymi policjantami.

- Co się stało z szefem?

- Został zatrzymany, ale po procesie znów wyjdzie na wolność.

Robert zaśmiał się cicho.

- Rozumiem. A do tego czasu potrzebuje pan nowego dostawcy.

- Nie. Z tamtym nie będę już współpracował. Jak dla mnie zrobiło się zbyt niebezpiecznie. Więc co z moim życzeniem?

- Nie ma problemu. Trzy?
- Sześć. Da się to załatwić?

- Wszystko się da. W weekend skontaktuję się z panem i potwierdzę, kiedy będzie można odebrać towar. To będzie jednak sporo kosztowało. Dziwne życzenia są w cenie. Myślę, że będzie to około...

Zanim Robert zdążył skończyć zdanie, Schmidt szybko wyciągnął pistolet z tłumikiem i przyłożył mu do głowy, a palec wskazujący drugiej ręki położył na jego ustach.

- Pst. Bądź cicho. Nie chcemy przecież za bardzo hałasować, tak tu spokojnie. Robert, bardzo mi przykro, ale niektóre rzeczy po prostu muszą się wydarzyć.

W tej samej chwili Schmidt odwrócił się i strzelił dwa razy do jednego z ochroniarzy Roberta. Strzały były bardzo ciche, a ochroniarz nie miał żadnych szans na wyjęcie broni. Postrzelony upadł na ziemię, ruszał się jeszcze chwilę, po czym zmarł.

- A teraz zajmijmy się twoim drugim ochroniarzem. Podejźmy do samochodu. Zachowuj się normalnie, to nic ci się nie stanie.

- Co zamierzasz? Chcesz mnie zabić? - zapytał Robert spokojnie, ale jego spokój był tylko pozorny i Schmidt doskonale o tym wiedział.

- Nie, ciebie nie, tylko twoich goryli - odparł Schmidt z dobrym niemieckim akcentem.

- A co ze mną?

- Niespodzianka. Otwórz drzwi do kabiny kierowcy - powiedział cicho Schmidt. - Tylko zachowuj się normalnie, działasz we własnym interesie.

Podeszli do samochodu. Robert otworzył drzwi do kabiny kierowcy. Siedzący w środku mężczyzna o byczym karku, który wczoraj zmywał z podłogi krew Sveni, nie

zdążył nawet powiedzieć słowa, gdy trafiły go dwa pociski. Wypadł od razu z kabiny i uderzył głową o twardy asfalt. Usłyszeli trzask łamiącego się kręgosłupa.

- Teraz jesteśmy sami, tylko ja i ty.

- Zapomniałeś o kobietach - powiedział nadal spokojny Robert, który albo doskonale ukrywał strach, albo faktycznie go nie odczuwał.

- Nie zapomniałem. Odwróć się i połóż dłonie na aucie. Nogi szeroko.

- Jesteś psem?

- Wiem, że współpracujesz z psami i z innymi wyżej postawionymi, inaczej dawno już gniłbyś w więzieniu. Ale ja nie jestem ani gliniarzem, ani prokuratorem.

- A kim?

- Tego jeszcze zdążysz się dowiedzieć.

- Może się jakoś dogadamy? Przecież możemy o wszystkim porozmawiać. Oddam ci pieniądze i możesz zabrać te kobiety...

- Zamknij się i siedź cicho. Opuść teraz bardzo powoli ręce za plecami. I żadnego fałszywego ruchu, bo może ci się przytrafić to samo co twoim gorylom. Szybko i bezboleśnie. A teraz ręce w dół.

Robert posłuchał. Kajdanki zamknęły się na jego nadgarstkach. Następnie Schmidt otworzył tylne drzwi wozu dostawczego, gdzie siedziały cztery przerażone kobiety, w wieku od siedemnastu do dwudziestu lat.

- Wychodźcie - powiedział Schmidt, jednak dziewczyny ociągały się ze strachu. - No, wychodźcie. Nie musicie się już niczego bać. Możecie iść... Mój Boże, wychodźcie! Jesteście wolne! Wracajcie do swoich rodzin!

Młode kobiety wysiadały powoli i bez słowa, dalej pełne obaw, co się wydarzy. Jedna z nich potknęła się i omal nie upadła, ale koleżance udało się ją złapać.

- Macie tu pieniądze! - Schmidt wręczył im kopertę, którą chwilę wcześniej zabrał Robertowi. - Która z was najlepiej mówi po niemiecku?

- Ja - odpowiedziała jedna z nich, Carla, podobnie jak jej koleżanki ubrana w minispódniczkę, cienką kurtkę i buty na wysokich obcasach. Powoli podeszła do niego bliżej.

- Okej. W tej kopercie jest mnóstwo pieniędzy. Weźcie to i uciekajcie jak najszybciej. Wyjedźcie z Niemiec i wracajcie do swoich krajów. Jutro rano wypływa frachtowiec do Sankt Petersburga. Statek nazywa się „Eterni-dad”, a jego kapitan spodziewa się was. Na tej kartce macie wskazówki, gdzie znajduje się statek. Weźcie taksówkę, żeby tam dojechać. Gdy tam dotrzecie, dajcie kapitanowi cztery tysiące z koperty, a resztą podzielcie się po równo. Nigdy więcej nie dajcie się namówić na wyjazd do żadnego zachodniego kraju, gdy nie będziecie dokładnie wiedzieć, dokąd traficie. Zrozumiałyście? Rozumiesz?

Carla kiwnęła głową. Jej oczy pełne były łez. Nie wierzyła w to, co się wydarzało. Nie sądziła, że istnieje jeszcze choćby najmniejsza szansa na to, że nie trafią do burdelu i nie będą musiały dzień i noc spełniać wszystkich, nawet najbardziej perwersyjnych zachcianek mężczyzn, którzy będą je bili i brutalnie traktowali. Odkąd opuściła swoją ojczystą Ukrainę, jej życie stało się koszmarem.

Była gwałcona aż do utraty przytomności. Tak przynajmniej teraz myślała, bo ból nie do zniesienia ogarniał jej ciało. Wszystko w niej wrzało, a krew wypływała jej z odbytu i pochwy. Przez następne trzy dni pragnęła tylko śmierci, jednak Robert i jego pomocnicy nie dopuścili do tego. Wezwano lekarza, który opatrzył ją i inne kobiety, a otrzymawszy kilka banknotów, zniknął tak samo szybko, jak się pojawił. Nie dano jej nic do picia ani do jedzenia, za to zmuszano do brania mnóstwa kokainy. Jeszcze kilka minut temu ta dziesiętnastolatka była przekonana, że

zostało jej najwyżej kilka lat życia; jeżeli oczywiście codziennie powracający koszmar i brak wolności można nazwać życiem. Pozostałe trzy kobiety trzymające się mocno za ręce również skinęły głowami, mimo że nie rozumiały wszystkiego, co mówił Schmidt. Nie dowierzały, że koszmar, który towarzyszył im od wielu dni, już się skończył.

- Potem wytłumacz to swoim koleżankom. Uszłyście z tego z życiem, nigdy o tym nie zapomnijcie. Podzielcie pieniądze na cztery. Każda z was powinna dostać dwadzieścia tysięcy.

- Dziękuję... Dziękuję, dziękujemy panu...

- Nie dziękuj mi, tylko zróbcie to, co mówię. Życzę szczęścia. A teraz już idźcie!

Schmidt odwrócił się do Roberta.

- A ty wsiadaj do mojego samochodu. Pojedziemy do ciebie, bo mamy parę spraw do załatwienia.

- Czyżby? Przecież nawet nie wiesz, gdzie mieszkam.

- I tu się mylisz. Twoim problemem jest teraz to, że ja wiem o tobie bardzo dużo, podczas gdy ty nie wiesz o mnie nic. Ale podpowiem ci tylko, że spotkaliśmy się już kilka razy. Masz pecha.

Było ciemno, jednak Schmidt zauważył po raz pierwszy na twarzy Roberta coś w rodzaju strachu.

- Kim jesteś?

- Niedługo się dowiesz, ale teraz wsiadaj i nie kombinuj. Nie chciałbym zabrudzić sobie auta.

Schmidt pomógł mu wsiąść do samochodu, po czym założył mu kajdanki również na nogi i zamknął drzwi. Ciała obu ochroniarzy wrzucił do ciężarówki. Zamknął oba samochody i wsiadł do swojego.

- A teraz jedźmy już, bo chciałbym z tobą spokojnie porozmawiać. Chyba to rozumiesz.

- Czy nie moglibyśmy załatwić tego po przyjacielsku? Dogadać się jakoś?

- A od kiedy to jesteśmy przyjaciółmi? Ja nie mam przyjaciół.
Zamknij się, już!

- Dlaczego zabiłeś moich ludzi?

- Bo byli wielcy niczym portugalskie galeony, ale głupi jak meduzy. Takie typy są niebezpieczne, bo nie mają swojego rozumu, tylko wykonują czyjeś rozkazy. Jest im obojętne, kogo zabijają, czy to są kobiety, dzieci, czy nastolatki. Najważniejsze, że dostaną za to dobre wynagrodzenie. Ja nigdy nie potrzebowałem kogoś takiego, sam zwykłem załatwiać swoje sprawy.

Schmidt wyjechał z Kilonii i po blisko dwudziestu minutach dotarł do Mönkebergu, gdzie znajdował się dom Roberta. Była to duża willa w stylu secesyjnym, otoczona wysokimi drzewami, które w nocy przypominały raczej stróżów. Wokół panowała cisza. W pobliżu nie było nikogo, żadnych samochodów, nie dochodziły żadne odgłosy. Nic. Nawet nie słychać było, jak fale uderzają o brzeg. Panowała cisza jak makiem zasiał.

- Jak otworzyć bramę? - zapytał Schmidt.

- Mogliśmy wziąć mój samochód...

- Jak otworzyć bramę?!

- Po prawej stronie jest klapka. Przesuń ją w bok i wprowadź kod: jeden-dziewięć-dwa-osiem.

Chwilę potem wjechali na teren posiadłości, a brama się zamknęła. Schmidt zatrzymał się przed dużym garażem, który mógłby pomieścić cztery samochody.

- Skąd wiesz, że nikogo tu nie ma? - zapytał Robert zachrypniętym głosem.

- Przecież już ci mówiłem, że wszystko o tobie wiem, również to, jak żyjesz. Wejźmy do środka, będzie wygodniej.

Schmidt uwolnił nogi Roberta i pomógł mu wysiąść. Wiedział, że Robert rzadko tu bywa, gdyż większość czasu spędzał w bardzo bogato urządzonej apartamencie w Kilonii, który miał ponad czterysta metrów kwadratowych

i znajdował się na ósmym piętrze jednego z budynków w samym centrum miasta. W willi w Mönkebergu Robert załatwiał swoje interesy. Posiadłość ta doskonale się do tego nadawała. Kobiety i dzieci przywożono ciężarówkami jak bydło, wprost do garażu, a stamtąd wprowadzano na górę. Nikt z zewnątrz nawet by nie podejrzewał, co tu się działo dwa lub czasem nawet trzy razy w tygodniu. Ponadto w domu były opuszczone wszystkie rolety, a od wewnątrz okna zasłonięto ciemnymi kotarami.

- Na pierwsze piętro - zakomenderował Schmidt i pchnął Roberta tak, że ten prawie stracił równowagę.

- A tam co?

- Zobaczysz. Na górę! Nie mam czasu, pospiesz się!

- Ty skurwielu! Ty gnido! Myślisz, że ci się to uda? W życiu! Będą cię żywcem obdzierać ze skóry i przypalać jak świnie...

- Skoro tak mówisz - powiedział Schmidt drwiąco i gdy tylko weszli do sali, w której wczoraj odbywała się aukcja, ponownie uderzył Roberta mocno w plecy. Tym razem Robert upadł na swoją marmurową podłogę. Wszystko było tu urządzone z myślą o przyjmowaniu eleganckich gości. Teraz w dużym pokoju nie było już śladów po wczorajszym brutalnym zamordowaniu Sveni.

Schmidt znów uderzył Roberta w plecy, po czym podniósł go jak piórko, mimo że Robert był od niego dziesięć centymetrów wyższy i dwadzieścia pięć kilogramów cięższy.

Robertowi krew leciała z nosa i brody, ale jego wzrok nadal był groźny.

- Ty przeklęty skurwielu. Nawet nie wiesz, z kim zadarłeś. Jeszcze chwila i zjawią się tu moi ludzie.

- Raczej wątpię.

Po tych słowach pięść Schmidta trafiła z dużą siłą w żołądek Roberta, aż ten upadł na podłogę i próbował złapać oddech niczym tonący.

- Powiesz mi w końcu, czego chcesz? - zapytał Robert, z trudem próbując zaczerpnąć powietrza.

- Wstawaj.

Robert podniósł się w końcu z wielkim trudem. Próbował się uśmiechnąć, ale skrzywił się tylko, przez co wyglądał jak diabeł.

- Masz jeszcze piętnaście minut. Potem nie żyjesz.

- Wciąż jeszcze nic nie rozumiesz?

Kolejny cios w brzuch. Tym razem Robert krzyknął z bólu i zaczął wić się na podłodze niczym węgorz.

- Przestań już. Zrobię wszystko, co zechcesz - wyjąkał. - Wszystko. Przysięgam. Tylko już przestań, okej?

Schmidt wyszedł bez słowa na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi. Spojrzał na zegarek. Po pięciu minutach wrócił do pokoju. Nie przypominał sobie, po jakim czasie Robert wrócił wczoraj do Sveni, ale nie to było teraz najważniejsze. Gdy wszedł do pokoju, Robert klęczał pod ścianą, opierając się o nią. Schmidt podszedł do niego i rozpiął mu ozdobiony nitami pasek od spodni. Wyjął go ze szlufek i złożył w pół.

- Wiesz, co teraz będzie? - spytał.

- Nie. Nie możesz mi tego zrobić! Tylko nie ten numer, okej? Tylko nie to! Przepiszę na ciebie cały swój majątek, przekażę ci wszystkie kontakty, możesz mieć wszystko, tylko nie ten numer z paskiem! Błagam cię! - wołał Robert ze łzami w oczach. - Nie paskiem! - krzyczał.

- Wcześniej inne kobiety cię błagały, ale ty nic sobie z tego nie robiłeś. Tylko Svenia do końca zachowała godność i nie jęczała, jak ty teraz.

Schmidt złapał energicznie Roberta za spodnie. Rozpiął guzik i rozporek. Spodnie powoli opadły, obnażając białe nogi. Potem Schmidt rozerwał jego koszulę, podczas gdy Robert krzyczał i błagał o litość.

- Nie drzyj się, ty tchórze! - Schmidt ponownie uderzył Roberta, który skulił się z bólu. Schmidt kopnął go

jeszcze, po czym zdjął mu spodnie i zerwał z niego jedwabną koszulę. Jej kawałki leżały na podłodze. Na końcu Schmidt ściągnął mu także slipki, zostawiając go tylko w skarpetkach.

- Jesteś zakałą społeczeństwa i babrałeś się w tym samym gnoju co Bruhns. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś kogoś tak potraktował, jak ty to zrobiłeś wczoraj ze Svenią. To była najgorsza rzecz, jaką widziałem, a zapewniam cię, że widziałem już niejedno. Ale dzięki temu przekonałem się, że te historie, które o tobie słyszałem, są prawdziwe. Przykułeś swoją dziewięcioletnią pasierbicę do grzejnika i kazałeś jej oglądać, jak dosiadasz dziewczynki i kobiety. Musiała patrzeć, jak na jej oczach zabiłeś młodą kobietę. Miałeś dbać o to dziecko, a naraziłeś je na taki stres. Na początku nie uwierzyłem w tę historię, ale był ktoś, kto ją potwierdził. Wtedy sprawdziłem też dokumenty, które leżą u notariusza...

- To kłamstwo! Jedna wielka bzdura! Ta szmata chciała mnie wykończyć! Nie wierz w ani jedno jej słowo!

- Gdybyś był mężczyzną, potrafiłbyś się przyznać do swoich czynów, tak jak ja to robię. Czy ty właściwie wiesz, kim jestem? Nie? To ci powiem. Wczoraj spędziłem u ciebie prawie osiem godzin w sprawie Niccoló Machiavelle-go. Co ty na to?

- Nigdy w życiu...

- To ja, Hans Schmidt. Możesz w to wierzyć lub nie, ale to prawda. Zwykle zabijam ludzi na zlecenie i wierz mi, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich to takie same szuje jak ty. Jednak teraz to wyłącznie moja inicjatywa. Zanim wycofam się z interesu, zrobię coś dla siebie.

- Znam Schmidta i on wygląda zupełnie inaczej! Na pewno nie jest mordercą! Nie nabierzesz mnie!

- Masz rację, ale jako Hans Schmidt nigdy nie dowiedziałbym się, czym zajmujesz się w wolnym czasie. Nie

trafiłbym nigdy na twoje aukcje. Nie mogłem pokazać ci swojej prawdziwej twarzy, ale powiem ci to, co wczoraj: obie książki są prawdziwe. Sprawdziłem wiek papieru i atramentu. Zapłaciłeś mi wczoraj za to gotówką. Miałeś na sobie jasnobezowe spodnie, beżowo-brązowy sweter w szpic i buty sportowe. Wypiłem u ciebie trzy filiżanki kawy i szklankę wody, podczas gdy ty opowiedziałeś mi kilka historii ze swojego życia. Urodziłeś się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku we Frankfurcie, gdzie dorastałeś. Ukończyłeś studia na wydziale marketingu i zarządzania, opowiedziałeś mi też o swoim ślubie. Kilka historii oczywiście zataiłeś, bo przecież nie były one odpowiednie dla Hansa Schmidta. Na początku lat dziewięćdziesiątych przybyłeś do Kilonii i piętnaście lat temu odziedziczyłeś dużą firmę spedycyjną, co oczywiście nie jest prawdą. Ale skąd taki ktoś jak Hans Schmidt miałby o tym wiedzieć? Przecież taki bęcwał non stop siedzi tylko z nosem w książkach. Schmidt, tak jak ty i Bruhns, pojawia się od czasu do czasu w wyższych kręgach, ale głównie przebywa w Lizbonie. Mam dalej opowiadać?

- Okej, okej. Więc jesteś Hansem Schmidtem. I co z tego?

- Wstań - powiedział Schmidt sucho.

- Sam nie dam rady.

- Wcześniej ci się udało. No już! Rusz się! Sveni udało się wstać dwa razy. To była bardzo silna kobieta. Oprócz niej znam jeszcze tylko dwie kobiety, których siłę i honor podziwiam. Jej śmierć oznacza twój koniec.

W oczach Roberta malowało się przerażenie. Na rękach nadal miał kajdanki. Powoli czołgał się pod ścianę i podniósł się, opierając się o nią. Gdy tylko wstał, Schmidt złapał go gwałtownie za ramię i zaciągnął na środek pokoju.

- Tu mniej więcej stała wczoraj Svenia. Tak?

- Nie odważysz się! Nie ujdzie ci to na sucho! - krzyczał Robert zachrypniętym głosem.

- Powtarzasz się. Od dwudziestu pięciu lat wszystko uchodzi mi na sucho. Wiesz czemu? Bo tak samo jak ty ja również cieszę się protekcją kogoś z góry. To jedyna rzecz, która nas łączy. To jednak niedługo może się zmienić, bo wiem, jak niektórzy reagują, gdy nie przestrzega się ich reguł gry. Dlatego usunę się całkiem z pola widzenia i będę prowadził spokojne życie. Nikt mnie nie znajdzie, bo nie będzie już Pierre'a Douxa ani nikogo innego, tylko Hans Schmidt.

- Dopadną cię. Uwierz mi - syknął Robert.

Gdy kończył wypowiadać ostatnie słowo, pasek ze świstem spadł na jego plecy. Robert wrzeszczał z bólu, ale nie powstrzymało to Schmidta, który uderzał raz po raz, aż Robert nie miał siły stać na własnych nogach. Krzyczał, jęczał, kwilił i błagał o litość. Schmidt nie przestawał. W końcu rozpiął mu kajdanki. Robert wił się z bólu na marmurowej podłodze. Jego skóra, poprzecinana od uderzeń, wisiała w strzępach na ramionach, plecach i klatce piersiowej. Podobnie jak wczoraj u Sveni.

- Nigdy mnie nie dostaną - powiedział Schmidt obojętnie, stojąc nad Robertem. - I jak się teraz czujesz? Podoba ci się, jak ten palący ból przeszywa całe ciało? Ten ból nigdy się nie skończy. Odpowiada ci to?

- Proszę - wyszeptał cicho Robert. - Przestań, proszę. Już więcej nie wytrzymam.

- A czy ty choć raz przestałeś? Przestałeś bić Svenię? Jakoś sobie tego nie przypominam. Wprost przeciwnie, tłukłeś dalej. Twój pasek uderzał tyle razy i z taką siłą, że został z niej tylko krwawiący kawałek mięsa. Pozostało z niej to, co teraz z ciebie. Patrzyłem na zegarek i właśnie minęło dziesięć minut, które pewnie były dla ciebie wiecznością. A teraz proponuję ci coś, czego zwykle nie robię. Jeżeli dasz radę wstać i obronisz się przede mną, pozostawię cię przy życiu. Daję słowo - powiedział Schmidt z lekkim uśmiechem.

Robert nic nie odrzekł. Próbował wstać, ale nie miał siły. Chciał się doczołgać do ściany jak Svenia wczoraj, ale to również mu się nie udało. Podobnie jak jego ofiara dzień wcześniej, tak teraz on leżał wycieńczony na podłodze. Jego głowa była zwrócona w jedną stronę, ramiona miał wyciągnięte do przodu, a dłonie drżały.

- Teraz już wiesz, jak wczoraj czuła się Svenia. A ona nie była jedyną twoją ofiarą. Z zimną krwią zamordowałeś dużo więcej dziewcząt i kobiet...

- Chcę żyć. Proszę... nie zabijaj mnie - szeptał Robert, błagając Schmidta o litość. Udało mu się nawet unieść dłoń, ale po chwili opadła z powrotem. - Pozwól mi żyć.

Schmidt bez słowa sięgnął po nóż i pochylił się nad Robertem. Zbliżył usta do jego ucha.

- Widzisz ten nóż w mojej ręce? To już koniec. Idź do piekła!

Powiedziawszy to, złapał go mocno za czoło, odciągnął głowę do tyłu i długim ruchem przeciął mu gardło. Od razu odskoczył od Roberta i obejrzał swoje ubranie. Nie było na nim śladu krwi. Rozlała się po marmurowej posadzce, jednak dziś nie miał jej kto zmywać. Schmidt spojrział ostatni raz na Roberta, którego oczy, podobnie jak u Sveni, były szeroko otwarte, zupełnie jakby nie chciał poddać się śmierci. Było to jednak nieuniknione.

Na koniec Schmidt wykonał jeszcze swój rytuał.

Zgasiwszy światło, zszedł na dół. Uchylił drzwi i wsiadł do samochodu. W drodze powrotnej słuchał po cichu *La Mer* Debussy'ego i myślał o Marii, do której mimo późnej godziny zamierzał jeszcze zadzwonić. Poza tym planował wykonać jeszcze jeden telefon.

Wtorek, godz. 23.50

- **Halo**, Mario - zaczął rozmowę Schmidt, gdy przebrał się już w spodnie od dresu i bluzę z kapturem. Prysznic zamierzał wziąć dopiero po zatelefonowaniu w obydwie miejsca; bezpośrednio przed pójściem do łóżka. Nie czuł się jednak ani zmęczony, ani wyczerpany, był za to dziwnie podniecony. Wynikało to zapewne z tego, że właśnie zrobił coś, o co nigdy wcześniej by siebie nie podejrzewał. Zwykle zabijał szybko i czysto.

- *Senhor* Schmidt, dzwonisz tak późno... - usłyszał w słuchawce. Jednak w głosie Marii wyczuł radość.

- Przecież u ciebie jeszcze nie ma jedenastej. Jak minął ci dzień, kochanie?

- Był wyczerpujący. Robotnicy mieli kilka problemów, ale mówią, że w tym tygodniu skończą już kominek. Brakuje mi ciebie, *senhor* Schmidt. Łóżko jest takie puste bez ciebie. Kiedy wrócisz?

- Też mi ciebie brakuje, ale mam tu jeszcze dużo do zrobienia. Przynajmniej do połowy tego tygodnia będę zajęty. Proszę, nie smuć się, wiesz, że nic na to nie poradzę. Kocham cię i całymi dniami o tobie myślę.

- Kłamczuch - odpowiedziała, śmiejąc się. - Skoro pracujesz, to jak możesz o mnie myśleć?

- Mogę, bo zawsze sobie wyobrażam, że siedzisz tuż obok i patrzysz na mnie, podczas gdy ja pracuję. Chciałbym, żebyś tu była. Naprawdę.

- Mam przyjechać? Mogłabym odwołać robotników i poprosić, żeby kontynuowali prace dopiero w przyszłym tygodniu. Przyleciałabym jutro i...

- Mario, przecież to absurd. Nie chcę wrócić do domu i znaleźć wielkiej dziury w ścianie. Gdy wrócę, chciałbym usiąść z tobą przed kominkiem i...

- I co?

- I robić wszystko to, co sprawi nam przyjemność. Poza tym to jest na pewno ostatni raz, kiedy tak długo nie ma mnie w domu. Dzwonimy do siebie codziennie i każdego dnia patrzę na twoje zdjęcie; jesteś cały czas przy mnie.

- *Senhor* Schmidt, ty zawsze tak pięknie wyznajesz mi miłość. Dlatego tak mocno cię kocham... Co teraz będziesz robił?

- Wezmę prysznic i położę się już, bo też mam za sobą długi i męczący dzień.

- Mam nadzieję, że idziesz do łóżka sam... - powiedziała Maria, śmiejąc się, lecz on wiedział, że za tym śmiechem kryje się należyta porcja powagi i podejrzeń.

- Muszę cię rozczarować, nie kładę się sam...

- *Senhor* Schmidt, jestem przez ciebie bardzo zła i smutna. Kto jest u ciebie?

- Ty. Tylko ty, Mario. W myślach kładę się z tobą, przytulam cię, zasypiam i wcześniej rano budzę się przy twoim boku. Oprócz ciebie nie ma i nigdy nie będzie żadnej innej kobiety.

- Oprócz ciebie nie ma i nigdy nie będzie przy mnie innego mężczyzny. Kiedy znów zadzwonisz?

- Jutro rano o ósmej twojego czasu i wieczorem oczywiście też. A ty przypilnuj, proszę, robotników, żeby wszystko dobrze zrobili.

- *Senhor* Schmidt, za kogo mnie masz? Jeżeli ktoś tego dopilnuje, to tylko ja. Będziemy mieli najpiękniejszy kominek w całej Lizbonie. Obiecuję. Jak wrócisz, będziemy się przed nim kochać, aż opadniemy z sił.

- Oj Mario, Mario... Mam nadzieję, że nie jesteśmy podsłuchiwani - odrzekł Schmidt ze śmiechem.

- Dlaczego? Przecież nie jest zabronione kochać się przed kominkiem. Poza tym nie wszyscy Niemcy rozumieją portugalski, prawda?

- Nie. Oczywiście, że nie. Nie mogę się już doczekać. Cieszę się na powrót do domu. Będę cię mógł objąć i poczuć twój zapach. Nawet teraz, przez telefon, czuję zapach twych włosów.

- *Senhor* Schmidt, skończmy już lepiej, bo naprawdę jutro do ciebie przyjadę. Wykąp się i idź spać. Niech ci się przyśnię, tak jak ty się śnisz mnie. Kocham cię najbardziej na świecie. Bardziej niż moją rodzinę.

- Ja ciebie też. Liczę do trzech i rozłączamy się w tym samym czasie, okej?

- Okej. Kocham cię.

- Ja ciebie też. Raz, dwa, trzy.

Rozłączyli się. Schmidt trzyma! jeszcze przez chwilę słuchawkę w dłoni i zamyślił się. Skończę z tym interesem i nigdy więcej nie tknę żadnej broni. Mario, co ty, do licha, ze mną zrobiłaś? A może to dlatego, że się postarzałem? Albo dlatego, że w końcu, po dwudziestu pięciu latach, zrozumiałem, że jestem przez wszystkich wykorzystywany; przez wszystkich oprócz Sarah? Zgodziłem się na takie życie; zabijałem ludzi dla pieniędzy i prawie zawsze było to uzasadnione. Tylko śmierć Julianę Cummings nie miała uzasadnienia, była zdradą naszej przyjaźni.

Był smutny i rozgoryczony, mimo że to straszne wydarzenie miało miejsce dziesięć lat temu. Ciągle nie mógł darować sobie śmierci tej nieznajomej dziewczynki, którą zabił razem z Schumannem; jej też nie powinien był zabijać, ale był wtedy taki młody i niedoświadczony. Wyciągnąłem z tego wnioski - pomyślał.

Przymknął na chwilę oczy, twarz mu sposepniała. Po chwili potrząsnął głową i postanowił, że nie będzie niczego żałował. Nie wolno mi. To wszystko by mnie zniszczyło. To, co zrobiłem, jest nieodwracalne. Nie da się już niczego cofnąć. Nigdy! Spoczywaj w pokoju, Julianę; i ty, nieznajoma, też spoczywaj w pokoju. Nie będę już marnował

czasu na takie myśli. Tylko przyszłość się liczy. Tylko przyszłość i teraźniejszość, a przede wszystkim nadchodzące dni, podczas których mam jeszcze tyle do zrobienia.

Wybrał inny numer i czekał. Na wszelki wypadek znów nie będzie nazywał rzeczy po imieniu. Mimo że połączenie było bezpieczne, zawsze podejrzewał, że telefon może być na podsłuchu.

- Tak?

- To ja. Niestety, jest już bardzo późno, ale uprzedzałem w niedzielę.

- Nie szkodzi, i tak jeszcze długo nie miałam zamiaru kłaść się spać. Wszystko załatwiłeś?

- Oczywiście.

- Jak było wczoraj?

- Bardzo nieładnie, delikatnie mówiąc.

- A dziś?

- Dziś wystawiłem rachunek i dostarczyłem go odbiorcy. Nie podobał mu się i jestem pewien, że nigdy się z tego nie otrząśnie.

- Biedaczysko. Co poza tym?

- Poza tym wszystko w najlepszym porządku. Dobrze stoję z czasem i mam nadzieję, że do połowy przyszłego tygodnia uda mi się wszystko pozatwierać. A co u ciebie?

- Po staremu. Życie płynie. Czasami chciałabym spakować walizki i uciec stąd. Odwiedź mnie kiedyś.

- Miałem to w planach, ale niestety nie wiem jeszcze dokładnie, kiedy dam radę.

- Wiem, jesteś taki zapracowany. Uważaj tylko, żebyś się nie dorobił zawału serca, mężczyźni w twoim wieku są najbardziej narażeni.

- Jestem zdrow jak ryba. Robiłem niedawno badania. Jak tam na froncie?

- Zero raportów, zero akcji.

- Bardzo dobrze. Odezwę się ponownie jutro lub pojutrze; zależy, ile uda mi się załatwić w ciągu dnia.

- Tylko bez pośpiechu. Praca nie ucieknie. Trzymaj się i dziękuję.

- Za co? Że znów do ciebie zadzwonię? Przecież to oczywiste. Zawsze możesz na mnie liczyć. Od jutra będę w pobliżu.

- Życzę ci dobrej nocy.

- Nawzajem. Do zobaczenia wkrótce.

Odłożył słuchawkę i poszedł wziąć prysznic. Umył zęby i jeszcze pogimnastykował się trochę przed pójściem do łóżka. Wypił łyk wody z butelki i włączył telewizor. Żaden program nie przykuł jego uwagi, więc wstał i włączył na DVD film *Rybka zwana Wandą*. Obejrzał go do końca, ale teraz nie bawił go tak jak kiedyś. Myślał o swoich zleceniach z przeszłości. Zawsze wydawały mu się stosunkowo łatwe do wykonania. Za tym, czym się zajmował teraz, nie krył się żaden zleceniodawca, ale umowa. Obydwie strony ustaliły, że po wykonaniu zadania spotkają się tylko raz i potem nigdy więcej się nie zobaczą. To był jego warunek.

Długo leżał bez snu, rozmyślając i planując wiele razy nadchodzący dzień, który mógł być najcięższy i najniebezpieczniejszy w jego życiu. Najmniejszy nawet błąd mógł się okazać tragiczny w skutkach. Ale on nie popełni żadnego błędu. Hans Schmidt nie popełnił jak dotąd jeszcze żadnego błędu.

Była trzecia nad ranem, kiedy w końcu zasnął, i dziewiąta, kiedy znów się obudził. Od razu pomyślał o Marii. Wziął telefon i wybrał numer. Maria chyba czekała przy telefonie, bo odebrała po pierwszym sygnale. Ucieszył się, słysząc jej głos.

Środa, godz. 9.10

Wiadomość trafiła do Harmsa w środę dziesięć po dziewiątej i natychmiast poinformował on Henninga i Santos.

- W Suchsдорfie, na terenie firmy spedycyjnej Drexler, znaleziono dwóch martwych mężczyzn. Jeden z pracowników firmy zauważył, że samochód dostawczy stał w innym miejscu niż zwykle. Najpierw spojrział w stronę kabiny kierowcy, ale ta była pusta, a potem zauważył krew zarówno w kabinie, jak i na ziemi w pobliżu samochodu. W dodatku mercedes 500, samochód ich szefa, był zaparkowany tuż obok ciężarówki, chociaż jego samego nie było w biurze. W końcu pracownik otworzył tylne drzwi i znalazł tam dwa ciała. Więcej nic nie wiem. Ale pospieszcie się, zanim koledzy z innych wydziałów was ubiegną, bo raczej ich tam nie chcemy. Zbierzcie wszystkie możliwe informacje i omówimy je razem. Pamiętajcie, rozmawiamy tylko we troje.

- Już nas tu nie ma. A co z chłopakami z kryminalistyki?

- Chcąc nie chcąc, będę musiał ich o tym poinformować. Zadzwoń zaraz do Tónniesa.

- Zapomnij. Jest chory i leży w łóżku.

- Skąd wiesz?

- Wczoraj po południu chciał się z nami spotkać na Dworcu Głównym.

- O piątej? A nie mówiliście mi przypadkiem, że chcecie jechać do pani Bruhns? - zapyta! Harms, unosząc brwi.

- Przepraszamy, ale nie chcieliśmy cię wczoraj jeszcze i tym obciążać. Wyglądało na to, że i tak byłeś bardzo spięty i...

- Ico?

- Daj spokój, Volker - wtrącił się Henning, oparłszy się dłońmi o blat stołu. - Byłeś wczoraj wykończony,

przecież oboje to zauważyliśmy. No, chyba że masz nas za głuchych i ślepych. Dlatego przemilczeliśmy tę sprawę z Tönniesem. Okej?

- Dobra już, dobra - powiedział cicho Harms i prawie niezauważalnie kiwnął głową. - Coś wynikło z waszego spotkania?

- Nic, bo on się wcale nie zjawił. Czekaliśmy i czekaliśmy. O szóstej jeszcze go nie było. Nie odbierał komórki ani telefonu w biurze, więc zadzwoniliśmy w końcu do domu. Rzekomo uskarżał się na serce i dlatego leży i musi odpoczywać.

- Dlaczego rzekomo?

- Wydaje nam się, że ze strachu załatwił sobie lewe zwolnienie do czasu, aż wszystko wróci do normy.

- A czego miałyby się bać?

- Mój Boże, Volker, przecież Tönnies był pierwszym, który w sobotę znalazł to DNA. Ktoś musiał się o tym dowiedzieć i teraz wywiera na niego nacisk, a Günter nie należy przecież do takich, co to od razu się wycofują. Jürgens też się boi i nie chce mieć z nami do czynienia. Najdziwniejsze jest to, że na nas do tej pory nikt nie naciskał. Ale to nie oznacza, że nie spróbują.

- Później o tym pogadamy, a teraz uciekajcie. I zadzwońcie do mnie, gdy się tam już rozejrzycie.

- Ma się rozumieć.

- Czy mi się wydaje, czy Volker jest dziś jakiś inny niż ostatnio? - zagadnęła Santos, gdy szli przez podwórko.

- Nie wydaje ci się. Też to zauważyłem - odpowiedział krótko Henning, spoglądając na ulicę. Zamyślił się, ale nie chciał się dzielić z Santos swoimi spostrzeżeniami. Milczeli przez pięć minut, każde było bowiem pogrążone w myślach. Santos czuła jakieś wewnętrzne napięcie, jednak nie umiała powiedzieć, co jest jego powodem. Czuła się tak,

jakby przygotowywała się do walki karate. Ostatnią odbyła rok temu i może nadszedł już czas, aby wziąć udział w kolejnej. Poza tym musiała koniecznie iść na strzelnicę, bo ostatnie dwa terminy przegapiła.

- Najpierw Bruhns i Steinbauer, potem, zaledwie po trzech dniach, dwa trupy w ciężarówce. Trochę dużo jak na nasze spokojne miasteczko - powiedziała w końcu.

- Yhm.

- Twoja babcia dzwoniła wcześniej.

- Yhm.

- I komisariat wyleciał w powietrze.

- Yhm.

- Wybuch rozwalił nawet Urząd Stanu Cywilnego.

- Yhm.

- Sóren, czy ty mnie w ogóle słuchasz? O czym myślisz?

- Co?

- Co tam się dzieje w twojej łepetynie? Halo, to ja, Lisa.

- Przepraszam, mam mętlik w głowie.

- Trudno nie zauważyć. O czym myślisz?

- Sam nie wiem.

- Nie kłam. Dobrze wiesz, tylko nie chcesz powiedzieć. Okej, nie, to nie - powiedziała Santos i udała obrażoną.

- Bzdura. Zastanawiam się tylko, co tu się dzieje. Ki-lonia nie jest dużym miastem, a nagle mamy martwego Bruhnsa i Steinbauer i następne dwa trupy. Obawiam się, że to może nie być koniec. Tylko kto tu z kim walczy?

- A jeżeli nie jest to żadna wojna i nikt tu z nikim nie walczy?

- Jak to? A co innego miałyby to być?

- To chyba nie wojna. Gdyby były to dwie rywalizujące ze sobą bandy... Ale co mieliby z nimi wspólnego Bruhns i Steinbauer? Gangi młodzieżowe zwalczają się nawzajem,

ale nigdy nie ruszyłyby Bruhnsa. Dlaczego on jednak nie miał żadnego ochroniarza w Schönbergu? Czyżby czuł się tam tak bezpiecznie?

- Wygląda na to, że w naszym świecie wszystko jest jeszcze jakoś poukładane - powiedział Henning, uśmiechając się. - Kloze powinien wiedzieć, czy w zorganizowanym świecie przestępczym coś się teraz dzieje. Może miałby jakieś informacje o Bruhnsie, bo myślę, że tym się właśnie zajmował.

- A Steinbauer?

- Możliwe, że też. Musiała przecież jakoś zdobyć te pieniądze. Osiemnastolatka z domu dziecka milionerką? Coś tu śmierdzi.

- Zaraz będziemy na miejscu. Rozmawiamy tylko

o najważniejszym, okej?

- Nic innego nie zamierzałem.

- A gdybyśmy założyli, że zorganizowana grupa przestępcza trzęsie miastem i okolicami Kilonii...

- Wtedy od razu postawiłbym moją roczną pensję, że Rüter albo jakiś inny idiota odsunąłby nas od tej sprawy

1 przydzielił ją policji krajowej.

- Nie spiesz się tak, bo mógłbyś przegrać, kochanie.

- Przecież tak się tylko mówi. Volker jednak coś kręci. Nigdy bym nie przypuszczał, że będzie nas oszukiwał.

- Daj spokój. Przypomnij sobie, jak nas osłaniał w ciągu tych kilku ostatnich lat. Nieraz musiał kłamać. Dużo mu zawdzięczamy.

- Racja. W innych wydziałach też oszukują. Z niedowierzaniem patrzę na Rüterera, jak on wszystko potrafi obrócić tak, żeby mu pasowało. Wszystko dla niego jest jak chorągiewka, którą można dowolnie ustawić.

- Zapomnij teraz o Rüterze. Zajmijmy się tą sprawą, bo nie ma sensu rozmyślać, co może się wydarzyć za kilka godzin.

Już z daleka zauważyli duży plac z ciężarówkami różnej wielkości i wozami patrolowymi. Skręcili i wjechali na teren firmy Drexler Transport Międzynarodowy, gdzie otoczono już taśmą miejsce wokół siedmioipółtonowego samochodu dostawczego i stojącego obok ciemnoniebieskiego mercedesa 500.

Henning i Santos wysiedli z wozu i podeszli do obecnych tam policjantów.

- Coś już ustalono? - zapytał Henning.

- Nie.

- Okej, kto znalazł ciała?

- Ja - odpowiedział starszy mężczyzna w niebieskich spodniach, kraciastej koszuli i roboczych butach.

- Proszę tu poczekać, rozejrzemy się trochę i zaraz chcielibyśmy z panem porozmawiać.

Drzwi od strony kierowcy były otwarte. Ślady krwi widniały wokół kabiny kierowcy i ciągnęły się na odcinku kilku metrów. Również z tyłu wozu dostrzegli duże kałuże krwi. Henning i Santos zrobili swoimi telefonami kilka zdjęć, a potem poszli obejrzyć ciała. Obaj mężczyźni zostali tak ułożeni, że od razu widać było rany postrzałowe, nie trzeba było wchodzić do wnętrza i ruszać zwłok.

- To morderstwo pierwsza klasa. Ten, kto to zrobił, zna się na swoim fachu. Bruhns, Steinbauer i teraz tych dwoje. - Henning podszedł jak najbliżej. Nie chciał niczego dotykać, aby nie zatrzeć ewentualnych śladów. - Ten z lewej ma około dwudziestu pięciu lat, a ten drugi ze trzydziestkę. Każdy dostał po jednym strzale w głowę i tors. Więcej obrażeń nie widzę, ale nie wygląda na to, żeby potrzebowali więcej. Myślę jednak, że tego z lewej postrzelono, stojąc naprzeciw niego, a do drugiego strzelano z boku. Z tego wynikałoby, że ten z prawej był kierowcą. Co o tym myślisz? - zapytał Henning.

- Możliwe. Zrób im jeszcze kilka zdjęć.

Powiedziawszy to, odwróciła się i odeszła. Chciała porozmawiać z mężczyzną, który znalazł ciała.

- Nazywam się Santos, wydział zabójstw. Kiedy dokładnie zorientował się pan, że coś tu nie gra?

- W zasadzie już rano, gdy przyszedłem do pracy około szóstej. Chciałem załadować towar i wtedy zdziwiło mnie i kolegów, że samochód szefa tu stoi. Normalnie nie pojawia się w firmie przed dziesiątą czy jedenastą. Już skończyliśmy załadunek i mieliśmy iść na śniadanie, gdy zdecydowałem się tam pójść. Wtedy zauważyłem, że wóz dostawczy nie stoi tam, gdzie zwykle. Zawsze stoi tam z tyłu i używamy go tylko do transportu na terenie Kilonii, bo ma ładowność siedem i pół tony. Chciałem otworzyć drzwi do kabiny i zdziwiłem się, kiedy okazało się, że były otwarte. Później zajrzałem do środka i znalazłem tych dwóch.

- Zna pan tych mężczyzn?

- Nie, nigdy wcześniej ich nie widziałem.

- Na pewno?

- Oczywiście. Dlaczego miałbym kłamać? Nie znam ich. Nikt ich tu wcześniej nie widział. Wszystkich już pytałem.

- Gdzie możemy znaleźć pańskiego szefa?

- Nie mam zielonego pojęcia. Próbowaliśmy już wiele razy się z nim skontaktować. Dzwoniliśmy pod wszystkie numery. Niestety, bezskutecznie. Nie odbiera.

- To ile numerów do niego macie?

- Cztery, dwa komórkowe i dwa stacjonarne.

- Udostępniłby pan je nam?

- Bardzo proszę. Przygotowałem już listę.

- Dziękuję. Bardzo przezornie - powiedziała Santos i schowała kartkę z numerami do kieszeni. - Ten mercedes należy do pańskiego szefa, tak?

- Yhm. To jego znak rozpoznawczy. On też jest otwarty.

- Dotykał go pan?

- Tak. Co w tym dziwnego?
- Zostawił pan odciski. Ktoś z wydziału kryminalistyki pobierze od pana odciski palców. Powie nam pan jeszcze, jak prosperuje firma?
- Bardzo dobrze. Kryzys gospodarczy dla nas nie istnieje. Szef ma stałych klientów i wciąż zdobywa nowych. Na początku roku musieliśmy nawet kupić dwie dodatkowe ciężarówki i zatrudnić trzech ludzi.
- Czy ostatnio zauważył pan coś podejrzanego u szefa? Inaczej się zachowywał? Może był nerwowy...
- Nie. Był taki jak zawsze. Zresztą on nigdy nie siedział w firmie więcej niż trzy, cztery godziny. Przyjeżdżał i wydawał zwięzłe polecenia, a potem wychodził. Wygląda na to, że albo został porwany, albo zabity.
- Niewykluczone. W każdym razie dziękujemy za pomoc. Potrzebowalibyśmy jeszcze listy pracowników, włącznie z ich adresami i numerami kontaktowymi.
- Szef ma te dane w swoim biurze. Jego sekretarka, pani Kubaschenko, powinna mieć do nich dostęp.
- Gdzie ją znajdziemy?
- Na pewno w środku, nie chciała tego wszystkiego oglądać. Zresztą i tak już wcześniej cały czas płakała.
- Co oznacza RK na znaczku mercedesa?
- To inicjały szefa. Robert Klein.
- Hm. Myślałam, że pański szef nazywa się Drexler.
- Już od dawna nie. Stary Drexler zmarł i jego syn miał przejąć po nim firmę, ale zanim do tego doszło, miał wypadek.
- Nie żyje?
- Yhm.
- Od kiedy pan tu pracuje?
- Od ponad trzydziestu lat.
- Więc jak doszło do tego, że pan Klein stał się właścicielem firmy?

- Przyjaźnił się ze starym Drexlerem... - powiedział mężczyzna, wzruszając ramionami, po czym pokręcił głową i dodał: - Nie wiem dokładnie. Szef nigdy o tym nie wspominał. Po prostu pewnego dnia oznajmił, że jest nowym dyrektorem i przejmuje firmę wraz ze wszystkimi pracownikami. Nazwa firmy Drexler Transport Międzynarodowy pozostała bez zmian.

- A jak się panu współpracuje z Kleinem?

- Nie narzekam, ale ze starym było lepiej. Gdy Klein ma gorszy dzień, to bywa ciężko. Ale do wszystkiego się człowiek przyzwyczai.

- Dobrze. To tyle. Proszę być do naszej dyspozycji w razie potrzeby oraz powiadomić pozostałych pracowników, żeby nie udzielali żadnych informacji prasie.

Po zabezpieczeniu śladów nadjechał profesor Jiirgens. Fotograf zrobił serię zdjęć ofiar, okolicy i śladów krwi na asfalcie.

Podczas gdy Santos przesłuchiwała kolejnych pracowników firmy, Henning rozmawiał z Jurgensem.

- Nie sądziłem, że tak szybko znów się spotkamy. Założę się o trzy kolejki whisky, że mamy tu do czynienia z tym samym sprawcą, który zabił Bruhnsa. Przyjmujesz zakład? - zapytał cicho Henning.

- Nie, bo przegram - odpowiedział Jiirgens równie cicho.

- Jak długo nie żyją?

- Nie mógłbyś chwilę poczekać? Nie bądź taki niecierpliwy.

- To nie ma nic wspólnego z niecierpliwością. Dla nas liczy się każda sekunda.

- Dlaczego?

- Mam przeczucie, że Bruhns i ci dwaj tutaj to tylko początek. Dlatego.

- Też o tym myślałem. Boisz się Riitera, co? Słusznie. A teraz daj mi popracować.

Jurgens dokonał wstępnych oględzin i w końcu stwierdził:

- Nie żyją od około dwunastu godzin. Plus minus godzina. Szczegóły po sekcji zwłok. Steżenie pośmiertne jest u obu w pełni zaawansowane. Ten tutaj - wskazał na ciało mężczyzny leżącego po prawej - uderzył głową o asfalt; i to nie z pozycji stojącej, lecz z góry. Powiedziałbym, że albo zastrzelono go w kabinie kierowcy i wypadł na asfalt, albo stał tu na górze i upadł po strzale, uderzając głową o ziemię. Znasz może któregoś? Albo obu?

- Nigdy ich nie widziałem.

- Pracowali w tej firmie?

- Z tego, co ustaliłem, nikt ich tu nie zna.

- A szef?

- Zniknął bez śladu. Tu obok stoi jego samochód.

- Słuchaj, jeżeli nikt mi nie przeszkodzi, to dostaniecie jeszcze dziś wyniki sekcji zwłok. Zrozumiałeś?

- Jasne. Już prawie tu skończyliśmy, jeszcze tylko potrzebujemy listy z danymi pracowników. Dzięki za pomoc.

Po jakimś czasie Santos i Henning weszli do biura, w którym za biurkiem siedziała młoda, zapłakana kobieta. Miała około trzydziestu lat i była bardzo atrakcyjna. Na tabliczce stojącej na jej biurku widniał napis: Anna Kuba-schenko. Spojrzała na nich czerwonymi od płaczu oczyma.

- Państwo z policji? - wykrztusiła.

- Nazywam się Santos, a to mój partner, komisarz Henning. Mamy kilka pytań. Pani Kubaschenko, kiedy pani widziała pana Kleina po raz ostatni?

- Wczoraj przed południem był w biurze. Wykonał kilka telefonów i poszedł. Wcześniej jeszcze zostawił mi na stole kilka kartek z poleceniami.

- Zawsze przychodził sam?

- Nie rozumiem, co ma pani na myśli?

- Tylko to, że na zewnątrz leżą ciała dwóch mężczyzn, których nikt tu nie zna i...

- Ja też ich nie znam. Nigdy wcześniej ich nie widziałam.

- Czy pan Klein jest żonaty?

- Nie. I nie sądzę, żeby kiedykolwiek był. Zresztą nigdy o tym nie mówił.

- Jak długo pani tu pracuje, pani Kubaschenko? - zapytała Santos.

- Od siedmiu lat.

- Pochodzi pani z Rosji?

- Mam pochodzenie niemiecko-rosyjskie. Moi przodkowie byli Niemcami, ale ja przeprowadziłam się do Kilonii w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku.

- Ile miała pani wtedy lat?

- Dziesięć.

- Czy dobrze układają się stosunki między panią i panem Kleinem?

- Tak. Oczywiście. Zawsze jest bardzo miły i przyjacielski. Prawdziwy dżentelmen, jakich dziś rzadko się już spotyka.

Z tego, co mówi, wynika, że jest w nim zakochana, ale on nie odwzajemnia jej uczucia, pomyślała Santos. Jej oczy błyszczą, jak o nim mówi. Ona go kocha, lecz bez wzajemności.

- Czy w ostatnim czasie wydarzyło się coś szczególnego?

- Co ma pani na myśli?

- Telefony od nieznanym osób, pogróżki wobec pana Kleina albo firmy? Czy szef zachowywał się inaczej? Może był nerwowy, wybuchał albo też zamykał się w sobie? Każda tego typu informacja mogłaby nam bardzo pomóc, dlatego proszę się dobrze zastanowić.

Sekretarka myślała przez chwilę.

- Nic takiego nie zauważyłam. Zachowywał się zupełnie normalnie i nic wyjątkowego chyba się nie wydarzyło. Nie było żadnych gróźb, nawet nigdy nie słyszałam, żeby pan Klein miał jakichś wrogów. Wczoraj dostałam nawet od niego kwiaty, bo upłynęło siedem lat, odkąd tu pracuję. Jak dotąd zawsze pamiętał o urodzinach moich i wszystkich pracowników. Pan Klein jest naprawdę bardzo dobrym pracodawcą. Zawsze myśli o wszystkim i o wszystkich.

- Sóren, czy mógłbyś mnie na chwilę zostawić samą z panią Kubaschenko?

- Tylko nie zapomnij o aktach - rzucił Henning, wychodząc na zewnątrz.

- Nie chciałabym być niedyskretna, ale wydaje mi się, że łączy panią z panem Kleinem coś więcej niż tylko stosunki zawodowe - powiedziała Santos i po chwili dodała:

- Może mi pani śmiało powiedzieć. Prędzej czy później i tak się tego dowiemy.

Anna Kubaschenko zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Nie. Nic nas nie łączy, ale uważam, że jest to bardzo miły mężczyzna i przydałaby mu się partnerka.

- Myśli pani o sobie?

- Jak dotąd nigdy jeszcze nie spotkałam mężczyzny, który nie tylko dobrze wygląda, ale też jest dobrze wychowany, kulturalny i uprzejmy. Ma pani rację, chętnie usłyszałabym, że on odwzajemnia moje uczucia, ale tak się raczej nigdy nie stanie. Już jak zaczynałam tu pracę, to...

- Kubaschenko nie dokończyła zdania.

- Czy kiedykolwiek widziała go pani z jakąś kobietą?

- Nie. Nigdy też nie słyszałam o tym, żeby się z jakąś spotykał.

- Czy to możliwe, żeby kobiety go nie interesowały? To znaczy, czy był odmiennej orientacji?

- Nie sędę. Chybabym to jakoś wyczuła. Raczej łatwo potrafię rozpoznać, kto jest jakiej orientacji. Proszę, niech pani go znajdzie... Tak się martwię, że coś mogło mu się stać.

- Oczywiście. Mamy nadzieję, że nic złego się nie wydarzyło, gdyby jednak tak się stało, to kto przejmie tę firmę?

- Nie mam pojęcia i szczerze mówiąc, nawet nie chcę o tym myśleć. Proszę mnie już zostawić samą...

- Jeszcze chwilę. Firma nosi nazwę Drexler Transport Międzynarodowy, ale czym się dokładnie zajmujecie? Skąd i dokąd przewożone są towary?

- Głównie zajmujemy się transportem pomiędzy krajami Europy Wschodniej, czyli na przykład Polską, krajami bałtyckimi, ale też Rosją, Ukrainą, Rumunią i Bułgarią. Jeździmy oprócz tego na zachód, do Francji i Hiszpanii.

- Ale przeważnie są to kursy do Europy Wschodniej, tak?

- Tak. Zgadza się.

- Co przewozicie?

- Właściwie wszystko, w tym żywność i niebezpieczne substancje. W większości są to części samochodowe oraz sprzęt AGD i RTV. W zeszłym tygodniu przewoziliśmy bardzo czułe urządzenia do Instytutu Sejsmologicznego w Moskwie.

- Dziękuję za pomoc. Jeszcze tylko prosiłabym o listę pracowników oraz ich dane kontaktowe, szczególnie interesują nas adresy i numery telefonów. Pomocna byłaby również lista państwa partnerów biznesowych i klientów.

- Czy nie potrzebują państwo do tego nakazu sądowego?

- Nie, przy takim zagrożeniu nie potrzebujemy go. Oczywiście wszystkie dokumenty, które nam pani udostępni, zwrócimy. Powiedziano nam, że pan Klein ma cztery numery telefonów. Czy pani może wie, ile ma posiadłości?

- Wiem o kilku. Pan Klein odziedziczył po panu Drexlerze apartament w Kilonii i willę w Mónkebergu. Ma też inne posiadłości za granicą.

- To znaczy, że jest bogatym człowiekiem.

- Chyba można tak powiedzieć.

- Czy mogłaby mi pani napisać dokładne adresy posiadłości w Kilonii i Mónkebergu?

- Oczywiście - odrzekła Kubaschenko i po chwili podała Santos karteczkę.

- Czy pan Bruhns bywał tu czasem?

- Ma pani na myśli tego pana Bruhnsa, który został zamordowany?

- Tak.

- Nie, dlaczego miałby tu przychodzić?

- Nieważne. Tak tylko zapytałam.

- Tu są wszystkie dokumenty. Bardzo proszę o ich jak najszybszy zwrot. Zwykle nie wolno mi ich nikomu udostępniać.

- Rozumiem. Zrobimy kopie i jeszcze dziś po południu albo najpóźniej jutro rano na pewno do pani wrócą.

- Znajdą go państwo, prawda?

- Znajdziemy. Obiecuję.

- Oby żył.

- Oby. Proszę myśleć pozytywnie - pocieszyła ją Santos i pomyślała, że wygaduje bzdury. Ten człowiek pewnie nie żyje, ale został zamordowany w jakimś innym miejscu.

- Jeszcze raz dziękuję. Odezwę się, gdy tylko będę miała jakieś informacje. Tylko jedna rada: jest pani piękną kobietą i mogłaby mieć pani każdego mężczyznę, niech pani nie traci czasu na znak od pana Kleina, przecież są też inni faceci.

- Niełatwo jest wyleczyć się miłości.

- Nie musi się pani wyleczyć z miłości, tylko musi pani gdzie indziej ulokować swoje uczucia. Od siedmiu lat pani tu pracuje i z tego, co zrozumiałam, on ani razu nie próbował zdobyć pani serca. Skoro dotąd nic nie zrobił w tym kierunku, to już raczej nie zrobi. - Wychodząc, dodała jeszcze: - Bardzo bym prosiła, żeby nie rozmawiała pani z prasą, bo mogłoby to tylko niepotrzebnie zakłócić śledztwo.

Anna Kubaschenko kiwnęła tylko głową i łzy spłynęły jej po policzkach. Kobiety pożegnały się i Santos wróciła do Henninga, który czekał na nią niecierpliwie.

- Co tak długo? - zapytał, idąc do samochodu.

- Kubaschenko jest po uszy zakochana w swoim szefie, niestety bez wzajemności. Jak tak dalej pójdzie, to skończy jako dziewczica i nigdy nie pozna żadnego mężczyzny...

- Szkoda, taka ładna kobieta...

- Sóren, chciałabym ci przypomnieć o swoim istnieniu - powiedziała Santos z uśmiechem, wskazując na siebie.

- Daj spokój. Przecież mogę powiedzieć, kiedy jakaś kobieta jest ładna. A tak do twojej wiadomości - ona i tak nie jest w moim typie. Wystarczy ci to?

- A jaki jest twój typ?

- Południowy. Ciemne włosy, brązowe oczy i niewyparzony język...

- O nie, to ostatnie musisz cofnąć.

- Liso, nie mamy czasu na żarty. Volker właśnie dzwonił, że Rüter jest u niego w biurze, a wiesz, co to oznacza...

- To było do przewidzenia, ale my prowadzimy tę sprawę dalej. Rüter może mnie pocałować...

- Nie ominiemy go, to do niego należy ostatnie słowo.

- Jeszcze zobaczymy.

Środa, godz. 11.15

Komisariat w Kilonii. Biuro Volкера Harmsa.

- Co dla mnie macie? - zapyta! Harms i wstał z za biurka, aby otworzyć okno. Nie pomogło to jednak w niczym, gdyż nadal w pokoju unosił się wyraźny zapach alkoholu. Cokolwiek zmusiło Harmsa do sięgnięcia po butelkę, musiało być bardzo poważne. Santos i Henning liczyli tylko, że nie ma to żadnego związku z obecnymi wydarzeniami. Wielu policjantów sięga po alkohol lub narkotyki. Jest też wiele małżeństw, które z tego powodu się rozpadają, do tego przyczyniają się także nienormo-wane godziny pracy stróżów prawa i liczne nadgodziny. Santos jednak nie chciała dać po sobie poznać, że martwi ją zachowanie Harmsa, i dlatego odpowiedziała mu pytaniem na pytanie:

- Czego chciał Rüter?

- W zasadzie niczego. Przyszedł, żeby mi oznajmić, że sprawę Kleina również trzeba przeprowadzić bardzo dyskretnie - odpowiedział Harms, po którym wcale nie widać było, żeby pił alkohol. Może tylko był trochę bardziej rozluźniony niż przed dwiema godzinami.

- Właśnie to zamierzamy zrobić. Słuchaj teraz, to przedstawię ci skrót wydarzeń - powiedziała Santos. - Pojechaliśmy na miejsce, a tam dwa ciała w siedmioipółto-nowym wozie dostawczym. Obaj mężczyźni zamordowani, podobnie jak Bruhns i Steinbauer - zbrodnia doskonała. Wygląda na to, że sprawca zastrzelił jednego w kabinie kierowcy, a drugiego przed samochodem. Następnie wrzucił oba ciała na tył tego furgonu. Szef spedycji zaginął bez śladu, ale mamy już adresy jego posiadłości w Kilonii i Mönkebergu...

- To co wy tu jeszcze robicie?

- Przecież kazałeś nam przyjechać i zdać raport - bronił się Henning.

- Mogliście to chyba załatwić telefonicznie. Jedźcie i wróćcie dopiero wtedy, gdy sprawdzicie te miejsca.

- Już wychodzimy. Tu są dokumenty do skopiowania. - Lisa położyła na biurku segregator, który dostała od Anny Kubaschenko.

- Co to?

- Zobaczysz. Nas już tu przecież nie ma - odpowiedziała, śmiejąc się.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Henning, gdy szli do samochodu.

- Do Mónkebergu.

- Czemu najpierw tam?

- Przeczucie. Spotkaliśmy się tam wczoraj z Albertzem, a Klein przecież też ma tam dom. Myślisz, że to przypadek? - Santos zmarszczyła czoło i zacisnęła usta.

- Nie ma przypadków. Ktoś kiedyś powiedział, że przypadek to pseudonim Boga, którego używa, gdy nie może podpisać się swoim imieniem.

- Nie wyjeżdżaj tu teraz z Bogiem. Najwyraźniej może być wszędzie, ale na pewno nie w Kilonii.

- Okej. Ale przypadek to także synchronizacja wydarzeń.

- Co? Daj spokój z tymi głupotami.

- A ty co masz taki zły humor?

- Zadaję sobie to samo pytanie i dziwię się, że ty masz taki dobry. Co chwila pojawiają się nowe ciała, mało się o nie nie potykamy, a ty...

- Dobrze, już dobrze. Jedźmy do Mónkebergu.

Nie minęło nawet pięć minut, odkąd Santos i Henning wyszli z komendy, gdy zadzwonił telefon Lisy.

- Tak? - odebrała. Na wyświetlaczu nie było numeru.

- Gdzie jesteście? - usłyszała znany już głos.
- Nie powinno to pana interesować. Będziemy rozmawiać dalej dopiero wtedy, gdy dowiem się, z kim mam przyjemność.
- Byliście już w Mönkebergu?
- Dlaczego pan pyta? - Santos zmarszczyła czoło. Czowała, jak jej serce zaczyna bić coraz szybciej.
- Byliście czy nie?
- Nie.
- Proszę posłuchać, jedźcie do Mönkebergu...
- Właśnie tam jedziemy - przerwała mu ostro Santos. - Czy coś jeszcze?

- To czemu od razu pani nie mówi? Nie dostaniecie się jednak na posesję, nie znając kodu do bramy. Po prawej stronie bramy należy przesunąć metalową klapkę i wcisnąć na klawiaturze następujące cyfry: jeden-dziewięć-dwa--osiem. Zrozumiała pani?

- Tak. Dlaczego nie powie nam pan, kim jest?

- Proszę uważać, z kim w najbliższym czasie będziecie rozmawiali. Nie wszyscy, którzy będą mili, mają w stosunku do was dobre zamiary. Nóż wbity w plecy zauważy się dopiero wtedy, gdy się go poczuje. Pamiętajcie o tym. Aha, to, czego szukacie, znajduje się na pierwszym piętrze.

Rozmówca rozłączył się. Santos spojrzała bezradnie na Henninga. W jej oczach widać było zwątpienie. Z każdą kolejną rozmową uczucie, że są non stop obserwowani, stawało się coraz silniejsze.

- To znów on?

- Poznałeś? Tak. Wygląda na to, że wie, co robimy, chociaż o to zapytał.

- Czego chciał?

- Podał mi kod do bramy - odparła zdezorientowana. Jej ręce nerwowo przeczesywały włosy. Była zdenerwowana i nie ukrywała tego.

- Jakiej bramy?

Santos odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili. Zupełnie jakby musiała otrząsnąć się z letargu.

- Powiedział, żebyśmy jechali do Mönkebergu. Jak mu oznajmiłam, że właśnie jesteśmy w drodze, to wytłumaczył mi, jak wejść na posesję. Dodał jeszcze, żebyśmy teraz uważali, z kim rozmawiamy... Nie... właściwie powiedział, że mamy być ostrożni.

- Przecież jesteśmy.

- Miejmy nadzieję.

Środa, godz. 11.55

Zaparkowali na ulicy przed dużą posiadłością. Wysokie choinki otaczały willę, a prosta droga prowadziła do garażu. Na takie wspaniałości mógł sobie pozwolić tylko ktoś bardzo bogaty.

- Jaki to był kod?

- Jeden-dziewięć-dwa-osiem.

Brama się otworzyła. Wjechali do środka i zatrzymali się przed garażem. Podeszli do domu, w którego oknach wszystkie rolety były opuszczone i w którym, podobnie jak u Bruhnsa, drzwi wejściowe były tylko przymknięte.

Z przedsionka weszli do dużego pomieszczenia.

Santos od razu ruszyła do schodów.

- Może najpierw rozejrzyjmy się tu, na dole? - zapyta! Henning.

- Informator powiedział, że to, czego szukamy, znajduje się na piętrze.

- Nie wspominałaś o tym.

- Przepraszam, mam mętlik w głowie. Zauważyłeś coś?

- Mówisz o czarnych zasłonach? Strasznie ponuro, też ci się tak wydaje?

- Nie wiem. Mnie tam bez różnicy - odpowiedziała i ruszyła dalej.

Gdy weszli na pierwsze piętro, zauważyli lekko uchylone drzwi do jednego z pomieszczeń. Santos weszła do środka i od razu stanęła jak wryta. Zakryła dłonią usta, jakby miała zaraz zwymiotować. Henning stał przy wejściu.

- Co to jest? - powiedział z odrazą i zbliżył się o kilka kroków. Na marmurowej podłodze leżał powykrecany mężczyzna, którego tułów był krwawiącym strzępem mięsa. Oczy miał szeroko otwarte, a głowa leżała w kałuży krwi, która nie tylko zebrała się wokół ciała, ale też popłynęła strugą na odległość mniej więcej jednego metra. Już zdążyła zakrzepnąć.

Po prawej stronie zwłok stało około trzydziestu krzeseł, a przed nimi leżał gruby biały dywanik. Dopiero teraz Henning zauważył, że oświetlenie było włączone, a wszystkie okna zasłonięte. Zamknął na chwilę oczy.

- Mogę się założyć, że to właśnie Klein - powiedział.

- A któż by inny? Tylko dlaczego tak go potraktowano? To raczej nie wygląda na szybką i bezbolesną śmierć - stwierdziła z ironią Santos, zupełnie jakby nie chciała przyznać, jak się czuła, oglądając ten widok. Tylko spokojnie - pomyślała, gdy żołądek znów dał jej o sobie znać.

- Długo cierpiał, zanim poderżnięto mu gardło. Z pewnością żył jeszcze, gdy go torturowano, inaczej nie byłoby tu tyle krwi. Nie wiadomo, ile zdążyło wypłynąć przed jego śmiercią. - Mówiąc to, Henning wskazał na zakrzepły strumień krwi. - Podcięto mu gardło, gdy jeszcze żył. Stąd tyle krwi. Praktycznie się wykrwawił.

Santos nie podjęła tematu.

- Co on miał wspólnego z Bruhnsem? - myślała na głos. - Właściciel firmy spedycyjnej i producent muzyczny? Jeden żył w światłach jupiterów, drugi raczej w cieniu,

nie rzucając się w oczy. Jeszcze kilka godzin temu nie znaleźliśmy nawet jego imienia. Co prawda widziałam już logo firmy na ciężarówkach, ale nazwisko Robert Klein nic mi nie mówi. A tobie?

Henning pokręcił głową.

- Co musiał zrobić, że kazano mu tak cierpieć? U Bruhnsa i Steinbauer atropina i to dziwne ułożenie ciała, a tu brutalne morderstwo. Zupełnie różne zabójstwa, a mimo wszystko coś je łączy. Tylko co?

- Też nie wiem, ale nasz informator wie wszystko o tych trzech zabójstwach, więc jest w jakimś stopniu w to zamieszany. Jaki jest między nimi związek? O Bruhnsie wiemy, że był pedofilem, a o Kleinie na razie nic poza tym, że był właścicielem firmy spedycyjnej...

- Liso, mam pewien pomysł. Spedycja. Nic ci to nie mówi?

Santos zacisnęła powieki i przytaknęła.

- Chyba wiem, co masz na myśli. Uważasz, że Klein mógł być zamieszany w handel ludźmi? Za odpowiednią ilość gotówki dostaniesz wszystko, nawet największy przekręt i każde świństwo da się załatwić...

- Ale łapówka nie wchodzi w grę. Trzeba tylko mieć układy i zrobić to tak, żeby logistycznie wszystko się zgadzało...

- Jasne! Układy z kim? Ze służbą graniczną? Z policją? A może ze służbą bezpieczeństwa? - Santos zamilkła. Dotknęła palcem ust i nie spuszczać wzroku ze zwłok, dodała: - Albertz ujawnił nam tylko część informacji. Zadzwoń po kryminalistyków i Klause. Nie chcę tu żadnego innego lekarza sądowego.

- Zadzwonię po ekipę, a ty do Klause - powiedział Henning.

Santos wybrała numer Jiirgensa. Odebrał dopiero po dłuższej chwili.

- Klaus, zostaw wszystko i przyjeżdżaj jak najszybciej. Jesteśmy w Mönkebergu, ulica...

- Chwila, chwila. A do czego tam jestem potrzebny?

- Znaleźliśmy Kleina, tak przynajmniej przypuszczamy. Pospiesz się, później ci wszystko wyjaśnimy.

- Będę u was za piętnaście minut. Chyba, żebym prędzej trafił do ziemi, to wtedy przejmijcie sprawę.

- Okej, tylko się pośpiesz.

Jürgens pierwszy dojechał na miejsce zbrodni.

- Ups, to mu się dostało. Jesteście pewni, że to Klein?

- Przecież łatwo go rozpoznać po twarzy - odpowiedziała Santos.

- Poczekać, aż zrobimy wszystkie zdjęcia. Skąd wiedzieliście, że go tu znajdziecie? - zapytał.

- Intuicja.

- Aha. A dlaczego chcieliście, żebym to właśnie ja tu przyjechał?

- Żebyś nam w ciągu kilku godzin powiedział, czy znalazłeś coś szczególnego - odparła. Oblizwała usta i czekała na jego reakcję.

- A więc jednak próbujecie mnie w to wciągnąć. Mogłem się tego spodziewać, ale tak łatwo wam nie pójdzie. - Chciał jeszcze coś dodać, ale w tej właśnie chwili weszło trzech mężczyzn i dwie kobiety z wydziału kryminalistycznego. Jürgens wziął Santos na stronę i wyszeptał: - Nie myślcie sobie, że skoro zwariowaliście, to i ja będę ryzykował swoją karierę i...

- Nikt tego od ciebie nie wymaga. Poza tym nie zwariowaliśmy. Zwariowane jest to, co się dzieje. My chcemy tylko poznać prawdę, jeżeli nawet nigdy nie wyjdzie ona na jaw. Chcemy się od ciebie jedynie dowiedzieć, czy na Kleinie również jest to DNA. Nie spodziewamy się, że będziesz z nami spiskował. Prosimy tylko o podanie nam wyników twoich badań. Czy to są wygórowane oczekiwania?

- Dostaniecie wyniki i na tym koniec - odpowiedział zdenerwowany Jürgens.

- Czy kiedykolwiek prosiliśmy cię o więcej? Sam powiedz. Przecież też chciałbyś wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Jürgens spojrzał jej w oczy.

- Czy moglibyśmy tu gdzieś porozmawiać na osobności? - zapytał.

- Oczywiście. Chodź.

Wyszli na korytarz. Lisa otworzyła drzwi do jednego z pomieszczeń i weszli do środka. Ich oczom ukazało się coś niesamowitego. W pokoju znajdowały się dwie czarne szafki nocne i ogromne łóżko wodne, na którym leżała zabawka erotyczna. W kącie stał chromowy szezlong obity skórą. Na ścianie wisiało wszystko, co potrzebne do seksu sado-maso, począwszy od łańcuchów, pejczy i pasków, poprzez kajdanki w najróżniejszych kolorach, a kończąc na metalowych obrożach. Kolekcję uzupełniały czarne i czerwone maski z dużą liczbą nitów, za to z małymi otworami na oczy, usta i nos. Przy ścianie stał duży krzyż świętego Andrzeja z przytwierdzonymi łańcuchami. W tym pokoju można było znaleźć cały asortyment najprzeróżniejszych narzędzi ze skóry i stali, które służyły do najbardziej wyuzdanych aktów. Praktykom tym przyglądała się istota z piekieł, namalowana na dużym obrazie wiszącym na ścianie. Atmosferę tego miejsca dopełniała podłoga wyłożona czarno-czerwoną gumową wykładziną oraz liczne małe lampki na czarnym suficie.

Jürgens rozejrzał się po pokoju. Jego mina wyrażała wszystko to, o czym pomyślał. Santos przyglądała mu się uważnie w milczeniu.

- Jako lekarz zajmujący się medycyną sądową nieraz już oglądałem pokoje sado-maso, ale muszę przyznać, że czegoś takiego jeszcze nie widziałem. - Jego słowa

zabrzmiały, jakby był trochę przerażony, a jednocześnie zde gustowany tym widokiem. - Zastanawia mnie tylko, co w takim miejscu robi łóżko wodne... Jakoś nie mogę tego pojąć. Z reguły jestem ostrożny w określaniu czegoś jako perwersyjne, ale tu z pewnością wszystko takie jest.

- Cały ten dom jest perwersyjny. Nie, żebym miała coś przeciwko sado-maso, bo każdy może robić to, co lubi, ale... Czy też zauważyłeś te czarne zasłony w oknach?

- Jasne, przecież nie jestem ślepy. Może ma to jakiś związek z okultyzmem?

- Nie mam pojęcia, ale z pewnością ten dom jest bardzo dziwny.

- Okej, skończmy już z tymi spekulacjami. Czego chcesz?

Santos zaśmiała się cicho.

- Żebyś przestał się tak bać - powiedziała wprost.

- Bardzo zabawne! To nie ma żadnego związku ze strachem. To samoobrona. Co, według ciebie, miałbym zrobić, przeciwstawić się poleceniom?

- Tak - odrzekła Santos, jakby to było całkowicie naturalne.

- I zaryzykować całą swoją karierę?

- Sóren i ja właśnie to robimy.

- Tylko że wy jesteście glinami, a ja tylko lekarzem sądowym. Gdyby to się wydało, byłbym skończony. Wy zawsze możecie pracować jako prywatni detektywi, ja nie mam takiej możliwości.

- Co wydarzyło się ostatnio? Kim oni są? A może widzisz tu jakieś duchy? - zapytała, patrząc na Jurgensa tak, jakby rozmawiała z obcą osobą.

- Nie rozumiem, co masz na myśli - powiedział, zaciskając powieki. - Jeżeli myślisz, że miałem z tym coś wspólnego...

Santos kiwnęła ręką, przerywając mu.

- Nie świruj! Nie to miałam na myśli, chociaż twoim ulubionym pubem jest „Murphy”... - Uśmiechnęła się szeroko, co wywołało uśmiech również na twarzy Jürgensa i w jednej chwili rozluźniło atmosferę. - Ale mówiąc poważnie, chodziło mi o to, żebyś powiedział, czy ktoś cię naciska?

- Bez komentarza. Ale powiem ci jedno: pomyśl o Gunterze. Zastanów się, dlaczego znalazł się nagle na zwolnieniu? Kiedyś powiedział mi, że w całej swojej karierze nigdy nie był na chorobowym, a teraz raptem leży chory... No, chociaż może w końcu dopada to każdego. Daj mi przeprowadzić wstępne oględziny i... Odezwę się, gdy tylko dowiem się czegoś więcej.

- Wiem dobrze o Gunterze. Choroba to wymówka. Tylko nie rozumiem, czego albo kogo ty się tak boisz? Nie sądzę, żebyś sam się wycofał z całej tej sprawy tylko dlatego, że coś podejrzewasz. Czasami zachowujesz się tak, jakbyśmy się w ogóle nie znali. Ktoś cię obserwuje? A może ci grożono?

- Nie - wyszeptał Jürgens, spuściwszy wzrok. Nie brzmiało to jednak przekonująco.

- Naprawdę? Gdyby tak było, rozmawiałbyś z nami normalnie, tak jak do tej pory.

Jürgens pokiwał głową. Skrzywił się i powiedział w końcu:

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Ja... - Bił się pięścią w pierś, mówiąc dalej: - Ja jestem teraz niczym chodząca tarcza, a na zewnątrz są tacy, którzy tylko czekają, kiedy będą mogli do mnie strzelić...

- Daj spokój! Nie opowiadaj takich bzdur!

- Liso, albo zaraz się zamkniesz i dasz mi dokończyć, albo nie zamienię już z tobą ani słowa. Chyba wyraziłem się jasno?

- Okej, już milczę.

Jürgens nabrał powietrza i odetchnął głęboko.

- Nie tylko ja jestem taką tarczą. Ty i Sören także, chociaż jeszcze tego nie dostrzegacie. Myślicie tylko o tym, żeby za wszelką cenę rozwiązać tę sprawę, a jej nie da się rozwiązać. Są ludzie, którym właśnie zależy, żeby ta sprawa została rozwiązana, ale nie przez was. Ludzie ci działają według swoich zasad. To oni zajmą się tą sprawą i rozwiążą ją po swojemu. - Jürgens uniósł dłoń, bo zauważył, że Santos chciała mu znów przerwać. - Możesz mówić, że jestem tchórzem. Może naprawdę nim jestem. - Wzruszył ramionami i ciągnął: - Niektórzy wiedzą, że jestem hazardzistą. Lubię czasem pójść do kasyna i zagrać w pokera, to jest jak nałóg i nie potrafię się temu oprzeć. Jedno w tym jest dobre: znam swoje możliwości i mam granice, których nie przekraczam. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się, żebym narobił długów, ale unikam grania z ludźmi, o których wiem, że i tak wygrają, bo zawsze mają jakiegoś asa w rękawie. Gdy ja mam dwie siódemki, ktoś nagle ma trójkę. Gdy ja mam fula, ktoś inny wyciąga karete. Karty są znakowane i po takiej grze to właśnie ja skończę z ogromnymi długami. Oczywiście mówię w przenośni. Ale w taki właśnie sposób ktoś mógłby mieć na mnie haka.

- Ale nadal nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Przysięgam, że jeżeli chcesz, to nie powiem ani słowa Sórenowi, ale powiedz mi: ktoś wywiera na ciebie jakiś nacisk? O co chodzi? Czy ktoś ci groził?

Jürgens się zamyślił.

- Jeden facet ostrzegł mnie, żebym nie przekazywał nikomu żadnych informacji dotyczących zaskakujących wyników sekcji Bruhnsa. Nikomu, wliczając w to ciebie i Sórena. Powiedział, że czasami niespodziewanie przytrafiają się ludziom jakieś złe rzeczy, a przecież nie chciałbym, żeby mnie spotkało coś złego. To cytat.

- Ale czemu? Czy wspominał coś o DNA?

- Zapytałem go, co ma na myśli, mówiąc o zaskakujących wynikach sekcji. Jego odpowiedź brzmiała: chodzi o materiał genetyczny z odcisków palców nieznaney kobiety, której nie ma i nigdy nie było. I na tym powinienem poprzestać.

- Ale skąd ten ktoś mógł dowiedzieć się, że to DNA znaleziono także u Bruhnsa?

- Też się nad tym wiele razy zastanawiałem i przyszło mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie. Wyniki sekcji Bruhnsa, tak jak i innych osób, wpisałem w swoim komputerze. Myślę, że ktoś mógł się zalogować do niego, zanim przyszedłem do pracy. Sytuacja ta mogła się powtórzyć również u Guntera. Zastanawiam się tylko, jak długo już jestem kontrolowany, a może przydarzyło się to tylko raz, właśnie dlatego że chodzi o Bruhnsa?

- Ale mówiłeś przecież, że ktoś przyszedł do ciebie i wykasował te dane.

- Kłamałem. Oni dobrze wiedzą, jak kogoś zastraszyć albo komuś zagrozić. Wymyśliłem tę historyjkę dla was.

- Mogę zapytać, kiedy się z tobą skontaktowano? Czy kiedykolwiek wcześniej widziałeś tę osobę?

- Nikt do mnie nie przyszedł. Zadzwoił tylko, jak jechałem rano do pracy.

- Rozpoznałeś może głos?

- Nie.

- Czy mógłby to być Ruter?

- Nie. Jego głos rozpoznałbym od razu. Zwróciłem uwagę tylko na jedno: mówi! w liczbie mnogiej. Zupełnie jakby stała za tym jakaś organizacja. Ktoś z nich musi mnie dobrze znać. Od tamtej pory czuję się, jakby mnie ciągle obserwowano, i nie mogę się na niczym skupić. Teraz już wiesz, co się dzieje ze mną i z Gunterem. Do niego też zadzwonili w poniedziałek.

- Przykro mi. My w poniedziałek rozmawialiśmy o tym tylko z Volkerem. Naprawdę. Z nikim innym. No i ty rozmawiałaś z Claudią. Może masz jakieś podejrzenia, kto mógłby do was dzwonić?

Jürgens pokręcił przecząco głową.

- Gdybym kogoś podejrzewał, chyba bym lepiej się czuł - odpowiedział, ale nie był przekonujący. Santos nadal miała wrażenie, że nie usłyszała od niego całej prawdy. Czuła, że Jürgens dalej coś przed nią ukrywa.

- Skoro tyle już powiedziałaś, to może powiesz mi jeszcze tylko, czy ci ludzie należą do służby bezpieczeństwa? A może pracują w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych? Czy to był anonimowy telefon?

Jürgens odczekał chwilę, zanim odpowiedział. Zwróciwszy się do Lisy, uśmiechnął się znanym jej młodzieńczym uśmiechem.

- Nie powiem ani tak, ani nie. Powiem tylko, żebyś na siebie bardzo uważała. Bądźcie bardzo ostrożni. Przekaż też Sórenowi, że stąpacie po naprawdę kruchym lodzie. Czy taka odpowiedź ci wystarczy?

- Chyba tak. Tylko nie pojmuję, dlaczego nikt jeszcze się z nami nie skontaktował. Wyjaśnij mi to?

- Jeżeli coś się jeszcze nie stało, nie oznacza, że się nie stanie. Poza tym mówiliście przecież, że ktoś dzwonił do was w niedzielę? - odparł Jürgens.

- Nie tylko wtedy. - Santos zastanowiła się przez chwilę. - Ale to było zupełnie coś innego. Nikt nas nie ostrzegał, tylko dał nam wskazówki. Nasz informator jest najwyraźniej zamieszany w tę sprawę albo doskonale w niej się orientuje. Dajmy się zaskoczyć. Zapewne kiedyś dowiemy się, jaki był w tym jego udział. Ostatni raz na przykład zadzwonił, żeby podać nam adres tej willi i kod do bramy. A może to właśnie on jest sprawcą?

- Wróćmy już do innych, bo gotowi jeszcze wpaść na jakiś głupi pomysł. - Zanim wyszli z pokoju, Jürgens zatrzymał się jeszcze i dodał:
- Zapomniałem o jednym: nie ufaj nikomu, nawet najlepszym przyjacielom, pomijając Sórena, oczywiście. Możliwe, że naoglądałem się za dużo thrillerów o spiskach i prześladowaniach, ale...

- Będziemy uważać - obiecała Santos i pomyślała o Albertzie, potem o Harmsie i kilku innych osobach. Myśl o Albertzie nie dawała jej spokoju. Irytowało ją, że udawał przed nimi chorego. Nie mogła go rozgryźć, ale przecież podał im nazwisko: Bernhard Freier. Poza tym dał wskazówkę, żeby skontaktowali się z policją we Frankfurcie.

Na razie nie było jasne, jaką rolę w tej całej zagmatwanej historii odgrywa Albertz. Niejasne też było, czy naprawdę im pomaga, czy tylko chce ich zmylić. W końcu Albertz, jako pracownik służby bezpieczeństwa, znał wszystkie triki. Czy był jednak takim przebiegłym starym lisem? Na pewno spróbują dowiedzieć się czegoś o Bernhardzie Freierze i obmyślą też, jak się z nim skontaktować.

Informacje, jakie Santos uzyskała właśnie od Jürgensa, naprawdę brzmiały jak żywcem wyjęte z thrillera. Jednak nawet nie podejrzewała, jaka rola w tej całej perfidnej grze przypadnie jej i Sórenowi.

Oboje wrócili do pokoju, gdzie fotograf kończył już swoją pracę. Zrobił zdjęcia ciała i całego pokoju, z różnych stron i w różnych ujęciach. Gdy dodatkowo sfilmował miejsce zbrodni kamerą, kiwnął ręką do Jürgensa, że może zacząć wstępne oględziny.

Jürgens stanął koło zwłok, otworzył swoją walizkę i nałożywszy na dłonie lateksowe rękawiczki, rozpoczął wstępne badanie. Najpierw sprawdził ruchliwość stawów

i stwierdził, że zdążyły już zastygnąć. Następnie specjalnym termometrem zbadał temperaturę wątroby.

- Stężenie pośmiertne jest już w pełni zaawansowane - powiedział. - Kierując się pomiarem temperatury, twierdzą, że śmierć nastąpiła od dwunastu do czternastu godzin temu. Wystąpiły już trwałe plamy opadowe. Szczegóły po sekcji. Mogę tylko dodać, że przed śmiercią mężczyzna ten był długo torturowany. Oba narzędzia zbrodni leżą obok, to pasek z nitami i... - wyjął linijkę z walizki - ten oto dwudziestopięciocentymetrowy nóż, najprawdopodobniej japoński. Powód zgonu: wykrwawienie w wyniku przecięcia tętnic po obu stronach szyi.

- Ktoś chyba dał upust swojej złości - stwierdził kryminalistyk Maren Peters.

- Na to wygląda - potwierdził Jürgens i odwrócił się do Henninga i Santos. - Dostaniecie wyniki badań tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Ale nie oczekujcie żadnych cudów. Pamiętajcie, że mam jeszcze do zbadania dwa inne ciała. Najprawdopodobniej będziemy musieli zostać po godzinach, chyba że...

- Ze co?

- Nic. Po prostu głośno pomyślałem. Chyba że go od nas zabiorą...

Jürgens zdjął rękawiczki, zamknął walizkę i wstał.

- Czy możemy jeszcze porozmawiać na osobności? -zwrócił się do Santos.

- Jasne. Odprowadzę cię na dół, i tak potrzebuję świeżego powietrza.

- Zrobię, co w mojej mocy, i mam nadzieję, że nie sprowadzą znów kogoś z Lubeki... - zapewnił Jürgens, stojąc przed drzwiami wejściowymi. Tylko to chciałem ci powiedzieć.

Santos zamierzała coś odrzec, ale zadzwonił jej telefon.

- Tak?

- Znaleźliście go?
 - To znów pan? Czy to pańskie dzieło?
 - Może tak, może nie. Powinniście wiedzieć jedno: zasłużył na taką śmierć.
 - Ach tak? Więc może mi pan również powie dlaczego?
 - Naprawdę muszę? Przecież już dowiedzieliście się, czym trudnił się Bruhns, a Klein był od niego dużo, dużo gorszy.
 - Co zrobił?
 - Opowiem innym razem. Powodzenia. Odezwę się znowu.
- Po tych słowach rozmówca się rozłączył. Santos spojrzała na Jurgensa.
- Kto to? - zapytał.
 - Nasz informator, który najpierw powiedział nam o Bruhnsie, a teraz wysłał nas tutaj. On jest chyba sprawcą. Powiedział, że Klein był dużo gorszy niż Bruhns.
 - Co? A co takiego Bruhns miał na sumieniu?
 - Dzieci.
 - Jak to dzieci?
 - Jak to? Nie zadawaj takich głupich pytań, skoro znasz już odpowiedź.
 - Wykorzystywał dzieci?
 - Tak, do jasnej cholery! Wszystko na to wskazuje. Możliwe nawet, że zamordował małą dziewczynkę. Miałaś to dziecko na stole rok temu. Ta mała o nieznanym tożsamości z...
 - Z licznymi śladami poparzeń, okaleczeniami, skrzepami i połamanymi kośćmi?
 - Zgadza się. To, że Bruhns był w to zamieszany, nie jest jeszcze udowodnione, więc nikomu ani słowa.
 - Wiecie już, jak się nazywała?
 - Prawdopodobnie Nele. Nazwiska nadal nie mamy. Jeżeli pochodziła z Europy Wschodniej, to pewnie już się

tego nie dowiemy. Pamiętaj, wiemy o tym tylko ja i Sören, więc nikomu ani słowa.

- Zaufanie za zaufanie. Poświęcę się teraz tym, którzy nie zadają już żadnych pytań, tylko słuchają. Odezwę się. Cześć. - Odchodząc, zatrzymał się jeszcze i powiedział: - Nele nie jest chyba popularnym imieniem w Europie Wschodniej. Prędzej Nela, ale może po prostu ktoś tutaj tak ją nazywał. To tak na marginesie. Pewnie i tak się nie dowiemy, skąd pochodziła ani kim byli jej rodzice czy rodzeństwo. Macie tak samo zaszraną pracę jak ja. A teraz leczę.

Santos patrzyła na odchodzącego Jürgensa, po czym weszła do środka. Usłyszała, jak Henning rozmawia z kimś z wydziału kryminalistyki, i pomyślała, że nie chce wdawać się w kolejną rozmowę. Woląca poczekać na dole, dlatego też usiadła na schodach i oparła głowę na dłoniach. Nie mogła zebrać myśli. Przez chwilę zdawało jej się, że cały ciężar tego świata spoczywa na jej barkach i po raz pierwszy zadała sobie pytanie, dlaczego zdecydowała się na taki zawód, na pracę, która ją wykańcza.

Od niedzieli nic nie miało sensu: najpierw śmierć Bruhnsa i jego młodej kochanki, potem Weidricha, a teraz Kleina i dwóch niezidentyfikowanych mężczyzn. Sześć trupów w ciągu czterech dni. Tylko co ich łączy? - zastanawiała się Santos z zamkniętymi oczami. Jakie jest to cholerne powiązanie między tymi ludźmi? Dlaczego nie możemy prowadzić normalnego śledztwa? Dlaczego jest taki problem z przekazem informacji? Czemu gliniarze zabijają niewinnego człowieka i posadzają go o śmierć Bruhnsa? Bruhns zginął, a „sprawca” tego zabójstwa zmarł w wyniku rany postrzałowej... Idealna historia dla mediów i społeczeństwa.

Co tak naprawdę kryje się za tymi wszystkimi morderstwami? Jaką rolę odgrywała Kerstin Steinbauer?

I jeszcze jedno, nie mniej ważne pytanie: jakie zadanie wykonuje Albertz? Może nasłano go na nas... Czy jest jakiś powód, że dotąd nikt nam nie groził?

Do diabła! To wszystko jest takie zagmatwane. Płatny morderca, człowiek ze służby bezpieczeństwa, który rzekomo chce się nam przysłużyć... Powinniśmy się skontaktować z kolegami z Frankfurtu, tak przynajmniej powiedział... Chyba nie dawałby nam takiej rady, gdyby to nie miało sensu. Ale czy na pewno? Hm, nawet jeżeli nie jestem w stanie rozgryźć jeszcze Albertza, to wiem, że udzielił nam za dużo informacji. Gdy tylko dowiemy się czegoś o Bernhardzie Freierze, okaże się, czy mówił poważnie.

Musimy dokładnie przyjrzeć się tej firmie spedycyjnej, bo może faktycznie Klein zajmował się handlem ludźmi... Każdy kierowca musi być przesłuchany, i to osobno. Musimy przeprowadzić śledztwo, ale do tego potrzebujemy błogosławieństwa ze strony Riitera. Musimy, musimy, musimy! Cholera! Musimy, ale nie możemy. Od czego mamy zacząć? Nić Ariadny - co za porównanie! Santos była taka zamyślona, że nie usłyszała, jak nadszedł Henning.

- Co robisz na tych schodach? Santos podskoczyła przestraszona.
- Myślę.
- Jakież wnioski?
- Nie, tylko mnóstwo pytań. Możemy już iść?
- Tak. Co takiego tajemniczego chciał ci powiedzieć Jurgens?
- Opowiem ci w samochodzie. Nasz informator znów się odezwał. Pytał, czy znaleźliśmy już Kleina.
- Znaleźliśmy. Co dalej?
- Zadzwonimy do Frankfurtu. Czy zdajesz sobie właściwie sprawę, na ilu frontach walczymy? Mamy tu do czynienia z płatnym zabójcą, który jest naszym informatorem

i ma powiązania albo ze służbą bezpieczeństwa, albo z Friedmannem i Mullerem, albo też z Riiterem... Więcej w tej chwili nie przychodzi mi do głowy.

- Liso, my nie powinniśmy walczyć na żadnym froncie. Nie możemy. Jedynie spróbujmy rozpracować struktury i wtedy ewentualnie działać. Ja nie chcę walczyć, tylko dowiedzieć się, o co chodzi.

- To mi nie wystarczy. Nie zaakceptuję naszej bezradności. Powinniśmy spróbować, chociaż teraz wygląda to tak, jakbyśmy nie mieli szans na powodzenie. Nie umiem poddać się bezwarunkowo i po prostu przyjąć do wiadomości, że dwoje z naszych ludzi jest zabójcami. Nie, Sören, nie ze mną te numery. Jediną nadzieją jest teraz Albertz.

- Czyli puszka Pandory - wymamrotał Henning.

- Co masz na myśli?

- Gdy ją otworzono, wszystkie nieszczęścia zostały uwolnione i pozostało tylko jedno: nadzieja. Myślę, że się nie rozczarujesz.

- Ze my się nie rozczarujemy.

- Dobrze, my.

W drodze do Kilonii Santos opowiedziała Henningowi o swojej rozmowie z Jürgensem. Słuchał uważnie, nie przerywając jej ani razu. Gdy już skończyła, rzekł cicho:

- Okej, teraz przynajmniej mogę go zrozumieć. -Przeciągnął się i dodał: - Dobrze, podejmijmy więc walkę. Może ktoś się jeszcze do nas przyłączy.

Na posterunku czekała na nich niespodzianka. Biuro Harmsa było zamknięte. Kolega przekazał im, że Volker poszedł na spotkanie z prokuratorem, ale nie mógł powiedzieć z którym.

- Znów? - zapytała Santos Henninga, gdy byli już sami. - Czego Rüter od niego chce?

- Nie obchodzi mnie to. Kto dzwoni do Frankfurtu, ty czy ja?

- Ja.

Santos zaczęła już wybierać numer, gdy Henning wyjął jej telefon z dłoni. Spojrzał na nią wymownie.

- Nie tutaj.

- Okej. A gdzie?

- Chodźmy do Nolla, naszego świra komputerowego. - Uśmiechnął się. - Przecież nie chcemy, żeby ktoś słyszał naszą rozmowę.

- Racja.

Środa, godz. 14.05

Noll siedział za biurkiem, na którym leżała paczka chipsów i stała butelka coli. Miał na sobie zielony sweter i dżinsy. Jego brązowe włosy były rozczochrane, a broda nieogolona, dlatego też wyglądał, jakby dopiero wstał z łóżka. Palce szybko biegały po klawiaturze.

Henning zapukał i wszedł do środka, zanim Noll zdążył ich zaprosić.

- Witam was, kochani. Jakaż światłość zagościła w moich skromnych progach. Czemu zawdzięczam waszą wizytę? - zapytał Noll i sięgnął po chipsy. Wyglądał, jakby żywił się tylko w fast foodach. Pizza, hamburgery, frytki i cola były jego jedynym pożywieniem. W swoim biurze spędzał więcej czasu niż ktokolwiek inny i niczego nienawidził bardziej niż ruchu. Nawet w środku nocy tkwił za swoim biurkiem, zupełnie jakby się z nim ożenił. Spotykał się czasem z dziewczynami, ale jak na dwudziestoosmiolatka sprawiał raczej wrażenie kogoś, kto emocjonalnie zatrzymał się w rozwoju gdzieś w fazie dorastania, chociaż intelektualnie nie można mu było niczego zarzucić. Ten bystry chłopak z analitycznym umysłem był geniuszem, bez którego policja nie mogłaby się

obejść. W innej firmie zarobiiby pewnie cztero- lub nawet pięciokrotnie więcej niż w policji, ale kochał swoją pracę.

- Czy moglibyśmy skorzystać z jednego z twoich telefonów? - zapytał go Henning.

- Jasne - odparł Noll i zmarszczył czoło. Widać było, że mnóstwo myśli kłębi mu się w tej chwili w głowie. - Wasz jest popsuty?

- Nie.

- Mogę wiedzieć...

- Nie teraz. Daj słowo, że nikomu o tym nie powiesz.

- O czym?

- Że przyszliśmy tu, żeby zadzwonić.

- Czy ja was kiedykolwiek rozczarowałem? Weźcie tamten telefon. Gwarantuję, że nie ma możliwości, żeby był na podsłuchu - powiedział Noll z uśmiechem i wrócił do swoich zajęć. - Czy chcecie, żebym wyszedł? - dodał, nie patrząc na nich.

- Nie trzeba.

- Świetnie.

Santos wzięła telefon i wykręciła numer do wydziału zabójstw we Frankfurcie. Po kilku sekundach odebrano.

- Durant, słucham?

- Santos z wydziału zabójstw w Kilonii, czy dodzwoniłam się do wydziału zabójstw we Frankfurcie?

- Tak, czy mogę w czymś pani pomóc?

- Pani Durant, muszę zdać się na pani dyskrecję, bo dzwonię w bardzo delikatnej sprawie...

- A więc słucham. Ma to jakiś związek ze sprawą Bruhnsa?

- Między innymi. Mój partner i ja przyjechalibyśmy do Frankfurtu, ale od razu by to zauważono, dlatego dzwoniemy. Na razie uniemożliwiono nam prowadzenie dochodzenia, jesteśmy obserwowani i najprawdopodobniej

podsluchiwani. Z tego właśnie powodu nie dzwonię z naszego biurowego telefonu...

- Znam te sztuczki - przerwała jej Durant. - Proszę, niech pani kontynuuje.

- Dotarliśmy do informacji na temat niewyjaśnionego morderstwa, do którego doszło nad Renem w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku. Moglibyśmy oczywiście u nas poszukać szczegółów na ten temat, ale byłoby to bardzo ryzykowne. Chodzi o morderstwo na jakiejś grubej rybie z branży nieruchomości, niestety nie znam nazwiska. Zastrzelono go w jego posiadłości gdzieś na wsi. Był tam razem z nieletnią, która pochodziła prawdopodobnie z Europy Wschodniej. Czy mogłaby nam pani znaleźć jego dane osobowe i może adres zamieszkania jego ówczesnej żony?

- Jaki to ma związek ze sprawą Bruhnsa, jeżeli mogę zapytać?

- Według naszego informatora tamten mężczyzna został zastrzelony przez tego samego sprawcę, który zabił Bruhnsa. Oczywiście już na pierwszy rzut oka widać też podobieństwa między tymi sprawami. Tamten agent nieruchomości został zastrzelony wraz z nieletnią, Bruhns w chwili śmierci również był z dziewczyną, osiemnastolatką...

- To raczej nie jest podobieństwo - przerwała jej Durant.

- Dowiedzieliśmy się, że obaj mężczyźni byli pedofilami. Możliwe jest również, że Bruhns był zamieszany w morderstwo na jedenasto-, dwunastolatce. Dziecko to znaleziono rok temu w Kilonii.

Durant milczała dłuższą chwilę. Santos słyszała tylko jej oddech w słuchawce.

- Chwileczkę, niech pani mnie teraz źle nie zrozumie, ale według moich informacji zabójca Bruhnsa zginął podczas wymiany strzałów - powiedziała po chwili Durant.

- Taka jest oficjalna wersja. Dlatego wszystkie dochodzenia w tej sprawie zostały zakończone. Zamknięto sprawę. Związano nam ręce i zamknięto usta. Jednak ja i mój partner mamy więcej informacji, niżby to się niektórym podobało.

- Czy mogłaby mi pani to wyjaśnić? Jestem bardzo ciekawa i może przy okazji bym się czegoś nauczyła.

- Zatem coś nas łączy. Niemożliwe, żeby mężczyzna oskarżony o zabicie Bruhnsa rzeczywiście to zrobił, gdyż był alkoholikiem. Nie zdołałby dokonać takiego morderstwa. Tego samego dnia, gdy go zabito, byliśmy u niego w domu, żeby go przesłuchać. Podał nam różne szczegóły z życia Bruhnsa, ale wyglądał jak ludzki wrak. Chętnie prześlę pani zdjęcia z miejsca zbrodni. Jestem pewna, że od razu dojdzie pani do wniosku, że sprawcą był profesjonalista, a nie alkoholik. Tymczasem dowiedzieliśmy się także, że ci policjanci, którzy go zabili, słyną z brutalności.

- Nie brzmi to dobrze. Proszę na siebie uważać. Prędzej czy później wyjdzie na jaw, że dalej zajmujecie się tą sprawą, chociaż jest zamknięta. Czy wasz przełożony o tym wie?

- Wie i popiera nasze działania, oczywiście nie bezpośrednio, bo ryzyko jest duże. Wszyscy się boją, nawet szef Instytutu Medycyny Sądowej i szef wydziału kryminalistycznego...

- A co oni mają z tym wspólnego?

- To długa i zawiła historia - próbowała wykręcić się od odpowiedzi Santos, jednak Durant nie dawała za wygraną.

- Chętnie posłucham. Proszę mówić. Coś za coś.

Głos Durant był miły i Lisa doszła do wniosku, że można jej zaufać, na dodatek jeszcze Henning kiwnął do niej zachęcająco.

- W miejscu zbrodni i na zwłokach Bruhnsa znaleziono pewne DNA, które rzekomo pochodziło

z zanieczyszczonych patyczków do pobierania śladów. Może sobie pani wyobrazić, że są osoby, zwłaszcza w polityce, które nie chcą dopuścić do tego, żeby ta informacja została ujawniona. Wiązałoby się to z katastrofą...

- To jakiś żart?

Santos zdawało się, jakby widziała przed sobą Durant z miną wyrażającą niedowierzanie.

- Pani Durant, proszę mi uwierzyć, że nie jestem w nastroju do żartów. Rozumie pani teraz, dlaczego jesteśmy tacy ostrożni?

- Oczywiście. Ale w takim razie po co była ta konferencja prasowa?

- Tego nie wiemy. Przynajmniej na razie. Dziś znów mieliśmy trzy trupy. Jeden z nich był w takim stanie, że niejednemu mogłoby się zrobić niedobrze.

- Myśli pani, że to dzieło tego samego sprawcy?

- W dwóch przypadkach z pewnością mamy do czynienia z profesjonalistą, doskonałym strzelcem. Trzecia osoba była bardzo długo torturowana, wynika z tego, że sprawca mógł wyładowywać w ten sposób swój gniew. Jak na razie nie wiemy nic więcej.

- W przeciwieństwie do was u nas ostatnio nic się nie dzieje - powiedziała Durant. - Ale po co wam adres żony tego agenta nieruchomości?

- Zasugerowano nam, że być może to ona wynajęła płatnego mordercę. Czy pomoże nam pani?

- Zobaczę, co da się zrobić. Jak mam przekazać państwu te informacje, tak żeby was nie narazić?

- Proszę nam wysłać e-mail z tymi danymi. Chwileczkę, podam pani zaraz adres. Peter, potrzebujemy adres...

- Proszę - powiedział Noll i zapisał Lisie adres na kartce.

Santos przeliterowała adres, aby Durant mogła go sobie zapisać.

- Czy może pani jeszcze chwilę poczekać? - zapytała Durant.
- Oczywiście.

Santos słyszała, jak Durant odłożyła słuchawkę i gdzieś poszła. Czekać na nią, monotonicznie bębniła palcami o blat stołu. Była zdenerwowana jak nigdy dotąd. Bała się, że za chwilę drzwi się otworzą i zjawią się nieproszeni goście, by ich ze sobą zabrać. Po dziesięciu minutach, które zdawały się wiecznością, Durant wróciła.

- Przepraszam, że tyle to trwało, ale pytałam przełożonego, czy przypomina sobie tę sprawę. Na szczęście brał osobiście udział w dochodzeniu. Mężczyzna, który został wtedy zastrzelony, to Manfred Schumann. Dziewczynki, która z nim była, nigdy nie udało się zidentyfikować. Zona nieboszczyka ma na imię Sarah, jednak nie wiemy, czy nadal nosi to samo nazwisko. Prawdopodobnie ciągle mieszka we Frankfurcie lub gdzieś w pobliżu. Gdy tylko znajdę więcej szczegółów, prześlę je e-mailem. Przypomni mi pani jeszcze raz swoje nazwisko?

- Santos. Lisa Santos. Nadkomisarz. Dziękuję za pomoc.
- Nie ma za co. Gdybym jeszcze mogła jakoś pomóc, proszę mówić.
- Możemy liczyć na to, że nasza rozmowa pozostanie tajemnicą?
- Poinformuję o niej tylko mojego partnera i przełożonego. Może kiedyś też będziemy potrzebowali pani pomocy. Jeszcze jedno by mnie interesowało. Kto uniemożliwia państwu prowadzenie dochodzenia?
- Począwszy od prokuratury aż po służbę bezpieczeństwa. Chciałabym prosić, żeby nikomu pani nie mówiła, o czym rozmawialiśmy. Tu chodzi o nasze bezpieczeństwo. Możliwe, że nawet ryzykujemy życie. Skontaktowaliśmy się z panią, bo tak nam poradzono. Mam tylko nadzieję, że to nie był błąd.

- Niestety, nie poznałyśmy się jeszcze osobiście, bo gdyby tak było, nie miałyby pani wątpliwości. Nie należę do osób, które donoszą na swoich kolegów, chyba że są skorumpowani albo mają powiązania ze światem przestępczym. Postaram się zdobyć te informacje dla pani jak najszybciej. Mam nadzieję, że uda się jeszcze dziś. Gdyby potrzebowała pani mojej pomocy, proszę się nie krępować i dzwonić. Jeżeli faktycznie te dwie sprawy są ze sobą powiązane, mogłabym nawet przyjechać ze swoim partnerem do Kilonii.

- A co by to dało?

- Pomogliśmy w dochodzeniu. W tej sytuacji każde wsparcie może się wam przydać.

- Nie. Proszę na razie tego nie robić. To mogłoby was tylko narazić na niebezpieczeństwo. Te sprawy są powiązane, ale my działamy praktycznie bez pozwolenia z góry. Stawiano by wam pytania, w jakich służbowych sprawach przyjechaliście do Kilonii.

- W przeszłości robiliśmy już różne rzeczy - powiedziała Durant.
- Moglibyśmy na przykład podać w dokumentach zupełnie inne miasto docelowe...

- Pani Durant, dziękuję za dobre chęci, ale na razie nie jest to konieczne. Gdybyśmy w przyszłości potrzebowali jeszcze pomocy, na pewno się skontaktujemy. Zgoda?

- Oczywiście. Proszę uważać, z kim rozmawiacie. Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę z tego, co robicie. Wracając do potrzebnych informacji, zaraz się tym zajmę. Podam w e-mailu także mój numer komórkowy, tak na wszelki wypadek. Będę wdzięczna, gdyby mnie pani informowała na bieżąco o sprawie.

- Bardzo dziękuję. Na pewno się odezwę.

- Nie ma za co. Powodzenia. Trzymam kciuki. Santos odłożyła słuchawkę i odetchnęła głęboko.

- Wow - powiedział Noll. - Jeżeli to wszystko, co przed chwilą usłyszałem, jest prawdą, to wdepnęliście w niezłe...

- Najlepiej o wszystkim od razu zapomnij - przerwała mu Santos. Była wyczerpana. Siadła na biurku. - Nie mamy najmniejszego zamiaru wciągać cię w to bagno, ale...

- Nie ma problemu. Zniosę trochę napięcia. Gdybyście potrzebowali mojej pomocy jako najlepszego na świecie świra komputerowego, jestem do waszej dyspozycji.

- Czy hakerzy mają dostęp do twoich komputerów? -zapytał Henning.

- Do moich skarbów? To byłoby niczym gwałt. Nie. Nigdy. One są lepiej chronione niż te w Pentagonie. Dostępu do nich chroni trzydzieści zabezpieczeń, niektóre z nich są kilkietapowe. To jest jak gra na najwyższym poziomie, której nikomu nie uda się przejść. A co tam, to jest lepsze niż gra i ja to wymyśliłem! Tylko nikt tutaj o tym nie wie.

- Czemu? Przecież pomogłoby ci to w karierze. Noll uśmiechnął się.

- Wystarczy, że mnie pomaga. Te komputery to moje dzieci. Lubię tu pracować. Dograłem sobie już wszystkie szczególiki. Mogę dostać się do wszystkich systemów i podejrzeć wszystkich ludzi, oczywiście wirtualnie. Ale zachowajcie te informacje dla siebie. *Manus manum lavat.*

- Co to znaczy, że możesz dostać się do wszystkich systemów? - zapytała Santos, stojąc jak zahipnotyzowana.

- Dokładnie to, co mówię. Banki, przedsiębiorstwa i tak dalej. Jak myślicie, gdzie już byłem? Nie, lepiej nie będę mówił.

- A system rządowy?

- Nic prostszego. Jeżeli chcesz się dowiedzieć, czym zajmują się nasi szefowie, po prostu zapytaj Petera Nolla.

- A służba bezpieczeństwa?

- Hm, oni mają tam tak zwanych specjalistów... ale powiem szczerze, że te głaby nie znają się na niczym, robią tylko dużo szumu wokół siebie.

- Daj spokój. Przecież to profesjonaliści. Gdyby nie mieli o tym zielonego pojęcia, każdy przeciętny haker mógłby się dostać do całego systemu - powiedział Henning, unosząc brwi.

- Oczywiście, że to profesjonaliści, ale przecież wiadomo, że i wśród takich są lepsi i gorsi. Porównajcie to z pierwszą i drugą ligą albo z... nie wiem już z czym. Spróbuję to wam wyjaśnić jak najprościej. Większość systemów jest niedostępna dla potencjalnych użytkowników, bo tacy nie mają o nich pojęcia. Korzystają z programu, ale nie dostaną się do jego serca. W przeciwieństwie do nich ja znam prawie wszystkie triki, możliwości i podstępny, dzięki którym nawet pozornie najlepiej zabezpieczone systemy stają przede mną otworem. Tak więc, wracając do służby bezpieczeństwa, wygląda to tak, że od lat stale zmieniają tam system i robią to, swoim zdaniem, w sposób najlepszy i zapewniający największe bezpieczeństwo. Osiągają dzięki temu poziom dziewiąty. Problem w tym, że od dawna robią to tak samo. Nie zmieniają metody, dlatego też łatwo jest ich przejrzeć. Ja na przykład nie tylko stosuję różne metody, ale wymyślam też nowe, dzięki czemu nasz system jest bezpieczny...

- Czy to znaczy, że również do naszych komputerów nikt nie ma dostępu? - zapytała Santos.

- Niekoniecznie. Nasza sieć jest na tyle duża, że niestety łatwo jest się włamać do poszczególnych komputerów. Zwłaszcza jeżeli włamuje się ktoś od nas albo z policji krajowej. Jednak te komputery, które tu widzicie, są tak zabezpieczone, że nikt się do nich nie włamie. Rozumiecie?

- Nie - odpowiedzieli razem Henning i Santos, którzy komputera potrzebowali tylko do pisania raportów i surfowania po Internecie. Gdy ostatnio próbowali zainstalować w domu nowy ruter, zajęło im wiele godzin, zanim połączyli się z Internetem. Noll załatwiłby to w kilka sekund, i to korzystając z kilku klawiatur naraz.

- Mógłbyś nam pomóc...
- Chwileczkę. A co ja z tego będę miał?
- A o czym myślisz?
- Przez tydzień hamburgery, cola i frytki, a do tego duża pizza.

Umowa stoi?

- Stoi.
- Co chcecie wiedzieć?
- Bernard Freier, pisane przez „ei”.
- Mam sprawdzić w Google czy...
- Nie. Sprawdź, czy pracuje dla służby bezpieczeństwa.
- Okej. Możecie się trochę odsunąć? Nie lubię, jak mi się patrzy

przez ramię.

Henning i Santos usiedli naprzeciwko Nolla i milczeli, czekając na informacje.

Po prawie dwudziestu minutach Noll wreszcie skończył.

- Nie było to takie łatwe - powiedział. - Chyba coś tu podkreśli, o czym jeszcze nie wiem, ale przecież Peter Noll nie będzie stał przed drzwiami, skoro koniecznie chce wejść na przyjęcie. *Voilà*, macie swojego Bernharda Freiera.

Zdziwieni stanęli obok Nolla.

- Jak udało ci się tak szybko do tego dotrzeć?
- Nie mogłem się już doczekać swoich hamburgerów i frytek - odrzekł bardzo poważnie.

Spojrzeli w akta osobowe Bernharda Freiera, które zajmowały ponad dwadzieścia stron.

- Albertz nas jednak nie oszukał. Punkt dla niego. Czy możesz nam to wydrukować?

- Nie. Skopiuję wam to na pendrive i zmykam stąd. Inaczej jeszcze by się zorientowali, że ktoś tu szperał, a to mogłoby mieć fatalne konsekwencje. Mogliby nawet do mnie dotrzeć...

Po kilku sekundach akta zostały zapisane na pendrivie. Noll wylogował się, ale w tej samej chwili się zasepił.

- Co jest? - zapytał Henning.

- Możliwe, że się zorientowali. Mam tylko nadzieję, że byłem wystarczająco szybki. Zresztą olać to! Trzeba myśleć pozytywnie! Nie, te głupki nic nie zauważyły.

- To dobrze, bo potrzebowalibyśmy jeszcze jednego nazwiska.

- Dajcie mi kilka minut i spróbuję jeszcze raz, tylko w inny sposób. - Uśmiechnął się zawadiacko. - Już wiem, jak się do was dostać. Pomyślicie, że ktoś od was się zalogował. Już kiedyś raz tak zrobiłem i nikt się nie zorientował.

- Gdzie?

- To moja prywatna sprawa. Taka mała gierka. Jak to się mówi? Praktyka czyni mistrza. - Po pięciu minutach zapytał: - Jakie to nazwisko?

- Poszukaj Karl Albertz, pisane przez „tz”.

- No to do dzieła - powiedział Noll, przeciągając się. Tym razem trwało to dłużej. W końcu rozczarowany

Noll powiedział:

- Przyjaciele, niestety nic nie mam. Tu nie ma takiego nazwiska, więc albo...

- Albo podał nam fałszywe dane, albo nie pracuje dla służby bezpieczeństwa.

- Nie tak szybko. Jest jeszcze inna możliwość - powiedział Noll i pogładził się po policzku. - Są pracownicy, których dane nie widnieją w oficjalnych bazach danych. Co prawda są opłacani przez państwo, ale ich nazwisk nie znajdziemy w systemach. Prawdopodobnie przydzielono mu

numer, który go identyfikuje. Tak robi się z ludźmi, którzy stoją bardzo wysoko w hierarchii albo też pracują pod przykrywką i z tego powodu muszą zmieniać nazwiska.

- Ale tych na samej górze przecież znamy - zauważyła Santos.

- Oczywiście, ale oprócz nich są jeszcze inni, którzy działają jakby w tle, ale mają taką samą władzę, a ich dane nie figurują w oficjalnych bazach. To trochę skomplikowane, ale bardzo efektywne. W ten sposób na przykład wiele spraw można zatuszować i te znane osoby umywają dzięki temu ręce. Jak zrozumie się ten system, to nie wydaje się on wcale taki zagmatwany.

- Skąd tyle o tym wiesz? - zapytał Henning, patrząc na Nolla podejrzliwie, co tamtemu się nie spodobało.

- Spokojnie. Nie jestem jednym z nich. Jeżeli wiem coś, o czym wy nie mieliście pojęcia, to wcale nie oznacza, że działam na dwa fronty. Od jak dawna się znamy? Ile razy ryzykowałem dla was? Okej, okej... raz przed dwoma laty. Ale po co miałbym was oszukiwać?

- Dobrze już, dobrze. Sam widzisz, że podejrzenie jest jakby w tym zaprogramowane. Dzięki za pomoc.

- Jesteście mi coś winni. Gdybyście mieli jakieś inne życzenia, to są wliczone w cenę.

Santos wyjęła z torebki pięćdziesiąt euro i położyła na biurku Nolla.

- Wystarczy?

- Jasne, nie obżeram się przecież - odpowiedział z uśmiechem. - Co za wspaniałe uczucie dać się przekupić.

- Tylko nie staraj się wywołać u nas teraz wyrzutów sumienia. ..

- Hej, właśnie przyszedł e-mail do was. Wydrukuję wam, ale potem zmykajcie, bo muszę jeszcze załatwić parę rzeczy.

E-mail od Julii Durant zajmował zaledwie kilka linijek:

Szanowna Pani Santos

Nawiązując do naszej rozmowy telefonicznej, przesyłam poniższe dane. Manfred Schumann, urodzony 24.01.1935, zastrzelony przez nieznanego sprawcę 17.10.1984. Wraz z nim zastrzelono dziewczynkę w wieku około trzynastu, czternastu lat.

Gdybym mogła jeszcze Pani pomóc, proszę się ze mną skontaktować, nawet jeszcze dzisiaj. Z pozdrowieniami

Julia Durant

Santos spojrzała bezradnie na Henninga. Wszystkie te informacje już mieli, więc e-mail był bezużyteczny.

- Co to ma być? Jakiś żart? Henning pokręcił głową.

- To nie żart. Ona chce, żebyś do niej zadzwoniła. Przecież tu jest jasno napisane. Zadzwoń, pewnie ma swoje powody, żeby tak to załatwić.

- Skoro tak mówisz...

Santos wybrała numer Julii Durant, która odebrała już po pierwszym sygnale.

- Durant, słucham?

- Tu Santos, miałam się z panią skontaktować.

- Jest pani pewna, że telefon nie jest na podsłuchu?

- Tak.

- Dobrze. Niektórych informacji lepiej nie przekazywać w e-mailu, bo zawsze może się zdarzyć, że trafią w niepowołane ręce i wtedy mielibyśmy duże problemy. Chodzi tu o bardzo delikatną sprawę. Informacje na jej temat są trzymane pod kluczem, jednak mój przełożony ma doskonałą pamięć. Jeżeli dobrze zrozumiałam, jest pani przekonana, że sprawa Schumanna ma związek z Bruhnsem...

- Tak nam powiedziano - odparia Santos, która przez chwilę zaczęła się zastanawiać, czy Julia Durant naprawdę ją dobrze zrozumiała.

- Dobrze, więc mam dla pani kilka informacji o Schumannie. Człowiek ten należał do ścisłej elity agentów nieruchomości. To dotyczy przede wszystkim okolic Frankfurtu, ale nie tylko. Swoją karierę zaczął w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku od zera i po kilku latach należały do niego całe ulice w najlepszych dzielnicach, między innymi w Westend, terenach przy dworcu oraz w dzielnicy willowej Lerchesberg. Od końca lat sześćdziesiątych aż do dnia jego śmierci prowadzono przeciw niemu ponad dwadzieścia spraw. Chodziło głównie o korupcję, wymuszenia i spekulacje w branży nieruchomości. Z tego jednak względu, że Schumann cieszył się protekcją naszych polityków, nigdy nie został skazany. Mówiąc wprost: mógł robić, co tylko chciał, chociaż istniały bezpośrednie dowody na to, że był zamieszany w handel ludźmi, a zwłaszcza dziećmi. Wszystkie te sprawy zostały jednak umorzone, czy to przez prokuraturę, czy też służbę bezpieczeństwa. A teraz bardzo poufna informacja: Schumann był jednym z szefów organizacji zajmującej się handlem dziećmi, ale także rozpowszechnianiem pornografii dziecięcej, choć nie było jeszcze wówczas Internetu. Jednakże nikt nie mógł do niego dotrzeć. Zawsze miał przy sobie dwóch ochroniarzy. Oczywiście wykluczając bardzo prywatne sytuacje, jak na przykład tę w dniu jego zabójstwa, kiedy to chciał być sam. Wygląda na to, że tego dnia, siedemnastego października, czuł się bardzo bezpieczny w swojej posiadłości. Oprócz domu należały do niego również tereny zajmujące kilkaset hektarów, które jednak nie były ogrodzone. Tamtego dnia była u niego dziewczynka, która, według policji oraz lekarza sądowego, miała dwanaście, najwyżej czternaście lat. Oczywiście opinię publiczną

poinformowano, że chodziło o osiemnasto- lub dwudziestolatkę, bo nie chciano zszargać jego dobrego imienia. Prawdopodobnie dziewczynka ta pochodziła ze wschodu.

W czasie popełnienia morderstwa pani Schumann była na południu Francji i tam też usłyszała o śmierci męża. Była wielokrotnie przesłuchiwana, jednak wykluczono ją całkowicie z grona podejrzanych. Uznano też, że nie wynajęła nikogo, by pozbyć się męża, dlatego że od razu przyznała, że wiedziała o licznych jego romansach i je tolerowała. Nie wiedziała jednak, że miał zapędy pedofilskie, i dlatego też prosiła, żeby nie ujawniać tych informacji publicznie, także dla jej dobra. Resztę sprawy już znacie.

- Gdzie mieszka dziś pani Schumann? - dopytywała się Santos.

- Tak jak przed laty, we Frankfurcie, ale ma wiele mieszkań i domów rozsianych po całych Niemczech i za granicą. Jej majątek to około trzydziestu milionów euro, nie wliczając w to wartości samych nieruchomości. Kilka lat temu sprzedała większość akcji swojej firmy jakiemuś rosyjskiemu inwestorowi, ale nadal ma czterdzieści dziewięć procent. Warte uwagi jest też to, że udziela się charytatywnie i jest mecenasem sztuki. Dla państwa szczególnie interesująca będzie pewnie informacja, że ma posiadłość również w Kilonii, i tu się chyba krąg zamyka.

- Już nam wspomniano wcześniej, że ma tu dom. Ma pani może dokładny adres? - zapytała Santos, która cała aż drżała. Nagle zaczęła dostrzegać cień nadziei na rozwiązanie tej zagadki.

- Nie, niestety, ale to chyba nie będzie dla państwa problemem. Mogę wam podać adres jej domu we Frankfurcie. Ma pani coś do pisania?

- Tak.

- A jeżeli ten dom w Kilonii nie jest na jej nazwisko?

- Musi być, bo inaczej nie mielibyśmy o tym żadnych informacji. Wątpię jednak, czy faktycznie jest ona w jakiś sposób związana z tymi morderstwami... przecież od śmierci jej męża upłynęło ponad dwadzieścia pięć lat... A tak poza tym, gdzie widzi pani te podobieństwa? Po tylu latach raczej nie uda się wam udowodnić, że wynajęła płatnego mordercę...

- Pani Durant, jest coś, co łączy te dwie sprawy. Jestem pewna, że mordercą w obu tych przypadkach jest ta sama osoba. Już samo to, że wspomniała pani o handlu dziećmi i dziecięcej pornografii, łączy te dwie sprawy.

- Tak, rozumiem pani argumentację. Problem w tym, że pani Schumann należy do establishmentu i samo to może okazać się niebezpieczne. Proszę to traktować jako przyjacielskie ostrzeżenie z mojej strony. Mam trochę doświadczenia w podobnych sprawach i już nieraz się przekonałam, że nawet jeżeli tacy ludzie uśmiechają się do człowieka, to nie ma z nimi żartów. Proszę dokładnie się zastanowić, jak w tej sprawie postąpić, bo wątpię, żeby ktokolwiek z nas znalazł jakieś dowody na jej udział w morderstwach. Ja przynajmniej nie wiedziałabym, jak zacząć taką rozmowę, więc dobrze to przemyślcie. To taka mała rada. Oczywiście nie chcę się wtrącać, ale mieliśmy tu mnóstwo spraw dotyczących ludzi z wyższych sfer i to przysporzyło nam niemało wrogów. W związku tym proszę działać z największą ostrożnością i jeżeli będzie pani potrzebowała pomocy, proszę dzwonić. Zawsze znajdziemy jakiś sposób, żeby przyjechać do Kilonii. Jesteśmy specami od kamuflażu.

- Dziękuję za pomoc. Skontaktuję się z panią.

- A ja z panią, gdybym jeszcze miała jakieś informacje. Wszystkiego dobrego i pozdrowienia dla partnera.

Santos jeszcze przez chwilę stała ze słuchawką w ręku. W końcu ją odłożyła.

- Co ona sobie właściwie myśli? Ze niby kim jest, żeby nam mówić, jak prowadzić sprawę?! Jasne, Kilonia to nie Frankfurt, ale przecież nie jesteśmy jakimiś półgłówkami! Gwiżdżę na pomoc tej aroganckiej...

- Liso, bez pomocy tej aroganckiej pani Durant nie uzyskalibyśmy nigdy takich informacji - powiedział Henning, uspokajając ją. - Frankfurt jest inny niż Kilonia. Według statystyk...

- A co mnie interesują jakieś statystyki? Ja...

- Była dla ciebie miła i wykazała chęć współpracy. Zaproponowała nam nawet dalszą pomoc, co oznacza, że jest gotowa przeciwstawić się zakazom. Poza tym chce nawet tu przyjechać, a ty się obrażasz. Czemu? Powinniśmy paść przed nią na kolana i być jej wdzięczni za to, co dla nas zrobiła, albo przynajmniej przesłać jej duży bukiet kwiatów.

- Proszę bardzo! Nie krępuj się!

- Sorry, Liso, ale Sören ma rację - wtrącił się Noll.

- Z tymi informacjami możecie już zacząć działać. Poza tym nie brzmiało to wcale tak, jakby chciała was pouczać. Ja przynajmniej tak tego nie odebrałem, a nawiasem mówiąc, słyszałem waszą rozmowę.

Lisa Santos opadła na krzesło i zamknęła oczy.

- Przepraszam. Jestem wykończona nerwowo. To co teraz robimy?

- Nie ma na co czekać. Peter, znajdź nam adres tej Sarah Schumann - poprosił Henning. - Skoro jest taka bogata, to pewnie ma dom w Düsternbrook.

- Przecież mamy w Kilonii jeszcze kilka innych ładnych miejsc z willami - powiedział Noll i po chwili dodał:

- Wygrałeś. Düsternbrook. To tutaj, zaraz za hotelem. No, super, stary!

Henning nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Pójdziemy już, może zastaniemy Volkera w biurze. Jeszcze raz wielkie dzięki.

- Frytki i hamburger czekają już na mnie, więc nie będę im się dłużej opierał.

- Do której tu dziś będziesz? - zapytał jeszcze Henning.

- Pewnie do północy. Czemu pytasz?

- Tak tylko. Może jeszcze się zobaczymy.

- Niekoniecznie. Mam dużo roboty, a wy zajęliście mi teraz dobre dwie godziny.

- To było w szczytnym celu - odpowiedział Henning i zamknął za sobą drzwi.

W milczeniu szli do swojego biura. Po drodze zatrzymali się tylko przy automatach z napojami. Santos kupiła dwie kawy dla siebie i Henninga.

- Potrzebuję trochę kofeiny - oznajmiła.

Środa, godz. 16.15

Volker Harms był już w swoim biurze. Stał przy uchylonym oknie z rękami w kieszeniach sztruksowych spodni. Nawet się nie odwrócił, gdy do środka weszli Santos i Henning. Napięcie wisiało w powietrzu.

- Skąd przyszliście? - zapytał cicho.

- Z zewnątrz - odpowiedziała Santos i od razu zauważyła, że nie jest to odpowiednia chwila na żarty.

- Już dawno wróciliście z Mönkebergu. Gdzie byliście?

- Załatwialiśmy sprawy.

- A gdzie, jeżeli można spytać? - Harms odwrócił się do swoich najlepszych ludzi, jak zwykł ich nazywać, i patrzył na nich, czekając na odpowiedź. - Tylko mówcie prawdę.

- Co się stało? Volker, coś się wydarzyło?

- Co się wydarzyło? Tkwimy w tym gównie po szyję, a wy nawet o tym nie wiecie i pytacie, co się stało... I jeździecie nie wiadomo dokąd, załatwiacie swoje sprawy...

- Chwileczkę. Przecież mogłeś do nas zadzwonić i zapytać - broniła się Santos. - Poza tym dałeś nam wolną rękę.

- Tak, wiem, ale już dłużej nie mogę. Odsunięto nas od sprawy raz na zawsze. Policja krajowa się tym zajmie. Kleina też przejęli.

Henning zmrużył oczy.

- Zapytam cię raz jeszcze: Co się stało? Byliśmy tu dwie godziny temu, ale ciebie nie było. Powiedziano nam tylko, że masz spotkanie z kimś z prokuratury. Ruter znów cię wezwał?

- Sören, ja już nie mam na to siły, ja po prostu nie mam siły na to całe gówno. Ruter naopowiadał mi jakichś bzdur o przestępczości zorganizowanej. On uważa, że nie macie doświadczenia, żeby się tym dalej zajmować.

Harms zamilkł.

- To jest zabójstwo, które, jak na razie, nie ma żadnego związku z przestępczością zorganizowaną - odezwała się Lisa. - Poza tym skąd Ruter ma takie informacje?

- Też go o to zapytałem, na co mi odpowiedział, że to nie mój interes. Mam wam jednak przekazać, że jeżeli nadal będziecie zajmowali się sprawą Bruhnsa bądź Kleina, zostaniecie zawieszeni i najprawdopodobniej zwolnieni dyscyplinarnie.

- No to pięknie. Liso, co myślisz o tym, żebyśmy poprosili Riitera, żeby powiedział nam to osobiście? Nie mamy doświadczenia... co za bzdury! Poza tym nie mogą nas zawiesić, skoro prowadzimy sprawę o morderstwo, co należy do naszych obowiązków. Jeżeli trzymamy się zasad, nie mają do tego prawa.

Harms usiadł. Był poszarzały na twarzy, zmęczony i spoglądał na nich z rezygnacją. Wyglądał jak zawodnik, który stracił całą swoją siłę.

- Nie radziłbym iść z tym do Riitera. Uwziął się na was, zupełnie nie rozumiem czemu. Zrobiliście mu coś, o czym nie wiem?

- Wręcz przeciwnie. Schodzimy mu cały czas z drogi. Ale z niego skurwieli! Przepraszam, ale mam już tego po dziurki w nosie... A teraz do rzeczy. Wytrzymasz jeszcze trochę?

Henning usiadł, a Santos stała przy oknie, pijąc kawę.

- Pod warunkiem że nie będziesz mi teraz tłumaczył teorii względności.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o Kleinie. Interesuje cię tak w ogóle, czego się dowiedzieliśmy?

- Dawaj.

- To było bestialskie morderstwo. Może nawet zobaczysz zdjęcia...

- Przecież masz te, które sam zrobiłeś telefonem - wtrąciła Santos.

- Jasne, zupełnie o nich zapomniałem. Ściągnę je na komputer i obejrzysz. Czy mówiłeś Riiterowi, co robimy?

- Oszalałeś? Ani słowa.

Santos i Henning opowiadali mu na przemian o miejscu zbrodni. Santos dodała jeszcze, że rozmawiała z Jurgensem i że został on zastraszony. Tónnies również.

Harms przygląda! im się dłuższą chwilę.

- Kim oni są? - zapytał wreszcie.

- Tego próbujemy się dowiedzieć, ale potrzebujemy twojej aprobaty. Oczywiście nie będziemy cię w to wciągać, obiecujemy.

- Działajcie, ale w białych rękawiczkach.

- Jasne.

- Przecież nie skuję was tutaj. Co najwyżej mógłbym wam przydzielić zadanie, żebyście uporządkowali stopy akt, tak mi zresztą doradził Ruter.

Santos stanęła przy biurku.

- Jest jeszcze coś. Pytałeś, co robiliśmy. Byliśmy u Kleina, ale też szukaliśmy informacji tutaj, w komisariacie. Nawiązaliśmy kontakt z Frankfurtem...

Santos opowiedziała przełożonemu o swojej rozmowie z Durant, o Sarah Schumann i jej domu w Kilonii.

- Zapomniałam o czymś? - spytała Henninga.

- Chyba nie.

Harms bez słowa sięgnął do szuflady biurka i wyjął z niej butelkę wódki i szklanę, zupełnie jakby była to najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Nalał sobie i powiedział:

- Muszę za to wypić.

- Na służbie? - zapytał Henning, udając zdziwionego. W gruncie rzeczy już dawno zauważył, że Harms pije.

- Nie udawaj. Przecież dobrze wiecie. Mam ciągle uchylone okno, jem miętówki i wylewam na siebie hektolitry wody toaletowej. Niedługo z tym skończę, to tylko chwilowo. Wszystko mnie przerasta, w pracy i nie tylko... Zastrane życie!

Jednym tchem opróżnił całą szklanę. Butelka nadal stała jednak na biurku.

- Schowaj to... jeszcze ktoś tu wejdzie i zobaczy...

- O tej porze nikt tu nie przyjdzie.

- Masz jakieś prywatne problemy? - zapytała Santos delikatnie.

Harms się skrzywił. Wyglądał, jakby się zaraz miał rozpląkać. Odwrócił głowę i powiedział, jękając się:

- Nie chciałem nic mówić. Marion od trzech tygodni leży w szpitalu. To ostatnie stadium raka. Zero szans. Nie przeżyje następnych sześciu miesięcy, najprawdopodobniej nawet nie doczeka lata. Faszerają ją morfiną, a jutro przeniosą na oddział opieki paliatywnej. Nie muszę wam chyba mówić, co to oznacza. Trzydzieści dwa lata małżeństwa i nagle koniec?! Raz na zawsze... koniec. To tyle.

Dom jest pusty bez niej. Ja tego nie wytrzymuję. Gdy tylko tam wchodzę, czuję, że zwariuję, dlatego zatrzymałem się na razie u kolegi, który ma pensjonat. Nie mogę wrócić do domu...

- Jakie narządy zaatakował?

- Płuca. Zawsze jej powtarzałem, żeby tyle nie paliła, ale nałóg był silniejszy. Paliła nawet dwie, trzy paczki dziennie, i to od czasu, kiedy się poznaliśmy. Cóż... rok temu zaczęła kaszleć, potem pojawiły się problemy z oddychaniem. Bardzo schudła, i to w krótkim czasie, ale nie chciała iść na badania. Musiałem ją zaciągnąć do lekarza. Prześwietlenie nie pozostawiło żadnych złudzeń. Guz w prawym płacie płuca. Były też przerzuty do wątroby, nerek... właściwie wszędzie. Skończyła pięćdziesiąt dwa lata, a wygląda na siedemdziesiąt. Jeżdżę do niej codziennie, ale bez tego diabelskiego wynalazku nie byłbym w stanie tego wytrzymać. - Mówiąc to, wskazał na wódkę. - Czasami nawet mnie już nie poznaje. Przez te leki nie wie nawet, co się z nią dzieje. Oddycha dzięki respiratorowi, nie ma w niej już prawie życia... Dlatego od jakiegoś czasu golnę sobie trochę, bo nie daję rady. Tyle tylko pozostało z silnego Volkera Harmsa, który niegdyś wszystko miał pod kontrolą.

- Czemu nic nie mówiłeś? - zapytała Santos ze współczuciem.

- Przecież jesteśmy przy tobie... Volker.

- Właśnie powiedziałem, ale zróbcie mi przysługę i nie rozpowiadajcie o tym wszystkim. Ostatnie, czego potrzebuję, to jakieś wymuszone współczucie.

- Nie zrozum mnie źle, ale czy ty w ogóle jesteś w stanie...

- Jestem. Tylko praca trzyma mnie jeszcze przy życiu, jeżeli nawet na końcu mnie zabije. Zastanawiam się ciągle nad jednym... Czemu ona to sobie zrobiła... czemu zrobiła to mnie? Nie znam odpowiedzi.

- Możemy coś dla ciebie... ?

- Tak. Możecie. Pokażcie tym skurwysynom, że jesteście lepsi, niż myślą. Nie będę podporządkowywał się Riiterowi i tym samym zgadzał się na jego machlojki i tuszowanie jakichś świństw. Jeżeli potrzebujecie wsparcia, dzwońcie po ludzi z Frankfurtu. Do cholery, mam już tego dość! Pojadę teraz do szpitala. Taksówką, więc nie musicie się martwić.

- Uważaj na siebie - poprosiła Santos. Niepokoiliła się, że jej przełożony, którego zawsze bardzo ceniła, gotów jest zrobić jakieś głupstwo. - Gdyby coś się działo...

- Dobra, dobra. Dam sobie radę. Zajmijcie się lepiej swoimi sprawami, i to tak, żebyście nie wpakowali się w kłopoty. Rozumiemy się?

- Tak. Dzięki za twoje błogosławieństwo - powiedział Henning i poklepał go po plecach. - Życie jest czasem takie niesprawiedliwe.

- Nie, to my jesteśmy niesprawiedliwi. Dostajemy życie i co z nim robimy? Nie szanujemy go wcale...

Harms wypił jeszcze trochę. Zakręcił do połowy już opróżnioną butelkę i schował do szuflady. Następnie zamknął szufladę na klucz i bez słowa wyszedł z biura. Był załamany. Nic już nie pozostało z jego dotychczasowej siły. Może pewnego dnia, gdy nie będzie musiał jeździć do szpitala i odnajdzie się w nowej sytuacji, znów będzie tak jak dawniej.

W tej samej chwili zadzwonił telefon Santos.

- Słucham?

- Halo, pani Santos? Tu Albertz. Czy moglibyśmy się jeszcze dziś spotkać? Pani, pan Henning i ja.

- Gdzie i kiedy?

- W domu Bruhnsa w Schönbergu. Tam na pewno nikt nam nie przeszkodzi. O ósmej trzydzieści?

- Dobrze. Zrozumiałam. Przyjedzie pan sam?

- Rozumiem, czemu pani pyta, ale proszę pomyśleć. Jeśli miałbym zastawiać na was pułapki, zrobiłbym to już wczoraj. Do zobaczenia.

Santos schowała telefon do kieszeni.

- Albertz chce się z nami spotkać. O wpół do dziewiątej w Schönbergu.

- Gdzie w Schönbergu? - zapytał Henning, jakby się nie domyślał.

- W domu Bruhnsa.

- Co? Przecież jest zamknięty.

- Jeżeli Albertz faktycznie stoi wysoko w tej całej hierarchii, to sobie z tym poradzi. Jedźmy teraz do domu. Chciałabym się odświeżyć i coś zjeść.

Środa, godz.16.20

Hans Schmidt musiał przejść około czterystu metrów, zanim dotarł pod dom. Trzy razy nacisnął dzwonek, gdy usłyszał, że drzwi się otwierają. Zaraz przy wejściu przywitała go właścicielka domu, Sarah Schumann. Ubrana była na sportowo, stosownie do pory roku. W jasnych kolorach i z delikatnym makijażem wyglądała bardzo elegancko. Mimo upływającego czasu jej brązowe oczy nadal błyszczały tak samo jak przed dwudziestoma pięcioma latami, kiedy to spotkali się po raz pierwszy. W listopadzie skończyła sześćdziesiąt lat, jednak wyglądała piętnaście lat młodziej. Zawsze starała się prowadzić zdrowy tryb życia, była wegetarianką, nie piła alkoholu i każdego dnia ćwiczyła minimum przez godzinę. Poza tym nadal miała bystry umysł, co zawdzięczała nie tylko swojemu pochodzeniu, gdyż wywodziła się z inteligentnej rodziny - jej ojciec pracował w urzędzie skarbowym we Frankfurcie

- lecz także ciągłemu samokształceniu. Gdy tylko mogła, stroniła od imprez, podczas których musiałyby się wdawać w bezowocne rozmowy. Dużo bardziej ceniła sobie spokój albo spotkania z przyjaciółmi. Sarah Schumann była niezwykłą kobietą.

- Witaj! - przywitała Schmidta, całując go w kącik ust. Piękny uśmiech zagościł na jej twarzy, która mimo braku ingerencji chirurgicznej prawie nie miała zmarszczek. Wokół niej unosił się delikatny, ale bardzo zmysłowy zapach, zupełnie jakby była przygotowana na kontakt bliższy niż czysto przyjacielski. Sarah i Schmidt rzadko ze sobą sypiali, ostatni raz ubiegłego roku w Nicei, kiedy to odwiedził ją w jej domu nad morzem. Co prawda spotykał się już wtedy z Marią, ale nie mógł się oprzeć Sarah. Tym razem miało być jednak inaczej. Schmidt postanowił sobie bowiem, że nigdy już nie zdradzi Marii.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że znów cię widzę - powiedziała Sarah i pochyliła lekko głowę, zapraszając go do środka.

- Wyglądasz jak zwykle olśniewająco - powiedział Schmidt i tak właśnie myślał. Sarah już od ich pierwszego spotkania była dla niego najpiękniejszą i najbardziej pociągającą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Jedyłą, która mogła jej dorównać, była Maria, choć pochodziła z prostej i niezbyt zamożnej rodziny. Inteligencja Marii brała się jakby z serca, Sarah zaś z głowy, co oczywiście nie ujmowało jej zmysłowości.

Maria, mimo swojej dumy, była bardzo miłą osobą, z kolei Sarah sprawiała raczej wrażenie niedostępnej i chłodnej. Były to jednak tylko pozory.

- Dziękuję. Bardzo miło słyszeć takie komplementy kobiecie w moim wieku.

- Sarah, proszę cię, przecież nie potrzebujesz...

- Takie siowa są niczym bita śmietana na pysznej kawie. Ale muszę przyznać, że ty też w ogóle się nie zmieniłeś od naszego ostatniego spotkania w zeszłym roku.

- Od tamtej chwili minęło zaledwie siedem miesięcy.

- Znam ludzi, którzy nawet w takim czasie potrafią się bardzo zmienić. Wygląda na to, że się nie starzejemy. -Zaczęła się śmiać.

- To może dlatego, że oboje potrafimy nie tylko powziąć plany, ale także ich się trzymać.

- Nie nadażam za tobą - powiedziała Sarah, wchodząc do biblioteki. W wystroju tego pokoju dominował błękit i mimo że znajdowało się tam ponad cztery tysiące książek, był on tak urządzony, że sprawiał wrażenie obszernego. Sarah Schumann żyła w luksusie, jednak różniła się od przeciętnych kobiet z jej kręgów. Sensem jej życia nie były zakupy w różnych zakątkach świata, przechwalanie się i znieważanie innych. Sarah Schumann mogła pozwolić sobie na bardzo dużo, jednak luksus nie był dla niej najważniejszy. Może właśnie dlatego była najbardziej szczodłą kobietą z wyższych sfer, jaką Schmidt kiedykolwiek poznał. Sarah nie tylko działała na rzecz rozwoju sztuki i kultury, lecz także założyła wiele fundacji, w tym między innymi dla pokrzywdzonych i wykorzystywanych kobiet i ludzi upośledzonych psychicznie, którzy, jej zdaniem, również powinni mieć szansę na normalne funkcjonowanie. Jednak najbardziej leżało jej na sercu dobro dzieci, którym wyrządzono fizyczne i psychiczne krzywdy, na przykład wykorzystując je seksualnie.

W bibliotece, począwszy od dywanu, poprzez kanapy, a skończywszy na tapetach i zasłonach, wszystko było w kolorze niebieskim. Mimo to jednak pokój nie wydawał się zimny.

- Proszę, usiądź. Zaparzyłam herbatę. To delikatna, wyszukana mieszanka z Peru, będzie ci smakowała, chociaż nie jest miętowa.

Na okrągłym stole stały dwie filiżanki, talerzyk z ciastem i podgrzewacz, na którym ustawiono dzbanek z ciepłą herbatą.

Jak na gospodynię przystało, Sarah poczęstowała Schmidta i usiadła w fotelu obok. Pogłaskała go po dłoni.

- Nawet nip wiesz, jak się cieszę, że znów się widzimy.

- Ja również - odrzekł Schmidt i spojrzał jej w oczy. -Może przejdźmy od razu do interesów, inaczej mógłbym zrobić jakieś głupstwo.

- Co masz na myśli? - zapytała z zadziornym uśmiechem, który polubił już wtedy podczas ich pierwszej wspólnej nocy 12 października 1984 roku i który nadal działał na niego w ten sam sposób.

- Nie zapominajmy, że jestem w stałym związku i kocham Marię ponad wszystko. Już ci zresztą o tym kiedyś mówiłem.

- Zgadza się, ale nie możesz mi zabronić kochania cię, jeżeli nawet jesteś w stałym związku. Nadal uważam, że jesteśmy pokrewnymi duszami i nie spotkaliśmy się przypadkowo. Gdyby nie ja, z pewnością nie byłbyś dziś tu, gdzie jesteś, i odwrotnie. Gdyby nie ty, ja najprawdopodobniej od dawna bym już nie żyła. Czasami chciałabym być dziesięć lub piętnaście lat młodsza.

- Sarah, jest dobrze tak, jak jest. Najważniejsze, że możemy na sobie polegać.

- Tak, oczywiście. Masz rację. Przepraszam, jeżeli zabrzmiało to bardzo sentymentalnie, ale...

- Ale? - zapytał, bo Sarah umilkła.

- Nie, nic. Zapomnij.

- Powiedz, proszę.

- Dobrze, skoro chcesz wiedzieć, to powiem. Chodzi o to, że czas mi ucieka. Każdy kolejny rok mija jakby szybciej niż poprzedni i...

- Sarah, daj spokój. Masz sześćdziesiąt lat, a wyglądasz, jakbyś miała czterdzieści kilka. Większość kobiet mogłaby ci pozazdrościć.

- To nie tak. Chodzi o wiek. Mam już sześćdziesiąt lat, a w mojej rodzinie nikt nie przeżył więcej niż siedemdziesiąt. Zatem boję się trochę starości i śmierci. Och, obiecałam sobie, że nie będę o tym z nikim rozmawiać, a teraz to robię...

- Dobrze, że o tym mówisz, ale zapamiętaj raz na zawsze: wyjątki potwierdzają regułę. Dożyjesz późnej starości, zobaczysz.

- Oby tak było. - Sarah wypila herbatę i nalala sobie ponownie, podczas gdy Schmidt jeszcze nawet swojej nie napoczał.

- Zmiana tematu: kiedy w końcu poznam Marię? Chciałabym się dowiedzieć, jaka niezwykła kobieta zdołała cię usidlić.

- Masz rację, Maria jest niezwykła. Może latem będzie okazja, żebyście się poznały. O mały włos przyjechałaby teraz ze mną do Kilonii, ale w sumie dobrze się stało, że została w Lizbonie. Może po raz pierwszy zadawałaby pytania... A tak, lepiej, żeby nie wiedziała i nigdy się nie dowiedziała, czym się trudnię. Nigdy jej o tym nie mów, słyszysz?

- O co ty mnie podejrzewasz? Naprawdę myślisz, że mogłabym komukolwiek zdradzić, co robisz? Po co? - Sarah ponownie napiła się, po czym odstawiła szklankę na stół. - Czemu nie pijesz? Herbata zaraz wystygnie, a powinno się ją pić ciepłą. Mam nadzieję, że wybaczysz mi sentymentalność. Wiem, że czasami nie wypada, ale jestem tylko kobietą i lubię wracać myślami do miłych chwil. Ale przejdźmy do rzeczy. Cieszę się, że nie musimy już prowadzić tych zakamuflowanych rozmów telefonicznych,

tylko możemy otwarcie porozmawiać w cztery oczy. Opowiedz mi, proszę, o Bruhnsie i Kleinie.

- Wybacz, ale nie chcę opowiadać o szczegółach. Zrobiłem tylko to, co uważałem za konieczne. Przykro mi tylko, że obarczono winą za śmierć Bruhnsa zupełnie niewinną osobę. Było dokładnie tak, jak przewidziałaś. Zastanawiam się tylko, co wymyślą teraz w sprawie Kleina.

- To bez znaczenia. Teraz przede wszystkim chodzi o ciebie.

- A co się stało? - zapytał Schmidt, nie rozumiejąc, o co chodzi Sarah.

- Mieliśmy plan, i to dobry. Teraz tylko zastanawiam się, czy faktycznie powinniśmy go do końca realizować. Obawiam się, że mogą wpaść na twój ślad.

Schmidt zaśmiał się cicho.

- Bardzo możliwe. W moim fachu trzeba się liczyć ze wszystkim. Zawsze byłem ostrożny i nadal taki będę. Ale jeżeli chcesz, żebym teraz zrezygnował, to muszę niestety odmówić. Otworzyłaś mi oczy i...

- Przecież nie o to chodzi. Boję się o ciebie. Oni posuną się do wszystkiego, żeby cię dopaść. Ja czuję się bezpieczna, a ty? Myślisz, że jesteś bezpieczny?

- Jeszcze tak. Ale nie podoba mi się jednak twój ton i spojrzenie. Powiedz, co się stało?

- A co się miało stać? - zapytała z wymuszonym uśmiechem.

- Coś przede mną ukrywasz. Skąd ten pomysł, że deptają mi po piętach? Powiedz, co wiesz.

Sarah Schumann odchyliła się na oparcie fotela i założyła nogę na nogę.

- Nic przed tobą nie ukrywam. Po prostu myślę, że tym razem posunęliśmy się o krok za daleko. Z tego, co wiem, i tak usunęliby Bruhnsa. Ty ich tylko uprzedziłeś.

Z Kleinem natomiast to zupełnie inna historia. Robert był bardzo ważnym członkiem organizacji. Jego śmierć oznacza problemy z dostawą i przez to w całej organizacji powstała dziura. Jak się go pozbyłeś?

Schmidt milczał chwilę, zanim odpowiedział.

- Jak wiesz, wziąłem dwa dni temu udział w jednej z jego aukcji. Jedną z kobiet, którą wystawił na sprzedaż, była Svenia, dziewczyna bardzo piękna i zarazem bardzo dumna. Dała mu kilkakrotnie jasno do zrozumienia, że nie chce pracować jako prostytutka. Na oczach wszystkich uderzył ją pięścią w brzuch. Upadła, ale podniosła się. Sytuacja powtórzyła się, więc potem wyjął pasek z nitami i bił ją do czasu, aż upadła na podłogę i nie miała siły się ruszyć. Był jak żądna krwi bestia, która nie cofnie się przed niczym, dokładnie tak, jak mi go opisałaś. Potem wyszedł na krótko z pokoju i gdy wrócił, poderżnął jej gardło. Nikt nie zareagował. Nikt jej nie bronił. Ja także. Nie mogłem nic zrobić, dlatego że było tam za dużo ludzi. Gdy Svenia wykrwawiała się na podłodze, jeden z jego klientów zapytał zupełnie zwyczajnie o bardzo delikatne mięso, jeżeli wiesz, co mam na myśli. To samo pytanie zadałem Robertowi wczoraj i był gotów załatwić mi nawet ekstradelikatne ciało.

- Wiem dobrze, jakimi świństwami zajmował się Robert. Siedział już w tym, gdy go pierwszy raz spotkałam. Handlował wszystkim, w tym także dziećmi i młodymi kobietami. Ten bydlak nie miał żadnych skrupułów. Traktował ludzi jak rzeczy, jak towary. - Zamilkła na chwilę, po czym kontynuowała: - Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

- Potraktowałem go dokładnie tak samo jak on Svenię. Sam sobie na to zasłużył.

Zapadła cisza.

- Zrób mi tę przysługę i wyjedź jak najszybciej do Lizbony. Zostaw to wszystko i uciekaj - poprosiła po dłuższej chwili Sarah.

- Nie. Doprowadzę to do końca. Do niedawna nie wiedziałem, o co w tym wszystkim chodzi. Jednak ty otworzyłaś mi oczy i to wyjaśniłaś. Dostrzegłem wtedy, że byłem niczym marionetka w jakimś absurdalnym teatrze. Oczywiście, można dostrzec plusy tej sytuacji... jestem finansowo zabezpieczony, ale pojąłem, że... Nie, to brzmiałoby teraz jak usprawiedliwienie. Działając w ramach tej organizacji, zabijałem ludzi. Oprócz dwojga zawsze byli to przestępcy, ale ta dziewczynka, która była z twoim mężem, nie powinna umrzeć. Tak samo Julianę Cummings...

- Chyba często o niej myślisz.

- Tak. Za często. Po tym wszystkim chciałem zrezygnować, ale nie mogłem. Sarah, mam plany na przyszłość: gdy tylko to się skończy, chciałbym prowadzić spokojne życie u boku Marii. Oczywiście możliwe jest, że tego nie dożyję, ale mimo wszystko muszę to doprowadzić do końca. Muszą się o tym przekonać, że nie są niezniszczalni.

- Jak dotąd zawsze zapewniali ci ochronę... Schmidt kiwnął ręką, przerywając jej.

- Nie, nie. Przez te wszystkie lata sam musiałem się o siebie troszczyć i dbać o swoje bezpieczeństwo.

- Ja również dbałam o ciebie, o twoją anonimowość.

- Zgadza się. Jeżeli teraz nie będę chciał, żeby mnie znaleźli, to mnie nie znajdą. Jeżeli stanie się inaczej, to tylko dlatego, że popełniłem błąd, a do tego nie dopuszczę. Wszystko dokładnie zaplanowałem, więc błędów nie będzie. A jak właściwie wygląda twoja sytuacja? Zadbalaś o swoje bezpieczeństwo?

Sarah Schumann zaśmiała się. Jej głos był znów miły i delikatny, gdy powiedziała:

- Nie mam się czego bać. Nadal utrzymuję kontakty z pewnymi osobami. Moje układy sięgają bardzo, bardzo daleko... Nie uważam jednak, żebym była na ich liście. Potrzebują mnie, nawet jeżeli o tym nie wiedzą. To jest

jedyna, ale bardzo znacząca różnica między nami. Bez ciebie mogą się obyć, z kolei ja jestem tylko bardzo wpływową i majątną kobietą, która wie, jakie znaczenie mają znajomości oraz zbieranie i przekazywanie informacji. Nie zrozum mnie źle, ale chciałam tylko...

- Pojmuję, na czym polega ta różnica. Ty jesteś tą kobietą w tle, ja natomiast działam na pierwszej linii. Mam tylko jedno pytanie: Czy nadal będziesz po mojej stronie?

- Ujmę to tak: będziesz ostatnim, któremu pozwolę upaść. Gdy zajdzie taka potrzeba, skieruję ich na fałszywy trop. Mam zamiar się wycofać. Nie chcę i nie mogę już tego kontynuować, chociaż w ciągu kilku ostatnich lat praktycznie nic nie zrobiłam. Chyba już zostawili mnie w spokoju.

- Sarah, wyjedź stąd. Zrób mi tę przysługę i wróc do Frankfurtu, bo Kilonia nie jest teraz dla ciebie bezpieczna.

- Nie. Zostanę tu jeszcze przynajmniej dwa tygodnie. Jestem tu bezpieczna. Uwierz mi.

- Jak chcesz, ale pamiętaj, że cię ostrzegałem. -Schmidt spojrział na zegarek. - Muszę już iść. Mam umówione ważne spotkanie. Zobaczymy się znów jutro.

- Tylko zadzwoń wcześniej. Chcę spotkać się z kilkoma przyjaciółmi, ale zawsze możesz zadzwonić na komórkę. Również w nocy.

Schmidt wstał i podał jej rękę na pożegnanie. Sarah też się podniosła, objęła go i zupełnie niespodziewanie pocałowała. Schmidt, choć tego nie planował, odwzajemnił jej pocałunek.

- Bardzo chciałabym spędzić z tobą noc. Wiem, że nie wypada mi mówić ci o tym, ale tego bym sobie właśnie życzyła - powiedziała Sarah i spojrzała na niego, jakby był najdroższym skarbem, który chciałyby posiadać. - Ale przecież nie zdradzisz Marii... Już dawno nie byłam z żadnym mężczyzną i muszę ci powiedzieć, że żaden ci nie

dorówna. Chcę tylko, żebyś to przemyślał. Jeszcze długo nie będę dziś spała...

- Zobaczymy - odrzekł, próbując uwolnić się z jej objęć.

- To brzmi raczej jak odmowa. Czy to była odmowa?

- To oznacza: może. Omotasz mnie zaraz. Idę. Zegnaj, moja piękna.

- Zegnaj, ukochany. Uważaj na siebie. I jeszcze jedno: spróbuję się dowiedzieć, czy już depczą ci po piętach, czy też nie widzą żadnego związku między tobą a tymi zabójstwami. Mam zaufanego informatora. Gdy później przyjdiesz, powinnam już mieć więcej informacji na ten temat.

Stając w drzwiach, Schmidt odwrócił się jeszcze raz.

- Jesteś jakaś dziwna. Co się dzieje?

- A co ma się dziać? Jestem taka jak zwykle. Myślisz o moich zalotach? Myślałam, że to właśnie we mnie lubisz. Jako zodiakalny Skorpion mówię wprost to, co myślę.

- Owszem, ale nie o to chodzi. Moja profesja wymaga ode mnie tego, żeby umieć przejrzeć ludzi na wskroś, i wydaje mi się, że coś ukrywasz. Później o tym porozmawiamy, bo teraz muszę już iść.

- Dokąd?

- Dowiesz się później.

Gdy wyszedł z domu, rozejrzał się ostrożnie dokoła. Oprócz kilkorga dzieci i starszej pary na ulicy nie było nikogo. Czuł niepokój. Szedł, mówiąc do siebie w myślach: Nie mogę tego zrobić. Nie mogę dopuścić, żeby moje hormony wzięły górę. Jeszcze tylko kilka dni. Muszę zachować trzeźwość umysłu. Sarah ma pewnie rację, przypuszczając, że mnie ścigają.

Gdy dotarł do domu, wziął prysznic po serii swoich codziennych ćwiczeń, po czym przystąpił do zmiany wizerunku. Znowu, jak to się często zdarzało w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat, Hans Schmidt nie był sobą. Miał

jeszcze trochę czasu, więc usiadł wygodnie w fotelu, oparł ręce na podłokietnikach i pogrążył się w myślach, Sarah Schumann zachowywała się dziwnie, jeżeli nawet temu zaprzeczała. Coś się zmieniło. Dlaczego obstawała przy tym, żeby pozostać w Kilonii jeszcze przynajmniej przez dwa tygodnie? Dlaczego chciała spędzić z nim noc, skoro wiedziała, że poważnie traktuje swój związek z Marią? Może coś miało się wydarzyć właśnie tej nocy? Nie wiedział.

Targały nim dziwne uczucia. Sarah z pewnością nie była dziś sobą. Wyglądało na to, że coś ją gryzie; coś, o czym koniecznie chciała mu powiedzieć, ale nie starczyło jej odwagi. Był prawie pewien, że dostrzegł w jej oczach strach.

Postanowił się skoncentrować i nie myśleć już o Sarah. Teraz najważniejsze dla niego były następne trzy godziny.

Specjalnie na tę okazję zaplanował coś wyjątkowego, o co nikt nie podejrzewałby Hansa Schmidta. On jednak był nieobliczalny.

Nigdy mnie nie dostaniecie, za to ja dopadnę was i udowodnię, że was również można skrzywdzić - pomyślał.

Środa, godz. 16.45

Trzech mężczyzn siedziało i dyskutowało od dobrych dziesięciu minut. Jeden z nich uderzał rytmicznie w stół palcami. W jego wzroku było coś groźnego, krawat miał poluzowany, a pierwszy guzik białej koszuli rozpięty.

- Jak go znajdziemy? - zapytał cicho drugi z nich.

- Skąd mamy to wiedzieć? Uprzedził nas w sprawie Bruhnsa i teraz...

- Nic mnie to nie obchodzi! Chcę wiedzieć, jak do niego dotrzemy. Szef też chce to wiedzieć. Więc jak?! - Mężczyzna nagle zaczął wrzeszczeć, a jego twarz

poczerwieniała. Nachylił się w ich kierunku i każdemu z osobna przyglądał się uważnie. - Kto go zna? Kto go choć raz widział?

- Próbowaliśmy już wszystkiego, ale jeszcze nikomu się to jak dotąd nie udało. Zawsze kontaktowano się z nim przez osobę trzecią, a od lat dziewięćdziesiątych przez Internet.

- Mój Boże! Powiedz mi coś, o czym nie wiem! Chcę, żebyście znaleźli tego gnojka i przyciągnęli go tu. Żywego! Potem ja się nim zajmę i rozniosę go na strzępy! - Zamilkł. Wstał i chodził do okna i z powrotem z pochyloną głową, aż trochę uspokojony powiedział w końcu: - Przyznaję, że w przeszłości zawsze wykonywał swoją pracę wyśmienicie, jednakże teraz wygląda na to, że działa wyłącznie we własnym interesie. Nie rozumiem, dlaczego raptem się wyłamał, ale jedno jest pewne: trzeba go usunąć. Przy Bruhnsie zaskoczył nas swoją obecnością; nie wiedzieć czemu odwalił za nas robotę. Pewnie dowiedział się, że Bruhns lubił małe dziewczynki, i stąd jego działanie. Tak przynajmniej podejrzewam. Jednak nie dawałem mu zlecenia na Bruhnsa, no chyba że któryś z was to zrobił?

Obaj pytani pokręcili przecząco głowami.

- Tak też myślałem. To wszystko nie ma sensu. Gdyby zabił Bruhnsa z powodu tej dziewczynki, oznaczałoby to, że wie również i o naszych działaniach. Jestem pewny, że ktoś musiał mu podać te informacje. I do tego Klein... a przecież nigdy nawet nie było o nim mowy. Poza tym nie sądzę, aby tych dwóch kiedykolwiek się spotkało, nie mówiąc już o poznaniu się... Klein przecież działał w tle, po cichu, był nie do uchwycenia... Nic z tego nie rozumiem.

- Żaden z nas tego nie pojmuje.

- Skoro naprawdę nigdy się nie spotkali, to...

- Chwileczkę - wtrącił jeden z mężczyzn. - A może on dostał zlecenie z innego źródła? Najpierw Bruhns, potem

Klein. Bruhns jako pedofil zaczął również dla nas stanowić zagrożenie. Klein z kolei był dostawcą. Myślałeś o takiej ewentualności? Może mamy tu do czynienia z wojną, która toczy się właśnie w Kilonii? Przecież znamy już coś takiego... W przeszłości też tak było, że coraz więcej ludzi pchało się na rynek, w końcu zaczęli się zwalczać i jak się oczyściło, to interes dalej kwitł bez problemów. Tylko taki pomysł przyszedł mi teraz do głowy.

- Ale kto, do cholery, miałby go zatrudnić? Mógłbyś mi to wyjaśnić, mądralo?

- Wyświadczyć mi grzeczność i opanuj się trochę. Na świecie jest mnóstwo płatnych morderców, może to wcale nie nasz ich zabił. Uważam nawet, że to wykluczone, przecież zdaje sobie sprawę, że byśmy go ścigali na koniec świata. Moja teoria wygląda tak: ktoś z konkurencji nie tylko chce zaistnieć w tym biznesie, ale też próbuje go kontrolować. Do wczoraj Klein był naszym głównym dostawcą i my mu na to pozwalaliśmy. Załóżmy jednak, że Rosjanie, Rumuni albo Albańczycy chcą przejąć rynek. Jak myślicie, co zrobią? Najpierw zrobiliby rozpoznanie, zebrali informacje, jak to wszystko działa, a do tego potrzebowałiby szpicla. Ich informatorem mógłby być ktoś z naszych szeregów. Zupełnie nowe spojrzenie na problem, prawda?

- Ładna hipoteza, ale po pierwsze: jest tylko hipotezą, chyba że się ją jakoś udowodni, a po drugie: powiesz mi może, kto miałby być tym szpiclem?

- Każdy z naszej organizacji mógłby być podejrzany, wliczając w to też nas trzech.

- Idiota! Kogo oprócz niego mielibyśmy podejrzewać o te morderstwa? Ale dobrze, przemyślmy twoją teorię dokładnie. Kto chce albo chciałby zaistnieć na rynku?

- Przecież już powiedziałem. Rosjanie, Rumuni, Albańczycy, ale też nie możemy wykluczyć Włochów, bo

w ciągu ostatnich lat przemoc u nich bardzo wzrosła. Skończyły się czasy, kiedy to Włosi co niedziela chodzili do kościoła i spowiadali się sumiennie ze swych grzechów. Ostatnio stali się tak brutalni, że usuwają wszystkich, którzy staną im na drodze i mogą zaszkodzić w interesach. Poza tym dochodzą Azjaci, wszyscy skośnoocy, ale też Hindusi i Pakistańczycy. Nie pominąłbym Amerykanów, którzy coraz bardziej zalewają nasz kraj. Czasami wydaje mi się, że jesteśmy pępkiem świata. Można mówić, co się chce, ale globalizacji nie da się powstrzymać. Spójrzcie na Berlin albo Frankfurt, jest tam tyłu obcokrajowców, a szerząca się przestępczość już dawno sprawiła, że Niemcy są tam w mniejszości. W sumie nikomu nie powinno to w niczym przeszkadzać, oczywiście pod warunkiem, że przestrzegane są pewne zasady. Wracając do sprawy, wątpię, że był to nasz człowiek. Skąd masz pewność, że to jego sprawka, skoro od ponad sześciu miesięcy nie dostał od nas żadnego zlecenia? Skąd pomysł, że w ogóle jest teraz w Kilonii?

- A to DNA? To przecież jednoznacznie wskazuje na niego...

Jeden z mężczyzn zaśmiał się głośno.

- Bez problemu można je podłożyć. Skoro dla nas to nie kłopot i społeczeństwo nam uwierzy, to mogą to zrobić także inni. Mnie zastanawia też to ułożenie ciał Bruhnsa i Steinbauer... to nie pasuje do naszego człowieka. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie robił. Dotąd zawsze zabijał tak samo: cicho, niepostrzeżenie, perfekcyjnie. Czasami, owszem, było to załatwiane głośno i rzucało się w oczy, żeby podejrzenie padło od razu na terrorystów, ale zawsze było tak, jak tego chcieliśmy. Sposób, w jaki załatwił Kleina, w ogóle do niego nie pasuje. Zabijał na różne sposoby: strzelał, dusił, sztyletował, truł, aranżował wypadki samochodowe, nawet dwa razy użył materiałów wybuchowych.

Nie znam nikogo, kto mógłby zaoferować taką gamę usług, ale mimo to każdą sprawę załatwiał czysto i sprawnie, dokładnie tak, jak oczekiwaliśmy - powiedział.

- Dobrze więc. Wykluczmy zatem naszego starego przyjaciela, chociaż przyznaję, że to DNA nie daje mi spokoju.

- Zawsze zwykł zostawiać w miejscach zbrodni swoje DNA jako znak rozpoznawczy i...

- Przepraszam, że ci przerywam, ale to nie jest jego DNA, tylko jakiejś kobiety. Co my właściwie o nim wiemy? Tyle, co nic. Żaden z nas go nie widział. Nawet nie wiemy, czy działa sam, czy też z kobietą.

- Znam kilku płatnych morderców i każdy z nich działa w pojedynkę. To jednostki bardzo wyobcowane, poza tym istnieje za duże ryzyko, że mogliby wpaść w wyniku błędu partnera, a tak polegają tylko na sobie. To wykluczone, żeby miał partnerkę.

- Ja jednak uważam, że to nie jest niemożliwe. Wyjątki potwierdzają tylko regułę.

- Do cholery! Gównu mnie obchodzi, czy to możliwe, czy nie; i daj już sobie spokój z tymi głupimi powiedzonkami! Chcę się w końcu dowiedzieć, z kim mamy do czynienia! Jak tak dalej pójdzie, zacznie w końcu wykańczać naszych. Powiedźcie mi jeszcze, jak wygląda sprawa z naszymi przyjaciółmi z wydziału zabójstw? Doszły mnie słuchy, że są bardzo uparci.

- Sprawa zakończona. Ruter zamknął dochodzenie. Zresztą nie miał wyboru - powiedział jeden z mężczyzn i uśmiechnął się.

- Nie sądzę, żeby to było choć w najmniejszym stopniu zabawne.

- Nie denerwuj się tak. W ten sposób daleko nie zajdziemy, a już na pewno nie rozwiążemy żadnego problemu. Zróbmy jak zawsze: przeanalizujmy, przesłuchajmy,

przemyćmy i zbadajmy rynek. Do tego możemy jeszcze popytać informatorów.

- Oczywiście. Wracając jeszcze do Henninga i Santos, myślicie, że oni na tym poprzestaną? Znać ich lepiej niż ktokolwiek inny.

- A co innego mieliby zrobić? Nie ma się czego bać. W przeciwnym razie szybko wylądowaliby na bruku, a potem do piachu... Są pod stałą kontrolą.

- Dobrze więc. Ufam, że jest tak, jak mówisz. Zastanówcie się zatem, ja również pomyślę, jak znajdziemy naszego sprawcę. To jak szukanie igły w stogu siana, ale mam nadzieję, że wkrótce wpadniemy na jakiś pomysł. Zobaczymy się jutro o tej samej porze. - Spojrzał na zegarek i dodał: - Mam jeszcze jedno spotkanie. Zajmijcie się dzisiaj nocnym transportem, a teraz idźcie się zdrzemnąć, żebyście potem byli przytomni. Przed spotkaniem muszę jeszcze zadzwonić w kilka miejsc.

Wyszedł z biura około czwartej piętnaście i udał się do swojego samochodu. Zanim jednak zdążył przekręcić kluczyk, odezwał się telefon.

- Tak?

- Jest pan już w drodze? - zapytał rozmówca z amerykańskim akcentem.

- Właściwie tak. A co się stało?

- Bo niestety coś mi wypadło. Przepraszam. Czy połączenie jest bezpieczne?

- Naturalnie.

- Jestem jeszcze na spotkaniu, które skończy się dopiero za półtorej godziny. Czy pasowałoby panu, aby przesunąć nasze spotkanie na późniejszą godzinę?

- Jeżeli to konieczne. O której zatem?

- O siódmej?

- W hotelowym holu?

- Tak. Później pójdziemy w pokój. Tak się mówi, tak?

- Do pokoju. Nie w, tylko do. Będę o siódmej w hotelu. Mam nadzieję, że nie każe mi pan na siebie długo czekać.

- Gdybym się spóźniał, proszę zamówić na mój koszt jakiegoś drinka albo dwa. Oczywiście postaram się być punktualnie.

- Cholerni Amerykanie - powiedział, rozłączywszy się. Po rozmowie postanowił mimo wszystko już teraz jechać do hotelu i wypić jednego lub dwa drinki, ale na własny rachunek.

Minęła siódma. Pijąc drinka, spoglądał co chwila na zegarek. O siódmej trzydzieści zamówił kieliszek wódki o smaku cytrynowym. O siódmej czterdzieści pięć poszedł do recepcji i zapytał o George'a Hamiltona.

- Przykro mi bardzo, ale pana Hamiltona nie ma u siebie - powiedziała kobieta za ladą recepcji.

- Ale numer jego pokoju to dwieście czterdzieści dwa, prawda?

- Tak.

- Czy mogę wiedzieć, kiedy się zameldował?

- Chwileczkę. - Recepcjonistka spojrzała w komputer. - Pan Hamilton przebywa u nas od wczoraj. Czy przekazać mu jakąś wiadomość?

- Nie, dziękuję, nie trzeba. Albo może mu pani powiedzieć, że czekałem na niego ponad godzinę i żeby się ze mną niezwłocznie skontaktował.

- Pańska godność?

- Nieważne. On wie, kim jestem. Dziękuję i do widzenia.

Po rozmowie z recepcjonistką zjechał windą do garażu. Wziął w dłoń pilota do samochodu. Ciche kliknięcie i drzwi auta były otwarte. Usiadł za kierownicą i już chciał uruchomić silnik, gdy nagle zauważył, że jego ręka zaczęła się trząść i nie może jej unieść. Wszystko w nim drżało. Ostatkiem sił zdążył tylko rozluźnić krawat, po czym

odchylił się na oparcie fotela. Coraz ciężiej mu się oddychało. Zastanawiał się, czy za dużo wypił, ale przecież to były tylko dwa burbony i wódka. Było mu niedobrze, ale nie chciał wymiotować.

Nagle drzwi od strony pasażera otworzyły się i do środka wsiadł mężczyzna w brązowych rękawiczkach. Usiadł koło niego i zamknął drzwi.

- Cześć, Dieter, czy mam ci mówić Bernhard? - zapytał obcy z zimnym uśmiechem, poklepując go po plecach, jakby byli dobrymi znajomymi.

- Źle wyglądasz. Nawet powiedziałbym, że bardzo źle. Niedobrze ci?

Chciał coś powiedzieć, ale chociaż jego usta się poruszały, nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

- Wezwać lekarza?

Nie usłyszał odpowiedzi, rozlegał się tylko świszczący oddech.

- Nie, nie ma po co. Lekarz i tak by ci nie pomógł. Nie masz nic przeciwko temu, że mówię ci na ty? Tak właśnie myślałem. Nazywam się George Hamilton. A właściwie nie. Mam wiele imion. Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że zaraz umrzesz. Wiem, że doskonale rozumiesz, co do ciebie mówię i co się dzieje. Za pięć minut będzie po tobie, dlatego nie traćmy ani chwili. Każda sekunda się liczy, mówiąc dosłownie. Będę z tobą szczery, nie łudźmy się, że twoja śmierć będzie jakąś stratą dla ludzkości. Myślę, że jak spojrzysz na te wszystkie świństwa, które zrobiłeś, pomyślisz dokładnie tak samo, prawda?

Nie usłyszał odpowiedzi.

- O przepraszam, zapomniałem, że już nie możesz nic powiedzieć. Najpierw Bruhns, potem Klein i teraz ty. Powiem ci tylko, że jesteś trzeci na mojej liście, ale nie ostatni. Gdybyś chciał wiedzieć, co się z tobą dzieje, to powiem tylko, że zetknąłeś się z trucizną, która zaczyna działać tuż

po kontakcie ze skórą. Ta czysto chemiczna substancja kilka minut po twojej śmierci zniknie z twojego organizmu, dlatego też nikt się nigdy o niej nie dowie. Działa w ten sposób, że od razu przenika do krwiobiegu i najgorsze jest to, że nie ma żadnej odtrutki, niczego, co mogłoby ci jeszcze pomóc. Głupio wyszło, co? Dodam jeszcze, chociaż teraz to już bez znaczenia, że w tym wypadku działałam na własne zlecenie, bo przejrzałem wasze gierki. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że dotarłem zaledwie do wierzchołka góry lodowej, ale to mi wystarcza. Wykonywałem dotąd wasze wszystkie zlecenia, ale z tym już koniec. Gdybym wcześniej wiedział, że poświęćcie życie dzieci tylko po to, by zadowolić swoich partnerów biznesowych, już dawno bym z tym skończył. Oczywiście wiem, że będziecie mnie szukać i może nawet znajdziecie, ale jedno jest pewne, już dawno będziesz martwy. Zrozumiałeś? Wiem, że zrozumiałeś, chociaż cię pewnie w środku roznosi. Katalepsja zaraz się skończy, za to twoje serce będzie pędzić niczym bolid Formuły 1, a potem nastąpi koniec. Nieodwołalnie.

Słyszał te słowa, ale nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. W swoim ciele czuł się teraz jak w więzieniu. Krew gotowała się w nim i niczym lava płynęła w żyłach. Zawsze był opanowany i spokojny, jednak tym razem świadomość rychłej śmierci okazała się silniejsza, zwłaszcza że George Hamilton dał mu to jasno do zrozumienia. Obraz rozmywał mu się przed oczami, których nie mógł już nawet zamknąć, bo powieki znieruchomiały. Po chwili, tak jak powiedział Hamilton, zrobiło mu się słabo i serce waliło jak młot coraz szybciej i szybciej. Pot wystąpił mu na całym ciele, a twarz zaczerwieniła się mocno na kilka sekund. Chciał wołać o pomoc, ale wydawał z siebie ledwo słyszalne dźwięki. Cała energia, z jaką chciał krzyknąć, wykorzystywana była teraz we wnętrzu jego organizmu. Wydawało mu się, że jego klatka piersiowa została otoczona

pancerzem, który z każdą sekundą stawał się ciaśniejszy. Oddychanie sprawiało mu przez to coraz większą trudność, za to serce biło jak oszalałe. Ostatnia nieudana próba wdechu, ostatnie drgnienie i już było po wszystkim. Nienaturalnie otwarte oczy wpatrzone były gdzieś w dal, jednak straciły swój blask.

George Hamilton, alias Hans Schmidt, wysiadł spokojnie z samochodu. Ze stoickim spokojem rozejrzał się dokoła, upewniając się, czy jest sam. Zdjął rękawiczki i wyjąwszy chusteczkę z kieszeni, pokropił ją płynem z butelki, po czym wytarł nią klamkę drzwi samochodu, z którego wysiadł. Był zadowolony, że tak się wszystko potoczyło. Ostatnie spojrzenie na ofiarę, której oczy nadal były na wpół otwarte, i już opuszczał hotel, niezauważenie przemykając przez główne drzwi. Szedł do auta, które zaparkował około stu metrów od hotelu.

Dopiero po północy pewna kobieta znalazła ciało w nowym bmw 760i. Zdziwiło ją, że o tej porze ktoś zasypia w samochodzie, skoro pokoje hotelowe z wygodnymi łózkami są na wyciągnięcie ręki. Podeszła do auta, jednak mężczyzna nie zareagował, więc zapukała w szybę. Dostrzegła wtedy na wpół otwarte oczy. Pobiegła od razu na górę i zdenerwowana tłumaczyła, że martwy mężczyzna siedzi w garażu w swoim samochodzie. Dziesięć minut później na miejscu zjawili się policja i lekarz.

- Jak na razie to tylko przypuszczenia, ale wygląda na to, że to był zawał serca albo nagły i rozległy wylew - rzekł doktor po obejrzeniu ciała. - Nie ma żadnych zewnętrznych obrażeń ani śladów walki... Mogę wystawić wstępne oświadczenie z informacją: przyczyna zgonu nieznana. Zdecydujcie sami, czy ciało ma trafić do sądówki, czy wystarczy wam moje oświadczenie - powiedział do policjantów.

Po badaniu lekarz się oddalił. Wezwano policję kryminalną. Na miejsce przybyło dwoje ludzi.

- Kto to? - zapytali.
- Dieter Uhlig, lat czterdzieści pięć, właściciel firmy Import-Export - tyle dowiedzieliśmy się na razie z jego dokumentów.
- Okej, zajmiemy się tym. Sprawdziliście już samochód?
- Tak, jest zarejestrowany na niego.
- Hm. Faktycznie nie wygląda na przestępstwo. Znalezione go we własnym aucie, lekarz zdiagnozował wstępnie zawał... Na wszelki wypadek zawieziemy go do sądówki, niech prokuratura zdecyduje, czy robić mu sekcję, czy nie.

Ciało zostało przewiezione do Instytutu Medycyny Sądowej, gdzie w ciągu dwóch dni miało zostać poddane szczegółowej sekcji, chyba że stwierdzono by zgon z przyczyn naturalnych. W takim wypadku nie spieszą się z badaniami.

Środa, godz. 20.30

Od sześciu minut Henning i Santos byli w Schönbergu. Czekali w samochodzie oddalonym około pięćdziesięciu metrów od domu Bruhnsa. Słuchali głośnej muzyki i milczeli. Denerwowali się. Ulica była słabo oświetlona i większość okien w domach pozasłaniana. Na zewnątrz nie było nikogo. Deszczowe popołudnie nie skłaniało do spacerów, wręcz przeciwnie, każdy zamknąłby się najchętniej w czterech ścianach i siedział przed kominkiem albo włączywszy ogrzewanie, spędził cały ten dzień w domu.

- Myślisz, że jest już w środku?
- Pewnie zaraz się dowiemy. Chodźmy! - powiedział Henning i wyjął kluczyk ze stacyjki.

Gdy doszli do domu, była ósma trzydzieści. Zarówno brama, jak i drzwi wejściowe były ledwo przytknięte.

Kiedy tylko przekroczyli próg, dotarło do nich światło docierające z jednego z pokoi.

- Punktualnie co do minuty - usłyszeli. - Dokładnie tak jak wczoraj. Witajcie. - Ich oczom ukazał się Albertz, który podszedł do nich i przywitał ich uściskiem dłoni. - Proszę usiąść. Mam nadzieję, że mogą mi państwo dzisiaj poświęcić trochę więcej czasu.

- Dlaczego właściwie spotykamy się tutaj? - zapytała Santos, zanim jeszcze zdążyła usiąść. Trzy szklanki stały na stole.

- Jak już mówiłem wczoraj, tutaj na pewno nikt nam nie przeszkodzi. Czy mógłbym zaproponować coś do picia? Bruhns miał bardzo dobrze zaopatrzone barek. Może whisky? To będzie dla mnie przyjemność.

- Co to ma znaczyć? Przyszliśmy tu sobie pogawędzić? Ploteczki wśród starych znajomych? - zapytał ironicznie Henning.

- To zależy tylko od państwa. Możemy na tym poprzestać i rozejść się już teraz. Ja się dostosuję - odparł chłodno, ale z uśmiechem Albertz. Henning zdawał już sobie doskonale sprawę, że ma do czynienia z kimś, kto bez problemów potrafi rozpoznać naturę ludzką.

- Whisky poprosimy - przerwała milczenie Santos. - Ale z lodem, jeżeli jest oczywiście, albo z wodą sodową.

Albertz, niczym stały bywalec domu, pochylił się nad barem.

- Jest lód. Zobaczmy... Whisky... Mamy single malt, jeszcze nierozpoczętą. Żebyśmy mogli sobie ufać, proszę otworzyć butelkę i rozlać. Dla mnie z lodem, oczywiście.

- Jakoś nie sędzę, żeby chciał pan nas otruć - powiedziała Santos, śmiejąc się.

- Poza tym jaki miałby pan w tym cel? Przecież jesteśmy tylko mało znaczącymi policjantami.

- Mimo wszystko, bardzo proszę. - Albertz podał Santos butelkę i lód.

- Jak pan sobie życzy. - Santos wrzuciła do szklanek kostki lodu i naląła whisky.

- Zdrowie - wzniosł toast Albertz. - Wypijmy za wieczór pełen informacji.

- Zdrowie - burknął Henning, nie kryjąc nieufności, po czym jednym tchem opróżnił szklankę. Sekundę później przyjemne ciepło ogarnęło jego ciało.

- Wspaniały trunek - powiedział Albertz i oparł się wygodnie, zakładając nogę na nogę. - Myślę, że możemy już zacząć, nie chcę przecież marnować państwa czasu. Czy już podjęliście próbę kontaktu z Frankfurtem?

- Owszem, dziś po południu - brzmiała zwięzła odpowiedź.

- I jakie informacje otrzymaliście, jeżeli wolno wiedzieć?

- Czy mogę najpierw zadać panu pytanie? - Henning chrząknął. - Dlaczego chciał pan właśnie z nami rozmawiać, skoro my już nie zajmujemy się tymi sprawami? Czy może powinienem był powiedzieć: kooperować? Dziś po południu zostaliśmy oficjalnie odsunięci od wszelkich spraw dotyczących Bruhnsa i Kleina. Więc dlaczego wybrał pan właśnie nas?

- Zaraz to wytłumaczę - odrzekł Albertz ze stoickim spokojem.

- Pracuje pan dla służby bezpieczeństwa? Tak czy nie? - wyrwało się Henningowi. W jego głosie wyczuwało się agresję, w dodatku nachylił się w kierunku Albertza i przeszywał go wzrokiem.

Albertz kiwnął kilka razy głową, zanim odpowiedział z takim samym spokojem jak poprzednio.

- I tak, i nie. Dlaczego o to pytacie? Próbowaliście znaleźć jakieś informacje o mnie?

- To prawda, ale bezskutecznie. Może pan sprecyzować, co kryje się za słowami „i tak, i nie”?

- Gdy tylko pozwoli mi pan mówić, wyjaśnię kilka rzeczy i na pewno znajdzie pan odpowiedzi na niektóre z pańskich pytań. Czy mogę już zacząć, czy chciałby pan jeszcze coś dodać?

- Proszę. Mam tylko nadzieję, że nasza wizyta nie okaże się bezsensowna.

Albertz nalał sobie ponownie whisky.

- Ale nie myślcie państwo, że jestem alkoholikiem. Zwykle piję tylko w towarzystwie i znam swoje granice. A te wczorajsze jointy... no cóż, po prostu miałem jeszcze kilka skrętów i nie mogłem ani nie chciałem ich zmarnować.

- Nie jest pan nam winien żadnych wyjaśnień - zapewniła Santos.

- To pańskie życie.

- I z tym się zgodzę. Dlaczego chciałem się z państwem spotkać?

- zapytał retorycznie Albertz i zaraz znów mówił dalej: - Powiem tak: doniesiono mi, że jesteście odważni, waleczni i lojalni. Uważam, że te cechy raczej rzadko występują razem i uwierzcie mi, jestem w końcu znawcą ludzkiej natury i długo już siedzę w tym interesie...

- Jakim interesie?

- Brudnym i obleśnym. To interes, w którym wartości są przewartościowane i gdzie lepiej nic nie kupować. Wszędzie tylko szczury, brudy i pułapki. To właśnie jest przyczyną naszego dzisiejszego spotkania. Chciałem państwu trochę opowiedzieć o tym interesie i o ludziach, którzy się nim zajmują. Jednak zanim do tego przejdę, proszę odpowiedzieć mi na pytanie: czego dowiedzieliście się po rozmowie z Frankfurtem?

Santos odstawiła szklanekę na stół. Albertz podniósł ją od razu i ponownie napełnił.

- Właściwie to już nie chciałam.

- To niech stoi. Tak na marginesie powiem tylko, że zaimponowała mi pani wczoraj. Ta sytuacja z whisky to był taki mały test, który zdała pani brawurowo. Chciałem sprawdzić, czy jest pani gotowa złamać obowiązujące zasady. Zrobiła to pani, a i tak brnie pani dalej, by osiągnąć swój cel. Mam tylko nadzieję, że nie obciążyło to pani za bardzo. Mam na myśli whisky.

- Nie. Tyle akurat zniosę bez problemu - skłamała, bo cały dzień czuła mdłości.

- Dowiedzieliśmy się, że ten mężczyzna, o którym nam pan wczoraj powiedział, nazywał się Manfred Schumann, był agentem nieruchomości, handlarzem ludźmi i pedofilem. Wdowa po nim nazywa się Sarah Schumann i nadal mieszka we Frankfurcie. Ma też dom w Kilonii. To chyba wszystko.

- Krótki, zwięzły i bardzo trafny opis Schumanna. Brakowałoby tylko informacji, że był bandytą, który nie liczył się z ludźmi, miał jednak liczne układy we wszystkich urzędach. Z kim pani rozmawiała?

- Z jedną komisarz z wydziału zabójstw - odpowiedziała Santos zachowawczo. Jeszcze nie przekonała się w pełni do Alberta, ażeby zupełnie otwarcie z nim rozmawiać. Nadal żywiła jakieś obawy.

- Z nadkomisarz Durant? - zapytał Albertz wprost i uśmiechnął się zagadkowo.

- Tak. Tak nam się przedstawiła.

- Bardzo dobrze. Na pewno wiecie zatem, że przełożony pani Durant brał bezpośredni udział w dochodzeniu przeciwko Schumannowi. Zgadza się?

- Tak, wspomniała o tym.

- Pani Santos, ja naprawdę próbuję rozmawiać otwarcie i powiem wprost, że oczekuję tego również od państwa. Czego dowiedzieliście się o Schumannie? Że był jedną z ważniejszych osób w handlu kobietami i dziećmi?

- Między innymi. Powiedziała nam także, że dziewczynka, którą wraz z nim zastrzelono, miała około dwunastu, najwyżej czternastu lat, a w mediach podano, że była w wieku od osiemnastu do dwudziestu lat. Podobno jego żona nie chciała, żeby ujawniono prawdę...

- Owszem. Tak było, ale tylko częściowo. Mówiono wtedy, że Sarah Schumann nie wiedziała o poczynaniach i dziwnych skłonnościach męża. Prawdą jest, że zdradzał ją notorycznie, wiele podróżował i praktycznie rzecz biorąc, żony potrzebował tylko po to, żeby się z nią pokazywać. Powinni ją państwo poznać, wtedy na pewno zrozumielibyście, o czym mówię, bo nadal jest bardzo piękną i atrakcyjną kobietą. Chociaż ma już sześćdziesiąt lat, nie wygląda na swój wiek. Najważniejsze jest to, że przejrzała nieczne poczynania swojego męża i postanowiła im zapobiec. Dlatego też szukała kogoś, kto pomógłby jej pozbyć się go raz na zawsze, bo nie chciała dłużej żyć ze świadomością, że jej mąż handluje kobietami i wykorzystuje seksualnie dzieci.

Albertz znów napił się trochę whisky i trzymając szklanek w dłoniach, spoglądał raz na Santos, raz na Henninga.

- Skoro więc pani Schumann wiedziała dokładnie, czym zajmuje się jej małżonek, czemu nie poszła z tym na policję?

- Panie Henning! - zawołał Albertz, śmiejąc się i patrząc na Sorena z politowaniem. - Schumann nie tylko był bardzo bogaty, ale też miał świetne układy. Poczawszy od Bonn, a skończywszy na najwyższych szczeblach w państwach na Wschodzie. Dla tego człowieka nie istniały żadne granice prawne. Był wolny i mógł robić, co tylko chciał, podobnie jak wiele innych osób do niego podobnych w tym kraju. Na marginesie dodam, że jest ich coraz więcej, i to nie tylko u nas. W każdym innym kraju sytuacja

wygląda bardzo podobnie. Jak państwo myślą, dla kogo sprowadzał te kobiety i dzieci? Dla przeciętnego Hinza i Kunza? Nie - odpowiedział sam sobie, kiwając głową. - Jego klientami byli ludzie z naszej elity, *creme de la creme*. Jego żona nie miałaby najmniejszych szans przeżycia, gdyby poszła z tym na policję. Chciałbym też podkreślić, że Schumann był brutalny również wobec żony, a ona żyła w strachu o swoje córki. Dziewczynki miał wtedy dziesięć i dwanaście lat i chyba nie muszę dodawać, że były to uzasadnione obawy...

- Skąd pan tyle o nich wie?

- Gdy zabito Schumanna i tę dziewczynkę, pracowałem dla Federalnej Policji Kryminalnej w Wiesbaden, w wydziale, który jednak oficjalnie nie istniał i nadal nie istnieje. Tak naprawdę mało osób o tym wie. Informacje, że struktury państwowe są jasne i przejrzyste, to kłamstwo. Jak w każdej tego typu sytuacji musieliśmy się zająć sprawą Schumanna i zadbać o to, żeby zbyt dużo pikantnych i kompromitujących informacji nie wyszło na jaw. Schumann był zbyt znaną i znaczącą osobistością, dlatego też robiliśmy wszystko, żeby chronić dobre imię jego i rodziny...

- Przepraszam bardzo, ale tego chyba za wiele jak dla mnie - przerwał mu Henning. - Powiedział pan, że pracował dla Federalnej Policji Kryminalnej w wydziale, który oficjalnie nie istnieje. To jeszcze mogę zrozumieć, ale to, co robiliście po zabójstwie, przechodzi ludzkie pojęcie. Może jestem zbyt naiwny, w końcu jestem zwykłym komisarzem - rzucił szyderczo. - Ale jak my pracujemy przy zabójstwie i znamy sprawcę, to go zatrzymujemy i stawiamy przed sądem. Tak to się zwykle odbywa, a przynajmniej tak mnie nauczono i...

- Panie Henning - powiedział Albertz i ponownie spojrzął na niego z politowaniem. - Prowadzicie śledztwo w jednej sprawie od ponad dwóch lat i tak naprawdę nigdy

tej sprawy nie rozwiążecie, bo ciągle jesteście wprowadzani w błąd. Wie pan, o czym mówię?

- Oczywiście, ale skąd pan o tym wie?

- Od osoby, która mi was poleciła i opowiadała mi o was same dobre rzeczy. Ale proszę pozwolić mi mówić, bo przecież nie chodzi tu o pańską przeszłość, której i tak nie da się zmienić, ale o Schumanna - rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Bardzo szybko zorientowaliśmy się, że pani Schumann wiedziała o planowanym zabójstwie męża i dlatego podejrzewaliśmy, że to właśnie ona wynajęła kogoś, aby się go pozbył. Jednak zadbała o niepodważalne alibi, bo już dwa dni wcześniej wyleciała na południe Francji i tam też dotarła do niej wieść o śmierci małżonka. Po powrocie do kraju wykazała chęć współpracy i wtedy to ujawniła, że wiedziała o poczynaniach męża...

- Przepraszam, że przerywam, ale coś mi się w tej historii nie zgadza - powiedział Henning. - Mówił pan, że pracował dla Federalnej Policji Kryminalnej, więc kiedy trafił pan do służby bezpieczeństwa? Czy wcale pan dla nich nie pracuje?

- Ależ owszem, pracuję. Znam bardzo dobrze chyba każdego ze współpracowników. Aby ubiec pana kolejne pytanie, powiem od razu, że pracowałem wówczas w obu tych miejscach. Myślę, że jest to wystarczająca odpowiedź na pana pytanie...

- No właśnie nie do końca. Czy nazywa się pan Karl Albertz?

- To nie ma żadnego znaczenia. Albo da mi pan mówić dalej, albo zaraz skończymy i każde z nas pójdzie swoją drogą. Państwo będą dalej szukać po omacku, a ja wrócę do swoich obowiązków, tak jak to zwykłem robić od trzydziestu trzech lat. Czy wolicie dostać możliwość zajrzenia za kulisy, czy dalej bezskutecznie szukać widm? Wybór należy do państwa - powiedział Albertz chłodno.

- Już słuchamy. Niech pan mówi dalej - odparła Santos i spojrzała z wyrzutem na Henninga.

- Dobrze. Schumann cieszył się poparciem w naprawę wysokich kręgach, co nieczęsto się zdarza. Mógł robić, co tylko chciał, i nigdy się nie obawiał, że ktokolwiek będzie go ograniczał. Powodem tej sytuacji było również to, że Schumann działał na zlecenie moich przełożonych. - Powiedziawszy to, Albertz podniósł rękę, bo zauważył, że Henning znów chciał mu przerwać, i szybko mówił dalej: - Wiem, że najchętniej byście teraz wstali i krzyknęli, że to niemożliwe... - Obliznął spierzchnięte usta. - Ale tak właśnie było. Teraz zresztą też tak bywa, i to nawet częściej niż w latach osiemdziesiątych. - Albertz wyciągnął papierosa z kieszeni i zapalił. - Przez trzy lata byłem odpowiedzialny za Schumanna. Dlatego znałem dobrze jego działalność, jego żonę i obie córki. Muszę przyznać, że od samego początku Sarah Schumann wywarła na mnie niesamowite wrażenie. Ta fascynująca i wyjątkowa kobieta żyła długie lata, patrząc, jak jej mąż źle traktuje nie tylko ją, ale także wielu innych ludzi. Wielokrotnie znęcał się nad nią i ją gwałcił, więc obawiała się, że kiedyś to samo spotka jej córki, skoro była pewna, że ma on silne skłonności pedofilskie. Schumann nie zachowywał się jak handlarz narkotyków, który zaopatruje swoich klientów, ale sam nie bierze. Wręcz przeciwnie, ściągał kobiety i dzieci nie tylko dla swych klientów. Żeby było jasne, Schumann wykorzystywał wszystko, co mu się spodobało, było płci żeńskiej i miało od dziesięciu do dwudziestu lat. Uwielbiał małe dziewczynki, najlepiej, gdy były w wieku od dziesięciu do czternastu lat. Był zepsuty do szpiku kości, działał bez skrupułów i był kryty, między innymi przeze mnie. W tym czasie prowadził również swój interes, który, nawiasem mówiąc, dawał mu wielkie zyski, ale jako agent nieruchomości robił także mnóstwo szwindli. W branży

tej działał od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku i gdybyście przejechali się wtedy przez Frankfurt, zobaczylibyście, że połowa dzielnicy czerwonych latarni należała do niego. W latach sześćdziesiątych doszły do tego całe ulice w najlepszych dzielnicach, gdzie do dzisiaj mieszkają sami bardzo zamożni ludzie. Wszystko, czego się dotknął, zamieniało się w złoto. Pod koniec lat sześćdziesiątych poznał swoją przyszłą żonę, pobrali się, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku urodziła im się córka, a po dwóch latach druga. W ich związku źle zaczęło się dziać już przed ślubem. Sarah nie chciała za niego wyjść, ale zmusił ją...

- Przecież najzwyczajniej w świecie mogła powiedzieć „nie” - zauważył Henning.

- Panie Henning, gdy przychodzi do pana ktoś taki jak Schumann, aby wymusić coś na panu, to nie ma najmniejszej szansy, żeby mu się przeciwstawić. Ojciec Sarah był wysoko postawionym pracownikiem urzędu skarbowego. Jej matka zajmowała się domem. Żyli raczej skromnie. Schumann groził Sarah, że jeżeli za niego nie wyjdzie, to ją zabije. Jej rodzice również nie odważyli mu się przeciwstawić, bo ojciec dobrze wiedział, z kim ma do czynienia. Dlatego stało się tak, jak chciał Schumann. Następne lata były dla Sarah pełne męki. Nawet nie mogła uciec z dziećmi, bo Schumann miał swoje wtyczki dosłownie wszędzie. Myślę, że teraz rozumiecie choć trochę tę tragiczną sytuację, w jakiej się znalazła.

Albertz zamilkł na chwilę, wypalił do końca papierosa i napił się ponownie whisky.

- Zakochał się pan w Sarah? - zapytała Santos. Albertz zaśmiał się cicho i przytaknął.

- Tak, zakochałem się w niej. Do tej pory myślę, że to wyjątkowa kobieta, piękna, inteligentna, pełna uroku i charyzmy. Już wtedy wiedziałem jednak, że nie

mielibyśmy wspólnej przyszłości. To taka moja osobista tragedia, którą przeżywam po dziś dzień. Jak już wspomniałem, Sarah postanowiła któregoś dnia, że musi przeciwstawić się swojemu mężowi, bo nie chciała dalej żyć w ciągłym strachu, a poza tym bała się o siebie i o dzieci. Nigdy mi o tym nie mówiła, bo widzieliśmy się zaledwie kilka razy i nie miała do mnie zaufania, żeby otwarcie ze mną porozmawiać. Jednak gdy siedemnastego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku zastrzelono jej męża, mogliśmy z nią pomówić zaraz po policji i prokuraturze. Po tej rozmowie mój partner uważał, że sprawa jest załatwiona, ja jednak wróciłem do Sarah i wtedy właśnie popełniłem swój największy życiowy błąd, który przekreślił nawet najmniejszą szansę na to, że mógłbym kiedyś z nią być. Mianowicie poszedłem do niej i powiedziałem, że wiem o tym, że to właśnie ona stoi za tym morderstwem i że spokojnie może powiedzieć mi prawdę, w przeciwnym razie...

Albertz nie dokończył, więc Lisa zapytała:

- W przeciwnym razie co?

- ...zrobimy wszystko, żeby spędziła resztę życia za kratkami i już nigdy nie zobaczyła córek. Do dzisiaj pluję sobie w brodę i nie rozumiem, jak mogłem tak do niej powiedzieć, dlaczego byłem taki ostry, skoro ją kochałem... Sprawilem jej taką przykrość... Powiedziałem wprost, że wynajęła kogoś, żeby zlikwidował jej męża, i dodałem również, że ten ktoś wykonał świetną robotę i nam by się też przydał. Wiecie, co mi odpowiedziała? Krótko: Tak, zgadza się. Zleciłam komuś zabicie męża, a teraz mnie aresztujcie. - Albertz westchnął głęboko. - Mój Boże, przecież nigdy nie miałem najmniejszego zamiaru jej aresztować. Nie wiem, co wtedy we mnie wstąpiło, że tak ją potraktowałem. Nie chciałem, żeby trafiła za kratki, nie miałem w tym żadnego interesu, ponadto szczerze mówiąc, cieszyłem się,

że ta świnia, jej mąż, w końcu nie żyje. Ale jak to się mówi, było pozamiatane i gdyby kiedykolwiek istniała jakakolwiek szansa na naszą wspólną przyszłość, to właśnie w tamtej chwili ją zniszczyłem. W ciągu kilku sekund wszystko zaprzepaściłem... Nie chcę lamentować i zamartwiać się, bo mi nawet nie przystoi, najprawdopodobniej i tak nigdy nie bylibyśmy razem... Dobrze już, nie wracajmy do tego. Pytałem Sarah o nazwisko tego mordercy, który działał tak perfekcyjnie, ale nie chciała mi nic powiedzieć. Mimo moich próśb i wyjaśnień, że potrzebujemy kogoś takiego, milczała jak grób. W końcu zaproponowała mi, że mogłaby się z nim ponownie skontaktować, ale nie wyjawia nam nigdy jego danych. Nigdy i pod żadnym pozorem, i dotrzymała słowa. Do dziś nie wiem ani kim jest ten mężczyzna, ani gdzie mieszka. Praktycznie nic o nim nie wiemy. Tylko Sarah wie o wszystkich tych sprawach, które wydarzały się przez te lata. Na początku była naszym łącznikiem, potem, odkąd zaczął działać Internet, podała mi adres e-mailowy, dzięki któremu mogliśmy się z nim kontaktować. Ale mimo starań nie udało nam się dowiedzieć, kim jest ten człowiek. Wiemy tylko, że informacja, która do niego idzie, jest wielokrotnie przesyłana i mimo że pracujemy na nowoczesnym sprzęcie, to nie udaje się nam prześledzić jej trasy, gdyż w ciągu dwóch minut zmienia ona miejsce docelowe od osiemdziesięciu do stu razy...

- Dlaczego mówi nam pan o tym? - zapytała Santos, gdy Albertz skończył. Wsta! wtedy i odwrócił się do nich plecami. Santos zdążyła wyszeptać do Henninga: - Pozwól mi załatwić to po mojemu. - Następnie również wstała.

- Dlaczego o tym mówię? Właściwie to nie wiem... Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem. Po tej całej historii poświęciłem się pracy. Nigdy też się nie ożeniłem. Chyba po prostu nadszedł czas, żeby komuś o tym powiedzieć. Jesteście zatem pierwsi.

- Czy pani Schumann wiedziała o pańskich uczuciach?

- A jakie to ma znaczenie? Może tak, a może nie. Spekulacje na ten temat nie mają sensu. Poza tym od tamtej pory minęły wieki. Nie rozmawiamy już o tym. - Odwrócił się do Santos i dodał: - Temat Sarah jest już zakończony. Przejdźmy zatem do sedna sprawy. Jak już mówiłem, poszukiwaliśmy wtedy płatnego mordercy, który działałby cicho, czysto i nie rzucał się w oczy. Miał to być ktoś młody, kto zabijałby z zimną krwią i przyjąłby każde zlecenie. Znalazłem kogoś takiego. Wymyśliłem więc sobie historię i opowiedziałem ją swojemu przełożonemu. Jest ona zbyt długa, żeby ją przytaczać, ale najważniejsze jest to, że Sarah Schumann nie brała w tym udziału. Byłem jej to winien... Tak czy siak, od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku ten człowiek pracuje dla nas.

- Ale jaki ma to związek z Bruhnsem i Kleinem? Słyszał pan już o Kleinie, prawda?

- Tak, słyszałem. Następny gagatek, na zewnątrz porządny, a w środku samo zło. Klein mieszkał we Frankfurcie do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, kiedy to przeprowadził się do Kilonii. Resztę już znacie. Krótko mówiąc, robił dalej to, co zaczął Schumann. Po jego śmierci Klein zajął się organizacją transportu, przeprowadził się do Kilonii i przejął firmę spedycyjną Drexlera. Na początku przyjaźnił się z właścicielem i kiedy stary Drexler zobaczył, że Klein zna się na tym interesie, postanowił przepisać swoją firmę z syna, który nie był pewny, czego chce, na Kleina. Młody Drexler nie ucieszył się z tego i po śmierci ojca chciał sądzić się z Kleinem, ale zanim doszło do rozprawy, zginął w wypadku. Oczywiście nie dopuszczono do tego, żeby samochód został zbadany przez kryminalistów. Oszczędźcie mi, z łaski swojej, wyrzutów, mnie towarzyszą one od długiego czasu. Byłem i nadal jestem elementem tego systemu.

Mam związane ręce i obowiązuje mnie bezwarunkowe posłuszeństwo, jednak chyba zawsze kiedyś nadchodzi moment, kiedy takie funkcjonowanie staje się nie do zniesienia...

- Chwileczkę, czy dobrze zrozumiałem, że Schumann i Klein się znali? - zapytał Henning, nie kontynuując ostatniej myśli Alberta.

- Tak. Byli prawie jak ojciec i syn. Mieli te same skłonności. Rozumiecie już?

- Nie bardzo...

- Więc przejdźmy do najważniejszego. Schumanna, Kleina i Bruhnsa łączyło to, że byli przestępcami i byli nietykalni. Ich ofiary to przede wszystkim kobiety i dzieci. Bruhns, ze względu na to, że cieszył się taką popularnością, miał mnóstwo znajomych i dlatego wśród nich poszukiwał osób o podobnych do swoich skłonnościach. Nazywał to „Projekt dzieci” i latami zajmował się werbunkiem klientów, oczywiście nie muszę państwu tłumaczyć, na czym to polegało. Jedno jest pewne, nawet nie uwierzyliby państwo, ilu pedofilów i homoseksualistów jest w tym kraju! Bruhns jednak zaczął stanowić zagrożenie po tym, kiedy nie tylko zgwałcił, ale też zabił jedenastolatkę...

- Skąd pan wie, że to była jedenastolatka?

- Po prostu wiem. Tyle musi wam wystarczyć. Mogę mówić dalej?

- Oczywiście, jednak to wy dopuściliście do tego, że...

- Wiem, i jest mi z tego powodu bardzo przykro. Bruhns twierdził, że to dziecko, biegnąc, przewróciło się, jednak sekcja wykazała zupełnie coś innego. Bruhns oczywiście zaprzeczał, że wykorzystał tę małą, ale raport profesora Jiirgensa był jednoznaczny. Bruhns w końcu był jednym z naszych najlepszych ludzi...

Usłyszawszy to, Henning aż podskoczył. Dużo kosztowało go, aby się opanować.

- Czy ja dobrze usłyszałem? - wykrztusił w końcu. - Bruhns był jednym z waszych najlepszych ludzi? Ten morderca? Ja chyba śnię i akurat znalazłem się w samym środku jakiegoś koszmaru! Niech pan powie, że to nieprawda. No już! Niech pan to powie!

- Niestety, panie Henning, ale tak właśnie było. Proszę posłuchać mnie dalej, to może pan zrozumie, o co w tym wszystkim chodzi. Rozumiem, że państwo widzą Bruhnsa jako mordercę, jednak za tym kryje się dużo, dużo więcej... Od tamtego wydarzenia w marcu zeszłego roku Bruhns był przez nas stale obserwowany, bo nie był on wcale takim wspaniałym mężczyzną, jakiego widywaliśmy w telewizji. Wprost przeciwnie, należał raczej do grupy tych miernych. Mimo to dla całego interesu był wartościowym nabytkiem... aż do momentu gdy dwa tygodnie wcześniej znów uderzył. Tym razem chodziło o dwunastolatkę. Usunięto ją bardzo profesjonalnie, ale to był jednocześnie koniec Bruhnsa. Najwyraźniej już się nie kontrolował i działał inaczej niż Klein, który swoje interesy załatwia! zawsze ze stoickim spokojem. Traktował ludzi jak rzeczy; gdy chciał się kogoś pozbyć, to tylko po cichu albo w obecności tych, którzy nigdy by go nie zdradzili, bo sami też niejedno mieli na sumieniu. Ale teraz już obaj nie żyją, a do tego także ochroniarze Kleina. Właściwie Bruhns miał zginąć w katastrofie lotniczej. Mieliśmy plany, żeby zająć się jego helikopterem, ale ktoś nas ubiegł. Teraz nasuwa się oczywiście pytanie, kto jeszcze jest w to zamieszany.

- Dlaczego nigdy pan się z tego nie wycofał? - dopytywała Santos.

- Stąd, gdzie działałam, nie można po prostu się wycofać. Tu czeka się do wieku emerytalnego i dopiero wówczas można się udać na zasłużony odpoczynek. Wtedy trzeba się oczywiście zamknąć i cieszyć się, że już po

wszystkim. Ten, kto nie wytrzyma i zrezygnuje, naraża się natychmiast na podejrzenia innych, a w takiej sytuacji musi być zlikwidowany. Innego wyjścia nie ma.

- Chyba muszę się jeszcze napić - powiedział Henning, po czym nalał sobie szklaneczkę i od razu ją opróżnił.

- Proszę mi wierzyć, że długo się zastanawiałem, czy powinienem państwu o tym mówić, ale w końcu z bólem serca zdecydowałem się to zrobić. Dodam tylko, że tak naprawdę to dopiero przed dziesięcioma, może dwunastoma laty pojąłem, w jakim bagnie siedzę.

- Ale dlaczego? Nie rozumiem, dlaczego organizacje, które powinny dbać o nasze bezpieczeństwo, zamieszane są w działalność przestępczą. Nie mieści mi się to w głowie! - Henning był zbulwersowany.

- Zaraz pan to zrozumie. Chodzi tu o dwie rzeczy: o pieniądze i władzę. Mówiąc o pieniądzach, nie mam oczywiście na myśli stu tysięcy czy miliona euro, ale miliardy albo nawet biliony. Nikt nie wie do końca, o jakie sumy chodzi. Niemcy stanowią znaczącą część globalnej, międzykontynentalnej układanki. Jesteśmy graczami na światowym poziomie i bez naszego udziału wszystko padnie, w tym także interesy prowadzone w Stanach Zjednoczonych, Rosji czy w Chinach. Organizacja ta działa podobnie jak mechanizm zegarka, gdzie koła zębate współpracują ze sobą, żeby całość się kręciła. Nie należy też dosłownie rozumieć utarczek politycznych, bo służą one jedynie wzbudzaniu sensacji. Za sprawą mediów pokazuje się społeczeństwu, że politycy są i działają w ich interesie, czy to w Stanach, Rosji, czy w Chinach. Wszędzie jest to ta sama gra. Przykład? Schumann sprowadzał kobiety i dzieci ze Wschodu na Zachód już w latach siedemdziesiątych, a wtedy przecież istniała jeszcze żelazna kurtyna. Jednak za dewizy zarówno Schumann, jak i my sami dostawaliśmy wszystko. Po upadku muru berlińskiego interes rozkwitł i taki poziom utrzymuje się do dziś.

Polega to wszystko na dawaniu i braniu, i to na najwyższych szczeblach, tam gdzie nikt nikomu nie robi krzywdy, bo wszyscy dążą do tego samego: władzy i pieniędzy.

- Chce pan przez to powiedzieć, że jesteśmy bezsilni?

- Kogo ma pan na myśli, mówiąc „my”? Jeżeli myśli pan o sobie i o mnie, to odpowiedź brzmi: tak. Jeżeli jednak ma pan na myśli ludzi pokroju Schumanna i Kleina, to powtórzę tylko, że mogli robić, co tylko chcieli, ale ważną rzeczą jest, że śmierć Kleina zachwiała całą organizacją. Teraz należy szybko znaleźć dobre zastępstwo, a morderca Kleina musi zostać zlikwidowany. Myślę jednak, że tak się nie stanie, bo nigdy do niego nie dotrą.

- Skąd taka pewność? - dopytywał się Henning.

- Moim zdaniem chodzi o tak zwane widmo. Tylko, jak dotąd, nie rozumiem motywu jego działania. Co mogło go do tego skłonić, żeby pozbyć się Bruhnsa i Kleina? Nie otrzymał od nas takiego zlecenia, a mimo to jestem w stu procentach pewien, że zrobił to właśnie on. Jak już mówiłem, jego motyw jest dla mnie zagadką. Coś musiało go zmusić do tego albo przejrzał cały ten mechanizm i postanowił usunąć tych, przez których czuł się wykorzystany... Nie, proszę o tym zapomnieć. Według mnie nie ma nic, co łączyłoby go z ofiarami.

- Może zapyta pan o to panią Schumann? - zaproponował sarkastycznie Henning. - Ona pewnie zna rozwiązanie tej zagadki.

- Możliwe, nasz kontakt jednak się urwał.

- Szkoda, ale może dać panu jej adres?

- Nie, dziękuję. Mam go. Jeszcze jedno pytanie: czy byli państwo ostatnio na jakimś koncercie rockowym lub popowym? Czy raczej wolicie klasykę albo stare szlagiery?

- Byliśmy. Kilka miesięcy temu, a czemu pan pyta?

- Mógłbym państwu wymienić od razu, bez zastanawiania, dwadzieścia znanych i popularnych gwiazd

międzynarodowej sławy, które oficjalnie działają na rzecz ochrony środowiska, przeciwdziałają łamaniu praw dzieci, zwalczają ich wykorzystywanie seksualne... i wiele innych... a po swoich występach same zmuszają dzieci i kobiety do prostytucji. To kłamstwo i obłuda tego świata. Równie dobrze mogą wyliczać polityków i bossów naszej gospodarki, którzy dobrze czują się tylko wtedy, kiedy swojej władzy i siły mogą użyć przeciwko przestraszonym i bezbronnyim kobietom i dzieciom. W opinii publicznej jednak cieszą się nienaganną opinią. Są niczym jagniątko, które nigdy i nikomu nie wyrządziły krzywdy... Możecie mi wierzyć, poznałem wiele tych osób i pojąłem, że każdy, kto ma władzę nad innymi, zaczyna żyć w nierealnym świecie. Oni mogą robić, co tylko chcą, i są zdolni do wszystkiego. Politycy, finansisci... za dużo, by ich wyliczać, wszyscy oni zapomnieli już, jak to jest stąpać po ziemi, jak wyglądają realia tego świata...

- Udzielił nam pan dużo informacji na temat Bruhnsa i Kleina, ale co może nam pan powiedzieć o Kerstin Steinbauer? - Santos wróciła znów do tematu, którego Albertz nie chciał wcześniej podjąć.

W jednej chwili Albertz poczuł się zmęczony i znużony rozmową. Jednak kiwnął głową.

- Dobrze, że pani o nią zapytała. W organizacji działała od półtora roku za sprawą Bruhnsa, który wciągnął do interesu młodą, atrakcyjną damę, ale ona jednak nie zachowywała się tak, jak powinna zachowywać się kobieta. Z domu dziecka trafiła prosto na salony, co stanowiło bardzo stromą drogę do kariery i oczywiście nie obyło się bez jej udziału w interesie. Zadanie Kerstin Steinbauer polegało na wyszukiwaniu dzieci i nastolatków. Dzięki temu, że była otwarta, miała miłą aparycję i świetnie wyglądała, a do tego umiała znaleźć się w każdej sytuacji, potrafiła zwabić każdego i wykorzystać go dla organizacji.

- Znał ją pan osobiście?

- Tak. Ktoś, kto jej nie znał, nigdy by nie przypuszczał, że w tym pięknym, młodym ciele żyje taki zdegenerowany duch. Bez żadnych skrupułów pięła się do góry w organizacji i o mały włos prawie jej się to udało. Zwerbowała mnóstwo dzieci pochodzących z niemieckich rodzin, które w wyniku rozpadu związków znalazły się w różnych instytucjach opieki społecznej...

- Jak ona rekrutowała te dzieci? - dopytywała się Santos.

- Był z niej śliczny diabeł. Stwarzała pozory, że się o nie troszczy, obiecywała im gwiazdkę z nieba, maciła w głowach i przyciągała do siebie niczym czarownica z bajki. Czasem zabierała je do McDonalda, podarowała raz i drugi kilka euro, kupowała prezenty, dawała tym dzieciom wszystko to, czego im brakowało. Skąd miały wiedzieć, że nimi manipuluje? Podobnie jak w branży muzycznej, i tu Bruhns miał niezłego nosa. Od razu wyczuł w niej potencjał i wciągnął ją do organizacji. Za swoje usługi była przez niego bardzo dobrze wynagradzana, o czym już wiecie. Gdybyście mnie zapytali, czy zasłużyła na śmierć, to powiem, że nie wyobrażam sobie nawet, co stałoby się z nią w ciągu następnych pięciu czy dziesięciu lat.

- Gdy to słyszę, zastanawia mnie tylko, komu na tym świecie można zaufać...

- Pani Santos, nie wszyscy są źli. Chodzą po tym świecie i dobrzy ludzie, jak na przykład mój przełożony. Większość policjantów pracujących w wydziałach federalnych czy krajowych wykonuje swoje zadania bardzo dobrze, ale niestety władza należy do tych kilku czarnych owiec. Niech nie popełnia pani teraz tego błędu i nie mierzy wszystkich tą samą miarką. - Albertz spojrział na zegarek. - Myślę, że najważniejsze już zostało powiedziane. Są jakieś pytania?

- Tak - powiedział Henning. - Proszę wyjaśnić jeszcze raz, jak działają te struktury. Chciałbym wiedzieć, jak to wszystko funkcjonuje w służbie bezpieczeństwa i Federalnej Policji Kryminalnej. Jeżeli jest ktoś, kto może nam to wytłumaczyć, to właśnie pan. Odważy się pan to zrobić?

- Panie Henning, już nawiązując z państwem kontakt, wykazałem się odwagą, ale spodziewałem się tego pytania. Służba bezpieczeństwa ma za zadanie ochraniać państwo i usuwać zagrożenia, jakie mogą się pojawić. Zajmujemy się przeświadczeniem wszystkich partii prawicowych i lewicowych, sprawdzamy wszelkie organizacje religijne, związki obcokrajowców, przeciwdziałamy szpiegostwu i tak dalej... Nasze działania nie ograniczają się jednak tylko do tego. Musimy również zadbać, by nasi krajowi i zagraniczni przyjaciele byli zadowoleni. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Proszę teraz uważnie słuchać. To zadowolenie osiągamy dzięki prezentom, bo jak już mówiłem, jest to dawanie i branie. Dajemy różnego rodzaju walory i informacje, przy czym od razu mówię, że o informacjach nie chciałbym teraz dyskutować, a walory to na przykład możliwość kupna ropy, aluminium i innych rzeczy, w tym także ludzi. Weźmy na przykład Rosję. Propagowany tam dobrobyt nie istnieje i nigdy nie istniał, a dotyczy jedynie grupki ludzi, którzy mogą sobie na wszystko pozwolić. Większość rosyjskiego społeczeństwa żyje na granicy ubóstwa. Jest mnóstwo rodzin, które nie są w stanie wykarmić swoich dzieci i cieszą się, jeżeli mogą się jednego lub dwojga pozbyć. My je wtedy kupujemy i wysyłamy do ludzi, którzy są nimi zainteresowani. Oczywiście nie odbywa się to pod szyldem służby bezpieczeństwa, co jest chyba jasne, ale mamy swoich ludzi wszędzie, i to na wszystkich szczeblach. Między innymi takimi ludźmi byli Bruhns, Steinbauer i Klein. Często zdarza się, że sprowadzane są młode studentki, którym obiecuje się beztrudne życie za zachodnią granicą...

- Taki przypadek już znamy - wtrąciła Santos.

- Oczywiście, zapomniałem, że pracowaliście już przy takiej sprawie. Takie rzeczy dzieją się oczywiście w największej tajemnicy i wie o tym tylko nieliczne grono wtajemniczonych. Oczywiście współpracujemy ze wszystkimi urzędami i organizacjami we wszystkich krajach. My mamy pieniądze, a oni towary dla naszych wymagających klientów. Niemcy stanowią ważny ośrodek dużych międzynarodowych transakcji handlowych.

- Mówiąc wprost: Niemcy, aby pozbyć się towarów, zmuszone są oddawać różne przysługi. Dobrze to zrozumiałam?

- Dobrze. Tak właśnie jest. Nie chodzi tu jednak tylko o zagranicznych klientów, ale także o naszych krajowych. Początkowo ludzie spotykają się na przykład w jakimś hotelu, omawiają interesy, dogadują się i wtedy zaczyna się ta miła część. Oczywiście nie dla kobiet i dzieci, których każdego dnia w tym kraju wiele zostaje wykorzystanych. Istnieje oczywiście oficjalna ich liczba, która jednak nijak się ma do tej nieoficjalnej i zapewne prawdziwej.

Podpierając ręką brodę, Henning zamyślił się i nadal wpatrując się w dal, zapytał:

- Czy znane są panu nazwiska Friedmann i Muller z Federalnej Policji Kryminalnej?

- Cóż za pytanie. Oczywiście. Obaj pracują dla nas od blisko dziesięciu lat.

- Na czyje polecenie zabili Weidricha?

- To głupie pytanie, przecież wiecie - brzmiała odpowiedź.

- No tak, ma pan rację. Co to za typy?

- Friedmann i Muller to tak zwani niewolnicy. Za pieniądze podejmą się każdej brudnej roboty. Nie wzbogacą się na tym, a to dlatego, że traktujemy ich jak psy, które chociaż nabiegają się za kawałkiem kiełbasy, to nigdy jej

nie dogonią, ale o tym oczywiście nie wiedzą. Obaj są posłuszni, ale zarazem bardzo niebezpieczni, zupełnie jak pitbulle nauczone słuchać tylko swojego pana. Wykonają każde polecenie, nie zadając ani jednego pytania. Można ich też porównać do jadowitych węży, których śmiertelny jad rozprzestrzenia się po organizmie, gdy tylko wpiją się w skórę. Żeby je unieszkodliwić, trzeba je zabić, i tu od razu uprzedzam, tych dwóch jest bardzo czujnych i całkiem bystrych. Wręcz przeciwnie, mają doskonałe wyszkolenie zdobyte zarówno u nas, jak i w Izraelu.

- Moja koleżanka również ma doskonałe wyszkolenie - wtrącił Henning - i zadarcie z nią również może skończyć się śmiercią.

- Wiem, i to również było powodem mojego kontaktu z wami. Jeżeli istnieje ktoś, kto mógłby się tych dwóch pozbyć, to właśnie wy.

- Czy to oznacza, że mamy się ich pozbyć? - zapytał Henning z odrazą.

- To zależy od was. Macie odwagę to zrobić?

- Tu nie chodzi o odwagę, tylko o to, co...

- Mój Boże, na pamięć znam te bzdury... składaliście przysięgę. Friedmann i Müller też ją składali. Jeżeli ktoś ich nie powstrzyma, to nadal będą działać jak dobrze wytresowane pitbulle. Powiem wam coś jeszcze, obaj należą do grupy najważniejszych ludzi w kręgu zewnętrznym. Z tego, co wiem, w ciągu ostatnich dziesięciu lat zabili ponad trzydzieści osób, a jest to o wiele więcej, niż zabijają seryjni mordercy. Friedmann i Müller to bezduszne roboty zdolne do wszystkiego. Zastanówcie się jeszcze i dajcie mi odpowiedź w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin.

- Co ma pan na myśli, mówiąc „zewnątrzny krąg”? -zapytała Santos.

- I skąd mamy wiedzieć, że mówi pan prawdę?

- Do kręgu zewnętrznego zaraz wróć, a teraz odpowiem na drugie pytanie. Przyniosłem dokumenty, które mówią same za siebie. - Powiedziawszy to, wyjął zza fotela aktówkę, a z niej teczkę. Jej zawartość wyłożył na szklany stół. Większość stanowiły zdjęcia. - Proszę, oto młoda kobieta pochodząca z Ukrainy. Działała dla nas, ale kiedy kazano jej kogoś zlikwidować, wycofała się. Powiedziano, by się zastanowiła, ale pozostała przy swojej decyzji. Stanowiła zagrożenie, więc Friedmannowi i Mullerowi polecono usunięcie jej. Po każdym wykonanym zadaniu robią zdjęcia, by udowodnić, że faktycznie wszystko załatwili. Spójrzcie sami - powiedział, układając zdjęcia obok siebie.

Santos i Henning w milczeniu przyglądali się zdjęciom, które ukazywały ciała zabitych. Jedną trzecią ofiar stanowiły kobiety. Brakowało jednak zdjęcia Weidricha.

- Wszystkie te osoby zostały zabite przez Friedmanna i Mullera? - zapytał Henning z niedowierzaniem, po czym wstał i oparł się o stół. Spojrzał z wściekłością na Alberta. Wyglądał, jakby zaraz miał zamiar się na niego rzucić.

- Tak - brzmiała zwięzła odpowiedź. Albertz patrzył na Henninga i nie odwracał od niego wzroku. Nie ruszył się nawet o milimetr. Wydawało się, że groźne spojrzenie Henninga w ogóle nie zrobiło na nim wrażenia.

- Dlaczego nie uwzględniono ich w raportach?! - krzyknął Henning.

- Bo dotąd tego nie chcieliśmy - odpowiedział spokojnie Albertz

- Świetnie! Chodzi sobie takich dwóch morderców na wolności i do tego pracują w policji. Po prostu wspaniale! Boże! W jakim my właściwie kraju żyjemy?

- Rozumiem pańską złość, ale zapewniam, że nie ja wystawiłem te zlecenia. - Albertz nadal był spokojny.

- Gównu mnie obchodzi, czy pan, czy ktoś inny! I nie rozumie pan mojej złości nawet w najmniejszym stopniu! Ja złożyłem przysięgę i tego się trzymam...

- Wiem, wiem, wiem. Należycie do tych dobrych. A co z tymi złymi? Wolicie się odwrócić czy powiecie, że zrobicie wszystko, aby ich powstrzymać? Co dla pana oznacza przysięga?

- Wszystko pięknie. Nie - poprawił się Henning - wcale nie pięknie. To jest jedno wielkie świństwo. Już wczoraj pytałem: jak pan mógł żyć z taką świadomością? Jak pan pogodził to z własnym sumieniem?

Albertz napił się whisky i patrzył na resztę ciemno-bursztynowego płynu w szklance.

- Wcale tego nie zrobiłem. Nie będę tego tłumaczył, bo nie ma potrzeby. Przeszłości nie da się zmienić, ale można spróbować wpłynąć na przyszłość. Cokolwiek się stało, należy do przeszłości i wierzcie mi państwo, że nigdy nie chciałem mieć w tym udziału. Natomiast teraz chciałbym, żeby pociągnięto do odpowiedzialności sprawców.

- A kim oni są? - zapytała Santos. - Pan niby do nich nie należy?

- Jeżeli pytanie brzmi: czy zleciłem choć jedno morderstwo, to powtórzę chętnie, że nie. Odpowiedzialna nie jest również ani Sarah Schumann, ani ten zagadkowy płatny morderca. Odpowiedzialni są inni ludzie, jak na przykład Bernhard Freier czy też ministrowie spraw wewnętrznych rządzący w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat: Klause, Wehmeier, Christensen. To tylko niektórzy. Powiem wam jedno: pani Schumann zrobiła światu wielką przysługę, zlecając zabicie męża, bo był on mordercą, handlarzem dziećmi i pedofilem...

- A potem przyszła pora na Kleina - dodała Santos, nie mogąc się powstrzymać.

- Tak. Ma pani rację, potem był Klein. Próbowałem wyciągnąć z pani Schumann nazwisko sprawcy, ale broniła się za wszelką cenę i nic mi nie powiedziała. Zgodziła się jednak z nami współpracować. - Albertz zaśmiał się sucho. - Sarah Schumann jest wyjątkowa. Nawet gdyby ją torturowali, nie wyjawiałaby tych danych. Wiedziałem o tym i dlatego zastosowałem inną taktykę. Od początku lat dziewięćdziesiątych kontaktowaliśmy się z nim przez Internet. Nie wiedzieliśmy wtedy i nadal nie wiemy, jak on właściwie wygląda ani gdzie mieszka. Jestem jednak pewien, że to właśnie on zlikwidował Bruhnsa i Kleina, ponieważ za jednym i za drugim razem zostawił swój znak rozpoznawczy - kobiece DNA. Od dziesięciu lat sprawca gra w tę samą grę, a my nadal nie wiemy, do kogo to DNA należy. Jedyna, ale jednocześnie mało prawdopodobna teoria opiera się na tym, że sprawcą jest kobieta, ale ja uważam, że te morderstwa to męska robota. Poza tym różnorodność metod zabijania, w tym także takie sposoby, w których potrzebna jest siła fizyczna, również wskazywałyby na męczyznę. Stworzyliśmy profil przestępcy, według którego jest to osoba silna, o dużej sprawności fizycznej. Poza tym pani Schumann też powiedziała, że jest to mężczyzna, i ja w to nie wątpię.

- Niech mnie pan źle nie zrozumie, ale na wolności jest jakiś płatny morderca, który ma za sobą niejedno zlecenie. Morderstwo to morderstwo, a taki sprawca powinien trafić za kratki na dożywocie - upierała się Santos.

- Owszem, ale zauważmy jedno: oczywiście jest mordercą i tu nie ma wątpliwości, jednak z tego, co wiem, zabijał on tylko ludzi, którzy sami wydali zlecenie na zabicie jednej bądź wielu osób. To nie jest ktoś, kto zabija z niskich pobudek. Jemu nie chodzi o zawiść, zazdrość czy żądzę. To jest jego praca, którą świetnie wykonuje od dwudziestu pięciu lat.

- Czyli jest to dobry człowiek, który uwalnia ludzkość od brudów? - zapytał kpiąco Henning i zacisnął pięści, jakby chciał uderzyć Alberta.

- Powtórzę, rozumiem pańską złość, bo też jestem zły, oczywiście mam ku temu inne powody. Chodzi o to, że pozbawiono nas kilku ludzi, którzy ciągnęli za sznurki. Złość noszę w sobie od wielu, wielu lat i nie udało mi się jeszcze jej pozbyć. Nie jestem jednak zły na zabójcę widmo, bo on również jest tu tylko marionetką, chociaż o tym nie wie. Oczywiście jest za swoje działanie dobrze wynagradzany i z pewnością ma na koncie kilka milionów. Jak już mówiłem, nie widziałem go nigdy, ale potrafię poznać jego robotę i zapewniam, że jest profesjonalistą.

- Może pan podać nam jeszcze nazwiska kilku osób, które zabił? Oczywiście oprócz Bruhnsa i Kleina.

- Panie Henning, znam nazwiska, ale wolałbym ich nie ujawniać. W tej chwili, w sytuacji, w jakiej się znajdujecie, nie zrobilibyście dobrego użytku z takiej wiedzy, a do tego nikt z nas nie chce dopuścić...

- Czy mogłabym porozmawiać krótko w cztery oczy z moim partnerem? - zapytała Santos.

- Oczywiście - zgodził się Albertz i zamknął za sobą drzwi, wychodząc z pokoju.

Santos położyła dłoń na ramieniu Henninga.

- Sören, przestań się w końcu zachowywać jak obrażone dziecko. Albertz próbuje nam wytłumaczyć coś, o czym nie mieliśmy dotąd pojęcia...

- Bądź cicho, z łaski swojej. Bądź cicho - powiedział Henning i odszedł kilka kroków. - Nie jestem obrażonym dzieckiem, tylko dorosłym mężczyzną z dojrzałym umysłem, i właśnie dlatego nie pojmuję, jak można mówić o mordercy, jakby był jakimś świętym! A ty nawet nie protestujesz, chyba że ja coś źle zrozumiałem? Wygląda na to,

że coś umknęło mojej uwadze, a sądziłem, że przemyślałem już wszystko.

- To pytanie powinienes zadać jemu, a nie mnie. Jestem pewna, że udzieli ci odpowiedzi na każde, bylebyś mu tylko na to pozwolił, i weź na wstrzymanie. Twoja agresja i sarkazm są zbędne. Usiądź kolo mnie i słuchaj spokojnie, a potem zadawaj pytania. Tylko w taki sposób zdołamy zrozumieć to wszystko i przekonać się, że jest dużo więcej spraw w naszym otoczeniu, o których nawet nie mieliśmy pojęcia. Daj mu szansę mówić, inaczej zostaniemy znów z mnóstwem pytań bez odpowiedzi, a to jest dla mnie jeszcze bardziej frustrujące niż te wszystkie informacje, które dotąd usłyszeliśmy. Zrób to dla mnie i uspokój się, proszę.

Henning zmarszczył czoło.

- Dobrze, ale robię to tylko dla ciebie - powiedział po chwili zastanowienia.

- Naprawdę nie ciekawi cię, co tu się tak naprawdę dzieje? Kto pociąga za sznurki? Czemu wynajmowani są płatni mordercy, którzy tak sprytnie działają, że wiele morderstw wygląda jak wypadki albo naturalne zgony? Mam wrażenie, jakbyśmy nagle przekroczyli próg innego świata, i chcę się dowiedzieć, jak w nim przeżyć. Wiemy już dużo więcej niż większość naszych kolegów po fachu i zawdzięczamy to jemu. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Mam tylko nadzieję, że to nam się przyda i że nie jesteśmy teraz zwodzeni. Albertz raczej nie dopuściłby do tego, inaczej chyba by nie chciał się z nami spotykać.

- Dobrze, już dobrze, Liso. Posłuchajmy, co ma nam do powiedzenia, a potem zastanowimy się nad tym.

Santos podeszła do drzwi i zobaczyła, że Albertz pali.

- Możemy kontynuować? - zapytał z uśmiechem i zgasił papierosa w popielniczce wypełnionej piaskiem.

- Proszę.

- Nie macie państwo pytań?

- Nie, ale chętnie usłyszelibyśmy coś na temat zewnętrznego kręgu.

- Jest to grupa ludzi, takich jak Friedmann i Müller, którzy są tak zwanymi niewolnikami. Polega to na tym, że wykonują zlecenia i przez to tworzą mur ochronny dla kręgu wewnętrznego. Tam z kolei działają ludzie, którzy mają niesamowitą władzę, układy i pieniądze. Oni wszyscy działają w symbiozie. Ci ludzie rzadko występują publicznie, a jeżeli już się o nich mówi, to tylko pozytywnie. Należą do nich na przykład różnego rodzaju dobroczyńcy, mecenasi sztuki, politycy, osoby rządzące. Jednak muszę powiedzieć, że są oni w mniejszości, bo większość należy do kręgu zewnętrznego. Wiem, że znów brzmi to jak jakaś teoria spiskowa, ale tak właśnie jest...

- A co z pańską przynależnością?

- Co pan przez to rozumie? - zapytał Albertz lekko niezadowolony.

- Do którego kręgu pan należy?

- Do obu.

- A osobiście gdzie się pan odnajduje?

Albertz kiwnął i przesywając Henninga wzrokiem, zapytał:

- A jak pan myśli?

- Nie mam zdania.

- To dobrze. Zostawmy to tak...

- Ja myślę, że należy pan do wewnętrznego kręgu - powiedziała szybko Santos.

- Och, a więc myśli pani, że należę do sfery rządzącej... to mi pochwala.

- Jednak nie odpowiedział pan na moje pytanie - zauważyła Santos z uśmiechem.

- Zgadza się, ale czy nie jest to bez znaczenia, do którego kręgu należę?

- Nie, bo jeżeli dobrze zrozumiałam, to w kręgu zewnętrznym są osoby przyjmujące i wykonujące zlecenia... niewolnicy. Jak dla mnie raczej nie jest pan niewolnikiem, bo wtedy nie zdobyłby pan takiej wiedzy. Należy pan zatem do kręgu wewnętrznego, gdzie podejmuje się decyzje i...

- Pani Santos...

- Proszę dać mi dokończyć. Nawet jeżeli jestem laikiem w dziedzinie psychologii, to uważam, że dąży pan do tego, aby definitywnie zakończyć...

- Bzdura! Proszę mnie teraz dobrze posłuchać. Nie mogę niczego zakończyć. Muszę czekać do czasu, gdy będę mógł odejść na emeryturę, a to jeszcze potrwa kilka lat. Jedyne, co teraz robię, to przekazuję wam tajne informacje i ufam, że będziecie w stanie ostrożnie działać, by je dobrze wykorzystać. Powinienem był wycofać się przed dwudziestu laty, zanim jeszcze się dowiedziałem, co się dzieje. Jednakże przychodzi taki dzień, że dociera się do miejsca, skąd nie ma już powrotu... tak zwany *point of no return*. Dla mnie już dawno nie ma odwrotu. Nie jestem człowiekiem, który może o czymkolwiek tu decydować. Ja tylko czasami jestem obecny podczas podejmowania decyzji.

- Jakich decyzji?

- Nie chciałbym wam jeszcze bardziej gmatwać...

- Za późno. Chcemy się dowiedzieć wszystkiego - powiedziała Santos.

- Dobrze. Chodzi na przykład o decyzje dotyczące wojen, transportu i zaopatrzenia w broń innych państw, również takich, które są na czarnej liście. Te kraje muszą się przecież gdzieś zaopatrywać, my musimy się pozbywać towaru, bo magazyny pękają w szwach. Do tego dochodzi również sprawa utrzymania miejsc pracy w przemyśle zbrojeniowym. Podejmowane decyzje dotyczą też handlu

delikatnymi towarami, jak na przykład pluton, wzbogacony uran czy osm, a także lewych transakcji aluminium i niklem. Na tych szczeblach decyduje się również o handlu ludźmi, przy czym słowo „handel” ma tu podwójne znaczenie. Tak więc decyzje dotyczą wielu spraw w dziedzinie gospodarki i mają znaczenie zarówno krajowe, jak i globalne. Jeżeli uważacie, że takie decyzje podejmują nasi politycy, to muszę was rozczarować. Bardzo ważne decyzje zapadają przy drzwiach zamkniętych i mało kto jest przy tym obecny. Spójrzcie tylko na handlarzy bronią i ich firmy zajmujące się praniem brudnych pieniędzy. Tacy ludzie nigdy nie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności karnej, ponieważ cieszą się poparciem kogoś postawionego dużo wyżej niż nasze sądownictwo. Pamiętacie może wojnę domową w Sierra Leone? Chodziło tam głównie o diamenty. Jak myślicie, kto ciągnął z tej wojny największe zyski? Tamtejsi rządzący? Nie, oni co prawda się wzbogacili, ale to my mieliśmy największe profity, a z nami również nasi przyjaciele z Zachodu. Dlaczego? Bo to właśnie my finansowaliśmy tę wojnę, a ludzie odgrywali tylko rolę drugoplanową; byli narzędziem służącym do osiągnięcia celu. Zanim się znów zaczniecie tak ekscytować, dajcie sobie tylko powiedzieć, że działo się tak już tysiące lat temu, i to wszędzie: w Egipcie, Rzymie, Grecji i wszystkich innych kręgach kulturowych. Historia lubi się powtarzać; jest jak koło. A dlaczego? Bo ludzie się nie zmieniają.

- A pani Schumann? - zapytała Santos.

- Służyła wyłącznie jako pośrednik.

- To brzmiało wcześniej trochę inaczej. Jest jedyną osobą, która zna widmo, sam pan tak mówił...

- I co pan zamierza? Jak chce pan zmusić ją do wyjawienia jego tożsamości? Jakich środków pan do tego użyje? Słyszeliśmy, że zna pani płatnego mordercę, który

działa na całym świecie od dwudziestu pięciu lat i zabił również pani męża... Tylko jak pan to wszystko udowodni? Przecież ona również cieszy się poparciem kogoś wyżej i dlatego nigdy nie zdoła jej pan udowodnić żadnej winy. Zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie ją chronił.

- Tak jak pan - stwierdziła lakonicznie Santos.

- Na przykład. Myślę, że tym samym nasza rozmowa jest już zakończona. Mają państwo teraz bardzo dużo informacji, z którymi możecie pracować...

- Chwila! - przerwał mu Henning. - Ale co, do licha, mielibyśmy zrobić?

- Zajmijcie się Friedmannem i Mullerem, tylko bądźcie ostrożni. Obaj są bardzo niebezpieczni. Gdyby się zorientowali, że prowadzicie podwójną grę, nie zawahają się usunąć każdego, kto stanie im na drodze. Wierzcie mi, nie przebierają w środkach.

- Super. Czy to niby oznacza, że mamy ich zabić?

- Zróbcie to, co trzeba. Do widma i tak nie dotrzecie, ale możecie uwolnić świat od tych dwóch drani.

- Dlaczego sam pan tego nie robi?

- Panie Henning, przecież ja jestem tylko zwykłym pracownikiem biurowym.

- Nie. Nie ma mowy. Nie damy się zaprząć do pańskiego powozu i ryzykować życie. Zresztą skoro wcześniej rola Friedmanna i Mullera wszystkim pasowała, to dlaczego nagle trzeba zmieniać system?

- Ależ z pana cynik. Nawet mi to imponuje. Friedmann i Muller zabili Weidricha i infiltrowali waszą grupę dochodzeniową, i... Przecież poznaliście Weidricha i wiecie, że nigdy nie mógłby zabić Bruhnsa. Ja również to wiem. Powiem wam tylko jeszcze jedno i zapamiętajcie to sobie: jeszcze nie raz spotkacie na swojej drodze Friedmanna i Mullera, bo mają was na oku.

- Niby dlaczego? - zapytała Santos.

- Taki dostali rozkaz. Mają was obserwować, bo jest podejrzenie, że moglibyście zaszkodzić w przeprowadzeniu niektórych działań.

- Kto tak twierdzi?

- Nieważne. Pokażcie tym typom, że jesteście od nich silniejsi i przede wszystkim sprytniejsi. Na mnie już czas. Jeszcze tylko musimy umyć szklanki i schować je do szafki. Proszę się nie martwić o policyjne zabezpieczenia domu, ja się tym zajmę.

- To może ja umyję szklanki - zaoferowała się Santos i udała się do kuchni.

- Niech pan mi odpowie na jeszcze jedno pytanie. Dlaczego właśnie dzieci? - spytał Henning.

- Na to jest chyba kilka odpowiedzi. Po pierwsze, niektórzy ludzie mogą sobie na wszystko pozwolić chcieliby również spełnić swe marzenie, a nim właśnie są dzieci. Po drugie, są ludzie, którzy za wszelką cenę chcą się wyżyć, dawno już zapomnieli, jak się kontrolować, hamować i czym jest godność ludzka. No i są też tacy, którzy te dzieci wykorzystują i krzywdzą. Znacie może sprawę dziecięcych burdeli Yvonne z Drezna? Bywali tam politycy i inne ważne osobistości. Sprawa wyszła na jaw zupełnie przez przypadek, ale do tej pory nie było procesu, a to za sprawą braku dowodów. Rodzice i dzieci zostali przekupieni; jeżeli na to nie przystawali, to wywierano na nich mocny nacisk. Podobny historia zdarzyła się również w Kilonii przed rokiem...

- Nic o tym nie wiem.

- Oczywiście, że nie. Sprawę od razu zamknięto. Zajął się tym prokurator Riiter...

- Riiter? Jak to? A co on miał z tym wspólnego?

- Jak to co? Jaki ojciec, taki syn, tyle że syn podchodzi ambitnie do sprawy, podczas gdy ojciec pociąga tylko za sznurki w Berlinie. Riiter jest bardzo ważnym ogniwem

w organizacji. Dla niego jest ona niczym druga rodzina i nigdy nie dopuści do tego, żeby coś mogło jej zaszkodzić. Dodam tylko, że Drezno i Kilonia wcale nie są odosobnione... wszędzie są takie burdele.

- Niech pan nam opowie coś więcej o Rüterze.

- Cóż więcej mogę powiedzieć? Jego ojciec był prokuratorem generalnym, kiedy to zdecydował, że musi umocnić swoją pozycję polityczną i dlatego zaraz załatwił synowi tę posiadkę... Ci dwaj są superzgranym zespołem.

- Już raz o to pytałem, ale powtórzę: kto wydał zlecenie na Weidricha? Nie, proszę nie mówić, sam zgadnę: Rüter. Zgadza się?

- Możliwe. Niestety nie wiem tego na pewno. Takie zlecenie mogło również pochodzić od kogoś z nas. Musiałbym się dowiedzieć.

- Rüter też z wami współpracuje?

- Niech pan przestanie myśleć szufladkowo, panie Henning. Nie ma tej czy tamtej organizacji, tej czy tamtej osoby. Tu chodzi o całą sieć, o powiązania. Oczywiście, że Rüter z nami współpracuje, ale są też decyzje, które podejmuje sam. Większość jest z nami uzgadniana, ale nie wszystkie. Żeby uprzedzić następne pytanie, dodam, że należy on do wewnętrznego kręgu, tak jak jego ojciec.

Santos wróciła w tym czasie z umyтыми szklankami.

- Idziemy? - spytała.

- Zaraz - odpowiedział Henning.

- To oznaczałoby, że Rüter ma swoich ludzi zarówno w prokuraturze, jak i w Federalnej Policji Kryminalnej, między innymi należą do nich Friedmann i Müller.

- Zgadza się, ale nie jestem w stanie podać teraz innych nazwisk. Przykro mi.

- Co by się stało, gdyby nagle Rüter został zlikwidowany? Czy to zachwiałoby organizacją?

- Panie Henning, radziłbym od razu zapomnieć o takim pomysle, bo stąpa pan po kruchym lodzie.

- Tak czy siak, już od jakiegoś czasu to robimy. Więc co by się stało?

- Szukaliby pana nawet na końcu świata, jego staruszek na pewno by o to zadbał...

- Oczywiście nie mówię, że my byśmy to zrobili...

- Obojętnie kto. Jeżeli ktoś by tego dokonał, oznaczałoby to również jego koniec. Riiter ma wysoką pozycję w organizacji. Jego odejście zamroziłoby kontakty z prokuraturą i Federalną Policją Kryminalną. Byłaby to duża szkoda i od razu szukano by zastępstwa. Mieliśmy podobną sytuację kiedyś w Kolonii i odbudowanie sieci trwało tam trzy lata.

- Riiter. Od razu wiedziałem, że coś z nim jest nie tak. Idziemy już, Liso. Do widzenia i dziękujemy za współpracę.

- Do widzenia. Dla mnie to zaszczyt, że mogłem państwa poznać - powiedział Albertz i podał rękę najpierw Santos, a potem Henningowi. Pożegnawszy się, odprowadził ich do drzwi, wyjął z kieszeni kurtki naklejki policyjne i przylepił je na drzwiach. Dopisał jeszcze tylko sobotnią datę.

Henning i Santos udali się w milczeniu do samochodu. Henning włączył silnik. Wyjeżdżali z Schönbergu, gdy Lisa odezwała się:

- To było niezłe, co?

- Nie chcę teraz o tym rozmawiać. Muszę to przemyśleć - burknął Henning.

- Ale co?

- Powiem ci jutro. Na razie nie mów o tym ani słowa. Wystarczy, że Albertz obciążył nas tyłoma informacjami. Nie odbierz tego osobiście, ale mam dość.

Milczeli przez resztę podróży. Milczeli, gdy dojechali do domu i wysiedli. Milczeli, wchodząc po schodach i gdy szykowali się do spania. Pierwszy raz, odkąd byli razem, leżeli w łóżku plecami do siebie i nie życzyli sobie nawet dobrej nocy.

W środku nocy Henning wstał i wyjął butelkę wody ze skrzynki stojącej koło lodówki. Napił się, po czym odstawił butelkę i złapał się za głowę. Nie mógł uwierzyć w to, że on i Santos znów są zamieszani w sprawę, która ich właściwie nie powinna obchodzić. Prowadząc śledztwo w sprawie zwykłego morderstwa na znanej osobistości, znaleźli się raptem w samym środku przestępczości zorganizowanej. W tym momencie nienawidził swojej pracy - i to nie po raz pierwszy.

Środa, godz. 21.15

Hans Schmidt wszedł do domu i znów zmienił swój wizerunek. Był teraz sobą, Hansem Schmidtem, którego wszyscy znali. Przebrał się i położył na łóżku. Zadzwoił do Marii i ucieszył się, słysząc jej głos.

- Witaj, kochana. - W tej chwili najbardziej na świecie chciałby być przy niej.

- *Senhor* Schmidt, czekałam z tęsknotą na twój telefon. Kominek jest już gotowy i tak chciałabym z tobą...

- Ja też. Wszystko porządnie zrobili?

- Tak, niedługo sam się przekonasz. Pokój wygląda zupełnie inaczej. Przygotuję wszystko na twoje przybycie. Wszystko w porządku? Masz jakiś dziwny głos.

- Jestem zmęczony, i tyle. Poza tym brzydka tu pogoda. Zimno i mokro, a tego nie lubię. No i brakuje mi ciebie.

- Mam przyjechać?

- Nie. Za często musiałbym cię zostawiać samą. Postaram się przyjechać jak najszybciej. Gdy wrócę, urządzimy sobie miły wieczór przed kominkiem.

- W domu jest tak pusto, gdy ciebie nie ma. Nawet gorzej mi się śpi. Wróc niedługo.

- Mario, mam jeszcze kilka ważnych spraw do załatwienia, ale wrócę, gdy tylko się z nimi uporam. Może nie dzwońmy tyle do siebie, bo jestem coraz bardziej smutny. Mam dla ciebie niespodziankę, ale dostaniesz ją, jak wrócę do domu.

- Niespodziankę? Co to takiego?

- Jak ci powiem, to nie będzie już niespodzianka - powiedział Schmidt, śmiejąc się. - Musisz się uzbroić w cierpliwość.

- Jestem bardzo ciekawa, ale na pewno o tym wiesz.

- Wiem, wiem. Szybko zleci i niedługo będziemy razem. Mario, zadzwonię do ciebie jutro, a teraz muszę już kończyć, bo mam jeszcze dziś ważne spotkanie.

- O tej porze? Przecież u ciebie jest już po dziewiątej.

- Niektórzy klienci mają wolne dopiero późnym wieczorem. Do jutra i słodkich snów.

- Będę śniła o tobie, tylko o tobie. Dobranoc, *senhor* Schmidt, i nie zapomnij, że cię kocham.

- Jak mógłbym o tym zapomnieć? Uważaj na siebie i pamiętaj, że ja też cię kocham.

Rozłączył się, ale jeszcze trzymał w ręku słuchawkę. Zastanawiał się, czy ma zadzwonić do Sarah. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że powinien się z nią skontaktować. Z drugiej strony myślał, żeby dać już sobie na dziś spokój, ale w końcu wybrał jej numer.

- Halo, Sarah? Tak tylko dzwonię...

- Przyjedziesz? - zapytała szybko.

- Po co?

- Żeby dotrzymać mi towarzystwa. Czuję się dziś taka samotna. Potrzebuję cię dziś. Przyjedź. Przecież wiesz, że rzadko proszę cię o przysługę.

- Dobrze. Będę za dziesięć minut.

- Dziękuję.

Schmidt znów poszedł do łazienki, uczesał się i zlał wodą toaletową. Patrząc na siebie w lustrze, pokręcił głową i pomyślał: jesteś niemożliwy. Jesteś naprawdę niemożliwy. Najpierw mówisz Marii, że ją kochasz, po czym odkładasz słuchawkę i idziesz do Sarah. To nie fair, ale nie mogę jej ignorować.

Wychodząc z domu, zostawił włączone światło i rozejrzał się dookoła. Nic podejrzanego nie rzuciło mu się w oczy, więc nie spiesząc się, poszedł do domu Sarah oddalonego o czterysta metrów.

Zadzwoni! trzy razy, co było ich umówionym znakiem rozpoznawczym. Stosowali go od lat, i to wszędzie, gdzie się spotykali, czy była to Kilonia, Frankfurt, czy też Nicea.

Po trzecim dzwonku usłyszał dźwięk otwierających się drzwi. Jasne światło zapaliło się, gdy przekroczył próg. Drzwi do pokoju Sarah były przymknięte. Gdy wszedł do środka, Sarah siedziała w czarnym satynowym szlafroku na skórzanej sofie. Po służącej, która zajmowała się mieszkaniem podczas jej nieobecności, nie było śladu.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Powiedziałam Sabine, że nie będzie mi już dziś potrzebna. Mówię na wypadek, gdybyś się dziwił, że jej nie ma.

- Nic nie jest w stanie mnie już zdziwić.

- Usiądź przy mnie. Może się czegoś napijesz? Kawy, herbaty, soku?

- Herbatę miętową poproszę - powiedział i usiadł koło niej. Od razu poczuł zapach jej perfum, niezwykle delikatnych, egzotycznych i bardzo uwodzicielskich.

- Czy pijesz coś poza wodą i miętową herbatą? - zapytała Sarah Schumann z uśmiechem.

- Oczywiście, ale teraz mam ochotę właśnie na to.

- Chwileczkę - powiedziała i zniknęła w kuchni. Była boso. Nie dało się ukryć, że pod szlafrokiem również nic nie miała. Wspaniałej figury mogłaby jej pozazdrościć niejedna młoda dziewczyna; smukłej talii, kształtnych i jędrnych mimo wieku piersi i perfekcyjnych nóg. Sarah bardzo o siebie dbała. Uprawiała sport, zdrowo się odżywiała, unikała męczących przyjęć, za to wołała spędzać miło czas w towarzystwie przyjaciół.

W jednej chwili Schmidt zrozumiał, jaką była samotną kobietą. Piękna, bogata kobieta, która wokół palca owinęłaby sobie każdego mężczyznę, od śmierci męża nie była w żadnym związku. Może bała się, że trafi znów na kogoś nieodpowiedniego... A może po prostu nie chciała... Nigdy nie ujawniła mu powodu swojej samotności.

Miała mnóstwo przyjaciół i znajomych na całym świecie. Jej córki już dawno były w stałych związkach i mieszkały w Stanach Zjednoczonych i w Nowej Zelandii. Mimo wszystko w jej życiu była pustka, której Sarah nie umiała zdefiniować. Rozmawiali kiedyś o tym, gdy odwiedził ją w Nicei. Spędzili wtedy ze sobą miło czas, siedząc na tarasie i patrząc na zachodzące słońce. W tamtej chwili Sarah Schumann nie była silną i nieprzystępną kobietą. Wówczas Schmidt zobaczył w niej osobę bardzo wrażliwą, melancholijną, może nawet depresyjną. Położył swoją dłoń na jej dłoni i pojął wtedy po raz pierwszy, że nie była chłodna i zdystansowana, lecz tęskniła za czymś, czego nigdy nie miała... za miłością. Nigdy mu tego nie powiedziała, jednak czuł, że bardzo zazdrościła tego Marii. Żyła ze świadomością, że Hans Schmidt, z którym czasami zdarzało jej się sypiać, nigdy nie zdecydował się, żeby

z nią być. Pokocha! inną, ale nie było w tym nic dziwnego, w końcu była od niego starsza o trzynaście lat. Przynajmniej o sześć, siedem za dużo.

Słyszał, jak hałasowała w kuchni, co najmniej jakby przygotowywała porządny obiad, a robiła tylko herbatę, z którą po kilku minutach wróciła do pokoju. Postawiła dzbanuszek na stole. Z kredensu wyjęła także filiżanki i podstawki. Nalewając mu herbaty, pochyliła się nad nim głęboko, tak by mógł zajrzeć w rozcięcie jej szlafroka. Było dla niego jasne, że chciała sprawdzić, czy ten widok zrobi na nim jakieś wrażenie.

Usiadła przy nim. Jej włosy połyskiwały w świetle licznych świec, dzięki którym w mieszkaniu panowała miła i ciepła atmosfera, chociaż na dworze od tygodni padało i było zimno. Nie zanosilo się na ciepłą wiosnę.

- Co dziś wieczorem robiłeś? - zapytała.

- Przecież wiesz.

- Opowiedz mi. Nie powiedziałeś mi jeszcze, kto to był.

- Porozmawiajmy lepiej o czymś innym.

- To chociaż zdradź mi tylko, jak to załatwiłeś.

- Dobrze, bo widzę, że nie odpuszczisz. Użyłem trucizny, która zaczyna działać po kontakcie ze skórą i po półgodzinie nie ma po niej śladu. Dotknął klamki samochodu, na której ją umieściłem. Potem już czekał tylko na śmierć. Rozmawiałem z nim trochę - powiedział z uśmiechem, którego nie mógł ukryć. - To znaczy ja mówiłem, bo on nie był w stanie. Zastygł jak kataleptyk. Muszę powiedzieć, że nie jest to przyjemna śmierć. Nie wymyślono jeszcze żadnej odtrutki na tę truciznę. Przyczyną zgonu będzie zapewne zawał, ale nie rozmawiajmy już o tym. Z moimi planami nie masz teraz żadnego związku, okej?

- Skoro tak mówisz. Napij się herbaty, zanim wystygnie - powiedziała, przysunęła się do niego i oparła głowę o jego ramię. Głaskał jej włosy. Pachniały prawie jak włosy

Marii. Po chwili jednak poprawił się: pachniały inaczej niż włosy Marii, ale wcale nie gorzej.

- Zastanowiłeś się? - zapytała cicho, wcale na niego nie patrząc.

- Nie rozumiem.

- Zadałam ci dziś po południu pytanie. Wiesz przecież, o czym mówię - powiedziała, głaszcząc dłonią jego udo.

- Ładnie pachniesz - odparł wymijająco.

- Wiem. To specjalnie dla ciebie. Pójdiesz ze mną na górę? - Usiadła naprzeciwko niego i pociągnęła go za rękę. - Chodź. Zrób mi tę przyjemność. Tylko ten jeden raz.

- To zawsze jest tylko ten jeden raz.

- No i? Czy miało to jakiś zły wpływ na twój związek z Marią? Kochasz ją i ja to respektuję. Nie powinieneś mieć z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia, bo niby czemu? Przecież nikogo nie krzywdzisz. Czy kiedykolwiek miałeś wyrzuty sumienia po tym, jak... Przepraszam, to złe porównanie. Zapomnij, proszę.

- Dobrze już. Masz rację.

- No więc? Przecież to tylko seks. Nie chcę cię mieć dla siebie, nie chcę ci też w żaden sposób zaszkodzić, bo za bardzo cię lubię. - Chciała uniknąć słowa „kocham” w tej sytuacji, żeby go nie wystraszyć. - Maria o niczym się nie dowie.

- Na pewno, ale...

- Nie ma żadnego ale. Nie tym razem. Chcę tego i wiem, że ty również. Przecież zawsze było nam dobrze razem. Chyba że mnie oszukałeś i jednak ci się nie podobało...

- Nie. Zawsze mówiłem szczerze.

- Masz wybór: albo przyjdiesz do mnie na górę, albo wrócisz do siebie. Powiem ci tylko, że nie wytrzymam

siedzenia przy tobie z myślą, że mnie nie dotkniesz... Proszę. Wiesz, że nie lubię błagać.

- Wiesz, że cię kocham, chociaż nigdy ci tego nie powiedziałem, ale jest kobieta, którą kocham bardziej. Ona nigdy nie może się o nas dowiedzieć. Przysięgnij, że jej nie powiesz.

- Przysięgam na wszystko, co jest mi święte. Ile razy mam ci mówić, że nigdy nie chciałam zagrozić waszemu związkowi? Nigdy. Kocham cię i nie chcę, żeby spotkało cię coś złego. Po prostu za tobą tęsknię, i to tak bardzo, że nie umiem tego nawet wyrazić słowami. Możemy już iść?

Hans Schmidt wstał z sofy i przytaknął. Wziął jej dłoń, pocałował i poszli na górę.

- Maria...

- Nie myśl teraz o niej. W tej chwili jesteśmy tylko ty i ja.

Kochali się ponad dwie godziny. Było po północy, kiedy Sarah Schumann oparła głowę na rękę i długo przypatrywała się Hansowi, zupełnie jakby chciała czytać w jego myślach.

- Co się stało? - zapytał.

- Musimy o czymś porozmawiać.

- O co chodzi?

- To trochę skomplikowane. Już dawno noszę się z tym zamiarem, żeby powiedzieć ci coś... to bardzo ważne. Muszę ci coś wyjaśnić. - Właściwie planując tę rozmowę, chciała użyć słowa „wyjawić”.

Gdy zamilkła i spuściła wzrok, wydała mu się w jednej chwili małą, niewinną dziewczynką. Delikatnie pogłaskał jej twarz.

- To powiedz, co ci leży na sercu. Nie denerwuj się, przecież nie urwę ci głowy.

- Nie o to chodzi. - Uniosła twarz i długo patrzyła mu prosto w oczy. Milczała. Zastanawiała się, jakich słów

użyć, by wyrazić to, co ją gryzło. W końcu powiedziała: -Nie pytałeś mnie nawet, dlaczego przyjechałam do Kilonii. Nie chcesz wiedzieć?

- Nie zastanawiałem się nad tym. Może znudziło ci się we Frankfurcie - powiedział niepewnie. Sarah była jedyną osobą na świecie, która faktycznie mogła sprawić, że czuł się niepewnie.

- Jest powód mojej obecności tu. Jak długo się już znamy? W październiku minie dwadzieścia pięć lat, a ty nigdy nawet mnie nie zapytałeś, kim jestem. Zawsze mi ślepo wierzyłeś... Czy było inaczej?

- Nie, ale... to znaczy tak, wierzyłem ci zawsze - przyznał i poczuł się jeszcze bardziej niepewnie.

- Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Możliwe, że po wszystkim, co powiem, znenawidzisz mnie i zrozumiesz to. - Po chwili mówiła dalej, ale podniesionym głosem: - Czemu nigdy nie zadałeś mi ani jednego pytania? Czemu, do cholery, nie pytałeś?

- A o co miałem pytać? - powiedział Schmidt z bezradną miną.

- Na przykład co się ze mną działo po śmierci mojego męża? Kim są ludzie, z którymi się kontaktowałam, albo jak to się odbywa? Nie zadawałeś pytań, zawsze tylko wypełniałeś zlecenia, ku zadowoleniu zleceniodawców... niczym robot. Oczywiście nie neguję tego, zawsze szanowałam cię za to, wiesz dobrze, ale... Czy jesteś gotowy usłyszeć prawdę? - zapytała i patrzyła na niego swymi brązowymi oczyma. Przez chwilę wydawało mu się, że zaraz popłyną z nich łzy, ale zdołała się opanować.

- Oczywiście - odparł zmieszany. Uczucia, jakie nim teraz targały, były czymś dziwnym dla takiego pragmatyka jak on. Na emocje pozwalał sobie tylko w obecności Marii. Jednak teraz rozmawiał z Sarah, którą znał prawie połowę swojego życia, i nagle stało się dla niego jasne, że to

właśnie ona знаła go najlepiej na świecie. Wiedziała, czym się zajmował, i знаła jego ciemną stronę. - Jedno pytanie: czy okłamywałaś mnie przez te wszystkie lata?

- Nie. Nigdy cię nie oszukałam, ale jest coś, o czym ci nie powiedziałam. Nie mogłabym cię oszukać. Ja również chcę cię o coś zapytać: Co byś robił, gdybyś po śmierci mojego męża nie dostał żadnych zleceń? Poczekaj, chyba znam odpowiedź. Skończyłbyś studia i zacząłbyś najzwyczajniej w świecie pracować. Do dzisiejszego dnia miałbyś z pewnością żonę, dzieci i prowadził uregulowany tryb życia. Żylibyście razem w jakimś szeregowym domku jednorodzinny w nudnej dzielnicy na obrzeżach miasta... Stracilibyśmy ze sobą kontakt, bo w końcu niczego już od siebie byśmy nie potrzebowali. Nasze drogi by się rozeszły. Taki też był mój plan na początku. Popraw mnie, jeżeli się mylę.

- Chyba się nie pomyliłaś. Tak mniej więcej wyglądałoby moje życie. Chociaż nie lubię szeregowców, więc raczej skłaniałbym się ku jakiemuś wolno stojącemu domkowi. Dalej jednak nie rozumiem, co chciałaś przez to pytanie osiągnąć. Przez kolejne lata dawałaś mi zlecenia, a ja dawałem z siebie wszystko.

- Wiem. Ale nigdy nie dawałabym ci kolejnych zleceń, gdyby nie było ku temu powodu. I wierz mi, że nie chodziło o wdzięczność, tylko kryło się za tym coś więcej. - Zamilkła i zdawało się, że myślami jest gdzieś daleko. W pewnej chwili ocknęła się i spojrzała na Schmidta. W jej oczach dostrzegł smutek. - Zawsze, gdy wszystko zaplanowałam, byłam pewna, że nic mi nie grozi. Niestety, nie wzięłam pod uwagę znajomości mojego męża... Napijesz się czegoś? Muszę się napić, zaschło mi w gardle. Może wody?

- Tak. Poczekaj, ja przyniosę - zaproponował Schmidt i wstał. Był nagi. Podszedł do szafki, wyjął butelkę wody i dwie szklanki, po czym podał jej jedną i napełnił.

- Dziękuję - powiedziała i napiła się. - Oczywiście po śmierci Manfreda policja wielokrotnie mnie przesłuchiwała, aż doszli do wniosku, że nie miałam z tym nic wspólnego. Po jakimś czasie jednak odwiedziło mnie dwóch funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa. Chcieli wiedzieć, czy podejrzewam, kto mógłby stać za tym zabójstwem. Wypytywali o osoby, które mogłabym podejrzewać o to, że przyczyniły się do śmierci mojego męża. Było dla nich jasne, że nie zabiłam go sama, ale wiedzieli, że Manfred miał wielu wrogów, więc podałam im kilka nazwisk. Cóż innego mogłam zrobić? Jeden z funkcjonariuszy nie uwierzył mi jednak. Najgorsze było to, że go znałam. Bywał u nas czasami w domu. Zauważyłam też, że mu się podobałam.

Dotknęła ręką torsu Schmidta i pocałowała jego usta, podczas gdy on leżał na wznak z kołdrą sięgającą mu do brzucha, rękę trzymał pod głową i patrzył w sufit. Nie zareagował na jej pieszczoty.

- Dzień później ten mężczyzna znów do mnie przyszedł. Tym razem sam. Wpuściłam go do środka i zaproponowałam coś do picia. Mówiłam, mówiłam i mówiłam, bo nie chciałam usłyszeć, co ma mi do powiedzenia. Wiedziała, po co przyszedł. Czekał cierpliwie, aż skończą mi się tematy. Pamiętam, jakby to zdarzyło się dziś, jak pochylił się do mnie, skrzyżował ręce i wpatrując się we mnie szaroniebieskimi oczyma, powiedział: „Wie pani, jak bardzo panią cenię, ale jest coś, o czym chciałem z panią porozmawiać w cztery oczy. Z tego też powodu pozwoliłem sobie przyjść sam, bez mojego partnera. Powiem krótko: wiem, że zleciła pani zabójstwo swego męża, ale nie mam na to dowodów. Oczywiście mógłbym zaprezentować mnóstwo dowodów, przez które pozostałą część życia spędziłaby pani za kratkami... Mam nadzieję, że rozumie mnie pani...”.

Sarah Schumann wypięła resztę wody i nałala sobie ponownie. Wytarła dłonią pot z czoła, który pojawił się, mimo że w pokoju wcale nie było gorąco.

- W tym momencie straciłam grunt pod nogami. Wiedziałam, że nie uda mi się z tego wybrnąć, bo miał mnie w garści. Nawet gdybym była niewinna, podrzuciliby mi dowody i nie wybroniłabym się. Prawił mi oczywiście komplementy, że pięknie wyglądam i że polubił mnie od naszego pierwszego spotkania. Dodał też, że zawsze chciał być z kimś takim jak ja. Jego słowa docierały do mnie, jakby były wypowiedziane gdzieś z oddali. Po jakimś czasie znów wrócił do tematu i dość ostro stwierdził, że jest tylko jeden sposób na to, bym uniknęła więzienia. Oświadczył mi, że muszę mu podać nazwisko mordercy, którego wynajęłam.

Sarah milczała, więc Schmidt zapytał:

- Jak się nazywa ten mężczyzna?

- Nie teraz. Później. Nagle oprzytomniałam. Dotarło do mnie, że nie chodzi tu wcale o to, żeby złapać sprawcę, więc zapytałam, po co mu te dane. Ociągał się z odpowiedzią, ale w końcu oświadczył, że służba bezpieczeństwa i inne organizacje poszukują kogoś takiego, kto umiałby dokonywać takich perfekcyjnych zbrodni. Dodał, że potrzebuje nazwiska i potem zostawi mnie w spokoju...

- Podałaś mu moje nazwisko? - zapytał Hans Schmidt podenerwowany.

- Nie. Oczywiście, że nie. Bez obaw, ale wpadłam wtedy na pewien pomysł. Mianowicie zaproponowałam mu, że to ja mogłabym pracować dla służby bezpieczeństwa i w razie potrzeby kontaktować się z tobą. Nic innego nie wchodziło w grę... Gdyby ktoś powiedział mi kilka dni przed tym zdarzeniem, że będę pracowała dla służby bezpieczeństwa, to popukałabym się w głowę. Ni stąd, ni zowąd tak właśnie się stało, a on po krótkim namyśle przystał na moją propozycję. Resztę już znasz.

- Chyba jednak jeszcze jej nie znam. Okej, rozumiem, że byłaś pośrednikiem. Likwidowałem ludzi, którzy byli w jakiś sposób niewygodni, ale przecież to jeszcze nie jest cała prawda. Sarah, powiedz mi, proszę, całą prawdę. Chcę wiedzieć wszystko.

Sarah skubała kołdrę i wyglądała, jakby układała sobie myśli w głowie.

- Tak. Masz rację. Jest coś jeszcze. Wymusił na mnie również, żebym poszła z nim do łóżka. Nie chciałam tego, ale nie miałam wyjścia. Brzydziłam się go, ale on uważał, że tak dobijemy targu. Potem przyszedł do mnie jeszcze kilka razy, aż w końcu nagle przestał mnie nachodzić i kontaktował się tylko telefonicznie. Podawał mi dane osób, ja kontaktowałam się z tobą, po czym ty załatwiałeś resztę.

- Okej. Jak on się nazywa?

- KarlAlbertz.

- Karl Albertz? - zapytał zdziwiony Schmidt. - Ten Karl Albertz? Wysoki, szczupły mężczyzna, średniego wzrostu, z szaroniebieskimi oczyma, siwymi włosami i dużą ilością zmarszczek? Amator whisky?

- Znasz go? - zapytała zdumiona Sarah.

- Oczywiście. Mieszka tuż za rogiem, dosłownie kilka minut stąd, przy alei Bismarcka, obok ronda. Można powiedzieć, że jesteśmy sąsiadami. Robiłem dla niego ostatnio dwie ekspertyzy. W życiu bym go nie podejrzewał, że pracuje dla służby bezpieczeństwa. Mówił mi, że od dziesięciu lat jest na emeryturze, ale ma dużą firmę. On również nie podejrzewał, że rozmawia z człowiekiem, którego szuka od dwudziestu pięciu lat. W sobotę był też na tym przyjęciu u hrabiego. Interesujące...

- Nie, kochany, to wcale nie jest interesujące. Albertz jest bardzo niebezpieczny. Ma wysoką pozycję w organizacji, zajmuje się jej całą logistyką. Ustala kurs i dba o współpracę w dziedzinie polityki i gospodarki. Jest

jednym z tych, którzy działają w tle; pociągają za odpowiednie sznurki, jednak nie ujawniają swojej tożsamości. Zapewniam cię, że nie ma z nim żartów, bo jest bardzo przebiegły i gra według własnych zasad. Nie zależy mu na niczym i tylko jego dobro się liczy. Ma swoich ludzi, którzy zrobią dla niego wszystko - gotowi są nawet zabić. Osobiście Albertz zajmuje się tylko dużymi i ważnymi zleceniami, które przekazuje innym, takim jak ty.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Mam swoje układy. Nie próżnowałam przez te wszystkie lata. W niektóre z tych układów udało mi się sprytnie wejść, a niektóre po prostu sobie kupiłam. Przedostatni raz widziałam się z Albertzem w Nicei, cztery lata temu. Natknęliśmy się przypadkiem na siebie w restauracji. Niestety ciebie nie było...

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Nie sądziłam, że to ważne. Potem spotkaliśmy się jeszcze raz. Dałam mu wtedy jasno do zrozumienia, że nie chcę jego towarzystwa. Mogłam sobie na to pozwolić, bo byli u mnie znajomi, więc odszedł. Ale to mu się nie spodobało. Albertz jest bezdusznym, sprytnym i zepsutym człowiekiem, który nie zatrzyma się, póki nie dopnie swego... Wyszukaj jakąś wadę, a na pewno ją u niego znajdziesz. Ludzie służą mu jedynie jako narzędzia do osiągnięcia celu. Gdy coś powie, nigdy nie wiadomo, czy mówi prawdę, czy kłamie, jest niezwykle inteligentny. Taki właśnie jest Albertz. Dla niego wszystko jest grą i on zawsze zwycięża... Jesteś na mnie zły?

- Powiedziałaś, że przedostatni raz widziałas się z nim w Nicei, a gdzie się ostatnio spotkaliście? - zapytał Schmidt z zaciśniętymi powiekami.

- We Frankfurcie, przed świętami Bożego Narodzenia. Przyszedł do mnie, jak zwykle bez zapowiedzi, i przyniósł mi prezent. Złoty pistolet do torebki. Powiedział,

że to dowód uznania za naszą współpracę w ciągu tych wszystkich lat. Podziękowałam mu i podarowałam butelkę whisky. Wyszedł po dziesięciu minutach. Powiedz mi teraz, czy jesteś na mnie bardzo zły?

Nie odpowiadając jej na pytanie, Schmidt kontynuował swoją myśl:

- Chwileczkę, przecież oboje macie tu domy, i to zaledwie dziesięć minut drogi od siebie. Pewnie będzie chciał wiedzieć, gdzie dokładnie mieszkasz?

- Nigdy tu nie był. Przysięgam.

- To może się jednak szybko zmienić, skoro jest taki inteligentny i sprytny, jak mówisz...

- Dlaczego?

- Po tym, jak zlikwidowałam Bruhnsa i Kleina, na pewno zechce zdobyć o mnie jak najwięcej informacji. Jeżeli dobrze go oceniam, to skontaktuje się również z tobą, bo na pewno domyśla się, kto jest sprawcą tych zabójstw, a ty jesteś jedyną osobą, która ma ze mną kontakt. Spróbuje wyciągnąć z ciebie jakieś informacje o mnie... Kogo jeszcze znasz ze służby bezpieczeństwa?

- Właściwie to tylko Alberta. Odkąd działa Internet, kontaktowali się bezpośrednio z tobą i...

- Nie, nie bezpośrednio. Ustawiłam sto dwie przejściówki, które przesyłają e-mail, zanim do mnie dotrze, ale to nie ma znaczenia. A znasz Bernharda Freiera?

- Oczywiście. Przepraszam, zapomniałam o nim. To prawa ręka Alberta. Obaj znakomicie ze sobą współpracują i są ważnymi figurami w organizacji. Jak do niego trafiłeś?

Schmidt zaśmiał się i wzruszył ramionami.

- Cóż, Albertz będzie sobie musiał znaleźć kogoś innego na jego miejsce.

- Jego też zlikwidowałaś? - uniosła się Sarah. - To wariactwo! Jeżeli jeszcze tego nie robili, to teraz na pewno cię szukają...

- Ale mnie nie znajdują. Zawsze mówię, że jednego szczura mniej. Ale że Albertz jest taką szycią w organizacji, to nawet nie przypuszczałem... Jak to człowiek może się pomylić... od dawna zastanawiałem się, kto jest tym nieznanym, który wszystkim zarządza. Teraz już wiem. To jednak oznacza, że on również wie wszystko o tobie; zna najdrobniejsze szczegóły.

- Na to wygląda. Wie o mnie wszystko i... Zamilkła, więc Schmidt zapytał:

- A co z twoimi córkami?

- To znaczy?

- Czy doświadczyły przemocy albo zostały zgwałcone?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Przeczucie. Skoro Albertz zmusił cię do seksu, to...

- Tak. Doświadczyły obu tych rzeczy, ale nie za sprawą Albertza.

Nie chcę o tym mówić, bo za każdym razem serce mi pęka, gdy o tym myślę. Zostawmy to, proszę. Z jakiegoś powodu mieszkają tak daleko ode mnie i prawie się nie widzimy.

- Kto je skrzywdził? - Schmidt nie dawał za wygraną.

- Daj spokój. Proszę...

- Nie. Porozmawiajmy. Wyprowadziły się obie na drugi koniec świata, bo...

- Ja je tam wysłałam, żeby zapewnić im bezpieczeństwo. Na mnie zawsze można było coś wymusić, ale nigdy nie chciałam, żeby moje dzieci przeze mnie cierpiały. Kilka lat temu wytłumaczyłam im, w jakiej jesteśmy sytuacji i dlaczego muszę poczynić takie, a nie inne kroki. Albertz nie wie, gdzie one są. Mój Boże, mam troje wnucząt, dwóch wspaniałych zięciów... nie darowałabym sobie, gdyby coś im się stało przeze mnie.

- Klein? - zapytał wprost Schmidt.

- Nie mówmy o tym. To było dawno temu. Proszę cię.

- Dobrze. Podsumujmy: Albertz jest zatem główną postacią, a ja cały czas myślałem, że to Freier albo nawet minister spraw wewnętrznych. Skoro Albertz jest głową organizacji zajmującej się handlem kobietami i dziećmi, to porusza się w niej swobodnie i nikt nie stanie mu na drodze. Zatem śmierć Bruhnsa i Steinbauer musiała go dotknąć, bo zwłaszcza ona była bardzo pazerna na pieniądze i władzę. Była taka młoda, a jednocześnie taka zepsuta, że dla zysków zrobiłaby wszystko. No ale w końcu narobiłem mu trochę szkód w tym jego klanie i przysięgam ci, że będzie tego więcej. Niedługo tam się zatrząsie. - Schmidt pogładził się po podbródku i zamyślił. - Chwileczkę! Gdzieś jest jakiś błąd. Albertz głową organizacji? Myślisz, że to możliwe?

- Z jednej strony tak, ale z drugiej myślę, że zawsze są inni, jeszcze potężniejsi niż on. Nie mam pojęcia. Naprawdę.

- Dowiem się - obiecał Schmidt i odetchnął głęboko. - Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby on był tym asem. Albertz jako szef logistyki, okej. Z tym się zgodzę, ale żeby mógł też kierować sprawami politycznymi... Nie. No, chyba że jest najlepszym aktorem, ale tego się dowiem.

- Jak chcesz to zrobić?

- O to się nie martw. Zajmę się tym. Gdy spadnie głowa Albertza, pojawi się jeszcze większa dziura w organizacji. Teraz muszę szybko działać, zanim zdążą wszystko zaplanować... Sarah, proszę cię, wyjedź stąd, bo tu nie jest bezpiecznie. Wyjedź i ukryj się gdzieś na jakiś czas. Albertz z pewnością pojawi się u ciebie, może nawet jeszcze dziś... najpóźniej jutro. Czuję to.

- Nie - odrzekła z uśmiechem. - Zostanę tu, aż wszystko ucichnie. Zawsze, gdy robiło się gorąco, uciekałam, ale nie tym razem. Jestem to winna swoim córkom i przede wszystkim siostrzenicy. Powiedz szczerze, naprawdę nie jesteś na mnie zły?

- Nie. Nie podoba mi się jedynie to, że mi o tym wcześniej nie powiedziałaś. Czemu tak długo milczałaś? Nie mogę tego zrozumieć. Zawsze myślałem, że jesteśmy tacy... - Przy tych słowach zaplótł palce wskazujący i środkowy.

- Bo jesteśmy. Nie umiem powiedzieć, czemu milczałam. Pewnie ze strachu przed nim. Boję się go i obawiam się, że jest sprytniejszy niż ty. Nie chcę cię stracić. Jesteś moim najlepszym przyjacielem i przez te kilka wspólnie spędzonych godzin również kochankiem. Jest wiele rzeczy, których żałuję, ale nigdy nie żałowałam, że cię poznałam. A ty jak myślisz?

- Myślisz, że sypiałbym z tobą, gdybym żałował?

Sarah Schumann walczyła ze łzami, które nagle napłynęły jej do oczu, i tym razem nie zdołała ich powstrzymać. Sięgnęła po chusteczkę. Otarła łzy i wytarła nos.

- Dziękuję. To było miłe. Tak bardzo chciałabym poznać Marię, kobietę z innej planety... Chodź do mnie, chcę się przytulić.

Schmidt położył się koło niej, a Sarah, niczym kotka, przyłgnęła do niego.

- Ona nie jest z innej planety, tylko jest wyjątkowa. Ożenię się z nią, gdy tylko to wszystko się skończy. Zapraszamy cię serdecznie na ślub i wcześniej oczywiście oczekujemy twoich odwiedzin.

Sarah Schumann słyszała rytmiczne bicie jego serca.

- Może daj sobie z tym spokój - powiedziała cicho po chwili. - Nie zwalczysz całej organizacji. Nie jesteś Rambo ani żadnym bohaterem z komiksów. Nie wygrasz ze złem tego świata, nie ponosząc żadnych szkód. Zostaw to.

- Sarah, gdybyś mi nie powiedziała, co Klein zrobił twojej siostrzenicy, nie robiłbym tego. Teraz jednak nie mogę się wycofać, bo będę już do końca życia zarzucał sobie tchórzostwo. Ktoś musi im pokazać, że ich też można

skrzywdzić. Zdaję sobie sprawę, że nie dam rady zlikwidować organizacji raz na zawsze, ale przynajmniej spowoduję, że na jakiś czas przerwie swoją działalność. Jeszcze tylko dwie osoby. Dwie. I potem wracam do Lizbony. Obiecuję.

- Jak chcesz się pozbyć Alberta?

- Sama powiedziałaś, że nic o mnie nie wie. Ani jak się nazywam, ani jak wyglądam, ani gdzie mieszkam, tak? Chyba że jednak coś mu o mnie mówiłaś...

- Nic nie mówiłam, ile jeszcze razy mam cię zapewniać?! - uniosła się.

- Dobrze, więc mam już jeden pomysł: prosty, ale bardzo efektywny. Mam tylko nadzieję, że zdążę przed nim... Co robisz? - zapytał, gdy poczuł, że jej ręka sięga coraz niżej.

- Chciałabym jeszcze raz. Podoba ci się mój pomysł?

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie.

Hans Schmidt pozostał u niej do rana. O ósmej spojrzął przestraszony na zegarek. Na dworze było już jasno. Chciał wyjść jak najszybciej, żeby nie spotkać służącej.

Pocałował zaspaną Sarah.

- Muszę już iść - oznajmił. - Było wspaniałe, ale mam jeszcze bardzo dużo do załatwienia. Będę cię informował na bieżąco.

- Już bardzo dawno nie przeżyłam takiej pięknej nocy. Chodź, przytul mnie jeszcze na pożegnanie - wyszeptała mu do ucha.

Około ósmej piętnaście opuścił jej dom. Wychodząc, zauważył przed domem dwa samochody z przyciemnionymi szybami, jednak oba były puste. W domu wykapał się i przebrał, po czym od razu zadzwonił do Marii. Nie miał wyrzutów sumienia, więc nie musiał udawać, gdy zapewniał, jak bardzo ją kocha.

Zjadł dwie kromki chleba z wędliną z indyka i popił herbatą miętową. Potem zrobił kilka notatek i wszedł do

pomieszczenia za biblioteczką, skąd wziął dwa narzędzia. Przez godzinę siedział jeszcze w pokoju i planował szczegóły. Gdy był już pewny, że wszystko przemyślał, wstał i przygotował się do wyjścia. Stał już w drzwiach, gdy zadzwonił telefon.

- Tak?

- To ja, Sarah. Chciałam ci tylko życzyć szczęścia. Przyda ci się na pewno. Boję się o ciebie, bo nie powiedziałeś, co planujesz. Powiedz mi tylko, że nic ci się nie stanie, że nie muszę się obawiać.

- Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Niedługo zapanuje spokój. Zadbam o to.

- Wiem, że zachowuję się jak małe dziecko, ale nic na to nie poradzę. Czy mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie?

- Słucham?

- Czy kiedykolwiek żałowałeś, że zabiłeś tyle ludzi?

- Nie, bo nie byli lepsi ode mnie. Innej odpowiedzi nie potrafię ci udzielić.

- Nie jesteś złym człowiekiem. Gdyby tak było, nie umiałbyś tak kochać. Bądź ostrożny i uważaj na siebie. Myślami jestem cały czas przy tobie. Zawsze, słyszysz?

- Tak. Dziękuję. Zajmij się czymś i nie myśl o tym wszystkim, bo tylko niepotrzebnie się denerwujesz. Jest śliczna pogoda. Wsiądź w samochód i pojedź dokądś. Zajmij się czymś, a wieczorem do ciebie zadzwonię albo może nawet przyjadę. Zgoda?

- Dobrze. Spróbuję. Trzymaj się i pamiętaj, że niebezpieczeństwo czyha za rogiem.

- Pamiętam. Zegnaj, kochana. Miłego dnia.

- Żegnaj.

Hans Schmidt sprawdził jeszcze raz zawartość kieszeni kurtki, zanim wyszedł na zewnątrz i wsiadł do swojego jaguara. Pojechał do centrum. Gdy jednak tam dotarł, przemyślał sprawę jeszcze raz i zdecydował się wrócić do

domu. To nie był dobry dzień na realizację planu. Skreślił drugie nazwisko ze swojej listy i postanowił, że dziś zlikwiduje tylko jedną osobę - Alberta.

Czwartek, godz. 7.10

Henning zasnął na sofie. Obudziło go delikatne dotknięcie w ramię.

- Co ty tu robisz? - zapytała zdziwiona Lisa. - Spałeś tu przez całą noc?

Powoli otworzył oczy, usiadł i złapał się za głowę. Czuł się fatalnie. Miał suche usta i gardło, czuł też ból brzucha, który nawracał już od miesięcy i ustępował dopiero wtedy, gdy coś zjadł. Jednak zawsze, gdy tylko był głodny, ból powracał. Nie mówił o tym Lisie. Wiedział, że powinien być już dawno pójść do lekarza, ale obawiał się nie tylko samej wizyty, ale przede wszystkim wyników badań. Przeczytał w Internecie, że najprawdopodobniej są to dolegliwości na tle nerwowym albo też, w najgorszym wypadku, wrzody. Wydarzenia z ostatnich lat na pewno odbiły się na jego zdrowiu. Poczucie wyobcowania i izolowanie się również miały wpływ na jego złe samopoczucie. Z takiego letargu wyrwała go Lisa. Gdyby nie ona, całe życie zamartwiałby się, że doprowadził niewinną osobę do stanu, w którym popełniła samobójstwo, podczas gdy prawdziwy sprawca pozostał na wolności. Do tego doszły problemy osobiste. Rozstanie z żoną, która odchodząc, zabrała mu wszystko. Ponieważ dzieci były już dorosłe, podjęła pracę, w końcu miała dobre wykształcenie.

Gdy patrzył w lustro, widział, że te wszystkie sprawy odbiły się również na jego wyglądzie. Coraz bardziej siwe włosy, zmarszczki na czole i wokół ust oraz plamy na dłoniach, które pojawiły się, mimo że nie miał nawet pięćdziesięciu lat, nie pozostawiały żadnych złudzeń: był

człowiekiem, który dużo przeżył i miał za sobą mnóstwo niedobrych i frustrujących doświadczeń. Na dodatek stał się twardy, szorstki, rzadko się śmiał i nie dopuszczał nikogo do siebie, nawet Lisa nie wiedziała o nim wszystkiego, a żyli ze sobą już ponad cztery lata. Henning wychodził bowiem z założenia, że są rzeczy, które dotyczą wyłącznie jego i dlatego musi poradzić sobie z nimi sam. Mimo że Lisa znała jego sytuację, jednak zdecydowała się na ten związek, ale czasami smutno jej było, że jest taki zamknięty w sobie. Oczywiście miał inne zalety, które ceniła: był czuły, delikatny, wyrozumiały i z dużą dozą fantazji odgadywał i spełniał każde jej życzenie. Miał jeszcze jedną, ważną dla niej cechę: nie zachowywał się jak macho.

Henning znał siebie, wiedział, jakie ma słabości, i dlatego nie chciał, aby ktokolwiek miał dostęp do jego wnętrza.

- Wstałem w środku nocy i tu przyszedłem. Widocznie musiałem tu usnąć - odpowiedział.

- Coś się stało? - zapytała Santos i usiadła koło niego. Objęła go i powiedziała: - Wczorajszy wieczór tak cię wykończył?

- Mhm.

- A co konkretnie? Nie wierzysz Albertzowi? Henning odwrócił głowę i spojrzał na Lisę.

- Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. Powinniśmy uważać, bo dostaliśmy już kiedyś nauczkę...

- Tak. Masz rację, ale...

- To nie są moje zwykłe wątpliwości. Są pytania, na które nie mogę znaleźć odpowiedzi. Na przykład, dlaczego Albertz nie pracuje oficjalnie dla służby bezpieczeństwa? Praktycznie rzecz biorąc, nic o nim nie wiemy, ani jakie ma stanowisko, ani co należy do jego obowiązków i jakie ma pole działania. Wszystko, co powiedział nam w ciągu tych dwóch dni, jest jakieś zagmatwane i niejasne...

- Zgadzam się z tobą, ale co mamy wobec tego zrobić?

- Jeszcze nie skończyłem. Czy wczoraj zauważyłaś coś szczególnego?

- Nie wiem, do czego zmierzasz...

- Obserwowałem go bardzo uważnie i zauważyłem, że jest niezwykle opanowany. Pamiętasz, jak wczoraj o mało nie wybuchłem? Zwykle tak się nie zachowuję, ale on na pewno zauważył, jaki byłem wściekły.

- Na pewno. Nawet myślałam, że zaraz mu przyłożysz.

- A widziałaś jego reakcję? Santos pomyślała i pokręciła głową.

- Siedział tylko...

- Właśnie! Wcale nie reagował, tylko siedział i patrzył na mnie. Odniosłem wrażenie, że jeżeli faktycznie bym się na niego rzucił, to odparłby mój atak. Myślałem wczoraj, że udaje, że jest wyluzowany i obojętny, aż dziś w nocy doszedłem do wniosku, że chyba faktycznie taki jest, i to w negatywnym sensie. Dlaczego właściwie zwrócił się z tym do nas? Wiesz?

- Nie, ale...

- Zastanów się. Powiedział, że jakaś osoba, która chce nam się przysłużyć, dała mu na nas namiary. Myślałem o tym i szczerze powiedziawszy, nie znalazłem nikogo ani z pracy, ani z naszych znajomych, kto by mu nas polecił. Nikogo. Tylko po co opowiadał nam tę historię? Albo tę, że zakochał się w pani Schumann?

- Pytałam go o to.

- Wiem, ale właśnie wtedy, gdy nam tak dokładnie opowiadał o swojej wielkiej miłości, coś mnie zaniepokoiło. Nikt tak nie robi, chyba że ma coś do ukrycia...

- Nie rozumiem.

- Uchylił nam rąbka tajemnicy, opowiadając o swoim życiu i uczuciach, jednak tym samym chciał ukryć swoją prawdziwą osobowość. Ten człowiek nie ma żadnych zasad i najprawdopodobniej nigdy nie był zdolny do

jakichkolwiek uczuć. Jego wzrok był cały czas ten sam, pozbawiony wyrazu i emocji. Żadnych łez, wzruszenia, drżenia głosu, nic. Nawet gdy mówił o swojej rzekomej wielkiej miłości do pani Schumann. Rozumiesz mnie teraz?

- Tak, chyba tak.

- Okej. I teraz właśnie pojawia się pytanie: dlaczego opowiedział nam tę historyjkę? Osobom, których w ogóle nie zna... i to twierdząc, że jesteśmy pierwszymi, którzy o tym się dowiadują. To dla mnie bardzo dziwne.

- Załóżmy, że masz rację. Czego on zatem, według ciebie, od nas chce?

- Przecież powiedział to głośno i wyraźnie. Zapomniałaś już? Chce, żebyśmy zabili Friedmanna i Miillera. Tylko jak to się ma do informacji, że jeszcze nigdy nikomu nie zlecił morderstwa? Jak dla mnie to wszystko nie trzyma się kupy i powiem ci wprost, co o nim myślę: Albertz to kłamca i matacz. Uważam, że chce nami manipulować, tylko jeszcze nie przejrzałem, jakie są jego prawdziwe zamiary.

- A jeżeli on mówi poważnie?

- O czym...

- O tym, że chciałby już się z tego wycofać i mieć święty spokój... Przecież może tak być.

- W takim wypadku powinien iść do zakonu i odmówić milion różańców - powiedział cynicznie Henning. - Mogę się założyć, że nikt inny, ale właśnie on w swoim wydziale osobiście zlecał morderstwa. Wydaje mi się, że jest ważną figurą, ale nie mogę go rozgryźć. Problem w tym, że z nikim nie możemy o tym porozmawiać i znów jesteśmy zdani tylko na siebie.

- Może Volker...

- Nie, nie mieszajmy go do tego. Volker ma teraz dość własnych problemów. Tylko co tu zrobić? Czekać, aż Albertz znów się z nami skontaktuje? Czy w ogóle jeszcze

to zrobi? Nienawidzę takich sytuacji, doprowadzają mnie do szaleństwa! Myślę, że to jest jakaś gra i Albertz nie gra czysto; chce nas w to wmieszać, jednocześnie podkładając nam świnię, bo przecież łatwo nas kimś zastąpić. Jego słowa, że mamy się zająć Friedmannem i Mullerem, oznaczają jedno: zlecenie na ich likwidację. Jak on ich nazwał? Niewolnikami! Co się robi z niewolnikami, kiedy są już niepotrzebni? Pozbywa się ich. A Ruter? Nie zostawił na nim suchej nitki, choć podobno należy do wewnętrznego kręgu. Mówię ci, coś mi tu śmierdzi, i to mówi mi nie tylko zdrowy rozsądek, ale też odczucie, jakie pochodzi z mojego pustego już brzucha. Robią z nas idiotów, ale ja się dowiem, kim naprawdę jest Albertz. I na pewno nikogo nie będę zabijał, jeżeli nawet wymaga tego od nas taki typ jak on, a Friedmann i Muller naprawdę na to zasługują.

- Nie uważasz, że jesteś za ostry w tej swojej opinii? Przecież ujawnił nam wiele informacji, jak działa Federalna Policja Kryminalna i służba bezpieczeństwa...

Henning zaśmiał się i pokręcił głową.

- Właśnie o to chodzi! To czysta manipulacja! Czy uważasz, że faktycznie udzielił nam prawdziwych informacji? A może to wszystko służy tylko temu, żebyśmy się nabrali? Pomyśl tylko. Przecież on nas wykorzystuje, to znaczy chce wykorzystać. Ma przed sobą mało znaczących policjantów, którzy kupią każde jego kłamstwo. Tak mu się przynajmniej wydaje.

- Sama nie wiem...

- Liso, przypomnij sobie naszego przyjaciela Wegnera. Byłem...

- O Boże, znów zaczynasz? Dlaczego ciągle mi wypominasz, że byłam taka łatwowierna? Dostałam nauczkę, i tyle. Koniec z tym. Nie chcę już o tym słyszeć. Nie możemy o tym zapomnieć? Miałam wystarczająco dużo wyrzutów sumienia, że cię nie posłuchałam.

- Nie miałem zamiaru ci nic wypominać. Chciałem tylko powiedzieć, że tak jak wtedy, dziś w nocy miałem to samo przeczucie, i tym razem obiecałem sobie, że będę słuchał swojego wewnętrznego głosu. To wszystko. A teraz zjedźmy śniadanie, bo czeka nas długi dzień. Musimy zjechać na komendę do Volkera, a potem zajmiemy się resztą. Tak na marginesie, wcale się nie dziwię, że masz o Albertzie dobre zdanie... W końcu przymilał się do ciebie. - Henning uśmiechnął się do Lisy i objął ją.

- Głupek - odpowiedziała Santos i uderzyła go lekko w klatkę piersiową.

- Jasne, wal śmiało. Zapomniałem jeszcze o jednym: Albertz tak przedstawił służbę bezpieczeństwa i policję, jak gdyby pracowali tam sami gangsterzy. Później próbował to jakoś wyprostować, ale i tak brzmiało to tak, jakby siedzieli tam sami przestępcy. Przynajmniej tak mieliśmy to rozumieć. Nie mieści mi się to głowie. Większość tych ludzi wykonuje tylko swoją pracę. Oczywiście z pewnością są tam też czarne owce, jak wszędzie, ale raczej tacy ludzie stanowią mniejszość. Taką mam przynajmniej nadzieję... Zapisałem sobie wszystkie wątpliwości. Może jeszcze mógłbym dopisać dwa albo trzy punkty do listy, ale to później. Teraz muszę coś przegryźć. Mój żołądek domaga się jedzenia. Poza tym muszę szybko do łazienki.

- Pospiesz się z łaski swojej, bo też chcę.

Tuląc do piersi poduszkę, Lisa zastanawiała się nad tym, co powiedział Sören. Wszystkie jego wątpliwości były uzasadnione. Jej również zdarzały się momenty, kiedy intuicja ją ostrzegała, ale po chwili wszystko przemijało. Była jednak pewna, że Albertz należy do wewnętrznego kręgu organizacji. Postanowiła w przyszłości być ostrożniejsza i cieszyła się, że Henning podszedł do sprawy z dystansem i bardzo rzeczowo.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że jednocześnie mamy do czynienia z kilkoma sprawami? Fantom, Albertz, Friedmann i Müller, Rüter... - powiedziała, gdy wrócił z łazienki.

- Tak samo było wczoraj i dzień wcześniej. Tylko że to nie jest wiele spraw, chociaż Albertzowi właśnie na tym zależy, żebyśmy to tak odbierali. Jednak tym razem przesadził. Jest jednym wielkim krętaczem we wszystkim, co robi, czy to ustala sposób postępowania, czy też doradza innym grubym rybom. Oczywiście ukrywa to, że jest przestępcą, bo jest mistrzem manipulacji, i nie zmienię zdania, dopóki sam nie przekonam się o swojej pomyłce.

- Idę do łazienki. Zrobisz śniadanie? Zjadłabym jajko. Tylko gotuj siedem minut, jak zawsze.

Santos odłożyła poduszkę i poszła do łazienki. Przygotowując śniadanie, Henning zastanawiał się, jak powinni zaplanować dzień. Miał nadzieję, że Albertz znów się z nimi skontaktuje i zechce się spotkać. Najchętniej pojechałby do pani Schumann, żeby poznać kobietę, która wynajęła do zabicia męża płatnego mordercę; teraz ciągnie się po nim ślad krwi wzdłuż całej Kilonii.

Niecierpliwie czekał tylko, aż Lisa wyjdzie z łazienki, żeby omówić z nią plan dnia.

Czwartek, godz. 9.15

- **Gdzie**, do diabła, jest Bernhard?! - zawołał Albertz na powitanie Friedmanna i Mullera, zanim jeszcze zdążyli wejść do dużego, pięknie urządzonego biura. - Miał tu być o dziewiątej i zdać raport. Kwadrans już się spóźnia, a mamy dziś bardzo napięty grafik. Dzwoniłem już pod numer domowy i na komórkę, ale nie odbiera. Czy któryś z was może wie, gdzie on się podziewa?

- Nie. Ostatni raz widzieliśmy go wczoraj, około piątej - powiedział Friedmann, wzruszając ramionami. - Mówił, że musi jeszcze zadzwonić w kilka miejsc, a potem miał się z kimś spotkać. Jednak nie powiedział nam z kim.

- Chodzi o George'a Hamiltona, przedsiębiorcę z Filadelfii, z którym w przyszłości chcemy ściślej współpracować. Słyszeliście już to nazwisko?

- Znam tylko jednego aktora, który się tak nazywa, ale to pewnie nie on - odpowiedział Müller z uśmiechem.

- Możemy zachować powagę? - syknął Albertz i zmierzył go wzrokiem. - Bernhard i Hamilton mieli się spotkać w hotelu Steigenberger. Dowiedźcie się, czy do tego doszło i czy nie rozpracowano Bernharda. Bądźcie mili i otwarci i używajcie naszych legitymacji. Oczekuję, że w ciągu godziny zjawicie się tu z dokładnym raportem. Wyraziłem się jasno?

- Tak. Jakiego nazwiska używał? - zapytał Müller.

- Dieter Uhlig. Spadajcie już.

- Już nas nie ma.

- Stop! - zatrzyma! ich Albertz, gdy wychodzili. - Zapomniałem zapytać o poprzednią noc. Wszystko dobrze poszło?

- Zero problemów. Towar dotarł w stosunkowo dobrym stanie i od razu został przetransportowany. Bachorami zajmuje się Rosa. Wszystko jest w najlepszym porządku! - powiedział Friedmann.

- Ile ich jest? - zapytał Albertz.

- Dwadzieścioro pięcioro, zgodnie z zamówieniem. Kilka z nich zostanie dziś dalej przewiezionych do Berlina. Mogę zapytać o coś głupiego?

- Pytaj - odpowiedział Albertz i pomyślał, że przecież Friedmann zawsze to robi.

- Czemu nie przewiozą ich od razu do Berlina, przecież granica jest niedaleko?

- To naprawdę głupie pytanie. Większość bachorów, jak je nazwałeś, pochodzi z Polski, o czym powinieneś wiedzieć, ale stała trasa spedycji jest od lat taka sama. Gdybyśmy ją zmienili, od razu mogłoby to być podejrzane i kosztowałoby nas niepotrzebnie dużo czasu i pieniędzy. Rozumiesz już?

- Tak tylko pytałem.

- Zrozumiałeś czy nie?

- Tak. Przepraszam, że w ogóle zadałem to pytanie.

- Dobrze. Pamiętajcie, że od tej pory nie macie z tym nic wspólnego, wszystkim zajmą się inni. Później dostaniecie pieniądze. Jeszcze do pierwszej zostanę tutaj, a potem będę dostępny tylko telefonicznie. I żeby nie słyszał żadnych złych wieści.

- Zrobimy, co w naszej mocy.

- Czasami to nie wystarczy, ale dowiedzcie się, co się dzieje z Bernhardem. Jak go znajdziecie, zaciągnijcie go tu albo przynajmniej przekażcie, że ma się ze mną pilnie skontaktować.

Gdy byli już w samochodzie, Friedmann zapytał kolegę:

- A starego co dziś ugryzło? Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby był taki nerwowy.

- Może stara mu nie dała. Niezła z niej laska - odparł Muller z uśmiechem. - Brazylijka, młodsza od niego o trzydzieści lat. Jak rusza tym swoim tyłkiem, to aż mi staje. Mówię ci, że tę to bym z chęcią...

- Nawet o tym nie myśl. Albertz od razu by cię skrócił o głowę, ale przedtem musiałbyś znieść tortury. Lepiej poszukaj sobie jakiejś innej gorącej żonki.

- Chyba nie myślisz, że rzuciłbym się na ciasteczko Albertza... Jeszcze mi życie mile, ale pomarzyć można, nie?

- Jasne. Pomarż i zwał sobie od razu - powiedział Friedmann i skręcił przed hotel.

W recepcji Friedmann i Muller pokazali legitymacje służby bezpieczeństwa.

- Czy George Hamilton jest państwa gościem? - spytali.

Recepcjonistka spojrzała w notatki.

- Był, ale wczoraj się wymeldował. Czy ma to jakiś związek z tym martwym mężczyzną w garażu?

- Jakim martwym mężczyzną?

- Wczoraj około północy jakaś kobieta znalazła w garażu zwłoki mężczyzny w samochodzie. Nazywał się Uhlig. Niestety więcej na ten temat nie wiem, ale mogą panowie porozmawiać z właścicielem hotelu.

- Gdzie go znajdziemy?

- Proszę poczekać. Pójdę po niego.

- Więc Bernhard nie żyje - wyszeptał Friedmann do Mullera. - Jestem tylko ciekaw, czy ten szanowny pan nam powie, co było przyczyną zgonu. Mogę się założyć o sto euro, że to nie była śmierć z przyczyn naturalnych.

- A jeżeli była?

- Nie żartuj! Po tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło? Chyba sam w to nie wierzysz.

- Właściciel hotelu na pewno nie ma wglądu w akta.

- A może ma.

Po chwili podszedł do nich wysoki, korpulentny mężczyzna i przywitał uściskiem dłoni najpierw Mullera, potem Friedmanna.

- Nazywam się Schneidham. Pani Reichert wspomniała mi, że chcieliby się panowie dowiedzieć, co się tu wczorajszej nocy wydarzyło. Wiem niestety tylko tyle, że pan Uhlig zmarł w swoim samochodzie na zawał. Jak powiedziała mi pani Reichert, chciał spotkać się tu z panem Hamiltonem. To niestety wszystko, co na ten temat wiem.

- Czy w garażu i holu są zainstalowane kamery? - zapyta! Friedmann.

- Oczywiście. Jesteśmy w końcu hotelem pięciogwiazdkowym i musimy zapewnić swoim gościom bezpieczeństwo.

- Z chęcią obejrzelibyśmy wczorajsze nagrania.

- Czy mógłbym zapytać po co?

- Chcielibyśmy wykluczyć podejrzenie, że pan Uhlig padł ofiarą mordercy.

- Czy mają panowie nakaz sądowy?

- Nie i nie potrzebujemy go, gdy niebezpieczeństwo nadal jest realne. Poza tym nie jesteśmy z policji, tylko ze służby bezpieczeństwa. Wystarcza to panu? Czy woli pan, żeby w ciągu piętnastu minut aż huczało tu od policji i naszych ludzi?

- Chwileczkę, zaraz przyniosę nagrania - powiedział nerwowo właściciel. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, byli umundurowani policjanci. Wprowadziłoby to za duży chaos i niepokój wśród gości. - Ale to nie jest reguła. Dostanę je z powrotem?

- Panie... Schneidham, nie zabieramy kawałka hotelu. Chcemy tylko nagrania. Rzecz jasna, że dostanie je pan z powrotem. Ponadto chcielibyśmy jeszcze rzucić okiem na pokój pana Hamiltona.

- Oczywiście, ale pokój został już sprzątnięty, więc niczego tam panowie nie znajdą.

- Tylko zajrzemy - powiedział Friedmann ze sztucznym uśmiechem.

- Jak panowie sobie życzą. Proszę za mną. Pokój dwieście czterdzieści dwa na drugim piętrze.

Wjechali windą, po czym podeszli do drzwi pokoju. Schneidham otworzył je kartą.

- Proszę bardzo. Mogą się panowie rozejrzeć. Pan Hamilton wymeldował się wczoraj późnym wieczorem. Wcześniej zapytał jednak o pana Uhliga, ale recepcjonistka poinformowała go, że pan Uhlig czekał na niego

długo w hotelowym barze, po czym zapytał ją o niego i wyszedł. Wygląda na to, że obaj panowie umówili się, ale do spotkania nie doszło. Po prostu się minęli. Innego wyjaśnienia nie mam, przykro mi. Pokój sprząnięto dziś około dziewiątej.

- Czy poznał pan osobiście pana Hamiltona? - zapytał Friedmann, podczas gdy Müller rozglądał się po pokoju i w końcu dał znak, że mogą już wyjść.

- Oczywiście. Pan Hamilton jest naszym stałym klientem. Przyjechał w poniedziałek i...

- Tak, i wczoraj wieczorem odjechał. Proszę go opisać.

- Ma około metra siedemdziesięciu, może nawet osiemdziesięciu... trudno mi dokładnie określić, bo sam mam ponad dwa metry wzrostu i...

- Bez różnicy. Proszę powiedzieć, jak wygląda - przerwał mu Friedmann, gdy wrócili na dół.

- Ma brodę. Jest raczej krępy. Wygląda na biznesmena. Po co te pytania?

- Ma pan jego dane?

- Oczywiście. Jak już mówiłem, pan Hamilton już wcześniej u nas gościł.

- Jak często tu przyjeżdża? - zapytał Friedmann, bębniąc palcami o blat przy recepcji.

- W ciągu ostatnich kilku lat z pewnością był u nas ze dwadzieścia razy. Może nawet częściej. Musiałbym sprawdzić.

- Czy coś szczególnego w nim zwróciło pana uwagę?

- Nie rozumiem.

- Czy zachowywał się wczoraj inaczej niż zwykle?

- Niech pan posłucha, nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje, ale pan Hamilton jest u nas zawsze mile widzianym i zaufanym gościem, za którego dałbym sobie rękę uciąć. Zawsze był bardzo porządny, czysty i hojny. Nigdy nie korzystał z minibaru i nie słyszałem, żeby

oglądał płatną telewizję. Kilka razy zajmował nasze małe sale konferencyjne.

- A pan Uhlig?

- Nie znam go. Wczoraj pierwszy raz usłyszałem to nazwisko. Przykro mi, że nie mogę panom bardziej pomóc, ale jesteśmy hotelem, a nie biurem detektywistycznym, które sprawdza swoich gości.

- Dobrze już - powiedział Müller, próbując uspokoić zdenerwowanego właściciela. - Prosiłbym jeszcze o nagrania i już sobie pójdziemy.

- Oczywiście.

Oczywiście. Oczywiście. Oczywiście - pomyślał Friedmann i najchętniej przywaliłby właścicielowi hotelu, ale się powstrzymał.

Gdyby pozwolił sobie na chwilę słabości, właściciela hotelu znalazłoby niedługo w jakiejś ciemnej uliczce. Nienawidził takich typów, obleśnych, nadmiernie ceniących sobie konwenanse, pragnących zapewnić bezpieczeństwo gościom, w pełni utożsamiających się z hotelem i jego mieszkańcami. Do tego elegancki wygląd i służalcze zachowanie.

Friedmann i Müller poszli za właścicielem do jego biura, gdzie wręczył im nagrania.

- Proszę bardzo. Kiedy zostaną zwrócone? - spytał.

- Gdy tylko je przejrzymy - obiecał Friedmann.

- Do widzenia i życzę panom miłego dnia.

- To przeklęty śmierdziel! - rzucił Friedmann, gdy siedzieli już w samochodzie.

- Kto? Masz na myśli Schneidhama?

- Ten też. Ale chodziło mi o tego, który załatwił Bernharda. Likwiduje wszystkich po kolei, najpierw Bruhns i Steinbauer, potem Klein, teraz Bernhard... Kto będzie następny?

- Nie mam pojęcia, ale na twoim miejscu nie upierałbym się przy tym Hamiltonie.

- Wcale się nie upieram. Zastanawia mnie tylko, czemu właśnie wczoraj wieczorem wyjechał. Nie wydaje ci się to podejrzane? Jak o tym myślę, mam takie dziwne przeczucie, jak zawsze, gdy...

- Zamknij się już, okej?! - krzyknął Müller. - To nie nasza sprawa. Ostatnie słowo i tak należy zawsze do Albertza. Pogódź się z tym w końcu, że my wykonujemy tylko rozkazy. Nie mamy wpływu na decyzje.

- Słuchaj, idioto! Wiem, że jesteśmy tylko pionkami w tej całej zasranej grze, ale to nie znaczy, że nie mogę myśleć. Jak ci to nie pasuje, to możesz sobie poszukać innego partnera. Tylko ciekawe, co by Albertz powiedział, jakbyś mu oświadczył, że już nie będziemy razem pracowali. A na razie zamknij się i pomyśl. Trzech z naszych ludzi zostało zlikwidowanych...

- Przecież nie wiadomo, czy Bernhard został zabity -zauważył Müller. - Od dawna już miał problemy z sercem, może więc...

- Może więc co? Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że to taki zbieg okoliczności! Cztery trupy w cztery dni! Nie, to nie przypadek. Zastanówmy się tylko, kim jest morderca i gdzie go znajdziemy?

- Nie wydaje mi się, żeby morderca był naszym człowiekiem. Po co miałby to robić? Przecież od lat dla nas pracuje i zarabia mnóstwo kasy. Chyba że postanowił przejść na drugą stronę... Tylko dla kogo w takim razie pracuje? Jedyne możliwości to przestępczość zorganizowana, ale oni na pewno nie płacą tak dobrze jak my.

- A skąd wiesz, ile my płacimy? Ja na przykład nie mam zielonego pojęcia, ile taki płatny morderca mógłby dostawać za zlecenie.

- Skoro na naszych kontaktach są takie sumy, to na jego zapewne jest dziesięć albo i dwadzieścia razy tyle. A może nawet więcej. Zresztą nieważne, i tak uważam, że nie on jest mordercą, tylko ktoś chce, żebyśmy tak właśnie myśleli. Rozumiesz?

- Tak. Problem w tym, że nikt go nigdy nie widział. Ale okej, obejrzymy te nagrania i niech Albertz zdecyduje, co robić dalej.

- Bardzo mądrze, Charly Friedmannie. Kiedyś przyjdzie na nas czas. Musimy tylko cierpliwie czekać, ale to żaden problem, bo już nieraz musieliśmy się uzbroić w cierpliwość. Przecież nasze kosztowne wyszkolenie nie może pójść na marne.

Friedmann zaśmiał się i przyznał Mullerowi rację.

- Jasne. Nieraz już udowadnialiśmy, ile jesteśmy wari. Czasami tylko mam już tego dość.

Podjechali na parking, po czym wysiedli i weszli na drugie piętro budynku. Przeszli przez długi korytarz i stanęli przed niepozornymi drzwiami, na których nie było żadnej tabliczki. Zapukali i weszli do środka, gdy im pozwolono. Wewnątrz siedział Albertz, pochłonięty przeglądaniem akt. Gdy stanęli przed nim, uniósł wzrok, zamknął teczkę i dał znak, aby usiedli.

- Co się dzieje?

- Bernhard nie żyje - powiedział Friedmann krótko.

- Wiem - odparł Albertz bez cienia emocji. Z tą samą miną dodał:

- Dowiedziałem się kilka minut temu, że Dieter Uhlig trafił do sądówki w worku. Tylko nie wiem, jak do tego doszło. Oświećcie mnie?

- Znalaziono go w garażu hotelu Steigenberger. Nie wiemy, jak to się stało, ale mamy nagrania z kamer z holu i garażu. Moim zdaniem został zabity. Powiedz nam, co mamy robić i...

- Obejrzyjcie te nagrania i sprawdźcie, czy oprócz Bernharda rozpoznacie jeszcze kogoś...

- Ten Hamilton, który miał się spotkać z Bernhardem, wymeldował się wczoraj i wyjechał. To raczej nie jest przypadek - zauważył Friedmann.

- Hamilton jest dla nas nietykalny, pod każdym względem nas przerasta. Sprawdziliśmy go dokładnie i jest czysty. To znaczy czysty w naszym rozumieniu tego słowa. Możecie o nim zapomnieć. To musiał być ktoś inny...

- Jeżeli mogę ci przerwać, to zastanawialiśmy się z Peterem, czy nasz człowiek mógł na przykład przejść na drugą stronę. Tak się czasem zdarza, gdy dostanie się lepiej płatną propozycję. Rozważaliśmy tylko, ile taki płatny morderca zarabia?

Albertz się skrzywił.

- Muszę cię niestety rozczarować. Nie podam ci żadnej kwoty, bo to tajemnica, ale uwierz mi, że daliśmy mu się nieźle obłowić. Żeby zmienić stronę, musiałby dostać jakąś kosmiczną sumę. Tylko za co? To bez sensu. Przecież likwiduje osoby z wyższych sfer działające w polityce lub gospodarce, dlatego też nie można go nawet porównać z jakimś przeciętnym płatnym mordercą. Jeśli ktoś z przestępczości zorganizowanej nim się zainteresował, to ciekawe, skąd miał jego namiary? Taka sytuacja oznaczałaby, że gdzieś u nas jest przeciek. Z tego, co wiem, tylko trzy osoby miały dostęp do tej informacji, z czego jedna już nie żyje.

- A jeżeli to on się z nimi skontaktował? - zastanowił się Muller.

- Wtedy znów pojawia się pytanie, po co miałyby to robić. Jesteśmy ręką, która go karmi, i to samymi smakołykami. Nie... to musi być coś innego.

- W takim razie wygląda na to, i mówiłem to już wcześniej Jiirgensowi, że ktoś chce nas zmylić i robi wszystko, żebyśmy tak myśleli. Prawda?

- Właśnie tak, chociaż jeszcze za wcześnie na spekulacje. Teraz chodzi przede wszystkim o to, żeby ograniczyć szkody do minimum. Ktoś poluje w naszym rewirze i chcę wiedzieć kto. Obejrzyjcie te nagrania, nawet gdyby miało to trwać całą noc. Musimy się dowiedzieć, czy Bernhard przed śmiercią miał kontakt z jakąś inną osobą, możliwe, że nam nieznaną. Wykluczamy oczywiście Hamiltona. Zajmijcie się tym i nic więcej niech was nie interesuje. Zaraz muszę wyjść i wątpię, żebym tu jeszcze dzisiaj wrócił.

- Uważaj na siebie - powiedział Friedmann.

- To dotyczy również was. Możecie już zostawić mnie samego, mam jeszcze coś do zrobienia.

- Jeszcze jedna sprawa - rzekł Friedmann, wstając. - Może dobrze by było nawiązać kontakt z naszym człowiekiem i upewnić się, że możemy go wykluczyć z kręgu podejrzanych.

- Już to zrobiłem - oznajmił obojętnie Albertz. - Możemy go wykluczyć. Zaczynajcie już szukać, za to wam w końcu płacą. Chyba że dostaniecie jeszcze jakieś inne polecenie, co nie jest wykluczone. Musicie być teraz dyspozycyjni całą dobę. Dwadzieścia cztery godziny! Jasno się wyraziłem?! - krzyknął.

- Oczywiście. Przecież nie jesteśmy głusi - przytaknął Müller.

Albertz znów otworzył teczkę i nałożywszy okulary, zaczął szperać w aktach, na których wielkimi literami napisane było: POUFNE.

- Może zamówmy sobie pizzę i do tego sześciopak coli. Mamy przed sobą cholernie długi dzień - zaproponował Müller po drodze do biura.

- Okej - zgodził się Friedmann, który myślał o czymś innym.

- Co jest?

- Nic, i nie zadawaj głupich pytań, dobra?

- Chodzi o Alberta?
- Ten głupek może mi naskoczyć. Rzygać mi się chce od tej jego arogancji i buty. Dziś szczególnie działał mi na nerwy.
- Przecież on zawsze taki jest.
- Racja.

Czwartek, godz. 9.40

Henning i Santos zjedli małe śniadanie i udali się do komisariatu. Oboje postanowili nic nie mówić Harmsowi o wczorajszym spotkaniu i swoich przeczuciach. Nie chcieli obarczać go niczym, co mogłoby pogorszyć jego i tak już kiepski stan.

- Cześć - powiedział Henning, gdy weszli do biura Harms tylko kiwnął. Oczy miał podkrążone i wyglądał jakby nie spał albo za dużo wypił... A może i to i to! Okno w jego biurze było szeroko otwarte, przez co w pomieszczeniu było dwanaście, może trzynaście stopni.

- Co nowego? - zapytał zmęczonym głosem.

- Tylko tak chcieliśmy zajrzeć. Jak się dziś czujesz? Henning i Santos usiedli naprzeciwko niego Obojgu

im było bardzo żal tego silnego niegdyś człowieka, który teraz wyglądał jak własny cień.

- Pytasz poważnie?

- Przepraszam. Głupio zabrzmiało. Co u Marion?

- Całą noc byłem u niej i trzymałem ją za rękę Przenoszą ją dziś na oddział opieki paliatywnej, to ostatni etap przed śmiercią. Jakoś to do mnie nie dociera... Nie jestem w stanie tego wszystkiego pojąć, tak szybko się to potoczyło. Ciągłe zadaję sobie pytanie, czy zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby była szczęśliwa. Ale nie dochodzę do żadnego wniosku. - Nagle zamilkł i zmrużył oczy. - Ale nie

przyszliście tu, żeby słuchać moich historii. Co mogę dla was zrobić?

- Volker, trzeba z kimś rozmawiać o swoich uczuciach, bo inaczej można zwariować. Uwierz mi, wiem, o czym mówię. Kilka lat temu sam myślałem, że już ze mną koniec, gdyby nie Lisa...

- Sören, dziękuję wam za współczucie, ale muszę teraz sam sobie z tym poradzić. Trzydzieści dwa lata nie dadzą się w jednej chwili wymazać z pamięci. Ona zawsze była w domu, gdy wracałem po pracy, podawała mi jedzenie, wychowała nasze dzieci... Ale nie była ze mną szczęśliwa, bo gdyby tak było, tyle by nie paliła. Myślę, że sam doprowadziłem do tego stanu, bo za dużo pracowałem i nie poświęcałem jej i dzieciom tak dużo czasu, ile powinienem. A ja, idiota, nawet tego nie zauważałem... Zawsze myślałem, że wszystko jest dobrze, a naprawdę wcale tak nie było. Takie jest życie i taka jest śmierć. Cholera! A teraz jest już za późno. Nie ma powrotu.

- Volker...

- Zostawmy już to. Powiedziałem wam wczoraj, żebyście pokazali tym skurwielom. Macie coś nowego?

- Nie. Nawet nie wiemy, kim ci skurwiele są.

- Liso, powinnaś iść na kurs o tematyce: „Jak oszukać swojego szefa tak, żeby tego nie zauważył”. A więc co macie mi do powiedzenia?

- No dobrze. Otóż spotkaliśmy się wczoraj z jednym facetem ze służby bezpieczeństwa, który opowiedział nam o wielu szwindlach, jakie robi się w jego wydziale i nie tylko. Nazywa się Karl Albertz, mówi ci to coś?

- Nigdy nie słyszałem, ale jak dotąd nie współpracowałem ze służbą bezpieczeństwa. No, może poza kilkoma sytuacjami, kiedy to kilku szczeniaków od nich zjawiało się tu u nas... Znacie te historie. Ale żadnego Karla Albertza nie znam ani nikogo innego od nich.

- Szukaliśmy informacji na temat pracowników służby bezpieczeństwa, ale Albertza w oficjalnych danych nie ma - powiedział Henning. - Gdy go zapytałem, jak to możliwe, wyjaśnił nam, jak działają ich struktury. Powiedział, że należy do wydziału, który oficjalnie nie istnieje... Jednak uważam, że zmyśla, tylko trudno mi to udowodnić. I przede wszystkim nie rozumiem, jaka jest nasza rola w tej całej grze.

- Jak w ogóle doszło do tego spotkania? Kto nawiązał ten kontakt?

- On. Zadzwoił kiedyś do nas i powiedział, że ma nasze dane od... Cholera, jeszcze przed chwilą pamiętałem, jak to było... Jak on to powiedział?

Santos przyszła mu z pomocą.

- Powiedział nam, że usłyszał o nas od jakiejś życzliwej nam osoby. Oczywiście nie zdradził nam, kto to taki...

- W takiej sytuacji ponownie chcę was uczulić, żebyście uważali na siebie, mówię poważnie. Jesteście tylko zwykłymi policjantami z wydziału zabójstw i zadaję sobie pytanie, czego ktoś wysoko postawiony ze służby bezpieczeństwa chciałby od was. Zastanawialiście się nad tym? Dlaczego akurat z wami się skontaktował?

- Tak. Nawet go o to zapytaliśmy i...

- To dobrze, i pamiętajcie, że tu są tylko dwie strony: ci dobrzy i ci źli. Na miłość boską, uważajcie, żebyście nie weszli gdzieś, skąd już nie wyjdziecie. Bądźcie uważni. Patrzcie nie tylko przed siebie, ale i na boki, a także do tyłu. Nigdy nie ufałem służbie bezpieczeństwa ani wywiadowi i wierzę mi, że mam ku temu powody.

- Będziemy uważać. Słowo honoru. Albertz wspomniał też wczoraj o Friedmannie i Mullerze. Pamiętasz, to ci, którzy usunęli Weidricha.

- Chwileczkę, przecież działali w samoobronie - przerwał Harms.
- Z tego, co mówisz, to brzmi raczej jak...

- Zapomnij! Weidricha wystarczyło dotknąć palcem i sam by się przewrócił. Poziom alkoholu w jego krwi wahał się zawsze od dwóch do trzech promili. Volker, tu się dzieją niesamowite rzeczy. Brunns prawdopodobnie zabił albo wiedział o zabójstwie małej dziewczynki, a Klein, na co wskazują dowody, zajmował się handlem kobietami i dziećmi. Możliwe nawet, że był największym handlarzem w Niemczech. Steinbauer z kolei, mimo swoich osiemnastu lat, była całkowicie zepsuta. I teraz słuchaj: Albertz powiedział nam, niby przy okazji, żebyśmy się zajęli Friedman-nem i Mullerem. Po dokładnym zapytaniu, o co mu chodzi, przytaknął, że mamy ich zabić. Nazywał ich niewolnikami...

- Stop! Stop! Stop! - krzyknął Harms, unosząc jednocześnie dłoń.
- Czy ja dobrze zrozumiałem? Mielibyście zabić dwoje naszych ludzi?

- Tak. To wszystko nie ma najmniejszego sensu. Ci dwaj, pracując w wydziale narkotykowym, obok swoich zwykłych obowiązków od dziesięciu lat współpracują ze służbą bezpieczeństwa. I prawdopodobnie zabili ponad trzydzieści osób na zlecenie, a teraz mają mnie i Lisę na oku. Albertz chciałby teraz oczyścić teren i do tego potrzebowałby nas. Całą noc zastanawiałem się, co w tej całej historii jest prawdą, a co kłamstwem. I doszedłem do wniosku, że wszystko to jest jedną wielką bzdurą i choć ani Lisa, ani ja tego nie chcemy, zostaliśmy wciągnięci w tę całą kabałę.

Harms odchylił się na oparcie krzesła, położył dłonie na poręczach i zamknął oczy. Santos i Henning spojrzeli na siebie w milczeniu. Zapanowała cisza, którą przerywały jedynie odgłosy dochodzące zza otwartego okna.

- Czy zamierzacie... Friedmanna i Mullera...? - zapytał w końcu Harms.

- Co ty?! Oczywiście, że nie. Chyba że zostaniemy przez nich zaatakowani. Albertz powiedział nam jeszcze

coś ciekawego, a mianowicie to, że Riiter też należy do tej całej grupy. I jego ojciec, który, jak wiadomo, zasiada w rządzie, także. I co jest prawdą, a co kłamstwem? Nie mam pojęcia...

- Opiszcie mi tego Albertza.

- Chcesz wiedzieć, jak wygląda?

- Nie. Jakie sprawił na was wrażenie. Co przekazywała jego mowa ciała. Zwróciliście na to uwagę? Czy był nerwowy, może niepewny?

Santos zastanawiała się przez chwilę.

- Był bardzo spokojny - odpowiedziała. - Ani śladu zdenerwowania, cały czas się kontrolował. Może tylko, gdy mówił o pani Schumann, trochę się uniósł, ale z perspektywy czasu myślę, że to również było udawane. Ten człowiek jest pozbawiony uczuć... No i przecież oszukał nas na początku... Udawał, że jest chory, i mówił, że stacza się już po równi pochyłej. Potem jednak okazało się, że jest zdrow jak ryba i chciał nas tylko wystawić na próbę. Mówię o tym celowo, bo już sama nie wiem, co myśleć o tych wszystkich niezgodnościach między tym, co nam opowiedział, a tym, jak się przy tym zachowywał. Z pewnością ma dostęp do wielu informacji i dużo nam ujawnił, jednak zastanawiam się, ile z tego faktycznie jest prawdą.

I to napawa mnie strachem. Nawet nie wiemy, czyjego historia o Friedmannie i Mullerze jest prawdziwa albo czy Riiter faktycznie jest w to zamieszany...

- Mam jedno zasadnicze pytanie: o co w tym wszystkim właściwie chodzi? Zaczęło się od zabójstwa Bruhnsa i Steinbauer i dwa dni później uznano Weidricha za sprawcę...

- To proste - odpowiedział Henning i nachylił się do Harmsa. - Zaczniemy od tego, że początku nie stanowiło wcale morderstwo Bruhnsa i Steinbauer, tylko to tajemnicze DNA, które oczywiście nie powinno już istnieć. Zaraz

w poniedziałek ktoś zastraszył Jurgensa i Tónniesa, i to do tego stopnia, że nie chcieli z nami w ogóle rozmawiać. Potem doszły te zabójstwa Kleina i jego ochroniarzy. Według Albertza Klein działał pręźnie jako handlarz kobiet i dzieci. Sprowadzał ich jako prezenty dla ludzi, którzy tylko w tajemnicy i po kryjomu mogą dać ujście swoim żądzom ...

- Przepraszam, że ci przerwę. - Harms uniósł rękę. -Nie rozumiem, jak dzieci miałyby być prezentami? Czy się nie przesłyszałem?

- Nie. Jeżeli dobrze zrozumiałem Albertza, chodzi o poważne interesy, a dzieci miały być prezentami dla partnerów biznesowych. Oczywiście dla tych, którzy są pedofilami. Ale tak szczerze mówiąc, ani ja, ani Lisa nie zrozumieliśmy tego tak dokładnie. Może po prostu jesteśmy za głupi... Tak czy siak, to jest jedno wielkie świństwo... Dzieci! Małe dzieci! Powiem jedno, wszystkich tych, którzy je krzywdzą, trzeba by było przeciągnąć okrakiem po drucie kolczastym, żeby już nigdy nikomu nie wyrządzili krzywdy.

- Ale kiedy to...

- W końcu chodzi też o płatnego mordercę, który od dwudziestu pięciu lat likwiduje ludzi z wyższych sfer, i to na całej kuli ziemskiej. I tak krąg się zamyka, bo według Albertza tylko jedna osoba zna tego mordercę osobiście, a jest nią niejaka Sarah Schumann z Frankfurtu, która teraz przebywa w Kilonii.

- Volker, mamy do ciebie jedno, bardzo proste pytanie. Co mamy robić?

Harms długo patrzył na Henninga.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł. Wyglądało tak, jakby Harms, zagłębiając się w swoich myślach zapewne dotyczących Marion, w ogóle nie słyszał całej opowieści, bo po chwili znów zapytał: - Dzieci jako prezenty?

- Już próbowałem ci to przed chwilą wytłumaczyć, ale spróbuję jeszcze raz. Przy dużych interesach chce się wyświadczyć partnerom biznesowym o pedofilskich skłonnościach przysługę i do tego właśnie służą dzieci. Podobno mnóstwo jest takich ludzi i według Alberta kieruje tym służba bezpieczeństwa. Dzieci i nastolatki przywożone są także do burdeli dla nieletnich, gdzie inni mogą je bez jakichkolwiek przeszkód krzywdzić. Bezbronne i słabe dzieci są tam bezkarnie gwałcone, aż w końcu umierają. Oczywiście brak na to jakichkolwiek dowodów, mamy tylko słowa Alberta, a także pani Bruhns, która oświadczyła nam, że widziała tę nieznaną dziewczynkę, znaną w marcu ubiegłego roku, w towarzystwie swojego męża. Więcej informacji na razie nie mamy. Gdybym wiedział, gdzie przetrzymywane są te dzieci, poruszyłbym niebo i ziemię, żeby je odnaleźć i uwolnić, a ich oprawców ukarać. To jednak nigdy nam się pewnie nie uda, bo są za dobrze zorganizowani. Wygląda na to, że jesteśmy bezradni, i mówię to świadomie...

- Cóż mogę powiedzieć? Nie byłem z wami przy tej rozmowie z Albertem. Mogę wam chyba tylko doradzić, żebyście się z tego wycofali i nic nie robili. Oczywiście decyzja należy do was. Możecie spróbować dotrzeć do prawdy i zrobić wszystko, by ujrzała światło dzienne, ale przypuszczalnie natkniecie się na ludzi, z którymi nie ma żartów. Ja raczej bym się bał - powiedział Harms, nie owijając w bawełnę.

- A myślisz, że my się nie boimy? Problem w tym, że nie możemy się teraz wycofać. Albert oczekuje od nas przysługi w zamian za swoje informacje. Czy chcemy, czy nie, jeszcze przynajmniej przez jakiś czas musimy tkwić w tej grze. Tylko nie wiemy, jak to się skończy.

- Co zamierzacie?

- Najpierw złożymy wizytę Klosemu, może uda nam się uzyskać kilka informacji od tego chytrego lisa.

- Dobrze. Pojedźcie do niego i zostawcie mnie już samego, żebym mógł znów sięgnąć do mojego źródła. To jest taka nasza tajemnica, a teraz już idźcie - powiedział i na jego twarzy pojawił się uśmiech, którego od dawna już nie widzieli. Po chwili jednak znów zniknął.

- Będziemy cię informować - obiecał Henning i razem z Lisą opuścili biuro.

Klose akurat z kimś rozmawiał, gdy Santos i Henning się zjawili, więc tylko kiwnął im ręką, żeby weszli. Po kilku minutach odłożył słuchawkę.

- Tak myślałem, że niedługo znów się spotkamy - powiedział. - Co tym razem wam leży na sercu?

- Friedmann i Müller - odparła bez ogródek Santos.

- Powiedz nam o nich coś więcej. Czy naprawdę są tacy niebezpieczni?

- Jak już wam mówiłem, uważajcie, jeżeli będziecie mieli z nimi do czynienia. Są twardzi i nie przebierają w środkach, najlepiej trzymać się od nich z daleka. Poza tym nie mieszajcie mnie w to wszystko, bo mam do nich bliżej niż wy. Ich biuro jest zaledwie kilka drzwi dalej.

- Nie chcemy cię do niczego zmuszać, jednak doszły nas słuchy, że tych dwoje ma już na koncie kilka zabójstw

- powiedział Henning.

Klose wzruszył ramionami.

- Przykro mi, ale nie mam wpływu na plotki, a sam nie potwierdzę tych informacji.

- Czy słyszałeś kiedykolwiek o Karlu Albertzie? - zapytała Santos.

- Nie, nigdy. A kto to?

- To bez znaczenia. Tak tylko chcieliśmy do ciebie zajrzeć i przywitać się, ale ani nas tu nie było, ani nas nie widziałeś.

- Oczywiście, przecież w ogóle was nie znam - rzucił Klose z uśmiechem.

Gdy schodzili na dół, Henning zrezygnowany powiedział:

- Nic nam to nie dało. Wiemy dokładnie tyle samo co wcześniej. To co, robimy tak, jak uzgodniliśmy przy śniadaniu?

- Jasne. Zobaczmy, jak ta Sarah Schumann żyje. Tylko musimy wymyślić jakiś powód naszej wizyty. Mamy coś?

- Co?

- No, czy masz jakiś pomysł? Przecież musi być jakiś powód, dla którego do niej idziemy. Co jej powiemy?

- Zastanówmy się... Nic mi nie przychodzi do głowy - powiedział Henning z rezygnacją w głosie.

- Cholera. A zawsze jesteśmy tacy kreatywni... Mam! Powiemy, że przyszliśmy w sprawie Bruhnsa, w końcu byli sąsiadami. Powinna go raczej znać, w końcu Düsternbrook nie jest takie duże. Możemy jej powiedzieć, że naszym zdaniem Weidrich miał współnika.

- Spróbujmy. Przyznaj, że chcesz ją po prostu poznać. Tylko po co?

- Z ciekawości. Chcę wiedzieć, jak wygląda kobieta, która zleciła zamordowanie swojego męża. Poza tym nie mamy innych planów, prawda? No rusz się, staruszk.

- Hej! Nie mów tak do mnie. Przecież wiem doskonale, jaki jestem stary. Nie musisz tego ciągle podkreślać.

- Ach tak? Jak dla mnie wciąż jesteś młody, dynamiczny, wysportowany i do tego z umysłem nadal pracującym na najwyższych obrotach... Wystarczy?

- No wiesz, z tym umysłem to jest taka sprawa... Gdybym tylko mógł rozwiązać ten węzeł gordyjski... Liso, to wszystko jest takie zagmatwane. Kłamstwo goni kłamstwo. Najpierw to DNA, potem płatny morderca, zabójstwa Bruhnsa i Steinbauer, potem Klein, do tego Albertz, Rüter, Friedmann i Müller... Jak my mamy to wszystko powiązać?

- Daj mi kluczyki, poprowadzę - zaproponowała Santos, idąc do samochodu. Henning rzucił jej kluczyki, po czym usiadła za kierownicą i powiedziała: - Do tego to wszystko ma związek z przestępczością zorganizowaną. Sama myśl, że jakieś perwersyjne świnię gwałcą dzieci, wywołuje we mnie niewyobrażalną wściekłość. Przysięgam, że nie rękę za siebie, jeżeli dorwę któregoś z nich. Z drugiej jednak strony te informacje od Alberta są jakby spójne, na przykład ta o finansowaniu wojen...

- Liso, przecież takie informacje od lat pojawiają się w dziennikach. Każdy, kto choć trochę się tym interesuje, dobrze o tym wie. Albertz powtórzył tylko to, o czym od dawna dobrze wiemy, dlatego też jest podejrzany... Jedźmy już. Muszę pomyśleć.

- Popadasz w zadumę.

- Bzdura. Po prostu myślę.

- Czy możesz mi więc powiedzieć, o czym rozmyślasz?

- Tak, ale dopiero wtedy, gdy dojdę do jakichś wniosków.

Około wpół do jedenastej dotarli pod dom Sarah Schumann przy Lindenallee. Oczekali jeszcze kilka minut w samochodzie, zanim wysiedli i podeszli do bramy. Lisa Santos była zdenerwowana, jednak nie umiała wytłumaczyć, skąd to uczucie. Ścisnęła Henninga mocno za rękę i nacisnęła dzwonek.

Czwartek, godz. 10.33

- **Tak**, słucham? - usłyszeli przez domofon kobiecy głos.

- Komisarz Santos i komisarz Henning, z wydziału zabójstw - powiedziała Santos, trzymając legitymację przed kamerą domofonu, jak zwykła to robić przez prawie dwadzieścia lat służby. - Chcielibyśmy porozmawiać z panią Schumann. Chodzi o Petera Bruhnsa.

- Chwileczkę.

Po chwili w drzwiach pojawiła się zadbana kobieta, ubrana na sportowo, ale mimo to wyglądająca elegancko. Miała półdługie, brązowe włosy i duże brązowe oczy.

- Nie chciałabym być niegrzeczna, ale czy mogę jeszcze raz zobaczyć państwa legitymacje?

- Proszę. - Oboje unieśli dokumenty.

- O co chodzi?

- Na pewno słyszała pani o zabójstwie pani sąsiada, pana Bruhnsa. Z tego względu, że pojawiły się nowe dowody w tej sprawie, przeprowadzamy wywiad wśród najbliższych sąsiadów. Zechce nam pani poświęcić kilka minut?

- Niestety, chyba nie zdołam państwu pomóc, bo prawie pana Bruhnsa nie znałam. Poza tym przyjechałam do Kilonii dopiero dwa dni temu...

- Och, nie wiedzieliśmy o tym. Ale mimo to może odpowie nam pani na kilka pytań? - Santos nie zamierzała tak łatwo odpuścić.

Sarah Schumann uśmiechnęła się tajemniczo, co zirytowało trochę Santos, po czym powiedziała:

- Dobrze, skoro to konieczne. Nie chcę przecież działać na szkodę policyjnego śledztwa. Proszę wejść, ale uprzedzam, że mam mało czasu, bo o dwunastej jestem już umówiona i nie mogę się spóźnić.

- Nie zajmiemy pani dużo czasu - obiecała Lisa i również się uśmiechnęła.

Ładna kobieta - pomyślała z uznaniem. Piękna, elegancka i do tego pełna czaru. Więc tak wygląda kobieta, która wynajmuje płatnego zabójcę.

Sarah Schumann zaprosiła ich do stylowo urządzonego pokoju, gdzie zaproponowała, by usiedli.

- Powiedziała pani, że prawie nie znała pana Bruhnsa. Może nam pani to wyjaśnić? - spytała Lisa.

- To bardzo proste - odparła Sarah Schumann, zakładając nogę na nogę. Henning, obserwując ją, aż zamilkł z podziwu. Jeszcze nigdy nie spotkał kobiety, która w wieku sześćdziesięciu lat wyglądałaby tak młodo. Sarah emanowała młodzieńczym czarem, przyciągała erotyczną kobiecością i charyzmą. Henning rzadko widział, żeby czyjeś oczy tak błyszczały jak te brązowe oczy Sarah, którym właśnie się przypatrywał. Oczywiście spróbuje ukryć to przed Lisą, chyba że sama zacznie rozmowę i zapyta, co myśli na temat Sarah Schumann. - Moim głównym miejscem zamieszkania jest Frankfurt. Tu przyjeżdżam raczej sporadycznie, i to z reguły po to, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, odpocząć i dogłębnie wszystkiego. Przecież nie można pozwolić, żeby dom niszczał. Poza tym nie lubię przyjęć, więc raczej pan Bruhns i ja obracamy się w innych kręgach, a ja nigdy nie zabiegałam o takie towarzystwo. Z pewnością brzmi to bardzo arogancko, ale ja będę przy tym obstawała.

- Godne naśladowstwa - rzekł Henning krótko. Sarah przyjrzała mu się uważnie, jakby miała zamiar czytać w jego myślach.

- Czy zna pani jego żonę? - zapytała Santos.

- Trochę. Spotkałyśmy się kiedyś na jakimś przyjęciu. Muszę przyznać, że wywarła na mnie bardzo pozytywne wrażenie i zadawałam sobie pytanie, jak to możliwe, że związała się z Bruhnsem. Była taka młoda, bardzo atrakcyjna i taktowna, podczas gdy o nim od samego początku nie miałam dobrego zdania. Zastanawiało mnie, ile ten związek będzie trwał.

- Kiedy to było?

- Półtora roku temu, może przed dwoma laty. Dokładnie już nie pamiętam, ale jaki to ma związek ze śmiercią Bruhnsa?

- Podejrzewamy, że było dwóch sprawców. Jeden, jak to już można było przeczytać w prasie, zginął w wyniku

wymiany strzałów, a teraz poszukujemy jego współnika. Czy dobrze zna pani sąsiadów?

Sarah Schumann zmieniła trochę pozycję i spojrzała na nich z ukosa.

- Nie mam tu z nikim kontaktu. Przyjeżdżam do Kilonii, żeby odpocząć, a to przede wszystkim oznacza dla mnie samotność. Frankfurt jest wystarczająco stresującym miejscem, a tu chcę mieć święty spokój i побыć sama. Dlaczego zadaje mi pani to pytanie? Myśli pani, że ktoś z sąsiedztwa miał jakiś związek ze śmiercią Bruhnsa?

- I tak, i nie. Nadal szukamy tego drugiego mężczyzny... bądź kobiety.

- Przepraszam, ale więcej państwu nie pomogę -oznajmiła Sarah. Jej głos był nadal miły, ale już zdystansowany. Spojrzała na zegarek i powiedziała: - W okolicy znam tylko dwie osoby, i to tylko trochę: pana Albertza i panią Zimmermann, która mieszka z córkami kilka domów stąd. I to by było wszystko.

Santos i Henning próbowali nie okazywać żadnych emocji. Nie reagowali, chociaż w ich głowach aż się zakręciło, gdy usłyszeli to nazwisko. Czuli się jak na karuzeli, która coraz szybciej wiruje.

- Kim jest pan Albertz? - zapytała Santos niby przy okazji, bo nie zdawała sobie wcale sprawy z tego, że Albertz był niedalekim sąsiadem ich rozmówczyni.

- Co ma pani na myśli?

- Kim jest? Nie mamy takiego nazwiska na naszej liście. Gdzie on właściwie mieszka?

- Przy alei Bismarcka, ale numeru domu nie znam. To chyba jednak nie będzie dla państwa problemem, żeby do takiej informacji dotrzeć. Z pewnością mieszka gdzieś blisko ronda. Jak mogłabym go opisać? Człowiek małomówny, raczej zamknięty w sobie. Ma na pewno ponad pięćdziesiąt lat, może już nawet sześćdziesiąt. Jest

właścicielem kilku galerii, z czego jedna z nich mieści się w Kilonii. Więcej o nim nie wiem, zresztą dawno go już nie widziałam. Poza tym... - Sarah spojrzała ponownie demonstracyjnie na zegarek - .. jeżeli państwo pozwolą... czas ucieka. Nie chciałabym być niegrzeczna, ale jeżeli nie mają państwo innych pytań, to...

- Dziękuję, że w ogóle zgodziła się pani poświęcić nam swój czas. Życzymy udanego pobytu w Kilonii. Jak długo pani jeszcze tu zostanie?

- Może tydzień, a może tylko dwa, trzy dni... Trudno powiedzieć, bo raczej spontanicznie podejmuję takie decyzje. Jest mi tu jednak trochę za zimno.

Sarah Schumann odprowadziła komisarzy do drzwi.

- Gdyby państwo udali się do pana Albertza, prosiłabym o niewspominanie o mnie. Ludzie tutaj bardzo cenią sobie dyskrecję...

- To oczywiste. Nie wymienimy pani nazwiska.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Do widzenia i niech pani nie pozwoli, by pogoda psuła pani humor - powiedziała Santos. - Na południu Francji na pewno jest teraz piękniej.

- Wiem, dlatego pewnie niedługo pojedę gdzieś nad Morze Śródziemne. Z drugiej strony czemu miałabym się denerwować pogodą? Przynajmniej na razie mamy pory roku, a przecież nie wiadomo, jak długo jeszcze - oznajmiła z tajemniczym uśmiechem i błyskiem w oku, zupełnie jakby w tej samej sekundzie przejrzała Santos i Henninga i nagle ich kłamstwo wyszło na jaw.

W samochodzie, gdy Santos zapinała pasy bezpieczeństwa, Henning zapytał:

- I co, zadowolona?

- I tak, i nie. Co o niej myślisz?

- A co mam myśleć?

- Podoba ci się?

- Liso, ona ma sześćdziesiąt...

- Ale w ogóle nie wygląda na swój wiek. Przypomina raczej postać z bajki, która odkryła eliksir młodości. Przyznaj, że ci się podoba.

Henning przygotował już sobie kilka odpowiedzi na ewentualne pytania.

- Jak na swój wiek faktycznie wygląda dobrze, przyznaję. Ale zwróciłaś uwagę, jak nam się przez cały czas przyglądała? Mimo że zachowywała się tak, jakby nasza wizyta była czymś zupełnie naturalnym i oczywistym.

- Zmieniasz temat. Możesz śmiało przyznać, że ci się podoba, bo ja uważam, że jest bardzo atrakcyjna. Byłabym zadowolona, gdybym w jej wieku tak wyglądała. Ale masz rację, też widziałam, że nas przeszywała wzrokiem. Chociaż pewnie też byśmy to robili na jej miejscu. Widać, że jest panią swego życia i dobrze jej z tym, inaczej nie byłaby taka pewna siebie. W pewnym sensie nawet ją podziwiam. Nie była ani niesympatyczna, ani wyniosła. Za to ma niezwykłą charyzmę. Mimo że widziałam ją krótko, to nawet ją polubiłam.

- Ale wynajęła płatnego mordercę, żeby pozbyć się męża, a to już nie świadczy o niej dobrze.

- Jeżeli jej mąż faktycznie był przestępcą... to raczej nie można mieć jej tego za złe - zauważyła Santos.

- Bronisz jej? Więc pochwalasz jej zachowanie?

- Nie wiem, co bym zrobiła na jej miejscu. Ale szczerze ci powiem, że gdybym wszystkich tych dupków, także tych, przez których moja siostra jest teraz w domu opieki, dostała w swoje ręce, to... Wiem, wiem, nie powinnam tak nawet myśleć, zwłaszcza jako policjantka, ale i tak czasem przychodzi mi to do głowy. Schumann był przestępcą, który miał wszędzie plecy, i dlatego robił, co chciał. Wykorzystywał tę sytuację, kiedy tylko mógł, nawet sprowadzał dzieci i kobiety, by zadowolić innych bossów...

Pani Schumann nie jest żadną morderczynią. Nie zabiła z zimną krwią, ale znalazła się w sytuacji, w której musiała podjąć decyzję, żeby chronić siebie, swoje dzieci i innych ludzi, którzy cierpieli bądź też stracili życie, czy to pośrednio, czy bezpośrednio z powodu Schumanna. Jednak nie poprawiło to jej sytuacji. Wręcz przeciwnie.

- Nie rozumiem.

- Wydając zlecenie zabicia swojego męża, miała nadzieję, że jej koszmar się skończy i znów zapanuje spokój. Jednak tak się nie stało. Albertz zmusił ją, żeby pracowała dla niego albo dla organizacji. Wpadła z deszczu pod rynnę. Zapewne myślała, że sprawą morderstwa jej męża zajmie się tylko policja, i tu się myliła. Nie sądziła, że ludzie znający jej męża zainteresują się nią, nie przypuszczała, że służba bezpieczeństwa nie da jej spokoju. Dopracowała doskonale plan morderstwa, ale niestety nie przewidziała wszystkiego. Już rozumiesz?

Henning wyglądał przez okno i zastanawiał się, po czym kiwnął głową.

- Brzmi logicznie. Wynajęła nasze widmo, a że zabójca wykonał swoje zadanie perfekcyjnie, zainteresowała się nim służba bezpieczeństwa. A propos Albertza. Dlaczego akurat to nazwisko wymieniła? Naiwność czy wyrachowanie? A może to był jakiś test? Chciała sprawdzić, jak zareagujemy? Jak myślisz?

- Nie mam pojęcia. Mam jednak przeczucie, że chciała nas wystawić na próbę. Widziałaś jej wzrok, jak się z nami żegnała? W jej spojrzeniu była kpina. Nie, przepraszam, wyglądało, jakby to było dla niej zabawne, to chyba odpowiednie określenie. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że ona wiedziała, że nie przyszedłszy do niej z powodu Bruhnsa. Była bardzo opanowana, jednak zastanawia mnie, dlaczego akurat jest w Kilonii? Właśnie teraz, kiedy tyle się tu dzieje i tylu ludzi ginie?

- Ale dowiedzieliśmy się przynajmniej, gdzie mniej więcej mieszka Albertz: aleja Bismarcka, tuż przy rondzie. Wiem, gdzie to jest - powiedział Henning. - Nasz szanowny pan nie sądził, że do niej pójdziemy.

- Pewnie tak.

Santos wcisnęła pedał gazu. Z minuty na minutę, im bardziej oddalali się od domu pani Schumann, ogarniała ją coraz większa złość. Nie wiedziała, skąd się wzięło to uczucie, ale nagle poczuła, że ma tego dość. Wszystko to ją przerastało i nie umiała spośród tych zagmatwanych informacji wyłowić tych prawdziwych.

- Gdzie tak pędzisz? - zapytał Henning.

- Wcale nie pędzę - odpowiedziała.

- Jak to nie? Co ci się nagle stało?

- Nic! - wybuchła.

- Jasne. Skoro nic, to czemu jesteś taka zła?

- Rzygać mi się chce od tego wszystkiego.

- Mnie też, Liso. Mnie też, ale próbuję się opanować.

- Ale ja jestem opanowana. - Santos spoglądała uparcie na ulicę.

Po chwili jednak zjechała na pobocze i zatrzymała się. Oparła głowę o kierownicę i zaczęła płakać.

Henning objął ją ramieniem.

- Już dobrze. Tego jest po prostu za dużo...

- Ja już nie mogę... - szlochała. Wytarła łzy rękawem. - Ten ciągły stres! Ten przeklęty stres! Przez cały czas musimy być silni i nie dawać po sobie poznać, że nie zawsze tacy jesteśmy.

- Myślisz, że ze mną jest inaczej? Czuje się tak samo jak ty, ale pamiętaj, że gdy tylko masz gorszą chwilę, to możesz na mnie liczyć. Jak zawsze. Gdy któreś z nas jest w dołku, drugie mu pomaga, na tym przecież polega nasz związek. Kocham cię i rozumiem, co czujesz.

- Naprawdę? - zapytała, spoglądając na niego zapłakanymi oczami.

- Oczywiście. Jesteśmy parą i tylko razem jesteśmy silni. Jedno bez drugiego jest słabe, ale razem tworzymy świetny zespół i dlatego musimy sobie pomagać - powiedział z uśmiechem, głaszcząc Lisę po głowie.

- Wiem, przepraszam, że...

- Nie usprawiedliwiał się. Nie trzeba. Nie masz powodu. Nie jesteśmy w końcu żadnymi robotami, tylko ludźmi, od których za dużo się wymaga. Mam kierować?

- Yhm. Kocham cię - powiedziała Santos, po czym przesiadła się na miejsce pasażera, a Henning usiadł za kierownicą.

- Już lepiej?-zapytał.

- Tak, to było tylko... Przyszło jak grom z jasnego nieba.

- Znam to.

Milczeli przez dłuższą chwilę.

- Chciałabym, żeby Albertz znów do nas zadzwonił i chciał się z nami spotkać - odezwała się w końcu.

- I co wtedy?

- Wtedy spróbuję zdobyć odpowiedzi na wszystkie pytania, które nie dają mi spokoju, i dowiedzieć się, jaka rola nam w tym przypadła. Chcę mieć po prostu jasność sytuacji.

- Może pojedziemy gdzieś coś zjeść? Głodny już jestem i muszę zjeść coś konkretnego.

- Restauracja czy bar?

- Restauracja. Weźmiemy coś do pisania i zapiszemy wszystkie pytania, które nas nurtują.

Nagle zadzwonił telefon Santos, a na wyświetlaczu pojawił się napis: „Claudia Bartels”.

- Tak?

- To ja, Klaus. Powiem krótko: Mam na stole mężczyznę, którego znaleziono wczoraj w hotelu Steigenberger. Według jego dokumentów nazywa się Dieter Uhhg, ale

znam tego faceta i naprawdę to Bernhard Freier. Z tego, co wiem, pracował dla służby bezpieczeństwa i nieraz był u mnie w różnych sprawach. Oczywiście muszę go potraktować w sposób szczególny. Więcej informacji na razie nie mam...

- Chwileczkę, nie tak szybko. Na co umarł?

- Nie mam pojęcia. Znalaziono go w środku nocy w samochodzie. Wszystko wskazuje na zawał, ale jakoś nie chce mi się w to wierzyć. Chciałem wam tylko o tym powiedzieć. Poza tym znów znalazłem to DNA, ale nie powiem o tym nikomu oprócz was i zatrzymajcie to dla siebie.

- Jasne. Znasz może Karla Albertza ze służby bezpieczeństwa?

- Nie. Nigdy o nim nie słyszałem, a czemu pytasz?

- Opowiemy ci innym razem, jak spotkamy się tylko we własnym gronie. Idziemy teraz coś zjeść. Dzięki za informację i odezwij się, jakbyś stwierdził jakąś nienaturalną przyczynę zgonu.

- Dobrze, ale muszę być ostrożny, dlatego dzwonię teraz z telefonu Claudii.

Jiirgens odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

- To Klaus?

- Yhm. Wczoraj w nocy znaleziono jakiegoś mężczyznę ze służby bezpieczeństwa w hotelu Steigenberger. Zgadnij, o kogo chodzi?

- Nie mam pojęcia.

- Bernhard Freier, ale miał przy sobie fałszywe dokumenty, więc według mnie oznacza to, że akurat prowadził jakąś tajną misję. Klaus mówi, że wszystko wskazuje na zawał serca...

- Chyba głupi w to uwierzy - przerwał jej Henning. Zaparkował samochód przed restauracją przy ulicy Eckernförder. - Mówił coś jeszcze?

- Powiedział, że znów znalazł to DNA, co oznaczałoby, że jednak było to morderstwo, ale bardzo wyrafinowane. Nie ma śladów, więc stwierdzono zawał. Ktoś chyba naprawdę robi tam porządki i wierz mi lub nie, ale jestem przekonana, że Schumann naprawdę jest jedyną osobą, która zna tego tajemniczego mordercę.

- A Albertz?

- Jestem w stanie uwierzyć, że powiedział nam prawdę. Gdyby wiedział, kim jest sprawca, już dawno wysłałby do niego Friedmanna i Mullera, ale na razie błądzi po omacku i nie mam pojęcia, co zamierza. Poczekajmy i zobaczymy, czym nas zaskoczy, ale z pewnością będzie się jeszcze z nami kontaktował, bo nas potrzebuje. Tylko jeszcze nie wiem do czego. Wejźmy już do środka, bo burczy mi w brzuchu.

Wszystko w głowie Santos wirowało, nie umiała jasno myśleć. Może mam hipoglikemię? - zadała sobie pytanie, wchodząc za Henningiem do restauracji. Połowa miejsc była już zajęta, ale znaleźli stolik w cichym kącie i zamówili colę, frytki i kotlet z zestawem surówek.

- Przyszedł mi właśnie pewien pomysł do głowy. Słuchasz mnie w ogóle? - zapytał Henning Lisę, która wpatrywała się w obrus.

- Tak. Oczywiście - wymamrotała.

- Zastanawia mnie, dlaczego Albertz sam nie pójdzie do pani Schumann i nie spróbuje wyciągnąć od niej danych mordercy, nawet przy użyciu siły? Mógłby przecież zagrozić jej czymś i wziąć ze sobą swoich pomocników, dla wsparcia. Dlaczego tego nie zrobił?

- Może naprawdę ją kocha i jeszcze ma nadzieję... Kto wie?

- Dla Albertza użycie siły czy groźby jest czymś zupełnie normalnym. Nawet na nas próbował swoich sztuczek, chciał nami manipulować. Opowiedział kilka historyjek,

przedstawił siebie jako tego dobrego, który jednak kilkakrotnie zbłądził. Jednak cała ta jego wypowiedź jest jasna; Albertz nie stoi po stronie prawa i wiesz, co ci jeszcze powiem: on ma tam taką pozycję, że nikt nie może mu nic zrobić. Dodam tylko, że działa w strefie bezprawia. Jak o tym myślę, to zawsze mam przed oczami taki obraz: gdzieś w nieograniczonych przestworzach kosmosu krąży kula ziemską, na której jesteśmy my, z kolei Albertz, jego pomocnicy i do nich podobni działają w przestworzach wokół nas i dlatego nigdy się do nich nie dobierzemy. Oni mają różne sposoby, żeby nami manipulować i nas oszukiwać, przy czym patrzą na nas z góry i śmieją się.

- Sören, daj mi najpierw coś zjeść, bo teraz zupełnie nie pojmuję, co do mnie mówisz.

- Jeszcze tylko jedno: Co myślisz o tym, żebyśmy złożyli Albertzowi niezapowiedzianą wizytę? Zajechalibyśmy przed jego dom i poczekali, aż wróci, co?

- A co nam to da?

- Zaskoczmy go, bo przecież nie wie, że dotarliśmy do niego.

- Rozumiem.

Jedząc, rozmawiali o codziennych sprawach. Czuli, że niedługo znów w Kilonii zapanuje spokój, ale na razie muszą przetrwać tę burzę. Jednak nie wiedzieli, jak silna ona będzie.

Czwartek, godz. 11.25

Albertz zaparkował około pięćdziesięciu metrów od domu Sarah Schumann. Został jeszcze kilka minut w samochodzie i zastanawiał się, czy nie powinien zawrócić. Zdecydował się jednak wysiąść. Wyjął kluczyk ze stacyjki i udał się powoli do jej domu.

Pewnie będzie zaskoczona, gdy go nagle zobaczy przed swoimi drzwiami. Ostatnio spotkali się przecież na święta Bożego Narodzenia we Frankfurcie. Zapewne zdziwi się, skąd ma jej adres. Tym razem jednak Albertz postanowił nie traktować jej wyjątkowo, jak to, jego zdaniem, czynił w przeszłości.

Już miał nacisnąć dzwonek, gdy Sarah wyszła przed dom. Jak zwykle wyglądała bardzo wytwornie, jednak czasy, gdy miał do niej słabość, już dawno minęły. W domu czekała na niego młodsza o trzydzieści lat rasowa Bra-zylijka, która spełniała wszystkie jego zachcianki. Mimo wszystko jednak Sarah była najbardziej pociągającą, piękną, zmysłową i uwodzicielską kobietą, jaką znał.

- Sarah! - zawołał, stojąc przed bramą.

Szła akurat do garażu, gdy usłyszała jego głos. Odwróciła się, jednak jej mina nie zmieniła się, gdy go ujrzała.

- Nie mam czasu - powiedziała.

- Oho! A ja myślę, że masz... i to dużo. Podejź do bramy, chyba że wolisz, żeby połowa Kilonii nas słyszała. -Mówił cicho, ale ostro.

Sarah Schumann podeszła do niego i popatrzyła chłodno.

- Co się takiego ważnego stało?

- Wpuść mnie, to ci wyjaśnię.

- Mówię przecież, że nie mam czasu. Myślałam, że już dawno wszystko sobie wyjaśniliśmy. Czy to było tylko kolejne z twoich kłamstw? - Była przestraszona, jednak udawała silną i odważną. Albertz zignorował jej słowa.

- Dziesięć minut i więcej mnie już nie zobaczysz. Muszę porozmawiać z tobą o czymś bardzo ważnym. Chyba że mam się tu zjawić z nakazem przeszukania domu i kilkoma policjantami? Wiesz, że mógłbym to zrobić. Wystarczy mój jeden telefon.

- Dziesięć minut - powiedziała Sarah i otworzyła bramę, chociaż intuicja mówiła jej, żeby tego nie robić. - Służąca jest w środku.

- To powiedz jej, żeby nam nie przeszkadzała. Jak dla mnie, może policzyć butelki z winem w piwnicy. Jestem pewien, że coś wymyślisz.

W milczeniu weszła pierwsza do pokoju gościnnego, gdzie zgodnie z poleceniem Alberta wysłała służącą do piwnicy, po czym usiadła naprzeciw niego.

- Powiem krótko - rzekł stanowczo. - Potrzebuję nazwiska i miejsca pobytu naszego człowieka.

- Kogo masz na myśli?

- Sarah, zrób mi, proszę, przysługę i nie traktuj mnie jak idioty. Jak się nazywa i gdzie go znajdę?

- Zawarliśmy umowę, która nadal obowiązuje. Nie ujawnię ci nazwiska, a gdzie przebywa, nawet nie wiem. Poza tym od dawna nie mam z nim żadnego kontaktu.

Albertz pochylił się do niej.

- Możesz oszukiwać innych, ale nie mnie. Coś ci teraz powiem. Twój bandzior eliminuje ludzi z mojej grupy. Od soboty zabił sześcioro...

Sarah Schumann zaśmiała się.

- I co z tego? A ilu wcześniej zabił dla was? Już dawno nie biorę w tym wszystkim udziału i miałam nadzieję, że uwolniłam się już od was, drani...

- Ach tak? To dlaczego akurat jesteś w Kilonii? Czysty przypadek czy też po prostu nasza cię ochota? A może dla odmiany? Takie bajeczki możesz opowiadać komuś innemu. Wiem, że przyjechałaś, bo on tu jest. Więc czekam, podaj mi jego dane i już mnie nie ma. Wtedy będziemy już kwita.

- Myślałam, że od dawna jesteśmy, po tym, jak mnie wiele razy zgwałcił. Czy już o tym zapomniałeś?

- Tra ta ta. O ile sobie przypominam, było to za obopólną zgodą... Poza tym to nie ma teraz żadnego znaczenia, moja kochana Sarah. Nigdy bym do ciebie nie przyszedł, gdybym nie miał powodu. Wczoraj zabił Bernharda Freiera, z którym współpracowałem, i odnoszę wrażenie, że nie zamierza na tym poprzestać. - Albertz zamilkł i przyglądał się Sarah, która zamarła, po czym dodał: -Dlaczego poluje na ludzi z naszych szeregów? Czemu zmienił stronę i działa przeciw nam, skoro to właśnie dzięki nam osiągnął tak wiele? Zlecałiśmy mu robotę i dorobił się majątku. Wiem, że znasz odpowiedzi na te pytania.

Sarah Schumann uśmiechnęła się chłodno i pokręciła głową.

- Wierzysz w to, że człowiek, który dostawał od was najlepsze zlecenia, zwrócił się teraz przeciwko wam? To absurdalne! Pomyśl tylko, że w ciągu tych lat narobiliście sobie niemało wrogów. Ciągłe walczenie o obszary wpływów. Na twoim miejscu nie upierałabym się przy tej myśli, że to właśnie on jest sprawcą, ale rozejrzałabym się dookoła. A tak na marginesie, to powiem ci, że cokolwiek byś robił, i tak ci nie ujawnię, jak się nazywa. Obiecałam mu to. Jeżeli chcesz go znaleźć, to go poszukaj. Jesteście przecież wszyscy tacy sprytni i macie dostęp do najnowszych technologii... Nie potrzebujecie wcale żadnej do-nosicielki, wystarczy, że ruszycie głową i użyjecie swojego sprzętu. I zapamiętaj jeszcze jedno, mówię to poważnie: prędzej umrę, niż podam ci jego dane. Nie mam nic do stracenia. Jeżeli myślisz, że zrobię wszystko, by nie stracić życia albo majątku, to się mylisz. Nasza umowa jest dla mnie nadal ważna i zawsze będzie!

Albertz zacisnął usta i uniósł brwi. - Masz jeszcze pół godziny. Potem chcę znać jego nazwisko.

- Przykro mi, ale jestem umówiona...

- To mnie jest przykro, że nie pójdziesz na umówione spotkanie. Zostaniesz tu do czasu, aż zrozumiesz, że nie masz ze mną szans.

- Wynoś się! - krzyknęła, tracąc panowanie nad sobą. Jednak zaraz uspokoiła się, nie chciała, aby nad nią triumfował. - Nie chcę cię tu więcej widzieć... Jeżeli myślisz, że on jest w mieście, jesteś w błędzie.

- Ach tak? A skąd o tym wiesz, skoro od dawna nie masz z nim kontaktu?

Sarah Schumann westchnęła.

- Dobrze, nie powiedziałam całej prawdy. Utrzymuję z nim kontakt i dlatego wiem, że nie ma go teraz w Kilonii. Dostał zlecenie od kogoś innego i jest teraz po drugiej stronie kuli ziemskiej, ale nie wiem dokładnie gdzie, bo mi nie mówił.

Albertz zaśmiał się i wyglądał przy tym jak diabeł.

- Nieźle, ale marny twój trud. Zastanawiam się, czemu go tak chronisz? Czyżbyś miała z nim romans? Czy moja słodka Sarah ma romans z płatnym mordercą? Moja kochana Sarah? Możesz mi śmiało powiedzieć, już mnie tak nie kręcisz jak kiedyś. Jesteś dla mnie za stara, chociaż jak na swoje sześćdziesiąt lat całkiem nieźle się trzymasz. Powiem nawet, że świetnie wyglądasz, i nawet mogę sobie wyobrazić ciebie i płatnego mordercę. Spotykacie się, kotłujecie w łóżku i potem wasze drogi znów się rozchodzą, albo i nie... Ale tego jeszcze się dowiem.

- Gdyby nawet, to nic ci do tego. Ale powiem ci jedno: nie mam romansu ani z płatnym mordercą, ani tym bardziej z tobą. Jesteś tylko zwykłym, oślizgłym szczurem, który wszystkim i wszystkimi chce manipulować. - Zamilkła, bo zdała sobie sprawę, że posunęła się o krok za daleko. Jednak po chwili odważnie mówiła dalej: - Nie wiem, czemu życie mnie tak traktuje, ale uważam, że nie zasłużyłam

na to. Najpierw mój mąż, a teraz ty i ta twoja przekłeta organizacja. Jesteście zakałą tego świata. Niczym szczury wyłaniacie się z ciemnych kanałów. - Próbowała ukryć swój strach w ostrych słowach, których zwykle nie używała.

Bała się, odkąd pojawił się u niej Albertz. Tym bardziej że było dokładnie tak, jak przewidział Hans. Sarah nie widziała możliwości obrony przed Albertzem. Nie miała w walce z nim żadnych szans, bo był on wcieleniem szatana.

Nagle przypomniała sobie o swoich snach, które powtarzały się w ciągu ostatnich tygodni i w których zawsze stawała w obliczu śmierci. Co prawda słyszała, że takie sny nie oznaczają końca, lecz raczej nowy początek, ale zawsze działały na nią deprymująco i odbierały nadzieję na lepsze jutro. Do tego miała świadomość, że nikt w jej rodzinie nie dożył siedemdziesięciu lat. Jej ojciec zmarł na zawał w wieku pięćdziesięciu ośmiu, matka poniosła śmierć w wypadku samochodowym, mając sześćdziesiąt jeden, ciotka padła ofiarą brutalnego przestępstwa i zginęła w wieku siedemdziesięciu lat, a wujek zaraz potem zmarł w wielkich cierpieniach na raka. Nie miała wątpliwości, że nie przerwie tego kręgu i też niedługo umrze. W tej chwili, mając przed sobą Albertza, upewniła się tylko w swoim przekonaniu. Bała się jednak śmierci, zwłaszcza teraz, kiedy ostatnie dziesięć lat przeżyła tak pięknie i miała za sobą wspaniałą noc spędzoną ze Schmidtem. Siedząc przed Albertzem w swoim orientalnie urządzonej sypialni, czuła, jak ogarnia ją coraz silniejsze napięcie.

Albertz siedział spokojnie na sofie i przypatrywał się jej. Cierpliwie jej wysłuchał.

- Skończyłaś już? - spytał na koniec.

- Nie. Mogłabym jeszcze długo mówić, ale nie mam zamiaru strzepić sobie języka. Teraz wstanę i wyjdę, a ty mi w tym nie przeszkodzisz. Chyba że chcesz mnie zabić?

- Jeszcze nie wiem, kochana Sarah. Naprawdę nie mam zielonego pojęcia. Daj mi jeszcze chwilę, żebym się mógł zastanowić - powiedział znów z tym swoim diabolicznym uśmiechem, oblizując usta.

- Nigdy nie spotkałam drugiego takiego podłego i cynicznego człowieka jak ty. Przy tobie to nawet Manfred był święty. Jak to się stało, że taki jesteś? Wy tłumacz mi, proszę. Chodzi o pieniądze? Władzę? A może o jedno i drugie?

- Kochana Sarah... Nawet gdybym ci to wytłumaczył, to i tak nigdy byś tego nie zrozumiała. Służę mojemu krajowi i to jest prawda. Jesteśmy odpowiedzialni za to, żeby interesy dobrze szły.

Sarah Schumann zaśmiała się sucho.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że chodzi wam tylko o interesy...

- Daj mi powiedzieć. Chodzi wyłącznie o interesy, o miliardy miliardów... O sumy, o których nawet nie śniłaś. Nie masz nawet pojęcia, jakie interesy robi się w tym kraju, a wszystko to pod przykrywką i za zgodą polityków. My jesteśmy łącznikiem między polityką a gospodarką. Sprawiamy, że wszystko idzie jak po maśle. Tak na marginesie, postanowiłem, że pozostawię cię przy życiu. Gdybyś się widziała z tym swoim kochaniem lub telefonowała do niego, to przekaż mu, żeby się ze mną koniecznie skontaktował. Jeżeli faktycznie nadal jest po naszej stronie, to nie ma się czego obawiać. Słyszałaś?

- Przecież nie jestem głucha. Ale nie będę się z nim widziała ani kontaktowała w najbliższym czasie, bo tak się umówiliśmy. Nie ma go w Kilonii, a jeżeli nawet jest, to nic mi o tym nie wiadomo. Tak wygląda prawda. - Miała nadzieję, że tym razem Albertz w to wszystko uwierzy. Wraz z jego zapewnieniem, że będzie żyła, wróciła jej pewność siebie.

Albertz wstał. Podeszedł do Sarah i szybkim ruchem złapał ją mocno za nadgarstek. Jego twarz znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy. Poczula smród papierosów i whisky, który ją odrzucił. Drugą ręką złapał ją za lewą pierś i ścisnął tak mocno, że łzy napłynęły jej do oczu.

- Posłuchaj mnie, moja kochana Sarah. Twoje kłamstwo oznacza wyrok śmierci na ciebie. Zrozumiałaś?

Sarah nie odpowiedziała, tylko kiwnęła głową, więc Albertz ścisnął jej pierś i nadgarstek jeszcze mocniej. Myślała, że zemdleje, tak ją bolało.

- Chcę wiedzieć, czy zrozumiałaś! Więc jak?!

- Tak - wydusiła z siebie, krzywiąc się z bólu.

- Dobrze, a teraz pójdziemy na górę i zrobimy coś, czego już dawno nie robiliśmy. Tak jak kiedyś przypieczętujemy naszą umowę. Mały numerek przed południem dobrze nam zrobi, prawda?

Sarah Schumann zamknęła oczy. Czowała obrzydzenie na samą myśl, że Albertz będzie jej dotykał, ale nie miała wyboru, jeśli chciała przeżyć.

- Pytałem cię o coś. Ładnie pachniesz, wiesz? Nie, „pachniesz” to złe słowo. Wokół ciebie unosi się jakaś aura orientального kwiatu. Mam w domu gorącą kobietę, nie skończyła jeszcze trzydziestu lat i jest niczym wulkan, pochodzi z Brazylii i ostra z niej dupa. Zawsze jej mało i nigdy nie jest za mocno. Jesteś jej przeciwieństwem, taka chłodna i niedostępna. Lubię takie przeciwieństwa. No już, idziemy na piętro.

- Dlaczego akurat ze mną? Zostaw mnie już w spokoju - wyjęczała. - Chyba że twoja Brazylijka ci nie daje? A może jesteś już dla niej za stary?

- Nie zwykłem słuchać od ciebie takich rzeczy. To jakaś inna Sarah niż ta, którą znałem dotąd. Mimo to z cynizmem ci nie do twarzy. Ale powiem ci, czemu akurat chcę ciebie: dlatego że to ja o tym decyduję, a nie ty. Jeżeli ma

to być po dobroci, to najpóźniej za godzinę już mnie tu nie będzie. Więc jak, idziesz sama na górę czy mam cię tam zaciągnąć?

- Daruj sobie. Wejdę sama.

- To idź już. A jak ci się podoba pistolet, który dałem ci na święta? Dobrze leży w dłoni, prawda?

- Nigdy z niego nie korzystałam. Nienawidzę broni.

- Oho. Co za bzdurne poglądy, ale zlecić zamordowanie swojego męża to mogłaś... A do tego dziewczynki, która właśnie wchodziła w wiek dojrzewanania. Powinnaś chyba przemyśleć, co mówisz. Nie chodzi o to, że nienawidzisz broni, tylko o to, że nienawidzisz załatwiać spraw własnymi rękami. Ale powiem ci, że to nas właśnie łączy. Jestem przekonany, że jesteśmy pokrewnymi duszami, wewnątrz których kryją się głębokie i ciemne obszary. Nasze dusze są tak czarne jak bezgwiezdna noc i powiem ci, że gdybyś się z tą myślą pogodziła, łatwiej by ci się żyło. Dobra, dosyć tego gadania. Gdzie jest służąca?

- W piwnicy, tak jak mówiłeś. Możesz mnie już puścić? Przecież ci nie ucieknę.

- Och, przepraszam. Nie chciałem sprawić ci bólu - powiedział Albertz z udawanym uśmiechem i zwolnił uścisk.

- Idźmy już na górę - zgodziła się Sarah. Te słowa ledwo przeszły jej przez gardło. Do tego bolała ją lewa pierś. Czuła, jakby wbijało się w nią tysiąc igieł, był to ból pulsujący, przy nim ból sinego już nadgarstka był niczym. Jednak najgorsze miało jeszcze nastąpić.

Nie wiedziała na razie, czy powie o tym Schmidtowi. Może powinna to zachować dla siebie, żeby zapobiec dalszym morderstwom. Chociaż z drugiej strony nie byłoby jej żal Albertza. Był jak bestia, której nikt nie może nic zrobić. Jednak ktoś musi go w końcu powstrzymać i Sarah była gotowa ponieść za to ofiarę.

Weszli na górę.

- Skąd w ogóle wiedziałeś, że tu mieszkam? - zapytała go.

- Skarbie, proszę cię... Ja wiem wszystko, oczywiście, jeżeli tylko chcę. No, prawie wszystko, bo strasznie denerwuje mnie to, że do dziś nie wiem, komu dajemy nasze zlecenia. Muszę się dowiedzieć, kto likwiduje dla nas niewygodne osoby, i to nie daje mi spokoju. Dostyc pogadu-szek, przejdźmy do miłszej części naszego spotkania. Za tobą, kochanie - powiedział, kłaniając się jej. Otworzyła drzwi sypialni i weszli do środka. Albertz cicho zamknął je za sobą na klucz.

- Rozbierz się! - rozkazał. Głos miał spokojny, jednak w jego oczach Sarah widziała żądzę. Pragnął ją posiadać. Pożądał jej od dwudziestu lat, ale ona nigdy dobrowolnie mu się nie oddała. Teraz jednak był pewien, że w końcu jego marzenie się spełni i tym samym ją upokorzy za jej uporczywe milczenie i odrzucenie, którego przez nią doznał. Sarah Schumann była kobietą, o której marzył całe życie, a ona nawet w najmniejszym stopniu nie była nim zainteresowana.

Rozebrała się do bielizny i spojrzała na niego.

- Jednak jesteś wciąż tak samo piękna jak kiedyś - rzekł z uznaniem. - Powiedziałbym nawet, że może nawet piękniejsza. Jesteś niczym wino albo whisky, które z wiekiem stają się coraz lepsze.

- Przejdź w końcu do rzeczy, bo chcę mieć to już za sobą.

- Sarah, Sarah, Sarah. Czemu wciąż jesteś dla mnie taka szorstka? Co ja ci zrobiłem? Chroniłem cię. Mogłem wtedy równie dobrze podłożyć dowody, które by wskazywały, że to ty zleciłaś zabicie męża, ale tego nie zrobiłem, bo cię kochałem. Taka jest prawda. Zakochałem się w tobie, a ty mnie odrzuciłaś... Ładna bielizna. La Perle?

- Za dużo mówisz. - Usiadła na łóżku. - Chcesz rozmawiać czy...

- I to, i to. Zaczynaj. Na pewno pamiętasz jeszcze, co lubię. Tego chyba się nie zapomina, to jak jazda na rowerze, nie?

Nie trwało to nawet pół godziny i Albertz już się ubierał. Sarah została na łóżku. Podciągnęła kołdrę pod brodę i obserwowała każdy jego ruch. Bała się, że zaraz znów mógłby się na nią rzucić. Całe podbrzusze i odbył piekły ją z bólu. Zdecydowała, że opowie o tym Schmidтови i może w końcu on uwolni ją od Albertza, raz na zawsze.

- Nic nie mówisz, kochanie - powiedział Albertz, wkładając kurtkę. - Czyżby ci się nie podobało? Nie szkodzi, ważne, że mi to dobrze zrobiło. Jeszcze raz, dla przypomnienia: gdybyś rozmawiała lub też spotkała się z naszym człowiekiem, nie zapomnij mu przekazać, żeby się ze mną koniecznie skontaktował. Najlepiej jeszcze w tym tygodniu. Masz mój numer telefonu, ale na wszelki wypadek zostawię ci jeszcze wizytówkę. - Mówiąc to, rzucił wizytówkę na łóżko. - Przekaż mu, że jeżeli się ze mną nie skontaktuje, to go dopadniemy. Jak dotąd dorwaliśmy każdego, kogo szukaliśmy. Bruhsa i Kleina jeszcze mu daruję, ale z Bernhardem to już przesadził. Bernhard był dla mnie niczym brat. Do tego był geniuszem logistyki i nieprędko znajdę kogoś na jego miejsce. Bernharda nie daruję nikomu, nawet naszemu najlepszemu człowiekowi.

- To twój problem. Nie mój. Powtórzę ci jeszcze raz, nie widzę, żeby miał powód zmieniać stronę. Macie już i tak wystarczająco dużo wrogów.

- No cóż, muszę cię zatem rozczarować. Mam dowody na to, że to był właśnie on. Nie chodzi o to, że będę teraz ubolewał nad stratą tyłu ludzi, ale o to, że czuję się osobiście dotknięty...

- Jakie dowody?

- Zostawił swoją wizytówkę, a to wizytówka jedyna w swoim rodzaju. A więc już wiesz. Teraz porozmawiaj z nim i przekaż, co ci powiedziałem. - W drzwiach odwrócił się ponownie. - Ach tak, prawie bym zapomniał, to pewnie przez te przyjemności, masz czas do jutra wieczór. Potem lepiej dobrze się przede mną schowaj. Nie lubię wywierać presji, ale w tej sytuacji jest to konieczne. I jeszcze coś, już nie jesteś taka w łóżku jak kiedyś, ale to pewnie z powodu wieku, kochana Sarah. Do zobaczenia.

- Poczekaj. Powiedz mi jeszcze jedno: wysłałeś tych policjantów, którzy byli tu wcześniej, żeby sprawdzili, czy jestem w domu?

- Gliny?

- Daj spokój. Chyba wiesz, kogo wysyłasz. Komisarze Santos i Henning. Mówi ci to coś?

- A, tych dwoje... Nie, nie wysyłałem ich do ciebie. Oni są z policji kryminalnej. A czego od ciebie chcieli?

- Informacji na temat Bruhnsa.

- Nie mam z nimi nic wspólnego ani oni ze mną - skłamał. - To tylko przypadek. Do widzenia, wszystko zależy od ciebie. Miłego dnia i życzę powodzenia.

Gdy zamknął drzwi, Sarah wstała i poszła do łazienki. Całą wieczność spędziła pod prysznicem. Chciała zmyć z siebie cały brud. Łzy leciały jej z oczu. Skuliła się pod strumieniem wody, objęła kolana ramionami i płakała. Często zdarzało jej się płakać w przeszłości, ale nigdy w czyjejs obecności. Zawsze chciała, by inni myśleli o niej, że jest silna i nikt nie zdoła wyprowadzić ją z równowagi. Jednak w głębi duszy była bardzo wrażliwa. Innym starała się pokazać, że jest silna, dumna i zawsze dąży do celu, co niektórzy odbierali jako arogancję, ale Sarah broniła się w taki sposób przed ewentualnym skrzywdzeniem. W gruncie rzeczy nigdy nie była i nie będzie zarozumiała, bo nie miała ku temu powodów. Była dumna tylko ze

swoich córek i wnucząt, których w razie konieczności broniłaby do utraty tchu, bo w córkach widziała samą siebie, a we wnukach - ich matki.

Jedyną osobą, która wiedziała o jej wrażliwości i samotności, był Hans Schmidt. Co prawda nigdy o tym nie rozmawiali, ale ona czuła, że on wie, jak łatwo można ją skrzywdzić. Zawsze potrafili czytać w swoich myślach, przynajmniej tak uważała.

Ciepła, prawie gorąca woda płynęła po jej ciele, gdy siedziała pod prysznicem. W końcu podniosła się i zakręciła kurek. Uczucie pieczenia w podbrzuszu trochę osłabło. Wytarła się, wysuszyła włosy i zrobiła sobie makijaż, po czym wrzuciła swoją elegancką bieliznę do kosza.

Ubrała się i zeszła na dół do piwnicy, gdzie służąca nadal pracowała.

- Sabino, możesz już przestać. Weź już sobie wolne na dzisiaj. Jutro też nie będę cię potrzebowała. Potraktujmy to jako pełnopłatny urlop. Chcę dziś i jutro pobyć sama.

- Pani Schumann, oczywiście bardzo się cieszę, ale...

- Proszę nie zadawać żadnych pytań! Czekam na panią w sobotę.

Dziękuję.

Sarah Schumann odwróciła się i poszła do pokoju gościnnego. Usiadła w fotelu i zastanawiała się. Po kilku minutach sięgnęła po telefon, którego używała tylko do rozmów ze Schmidtem. Wybrała jego numer i czekała. Po dwóch sygnałach odebrał.

- Muszę z tobą koniecznie porozmawiać. Jak najszybciej.

- Co się stało?

- Nie przez telefon. Przyjdź do mnie, ale bądź ostrożny. Zadzwoń, gdy będziesz blisko, to otworzę bramę z tyłu domu i drzwi do piwnicy. Od razu sprawdzę na monitoringu, czy ktoś obserwuje dom. Odezwe się, jakbym zauważyła coś podejrzanego.

- Może poczekam do wieczora, aż się ściemni?

- Nie. Przyjdź jak najszybciej. Coś się stało.

- Okej. Jestem w domu, ale hm... Zaraz się przebiorę i przyjdę. Do zobaczenia. Gdybym coś zauważył, nie będę wchodził, tylko spotkamy się gdzieś na mieście. Okej?

- Oczywiście.

Sarah Schumann podniosła się z trudem z fotela. Ból ręki, piersi i przede wszystkim odbytu znów się nasilił. Każdy ruch sprawiał jej cierpienie. Oprócz swojego męża nikogo nie darzyła taką nienawiścią jak Albertza. Był dla niej zimnym draniem, całkowicie pozbawionym skrupułów. Zastanawiała ją, jakim cudem ten diabeł wcielony nadal pozostawał w cieniu, mimo że miał tyle władzy i układów. Jeszcze kilka godzin temu nie wiedziała nawet, że mieszka w sąsiedztwie. Nigdy nie pomyślałaby też, że po tak długim czasie znów będzie chciał ją zgwałcić. Dla niego to była zabawa, ona zaś czuła ból, obrzydzenie, złość i wewnętrzną pustkę.

Usiadła przed ekranem i włączyła podgląd całego monitoringu. Na budynku było zainstalowanych dziewięć kamer, dzięki którym Sarah widziała całą okolicę. Nie było w pobliżu miejsca, które by nie było widoczne na ekranach. Obserwowała otoczenie przez dziesięć minut. W pobliżu nie było widać żadnych nieznanymi samochodów, nie zauważyła też nikogo, kto wzbudzałby jej podejrzenie.

Zadzwoiła ponownie do Schmidta.

- Możesz przyjść.

- Też właśnie sprawdzałem sytuację. Jest czysto. Zaraz będę.

Sarah Schumann odłożyła słuchawkę i stanęła przy oknie. Nie sądziła, że w Kilonii dojdzie do spotkania z Albertzem. Nie była przygotowana na taki ból i upokorzenie. Lepiej było zostać w domu - pomyślała. Usłyszała, jak Schmidt otwiera drzwi kluczem, który mu dała.

Po chwili wszedł do środka i mocno ją przytulił. Położyła głowę na jego ramieniu i poczuła ukojenie.

- Co się stało? Chodzi o Alberta?

- Skąd wiesz?

- Przeczyłem to. Dlaczego nie wyjechałaś do Frankfurtu? Czego od ciebie chciał?

- Chodź. Usiądźmy. Wszystko mnie boli...

- Czemu? - zapytał z niepokojem. Usiedli obok siebie na szerokiej sofie.

- Zmusił mnie do seksu. Ostatnio zrobił to dwadzieścia lat temu i nawet mi przez myśl nie przeszło, że mógłby znów...

- Poczekaj. Wszystko po kolei. Czego tu szukał? Chyba nie przyjechał do ciebie tylko po seks? Co było głównym powodem?

- Chciał twoich danych. Powiedziałam mu, że prędzej umrę, niż mu je zdradzę.

- Jesteś bardzo, bardzo dzielna. Dziękuję ci za to. Co było dalej?

- Zobacz - powiedziała i pokazała mu spuchnięty i siny nadgarstek. - Złapał mnie za rękę jak w kleszcze. Potem ścisnął pierś. Czułam tak piekielny ból, że nie byłam w stanie myśleć. Groził, że mnie zabije, jeżeli do jutra wieczór nie ujawnię mu twojego nazwiska.

- A potem cię zgwałcił. Gdzie? Tu czy w sypialni?

- W sypialni. Hans, co ja mam teraz zrobić? To wszystko wymknęło się spod kontroli.

- Nic się nie wymknęło, wprost przeciwnie. Wszystko będzie dobrze. Dziś byłem w drodze do kogoś innego, ale po zastanowieniu stwierdziłem, że teraz kolej na Alberta.

- Do kogo jechałeś?

- Powiem ci dopiero wtedy, gdy będzie po wszystkim. Tylko o Albertzie wiesz wcześniej.

- Hans, proszę cię, daj spokój. Zostaw to już - błagała, trzymając go za ramię. - Nie masz z nimi szans. To wielka organizacja, która ma mnóstwo władzy. Równie dobrze mógłbyś popełnić samobójstwo. Lepiej to zostaw.

Ujął jej dłoń i powiedział z poważną miną:

- Wtedy przyjdzie i cię zabije, a do tego nie mogę dopuścić. Zaufaj mi, wiem, co robię. Mam już nawet plan, jak pozbyć się Albertza tak, żeby nie było żadnych podejrzeń.

- To jest diabeł. Nie znam nikogo takiego jak on. Boję się o ciebie.

- Zacząłem to i doprowadzę do końca. Albertz to świnia, która chętnie tapla się w błocie. Spowoduję, żeby utopił się w tym swoim gnoju. Znam go, ale on nie zna mojej prawdziwej tożsamości i dlatego mam przewagę. Jestem to nie tylko winny tobie, ale też sobie samemu, i muszę spowodować, żeby chociaż na jakiś czas ta jego organizacja zaprzestała działalności.

- Jak chcesz do niego dotrzeć?

- Nie chcę cię tym obciążać. Gwarantuję ci jednak, że ten człowiek nigdy nikomu nie wyrządzi już krzywdy.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się boję. Najpierw ci policjanci, potem Albertz...

- Jacy policjanci?

- Byli u mnie policjanci z wydziału zabójstw i pytali o Bruhnsa. Myślałam, że to Albertz wysłał ich wcześniej na zwiady, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja. W końcu ich wizyta była bardzo dziwna. Zapytałam go o nich, ale powiedział, że to musiał być przypadek i że ich nie wysłał...

- Wylegitymowali się? Jak się nazywali?

- Komisarze Santos i Henning...

- Kurwa mać! - zaklął Schmidt i aż podskoczył. Stał przed oknem i patrzył w dal. Na zewnątrz było ponuro,

znów padało i gęste chmury wisiały nad nimi. - Po co to zrobili? Nie chciałem tego.

- O czym ty mówisz? - Sarah zmarszczyła czoło. Stała za Schmidtem i objęła go w pasie.

- Zadzwoiłem do nich kilka razy anonimowo, żeby pokierować ich na miejsca zbrodni. Wiedziałem, że są najlepszymi śledczymi w całym regionie, i miałem nadzieję, że zdołają rozwikłać tę sprawę. Ale nigdy nie pomyślałem, że przyjdą do ciebie.

- No i co? Dalej nic z tego nie rozumiem.

- Skoro wiedzą o tobie, to na pewno wiedzą o Albertzie i jego działalności. Są mądrzy, ale wydaje mi się, że Albertz nie dopuści do tego, żeby dalej działali. Będzie próbował wszystkiego, żeby tylko ukryć swoje świństwa. Muszę szybko coś wymyślić, bo zaszli już bardzo daleko, skoro trafili do ciebie. Bez wątpienia wiedzą już o twoim życiu i o tym, co stało się z twoim mężem. Sarah, oni nie przyszli tu z powodu Bruhnsa, tylko żeby cię poznać. Niestety, narazili się tym samym na wielkie niebezpieczeństwo, nawet o tym nie wiedząc.

- Ty do nich zadzwoniłeś? - zapytała zdziwiona i zarazem przestraszona Sarah.

- Tak, nie chciałem, żeby morderstwa Bruhnsa i Kleina przeszły bez echa i żeby nikt nie dowiedział się, co tak naprawdę się wydarzyło. A teraz to! Jak zareagował Albertz, gdy mu o nich powiedziałaś? Myślisz, że on ich zna?

- Tak. Powiedział, że są z policji kryminalnej.

- Okej. Posłuchaj mnie teraz uważnie. Zostań tu i zabarykaduj się. Pod żadnym pozorem nie wpuszczaj nikogo. Słyszysz? Nikogo. Włącz wszystkie systemy alarmowe i monitoring i czekaj tu na mnie. Muszę się teraz bardzo spieszyć, żeby złapać Albertza. On mnie zna jako Hansa Schmidta, który zajmuje się wystawianiem zaświadczeń

o oryginalności starych pism i książek, a tak się akurat składa, że mam jeszcze kilka skarbów, które mógłbym mu zaproponować do poszerzenia jego biblioteki. I to właśnie zrobię. W sobotę zamieniłem z nim kilka słów na przyjęciu u hrabiego, jednak przyznaję, że wtedy nie zorientowałem się, z jakim skurwielem mam do czynienia. Czy mogę cię już teraz zostawić samą?

- Tak, już mi lepiej. Proszę, kontaktuj się ze mną, żebym wiedziała, że nic złego ci się nie dzieje.

- Będę dzwonił, kiedy tylko będę mógł. Ale ty nie dzwoń, chyba że zajdzie taka konieczność. Zgoda?

- Jasne. Tak się cieszę, że jesteś. Jednocześnie strasznie się boję, że cię stracę. Obiecuj, że będziesz uważał.

- Obiecuję.

Schmidt objął ją, pocałował i pogłaskał po głowie i twarzy. Ze łzami w oczach powiedziała:

- Idź już i zrób, co masz do zrobienia. Tylko błagam, wróć do mnie żywy.

- Zajmij się czymś. Popływaj albo poćwicz jogę, pooglądaj coś w telewizji albo zadzwoń do córek czy koleżanki. Zajmij się czymś, żebyś nie siedziała i nie obserwowała sekundnika zegarka. Okej?

- Okej - odpowiedziała, chociaż nie zabrzmiało to przekonująco.

- Odezwę się, gdy tylko będę mógł. Ale na pewno jeszcze dziś się zobaczymy. Albertz już nie żyje, chociaż jeszcze o tym nie wie.

- Idź już. Nie chcę nic więcej wiedzieć, bo tego nie zniosę. Idź i uważaj na siebie - poprosiła z zatroskaną miną i dotknęła jego ust dłonią. - Kocham cię, chociaż ty kochasz inną kobietę, i nigdy nie przestanę cię kochać. Chcę, żebyś o tym wiedział.

Hans Schmidt kiwnął głową, pocałował ją i poszedł do małego pokoju, gdzie stał ekran monitoringu. Upewnił

się, że na zewnątrz jest czysto, i wyszedł. Było trochę po wpół do drugiej, gdy wracał powoli do siebie. Miał już pewien plan.

Czwartek, godz. 13.50

Albertz wrócił do centrali i udał się do Friedmanna i Mullera, którzy nadal oglądali nagrania z kamer hotelowych. Na stole leżały dwa puste kartony po pizzy, dwie butelki po coli i szklanki.

- Ile obejrzelście?

- Dwie kasety, były tam nagrania od siedemnastej wczorajszego dnia aż do północy. Niestety, słabo widać. To znaczy jest nagrany Bernhard, jak siedzi w holu, a potem w barze, idzie do recepcji i później schodzi do garażu. Widać nawet, gdy wsiada do swojego bmw, ale potem nic już nie widać, bo Bernhard ma przyciemniane szyby w samochodzie. Ale uwaga - dwie minuty potem do tego samochodu wsiada jakiś nieznajomy mężczyzna. Siedzą w środku około pięciu minut i potem ten mężczyzna wysiada. Nie da się go rozpoznać, bo nie widać w ogóle jego twarzy. Widocznie wiedział, gdzie są kamery. Problem w tym, że u Bernharda stwierdzono zawał, co rzekomo było przyczyną jego śmierci. Nie zauważono żadnych obrażeń, ran postrzałowych ani działania trucizny. Ale spójrz tu: gdy nieznajomy wysiadł, obszedł auto dookoła i wytarł klamkę drzwi. A to mogłoby wskazywać, że Bernhard być może zginął w wyniku kontaktu z trucizną, która działa po zetknięciu ze skórą i nie pozostawia po sobie śladu. Dlatego nie może zostać wykryta po śmierci.

- Pytaliście o to Jiirgensa?

- Tak. Nawet zdążył już do nas oddzwonić, ale powiedział, że ani we krwi, ani na dłoniach Bernharda nie ma

śladu trucizny. Przeprowadzi jeszcze inne badania, ale na wyniki trzeba czekać kilka dni. Oczywiście dałem mu jasno do zrozumienia, żeby tylko nam udostępnił wyniki swoich badań. Dobrze zrobiłem, prawda?

- Tak, ale mam nadzieję, że inaczej się wyraziłeś, kiedy mu o tym mówiłeś.

- Oczywiście. Powiedziałem mu, że nie wolno mu o tym z nikim rozmawiać i...

- Dobrze już. Wierzę.

- Jestem przekonany, że ten mężczyzna, który wszedł do samochodu Bernharda, jest jego zabójcą. Ten typ jest cwany. Nawet na ujęciach z holu nie widać jego twarzy.

- Okej, dobra robota. Jutro lub pojutrze możecie kontynuować. Teraz mam dla was jednak inne zadanie. Znacie Henninga i Santos. Oboje coraz bardziej wtykają nos w nie swoje sprawy, a ja tego nie zamierzam tolerować, dlatego też macie się nimi zająć.

- Ale jak? - zapytał Muller, patrząc poważnie na Albertza, bo takie zlecenie nie było mu na rękę.

- Nie domyślasz się? Muszą zniknąć z pola widzenia. Dostali już polecenie służbowe wycofania się ze sprawy Bruhnsa i Kleina, ale prowadzą ją dalej na własną rękę. Prędzej czy później mogą trafić na nas, a to jest ostatnia rzecz, jakiej byśmy chcieli.

- Mamy ich zlikwidować?

- Oczywiście. To musi jednak wyglądać tak, jak gdyby dostali się w sam środek porachunków między bandami albo jakby załatwił ich nasz zabójca. Pod żadnym pozorem ślady nie mogą prowadzić do nas. Rozumiecie? Każdy z was po wykonaniu zadania dostanie po dwadzieścia tysięcy. Ale nie myślcie, że pójdzie z nimi tak łatwo. Przygotujcie się do tego porządnie. Mam nadzieję, że się na was nie zawiodę.

- Ile mamy na to czasu?

- Najpóźniej do jutrzejszego wieczoru. Nie mogę pozwolić na to, żeby przeszkadzali mi dłużej. Wyraziłem się jasno?

- Tak.

- To ruszcie dupska i jedźcie do komisariatu. Przeprowadźcie śledztwo w sprawie narkotyków i przy okazji wymyślcie coś specjalnego dla waszych kolegów z wydziału zabójstw. Gdybym wpadł na jakiś pomysł, to do was zadzwonię. Zanim jednak sami coś zrobicie, skontaktujcie się ze mną. Chcę wiedzieć o każdym waszym kroku.

- Jeszcze coś?

- Nie. Możecie już iść. Ale pamiętajcie, chcę wiedzieć o każdej akcji. I zabierzcie ze sobą ten śmietnik - rzucił ostro i wskazał na pudełka po pizzy i puste butelki, po czym odwrócił się i wyszedł. Był wściekły.

Tego dnia Albertz wcześniej pojechał do domu. Po drodze zatrzymał się i kupił duży bukiet czerwonych róż z przybraniem. Ostatnio zaniedbał trochę Robertę, a że zdawał sobie sprawę, jakim temperamentem obdarzyła ją natura, nie chciał ryzykować, że prędzej czy później znajdzie sobie jakiegoś kochanka. Gdyby jednak tak się stało, zadbałby o to, aby zapłaciła za zdradę. Już nieraz, nawet bardzo często, musiał przemawiać jej do rozsądku siłą. W ten sposób zrozumiała, że ma mu być bezwarunkowo posłuszna. Przywiózł ją z Brazylii i zaoferował życie w luksusie, jednak w zamian oczekiwał, że będzie mu się odwdzięczała. Gdyby nie chciała poddać się jego woli, zmusiłby ją do tego. Albertz nie należał do mięczaków, którzy w domu pozwalają żonie nosić spodnie, a w pracy zgrywają twardzieli. On zawsze i wszędzie był twardy i nie uznawał kompromisów. Gdy jednak dostawał to, czego oczekiwał, potrafił być bardzo hojny i wspaniałomyślny.

Gdy skręcił w aleję Bismarcka, zauważył po drugiej stronie ulicy znajomą mu twarz. Był to Hans Schmidt,

który szedł spokojnie wzdłuż chodnika z pochyloną głową. Wyglądał na bardzo zamyślonego. Nie zauważył Albertza aż do momentu, gdy ten podjechał blisko i otworzywszy szybę, zawołał:

- Dzień dobry, panie Schmidt! - Mówiąc to, uśmiechnął się szeroko, chociaż nie znosił tego niepozornego i, jego zdaniem, ograniczonego mężczyzny. Mimo że Schmidt był właścicielem trzech restauracji i wszystkie one wymienione zostały w przewodnikach Michelina i Gault Millau, to Albertz widział w nim ciągle bezbarwnego księgowego. I chociaż odwiedził dwie z jego restauracji, to nigdy nie udało mu się tam spotkać Schmidta. Widywał tam kierowników i kucharzy, ale nigdy właściciela, bo ten zwykł trzymać się na uboczu na wszelkich przyjęciach. Schmidt sprawiał wrażenie, jakby był ciągle zamyślony. Nie wyglądał na człowieka, który twardo stąpa po ziemi i był stale bardzo zajęty. Jednak było coś, co Albertz w nim podziwiał, a mianowicie zadziwiająca umiejętność, dzięki której Schmidt dochodził autentyczności starych druków. To była jedyna rzecz, której Albertz mu zazdrościł. W centrum miasta, wśród tłumów, nawet nie zwróciłby uwagi na jego twarz, ale tu, na pustej ulicy, wprost nie dało się nie zauważyć tego bezbarwnego mola książkowego.

Hans Schmidt podniósł przestraszony głowę i spojrzał na Albertza.

- Witam. Przepraszam, zamyśliłem się. Co u pana słyszę? - zapytał z lekkim uśmiechem.

- Dziękuję, w porządku. A u pana?

- Nie mogę narzekać - odrzekł Schmidt cicho, prawie że nieśmiało.

- Skoro już się widzimy, to może umówilibyśmy się na spotkanie, tak niezobowiązująco, bo o ile pamiętam, wspominał pan w sobotę, że miałby coś dla mnie. Niestety, nie zdradził mi pan, co to takiego.

- Bardzo chętnie - odpowiedział Schmidt i pochylając się w stronę auta, wyszeptał: - Nie chciałem w sobotę o tym rozmawiać, bo wokoło było za dużo ludzi. Rozumie pan. Mam książkę Swifta z przypisami, oczywiście gwarantuję, że jest oryginalna. Jak ją zobaczyłem, od razu pomyślałem o panu, bo już trzy czy nawet cztery lata temu pytał mnie pan o *The travels into several remote nations of the world by Lemuel Gulliver*, czyli *Podróże Guliwera*. Otrzymałem ją właśnie ostatnio od jednego klienta z Edynburga. Książka pochodzi z tysiąc siedemset dwudziestego szóstego roku i jest pierwszym wydaniem. Na wielu stronach Swift dodał odręczne notatki, które już w następnych wydaniach zostały pominięte. Jest w znakomitym stanie, zielona skórzana oprawa w ogóle nie wskazuje na jej wiek. Jak powiedział mi poprzedni właściciel, jest ona w jego rodzinie od dwustu pięćdziesięciu lat i zawsze obchodzono się z nią jak ze skarbem. Pochodzenie tej książki można niemal ocenić węchem. Jest w doskonałym stanie, choć ma ponad dwieście osiemdziesiąt lat.

- *Quanta costa?* - zapytał Albertz z lekkim uśmiechem, gdyż wywęszył okazję.

- Nie jest tania, o czym z pewnością pan wie, ale jej właściciel ma kłopoty finansowe i dlatego jest gotów się targować. Oczywiście jest dolna granica ceny, poniżej której nie wolno mi zejść, ale może pomówimy o szczegółach innym razem, bo teraz nie chcę już pana dłużej zatrzymywać.

- Nie, nie. Nie zatrzymuje mnie pan. Zresztą wie pan, że już od dawna poluję na tę pozycję. Czy może przypadkiem ma pan tę książkę przy sobie? - zapytał Albertz z ciekawością. Jego oczy zabłyśły, co Schmidt widział już u niego kilkakrotnie, nigdy jednak aż tak jak teraz.

- Musiałbym wyjąć ją z sejfu. To potrwałoby pół godziny.

- Dobrze. Zapraszam w takim razie do mnie za pół godziny. Powiem żonie, żeby podała nam kawę i ciasto. Będzie okazja spokojnie obejrzyć to dzieło.

- Na pewno nie będzie pan żałował. Będę za pół godziny. Mam również drugą książkę Swifta od mojego klienta. *A Modest Proposal*, czy ona również by pana interesowała?

- Naturalnie! - krzyknął Albertz. - Czy to również oryginał?

- Panie Albertz, ja sprzedaję tylko oryginały. Osobiście uważam, że *A Modest Proposal* jest nawet cenniejsza, ale to już pan sam zobaczy, w końcu zna się pan tym doskonale.

- Proszę przynieść obie. Jestem bardzo ciekawy.

Schmidt poszedł do domu. Włożył dwie dobrze zapakowane książki do brązowej skórzanej teczki, którą podarowała mu kiedyś na urodziny Sarah Schumann. Była to dla niego bardzo wartościowa rzecz i dlatego też wyjątkowo o nią dbał.

Począł kilka minut, po czym skropił wodą kolońską. Używał tego zapachu, aby wtopić się w tłum i niczym się nie wyróżniać. Przeczesał włosy, poprawił broń i włożył kurtkę, po czym wyszedł do Albertza. To będzie ich ostatnie spotkanie, a z pewnością ostatni dzień, ostatnie godziny, a nawet minuty Albertza.

Czwartek, godz. 13.55

Sóren Henning i Lisa Santos spędzili w restauracji dwie godziny. Po obiedzie rozmawiali o Albertzie, Sarah Schumann i telefonie od profesora Jurgensa i próbowali znaleźć odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Bezskutecznie

szukali czegoś, co łączyło wszystkie te sprawy, od których w zasadzie zostali już odsunięci.

Lisa Santos znów poczuła się lepiej. Po posiłku jej chwilowe złe samopoczucie minęło.

Restaurację opuścili około pierwszej trzydzieści i udali się w okolice ronda przy alei Bismarcka. Zaparkowali w takim miejscu, z którego mogli obserwować budynki usytuowane wokół ronda, a przede wszystkim mieli dobry widok na dojazd i bramę przy domu Albertza. Po kilku minutach stwierdzili, że Albertza zapewne nie ma jeszcze w domu, więc pojedą najpierw na komendę do Harmsa, a potem tu wrócą.

Harmsa nie było jednak w biurze i nikt nie umiał im powiedzieć, gdzie się podziewa. Na biurku panował porządek, a okno było zamknięte, więc oboje pomyśleli, że pojechał do swojej umierającej żony i już dziś nie wróci do biura. Nie chcieli do niego dzwonić, ponieważ uważali, że ma wystarczająco dużo zmartwień.

- Damy radę bez niego - stwierdziła Santos. - Myśleliśmy, że się zmienił, a on w tym czasie musiał przygotować się na śmierć żony. To musi być straszne.

- Nawet nie chcę o tym myśleć. Boję się takich rzeczy.

- Boisz się śmierci? Jeszcze nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Sam nie wiem. Chyba nie boję się samej śmierci, ale umierania. Nie chciałbym, żeby to trwało. Wolałbym raczej szybką śmierć. Cholera, porozmawiajmy o czymś innym. I tak jestem wykończony i nerwowo już nie wytrzymuję.

- Wcześniej ja miałam słabszą chwilę, a teraz czas na ciebie...

- Już mi przeszło. Razem jesteśmy silni, prawda?

- Jasne. Mam pomysł. Co powiesz na to, żebyśmy zajmowali się tą sprawą aż do weekendu, ale jeżeli w tym czasie nie posuniemy się w śledztwie ani krok dalej, to zrezygnujemy?

- Sam chciałem ci to zaproponować. Ale jak Harms powiedział nam o swojej żonie, coś mi się stało. Ścięło mnie to z nóg i już o tym nie myślałem.

- Mnie też. Zróbmy po prostu to, co do nas należy. Skupmy się na pracy i nie myślmy o innych sprawach. Kiedy jedziemy do Düsternbrook?

- O czwartej? Wpół do piątej? Wcześniej pewnie nie będzie go w domu.

- To może pojedźmy jeszcze do Klausa? - zaproponowała Santos.

- Przecież nie zechce z nami rozmawiać.

- A może jednak? Warto spróbować.

- Dobrze. Jedźmy, tu i tak nie mamy co robić, a papierkową robotę załatwimy w przyszłym tygodniu.

Gdy na salę weszli Santos i Henning, Jürgens przeprowadza! akurat sekcję jakiegoś młodego mężczyzny. Tylko uniósł głowę i gdy ich zobaczył, odwrócił się z powrotem w stronę otwartego torsu, z którego wyjęto większość narządów leżących teraz w kilku miskach. Na tablicy Jürgens zapisał wagę poszczególnych narządów: płuc, wątroby, serca, nerek i mózgu.

- Czego chcecie? - zapytał, nie patrząc na nich.

- Nic. Przyszliśmy złożyć ci przyjacielską wizytę - powiedziała Santos, stając przed Jürgensem. - Nikt nam nie przeszkodzi?

- Na pewno nie on, bo odkąd tu jestem, jeszcze nie powiedział ani słowa.

- To Bernhard Freier? - zapytał Henning.

- A gdyby nawet?

- Co cię ugryzło? - zapytała Santos. - Nie masz powodu, żeby się tak wściekać.

Jurgens odłożył swoje instrumenty i odwrócił się do nich.

- Tak myślicie, ale się mylicie. Znów miałem miłą rozmowę telefoniczną z naszą służbą bezpieczeństwa. Zadzwoił do mnie ktoś, kto już w przeszłości był u mnie kilkakrotnie, i powiedział, że wyniki badań mam przekazać tylko im.

- Kim oni są? Znasz ich?

Jurgens spuścił wzrok i delikatnie kiwnął głową.

- Tak. Te dupki działają na dwa fronty. Pracują dla Federalnej Policji Kryminalnej oraz dla służby bezpieczeństwa. I powiem wam, że nie mam ochoty na kontakty z nimi.

- Chodzi o Friedmanna i Mullera? - zgadła Santos.

- Skąd wiecie...

- Wiemy więcej, niż przypuszczasz. Tych dwóch jest bardzo niebezpiecznych, ale nam możesz zaufać. To, o czym tu rozmawiamy, zostanie między nami. Słowo honoru. Czy znalazłeś coś podejrzanego u Bernharda Freiera?

- Jak dotąd nic. Chociaż wstępnie stwierdzono zawał, to przypuszczam, że przyczyna zgonu była inna. Podejrzewam nawet, że użyto trucizny, która po chwili jest już nie do wykrycia. Innego wytłumaczenia nie mam.

- Są jakieś ślady ukłucia? - zapyta! Henning.

- Nie. Sprawdziłem każdy milimetr jego ciała. Nie ma śladu po ukłuciu, dlatego uważam, że albo przyjął truciznę doustnie, albo też trucizna przeniknęła przez skórę. Jest mnóstwo rodzajów takich trucizn, które mają bardzo silne działanie, ale te chemiczne związki szybko się rozkładają i dlatego bardzo trudno jest je później wykryć. Moim zdaniem tak właśnie było w tym wypadku, ale z tego względu, że nie ma najmniejszych śladów trucizny, za przyczynę zgonu uzna się pewnie zawał.

- Jaki on był? Mówiłeś, że go znałeś - chciał wiedzieć Henning.
- Powiedziałbym tak: wyglądał na miłego i przyjacielskiego, ale przy pierwszym kontakcie od razu można było zauważyć, że to typ spod ciemnej gwiazdy. Takie przynajmniej odnosiłem wrażenie, co oczywiście nie oznacza, że nie dałbym rady się z nim dogadać.
- Czy to nie dziwne, że ludzie ze służby bezpieczeństwa przychodzą prosto do ciebie?
- Też wydaje mi się to dziwne, ale przecież ich stąd nie wyrzucę.
- Czego dotyczyły te sprawy, z którymi przychodził do ciebie?
- Różnie. Jego wizyty dotyczyły ofiar wypadków albo zabójstw, a dwa razy samobójstw. Chociaż, szczerze mówiąc, miałem wątpliwości, czy faktycznie były to samobójstwa. Dwa razy chodziło również o śmierć z przyczyn naturalnych, kiedy to sam chciałem zweryfikować wyniki badań. Zirykowało mnie polecenie, żebym z nikim nie rozmawiał o wynikach badań, ale to nie była prośba, tylko rozkaz.
- Masz jeszcze dokumentację tych wszystkich przypadków?
- Liso, nie obraż się, ale w tej chwili nie mam na to czasu. W ciągu tygodnia przeprowadzam mnóstwo sekcji i mam całą dokumentację, ale nie będę teraz niczego szukał. Może jak już sytuacja się trochę uspokoi... Ostatni raz był u mnie około ośmiu miesięcy temu, a teraz służba bezpieczeństwa wymaga ode mnie wyników badań. Muszę je przekazać jak najszybciej, dlatego z łaski swojej zostawcie mnie już samego.
- Jeszcze jedno: powiedziałeś przez telefon, że znalazłeś to DNA.
- Tak, i właśnie dlatego uważam, że to było morderstwo. Zaczęło się od Bruhnsa, Steinbauer, potem przyszła

kolej na Kleina, a teraz Freier. Wszystkie te morderstwa zostały popełnione przez jednego sprawcę. Wasz morderca zabija na różne sposoby. Powiedziałbym nawet, że posiadał umiejętność stylowego zabijania.

- Stylowego? - odezwała się Santos z odrazą.

- Tak. Stylowego - potwierdził Jiirgens spokojnie. -Możemy wykluczyć Kleina, ale nadal pozostają Bruhns, Steinbauer i Freier. Sprawca ten jest mistrzem w swojej dziedzinie i perfekcyjnie opanował wszelkie sposoby uśmiercania. A teraz przepraszam was bardzo, ale...

- Oczywiście. Dziękujemy, że w ogóle z nami rozmawiałeś.

- Nie ma za co.

- Dlaczego ktoś miałby ujawniać sprawy służby bezpieczeństwa albo zabijać ludzi, którzy tam pracują? Jaki jest motyw takiego działania? - powiedziała Santos w drodze do samochodu.

-Liso, przecież cały czas się nad tym zastanawiamy i powiem jedno: Nie wiemy! Może dowiemy się tego od Albertza, jeżeli uda nam się go jakoś przyprzeć do muru.

- To jedźmy do niego, ale zostawimy włączone ogrzewanie, bo nie mam ochoty odmrozić sobie tyłka. Zasnana pogoda! Albo może poczekajmy jeszcze godzinę? Jest dopiero wpół do trzeciej.

- Dobrze. Pojedziemy trochę później.

Czwartek, godz. 14.35

Hans Schmidt stanął przed bramą Albertza cztery minuty później, niż się umówili, ale było to zamierzone spóźnienie. Na ulicy nikogo nie było. Schmidt nacisnął dzwonek i po chwili brama się otworzyła, jednak nikt nie

zgłosił się do domofonu. Gdy dochodził do drzwi domu, te nagle się otworzyły. Albertz stanął w progu i przywitał Schmidta jowialnym uśmiechem, gdyż oczekiwał go z niecierpliwością.

- Zapraszam do środka. Proszę zaprezentować mi swoje skarby albo lepiej, że tak powiem, proszę otworzyć swoją szkatułę ze skarbami - powiedział, wskazując na teczkę Schmidta.

- Przepraszam za spóźnienie, ale stałem na światłach na kilku skrzyżowaniach.

- Panie Schmidt, nawet tego nie zauważyłem. Naprawdę nic się nie stało. Czasami też mam takie dni, że stoję na każdym światłach. Po prostu pech, i tyle. Nie da rady czasem przejechać - powiedział przymilnie Albertz, myśląc: Co za dupek. Powinien pracować jako księgowy. Nawet nie chcę myśleć, jak jest u niego w domu. Zapewne prasuje slipki i skarpetki albo każe je prasować. - Wejdzie pan dalej, zna już pan przecież drogę. Może przejdziemy tam, gdzie drogocenne książki czują się najlepiej, czyli do biblioteki.

Schmidt zauważył Robertę, która krzątała się w kuchni. Pomyślał, że faktycznie jest bardzo kobieca, chociaż osobiście gustował w innych. Robercie brakowało elegancji i delikatności, którą miały Sarah i Maria. Poza tym Schmidt uważał, że Roberta była głośna, może nawet odrobinę ordynarna, chociaż mógł się mylić w swojej ocenie, ponieważ w przeszłości poznał już kilka Brazylijek i stwierdził, że wygląd i pierwsze wrażenie były bardzo mylące. Po bliższym poznaniu okazywało się, że były bardzo uczuciowe, pełne ciepła i delikatne. Może Roberta również taka jest? - pomyślał, zerkając na nią.

- Proszę usiąść - powiedział Albertz, wskazując na dziewiętnastowieczny zestaw drewnianych mebli. - Zona poda nam zaraz kawę.

- Bardzo dziękuję za kawę. Nie czuję się po niej najlepiej, ale jeżeli mógłbym prosić, to z chęcią napiłbym się wody lub herbaty miętowej. Jeżeli to nie problem oczywiście.

- Żaden problem. Mamy również wodę i herbatę. Chwileczkę.

Albertz wyszedł z pokoju i po chwili wrócił.

- Zona zaraz przyjdzie, tylko zaparzy panu miętową herbatę. Coś jeszcze mogę dla pana zrobić, zanim przejdziemy do bardziej interesującej części naszego spotkania?

- Nie, dziękuję. Nie chciałbym zabierać panu za dużo czasu - odparł Schmidt i sięgnął po swoją teczkę. Otwierał ją powoli i ostrożnie, jakby trzymał w niej świętego Graala.

Roberta zapukała do drzwi, po czym weszła. Na srebrnej tacy wniosła do pokoju dzbanuszek z kawą, drugi z herbatą, dwie filiżanki i ciasto. Przywitała się grzecznie ze Schmidtem i postawiła wszystko na stole. Chciała już wyjść z tacą, gdy Albertz ją zatrzymał.

- Kochanie, nie chciałbym, żeby ktoś nam przeszkadzał, więc gdyby był jakiś telefon, to przekaz, że oddzwonię później. Dobrze?

- Tak, oczywiście.

Wychodząc, bardzo cicho i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi, zupełnie jakby Albertz tak jej kazał. Roberta bała się swojego męża i Schmidt zauważył to od razu, przy jego poprzedniej wizycie w tym domu, zaraz po ich ślubie. Schmidt znalazł już wcześniej takie małżeństwa, w których młode, piękne kobiety bały się swoich mężów i zamykane były przez nich w domu, niczym w złotych klatkach. Sarah Schumann też kiedyś przeżywała podobne piekło.

- Ma pan bardzo miłą żonę - powiedział Schmidt, nie patrząc na Albertza.

- Tak, nie mogę narzekać. A więc co ma pan dla mnie? Jestem bardzo ciekawy.

- Jak już mówiłem, dzieła Jonathana Swifta: *Podróż Guliwera* oraz *A Modest Proposal*.

- Interesowałem się twórczością Swifta i uważam, że jest fascynujący. Niech pan już nie buduje dłużej takiego napięcia. Chciałbym w końcu zobaczyć te skarby, bo wierzę, że dogadamy się w sprawie ceny.

- Jak pan sobie życzy, panie Albertz - powiedział Schmidt i otworzywszy teczkę, wyjął z niej owiniętą w papier książkę, którą położył na stole, mówiąc: - *Podróż Guliwera*. Proszę ostrożnie ją rozpakować, bo jest drogocenna.

Albertz zaczął powoli rozpakowywać książkę, jakby dotykał najprawdziwszego skarbu. Pochłonięty zdejmowaniem papieru nawet nie zauważył, kiedy Schmidt wyjął pistolet z tłumikiem. Albertz, nadal patrząc na książkę, ze spuszczonego wzrokiem i zmarszczonym czołem powiedział:

- Chyba się pan pomylił...

- Nie. To pan się pomylił - rzucił Schmidt ostro, trzymając w dłoni skierowany w Alberta pistolet.

W jednej chwili Albertz zauważył broń. Oparłszy się o krzesło, zapytał, mrużąc oczy:

- Co to ma znaczyć? Czego pan ode mnie chce? Lepiej niech pan odłoży ten pistolet, panie Schmidt.

- Niestety, tak się nie stanie. Może pozwoli pan, że się przedstawię. Hans Schmidt, od dwudziestu czterech lat wykonuję pańskie zlecenia...

- Żartuje pan sobie ze mnie - wymamrotał Albertz. W ciągu zaledwie kilku sekund jego pewność siebie nagle zniknęła.

- Nie. Absolutnie nie. Panie Albertz, popełnił pan wielki błąd, napastując panią Schumann. To był jednak pański ostatni błąd. Ostrzegam! Jeden fałszywy ruch, a dwie kulki trafią w pańską głowę i klatkę piersiową. A teraz proszę mnie uważnie posłuchać. Ja...

- Chwileczkę. Chwileczkę. Trochę się pogubiłem. Więc to pan jest naszym człowiekiem do zadań specjalnych? Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Jestem niezłym aktorem. Zawsze gdy jestem w Kilonii, udaję nieśmiałego i jak się okazuje, między innymi również pan w to uwierzył. Nigdy by pan nawet nie przypuszczał, że mógłbym być płatnym mordercą. Ale ja również przyznam, że nigdy nie sądziłem, że pan mógłby być głową organizacji. Zawsze byłem przekonany, że to Freier podejmował decyzje. Freier i jeszcze jedna osoba, którą zamierzałem dziś zabić, do czasu gdy pani Schumann opowiedziała mi wczoraj o panu. Proszę mi wierzyć, że gorzko pożałuje pan swoich czynów...

- Panie Schmidt, ja mogę wszystko wyjaśnić...

- Nie chcę słuchać żadnych wyjaśnień. Od tej chwili to ja mówię, a pan tylko słucha. Potem będzie pan mógł mówić. Niech się pan nie rusza, nawet o milimetr, bo zapewniam, że jestem szybszy... Do niedawna nie wiedziałem nawet, jakie brudne interesy dla was załatwiałem. Zawsze myślałem, że pracuję w polityce i zajmuję się ciężkimi przypadkami. Spośród wszystkich, których zabiłem, żałuję tylko dwojga, a mianowicie Julianę Cummings i tej młodej dziewczyny, która była wtedy z Manfredem Schumannem, a której imienia nawet nie znam. Ale co się stało, to się nie odstanie. Jednak pół roku temu usłyszałem od pani Schumann niesamowitą historię jej siostry, żony Kleina, i wprost nie mogłem w to uwierzyć. Pan z pewnością zna tego przekłętą sadystę Kleina. W poniedziałek wziąłem udział w jednej z jego aukcji, oczywiście byłem w przebraniu i podałem fałszywe dane. Nigdy nie zapomnę tego, co Klein zrobił z pewną dziewczyną z Ukrainy. Ponieważ nie chciała go słuchać, pobił ją prawie na śmierć, by potem poderżnąć jej gardło. Na tej aukcji, niczym bydło, sprzedawano dziewczęta w wieku od szesnastu do dwudziestu lat.

Później jeden z klientów zapytał, czy Klein mógłby załatwić mu delikatne i świeże mięso. Chyba nie muszę panu mówić, co miał na myśli. Z pewnością wie pan również, jaka była odpowiedź Kleina. Pan zna ten interes na wskroś i wie, że jest mnóstwo perwersyjnych gości, którzy najchętniej włożyliby swoje przeklęte kutasy w małe dzieci. Musiałem na własne oczy zobaczyć, czy to, co opowiedziała mi pani Schumann, jest prawdą. Niestety, jest... Ale wracając do historii Sarah. Opowiedziała mi o Kleinie i jej dziewięcioletniej siostrzenicy o pięknym imieniu Jaśmin. Klein, jako jej ojczym, ciągał ją ze sobą na aukcje, nakładał jej kajdanki i obrozę i przykuwał do kaloryfera. Tak uwiązana musiała patrzeć, jak jej ojczym sprzedawał dzieci, nastolatki i kobiety. Ta niewinna dziewięcioletnia dziewczynka była świadkiem takiego samego zła jak ja. Na jej oczach Klein z wielkim okrucieństwem zabijał młode kobiety. Gdy jej matka, której Klein groził niejednokrotnie śmiercią, nie mówiąc o licznych gwałtach i maltretowaniu, dowiedziała się o tym, załamała się psychicznie. Na początku lat dziewięćdziesiątych Klein rozwiódł się i przyjechał do Kilonii. Oczywiście nie obeszło się bez grózb z jego strony, bo w taki właśnie sposób wymusił na nich milczenie. Matka Jaśmin została alkoholiczką i rok temu zmarła na marskość wątroby. Nigdy nie rozmawiała z Sarah o tym, przez co przeszła, dlatego że za bardzo się bała. Jednak krótko przed śmiercią opisała ze wszystkimi szczegółami, co działo się z nią i jej córką w latach 1985-1990... Jaśmin od piętnastego roku życia wędruje od jednego psychiatry do drugiego. Jest uzależniona od narkotyków i nie odróżnia fikcji od rzeczywistości. Wielokrotnie próbowała popełnić samobójstwo, ponieważ w wyniku traumatycznych przeżyć z dzieciństwa cierpi na rozdwojenie jaźni. Nigdy już nie będzie prowadzić normalnego życia. Skończyła trzydzieści lat, ale jest jakby martwa. Jej życie to narkotyki, alkohol

i leki psychiatryczne. Po tym, co usłyszałem, postanowiłem dowiedzieć się, czym teraz zajmuje się Klein, i okazało się, że jako właściciel dużej firmy spedycyjnej przywozi do kraju ludzi, aby mogli być przez innych gwałceni i zabijani. To wszystko dzieje się przy akceptacji służby bezpieczeństwa. Ja jednak uważam, że tak naprawdę pan zbudował organizację wewnątrz organizacji i w ten właśnie sposób się to kręci. Służba bezpieczeństwa oficjalnie nie daje na to przyzwolenia, jednak działając dla nich, pan tak to zorganizował, jakby faktycznie tak było. Muszę przyznać, że robi to wrażenie, i to jest mój jedyny komplement pod pana adresem. Bardzo sprytnie. Wszystko inne budzi jednak we mnie tylko odrazę. Do pańskich pracowników należeli między innymi Bruhns i Steinbauer, Klein i Freier. Nieźle się pan musiał dorobić na tym całym interesie, bo przeciętny pracownik służby bezpieczeństwa nigdy by sobie nie mógł pozwolić na taką wille. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że likwidując tych kilka osób, pokrzyżowałem wam trochę szyki, ale zastanawia mnie tylko, co zrobią inni, gdy pana zabraknie? - Schmidt uśmiechnął się szyderczo.

- Trochę się pan pomylił. Poza tym, kto dał panu prawo oceniania mnie, skoro sam pan wysłał na tamten świat niejednego?

- Uważam, że mam takie prawo, bo oprócz Julianę Cummings i tej dziewczynki, która była z Manfredem Schumannem, wszystkie moje ofiary zasłużyły sobie na śmierć. Wszystkie pośrednio lub bezpośrednio były uwikłane w morderstwa lub też prowadziły brudne interesy. Mam nadzieję, że trafia już do pana, że tym razem nie znajdzie pan ucieczki. To koniec.

- Jeżeli mnie pan zabije, to gwarantuję, że będą pana ścigać do końca świata. Nie zazna pan spokoju i będzie żył w wiecznym strachu, że w końcu przyjdzie ktoś, kto pana zlikwiduje. Ja się nie boję śmierci, ale... - Tym słowom

Albertza przeczył jednak pot roszący jego czoło, będący jednoznacznym sygnałem, że Albertz panicznie boi się śmierci.

- Tak? To dlaczego pan się tak poci? Nieraz już obserwowałem ludzi na krótko przed śmiercią i naprawdę potrafię rozpoznać, czy ktoś się boi, czy nie. Oczywiście zdarza się, że są ludzie, którzy potrafią pogodzić się z losem, bo zdają sobie sprawę z tego, że sami wyrządzili innym krzywdę. Większość moich ofiar jednak wpada w panikę i wtedy poci się tak jak pan teraz. Dlatego też proszę nie opowiadać bajek, że się pan nie boi.

- Okej, przyznaję, że się boję. Jak moglibyśmy znaleźć rozwiązanie tego problemu, tak byśmy obaj byli zadowoleni? Pieniądze?

- Hm. Muszę przyznać, że dzięki waszym sowitym zapłatom za moje usługi mam wystarczająco dużo pieniędzy i nie jestem już od nich uzależniony. A co do pańskiej groźby, że będą mnie szukać, pozwolę sobie włożyć to między bajki. Ale zadam panu pytanie i od tego zależy, czy zostawię pana przy życiu, czy też nie. Czy jest pan szefem organizacji? Jeżeli nie, to proszę podać mi jego nazwisko.

Myśli kłębiły się w tej chwili w głowie Albertza, aż pot spływał mu po twarzy. Zwykle trzymał wszystko pod kontrolą, jednak teraz miał przed sobą trudnego wroga. Przełknął z wysiłkiem ślinę.

- Czy mogę się napić whisky? - zapytał.

- Nie. Najpierw odpowiedź na moje pytanie. Powinien pan się przyzwyczać do tego, że teraz ja tu rządę. Więc jest pan szefem czy nie? Jeżeli nie, to chcę usłyszeć nazwisko.

- A może mógłbym zapalić?

- Nie ma mowy. Liczę do dziesięciu. W razie braku odpowiedzi przestrzelę panu kolano. Będzie to podobny ból, jaki odczuwała Sarah Schumann, gdy ścisnął jej pan

pierś, a potwornie cierpiała. Wie pan o tym? Oczywiście, że tak. Doskonale pan wie, jak przy najmniejszym wysiłku sprawić ludziom jak największe cierpienia. Tego przecież uczą w służbie bezpieczeństwa. A teraz zaczynam liczyć...

- Chwileczkę. Będę współpracował. Nie jestem szefem organizacji, tylko wykonawcą poleceń. Mam swoich przełożonych -wykrztusił wreszcie.

- Kto to taki?

- Co pan zrobi, gdy podam panu te nazwiska?

- A jak pan myśli?

- Zastrzeli pan mnie i moją żonę, bo przecież ona wie, że pan tu jest.

- Nie. Nie zastrzele pana. Tylko szybciej, bo nie mam czasu.

- Szefem na północną część Niemiec jest Riiter, a jego ojciec kieruje wszystkim z Berlina. Jak się dowiedzą, to mnie zabiją...

- Albo ja ich. Prokurator Riiter. To brzmi logicznie i nawet wierzę, że mówi pan prawdę. Właściwie to zamierzałem go dziś rano zabić. Proszę mi jeszcze opowiedzieć o komisarzu Henningu i jego uroczej koleżance Lisie Santos. Zna ich pan, prawda?

- Skąd pan wie...

- Zadzwoiłem do nich kilka razy, żeby naprowadzić ich na miejsca zbrodni. Oczywiście nie wiedzą, kim jestem, ale ręczę, że są najlepszymi policjantami, przynajmniej jeżeli chodzi o prowadzenie śledztwa. Byli dziś rano u pani Schumann, żeby zadać jej kilka pytań. Wiedział pan o tym?

Albertz patrzył na Schmidta, mrugając oczyma, po czym pokręcił głową, nic nie mówiąc.

- Niech pan nie kłamie. Koniec tych gier. Sarah mówiła mi, że opowiedziała panu o tym. Podejrzewam nawet, że nasłał pan na nich swoich ludzi albo przynajmniej

*

zamierzał pan to zrobić. Niech pan mnie poprawi, jeżeli się mylę, ale nie uwierzę, że mógłby ich pan zostawić w spokoju.

- Mój Boże, cóż innego mogłem zrobić? Henning i Santos dostali od Riitera rozkaz zaprzestania prowadzenia śledztwa, mimo to dalej je prowadzą na własną rękę i dlatego stali się dla nas zagrożeniem...

- Czyli że już posiał pan do nich swoich ludzi? Już nie żyją?

- Nie. Przed akcją poleciłem im skontaktować się ze mną, żebym mógł wyrazić zgodę na działanie. Dałem im czas do jutrzejszego wieczora - wydusił z siebie Albertz drżącym głosem. Dla Schmidta była nawet zabawna sytuacja, w której Albertz za wszelką cenę próbował ująć z tego wszystkiego z życiem.

- Dobrze. Nazwiska?

- Komisarze Friedmann i Muller. Pracują w wydziale narkotyków w Federalnej Policji Kryminalnej.

- Nie przypuszczałem, że będzie pan taki skory do współpracy - powiedział Schmidt z uznaniem. - Byłem przygotowany na to, że spróbuje mnie pan oszukać, ale czapki z głów, docenię pańską prawdomówność. Oczywiście pod warunkiem że mówi mi pan prawdę, bo chyba tak jest?

- Tak, do cholery! Myśli pan, że kłamałbym w takiej sytuacji?

- No dobrze. Ma pan przy sobie komórkę?

- Tak.

- Proszę zadzwonić do Mullera i Friedmanna i powiedzieć im, żeby byli dziś o dziewiątej w domu Kleina w Mönkebergu. Santos i Henning też tam będą.

- Ale jak mam im to wyjaśnić, przecież będą pytać?

- Niech pan im powie, że zadzwonił pan do nich. Na żadne inne pytania proszę nie odpowiadać.

- Dobrze. Friedmann i Muller mają przyjechać do Mönkebergu do domu Kleina o dziewiątej.

- Zna pan osobiście Henninga i Santos? Albo zapytam inaczej; czy ostatnio miał pan z nimi do czynienia?

Albertz zagryzł dolną wargę. Spojrzał na Schmidta, ale nie wytrzymał i spuścił wzrok. Nie odezwał się jednak.

- Rozumiem. Oczywiście, że ich pan zna. Riiter opowiedział panu o nich, więc skontaktował się pan z nimi, żeby sprawdzić, jak daleko doszli w swoim śledztwie. Niech pan patrzy mi w oczy. Mam rację?

- Tak.

- Perfidna gra. Dla własnych celów jest pan nawet gotów poświęcić dwoje niewinnych policjantów... Zadzwoń pan teraz do Friedmanna i Mullera, a potem do Henninga i Santos. Ale ostrzegam, wystarczy słowo i już pan nie żyje. Niech pan się zachowuje normalnie, żeby nie poznali po pańskim głosie, co się dzieje.

Albertz sięgnął do marynarki po telefon i wybrał numer do Friedmanna.

- To ja, Karl. Bądźcie dziś w domu Kleina w Mönkebergu o dziewiątej. Wasz cel też tam będzie. Ściągnę ich tam pod fałszywym pretekstem. Już do nich dzwoniłem, więc wszystko załatwione. Tylko załatwcie to szybko i bez problemów i przede wszystkim nie zostawcie żadnych śladów. Mam nadzieję, że mogę na was polegać... Nie, powiedziałem im, żeby z nikim o tym nie rozmawiali... Nie zadawaj głupich pytań! Macie tam po prostu być i zrobić swoje! Do zobaczenia jutro.

Albertz rozłączył się i położył telefon na stole.

- To jeszcze nie wszystko. Teraz Henning i Santos. Szybciutko.

Albertz zadzwonił do Santos.

- Witam, tu Albertz. Czy możemy się spotkać dziś wieczorem? Mam dla was jeszcze kilka informacji... W domu

Kleina w Mönkenbergu o dziewiątej... Tak. Liczę na pań! stwa dyskrecję... Dobrze. Do zobaczenia. Tym razem schował telefon do kieszeni koszuli. - Zadowolony? - zapytał zmęczonym głosem, zupełnie jakby już całkiem zrezygnował z walki.

- Jeszcze niezupełnie. Przypuśćmy, że pan umrze. Kto odziedziczy to wszystko? Pańska żona?

- Tak, ale...

- Więcej nie potrzebuję wiedzieć. Zaraz sobie pójdę, jednak wcześniej muszę jeszcze coś wyznać. Trochę pana wcześniej oszukałem. Nie miałem zamiaru zostawiać pana przy życiu, bo stanowi pan zagrożenie dla ludzi. Zdaje pan sobie z tego sprawę? I nie jest mi nawet w najmniejszym stopniu pana żal...

- Hej, chwileczkę - wymamrotał Albertz z przerażeniem w oczach. - Nie chcę jeszcze umierać. Moja żona jest w ciąży i...

- Inni też nie chcieli umierać, ale i tak pan ich zabijał albo też kazał innym to zrobić. Nie widzę najmniejszego powodu, dla którego miałby pan dalej żyć. Ani jednego. To już koniec. *Boa noite, senhor Albertz.*

Albertz chciał krzyknąć, ale zanim wydobył z siebie choćby słowo, padły ledwo słyszalne strzały. Jeden pocisk trafił go w klatkę piersiową, drugi w czoło. Śmierć nastąpiła błyskawicznie. Schmidt spojrział jeszcze ostatni raz w jego kierunku, po czym spakował swoje rzeczy i wyszedł z pokoju. W salonie siedziała Roberta Albertz i oglądała w telewizji serial o rozprawach sądowych. Odwróciła się w stronę Schmidta, gdy ten wszedł do pokoju.

- Pani Albertz - powiedział Schmidt, zbliżając się do niej. - Przykro mi, ale właśnie zastrzeliłem pani męża.

- Co?! - zapytała zdumiona i nienaturalnie szeroko otworzyła oczy. - Oszalał pan? Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo!

- A jednak to prawda. Tak musiało się stać...

- Dlaczego? Co on zrobił?! - krzyknęła i chciała wstać, jednak Schmidt skierował pistolet w jej stronę i spokojnie poprosił, żeby nie ruszała się z miejsca.

- Proszę się uspokoić, a nic się pani nie stanie. Pani mąż był groźnym przestępcą i miał mnóstwo ludzi na sumieniu. Musiałem go zabić, bo z pewnością by na tym nie poprzestał.

- Co on takiego zrobił? Przecież tylko prowadził galerię...

- Nieprawda. Pani mąż pracował dla służby bezpieczeństwa i popełnił mnóstwo przestępstw, za które w innym kraju już dawno by go skazano. Dziś rano w brutalny sposób zgwałcił i pobił moją znajomą. To była jedna z jego specjalności: sprawianie bólu słabszym. Panią pewnie też bił i gwałcił, prawda?

Roberta Albertz przytaknęła.

- Jakich przestępstw się dopuścił? - zapytała cicho.

- Przywoził do kraju dzieci, nastolatki i kobiety dla swoich partnerów biznesowych. Ci kupowali je od niego i mogli bezkarnie się nad nimi znęcać. Byłem w poniedziałek na jednej z takich aukcji, którą prowadził jego kolega. Na moich oczach zamordował on w okrutny sposób młodą kobietę - wyjaśniał Schmidt spokojnie.

- Tego już za wiele... Jak mam wierzyć, że pan mówi prawdę? Przecież mój mąż nie był mordercą. To prawda, że mnie bił, ale robił to od samego początku i...

- Na pewno pani również groził, że ją zabije, gdyby chciała pani od niego odejść bądź powiedzieć komukolwiek o tym, co się tu działo. Mam rację?

- Tak.

- I tak trwała pani przy nim, bo się go pani bała?

- Tak.

- Teraz jest już pani wolna. Powinna sobie pani to uświadomić i dobrze to wykorzystać! Niech pani zadzwoni na policję, ale dopiero po dziewiątej wieczorem. Proszę powiedzieć, że mąż spotkał się dzisiaj z jakimś swoim partnerem biznesowym, jednak nie widziała go pani, bo poszła się pani położyć. Gdy obudziła się pani około dziewiątej, zeszła pani na dół i wtedy zobaczyła męża w bibliotece. Zrozumiała pani?

- Tak - odparła ze strachem.

- Gdyby powiedziała pani o mnie policji, powinna pani wiedzieć, że nie zawaham się wrócić i pani zabić. Niech pani teraz powtórzy, co powiedziałem.

- Mam zadzwonić na policję o dwudziestej pierwszej i powiedzieć, że mój mąż nie żyje. Miał po południu spotkanie w interesach, ale nie wiem, z kim się spotkał, bo poszłam wcześniej spać. Źle się czułam. Jestem w ciąży i jest mi wciąż niedobrze...

- Dobrze to pani wykombinowała. Policjanci na pewno uwierzą w te informacje o ciąży i złym samopoczuciu. Proszę mówić dalej.

- Gdy wstałam, poszłam na dół, by zajrzeć do męża, i wtedy znalazłam go w bibliotece. Tak dobrze?

- Bardzo dobrze. Do tego czasu nastąpi stężenie pośmiertne i na pewno policja będzie chciała wiedzieć, co robiła pani w chwili śmierci męża. Najlepiej, gdyby zapisała pani sobie wszystko na kartce i nauczyła się tego na pamięć. Wtedy nikt nie będzie pani podejrzewał.

- Mam nadzieję.

- Spokojnie. Pani mąż miał wiele tajemnic i policja dotrze do niejednego świństwa. Ktoś, kogo pani nie zna, zabił pani męża. Z reguły ciężarne kobiety nie zabijają swoich mężów. Tylko proszę nie wspominać nic o przemoc domowej. Byli państwo wzorową parą.

- Lepiej to sobie zapiszę - zgodziła się i sięgnęła po notes. Zapisała sobie dokładnie wszystko to, co powiedział jej Schmidt. Podała mu potem notes, aby sprawdził, czy wszystko się zgadza. Schmidt przytaknął.

- Super. Po takich zeznaniach nie będą pani o nic podejrzewali. Poza tym zauważą, że użyto broni z tłumikiem, a skąd miałyby pani taką mieć? - Schmidt uśmiechnął się. - Tak na marginesie, bardzo dobrze mówi pani po niemiecku. Wyrazy uznania. Jak nauczyła się pani w tak krótkim czasie perfekcyjnie obcego języka?

- Mąż wymagał, żebym opanowała niemiecki w ciągu sześciu miesięcy. Dlatego codziennie, przez cały ten czas, uczyłam się przez osiem do dziesięciu godzin dziennie. Jednak mimo to czasami mąż uważał, że to nie wystarczy i... domyśla się pan na pewno, co się wtedy działo. Pewnie wie pan nawet lepiej niż ja, do czego był zdolny mój mąż. Tak naprawdę to nigdy go nie znałam.

- Możliwe. Ale teraz to się skończyło. Proszę pomyśleć, że wszystko, co posiadał pani mąż, należy teraz do pani. Tak mi przynajmniej powiedział, na krótko przed śmiercią. Z pewnością miał na koncie miliony i może pani teraz prowadzić beztrudne życie.

- Czy to wszystko prawda? Czy mój mąż naprawdę był przestępcą? - zapytała raz jeszcze, bo ponownie ogarnęły ją wątpliwości.

- Daję słowo. Jako znak mojego zaufania pozostawię panią przy życiu. Tylko przypadkiem proszę mnie nie zawieść. Mógłbym oczywiście zabić też panią, ale nie likwiduję niewinnych ludzi, chyba że nie mam wyboru. Chce pani przecież dalej żyć, prawda? Zwłaszcza teraz, gdy jest pani w ciąży.

- Nie zdradzę pana. Przysięgam. Jeżeli to prawda, co pan powiedział o moim mężu, to nawet się cieszę, że już nie żyje. Raptem wiele rzeczy nabrało sensu: ta jego tajemniczość i to, że nigdy nie przedstawiał mi swoich

wspólników po imieniu... Często mnie bił, prawie codziennie, i to z powodu jakichś bzdur. Nawet na krótko przed pana wizytą krzyczał na mnie, bo powiedziałam coś, co powinnam była zachować dla siebie. Wymagał ode mnie absolutnego posłuszeństwa i powtarzał, że wyciągnął mnie z brudnego Manaus i przywiózł do raju, czyli do Niemiec. Zawsze powinnam o tym pamiętać i okazywać mu wdzięczność za to, co dla mnie zrobił.

- Jak go pani poznała?

- W Manaus pracowałam w barze... Był pan może kiedyś w Manaus?

- Tak.

- Karl przychodził do tego baru wiele razy, aż w końcu zaprosił mnie na kolację i zapytał, czy nie chciałabym wyjechać z nim do Niemiec... - Zamknęła na chwilę oczy i mówiła dalej: - Niemcy... Marzyłam o tym. Innym krajem, w którym pragnęłam żyć, były Stany Zjednoczone. Chciałam wyrwać się z Manaus, mimo że musiałabym opuścić rodzinę i wyjechać do któregoś z tych dwóch miejsc. Cóż, byłam młoda...

- Nadal jest pani młoda. Może pani jeździć do rodziny, kiedy tylko pani zechce, bo pieniędzy ma pani pod dostatkiem.

- Tak, racja. On nie był dobrym człowiekiem. Zmuszał mnie do rzeczy, których nigdy bym nie zrobiła. Był przy tym bardzo brutalny. Nie przebierał też w słowach...

- Wiem. Życzę pani wszystkiego dobrego. Proszę mnie posłuchać i nie wchodzić teraz do biblioteki. To nie jest miły widok. Zanim sobie pójdę, chciałbym jeszcze rzucić okiem na monitoring. Wskaże mi pani, gdzie go znajdę?

- Tak. Czy zabił pan już dużo ludzi?

- Tak. Więcej nie musi pani wiedzieć. Pani Albertz, proszę o tym nie myśleć. Zacznie pani nowy etap w swoim życiu. Jest pani taka młoda...

Roberta Albertz zaprowadziła Schmidta do małego pomieszczenia, gdzie stały duże plazmowe monitory, na których, dzięki licznym kamerom umieszczonym na domu, widać było każdy centymetr otoczenia. Na zewnątrz nie działo się nic podejrzanego. Ulica była pusta.

- Czy wszystko, co widzimy na monitorach, jest nagrywane?

- Tak.

- W takim razie proszę mi dać płyty DVD i nie wkładać nowych.

Policja musi myśleć, że zabrał je sprawca, co w zasadzie będzie prawdą - powiedział Schmidt z uśmiechem.

Roberta Albertz wyjęła z nagrywarki płyty i podała je Schmidtowni.

- Dziękuję. Wszystkiego dobrego. Jeżeli tylko będzie się pani trzymała moich wskazówek, nic pani nie grozi. I proszę nie dzwonić na policję przed dwudziestą pierwszą. Może nawet niech pani zadzwoni pół godziny później, tak będzie lepiej.

- Czemu?

- Jest ku temu powód, o którym jednak nie musi pani wiedzieć. Mam nadzieję, że mogę pani zaufać.

Schmidt wyszedł z domu i podszedł do bramy. Rozejrzał się dyskretnie. Na ulicy nie było ludzi ani samochodów, więc szedł spokojnie chodnikiem, kiedy nagle na zakręcie zauważył ciemnoczerwone bmw. W jednej chwili rozpoznał siedzących w nim Henninga i Santos. Zdziwiła go ich tu obecność, ale szedł dalej spokojnie, myśląc, że została mu jeszcze tylko jedna sprawa do załatwienia i będzie mógł odetchnąć z ulgą. Miał już dosyć takiego życia w ciągłym pędzie, życia, w którym stale stykał się ze śmiercią. Chciał tylko spokoju, spokoju i jeszcze raz spokoju.

Czwartek, godz. 16.10

Henning i Santos zaparkowali przy alei Bismarcka tak, by móc obserwować dom Albertza stojący w otoczeniu sześciu innych.

- Dziwne. Najpierw chce się z nami spotkać w domu Bruhnsa, teraz w Mönkebergu w domu Kleina. Według mnie Albertz to jakiś świr albo ma dziwne poczucie humoru. .. rodem z kostnicy - powiedział Henning.

- Spróbuję go dziś wyczuć. Musimy się w końcu wszystkiego dowiedzieć. Wiesz co, Sóren? Nie mam ochoty sterczeć tu i wpatrywać się w ten dom. Równie dobrze mógłbym patrzeć w ścianę. Wracajmy do siebie i odpocznijmy trochę. Przed nami na pewno długa noc.

- Dobrze. Pewnie i tak Albertza nie będzie w domu, tylko od razu pojedzie do Mónkebergu. Pamiętasz jeszcze ten kod do bramy?

- Jasne. Moja fotograficzna pamięć nadal działa: jeden-dziewięć-dwa-osiem.

- Świetnie. Może będziemy tam przed nim.

- Bez różnicy. Odpocznijmy trochę, bo jestem zmęczona po tych ostatnich kilku dniach. Czasami nienawidzę tej pracy.

- Nie tylko ty - powiedział Henning.

- Dlaczego ciągle to właśnie my jesteśmy wciągani w takie bagno? Nikt inny, tylko zawsze my...

- Kłose też ciągle babra się w tym błocie. Jeszcze nadejdą dla nas lepsze, spokojniejsze czasy.

- A czym są dla ciebie lepsze i spokojniejsze czasy? Kiedy znów będziemy zajmować się mężem, który z zazdrości pobił na śmierć żonę, albo parą, która zagłodziła swoje dziecko, czy też seryjnym mordercą, który jest postrachem miasta, czy...

- Daj spokój - przerwał jej Henning. - Wybraliśmy sobie taki zawód i dalej będziemy go wykonywać. Jak już trochę tu ucichnie, to weźmiemy sobie kilka dni urlopu i polecimy gdzieś.

Lisa Santos zaśmiała się.

- A jak myślisz, kiedy to nastąpi? Przecież to może się ciągnąć tygodniami, a nawet miesiącami.

- Z reguły to ja jestem pesymistą, ale tym razem myślę pozytywnie. Powiemy jasno Albertzowi, co o tym wszystkim myślimy, i tyle. Wycofamy się z tego i nikt nas nie zmusi, żebyśmy dalej w to brnęli. Nawet Albertz. Pracujemy w wydziale zabójstw i nie mamy nic wspólnego ze służbą bezpieczeństwa, a tym bardziej z jakąś podejrzaną organizacją. Okej?

Santos nic nie odpowiedziała. W milczeniu pojechali do domu.

Na miejscu wypili herbatę i zjedli kilka placków. Wypoczęli trochę, a o wpół do ósmej Lisa wykapała się i przebrała. Gdy po dwudziestu minutach wyszła z łazienki, przyszła kolej na Henninga. Zjedli kolację, sprawdzili broń i czekali na spotkanie z Albertzem.

Dokładnie dwie minuty po dziewiątej dotarli do domu Kleina w Mönkebergu. Brama była przymknięta, podobnie jak w domu Bruhnsa podczas ich poprzedniego spotkania. Drzwi wejściowe również. Henning i Santos weszli więc do środka i schodami do góry udali się do pokoju, gdzie wcześniej znaleźli ciało Kleina. Byli sami.

Czwartek, godz. 16.25

Hans Schmidt zadzwonił do Sarah.

- To ja - powiedział tylko, gdy odebrała telefon.

- Wszystko dobrze?

- Tak. Mam jeszcze plany na dzisiaj, więc przyjadę do ciebie późnym wieczorem...

- Rozmawiałeś z Albertzem? - dopytywała się zdenerwowana Sarah.

- Nie tylko rozmawiałem. Nie ma go już wśród żywych. Już nigdy nie zrobi ci żadnej krzywdy.

- Oszalałeś. A co zrobiłeś z jego żoną?

- Nic. Żyje. Rozmawiałem z nią długo i nie stanowi żadnego zagrożenia, ale później ci o tym opowiem. O nic nie musisz się już martwić.

- Tak tylko mówisz, ale ja i tak się martwię.

- To zajmij się czymś, tak jak ci to już wcześniej radziłem. Skoro ja się nie boję, to tym bardziej ty nie powinnaś. Zobaczymy się później, ale teraz nie umiem ci powiedzieć, kiedy dokładnie.

- Uważaj na siebie.

- Zawsze to robię. Tylko dlatego udało mi się przeżyć ostatnie dwadzieścia pięć lat. Byłem już w trudniejszych sytuacjach i wszystko dobrze się skończyło. Do zobaczenia później.

Odłożył słuchawkę i patrząc w lusterko, powiedział do siebie:

- Po dzisiejszym wieczorze wycofuję się całkowicie. Na tym koniec.

Położył się na łóżku i zamknął oczy. Dokładnie o ósmej jako Pierre Doux pojechał do Mönkebergu, bo chciał tam dotrzeć pierwszy.

Czwartek, godz. 21.05

Santos i Henning stali w dużym, zimnym pokoju i patrzyli na siebie zdziwieni. Czuli, że są obserwowani, jednak nie wiedzieli przez kogo.

- Panie Albertz?! - zawołała Santos. Nie było odpowiedzi. - Panie Albertz?! - zawołała znów, ale wokół dalej panowała cisza.

Santos poczuła dreszcze. Położyła dłoń na broni, nie wyciągając jej jednak. Henning zrobił to samo. Obrócili się dookoła, rozglądając. Nie było nikogo.

- Coś tu nie gra - szepnęła Santos. - Musimy stąd jak najszybciej wyjść.

- Nie macie szans - usłyszeli znany im już głos za sobą, jednak w tej chwili nie byli w stanie przyporządkować go do żadnej ze znajomych im osób. - Ręce ładnie za głowę i powoli się odwróćcie.

Henning i Santos zobaczyli Friedmanna i Mullera i skierowane w nich pistolety.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Henning, próbując się opanować.

- Co to ma znaczyć? - powtórzył Friedmann z uśmiechem. - A jak myślicie? Dostaliśmy zlecenie, by się was pozbyć. Wtykaliście swoje nosy tam, gdzie nie trzeba, i teraz za to zapłacicie. Trzeba było skończyć z tym dochodzeniem, kiedy jeszcze był na to czas.

- Albertz wam to zlecił?

- A jeśli nawet?

- Wczoraj spotkał się z nami i powiedział, że jesteście jego niewolnikami i że macie na koncie niejedno morderstwo. Kazał nam was zlikwidować - powiedział Henning spokojnie, chociaż ze strachu miał ściśnięte gardło. Nie chciał umierać. Nie chciał, by zastrzelili go koledzy po fachu, szczególnie nie tych dwóch podejrzanych typków.

- Pięknie - powiedział Friedmann, nadal się uśmiechając. - Potem jednak chyba zmienił zdanie. Poza tym nie znacie Albertza. Nigdy nie pozbyłby się nas, bo należymy do tego samego teamu. Albertz lubi gierki słowne

nie należy wierzyć we wszystko, co mówi. Jak myślicie, ile osób kazał nam już zabić? Albo też dlaczego sam tu nie przyszedł, tylko przysłał nas? Bo nie lubi brudzić sobie rąk. Od brudnej roboty ma nas. Poza tym przecież istnieje mydło... Ale nie przyszliśmy tu na pogaduszki. Mamy za sobą długi i wyczerpujący dzień, dlatego chcielibyśmy zaraz wracać do domów.

- Ile wam za to obiecał?

- Za co?

- Za zabicie nas - chciała wiedzieć Santos, która co prawda miała czarny pas w karate i była niesamowicie sprawna, ale teraz niestety stała za daleko od Mullera i Friedmanna, żeby cokolwiek zrobić. Stojąc trzy metry od nich, przyglądała im się uważnie i próbowała wyczytać z ich twarzy, jaką taktykę mogą obrać, nauczyła się bowiem, że należy zbliżyć się do oprawcy w taki sposób, by nie zwrócił na to uwagi.

- A co was to obchodzi?

- Możecie nam powiedzieć, przecież i tak nikomu tego nie powtórzymy. Nam zaproponował za was pięćdziesiąt tysięcy euro.

- Bzdura. Nie wydałby tyle, chyba że...

- Ze co? Za co albo za kogo tyle by zapłacił?

- Za dobrego płatnego mordercę. Zadowoleni?

- Więc pewno faktycznie zmienił zdanie. Zapytajcie go o to, chyba że brak wam odwagi.

- Nie. Nie. - Friedmann nie miał zamiaru dać się złapać w sidła Santos. - Nie musimy do niego dzwonić, bo pracujemy z nim od dziesięciu lat i z pewnością znamy go lepiej niż wy.

- Okej, to ile dostaniecie?

- Dwadzieścia tysięcy na głowę, cukiereczku - odpowiedział jej Muller z jeszcze szerszym uśmiechem niż Friedmann.

- Dwadzieścia? Mój Boże, przecież to śmieszna kwota. Mogliście się przynajmniej potargować, bo Sóren i ja jesteśmy z pewnością więcej warci... Powinniście dostać dwa, a może nawet trzy razy tyle, ale wygląda na to, że zadowoliliście się tą kwotą. W sumie jak to się ładnie mówi? Skromność to cnota, ale daleko się z nią nie zajdzie.

Henning był zdziwiony, z jakim spokojem Santos z nimi rozmawiała, i podziwiał ją za to. Jedyne plus, jaki dostrzegł w tej sytuacji, było to, że zginą oboje, bo nie przypuszczał, żeby wyszli z tego cało.

- Kochana Liso, możesz sobie gadać, co tylko chcesz, ale my i tak pošlemy ciebie i twojego fagasa na tamten świat. A tak poważnie to powiem ci, że też miałem ochotę cię zerżnąć - wyznał Müller.

- Nie przeżyłbyś tego - odrzekła Santos zimno.

- Wiem, że masz świetne wykszolenie, tak samo jak my. Jak myślicie, dlaczego tyle już działamy w tym interesie? Bo jesteśmy sprytniejsi niż pozostali. Czemu nie wycofaliście się ze śledztwa, jak kazał wam Rüter? Mogliście jeszcze długo i beztrudnie żyć. A teraz jest już za późno...

- Na co? - zabrzmiał głos jakby znikąd. Friedmann obrócił się szybko, podczas gdy Müller nadal trzymał pistolet skierowany w komisarza.

- Kto tam jest? - zapytał Friedmann nerwowo, ponieważ nie rozpoznawał głosu.

- Ja. - Zanim Friedmann wypowiedział następne słowo, dwa pociski trafiły go w głowę i klatkę piersiową. W tej samej sekundzie obrócił się Müller i po chwili leżał obok swego kolegi z szeroko otwartymi oczami.

- Nie róbcie teraz żadnych głupstw - powiedział Hans Schmidt, który stał przed nimi jako Pierre Doux. - Odłóżcie broń. Przyszedłem, żeby wam pomóc. Albertz nie żyje. Zabiłem go, zanim tu przyszedłem. Jego żona nic o tym nie wie, więc zapewne leży on jeszcze w swojej bibliotece,

a ona jest w łóżku. Jego żona nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

- To pan jest naszym anonimowym informatorem -powiedziała Santos, mrużąc oczy. Rozpoznała jego głos, więc było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Tak. Chciałem, żebyście się dowiedzieli, co dzieje się w tym kraju, i chyba już wiecie. Wyjmijcie pistolety z kabur, tylko powoli. Połóżcie je na podłodze i przesuniecie w moją stronę. Zostańcie tu jeszcze kilka minut. Broń znajdziecie na zewnątrz, przy bramie.

Henning i Santos wykonali, o co prosił. Schmidt wziął ich pistolety i włożył je do kieszeni płaszcza.

- Powinniście jeszcze coś wiedzieć. Starszy prokurator Ruter jest jedną z głów organizacji. Zajmijcie się nim, bo to był już mój ostatni występ...

- Jak mielibyśmy to zrobić? - zapytała Santos.

- Kogoś takiego jak Ruter można załatwić tylko jego własną bronią. Pamiętajcie o tym, że Ruter trafił na swój stołek, bo oskarżono jego poprzednika o przestępstwa, których nie popełnił. Mimo to odsądzono go od czci i honoru. Stracił wszystko przez Rutera... To powinno wam wystarczyć. Czasami trzeba przekroczyć swoje granice, żeby dotrzeć do celu. Jednak Ruter nie jest jedynym problemem. Dużo większym jest jego ojciec, który działa w Berlinie i trudno się do niego dostać. Chyba że macie znajomych, którzy... Ale nie będę nic sugerował, bo na pewno wiecie, co robić. Jestem zaszczycony, że mogliśmy się poznać. Od tej pory już nigdy o mnie nie usłyszycie. Wszystkiego najlepszego.

- To pan jest tym płatnym mordercą...

- Tak, ale uwierzcie mi, że zabijałem ludzi, których ręce były splamione krwią innych. Niestety są dwa wyjątki i jest mi z tego powodu bardzo przykro. Zapewniam, że nie jestem z tego dumny, ale czasu nie cofnę. Muszę już

ić. Za pięć minut możecie stąd wyjść, bo będę już daleko stąd.
Adios.

- Jeszcze jedno pytanie, skoro zna pan dogłębnie tę sytuację...

- Tylko szybko.

- Chodzi o służbę bezpieczeństwa... Czy faktycznie jest z nimi tak źle?

- Nie. Albertz i jego ludzie ukrywali się za tym szyldem. Oczywiście, jak wszędzie, są tam czarne owce, ale w gruncie rzeczy to porządna instytucja. Popaprańcy są wszędzie, spójrzcie tylko na Friedmanna i Mullera. Zostawcie ich tutaj. Ktoś ich w końcu tu znajdzie. Tylko nie mówcie nikomu, że dziś tu byliście, chyba że już ktoś o tym wie?

- Nie. Nie powiedzieliśmy nawet naszemu przełożonemu - odrzekła szybko Santos.

- Dobrze, i niech tak zostanie.

- Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie? Ostatnie - poprosiła Santos

- Słucham.

- Chodzi o to obce DNA... Skąd pan je ma? Schmidt zaśmiał się tylko.

- Pochodzi od kobiety, którą kiedyś bardzo dobrze znałem. Niestety kilka lat temu zginęła w strasznych okolicznościach. Słowa ministra spraw wewnętrznych to bzdura, jak zresztą większość słów wypowiedzianych przez polityków.

Nie dając Santos i Henningowi okazji do kontynuowania rozmowy, zniknął w ciemności tak samo szybko, jak się pojawił.

Henning i Santos padli sobie w ramiona. Oboje mieli łzy w oczach. Napięcie opadało. Długo tulili się bez słowa.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co się właśnie wydarzyło? - odezwał się w końcu Henning. - Płatny morderca,

którego ścigaliśmy, uratował nam przed chwilą życie. Chyba do końca swoich dni tego nie zrozumie. Santos otarła łzy.

- To jakiś koszmar. Zastrzelono by nas, gdyby nie on. Właśnie on!

- Wiesz co? Mam gdzieś, kto nas uratował. Ważne, że żyjemy! Minęło już pięć minut?

- Nie mam pojęcia. Chodźmy już. Na pewno jest daleko stąd. Powinnam pójść do kościoła zapalić świeczkę -powiedziała Santos, mijając Friedmanna i Mullera, którzy leżeli na marmurowej podłodze w kałuży krwi.

- Podarowano nam nowe życie. Jesteśmy dziećmi szczęścia.

- Tak. To prawda. Chodźmy gdzieś napić się czegoś dobrego. Może jakiegoś wina?

- Na co tylko masz ochotę.

- Wiem już, dokąd pojedziemy. Tak się bałam. Jeszcze trzęsą mi się kolana - wyznała Santos.

- Wcale tego nie okazywałaś.

- Tak mnie nauczono. Bać się, ale nie dać tego po sobie poznać. Nie mówmy o tym Volkerowi.

- Jasne. On ma wystarczająco dużo zmartwień. Ale z nas szczęściarze. Mój Boże, jakie mieliśmy szczęście!

Przy bramie, tak jak obiecał im Schmidt, znaleźli swoje pistolety. Henning zamknął bramę i poszli do swojego bmw. Wrócili do Kilonii. Santos zatrzymała się przed restauracją, gdzie podawano nie tylko wyśmienite jedzenie, ale także wytworne wina z całego świata. Zamówili spaghetti i butelkę wina, która kosztowała prawie sto euro. Tego wieczoru jednak nie zważali na ceny. Świątowali, chociaż czuli niesmak, gdy tylko pomyśleli, że płatny morderca - widmo, którego szukali - pomógł im wybrnąć z sytuacji bez wyjścia. W końcu jednak stało się to mniej ważne. Najważniejsze, że byli cali i zdrowi.

W domu długo leżeli przytuleni do siebie. Nie mogli zasnąć. Rozmawiali o wielu rzeczach, jednak nie o tym, co wydarzyło się kilka godzin temu. Może w przyszłości podejmą ten temat, kiedy już to zdołają jakoś ogarnąć. Na razie chcieli o tym zapomnieć, więc pili aromatyczną herbatę i słuchali muzyki.

Kiedyś znów wróci normalność. Będą szukać zaginionego, ścigać zabójcę żony bądź dziecka... Zajmą się tym, na czym się znali dużo lepiej niż na przestępczości zorganizowanej i kombinacjach świata gospodarki i polityki. Mieli też nadzieję, że już nigdy nie będą musieli szukać żadnego widma.

Teraz pozostało im do zrobienia tylko jedno: załatwić Rutera.

Czwartek, godz. 22.50

Hans Schmidt odwiedził Sarah Schumann bez uprzedzenia. Pół godziny rozmawiał z Marią i obiecał, że najpóźniej w poniedziałek wróci do Lizbony.

- Ty żyjesz! - Sarah przytuliła go serdecznie i pocałowała. Miała łzy szczęścia w oczach.

- A dlaczego miałbym nie żyć? To już koniec, Sarah. Zrobiłem to, co zamierzałem. Resztą zajmie się policja. Poznałaś już komisarz Santos i jej partnera Henninga. Albertz zastawił dziś na nich pułapkę, ale udało mi się zlikwidować morderców, zanim zdążyli wyrządzić im krzywdę. Teraz tylko dobrze by było, gdyby poleciała jeszcze jedna głowa - prokuratora Rutera. W sumie to jego ojciec, który zasiada w Bundestagu, też powinien zapłacić za swoje czyny, ale od dziś wszystko jest już w rękach policji. Chociaż przyznam, że dzisiaj rano miałem zamiar pozbyć się Rutera.

- Wejdźmy do środka i opowiesz mi wszystko spokojnie.

Hans Schmidt zrelacjonował jej to, co wydarzyło się po południu i wieczorem.

- Teraz nie musisz się już niczego obawiać - dodał w końcu. - Ktokolwiek ci zagrażał, już nie żyje albo zostanie pozbawiony swojego stanowiska. Jesteś wolna i możesz robić, co tylko zapragniesz.

- Wspaniale. Naprawdę wspaniale - powiedziała Sarah, ale w jej oczach widać było smutek.

- Wcale się nie cieszysz.

- Owszem, cieszę. Tylko co ja miałabym teraz robić z tą swoją wolnością? Nie mam nikogo bliskiego... nawet żadnej przyjaciółki.

- Masz córki i wnuki. Oni też są wolni. Już nikt z was nie musi się ukrywać.

- A ty wrócisz teraz do Marii i zapomnisz o mnie.

- Nie. Nigdy cię nie zapomnę. Mówiłem ci już, że zawsze jesteś u nas mile widziana. Będziemy się często widywać. Zobaczysz.

- Czy jeszcze kiedyś cię pocuję? - zapytała Sarah i oparła głowę o jego ramię.

- Nie wiem. Może. Nie chciałbym skrzywdzić Marii, ale moje życie nie jest proste... Kocham ją ponad wszystko, ale ciebie też kocham.

- Naprawdę? - zapytała, a jej oczy nagle zabłyśły.

- Naprawdę. Wiesz, że nie lubię patosu, ale znam cię zbyt długo, żeby tak nagle zakończyć naszą znajomość. Ale nie próbuj nigdy zagarnąć mnie tylko dla siebie, bo odejdę na zawsze.

- Nigdy tego nie zrobię. Dziękuję, że mi to powiedziałaś. To daje mi nadzieję. Jak długo jeszcze zostaniesz w Kilonii?

- Do niedzieli, może poniedziałku.

- Byłoby mi bardzo miło, gdybyśmy spędzili ze sobą jeszcze trochę czasu. Potem udam się dokądś w dłuższą podróż, bo w końcu nic mnie tu nie trzyma. Pojadę do Atlanty albo do Auckland. W końcu zajadę również do Lizbony odwiedzić dobrego znajomego i poznać jego boginię.

- Ona nie jest moją boginią, ale bardzo ją kocham i ożenię się z nią.

- Wiem, ale już zawsze będziesz częścią mnie. Zostaniesz dziś na noc?

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu - odpowiedział Schmidt z uśmiechem.

- Cudownie. Tak się cieszę, że już po wszystkim.

- Ja też. Obiecałem sobie nawet, że już nigdy nie tknę broni. Zamknę ją w pokoju i teraz zajmę się tylko restauracjami i wystawianiem ekspertyz. Nie potrafiłbym już tak dłużej żyć.

- To brzmi wspaniale. Masz jeszcze przed sobą tyle lat... Wiesz co? Może zaparzę herbatę, usiądziemy sobie i porozmawiamy. Tak o wszystkim. Zgadzasz się?

- Z chęcią.

Piątek, godz. 8.15

O ósmej piętnaście do wydziału zabójstw wpłynął raport dotyczący martwego Karla Albertza. Zona znalazła wczoraj jego ciało w domowej bibliotece tuż przed wpół do dziesiątej. Lekarz stwierdził, że zgon nastąpił w tej samej chwili, gdy dwa pociski trafiły w głowę i tors Albertza.

- Powinniśmy się chyba tym zająć? - zapytał Henning.

- Tak, ale załatwimy to szybko. Przesłuchamy tylko żonę Albertza i na tym koniec. Przecież i tak doskonale wiemy, co tam się wydarzyło. Wcześniej zajedźmy jednak do Klozego i Nolla.

- Co od nich chcesz?

- Nie pamiętasz, co powiedział nam wczoraj nasz nieznajomy? - zapytała Santos z wymownym uśmiechem.

- Zastanawiam się tylko, jak mielibyśmy to zorganizować.

- Inni to za nas zrobią. Riiter nie może wyjść z tego czysty. Gdy padnie jego głowa, choć na jakiś czas powinien zapanować spokój. Pomyśl o tych wszystkich kobietach i dzieciach. Musimy to zrobić tak, żebyśmy nie rzucali się w oczy i żeby nasze nazwiska nigdzie nie zostały wymienione. Riiter zostanie pokonany własną bronią. To będzie dla niego niespodzianka.

- Myślisz, że to się uda? - powątpiewał Henning.

- Na pewno. Nie wyobrażam sobie, żeby Kloze i Noll odmówili nam pomocy. Musimy przynajmniej spróbować.

Całe przedpołudnie spędzili na rozmowach z Nollem, a później udali się do Klozego, który również zapewnił, że udzieli im wsparcia. Postawił jednak warunek: Santos i Henning nie będą brali udziału w całym tym przedsięwzięciu, na co komisarze oczywiście musieli się zgodzić, gdyż niczego nie pragnęli teraz bardziej, niż pozbawić Riitera władzy. Chcieli, by na własnej skórze odczuł, jak to jest, gdy straci się wszystko. Teraz mieli tylko nadzieję, że cała akcja przebiegnie zgodnie z planem, bo jak powiedział ostatnio Henning: „Nadzieja umiera ostatnia”.

EPILOG

Tego samego dnia wieczorem przed drzwiami domu Rutera stanęło sześciu funkcjonariuszy. Po okazaniu mu nakazu sądowego zaczęli przeszukiwać posiadłość. Na początku Riiter był nawet spokojny, później jednak stawał się coraz bardziej nerwowy, biegał po całym domu jak kot z pęcherzem i ubliżał policjantom, którzy niewzruszeni wykonywali swoją pracę. Niepostrzeżenie Kloze podłożył w różnych miejscach torebeczki kokainy, po czym poprosił o przyrowadzenie psa policyjnego.

Akcja zakończyła się wielkim sukcesem: zarówno w biurze, jak i w domu Riitera znaleziono dwanaście torebeczek z kokainą, a na jego firmowym komputerze setki zdjęć z pornografią dziecięcą. Ruter nie umiał tego wyjaśnić, więc wściekły poprzestał na zwymyślaniu funkcjonariuszy. Został zawieszony jako prokurator i zatrzymany na czas trwania śledztwa, czyli na trzy tygodnie.

W sierpniu odbyła się sprawa sądowa, w wyniku której Ruter dostał dożywotni zakaz wykonywania zawodów związanych z sądownictwem oraz skazano go na dwa lata więzienia w zawieszeniu. Po usłyszeniu wyroku ciskał jeszcze swoje groźby, ale był bezsilny. W tej samej chwili padła głowa organizacji w Szlezwiku-Holsztynie. Trudno powiedzieć, czy w przyszłości ktoś inny zajmie jego miejsce. Jednak poważniejszym problemem była jeszcze jedna głowa tej organizacji, której jak dotąd nikomu nie udało się ruszyć. Głową tą był Riiter senior.

Bruhns, Steinbauer, Klein, Freier i Albertz nie żyli. Rutera pozbawiono władzy. Jednak funkcjonariusze, którzy brali udział w tych sprawach, wiedzieli, że miejsca wszystkich tych osób zostaną zajęte przez innych. Możliwe też, że kiedyś znajdzie się ktoś na miejsce Rutera.

Przestępczość zorganizowana jest bowiem niczym hydra, której głowy ciągle odrastają. Poza tym Riiter junior po tak niskim wyroku miał wystarczająco dużo czasu, żeby w spokoju na nowo odtworzyć całą strukturę organizacji, dlatego też pozostanie pod stałą obserwacją policji.

Hans Schmidt opuścił Kilonię w poniedziałek szesnastego marca i poleciał wprost do Lizbony. Jego pożegnanie z Sarah było długie i czułe, zwłaszcza z jej strony. Pożegnali się na lotnisku w Hamburgu, skąd Sarah poleciała na dwa dni do Frankfurtu, a stamtąd do Atlanty, do swojej starszej córki. Po czterech wspaniałych tygodniach, jakie spędziła w gronie rodziny, udała się do Auckland w Nowej Zelandii, gdzie mieszkała jej druga córka z rodziną. To był piękny czas, który minął błyskawicznie.

Z Auckland Sarah poleciała do Lizbony, aby w końcu poznać przyszłą żonę Schmidta. Gdy zobaczyła tę śliczną kobietę, którą od pierwszej chwili mogła tylko podziwiać, od razu zrozumiała, dlaczego Schmidt się w niej zakochał. Takich kobiet jak Maria jest na świecie bardzo niewiele.

Sarah zatrzymała się w Sheratonie, ale przez dwa tygodnie pobytu widywała Schmidta codziennie. On nadal wędrował pomiędzy dwoma światami, co chyba nigdy się nie zmieni. Kochał dwie kobiety i żadnej z nich nie chciał skrzywdzić.

Zrezygnował już całkiem ze swojej pracy, a wszystkie narzędzia, którymi posługiwał się, by zabijać, czyli pistolety, karabiny, noże i trucizny, zamknął na klucz. Nie da się wymazać przeszłości, ale Hans Schmidt nie miał wyrzutów sumienia, bo wykonywał polecenia innych - tylko polecenia, nic więcej. Oczywiście wstydził się tego, że przyczynił się do śmierci Julianne Cummings i tej dziewczynki, która była z Manfredem Schumannem, ale nic już na to nie mógł poradzić. Przez ten czas Schmidt bardzo się

wzbogacił i w wieku czterdziestu siedmiu lat mógł pozwolić sobie na to, by zająć się teraz uszczęśliwianiem innych, mimo że do chwili, gdy spotkał Marię, nie wiedział, czym tak naprawdę jest szczęście.

Teraz jednak pragnął sprawiać innym radość, a przede wszystkim swojej ukochanej Marii, którą miał poślubić pierwszego sierpnia. Gdy Schmidt wrócił z Kilonii, oświadczył jej się na kolanach - tak jak należy - wkładając jej na palec pierścienek zaręczynowy. Maria tuliła go mocno i łzy szczęścia płynęły jej po policzkach. Wyznała mu także, że jest to najszczęśliwszy dzień w jej życiu. Jeszcze piękniejszy miał być pierwszy sierpnia, dzień ich ślubu, kiedy to przyjmie nazwisko męża i będzie się nazywała Maria Schmidt-Gonzales, a on Hans Schmidt-Gonzales.

Oczywiście Hans Schmidt nie chciał zaniedbywać swojej znajomości z Sarah, gdyż za długo się znali, by tak po prostu zerwać ze sobą kontakt. Gdyby nie Sarah, nie byłby tym samym człowiekiem, którym się stał. Bez jej udziału nie miałyby również takiego majątku, a jego życie z pewnością byłoby nudne, monotonne i szare. Maria wiedziała o istnieniu Sarah, jednak nigdy nie miała się dowiedzieć, jaką rolę odegrała ona w życiu Schmidta, poczynając od 12 października 1984 roku. Taka kobieta jak Sarah niczym sobie nie zasłużyła, aby ją zostawić.

Szóstego lipca Maria z matką i o trzy lata starszą siostrą, która już od dwunastu lat była mężatką i miała czworo dzieci, weszły do salonu mody ślubnej. Po długich naradach Maria wybrała w końcu suknię, która każdej z nich się podobała, gdyż była przyzwoita i zarazem seksowna. Po pięciu godzinach spędzonych w sklepie zadowolona Maria pożegnała się z siostrą i matką, obejmując je czule.

Była bardzo szczęśliwa, jadąc do domu, ponieważ niczego nie pragnęła bardziej, niż spędzić resztę swego życia u boku Hansa Schmidta jako jego żona. Oczywiście miała

świadomość, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że Schmidt odejdzie z tego świata przed nią. Jednak wracając do domu, nie chciała o tym myśleć.

Było jeszcze wczesne popołudnie, kiedy będąc zaledwie o kilkaset metrów od domu, postanowiła jechać do Estoril, gdzie na bardzo malowniczym wybrzeżu, oddalonym od Lizbony o dwadzieścia pięć kilometrów, Hans Schmidt miesiąc temu kupił działkę. Maria włączyła głośną muzykę, otworzyła szyberdach w samochodzie i pędziła, aby spojrzeć na ich przyszły dom. Przez otwarte okna samochodu wiatr rozwiewał jej włosy. Jechała szybko, dużo za szybko, gdyż chciała najpóźniej o osiemnastej wrócić do domu, by spędzić wieczór ze swoim przyszłym mężem. Znak z nazwą miejscowości był już w zasięgu jej wzroku, gdy nagle, nie wiadomo skąd, na jej pasie jezdni pojawiła się duża ciężarówka. Kierowca zignorował znak i nie ustąpił pierwszeństwa przejazdu. Maria z całą siłą nacisnęła na hamulec, ale było już za późno. Z całym impetem wjechała pod naczepę, w wyniku czego wszystko, co znajdowało się w jej aucie powyżej silnika, zostało ścięte. Nie miała najmniejszych szans.

Według policji Maria zginęła na miejscu. Kierowca ciężarówki znajdował się pod wpływem alkoholu i został od razu zatrzymany.

Gdy Hans Schmidt dowiedział się od policjantów o śmierci Marii, zamarł bez ruchu. Dopiero gdy został sam, opadł bezsilnie na podłogę i zakrywszy twarz dłońmi, płakał.

Nigdy nie okazywał uczuć, zawsze nad nimi panował, gdyż nauczony był samokontroli i dyscypliny. Potrafił przybierać różne maski i to już nigdy się nie zmieni. Teraz jednak rozpacział nad stratą najbliższej mu osoby i cicho pytał Boga i świat: Czemu Maria? Czemu właśnie ją to spotkało? Dlaczego nie mnie? Przecież ona nigdy nikomu nie wyrządziła krzywdy! Dlaczego ona, czemu właśnie ona? Dlaczego to nie byłem ja? Czemu, czemu, czemu?

Jednak na żadne z tych pytań nie uzyskał odpowiedzi. Czy było to przeznaczenie, przypadek, czy też zrządzenie losu? Co spowodowało, że kobieta, którą pokochał, musiała tak szybko odejść? A może była to kara za to, że przez tyle lat krzywdził innych? Tylko dlaczego ukarano go dopiero teraz, gdy skończył już z tym procederem, i czemu musiał ponieść taką srogą karę? Dlaczego karę poniosła jego ukochana? Czemu ukarano jej rodziców i rodzeństwo? Dlaczego Maria postanowiła pojechać do Estoril, skoro następnego dnia zamierzali pojechać tam razem, by sprawdzić, jak daleko posunęły się roboty budowlane? Czemu tam pojechała? Nie mogła poczekać? Wiedział, że już nigdy się tego nie dowie. Ale jedno było pewne: już do końca życia będzie cierpiał z powodu tej straty. Swoje cierpienie będzie przeżywał tak samo jak stratę rodziców: po cichu, w zamknięciu, by nikt tego nie widział.

Ten wieczór, kiedy dowiedział się o śmierci Marii, oraz całą noc spędził prawie bez ruchu przed kominkiem. Maria miała rację, to był wspaniały kominek, chociaż jeszcze ani razu nikt w nim nie palił. Wyglądał dokładnie tak, jak to sobie wymarzyła. Smutna i melancholijna portugalska muzyka fado brzmiała gdzieś w tle, kiedy Hans Schmidt przypominał sobie lata spędzone z ukochaną i kiedy nieustannie zadawał sobie dręczące go pytanie: dlaczego? Dlaczego się poznali? Dlaczego zakochali się w sobie, skoro musiała tak wcześnie umrzeć?

W środku nocy rozebrał się do naga i napalił w kominku. Nagi położył się przed nim i wpatrywał w płomienie. Dopiero gdy na dworze świtało, udało mu się zdrzemnąć. Obudził się dwie godziny później. Wypił miętową herbatę i wmusił w siebie banana, nic więcej nie mógł przełknąć. W końcu zadzwonił do Sarah Schumann i opowiedział jej o swoim nieszczęściu.

Sarah przyleciała następnym samolotem, by wesprzeć go w tych ciężkich chwilach. Ponownie zatrzymała się w hotelu Sheraton, ale Hans Schmidt cieszył się, wiedząc, że ma jeszcze kogoś bliskiego przy sobie. Oczywiście ukrywał obecność Sarah przed rodzicami Marii, którzy wraz z nim cierpieli i opłakiwali jej śmierć. Z Sarah od dwudziestu pięciu lat łączyła go niewidzialna i nierozzerwalna więź, która jak widać, miała się jeszcze bardziej umocnić. Mimo to przeklinał swoje życie od czasu śmierci Marii. Przeklinał siebie, swoje pochodzenie, przeklinał wszystko, nawet samego Boga.

Tylko nie Sarah.

Zdecydował się zaniechać budowy domu i sprzedać działkę w Estoril, a także dom w Lizbonie. We wrześniu razem z Sarah udał się do Nicei, gdzie oboje zamieszkali. W tamtym domu ma swój tajemny, mały pokój, w którym trzyma broń i całą dokumentację. Może kiedyś nadejdzie jeszcze taki dzień, kiedy znów z nich skorzysta. Może jeszcze kiedyś powróci jako Pierre Doux, Henry Jones, Martin Sanchez czy Michaił Pietrow.

Obiecał sobie jednak, że jego noga nigdy już nie stanie na portugalskiej ziemi. Zacznie nowe życie, mimo że ból będzie mu już zawsze towarzyszył. Ból, nienawiść i gniew. Maria była jego jedyną prawdziwą miłością i nie ma nikogo, kto mógłby wypełnić tę pustkę, jaka pozostała w jego sercu po jej stracie. Nawet Sarah Schumann nie mogłaby zająć jej miejsca.

Dla Lisy Santos i Sörena Henninga powrócił zwykły porządek dnia powszedniego. Jedynie śmierć Marion Harms przerwała ich rutynę. Na początku maja Marion zasnęła spokojnie i już się nie obudziła. Przez ostatnie tygodnie faszerowano ją lekami i nie było z nią kontaktu. Mimo to Volker spędzał z nią większość czasu i nie

był w stanie wymazać z pamięci trzydziestu dwóch lat ich małżeństwa. Kochał ją i cierpiał po jej śmierci. Po pogrzebie wziął dwa miesiące urlopu i poleciał na drugi koniec świata. W Australii chciał pogodzić się z losem, wyciszyć i nabrać sił na dalsze życie bez Marion.

Lisa Santos nadal regularnie odwiedzała swoją siostrę w domu opieki. Była ona piękną kobietą, a musiała przeżyć taki koszmar. Zgwałcona przez wielu mężczyzn i pobita prawie na śmierć została w ostatniej chwili uratowana, jednak dla jej mózgu nie było już ratunku. Zbyt długo pozostawał bez tlenu.

W lipcu Lisa Santos i Sóren Henning wyjechali do Hiszpanii. W ślicznym domku nad morzem spędzili niezapomniane tygodnie. Chcieli również nabrać sił, by móc znowu powrócić do brutalnego świata. Jednak nie myśleli o tym, kiedy wieczorami siedzieli na tarasie i patrzyli na morze. Czasami rozmawiali o nieznanym mężczyźnie, który uratował im życie i z anioła śmierci stał się ich aniołem stróżem. Nigdy nie pojmą, co nim kierowało, ale wiedzą, że był on zarówno człowiekiem, jak i nieuchwytnym widmem. Już nigdy też nie dowiedzą się, do kogo należało DNA, które znaleziono w miejscach wielu zbrodni, także po wystąpieniu ministra spraw wewnętrznych, w którym oświadczył on, że DNA znajduje się na patyczkach do pobierania śladów.

Czasami też rozmawiali o Karlu Albertzie. Co skłoniło go do tego, żeby udzielić im tylu informacji na temat struktur działania jego przestępczej organizacji? Dlaczego opowiedział im tak dużo o swoim prywatnym życiu? Czemu zlecił im zabicie Friedmanna i Mullera? I w końcu dlaczego kazał tym policjantom ich zabić? Czy naprawdę kochał Sarah Schumann? Czy też chciał tylko posiadać tę piękną i charyzmatyczną kobietę? Mieli jeszcze wiele pytań dotyczących Alberta, ale nigdy już nie znajdą na nie

odpowiedzi. Doszli więc do wniosku, że Albertz był wielkim graczem, jednak nie udało im się w pełni zrozumieć gry, którą prowadził.

Henning i Santos tym razem nie byli w stanie odróżnić prawdy od fałszu i dlatego też w przyszłości mieli zająć się tylko dochodzeniami w sprawach dotyczących zabójstw. Oczywiście jeśli tylko pozwoli się im działać. Ale najpierw postanowili odpocząć i nie myśleć o przyszłości, która wkrótce nadejdzie. I to już niedługo.

POSŁOWIE

Niektórzy, może nawet wiele osób, będą się zastanawiać, czy to, o czym piszę w tej książce, zdarza się w rzeczywistości. Oczywiście *Lodowata bliskość* nie jest dokumentem, ale powieścią, w której treść wplotłem jednak wiele prawdziwych wydarzeń. Długo rozważałem, czy umieścić tu scenę, w której młoda dziewczyna zmuszana do prostytucji jest maltretowana i w brutalny sposób zabita. Zastanawiałem się także, czy w ten właśnie sposób powinienem ukazać tę scenę. Jednak w takiej formie została mi ona przekazana przez kobietę, która nadal nie pogodziła się z koszmarem, jaki na własne oczy widziała, chociaż wydarzyło się to dwadzieścia lat temu. Dokładnie tak też przedstawiły mi tę scenę dwie inne osoby, których nazwisk dla ich bezpieczeństwa nie będę ujawniał. Właśnie dlatego historia ta została przedstawiona w takiej formie i stała się nieodłącznym elementem książki.

Takie wątki ukazują czasem, do jakich potwornych czynów zdolni są ludzie. Czy to wśród prostych ludzi, czy też w wyższych sferach, wszędzie dzieje się to samo, wszędzie dochodzi do przerażających przestępstw.

Innym wątkiem książki jest problem dzieci. W wielu krajach można kupić niemowlęta, małe dzieci i nastolatki. Tutaj tylko zaznaczam, że taki problem istnieje, jednak nie podaję żadnych szczegółów, chociaż uważam, że nadal za mało mówi się o tym w mediach.

Zdaję sobie sprawę z tego, że niektórzy może nie chcą o takich rzeczach czytać, jednakże nie powinniśmy zamykać oczu i udawać, że nic się nie dzieje, bo realia są właśnie takie - brutalne i przerażające. Nadal jestem przekonany, że można to zmienić, ale do tego potrzebujemy odwagi, by się sprzeciwić oprawcom i wziąć w obronę ich ofiary.

Książka ta porusza także kwestię manipulacji, wszechobecnej w polityce i gospodarce, oraz to, że karmi się media informacjami, które częstokroć nie mają żadnego związku z prawdą, a mimo to są rozpowszechniane. Bardzo dużo takich kłamstw puszcza się w obieg, natomiast prawda jest głęboko skrywana.

Ostatnim zagadnieniem, o którym traktuje ta książka, jest przestępczość zorganizowana istniejąca już na całym świecie, gdyż opanowała ona wiele sfer ludzkiego życia. Walka z taką formą przestępczości nie jest oczywiście pozbawiona sensu, jednak jest tylko kroplą w morzu potrzeb, gdyż jak podkreślił prokurator generalny w jednym ze swoich telewizyjnych wystąpień, jesteśmy w stanie dotrzeć do płotek i je zwalczać, ale trudno trafić na grube ryby. Dla mnie ważne było pokazanie, że takie zdarzenia mają miejsce. Przestępczość zorganizowana nie zatrzyma się przed niczym i przed nikim; życie ludzkie jest bezwartościowe, ponieważ wszystko kręci się wokół pieniądza, który napędza koniunkturę. I już dawno nie chodzi tu o zyski liczone w miliardach, ale w bilionach, które każdego roku pochodzą także z działalności przestępczej.

Nie jestem i nigdy nie byłem osobą wierzącą w teorie spiskowe i dlatego zawsze kierowałem się faktami, zeznaniami świadków, sprawozdaniami specjalistów, policjantów i innych ludzi, którym chciałbym tutaj gorąco podziękować za współpracę, otwartość i przede wszystkim za zaufanie, jakim mnie obdarzyli.

Wszyscy bohaterowie tej książki są osobami fikcyjnymi i ich jakiegokolwiek podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest czysto przypadkowe.

Andreas Franz
Listopad 2009